Młodzieży Towarzystwa „Slavia"
z bratniem sercem
Ofiaruje
Wydawca
Kraków 18 2/IV 75.

ŚPIEW

DO SŁÓW B. ZALEWSKIEGO.

„Święć się, święć się wieku młody!"

MUZYKA na FORTEPIAN

A. KRAJSKIEGO.

Дозволено цензурою Кіевъ 1872 года 9. Января
Лит. И. и А. Давиденко аренд. С. Курьженко и В. Давиденко

Дозволено цензурою. Г. Кіевъ. 18 декабря 1871 г.

Młodzieży Towarzystwa „Slavia"
Z bratniem sercem
ofiaruje
18 2/IV 75.
Kraków.
Wydawca.

ŚPIEW

DO SŁÓW B. ZALEWSKIEGO.
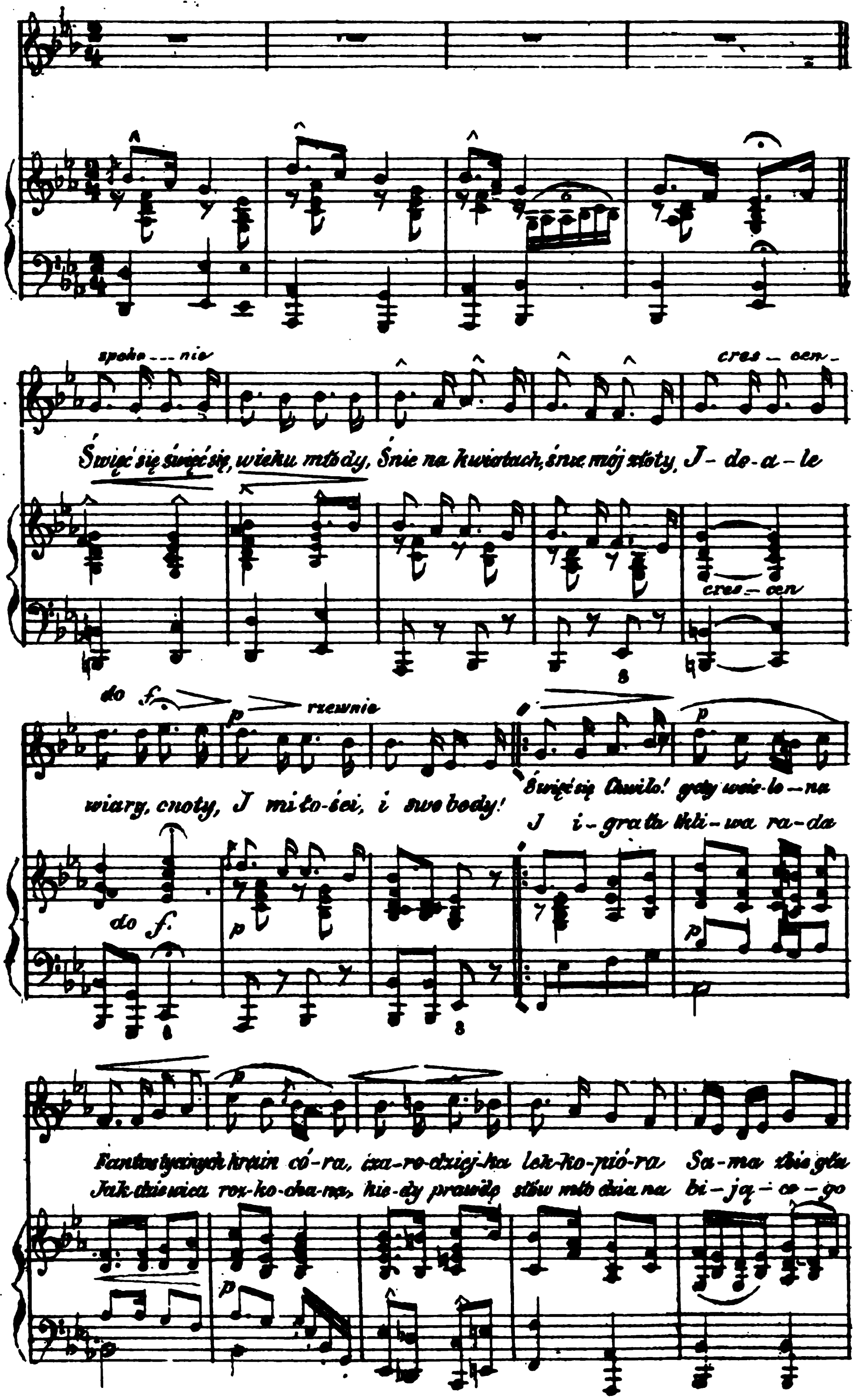
„Święć się, święć się wieku młody!"

MUZYKA na FORTEPIAN
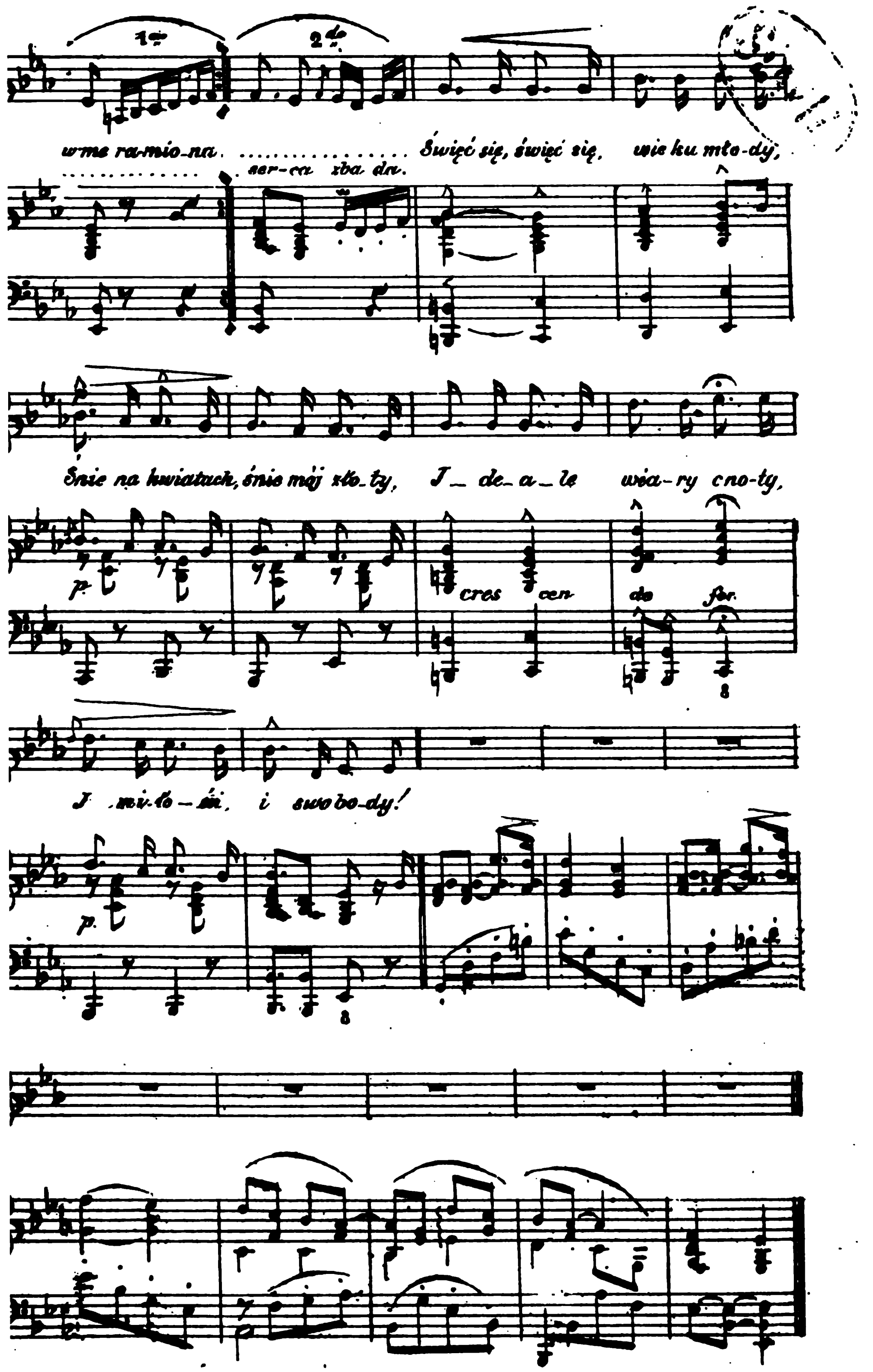
A. KRAJSKIEGO.

Дозволено цензурою Кіевъ 1872 года 9. Января
Лит. И. и А. Давиденко аренд. С. Курьженко и В. Давиденко

ŚWIĘĆ SIĘ!



spoko-nie
cres-cen-
Święć się, święć się, wieku młody, Śnie na kwiatach, śnie mój złoty, J-de-a-le
cres-cen
do f.
p
rzewnie
wiary, cnoty, J miłości, i swobody!
p


1mo
2do
wme ra-mio-na ....
.... ser-ca zba-da.
Święć się, święć się, wie ku mło-dy,
Śnie na kwiatach, śnie mój zło-ty,
J – de – a – le wia-ry cno-ty,
p.
cres cen do for.
J mi-ło-ści, i swo-bo-dy!
p.

»Kto z Bogiem, Bóg z nim«—to stare przysłowie
Nam przekazali w spuściznie przodkowie;
Oni to niegdyś, gdy co poczynali,
Imienia Boga do pracy wzywali;
Nie szemrząc na los, na troski w złéj chwili,
W pokorze ducha szczérze *pracowali*,
Za to, *co Bóg dał*, dzięki przynosili,
A z plonów zżętych braciom udzielali.
Żeś dał ten tytuł na swojém wydaniu,
W celach czci godnych, mój skromny młodzieńcze,
Wzrosła nadzieja w naszém przekonaniu,
Że Bóg swą łaską twą pracę uwieńczy.
Czyjeby usta z tej myśli szydziły,
Takim odpowiém: Szanowni Rodacy!
Przykład, zachęta,—to są nowe siły
Dobrych dążności w literackiej pracy;
Ta wzniosła praca niech u nas nie gaśnie,—
To cel młodzieńca, to jego myśl właśnie.
Wszystko się zmienia; on nie zmienił tego
Uczucia przodków: dla dobra współbrata
Z pod serca wyjął, co miał najlepszego,
I rzekł: »Co Bóg dał«,—czém chata bogata!—

Zyg. Wenliński.

RODZINA.

p. T. Morzyńskiego.

Rodzina to Sanctum Sanctorum—to źródło żywota i społeczeństwa, to relikwijarz tradycyi, to ognisko miłości, którego promienie rozchodząc się coraz szerzej obejmują kraj, ziomków, bliźnich, ludzkość, i kiedyś świat cały w bratnim uścisku w jedną wielką rodzinę połączą.

Rodzina, to stróż wiary, zwyczajów i obyczajów. Uderz w rodzinę, a padnie z nią wszystko, zwali się cała budowa, skoro z niéj tę główną podwalinę usuniesz, runie i rozsypie się gmach, skoro mu braknie tego, wiecznie trwałego cementu, który wszystkie cząstki spaja i od wpływów zewnętrznych ochrania. Rodzina to wielki ołtarz, na który każdy z nas najlepszą cząstkę swego *Ja* w ofierze przynosi, to pierwiastek życia, w którym każda miłość, każdy czyn, każda myśl szlachetna, każde poświęcenie bierze swój początek. Rodzina nareszcie, to straszny wróg egoizmu, tego mistycznego Adamowego węża, krępującego swemi kręgi ludzkość całą, któremu rodzina upostaciowana w Pismie Św. w kobiecie zetrzeć ma głowę. Świętość i poszanowanie Rodziny, to jedyna skala sił moralnych społeczeństwa, to puls jego życia, bo w niéj się zbiegają wszystkie jego arterye. Tak człowiek zbiorowy, jak i pojedyncze indywiduum, skoro nie potrafi uszanować rodziny, skoro zerwie dobrowolnie tę nić wiążącą wszystko, tę spójnię przeszłości, skoro niema tyle miłości w sercu, aby ukochał sam pierwiastek, niéma tyle siły, aby wypełnił te pierwsze obowiązki, taki do żadnych uczuć ogólnych niezdolny, ani też godnie wypełni obowiązki społeczne. Do niego to bowiem mówi Pismo Św. »Kto mówi, że kocha Boga, a bliźniego swego nienawidzi, kłamcą jest«. Rodzina, to owa Arka Noego. Patrz! ona tak mała, a przecież jedyna, ktora od ogólnéj zagłady oca-

lała—wpośród burz i nawalności, wpośród odmętów wód, zalewających świat cały, wpośród piętrzących się bałwanów, ona, ta łupina orzecha potrafiła w sobie pierwiastek życia zachować i ziemię na nowo odrodzić. Uderz, powtarzam, w rodzinę, a zniszczysz z nią wszystko, upadnie wiara, tradycya, obyczaje, wyziębną wszystkie uczucia, zaginą cnoty; występki i zbrodnie, ów znak moralnego zepsucia, coraz więcej szerzyć się zaczną, aż nareszcie nastąpi ostateczny rozkład tego społecznego trupa, w którym już życie zagasło. Głównymi działaczami podkopującymi rodzinę są zbytek i nędza, rozpusta i egoizm, próżniactwo i przeciążenie pracą, zwłaszcza niewłaściwą dla płci i wieku, źle urządzone domy podrzutków, nakoniec ciemnota, a za nią idące wślad spodlenie człowieka. Zbytek, ten wróg odwieczny człowieka, targający wszystkie węzły najświętsze, poniewierający wszystkie uczucia sumienia, honoru, obowiązków prawości i cnoty, robiący z związków małżeńskich rodzaj podłéj tandety, zniewalający człowieka kłamać przed Bogiem, ludzkością i samym sobą, prowadzący go do wszystkich występków i zbrodni, — on to najprzód uderza w rodzinę! Zbytek to wydarł z ust niemowlęcia pierś matki, zbytek pozbawił dzieci rodziców i wypchnął je do garderoby lub folwarku—on pierwsze ich chwile otoczył bonami, dalej sprowadzonymi z zamorza mentorami i mentorkami, bo zbytek nauczył rodziców spłacać najświętsze swe obowiązki względem dziecka pieniędzmi; on nareszcie wprowadza tę biedną rodzinę do błyszczącego salonu, na tak ubogą i zużytą już scenę, aby na niej farsę życia ustawicznie odgrywali. I cóż dziwnego, że te biedne istoty, nie znając treści życia, chwytają za formy jego?—nie słysząc nigdy żywego słowa tradycyi i czynu, przywiązują się do martwej litery? Cóż dziwnego, że ich serce nie ogrzane nigdy gorącem tchnieniem matki, szlachetném i dzielném uczuciem ojca, zamarło nazawsze? Coż dziwnego, że w całém ich życiu późniejszém w miejsce czynu i pracy, w miejsce miłości i poświęcenia, widzimy tylko grę namiętności, podobną do konwulsyjnych ruchów trupa, gdy go na metalowej płycie stosu Wolty położą? Cóż oni winni, że im się przyszło urodzić nie w skromnym domku, ale indziej, że zbytek odepchnął od nich własnego ojca i matkę, że u ich kolebki nie stanął anioł stróż z czułém, kochającém sercem? Zbytek, idąc zawsze z góry, szerzy się jak ospa i ogarnia wszystkie stany, wszystkie klassy społeczeństwa, zaraża stan średni i rujnuje rodzinę właśnie tam, gdzieby ona

najsilniej się ugruntować i wpływ swój wywierać mogła, gdzie się znajdują wszystkie pierwiastki, wszystkie warunki jej bytu. Odurza on całe massy tak, że ochotnie za podły szych oddają czyste złoto, za blichtry prawdziwe, możliwe na ziemi szczęście, po które człowiekowi z sercem tylko ręką sięgnąć potrzeba. Na szali chwilowego blasku stawią oni rodzinę, sumienie, honor, uczciwość i zdradę! Serce się krwawi, widząc codziennie tylu ludzi, biegnących owczym pędem ku własnéj zgubie i skaczących ochotnie w tę przepaść, która tylu już uprzednio pochłonąć zdołała. Zgroza słyszeć tyle imion, napiętnowanych hańbą, widzieć tylu nędzarzy materyi i ducha!

Zbytku pierworodną córką jest nędza; a straszny to wyraz! jakże on jest różny od ubóstwa. Ubogim może być każden uczciwy człowiek, zbrodniarz zaś może być tylko nędzarzem! Ubóstwo idzie z wiarą w piersi i miłością w sercu, u niego niema skargi na ustach, jego okola spokój sumienia, dla niego otwarte wszelkie skarby moralnego szczęścia, bo tu istnieje jeszcze rodzina. Tam-to ubogi krzepi swego ducha, krzepi siły i nie upada, nigdy rąk nie opuszcza bezwładnie, nigdy rozpaczą swego położenia nie splami. Ubóstwo nikogo nie poniża, ani żaden związek rodzinny ubogiego się nie zaprze. Dla nędzarza tylko niema już ratunku, jego serce to piekło, jego sumienie to ustawiczny wyrzut, rodzina to jego oskarżyciel, wobec którego on tyle i tak ciężko zawinił; tu już niema środków odrodzenia, bo on sobie sam zamknął uprzednio wszystkie ścieżki wyjścia, nie zdobędzie się nigdy na energję czynu i pracy, bo nie ma zasobów ducha, nie ma tego źródła, z którego tylko można zaczerpnąć siłę i wytrwanie, dla niego nie ma rodziny.

Dotknąłem w pobieżnym poglądzie zbytku i nędzy, zobaczmy teraz co działa rozpusta i egoizm.

Rozpustę i egoizm dla tego stawiam w parze, bo to rodzeni brat i siostra, to nierozdzielna całość, a raczej jedno jest wynikiem drugiego. Egoizm rodzi rozpustę — ztąd każdy rozpustnik musi być egoistą. Egoista każdy myśli, że świat cały jest dla niego tylko stworzony i dla jego wyłącznie korzyści, że on ma prawo wszystkiego używać, wszystko na własny obracać pożytek, wszystkiém się posługiwać, nie czując się za to do żadnych wzajemnych ze swéj strony obowiązków. Taką samą drogą postępuje i rozpustnik. On także chwyta wszystko, co napotka chciwą swą dłonią, co tylko do zaspokojenia jego namiętności

służyć może, nie wybiera żadnych dróg, żadnych środków, u niego każdy środek jest dobry, byle mu zapewnił to, czego pożądał. Nie wstrzyma go żadna zapora, dla niego niema nic świętego, nic godnego poszanowania. Dla chwilowéj rozkoszy, rwie on najświętsze związki, zabija szczęście domowe, rozprasza rodziny, okrada młode serca ze wszytkich uczuć sumienności i cnoty i wpycha je w ciemną otchłań występków i zbrodni. Sumienie i serce u niego na wieki zamarły; chcecie dowodu, patrzcie, wszak on spokojnie może stać i patrzéć na stojącą pod pręgierzem ofiarę swéj rozpusty z zamordowaném jego dzieckiem na ręku! ani jeden nerw jego nie zadrzy, to dla niego nie straszne, on się tylko jednéj rzeczy lęka na świecie t. j. obowjązku — rodziny. I rzecz dziwna zaprawdę, społeczność tak pochopna nie raz dosądów doraźnych, piętnująca hańbą daleko mniejsze występki, karząca wyjęciem ze swego grona mórderców pojedyńczych indywiduów, — z pobłażaniem patrzy na te zbrodnie moralne, na tak wielką skalę codziennie dokonywane, nie wyłącza ich bynajmniej ze swego grona, nie karze opiniją publiczną; owszem dla nich otwarte drzwi wszystkich domów, otwarte wejście w rodzinę. Dziwna, że jeżeli takiemu człowiekowi spekulacya (bo pewno nie uczucie) nakazuje wejść w związki małżeńskie, on łatwo znajdzie ofiarę. Bierze dziewicę, za której niewinność daje zużycie i bezwstyd; na jéj wiarę odpowie egoizmem, na miłość szyderstwem, na poświęcenie samolubstwem, — i na takich to warunkach rodzice oddając swe dziecię gruntują jego szczęście! na takich zasadach tutaj ma powstać świętość rodziny! Próżne łudzenie się tutaj poprawą, bo kto przywykł pić z kałuży życia, tego dotknięcie się do czystego zdroju nie ożywi, nie obmyje, on może tylko ten zdrój zmącić i w nową kałużę zamienić.

Jeżeli próżnowanie, bezczynność, zabijając myśl, energję i działalność człowieka, prowadzą go do moralnego upadku, to bezwątpienia praca, przeciążająca jego siły, praca szczególnie niewłaściwa dla płci i wieku, również obala rodzinę, i do demoralizacyi całych mass pracujących wiele się przyczynia. U nas jeszcze przy obecnym stanie fabryk i rękodzieł, przy wyłącznéj pracy około roli, prócz małych wyjątków wpływ ten nie jest tak widocznym, lecz dla przyszłéj nauki, spójrzyjmy na ten obraz, jaki nam Jul. Simon w swojém dziełku pod tytułem »*Robotnica we Francyi*« przedstawia, spójrzyjmy na ten ogrom zepsucia, na te jaskinie występku i zbrodni, jakiemi stały się we

Francyi wielkie zakłady fabryczne, mianowicie warstaty tkanin jedwabnych, i dla czego??... Wszakże tam starano się zaspokoić wszelkie potrzeby robotnika: ma w zakładzie zdrowe powietrze, regularną zapłatę, nieprzeciążony pracą; ma wzorowe ochrony dla dzieci swoich, ma szpital dla chorych i starości, mają nawet roskoszne domki umyślnie dla nich pobudowane, a przecież pijaństwo, rozpusta i wszystkie występki coraz bardziéj się szerzą i zatrważających dochodzą rozmiarów—i dla czego? jedna na to tylko odpowiedź, tam zabito rodzinę!—Te piękne domki wyglądają jak groby pobielane, bo w nich niema życia, niema rodzinnego ogniska; ich okienka zawsze puste, bo z nich nikt nikogo nie wygląda, nikogo nie oczekuje; w tych wzorowych ochronach, dziecko ma wszystkie potrzeby zaspokojone, pieczołowitość do najwyższego stopnia posunięta, jednéj mu rzeczy tylko niedostaje—matki. Tam wydarto kobietę rodzinie zupełnie, zadano gwałt naturze, zrobiono z niéj dzielną robotnicę, wyuczono władać czółenkiem za warstatem, parową maszyną w przędzalni, czesać wełnę lub jedwab', wyrabiać najdelikatniejsze wzory, zaopatrzono jéj wszelkie potrzeby; zabroniono jéj tylko być żoną, matką, gospodynią, być opiekunką rodziny. Ach! straszny to błąd tych mechaników ludzkości, którzy radziby wszystkich i wszystko przerobić na mechaniczne kółka i falaustery. Wznieśli domy wychowania dla dziecka, zakład fabryczny dla dorosłego, szpital dla chorego i starca, i zdaje się im, że tém zamknęli i zaopatrzyli całą arenę życia człowieka. Oni troszczą się bezustannie o zaspokojenie wszystkich potrzeb człowieka, oprócz potrzeb serca, którego uderzeń nieznają. Oni z drobiazgową skrupulatnością wyliczą, ile potrzeba powietrza dla robotnicy, ile pokarmu, wskażą prawa fizyczne, według jakich należy ustosunkować pracę odpowiednio sile, ale się o to zupełnie nie troszczą, aby z téj robotnicy utworzyć kobiétę, oni niewiedzą, czy nie chcą wiedzieć, że *kobiéta może być silną i wielką—tylko miłością*, a miłość jéj może się silnie i trwale rozwinąć—*tylko w rodzinie*. Lecz inna rzecz zupełnie, gdy na tém samém stanowisku postawimy mężczyznę, — jego bowiem pierwszym obowjązkiem w rodzinie jest nauczać ją przykładem i karmić chlebem swéj pracy. Ojciec familji nie może i nie powinien przepędzać dzień cały wpośród swych dzieci, owszem silniéj daleko podziała przykład, kiedy on wracając wieczorem po 12 lub 15 godzinnej pracy, siądzie spocząć przy domowém ognisku, obok swéj żony, gdy uściśnie

tulącą się do niego dziatwę, wtenczas i on i wszyscy z nim błogosławią pracy, która daje spokój i dobry byt rodzinie. Ściskając namuloną rękę Ojca, syn uczy się już zawczasu pojmować warunki życia i prawdziwe jego pociechy. Lecz i tego samego mężczyznę-wyrobnika oderwijmy od rodziny, oddzielmy go od niéj wielką przestrzenią, a zobaczymy jak długo wytrwa! czy będzie tak szczérze i usilnie pracował; czy długo się oprze pokusom, które jego upadek moralny i fizyczny zgotują. Bardzo niedawno, świeży i naoczny mieliśmy tego przykład na niektórych robotnikach, pracujących przy kolei żelaznéj. Skoro miejscowi, którzy mieli tuż koło siebie rodzinę swoję, pracą podnieśli na długo byt swój i rodziny swojéj; kiedy u nie jednego stanęła skromna, ale własna chata, wkrótce się i w oborze parę krówek znalazło i obraz ozdobił ścianę, i dziatwę do szkoły posyła; tymczasem jednocześnie robotnik przybyły z daleka jakże odmienny przedstawia widok! Większym powraca on biedakiem po ukończeniu roboty niżeli w tenczas, gdy na zarobek przychodził. Jego zapracowane pieniądze zostały w szynkach, resztę zdrowia i moralności utopił w wódce i rozpuście, wraca więc bez zarobku, przynosi nędzę rodzinie i moralne zepsucie. Dom, rola, rodzinna zagroda już dla niego rzeczy obojętne, już one mu nie wystarczą: on instynktownie czuje swój upadek, więc czuje, że nie jest we właściwym swym żywiole, tu go spotyka ustawiczny wyrzut na każdym kroku, rzuca więc chatę, rolę, rodzinę i idzie w świat na włóczęgę, póki w pijaństwie, rozpuście i zbrodni życia swego nie zakończy.

Postawiłem tu dwóch ludzi, dwóch robotników, których praca i zapłata za nię były jednakie, pracowali oni w jednem i tém samém miejscu, czemuż rezultaty ich pracy tak są różne? dlatego, że przy pierwszym stał ustawicznie na straży anioł stróż, stała rodzina z całym zasobem sił moralnych, a drugiemu, niestety, tego wszystkiego zabrakło.

Cóż może być więcéj tchnącego miłością bliźniego, miłością prawdziwie chrześcijańską, jak zakład Dzieciątka Jezus? Lecz czy ta instytucya w saméj rzeczy tyle przynosi korzyści, ileby po niéj oczekiwać należało? czy w miejsce hamulca nie szerzy mimowolnie rozpusty, czy nie oziębia ostatnich uczuć macierzyństwa, czy przysposabia istotnie społeczeństwu pożytecznych członków w swoich wychowańcach? To jest jeszcze wielka zagadka moralna, rozwiązanie któréj byłoby nader ważne, nad czém ludzie myśli i serca popracować by powinni.

Mnie się zdaje, że to zupełne usuwanie matki od troski o

wychowanie swego własnego dziecka, jest wielkim błędem moralnym. Demoralizuje to do ostatka samą matkę, bo ona z macierzyństwa robi sobie nadal ustawiczną spekulacyę, aby ciągle wygodne miejsce mamki zajmować. Wyuzdana rozpusta także nie znajduje tu hamulca, ani też zbrodnia zapory. Bynajmniej nie jestem za obostrzeniem przepisów i form przyjmowania dzieci do zakładu, owszem podług mego widzenia rzeczy zrobiłbym go przystępnym dla wszystkich, pragnąłbym go otoczyć zaufaniem, bo instytucya dobroczynna nie jest sędzią występku, ale ręką pomocy dla upadłych. Nie powinien on usuwać matki od dziecięcia, ani uwalniać ją od wszelkich około niego starań, ale owszem, powinien matkę nauczyć być matką, podać jéj tylko pomoc, opiekę, ale czuwać bacznie nad tém, aby obowiązki matki sama spełniała, aby poświęciła się dla swego dziecka, i około niego i dla niego pracę swoją starannie łożyła. Wtenczasto dopiero zyska moralność matki, zyska moralność dziecka wdwójnasób, skoro go własna matka wykarmi i wychowa. Dziś dziecko porzucone, pozbawione nazawsze matki, rodziny, cóż znajduje w zakładzie? jakie pierwotne jego wychowanie? Oto, oddają go najprzód do mamki zwykle na wieś, tam jeśli dziecko silne i Bóg go wyhoduje, dorosłszy lat czterech zostaje w chacie, z początku niańczy dzieci, dalej pasie trzodę, następnie bydło, nakoniec spełnia wszelkie posługi; jest to ustawiczne popychadło w chacie, najgorzej odziane, bite przez wszystkich, nie kochane przez nikogo, nieznające nigdy pocałunku i pieszczoty matki. O szczęśliwych, a bardzo rzadkich wyjątkach nie wspominam tu wcale.

W takiej szkole łatwo odgadnąć jak się dziecko ukształci, najprzód wyradza się w jego sercu zawiść do swoich rówienników, mających rodziców i od nich lepiej odzianych i karmionych, przez matkę pieszczonych i dozorowanych, powstaje nienawiść do swoich opiekunów, żal do wszystkich, nareszcie chęć zemsty, którą w rozmaitych psotach wyrządzonych objawia; często w nich spotkać można dzikość i okrucieństwo, a którychto uczuć kara za nie otrzymywana bynajmniej niewykorzeni, lecz jeszcze więcej podnieca i utrwala. I takieto dziecko zepsute od pierwszej chwili życia moralnie oddają zakładowi! Jakich potém mamy stamtąd ludzi, codzienne prawie doświadczenie aż nadto dowodnie przekonywa.

A jakże te dzieci byłyby inne, gdyby ich nie pozbawiono matki,

BAJRON SCEPTYK, KOSMOPOLITA
i
ZWIASTUN SOCYALIZMU.

p. W. Koronowicza (Słotta

Takito tytuł nadajemy niniejszemu artykułowi, iż z tego właśni stanowiska zapatruje się na Bajrona Gerwinus, autor znamienity Histo ryi XIX wieku, i blizko tak samo Taine, autor historyi literatury an gielskiéj. Z wielkiego stosu niepoliczonych pism o Bajronie, pogląd tych dwóch pisarzy najbliżéj naszém zdaniem przystępują do prawdy a więc na pilniejszą niż inne zasługują uwagę. Opowiadają oni najpier wiéj dzieje jego dzieciństwa. Było ono nieszczęśliwe, a przyczyna teg miała być wieloraka: gwałtowność charakteru dziecka, jaka była spad kową w jego rodzie, zaniedbane wychowanie moralne, skutek po częś wczesnej, śmierci ojca, i dziki niemal charakter matki, nad wyraz fan tastycznéj, a właściwie złego serca kobiéty. Furja ta (nią bowiem był w istocie) niepomiarkowana w uniesieniach najbliżéj na dziecku doświad czonych, raz je w przystępach macierzyńskiego przywiązania niema dusiła w szalonych uściskach, to znowu raniła szponą gniewu i wzgardy odpychając je, urągając jego kalectwu (chromém było z urodzenia) b jąc niemiłosiernie. Dziecie czuło obelgę, wrzało w duszy, ale dzieci bretońskie niewybuchało, niewywzajemniało się złością, zawierało w se bie cały ten wrzątek, ztąd raz do tego przyszło, że nóż, którym si przebić chciało, musiano mu z ręki wydrzeć. Łacno zrozumiéć, do ja kiego stopnia tak dotkliwa krzywda mogła podziałać na ducha na wyraz namiętnego przyszłego, właściwie lirycznego, bo *egotycznego* poety ile boleści, ile jęku, ile pogardy, szyderstwa, gniewu i nienawiści wła musiała w struny jego *bardonu*. Miał on też rychło a bez miary zap

łać témito przedewszystkiém uczuciami, między którémi osobliwie jako ich przyrodzony a zatruty owoc, zapanowała pieśń buntu i pychy, jakiéj równéj trzeba chyba szukać u szatana w podaniu biblijném lub w *Raju utraconym* Miltona, gdzie mu wielki poeta naznaczył czoło blizną od pioruna. Była w tym bardonie i struna miłości, skoro żadne z gwałtowniejszych uczuć temu namiętnemu sercu obcém być nie mogło; lecz i ta na chwilę tylko anielsko-czysta, rychło z tkliwéj szyderska, wyszydzała wiążące ją względy ludzkie, radaby je widziała pozrywane w jakimś nowym ustroju społeczeńskim. Miałeś tam i strunę chwały, i duch ten olbrzym, gniazdo wszelkich porówno dobrych jak złych namiętności, niemógł nie pałać żądzą wielkich czynów, a to do tego stopnia, iż sobie potrafił wmówić, jako natura nie poetą, ale bohatérem mieć go chciała, że jeżeli wieszczbił, to tylko z braku sposobności stania się wielkim w czynnym zawodzie. Roznamiętniała go zatém sława dziejowa stazożytności, osobliwie greckiéj, a w czasie obecnym zachwycał się wielkością Napoleona, na przekorę swojéj ojczyźnie Anglji, iż to był wróg jéj nie przejednany i możebny zabójca. Tu więc i ówdzie sławił przynajmniéj pieśnią to, czego sam czynem spełnić nie mógł.

Po przesłuchaniu nauk w szkołach Harrow i Kambridż, otwierała się przed nim szkoła świata; w niéj najpierwsza w młodych latach szkoła miłostek. Dojrzał on w niéj prędko, ile że się do tego kunsztu zawczasu sposobił. Mając ledwie lat ośm, kochał już (jak Dante swojego czasu powiada Taine) miłością szaloną Marję Duff, a w dwunastu leciech swoją krewnę Miss Parker. Pisząc o tém w siedemnaście lat potém wyznawał, że iście był z niego wtedy warjat, dodając, że niestety i teraz nie był rozsądniejszym. Co znowu Tainowi nastręcza uwagę, że tym rozsądniejszym nigdy nie był. Rzeczywiście był to dopiéro początek rzeczy: wysączał on aż do dna czarę roskoszy, aż się nią w końcu przesycił. Ucierpiało od tego dobre jego imie u ziomków, surowych (przynajmniej na oko) czcicieli przystojności i obyczajów, ucierpiało i mienie tak że je trzeba było ocalać zwykłym w tych nieszczęśliwościach sposobem, to jest wymianą fantu świetnego imienia za rękę bogatéj dziedziczki. Toż się i ożenił; niestety nieszczęśliwie! Żona jego, strojna we wszystkie, tyle sławione, cnoty niewiast angielskich, cnoty może prawdziwe, ale dla Bajrona sztywne i nudne, nie była mu po sercu i myśli. Nie pozaniechał nałogów wesołego nad miarę życia, dołączył do nich

zwykłe mu dziwactwa, uczynił i żonę nieszczęśliwą, że niemogąc znieść dłużéj tak niesłodkiego jarzma za radą oburzonych takiém postępowaniem krewnych i przyjaciół, w końcu się z nim rozwiodła. A że to już były czasy zarania jego sławy literackiéj i pamiętnego zatargu z wydawcami »Edymburgskiego przeglądu«, przyłączył się więc do tych domowych nieprzyjaciół Bajrona cały szereg współ-literatów zawistnych jego sławie, tém zawistniejszych, że to była sława nowatora. Zakrzyczała za nimi w niebogłosy i opinija publiczna. Młody wieszcz stał się rychło zaprzańcem swego społeczeństwa, czego znowu skutkiem z jego strony było wywzajemnienie się mu równąż wzgardą i poniewieraniem wszystkiego; co w niém było i złém i dobrém. W dalszym poetycznym zawodzie na złe gwałtownie powstał, dobre z goryczą sceptyka pomówił o nieprawdę. Cała słowem jego wielka ojczyzna, ze swoją religijnością i instytucyami stała się w jego oczach tylko pobielanym grobem Faryzeuszów. I w tém to właśnie Gerwinus wskazuje, przyczynę, jeżeli nie jawnych socyalistowskich dążeń to przynajmniej instynktów.

Czegoś podobnego przykład mieliśmy nie tak dawno w krajowéj literaturze i społeczeństwie, lubo i w sposobie i dążeniach wbrew tamtemu przeciwnych. Na mniejszy też wymiar, bo nie europejski, ale tylko miejscowy.

Mówimy o Rzewuskim. Prześladowany niemiał mównicy, z któréj łacniéjby mu było w żywém słowie stanąć w obronie swoich już prawdziwych, już nieprawdziwych idei, pozostało wszakże pióro i kałamarz, a w nim znamienity talent zażywania téj broni. Jakoż chwycił za nią niezwłocząc, zachęcony powiadają od Mickiewicza, z którym zabrał znajomość w Rzymie, i jemu się spodobał rozlicznością swego umysłowego zasobu. Uderzały w nim przedewszystkiém wieszcze zrozumienia narodowéj li przeszłości w jéj stronie obyczajowej i religijnej, obok gruntownych pojęć o kunszcie poezyi i belletrystyce w ogólności. Owocem téj chwalebnéj zachęty był świetny przyczynek chwały nowéj krajowej literatury, zdobnéj już natenczas laurem poetycznym dwóch szkół, Litewskiéj i Ukraińskiéj. Miał on zwłaszcza dla Rzewuskiego podwójną korzyść: otworzył przed nim wrota sławy; zwyciężył literacką połowę jego nieprzyjaciół. Znamienita wartość piérwszego jego arcytworu była powszechnie uznaną.

Trafia się niekiedy, że tryumf bywa początkiem zgody między

spierającémi się strony. Lecz żeby to być mogło, potrzeba wielkiéj u tryumfatora względności i wyrozumiałéj uwagi na powody i okoliczności sporowi towarzyszące. Na nieszczęście u naszego pisarza tak nie było. Uznanie nieukoiło bynajmniéj podrażnionéj w nim miłości własnéj i dumy; a co najbardziéj pozostawała mu do przewiedzenia druga połowa sprawy, od pierwszéj ważniejsza i drażliwsza, to jest narzucenie swojemu społeczeństwu wyobrażeń sprzecznych z jego przekonaniem, odpychanych przezeń z odrazą. W drugiém więc tém zadaniu z odpierającego stał się już napastnikiem, z pokrzywdzonego krzywdzicielem. Wartości i zasługi, jakich zrazu jemu chciano zaprzeczyć, on najniesłuszniéj wielu zasłużonym zaprzeczył. To, co było w sumieniu powszechném za złe poczytane, bronił i stawił jako dobre, co za dobre, kusił się oszkalować jako najgorsze. »Kładł sobie (jak to o nim wyrzekł Julian Bartoszewicz) dobrowolnie bilma na oczy«. Wiele na tak niedobrém zażywaniu darów genialnéj myśli straciła literatura krajowa, więcéj on sam. Tyle w tym zbuntowanym umyśle mogło pierwotne rozdraźnienie, tyle obok tego przyrodzona jego rozumowi sprzeczliwość, zaostrzona złośliwym dowcipem. Przykrości, jakie gminny złośliwiec lubi wyrządzać w ciasném swojém kółku, on sobie upodobał wyrządzać narodowi, z dachów opowiadając zdanie boleśnie go raniące, a niemające po sobie prawdy.

Cośmy dopiéro powiedzieli o Rzewuskim, podnieśmy do wysokości sławy Bajrona na dwa światy rozgłośnéj. Są tu wprawdzie wielkie różnice, lecz też są i podobieństwa. Obaj byli srodze obrażeni, oba nie chcieli darować swojej urazy i oba mścili się niemniej srodze, każdy na swojém społeczeństwie. Ale zemsta Bajrona, co należy przypisać większej powszechności literatury angielskiej, rychło przybrała rozciągłość kosmopolityczną; z albijońskiego wieszcza wyrósł apostoł gniewu na wszystko, co dawne w wierze, w obyczajach, w polityce, w całym w ogóle ustroju społeczeństw ludzkich. Bo, jak trafnie uważa Gerwinus, powszechny ten jego sceptycyzm, zbrojny czarami pieśni bunt rozbrzmiewającéj, uderzywszy w dzwón, nagromadzony skład podobnegoż sceptycyzmu po całym świecie nurtującego, ocknął i wywołał podobneż niezadowolenie z istniejącego porządku rzeczy, i prosto ztąd idącą rozliczność teoryi dzisiejszego socyalizmu. Jedném słowem, za Bajronem w ślad poszli, St. Simon, Fourier, Owen i inni, aż w końcu stanął na ich czele najmocniejszy w zastępie Prudhon.

To zgotował dla Europy poetyczny genjusz Bajrona, to się dało jasno wyczytać oku krytyki angielskiéj, ze drzeniem gniewu i przestrachu poniekąd wpatrującéj się w każdy jego utwor; to zapowiadał *Korsarz*, *Lara*, *Giaur*, *Narzeczona z Abydos*, *Czald-Harold*, *Kain*, *Manfred*, to wreszcie skupiający wszystek ten bunt w sobie *Donżuan*. Tu byłby właściwym szczegółowy rozbiór tych poematów, ale nie mając pod ręką dzieł Bajrona, zrobić tego nie możemy. Więc tylko pokrótce:

Najwybitniejszą cechą jego genjuszu poetycznego jest osobistość (egotyczność). *Konrad*, *Lara*, *Kain* i *Manfred* (zauważała to powszechna krytyka) to iście fotografje samego Bajrona, występującego tam ze wszystkiemi wadami i zaletami. Do tego stopnia, że w ponuro i czarno malowanych jego bohatérach rada widziała publiczność obraz autora, i rada mu przyznawała takiż ponury charakter, takąż czarną duszę. Żywiła ze swojej strony to upodobanie stawiania rzeczywistości w miejsce ideałów, oszczercza krytyka. Niebył od niéj całkiem wolen taki nawet sędzia, jak Walterskot, jak to znać z zacytowanych jego o tém słów u Taina: »*Czald-Harold*, mówił, to wielkiéj piękności poema, ale nie dobrze sławi moralność i serce autora. Występek powinienby być skromniejszym«. Lecz co dziwniejsza, Bajron ostrzelany z tego rodzaju potwarzą, nienadto się na nią zżymał; w niéj owszem sobie podobał i nią się bawił »No, mówił, ludzie niezawsze zgadną całą prawdę, zgadną wszakże niekiedy jej odrobinę. Może i ta odrobina jest kłamem, ale ja nielubię kłamu podobnego do prawdy«. Sam, jednem słowem, dopomagał tym gawiedzim gawędom i niémi się cieszył. Wielka to była nieostrożność i dziwactwo, ale dziwactwo i nieostrożność niejednego z wielkich ludzi. Między przyczynami budzącémi ich do nadzwyczajnych pomysłów i czynów, obok wzniosłych są i bardzo poziome. Prosta, naprzykład, chęć zajęcia sobą uwagi bodajby gminu, co nam przypomina Wielkiego Fryderyka pruskiego. Ktoż nie wie, że nie sama ochota i potrzeba zaborów była u niego pobudką napadu na Szląsk Austryacki; wyznał on drugą w swoich pamiętnikach ze zwykłym sobie cynizmem: »Chciałem mówi, żeby téz i o mnie cokolwiek pogądano«. A stało się zadość potém i do zbytku temu życzeniu. Bywa wprawdzie, że wielkie dusze są wolne od chuci tego gatunku chwały, ale to rzadkość w dziejach. To się trafia tam tylko, gdzie i genjusz i serce są równie wielkie. Otoż nie całkiem tak było u Bajrona. Luboć i to pewna, że przerze-

skach samej Europy, ale świata, bodaj z krzywdą innych, naród, mówię, angielski niechciał być kosmopolitą, niechciał dać wsączyć w swe jestestwo tego, co dla niego za śmiertelny jad poczytywał. A gdy tym wsączającym było jego własne dziécię, cóż dziwnego, że wyrzucił ze swego łona kąsającą go żmiję, że wieszczowi, zkądinąd tyle mu zaszczytu przynoszącemu, nawet po jego śmierci nie przebaczył, kości jego w groby Westminsterskie wnieść nie dał. Co mu się jednak tém słuszniéj należało, że zmarł na ziemi greckiéj, jako bojownik jéj niepodległości, w nowym dla siebie zawodzie czynu, do którego przez cały swój wiek wzdychał, a którego dostało mu się dotknąć ledwie u kresu życia. Pięknyto był atoli zadatek tego rodzaju chwały. Rzecz dziwna, z genjalnego marzyciela, może nawet utopisty, wyrósł odrazu urządzony w swéj gwałtownéj naturze umysł rozumnie liberalnego, a być może w przyszłości wielkiego męża stanu. Takto kiedy na kogo Bóg łaskaw, to go udaruje z pełnéj garści.

Co się zaś tycze jego religijności, czyżby i ta potém naprawić się w nim dała? Tak o nim tuszył Mickiewicz. My tak tuszyć nieśmiemy. Stała temu na zawadzie jedna, ale trudna do przełamania przeszkoda. Mickiewicz, wieszcz ducha, mniemał w swoim wielkim, poniekąd nadmiernym zachwycie dla Bajrona, że i on niecałkiem nieduchowy duchowym zostać może. Mierzył go, jak się mówi, własną miarą, własną gotowością poświęcenia sławy z misterstwa poetycznego słowa, tam gdzie to misterstwo współ-obywateli, współ-ludzi zepsućby mogło. Lecz czyby tak mieć się mogło u Bajrona? Wiém to z korrespondencyi, jaką mię zaszczyca przyjaciel Adama, A. E. Odyniec, że on niewahał się spalić swego poematu (pono w formie dramatu stworzonego) pod tytułem *Ziska*, który był napisał w Pradze Czeskiéj, w czasie swojego tam pobytu w roku 1830, iż ten utwór mógł czemści, zadrasnąć religijne wierzenia naszych ojców. Czyby tak sobie mógł postąpić Bajron? bardzo wątpię. Czyby tém bardziéj gotów był zamienić swój potężny bardon buntu na arfę Dawida, kiedy niemógł niewiedziéć że na niéj jak tamten nie zagra, że przeciwnie bunt miał być laurem jego chwały? o tém wątpię jeszcze więcéj. Czém komu być się trafiło, tego się zwykle trzyma. Naszym wieszczom padły w podziale wiara i miłość, jeżeli mają zostać narodowymi; obcy im kierunek wbrew przeciwny. Kunszt naszych nie będzie przeto, jako i nie jest, mniéj pięknym, a śmiało

to [illegible], będzie poczciwszym. Mamy już wprawdzie u siebie jakiś zadatek (i święty) owego zachodniego [illegible], lecz to [illegible] nie dla naszej ziemi, z jego plemię nie dla nas chleb!

Dnia 29 marca 1871 roku
w Boruszkowcach.

KRÓTKIE STUDJA

nad poetą niemieckim

HENRYKIEM HEINE.

p. T. Maryńskiego.

Kończył się wiek ośmnasty. Gilotyna, pożarłszy kolejno wszystkich koryfeuszów rewolucyi francuzkiéj, gdy zdawało się pożrzeć jéj zasadniczą ideję, sama umarła z głodu, bo umiarkowanie, zająwszy miejsce terroryzmu, odmówiło jéj dalszych ofiar.

Reakcya, przeszedłszy rozmaite kształty, uosobniła się w pierwszym konsulu rzeczypospolitéj, aby wkrótce do wawrzynowych liści, które czoło jego zdobiły, przydać złotą Cezarów koronę. Genjalny zdobywca korsykański, dobrze świadom zalotnéj ruchliwości francuzkiego narodu, pragnąc umysłom i sercom nadać kierunek zgodniejszy ze swymi widokami, wyczerpał żądzę społecznych i obywatelskich swobód, zaszczepił żądzę sławy wojennéj. Świetne egipskie, a świetniejsze jeszcze włoskie wyprawy, dały naśladowcom republikańskich rzymian gorąco umiłować drugą jeszcze rolę, jaką w dziejach odegrali Rzymianie — rolę zdobywców świata. Kończył się wiek ośmnasty; cesarstwo rzymsko-niemieckie, pomimo rozumnéj swéj monarchji i silnych sojuszów, traciło już urok w obliczu świata. Prussy, potężnie pod względem politycznym wzmocnione, jeżeli nie realnie, to moralnie zdawały się wywalczać na Habsburgach palmę przodkowania niemieckiéj rzeszy. Ale tymczasem, wespół z Cesarstwem stanowiące dwa silne państwa, dawały rękojmię dalszego bytu pomniejszym królewskim i książęcym tronom niemieckim. Gdyby nie niepokój, wiejący od Sekwany, wszystko zdawało się roko-

wać błogosławiony *status quo* w staréj Germanji. Ale rzeczywiście tak nie było; marzący, a zarazem racyonalny naród niemiecki. przed dwoma i pół z górą wiekami, już dowiódł światu tego. że nielubi ścieśnień moralnych. Co niegdyś Luter ogniście. głośno i zrozumiale wypowiedział w rzeczach sumienia, to w końcu ośmnastego i w początkach dziewiętnastego stulecia Kant i Fichte wypowiadali w dziedzinie myśli z katedr uniwersyteckich, w ognistym filozoficznym języku. Zimny arcymistrz Goethe. a potém wulkaniczny Sziller. rozszerzając ścieżki swych poprzedników, zerwali w literaturze z klasycyzmem. Romantyczna ich poezya, będąc przedewszystkiém poezyą narodową, nie została bez silnego oddziaływania na naród, w którym zresztą tkwiły, lubo nie dosyć ściśle, określone zasady Rousseau'a i pierwszéj rewolucyi francuzkiéj. Zaborcze plany Napoleona i jego najście na Niemcy, zwróciwszy wprawdzie gdzieindziéj kierunek serc i umysłów, zespoliły Germanów ku powszechnéj obronie, ale zasady, któremi raz się przejęto, nie opuściły niemców. Szelling a później Hegel, na innem polu wykładali te myśli młodemu pokoleniowi, bo stara generacya wyższych umysłów zeszła do grobu, nie wypowiedziawszy wyraźnie swego wyznania wiary.

Kończył się wiek ośmnasty, a szczególnym zbiegiem okoliczności w jednymże dniu ze swoim wiekiem urodził się jego najwybitniejszy wyraziciel, Henryk Hejne, d. 1-go Stycznia 1800 r. w Dusseldorfie. Ojcem jego był kupiec, Samson Hejne, Izraelita, matką Teressa Feldern, chrześcijanka, gdyż w Niemczech podobnego rodzaju małżeństwa są dozwolone. Przeznaczony do stanu kupieckiego, zaledwie ukończył szkoły w Dusseldorfie, posłany został do Hamburga, gdzie stryj jego Salomon Hejne miał swój kantor bankierski. Ale przyszły poeta wkrótce obrzydziwszy sobie rachunkowe prace, prosił stryja, aby go posłał do Uniwersytetu na naukę prawa. Nie sprzeciwiał się rozsądny Salomon Hejne wyższemu popędowi do nauk młodego synowca, przewidując może, iż rozwijający się dowcip młodzieńca zjedna mu znakomitą sławę, w obranym przez niego zawodzie. Przez kilka lat słuchał młody Henryk Hejne lekcyi prawa w Berlinie, Bonn i Getyndze; ale z jednéj strony grubijański pedantyzm professorów, z drugiéj niemoralność studentów zraziły go do życia uniwersyteckiego. W 1825 r. otrzymał Hejne stopień akademicki doktora obojga praw i tegoż roku, d. 28 czerwca, przyjął wiarę chrześcijańską. Następnie podróżował po Włoszech i An-

czone zrównoważenie obojga wyraziło się u niego później w czynie, kiedy stanął jako walecznik w sprawie niepodległości greków. Dopokąd śpiewał i pisał, było o wiele inaczéj; pióro jego miało dzielność i siłę Achyllesowéj włóczni, ale nie miało własności gojenia ran przez siebie zadanych. Najtrudniejszą zaś do zabliźnienia była i jest dotąd ta. którą zadał własnéj nawet ojczyznie wywołaniem socyalizmu. Goi ją ona jak może, lecz czy zagoi, wielkie pytanie.

Drugą cechą, już czysto pisarską bajronowskiéj pieśni, jest wielka czystość i poprawność dykcyi. Taine to poczytuje za skutek klassycznego talentu, i tak ten talent nazywa; coby było prawdą, gdyby typ klassyczny obok doskonałości stylu mieścił się u niego w stworzonych postaciach, w malowanych obrazach. Ale tak wcale nie jest: sąto utwory poezyi tak zwanéj romantycznéj w całéj swojéj ochocie i swobodzie. Co najwięcéj, możnaby w téj mierze powiedzieć o Bajronie toż samo, co o Mickiewiczu i wzbudzonych przezeń u nas poetach: że, obok czarującéj barwy i mocy wyrażenia, jest u nich rzadka poprawność smaku i języka, tudzież rzadkie przejęcie się, że powiém nasięknięcie jego rodzinnym duchem. Wielki ten przymiot całkiem niemal już był zaginął u naszych Stanisławowskich pisarzy; u Zygmuntowskich dopiéro szukać go potrzeba. Lecz nie sam wdzięk i urok pienia porywa czytelnika Bajronowskich poematów. Gwałt ten staje się i w jego myśleniu. Bronić się on musi czarodziejowi, żeby nie zwątpić o wierze, żeby z nim nie przestać kochać, co się tak długo i wiernie kochało. Sprawdzają to osobliwie jego: *Manfred* i *Donżuan*.

Manfred, zdaniem Taina, dorównywający wielkości *Fausta* Getego, jest, jak się dopiéro rzekło, odbiciem (gdyby tak można powiedzieć) religijnych wierzeń Bajrona, lub, jeżeli się to niepodoba, osobnego gatuntu religijnego sceptycyzmu. I tu znowu mi przychodzi żałować, że niémam pod ręką rzeczy saméj, co mię przymusza do zawarcia w ogólnik myśli, wymagającéj zupełniejszego rozwoju w szczegółach zacytowaniem objaśnionych. Zrobię jednak, co można. Wielka zaiste zachodzi różnica między sceptycyzmem *Fausta*, a sceptycyzmem *Manfreda*. Myślą *Fausta* (Taine ją gruntownie objaśnia) jest wyśledzenie pod obsłonkami cudowności legendy chrześcijańskiéj niezmiennych praw kreacyi. Króciéj i jaśniéj: zdarcie poetycznego ustroju symbolu z idei w nim utajonéj.

To jest, podstawienie zimnéj metafizyki w miejsce pałającéj miłością wiary w rzeczywistą prawdę tym symbolem spowitą. *Faust* tedy jest panteistą i kończy właściwie na zupełném zaprzeczeniu osobowości Bóstwa. Łatwa stąd wysnówka wszelkich możebnych następstw takiego filozoficznego systematu: gdyby się on kiedy z mniemania niewielu jednostek miał stać przekonaniem całych zbiorów społeczeńskich, snadnoby z nich zrobił bagno wszelkiego gatunku zepsucia, a następnie zagubę wszelkiéj, bez wyjątku, cywilizacyi. Przeciwnie *Manfred* niezaprzecza bytu osobowego Bóstwa, wierzy owszem w nie razem z biblijnym Szatanem, lecz téż, jak on, na szczycie dzieła Stwórcy, w myśli ludzkiéj wywiesza chorągiew niezadowolenia z tego, czém jest, i urazy, że nie jest inaczéj i lepiéj, tak w człowieku, jak we wszechświecie. Niemoże w nim niewidzieć dowodów wolnéj woli i wszechmocy; lecz wola ta i wszechmoc nie wywołują w niego czci i miłości; wywołują przeciwnie urąganie i przekleństwo. W takiéj rzeczywiście myśli pojął Bajron swego *Manfreda*. Tak mało go zadowalnia porządek rzeczy stworzonych, tak dalece niewidzi w ich porodzie skutku miłości, zamiaru uszczęśliwienia, a tylko igraszkę niezmiernéj siły myśli i zdolności jéj przeobrażenia w bezgraniczny ogrom stworzenia, w bezliczebność zaludniających je tworów. Wierzy on w swoją nieśmiertelność; lecz i od niéj niewygląda szczęśliwszéj doli. Czego ostatecznym w *Manfredzie* wyrażem jest, po raz drugi usłyszany od czasu twórczego *fiat*, chychot i zgrzyt rozpaczy, tą razą z ludzkiego ducha dobywający się. Co do skutków moralnych takiego poglądu na Stwórcę i stworzenie; te mogłyby, gdyby się kiedy stały karmią ogółu, być tak samo srogie i zgubne, jak faustowskie; byłyby to skutki praktycznego ateizmu. Czyto bowiem zaprzeczamy bytowi Stwórcy, czy też obyczajem panteistów czynimy go jakimś oślepionym Samsonem, niemogącym się wyplątać z więzów, któremi sam się skrępował, czyli też, jak dopiéro w *Manfredzie*, ujrzémy tylko Stwórcę, ale nie Ojca stworzenia, zawsze stanie na tém, że te trzy filozofje zabiją wszelką wiarę; bo zawrą wrota przed modlitwą, wrażając logiczne przeświadczenie, jako ona nie mogąc być wysłuchaną, wysłuchaną też nie będzie.

Otoż mamy dwa rodzaje sceptycyzmu; nazwijmy je niemieckim i angielskim. Znajomy światu i francuzki, dziś w pozytywizm przystrojony. Mamy może i nasz własny, niby modyfikacyę tamtych; na jego poczy-

czne uosobienie wiełeby się przydał nasz podaniowy typ filozofizmu, mistrz Twardowski. Dowiadujemy się z korrespondencyi A. E. Odyńca, niedawno ogłoszonéj w »Kronice rodzinnéj«, jako w czasie jego pobytu w Wejmarze i odwiędzenia tam Getego razem z Mickiewiczem, objawił się był ten typ na chwilę z całém swojém bogactwem genjuszowi Adama. Rozgadał się o nim, rzucił w rozmowie potężny, niezmiernie oryginalny, czysto i prosto z ducha narodowego umysłu wydobyty filozoficzny charakter Twardowskiego, tak, że przychodzi żałować, iż potém zaniechał (niewiedzieć dla czego) wcielenia téj idei w swoje czarujące słowo. Powstałoby pewnie ztąd poema, nieustępujące w mocy i mistérstwie *Faustowi*. Szkoda, powtarzamy, wielka szkoda!

Ile zaś można zbadać z téj rozmowy dwóch wieszczów, co i jakby to było, mniemamy, żeby to nie był *Faust*, który kończy na zaprzeczeniu, ani też *Manfred*, uznający, ale buntujący się przeciw wielkiemu uznanemu, lecz rzetelny obraz naszego miejscowego filozofizmu, jaki do nas zawitał i nieco zapanował z końcem ośmnastego, w początku dziewiętnastego wieku. Naród zwątpił razem z innymi, ale tyle w nim było pewnéj czci dla przeszłości, tyle jeszcze ciepła w sercu, wdzięczności za bogate wiano krzyża, że wszystko to razem nie dało mu zaprzeczyć, powściągnęło od buntu. Anioł stróż jego, rzecby można, stanął przed nim u rozstaju dróg wiary i niewiary i na nim go zatrzymał. Którą z nich pójdzie lub już poszedł, to nie może być przedmiotem niniejszéj mojéj rzeczy. Trzebaby na to już spełnionego faktu duchowéj światłości, lub duchowéj nocy, a u nas dotąd niema ani jednéj, ani drugiéj.

Lecz idźmy daléj za Bajronem: jeszcze bowiem coś niecoś o nim powiedzieć pozostaje, jako o zwiastunie socyalizmu, w co się właśnie u niego głęboko upatrzył, ile nam wiadomo, pierwszy Gerwinus. Stało się to u niego (tak mniemam) poniekąd bez myśli i woli, a tylko z przyrodzonego mu ducha sprzeczliwości i przekory, tudzież z namiętnego rozeźlenia się na więzy obyczajów i instytucyj angielskich, w które ten naród sam ujęty nie chciał ścierpieć, by jeden z jego synów, a oraz syn jego chwały, miał je zuchwale zrywać. Pozrywał on je jednakże ze szkodą własną, skoro się musiał chronić w obce ziemie przed bijącą nań zapamiętale opinją publiczną, ze szkodą też swego narodu, gdy tém rozgniewany mocniéj, niż kiedy bądź, zadzwonił w struny bardonu, mające teraz zionąć sarkazmem na ogniska rodzin, by je zagasić, na oby-

czaje i instytucye, by je zburzyć. Może, powtarzam, bez myśli i woli, ale niestety ze skutkiem, z którego prawdziwi rodziciele socyalizmu umieli z myślą i wolą skorzystać.

W takiémto źródle (jak widzim, dosyć mętném) począł się, najrodzimszy twór tego wielkiego genjuszu, *Donżuan*. Bo czegoż tam niéma? wszystkie w zaczątku dzisiejsze socyalistów pomysły. Religji przyznano tam szalbierstwo i hypokryzję, także hypokryzję obyczajom ukrywającym pod maszkarą białéj jak śniég uczciwości, gad nieprawości i zepsucia; zrobiono w końcu wezwanie najtkliwszego w piersi ludzkiéj uczucia, do rozkucia się z kajdan obyczajowości, napiętnowanéj nazwą przesądu, do przeobrażenia się w rozswawoloną chuć, którą talent mistrza potrafił ubrać w taki urok, a tak ją uprawnić w imieniu wolności, wszędzie niby, zawsze i we wszystkiém zawładnąć powinnéj, że gdy to potém czytano i rozczytywano, wielu dziwiło się, czemu tak dotąd nie jest, a znaleźli się tacy, którzy serjo postanowili starać się, żeby tak było.

Snadno teraz pojąć, jak wszystkie w ogóle poezje Bajrona, a przed innémi ten *Donżuan*, w jego sztywnéj ojczyźnie zostały powitane; jaki ztąd powstał u jednych gniew, u drugich lament w purytańskim Izraelu. Zrozumiało duchowieństwo, zrozumieli statyści angielscy, ostrzeżeni praktyczniejszym niż gdzieindziéj zmysłem politycznym, że to pocisk prosto padający w ich arystokratyczne prawodawstwo i takiż temu odpowiedni ustrój społeczeński, i że stara Anglja, a tak wielka w tym czasie, od niego poledz może. Zrozumiał nawzajem jéj wielki wieszcz, i poniekąd rozradował się w duchu, że już domierzył na niéj swego odwetu; bo jeżeli jeszcze nie obalił, to przynajmniéj porobił wielkie wyłomy w ich politycznéj i społecznéj budowie, powiedziałbyś twierdzy, o któréj zdobycie nikt się dotąd kusić nie ważył.... Stał bowiem na jéj szańcach cały natenczas naród do jéj obrony gotowy; a bronią jego był samolubny patryotyzm, nieznośny dla innych narodów z Anglją stosunek mających, ale dla niéj niezmiernie korzystny. Pierwszy Bajron rzucił w jej łono *słowo* kosmopolityzmu, to jest, miłość kraju w pojednaniu (Bóg zapłać Bajronowi!) z miłością ludzkości. Otoż naród angielski ze swoim przebujałym przemysłem, z przygniatającym go budżetem, a osobliwie z przeciążającym go długiem publicznym, czemu wszystkiemu żeby podołać, potrzebował panować nie już na brzegowi-

gjji, potém kolejno mieszkał w Berlinie, Monachium i Hamburgu; nakoniec od wypadków 1830 r. zamieszkał stale w Paryżu. Będąc jeszcze studentem, Hejne wydał w 1822 r., tomik swéj poezyi (*Gedichte*). lecz ani ten zbiorek, ani wydane w następnym zaraz roku dwie tragedje: *Almanzor i Radklif*, nie zwróciły nań uwagi niemieckiéj publiczności. Dopiéro wydane w 1826 r. cztéry tomy *Obrazów podróży* i w 1827 r. *Księga pieśni* (Buch der Lieder); skierowawszy na niego powszechną uwagę, postawiły go na czele, tak zwanéj, młodéj Germanji. Potém, cośmy powiedzieli wyżéj o wpływie francuzkich rewolucyjnych wyobrażeń na umysły w Niemczech, spodziewaćby się należało, że literatura w XIX wieku przyjmie jakiś gwałtowny i radykalny kierunek; tymczasem stało się inaczéj. Olbrzymia, tajemnicza, a tak niespodzianie zakończona bohatérska Epopea Napoleonowskich czynów oręża i polityki, potém konieczna, ale niezadowalająca reakcya i powrót starego porządku rzeczy, wprawiły umysły w stan odczarowania, zwątpienia, cynicznego szyderstwa, gorączkowych bezsilnych, choć często genjalnych, bluźnierstw. Piérwszy Europejski poeta Bajron i piérwszy poeta młodéj Germanji Hejne byli wyrazami stanu umysłów w piérwszéj połowie naszego stólecia. Mniéj lub więcéj szczęśliwi naśladowcy ciągnęli za wodzami gęstą falangą, grożąc literaturze niebezpiecznym kierunkiem. Z wyjątkiem niewielkiéj liczby poetów, zimnych artystów, jak Valter-Skot lub Goethe, którzy, nieprzystępni przemijającym dziennym zadaniom swojéj społeczności, mogli się zdobyć na uprawianie *sztuki dla saméj-li sztuki*, reszta piszących silnie nacechowana była wyłączną jakąś tendencyą. Tylko pytam: jaka może być tendencya tam, gdzie jedni wierzyli w możność urzeczywistnienia jakichś nadziemskich ideałów, drudzy w nie wcale niewierzyli? Na czele tych ostatnich był Hejne. Prawo do przodkowania dawały mu niepospolite talenta, a przedewszystkiém ów dowcip negacyjny, ostry jak miecz, słodki jak trucizna.

Talent jego pisarski składał się z tak różnorodnych pierwiastków, że krytycy niewiedzieli, jak *orzec* poezyę i poetę. Jedni mówili, że Hejne jest poetą nawet w polityce; nam się to niezdaje, owszem politykiem wyzwolonym, nawet w poezyi, nazwaćby go należało. Drudzy uczcili go mianem Woltera swojéj epoki; ale i ta nazwa niemoże się utrzymać, skoro zważymy, że Wolter był tylko genjalnym szydercą; Hejne zaś ma w piersi wiele głębokiego uczucia, z którego gdy sam

szydzi, niesłychanie boleśne sprawia na czytelniku wrażenie. Wolter i Hejne burzą wszystko: sentymentalną miłość, szały młodości, patryotyzm, zapał, filozofję, religję nawet; oba dla dowcipu poświęcić wszystko gotowi, ale gdy Wolter burzy ze śmiechem tylko dla satanicznéj przyjemności burzenia, Hejne robi młotem, śmiejąc się przez łzy, a w śmiechu jego odbija się wyraźnie jęk cierpienia. Wolter patrzy na świat przez żółte szkła nienawiści, Hejne bierze do oczu czarne szkła smutku. Inni nakoniec krytycy nazywają Hejnego poprostu satyrykiem, lecz zdaniem naszém jestto wyraz słaby; satyra, jak ją pojmowali starożytni, a za nimi nowsi pisarze, gromi wady wieku i złe obyczaje pojedynczych jednostek; Hejne idzie daléj, bo idzie w głąb ludzkiego serca, patrzy na nie w chwili najbardziéj tajemniczéj, słucha jego bicia i śmiechem parska. Dowcip, jak nieubłagany wicher, pędzi jego nawę niepowstrzymanym pędem, może na jaką podwodną skałę, ale znać to, że łódź idzie niechętnie, że się opiera, a to szamotanie się z wichrem, stanowi właśnie cały urok poezyi Hejnego i to serdeczne, jakie mamy dla niego, współczucie. Żal nam zaprawdę duszy wielkiéj, ale dla braku wiary oschłéj tak dalece, że nawet naturę, którą ukochał, podejrzéwa o nieszczerość. Oto w jednéj ze swych poezyj p. t. *Upadek*, tak wyraża ten opłakany nastrój swéj duszy:

»Czyż natury piękne dzieła
Ludzkich grzechów noszą pęta?
Czy woń fałszu przeniknęła
I rośliny i zwierzęta?

Już w lilji białej cnoty
Zaprzestałem wierzyć w złości.
Bo bałamut motyl złoty,
Coś zaczęsto u niej gości.

I fjołek tak prostaczy,
Co to kryje się do trawy....
Och! ta skromność wiém co znaczy
To namiętna żądza sławy. –

Bez uczucia, sił artysty,
Słowik pieśń swą rozpoczyna;
Jego szczebiot, trele, świsty,
To nic więcéj jak rutyna.

Wszystko z dawnych swych przymiotów
Zdziera maskę przed oczyma;
Pies się jeszcze łasić gotów,
Lecz wierności dawnéj niéma«!

A przecież w téj duszy na pozór tak oschłéj są wielkie skarby uczucia! przebija się ono w rzewnych wspomnieniach miłości, którą gdzieindziéj wyszydza, w trafnych i pełnych ukochania obrazach natury, którą gdzieindziéj czerni. Oburza czytelnika takie np. sybarytyczne zestawienie przedmiotów: »Dawniéj—powiada Hejne—lubiłem namiętnie torty z jabłek, teraz lubię miłość, swobodę, prawdę i zupę z rakami«.— Ale czytając Hejnego trzeba przywyknąć do tego rodzaju excentryczności, w których często jest w swoim rodzaju wdzięk nienaśladowany.

Tym, którzy znają poezye Hejnego tylko w tłumaczeniach, trudno jest bardzo powziąść stałe wyobrażenie o pięknéj harmonji i rzewności uczuć, które w oryginale zachwycają do tego stopnia, że mimo woli prawie wrażają się w pamięć i jako echa brzmią w duszy długo, bardzo długo. Jego śpiewy prostoduszne, przyjemne, jak również i myśli jego poczciwe, szlachetne i swobodne, nawet jego szatańska ironija, która mu została, jako jedyna pamiątka z życia, od czasu, gdy szał rozpusty, zabiwszy jego ciało, obrzydł mu na zawsze; wszystko to ma urok prawdziwy. Burzliwe i namiętne życie Hejnego rozstroiło lutnię jego. Miał on serce dla tego, aby boleśnémi mękami jego i jękiem nauczyć ludzi, jak żyć potrzeba, aby nie przechodzić przez tak wiele cierpień, aby pokazać, jakato kara czeka za grzechy młodości. Z lirycznych pieśni Hejnego zasługują na szczególniejszą uwagę: *Junge Leiden—Nordseebild—Frieden* wydane w 1822 r. *Obrazy z Podróży* i *Księga Pieśni* przyniosły Hejnemu europejską sławę i poetyczną duszę jego ozdobiły wiekopomnym laurem. W tych dwóch dziełach widzimy Hejnego w całéj wielkości, zbrojnego w głębokie myśli i uczucia, w świetny dowcip i nielitościwe szyderstwo. On to, definijując znaczenie ówczesnego dowcipu, powiada: »od czasu, jak przestali nosić szpadę przy boku, stało się rzeczą niezbędną mieć dowcip w głowie«. Ten dowcip, wyzywający przeciwników, widoczny jest we wszystkich prawie pismach Hejnego. Szydzi on z samego siebie, z własnego uczucia, z własnych swoich myśli; najpiękniejszy i najrzewniejszy ton serca miesza on z wybuchem jadowitego śmiechu; idealne,

wzniosłe i szczytne myśli łączy ze smutną rzeczywistością, z brudem, z cynizmem. Miłość czystą dziewicy, zapał młodzieńczy, marzenie, swobodę, patryotyzm, religję, moralność, nieśmiertelność nawet, wszystko to pochłonął dowcip i, śmiejąc się, rozsypał w powietrze.... Bardzo jednakże myli się każdy, kto myśli, że niszczący ogień dowcipu Hejnego jest podobny do pięknego, lecz prędko ginącego bezpowrotnie meteoru. O nie! wydrwiwał on błędy dawnego społeczeństwa, którego treścią była siła i wskazywał ideał nowego towarzystwa; w tém najwyższa chwała Hejnego. Krytycy powiadają, że poezja Hejnego wzięła od kwiatów najjaskrawsze ich barwy i najmilszą wonność; od nieba—świetny blask słońca i skromny promyczek gwiazdki, ale w niéj saméj nie masz ani nieba, ani gwiazdy, ani kwiatka; że wszystko tworzy jakąś chaotyczną, pozbawioną wszelkiéj harmonji, mieszaninę, lecz całości tam braknie. Zdanie krytyków zbyt surowe, słuszne ono co do wielu, lecz nie do wszystkich utworów Hejnego. Zbijam to zdanie ukazaniem na liryczną stronę jego utworów, na miłość ludzi i natury, którą poeta starał się ukryć od innych i od samego siebie, a bez któréj nigdy-by mu się nieudały owe pełne prawdy *Obrazki rodzajowe* (genrebilder), owe legendy ludów, w tak uroczą szatę przybrane. Miłe te i przyjemne utwory dostatecznie przekonywają, że Hejne niejest tak strasznym potworem, jak go krytycy malują. Niemam zamiaru wnikać raz jeszcze w prywatne życie poety; lecz na zakończenie rysu tego utalentowanego mistrza powiém, że dnia 10 Lutego 1856 r. umarł on w Paryżu i przytoczę jeszcze wyjątek z poezyi jego, gdzie on opiewa najpiękniejsze z najpiękniejszych uczuć—miłość.

»Gdyby gwiazdeczki wiedziały,
Co w mojéj duszy się dzieje,
Z niebiosby ku mnie leciały,
Aby rozbudzić nadzieję.—
Nikt o tém wiedziéć nie może,
Prócz jednéj tylko kobiety,
Wszak że to ona, mój Boże!
Skrwawiła serce poety«.

MARZENIE.

(przekład z Hejnego).

Najpierw o uczuciach marzyłem namiętnych,
O miękkich włosach i mirtach pachnących,

O modrych oczach, o słówkach łechcącyh,
O smutnych pieśniach i melodyach smętnych.

Dziś sny zginęły, rozpierzchły się zmienne—
A drogi obraz znikł w życiu zawcześnie!
Zostało tylko, co serce niezmienne
Schwyciło zaraz i zamknęło w pieśnie.—

Zostałaś piosnko, jedyne me dziecie!
Snów mych obrazu leć szukać po świecie,
A gdy go znajdziesz, daj mu pozdrowienie,
Przelotnym marom ulotne westchnienie.

PRZEDMIOT, ZNACZENIE I CEL

NAUKI GEOGRAFJI.

p. J. Rotkowskiego.

Głównym mojego niniejszego wykładu celem będzie zakreślić i wytknąć geografji, jako nauce, to przeważne znaczenie w dziedzinie ogólno-ludzkiego wykształcenia, jakie ta nauka mieć powinna i ma też niezaprzeczenie.

Dla zupełnego jednak porozumienia się w tym względzie, niech mi wolno będzie użyć opowiadania, stosowanego w podobieństwie przez jednego ze współczesnych niemieckich uczonych do innéj wprawdzie nauki, ale które, według mego przekonania, słuszniéj i naturalniéj odnieść się może do geografji.

Troskliwy ojciec, opowiada ten uczony, oddając syna na wychowanie, prosił nauczyciela, aby przedewszystkiém uczynił zeń dobrego obywatela kraju. Po niejakim namyśle, nauczyciel ułożył sobie plan następujący: uczeń mój powinien naprzód poznać swoją ojczyznę; wtedy tylko z przekonaniem on ją pokocha i stanie się godnym jéj obywatelem. Trzeba więc, aby naprzód poznał geografję i historję swojego kraju; prawa, z których, jako obywatel jego, korzystać będzie, i obowiązki, które znowu, jako obywatel tegoż kraju, wypełniać będzie obowiązany. Tym tylko sposobem mój wychowaniec pozna swoją ojczyznę i stanie się godnym i czynnym jéj obywatelem.

Ojciec i nauczyciel zupełnie zgodzili się z sobą w téj mierze.

Wkrótce potém do tegoż nauczyciela udała się z prośbą matka, aby i jéj syna wykształcić zechciał. Nauczyciel, jako kobiécie, podał

już gotowy plan powyższy, nadmieniając, że takowy uzyskał sankcyą ojca, wysoko, w jego przekonaniu, wykształconego.

Przenikliwa matka, cierpliwie wysłuchawszy nauczyciela, odrzekła z równąż spokojnością: »ojciec zupełną ma słuszność, podobnych zasad *wychowania* i ja wymagam od pana, a jednak niezgadzamy się z sobą w ogólném pojęciu *wykształcenia* wyższego. Według mego przekonania, to wszystko, o czemeś pan mówił, stanowi dopiéro zaledwo połowę rzeczywistego wykształcenia. Prawda, że to będzie tylko zdanie kobiéty, ale kobiéty, która, jako matka, stała się przenikliwszą może od ojca, pogrążonego tylko w pojęciu obywatelstwa. Ojciec pańskiego wychowańca uważa zapewne plan powyższy za zasadę wychowania swojego syna; nie myślę jednak, żeby dostateczną była zasada, opierająca się na saméj tylko przypadkowości, wyjątkowości, i prosiłabym pana o wskazanie zasady ogólniejszéj, trwalszéj. Czyż bowiem to niejest przypadkowością, że dziécie moje urodzoném zostało tu, na téj ziemi, a nie kilkaset mil daléj, w innym kraju i że będzie przeto obywatelem tego kraju, a nie innego państwa? W pojęciu zatém téj przypadkowości, powinnoby się, według wyobrażenia pańskiego, zmienić zupełnie pojęcie o wychowaniu. W tém właśnie spostrzegam sprzeczność, która mojemu wyobrażeniu *o wyższém wykształceniu* nie odpowiada wcale. Zasada, podana w nauce pana, prowadziłaby samą przez się do pewnéj odrębności, rozróżniania i rozdzielania ludzi pomiędzy sobą, przezto właśnie samo, żeby się ciągle i zanadto musiała odbijać w różnicach narodowych. Ja przeciwnie wymagam od pana takiéj nauki, któraby wyższym na człowieka poglądem mogła te wszytkie odrębności równoważyć, wszystkie wyróżniania uogólniać, wszelkie rozdzielania łączyć i spajać.

To wszystko, czego ojciec, o którymeś mi pan mówił, wymagał, jako zasady naukowéj, w wychowaniu swojego syna, stosować się jedynie może do saméj tylko politycznéj jego ojczyzny, pomimo to jednak, bez względu do jakiéj narodowości należał ojciec, czy można dopuścić, żeby dziecię jego, ta mała, rozumem jeszcze nieudarowana istota, zarówno się do tych różnic narodowych przyznawać mogło? Przeciwnie, ja myślę, że wiele a wiele doświadczeń, więcéj jeszcze czasu potrzeba, żeby się przeświadczenie politycznego odosobnienia objawiło w dziecku. Prze-

dewszystkiém zaś innėm — dziécię jest człowiekiem. Jako człowiek, l dąc udarowaném od natury wszystkiémi ludzkiémi ułomnościami, nien cą, władzami i prawami, dziécię, przy samym wstępie na świat, cz potrzebę i wymaga ludzkiéj, człowieczéj, a nie narodowéj wyłącznie trosl wości i zabiegów o siebie. Troskliwością tą otacza je zaraz ziemia — ta mat nasza wspólna. Otacza je naprzód ciepłem wspaniałego słońca, światł i tysiączne podnosi mu dary w lubém dlań łonie macierzyńskiéj pien To wszystko właśnie jest ojczyzną dziecięcia, jako człowieka, i na jak mi się zdaje, ojczyznę, trzebaby przedewszystkiém skierować c uwagę nauczyciela; do niéj zasady i sam plan nauczyciela zastosow Taka zasada stanowiłaby właśnie to spajające ogniwo, które do cz przeświadczonego odznaczenia się w młodzieńcu ojczyzny polityczn łańcuchem jedności, zgody i braterstwa łączyłoby plemiona i kra Dziwna rzecz zresztą, mówiła daléj matka, troskliwa o wykształce istotne syna; jeśli ojciec rzeczywiście był przekonanym, że syn je niemoże być dobrym obywatelem kraju, dopóki historyi, praw, kszta rządu, źródeł dochodów ojczyzny swéj wyjątkowéj niepoznał, to c natura naszéj ziemi, téj wspólnéj rodzaju ludzkiego ojczyzny, niezas guje również na badanie pod wszystkimi powyższymi względami

Wyższym tu rzeczywiście był pogląd matki na ogólne ludz wykształcenie, niż pogląd ojca, wynikający z zasady wyjątkowéj.

Ałboż ziemia niéma również przeszłości swojéj, swojéj histor niezatartemi głoski zapisanéj w zmarszczkami pokrytéj fizyognomji jéj p wierzchni; zresztą w jéj rozprutém łonie, w tym niezmierzonym sm tarzu, co całą przeszłą jéj generacyę pochłonął, śladów, szczątków całych zabytków téj dawno minionéj przeszłości niespotykamy co chwi Czy nie z téj saméj zresztą przeszłości, jako z zasadniczéj przyczyny, w nikły obecne istnienie ziemi i nas samych? Prawa zresztą, które r dzą i kierują ziemią naszą czy niesą témiż prawami, którym my sa podlegamy, którym się poddajemy z nieskończenie nawet większą u głością, niż prawom towarzyskim i społecznym? Same nawet nieprzebr ne źródła dochodów ziemi naszéj — czyli to wszystko, co ona każ chwilowo produkuje we wszystkich miejscach i czasach, a co przy r raźniejszym rozwoju przemysłu, handlu, stosunków międzynarodowy(przy niezwyczajném ułatwieniu kommunikacyi stało się wspólnym ws stkich krajów i ludów nabytkiem, czy to także nie miałoby więks

naszéj zwracać uwagi na siebie, nad szczupłe i częstokroć niewystarczające źródła dochodów jednego jakiegokolwiek kraju? Czy właśnie to szczodrobliwe rozposażenie wszystkich płodów i darów swoich; to troskliwe zapobieganie w załatwieniu najniezbędniejszych materyalnych potrzeb człowieka; to, w równéj mierze dokonywane, rozdzielanie hojną ręką produkcji jednego kraju, dla zapełnienia braku w drugim, nie jest najwyraźniejszym objawem pewnego, określonego, a bezwarunkowo sprawiedliwego i opatrznego *kształtu rządu* naszego planety, którym się warunkuje i objaśnia sytuacja nasza na ziemi?—Właśnie dokładne zrozumienie téj sytuacji swojéj, w danych przestrzeni i czasu; rozsądne zastosowanie jéj do przemożnych okoliczności każdego miejsca i chwili, bywa częstokroć objawem największéj mądrości danego narodu, a zawsze głównym warunkiem, zasadą i ugruntowaniem jego pomyślności, dobrobytu i szczęścia. Tym tylko sposobem geografja pojmowana, a jako nauka stosowana do pojęcia ziemi, jako całości organicznéj w sobie, staćby się mogła niezaprzeczenie podstawą rozsądnego wychowania narodowego za pośrednictwem dokładnego wyrozumienia stosunku narodu do ludzkości, jak równie danego kraju do całego kuli ziemskiéj obszaru.

Te mniéj więcéj powodowały mną myśli, gdym przed dwoma laty wydał w »Tyg. Illustrow«. *Zarys geografji, mianowicie w zastosowaniu do wyższych żeńskich zakładów naukowych.* Kładę nacisk na myśl ostatnią. Mówiłem o wyższych żeńskich zakładach naukowych, z których mamy pewne prawo oczekiwać powrotu córek naszych z lepszém wykształceniem, niż jakieby im mogło zapewnić wychowanie w jakichkolwiek szkołach elementarnych. Prawda, że w sprawie rzeczonéj napierałem więcéj na samą metodę i sposób wykładu geografji, starając się wrazić w przekonanie, że geografja jest nierównie więcéj nauką kombinacyi i rozsądku, niż nabytkiem saméj tylko mozolnéj pamięciowéj pracy. Dziś w bardzo określonym zakresie zawierając przedmiot tak obszerny, jakim jest nauka geografji, niemogę uwzględniać powyższych powodów, same li tylko streszczenie przedmiotu, w naukowym względzie pojmowanego, mając na celu.

Jeśli niewłaściwe orzeczenie przedmiotu, nazwa jego, bywa częstokroć powodem długiego zawikłania, wzajemnego nieporozumienia się, a nawet niepojmowania samego przedmiotu, to sądzę, że i nieokreślona

albo przynajmniéj niewłaściwa, jak na dzisiejsze stanowisko i wymagania nauki, nazwa *geografji* te same spowodowała skutki. Częściéj za nadto mało, rzadziéj zanadto wiele wymagano i spodziewano się po niéj. Mało, gdyż bardzo długo redukowano ją tylko do znaczenia jakiejś encyklopedji wiadomości geograficznych; robiono ją po największéj części mniejszym lub większym zbiorem, podług skali pewnéj ułożonym, wiadomości etnograficznych, pylitycznych i statystycznych, wówczas, gdy nauki te, opierając się tylko na danych z geografji, osobne wcale powinny miéć stanowisko. Zadużo znowu, mówiłem, spodziewano się po niéj, wcielano bowiem nieraz całe traktaty z kosmografji, astronomji, geometrji zwyczajnéj i wykreślnéj, trygonometrji i t. p. nauk. A przecież jestto nauka tak nieodzownie potrzebna, tak nagląco upominająca się o swoje prawa w dziele ogólnego wykształcenia, że instynktowo prawie postawiono geografję w planie naukowego rozkładu, przed ukończeniem nauk, od którychby dopiero, według tego zakresu pojmowania geografji, naukę jéj rozpocząć należało. Plan naukowego rozkładu prześcignął w tym razie stanowisko obecne doręczników geograficznych, które, bujając, że tak powiem, między fatalnémi przysłówkami *zamało* i *zadużo*, żadnéj korzyści, żadnego plonu nauce i uczącym się nieprzysporzyły.

Już i znakomity *Hugo* wytyka owo nieokreślone geografji znaczenie. »Nazwa geografji stosowaną jest teraz, powiada on, do tylu najprzeróżniejszych pojęć; użycie i nadużycie samego wyrazu *geografja* do tyla uczyniły niepewném prawdziwe jéj znaczenie, że dla uniknienia błędu przedewszystkiém należałoby sobie jasne złożyć wyobrażenie, co my pod tym wyrazem rozumiemy«.

Gdybyśmy ten ważny przedmiot naukowy chcieli ograniczać z niektórymi uczonymi do samego opisu powierzchni ziemi i przedmiotów do niéj należących, to musielibyśmy tém samém nazawsze wyrzec się jéj naukowego znaczenia; albowiem z tak czczém orzeczeniem niezgadza się powaga istotnéj nauki. Maż być geografja samém opisywaniem, bez usiłowań podniesienia do badania i zasad? bez zadowolenia wewnętrznego, żeśmy następstwa i skutki tych przyczyn duchowym swoim nabytkiem uczynili? Tak pojmowana geografja byłaby tylko zimném, obojętném sprawozdaniem z faktów dostrzeganych okiem ciała, ale niepojętych okiem ducha.

Otoż duch właśnie, duch, wyszukujący wszędzie przyczyn i zasad, duch, prawem konieczności logicznéj wysnuwający z tych przyczyn następstwa i wnioski, duch, obejmujący wszystko w poważne ramiona harmonji i zgodności, powinien być przewodnikiem w nauce i nauczaniu geografji. Mocnym polotem dzielności swojéj powinien on według wyrażenia poety: »tam dójść, gdzie myśl nie sięga«, a zatém dotrzeć do przyczyny zjawisk i dopiéro wszystkie te zjawiska, zrobiwszy zależnémi od pewnéj siebie, a przemądrze i opatrznie obmyślonéj *celowości*, przedstawić w całym ustroju ziemi jeden piękny, wspaniały, całkowity w sobie obraz, promieniejącéj wszędzie i we wszystkiém wymównéj doskonałości wzorem!

Otoż, bezwątpienia, trudno jest znaleźć naukę, któraby dokładniéj i lepiéj cały ogół wszystkiego, co stworzone, wiązała w harmonijną całość; któraby naraz zmysłowemu i umysłowemu oku badacza—filozofa przedstawiła ów plan niepomiernie rozległy, w którym jednak wszystkie najprzeróżniejsze części zostają pomiędzy sobą w stosunku doskonałéj scisłości i związku,—nad naukę geografji! Wskazując na każdym kroku wzajemny stosunek części do ogółu stworzenia, jednocząc i gruppując tym sposobem szczegóły, stanowiące przedmiot badań innych, ale pokrewnych sobie gałęzi wiedzy, w tym dziwnie pięknym ustroju i porządku, w których każdy szczegół stawa przed oczyma ducha w prawdziwém swojém znaczeniu i świetle, nauka geografji nabywa przez to samo w dziedzinie nauk przyrodzonych to poważne filozoficzne stanowisko, do którego słuszne i niezaprzeczone ma prawo.

Ale znowu w takim zakresie rozważana nauka geografji niemoże zostać odosobnioną od innych współkrewnych, a razem i pomocniczych jéj nauk z dziedziny matematyki i fizyki, z dziedziny nauk historycznych, ekonomicznych i politycznych. Niejest przecie jéj zadaniem roztapiać się, że tak powiem, w szczegółowych nauk tych przedmiotach; ale przeciwnie, pewne i zasadnicze z nauk tych zaczerpnięte szczegóły uogólniać, w celu, żeby w tym pięknym stworzonym świecie, również piękną ideję całości i związku, harmonji i zgodności mógł badający umysł dopatrzeć. Z natury zatém rzeczy wynika, że nie *analityczna*, rozdrabniająca, ale *syntetyczna*, uogólniająca metoda będzie najwłaściwszą w jéj wykładzie.

Przypatrzmyż się temu wspaniałemu otoczeniu nauk, w którego gronie nauka geografji, pod względem powyższym rozważana, naczelne przewodniczące stanowisko otrzymuje.

Oto naprzód, potrzebie wyobrażenia wielkości ziemi, długości, szerokości, objętości w różnych miejscach na jéj powierzchni wziętych, potrzebie wreszcie wskazania stosunku ziemi do innych ciał niebieskich i jéj stanowiska w systemacie słonecznym, — zaradzają cyfry *arytmetyczne*, wzięte jako gotowy materjał z astronomji i innych nauk.

Potrzebie znowu wyobrażenia kształtu ziemi, od którego ona, jakby fizyognomiczny wyraz i typową wyróżniającą cechę swoją charakterystyczną otrzymuje, zaradza *geometrja, trygonometrja,* i inne z dziedziny *matematyki* nauki.

Jéj znowu obrót wirowy i postępowy, czyli obrót koło siebie saméj i koło słońca; od czasu, jak wielki nasz ziomek Kopernik odkrył nam tę prawdę, dziś tłumaczy w sposób zadowalający *mechanika*.

Tym sposobem złożone wyobrażenia o wielkości, kształcie i ruchu ziemi za pośrednictwem nieprzepartych zasad *arytmetyki, geometrji* i *mechaniki* udowodnione, a nabytkami *astronomji* wsparte, stanowią szereg piérwszy w tém otoczeniu naukowém geografji, o którém wspominaliśmy wyżéj. Kula nasza ziemska pod tymi względami wszystkimi rozważana, jako ciało niebieskie, stworzyła tak nazwaną kosmo-albo, urano-grafję, a właściwie *geografję matematyczną*, w któréj wykładzie znowu należałoby zawsze mieć wzgląd na najgłówniejsze przynajmniéj cechy i właściwości innych planet naszego systemu słonecznego, dla dokładnego zrozumienia i pojęcia téj doskonałości porządku i zgody we wszechświecie, które jeszcze Pytagoras *harmonją sfer* nazwał.

Druga część geografji, zwykle *geografji fizycznéj* nazwę nosząca, długi czas bardzo redukowała się tylko do samego opisu jéj części składowych: ziemi, wody i powietrza, do opisu płodów w dwóch pierwszych żywiołach i zjawisk w trzecim. Badanie ziemi pod tymi względami wiąże ją bardzo naturalnie z *chemją*, która skład materjalny ziemi, wody i powietrza rozważa; z *fizyką*, która własności i wzajemny ich wpływ na siebie tłumaczy; także z *meteorologją*, która się ogranicza na badaniu i tłumaczeniu zjawisk zachodzących w samém powietrzu. Z téj rozczłonkowywującéj metody badania wychodząc, zajmowano w koło geografji fizy-

cznéj *zoologję*, *botanikę* i *mineralogję*; stworzono nawet piękne i bardzo zajmujące nauki: *geografię zwierzęcą* i *geografję roślinną*. Zawsze to jednak był proces zimnego rozkładu, proces analizy, w którym nóż anatomiczny krajał, rozdrabiał, rozczłonkowywał i dostarczał, że się tak wyrażę, piękne części martwego obrazu, lub żywe w jakiemś odosobnieniu koło siebie stawiał. Temu processowi badania niedostawało *ożywczego tchu żywota*, któryby zawisłość i względny stosunek tworów ziemi wytłumaczył i podniósł do pojmowania przyczyn i celów stworzenia. Miano zatém nieprzebrane anatomiczne materjały i niezałożono ani jednéj cegiełki do budowy fizyologji, którąby była obrazem ogólnéj idei życia kuli ziemskiéj. Dziwna rzecz zaiste, ale bardzo zwyczajna i bardzo naturalna. Życie wynika ze śmierci, jak teraźniejszość z przeszłości. Niepoznamy życia w jego wszechstronnym rozwoju, jak również niepoznamy i nieocenimy nigdy swego stanowiska w teraźniejszości, jeśli niezbadamy przeszłości zawartéj w spowiciu śmierci.

Geologja odkryła nam tę niezmierną w idei ogólnego rozwoju życia kuli ziemskiéj szczerbę. Badając nie przelotnie, nie powierzchownie samą tylko zewnętrzną powierzchnię ziemi, ale głęboki, przenikliwy wzrok zapuściwszy w jéj łono, odkryła grobowiska, cmentarze minionéj przeszłości. Z tychto cmentarzy wytryska teraz ożywczy promień światła nauki, który nam przeszłość ziemi, jakby tę właściwie część jéj historji starożytnéj, któréj nam do pojęcia ogólnéj idei życia brakowało, zapełnia wymownémopowiadaniem. Pojęcia zatém, choćby najogólniejsze z geologji niezbędnémi są dla *geografji racyonalnéj*, czyli takiéj, któraby sobie wszystko tłumaczyć, ze wszystkiego zdawać rachunek chciała; któraby, ideję życia kuli ziemskiéj uogólniwszy, widziała w niéj tylko dalszy rozwój, dalsze następstwo życia przeszłego, minionego. Geologja na wielką skalę rozciągnąćby mogła prawdę powszechnie powtarzanego wyrażenia: *kwiaty wyrastają na grobach*!

Długiémi jednak i krętémi ściezkami dostawano się do tych grobów przeszłości naszéj ziemi; ale samo poznanie i badanie tych ścieżek, kierunek, w jakim one idą, sposoby i miejsca krzyżowania się w łonie ziemi, postawiłyby *orografję* i *hydrografię* na innéem zupełnie stanowisku, niż jest to, na ktorém one znajdują się obecnie. Dziś bowiem jeszcze przywiązujemy zanadto mało wagi do tych nauk. Jak

pod wyrazem geografji nic sam przez się nieznaczący opis ziemi rozumieliśmy; tak pod wyrazami *orografji* i *hydrografji* rozumiemy podobnież opis gór i wód. Ale czyż góry, te najważniejsze czynniki w plastycznym ustroju naszego planety, niesą jakby kością pacierzową i żebrami, na których się rozpięło i rozczłonkowało jego ciało? Czy nie na nich właśnie opiera się dziwnie symetryczne ukrztałtowanie większych mass lądów i ich kończyn? Czy nie na górach zatém, w również doskonałym porządku i harmonji pojętych, należałoby oprzeć najważniejszą część w praktycznem nauczaniu geografji, t. j. dostarczenie możności, środków, sposobów i, jeśli można, zasad do sposobów uzmysłowienia sobie i słuchaczom postaci geograficznych i kształtów za pomocą rysunku, bez którego umiejętność geografji staje się rzeczą nadzwyczajnie wątpliwą? Ritter i Humboldt wielkie już położyli zasługi w tym względzie; *kartografja* jednak w kursach wykładów naukowych nie zajęła jeszcze u nas poważnego stanowiska metody naukowéj aż dotąd.

Tak samo ma się i z *hydrografją*. Opisujemy zewnętrzne rozmiary, zewnętrzne upostaciowania oceanów i mórz, ale badanie ich głębin, na tak ważnych cyfrach oparte, jakich nam dostarczyły pomiary B. Maurego, Rossa, Smitha i innych, czy niewykazałoby nam znowu nadzwyczaj ważnego związku gór lądowych z górami rozciągającémi się na dnie oceanów? czy niewykryłoby tém samém zawisłości i stosunku lądów, rozłożonych często po obu stronach morza, a przecież tak podobnych, tak odpowiadających sobie? Na takich hydrograficznych zasadach oparta znajomość mórz zewnętrznych i wewnętrznych, a nawet całych oceanów, tłumaczyłaby nam również wymównie dzieje rozwoju handlu, przemysłu i cywilizacyi, jak gdybyśmy je czerpali z najwiarogodniejszych źródeł historycznych. A jednak tak *oro*-jak i *hydro-grafja* musiałyby znowu mieć oparcie w *geologji*, gdyż i one również do przeszłości kuli ziemskiéj należą, bo tylko w téj przeszłości, pozbawionéj jeszcze istnienia człowieka, na wielką skalę odbywały się katastrofy tworzenia i niszczenia. Opatrzność zachowała go od tego przerażającego widoku, w którym myrjady istot stworzonych znikały z powierzchni ziemi w bezdenne grobu przepaści, a na tych grobach, lub koło nich, występowały późniéj, jakby sklepieniem je zawierając, mocne gór posady, rozległe wód wylewy. Górotwory, po większéj części pojedyńcze, które do obecnego stanu i czasu ziemi naszéj odnieść można, są zapewno mało-

znaczném tylko przedłużeniem, objawem ostatnich momentów aktu kształtowania się ziemi, w celu może ostatecznego uspokojenia jéj powierzchni dokonywanémi.

Aż oto przedwieczne słowo: »stwórzmy człowieka na obraz i podobieństwo Swoje«, wywołuje tego człowieka do bytu. Na uspokojonéj już, z przewrotów i katastrof wielkich i przerażających, powierzchni ziemi, w edenicznéj okolicy Azji, któréj ląd najpierwiej może wyjrzał z pod wód powierzchni, najpierwiéj czoło wysokie ku jasnému zwrócił słońcu, staje człowiek, zrazu jako potulne, bojaźliwe i pieszczotliwe dziecię natury, później jako jéj pan i władca. W niewymówném uczuciu miłości i wdzięczności ku Stwórcy, który go tylą darami pięknéj ziemi otoczył i pod wpływem tych uczuć, nabywa i kształci stopniowo wyobrażenia religijne, socyalne i polityczne, które go już tém samém nieskończenie wyżéj od wszystkiego, co stworzone, stawią. *Zendawesta* daje nam uroczy i pociągający zarazem obraz tego pierwotnego człowieka, od zamieszkania którego na ziemi rozpoczyna się właściwie nowy historyczny okres kuli ziemskiéj. Okres, za którym już niema zniszczenia równego temu, jakie pochłonęło przeszłość, co istniała bez człowieka.

Tak dzisiaj kula ziemska i człowiek na niéj kroczą do spełnienia przeznaczeń, do spełnienia swojéj missyi, zakreślonéj wymiarem wyroków wszechmocnéj Opatrzności, ale w przeciągłéj drodze do celu tego zniszczenie im zagrażać niemoże. Dopuszczając nawet coś podobnego, słusznie moglibyśmy się jeszcze pocieszyć słowami Pascala: »gdyby wszystkie siły fizycznego świata, powiada on, spiknęły się i chciały gruzami swymi przywalić człowieka, on i wtedy jeszcze przewyższałby godnością świat ten cały, bo ginąc wiedziałby, czego tamten wiedzieć nie może, że ginie!«

Geografja polityczna, na tém stanowisku pojęta i rozważana, miałaby celem swoim: 1) wyjaśnienie zawisłości i stosunku człowieka do ziemi w ogólności, a zatém odwzorowanie, podług pewnych danych geograficznych, idei człowieka, tego Adama stworzenia, tego najpiękniejszego kwiatu natury, który wyrósł i rozkwitł na granicach przeszłości i teraźniejszości naszego planety, w jego pierwotnych ogólnoczłowieczeńskich cechach. 2) wykrycie i wyjaśnienie zasad, według których te pierwotne ogólno-człowieczeńskie cechy oddaliły się od swego

pierwowzoru, wyrobiły się i przeszły na odrębne właściwości plemienn i narodowe z osobnymi typami języka, charakteru i zwyczajów zale żnych w największéj części od szczególnéj fizyognomji, typowego chara kteru większych lub mniejszych obszarów ziemi i krajów zajmowanyc z postępem czasu przez te plemiona i narody. 3) wykrycie nareszcie wyjaśnienie dziejowego posłannictwa tych szczególnych plemion i naro dów, w postępowym rozwoju których widać tylko przedzierzgnięcie si jednego okresu geografji politycznéj w drugą, geografji starożytnéj w nowożytną. 4) odcharakteryzowanie napływowych i obcych dawny uspołecznieniom i państwom narodowości; wniesienie nowego pierwiastk w zasady życia przeszłych narodowości plemion; wykazanie i unaocznie nie korzyści i szkód nabytych i poniesionych w skutek tych plemie nych i narodowych amalgamatów.

W takim obrębie zawarta i pod tymi względami rozważana ge ografją polityczna niebyłaby wcale mniejszym, co do zakresu swego lub mniejszego znaczenia przedmiotem, boby nam przeświadczenie wska zać i objaśnić mogła znaczenie państw teraźniejszych, oparte na zasa dach ich przeszłości geograficznéj i historycznéj; oraz ideję złożoną w ic istnieniu i posłannictwo, które, nie będąc ludzkim utworem, ale pomy śleniem *Bożém* o ludziach i narodach, przedstawiłoby znowu piękny majestatyczny i wzniosły plan Opatrzności, kierującéj i przewodniczące w doskonaleniu się ludzkich społeczeństw.

O MATERYALIZMIE

W NAUCE i ŻYCIU.

(Artykuł znacznie skrócony). p. A. Nowosielskiego.

»*Nauka oświeca umysł i kształci serce człowieka*«. Takie było dotąd określenie wiedzy ludzkiej, stare, ale pomimo to, określenie wierne, bo nadające jéj tę największą zaletę, że nauka podnosi odrazu człowieka do téj godności umysłowéj i moralnéj, do jakiéj go sam Bóg powołał, tworząc go na Swój własny obraz i podobieństwo, dając mu przytém, na ten cel, dwa ogniska odrębne życia umysłowego i moralnego, mianowicie *rozum* i *serce*. Bóg jest Istotą, a przeto jest on podstawą wszelkiéj prawdy; człowiek więc posiadając rozum i serce, szukając prawdy i dobra, szuka tém samém Boga, który jest ostatecznym celem życia ludzkiego. W tém poszukiwaniu, w téj dążności spełnienia *celu Bożego*, celu podniesienia stworzenia do Stwórcy, spoczywa właśnie cała godność tak umysłowa jak i moralna człowieka; w niéj czuje się on być istotą nieśmiertelną, istotą powołaną do życia w wieczności, tudzież do zrealizowania na ziemi wyższego porządku dobra i prawdy. Bóg założył w tym celu społeczność ludzką i nadał jéj, w tymże celu, pewne prawa przyrodzone i nadprzyrodzone, wsparł i wspiera ją ustawicznie swoją pomocą, *łaską Bożą*, i ta macica winna, zasadzona od Boga na ziemi, krzewi się i rośnie, skrapiana potem pracy, nieraz łzami żalu i krwią ofiary, a to od chwili upadku i grzechu człowieka. Ponieważ światło i dobro, ponieważ *prawda*, nie są czémeś doczesném i tylko przypadkowém, ale są samą istotą Bożą, są *wieczne*; więc tylko takie rzetelne, a razem religijne ujęcie prawdy i dobra moralnego od-

powiada przyrodzeniu i powołaniu ludzkiemu. Ani *prawda*, ani *dobro* nie-są rzeczami ludzkiemi, przeto i *światło* z góry nas oświeca; są niezmienne prawa prawdy, są równie niezmienne prawa moralności, których człowiek naruszyć niemoże, nieskalawszy się fałszem i grzechem. Światło, a przeto i nauka, oparta na tém świetle Bożém, jest siłą moralną, jest wielką potęgą, przeobrażającą tak człowieka, jak i ludzkość całą w istotę wieczną, duchową. Cywilizacja ludzkości ma przed sobą wielkie moralne cele zrealizowania tego, co sam Bóg wyrył na sercu i umyśle człowieka.

Bakon powiedział: *wiedza ludzka, to potęga*! i wypowiedział wielką prawdę. Ci zaś, którzy patrząc na dzisiejsze zastosowania praktyczne nauki do codziennych potrzeb życia, na telegrafy elektryczne, wagony, maszyny i t. d. powtarzają to zdanie angielskiego filozofa, jakkolwiek mają pewną rację, nie wyrażają przecież przeto całéj doniosłości jego myśli; bo potęga wiedzy sięga daléj od elektrycznéj iskry nawet, i człowiek myślący, zastanawiając się nad światem, niewystarczającym potrzebom serca jego, mówi sobie w końcu to, co powiedział Kolumb, kiedy dotarł był do brzegów Ameryki: *il mondo e poco!* świat jest za ciasny! I tak jest rzeczywiście: dusza ludzka większą jest daleko od obszarów świata, a serce ludzkie, jak wyraził się Skarga, *na Boga* jest uczynione, t. j. na poznanie jego praw, jego celów, a głównie na zbadanie i spełnienie woli jego. Kiedy siły przyrodzone rozumu stworzonego niemogą podołać temu zadaniu, Bóg przeto wsparł je słowem objawienia, religją i człowiek dopiéro, opromieniony *myślą* i *wiarą*, stał się istotą tak wzniosłą, że dla niéj wszystko jest zanadto małe i drobne, co tylko jest materją, a jedne tylko interesa duchowe mają dla niego niczém niewypowiedziany urok.

W pojęciu religijném człowiek jest istotą uprzywilejowaną, bo istotą opromienioną ideją synowstwa Bożego, istotą *przyrodzoną* i *nadprzyrodzoną*, bo zarazem istotą doczesną i wieczną, powołaną do zrealizowania już tu na ziemi nietylko samych doczesnych na ziemi, ale i wiecznych celów powołania swojego w wieczności. I rozum i wiara stwierdzają sobą ten wysoki charakter człowieka i stawią go na wyżynie niedosięgnionéj zwyczajnym wzrokiem ludzkim.

Naturaliści, niechcący znać nic zgoła oprócz tego jednego, co się da namacać zmysłami, widzą w człowieku zwyczajne stworzenie

tylko, zwyczajne *kudłatą*, uszlachetnioną małpę, któréj z postępem czasu, jakimś szczęśliwym wypadkiem (?!) zaświtała myśl w głowie, uczucie w sercu, a słowo zabrzmiało na ustach!...

Takie zrozumienie rzeczy jest nieracjonalne, zgoła przeciwne samemu nawet charakterowi przyrodzenia, prawo bowiem przyrodzenia jest zawsze, od samego swego początku, jednakiém, czyméś, koniecznèm, inaczéj niebyłoby ono wcale *prawem*. Zachodzi też niezbadana niczém tajemnica w owéj zgodzie wewnętrznéj myśli, przypadkowie zrodzonéj w głowie małpy, z myślą rozlaną w stworzeniu całém. Zawsze więc myśl człowieka, u kończyn swoich, spotyka się z tajemnicą, o którą koniecznie rozbić się musi jéj duma. Taki pogląd naturalizmu przypiéra też czasami do mystycyzmu; ci naprzykład, co *myśl* i *słowo* ludzkie biorą za rzecz materyalną, przypadkową, dopuszczają też możebność myśli i mowy u zwierząt. *Agassiz* np. powiedział z tego powodu, że pomruk niedźwiedzia amerykańskiego ma się może tak samo do mruczenia niedźwiedzia europejskiego, jak mowa amerykanina do mowy pewnéj europejczyka. Moralne następstwo takiego naturalizmu jest przerażające: człowiek—zwierzę, żywiąc się zwierzętami, nieróżnémi wcale od niego ze swojéj istoty, jest *kannibalem*! Z drugiéj znowu strony człowiek, pozbawiając życia równego sobie człowieka, nieczyni moralnie nic gorszego, jak zabijając inną jaką żywą istotę.

O! zaprawdę, bardzo okropnémi są zastosowania do życia idei zarażonéj błędem nauki!

A cóż powiedzieć dopiero o tém następstwie koniecznem zasad naturalizmu, o tém, naprzykład, że wszystkie zasady moralne, wszystkie prawdy są tylko zwyczajnym wyrobem myśli ludzkiéj, t. j. myśli mizernéj, śmiertelnéj istoty, myśli nieuświęcającéj się żadną inną powagą zewnętrzną, oprócz jednéj tylko powagi przyrodzenia ludzkiego, t. j. przyrodzenia małpy-człowieka! Któż, pytam, przejmie się koniecznością i świętością praw takiéj moralności? owszem, sami naturaliści są tego zdania, że ludzie mogą sobie wyrabiać coraz to nowe pojęcia i zasady społeczno-moralne, że potęga nauki na tém polega właśnie, że człowiek, drogą nauki, rozwiązuje zadania, które są najpierwszą, zasadniczą podstawą całego moralnego życia ludzkości. Dawniéj ludzkość wierzyła w *prawo Boże*, wyryte na sercu człowieka i w słowo objawienia Bożego; ale od czasu, jak raz powiedziano sobie, że wszystko

na świecie jest dziełem przypadku, a myśl ludzka jest jedyną myślą, t. j. od czasu, kiedy materyalizm i pantheizm zaprzeczyli bytności Boga osobowego, a człowiek stał się sam dla siebie Bogiem; od tego czasu, mówię, wszelkie ideje, pojawiające się na drodze nauk moralnych i społecznych, w oczach ludzi tak nazwanego *postępu*, mają znaczenie prawa, którego nic niekontroluje zewnątrz. Dawniéj religja, tradycje społeczne, sumienie samo wreszcie, były kontrolą pomysłów, odnoszących się do moralności; dziś chcą znieść ten *przesąd* stary. Dotąd jeszcze kobiéty, będące z przyrodzenia swojego piastunkami religijnego sumienia i obyczaju starego, stawały na zawadzie zepsuciu; teraz chcą przerobić koniecznie ów charakter moralny kobiéty, chcą zmienić ją w mężczyznę, starają się o to, aby i niewiasta uwierzyła w ten dogmat nowy, że człowiek jest sam dla siebie Bogiem, że niemasz wcale ani dobra, ani zła absolutnego i że to jest tylko dobrem, co się dziś uważa za dobre, a złém to, co się podobało ludziom uważać dziś za takie!

Ilekroć tylko materyalizm zapanował nad społecznością ludzką, tylekroć wynurzały się zawsze na powierzchnią dziejów podobne zasady moralne. *Lukrecyusz, Hobbes*, encyklopedyści francuzcy wreszcie, znaczą stale w dziejach ludzkich fałsz w nauce i upadek w obyczajach, czyli sprowadzają zepsucie moralne. Dziś idzie o to tylko głównie, żeby wyraz *zepsucie obyczajów* wymazać raz na zawsze ze słownika moralności, o to, żeby nic odtąd niekontrolowało już nazewnątrz myśli ludzkiéj t. j. teoryj wydanych od tych myśli, ani sumienie, ani religja, ani tradycya. Chcianoby z gruntu przerobić człowieka; chcianoby stworzyć w nim nowe serce, wszczepić nowe sumienie, dać mu nową religję, mającą za treść uczczenie ludzkości, jako Boga. Zawsze w końcu występuje na jaw owa pokusa człowieka przez szatana wyrażona w raju: *Eritis sicut dii!* A kiedy potém szatan kusił Chrystusa, obiecywał mu świat cały poddać jego mocy, gdyby tylko padł przed nim i oddał mu pokłon; ale Chrystus rzekł mu: »idź precz szatanie, powiedziano jest: panu Bogu twojemu będziesz się kłaniał i jemu jednemu służył«!

Témi słowy Chrystusa Pana należy też nam odpowiedzieć na fałszywe obietnice materyalnéj nauki naszego wieku.

I w rzeczy saméj, jak my możemy uwierzyć w ów główny i jedyny dogmat religji humanitarnéj uczczenia ludzkości, ubóstwienia jéj, jak potrafimy, pytam, tak pokochać ją, jak się czci i kocha Boga? Do-

póki religja objawiona naucza nas tego, że jest odwieczna istota Boga Ojca i Stworzyciela wszech rzeczy, że wszystko, co jest dobrem, prawdą, cnotą, świętością, co jest piękném i zacném, opiera się na przyrodzeniu moralném téj właśnie istoty Bożéj, że człowiek, następnie, jako dziécię Boże wezwany jest do tego, że stworzony jest na to właśnie, aby się stał zczasem współuczęstnikiem téj istności Bożéj przez poślubienie sobie tych wysokich przymiotów Boga: dobra, prawdy, cnoty, świętości, wszelkiego piękna moralnego wreszcie; dopóty powiadam, mogę ja czcić i kochać ten wysoki ideał *synowstwa Bożego*, po za którym nic już nie może być ani większego, ani piękniejszego. Ale kiedy mi mówią, że traf wywołał świat i wszelkie życie na tym świecie, że sama myśl jest tylko udziałem samego człowieka, a w istocie swojéj jest ona tylko *sekrecją* fosforycznéj części mózgu ludzkiego, że prawda i cnota wreszcie, sąto konwencyonalne tylko pojęcia ludzi, którzy sami tylko tyle znaczą, ile owe chmary muszek, wylęgłych w skwary letnie po nad zatęchłémi bagnami niziny, że po za myślą ludzką niemasz żadnéj innéj myśli wiecznej i absolutnéj, że niemasz ani dobra absolutnego ani absolutnéj prawdy; to jakże, pytam was, możemy przyjść do tego, abyśmy uczcili wysoką godność tego komara, którégo zwiemy człowiekiem? potrzeba być chyba na to warjatem, żeby ubóstwić tę nędzną ludzkość, któréj imie właściwe jest najsamprzód *czczość* i *nicość*, dopóki niewymówi się następnie innego jeszcze jéj miana *bezecność*, *zepsucie*, *rozbestwienie!* I rzeczywiście człowiek-małpa musi być zawsze w końcu tylko samém zwierzęciem i niczém więcéj innén!

Sensualizm, a następnie materyalizm, jako konieczne następstwo pierwszego, skalali moralność XVIII wieku tak w teoryi jako i w życiu. Orgje tego wieku zmyły się wreszcie były we krwi terroryzmu; zwierzęca natura bowiem zawsze kończy na krwi.

Nastąpiła była przez jakiś czas reakcya spirytualizmu i idealizmu niemieckiego, ale reakcya ta przeszła, i dziś znowu pewna część myślącéj społeczności wraca się do dążności XVIII wieku. Dziś mamy nawet mody przeszłowieczne dla kobiét, jako dowód tego, jak głęboko wsiąkł już w społeczność wieku jad téj zgubnéj nauki. Moda zdaje się na pozór rzeczą lekką, ale jest ona najstateczniejszym wyrazem pewnéj dążności moralnéj.

Kopać z fundamentów społeczności, jestto ją burzyć; tam jest bowiem sama jéj dusza, tam są ukryte warunki jej życia wewnętrznego, tam spoczywa cała jéj istota.

Smutne i nędzne było zadanie encyklopedystów XVIII wieku. Dzieje wieków pracowały nad tém, aby po nad stworzeniem i materją wskazać ducha i prawa mądre, któremi one się rządzą; usiłowano też wskazać równie mądre i święte prawa w świecie wiedzy i moralności; wiedza i moralność miały za cel wznosić coraz wyżej i coraz więcej uszlachetniać człowieka, jako cel i koronę stworzenia. Takie pojęcie o godności człowieka należało się mu słusznie, jako istocie duchem, myślą i wolą obdarzonéj. Materja, przestrzeń, sąto rzeczy stosunkowo tylko wielkie, wielkość zaś ducha jest czémeś takiém, co przechodzi sobą wszelkie rozmiary.

Smutny i opłakany był stan nauki, prawiącéj w tak niegodnych jéj celach; zamiast światła gromadziła ona tylko samą pomrokę, zamiast prawdy krzewiła fałsze, a w praktyce, zamiast dobra, owocami jéj była złość sama. Kiedy człowiek wzgardził samym sobą, kiedy brzydził się sobą, musiał następnie i koniecznie znienawidziéć ludzkość, niemogąc jéj ukochać. Jakkolwiek bądź, jakby dla żartu jakiego, nauka XVIII wieku działała w imieniu filantropji! Głosząc zasady fatalizmu, mówiono razem o wolności ludzi; poniżając człowięka, prawiono mu o jego równości; znosząc najświętsze przepisy i obowiązki moralne, śmiano jeszcze mówić ludziom o cnocie, a gasząc owe światło nadnaturalne, które jedne tylko oświeca w dziejach pomrokę materjalizmu, obwoływano głośno panowanie *światła* po nad światem!

Bez Boga niepodobna jest pojąć godności człowieka, godności jego myśli i serca. Myśl i serce żywo zaprzeczają samodzielności materji, bo skoro tylko raz zapanują one w głowie i piersi ludzkiéj, zaraz, jakby echo jakie, odpowiada im ze wszech strón głos Boga, głos miłości i prawdy.

Stwórca i stworzenie są z sobą związani najistotniejszymi związkami myśli i celów Bożych, więcéj jeszcze, bo związkiem miłości Bożéj. Miłość Boża, jakby nić złota, wiąże i utrzymuje z sobą w zgodzie te światy, jaśniejące wpośród ciemności nocy. Cel stworzenia kryje się w mądrości, Wszechmocy, a przedewszystkiém w miłości Stwórcy dla

stworzenia. Ona daje mu wdzięk i zacność, ona je okrasza i podnosi, oznato właśnie czaruje nas sobą!

Encyklopedyści starali się nasamprzód o to, aby zetrzeć z oblicza człowieka tę fizyonomję synowstwa Bożego, tę pieczęć wyższą myśli i serca, która go napiętnowała na istotę wyższą, istotę nieśmiertelną. Zgodnie z tym zamiarem zepsutéj nauki zeszłego wieku, encyklopedyści postawili człowieka w rzędzie zwyczajnego zwierzęcia i dali mu dni za ojca małpę, godną zapewne być matką plemienia bezbożnego, ale nie ludzkiego rodu w ogólności.

Posłuchajmy, co mówią w téj mierze mędrcy XVIII wieku. Ludzie oddani spekulacjom, opartym na tém tylko jedynie, na co patrzą codziennie, skłonni są wyprowadzać wszystko w sposób materjalny. Egipcyanie naprzykład, widząc jak wszystko rośnie u nich z mułu Nilu, wyprowadzali równie własny swój początek z tegoż mułu, ogrzanego promieniami słońca, nie zadając sobie przytém tego pytania, dla czego ów muł Nilu i ciepło słoneczne niewydawały już więcéj z siebie ludzi. Owidjusz mówi, iż w piérwszych czasach ludzie porodzili się byli w Koryncie z grzybów, które tam wydała była ziemia wilgotna.

Hic aevo veteres mortalia primo
Corpora vulgarunt pluvialibus edita fungis.

Przeciwnie podania religijne u wszystkich ludów objawiały naukę spirytualizmu.

Prawdziwa filozofja, badająca głębiny ducha ludzkiego, wyróżniła człowieka, jako istotę duchową, od zwierząt. Arystoteles, na przykład, powiedział, że cała przepaść dzieli człowieka od innych istot ziemi. Ale materjaliści, jakim był w czasy starożytne Epikur, nieczynili żadnéj różnicy pomiędzy człowiekiem a zwierzęciem. W wieku XVII epikureizm począł był wchodzić w modę pomiędzy uczonymi. W wieku XVIII Linneusz postawił był człowieka przy małpie i nietoperzu. Wyrzekł on wreszcie, że nauka nieznalazła dotąd żadnego rysu takiego w budowie człowieka, któryby go oddzielił całkiem od małpy. Było to fałsz widoczny, małpa bowiem należy do klassy czterorękich zwierząt (quadrumanów), a kształt jéj czaszki, tudzież krtań są całkiem inaczéj urządzone, jak czaszka i krtań człowieka, w któréj rozwinięte są organa głosu. Długość ramion, szerokość miednicy są także różne u małpy

i człowieka. Człowiek jestto intelligencja, posługująca się organami ciała; mózg człowieka jest organem myśli tak, jak gardło głosu, a cała fizyonomja jego twarzy jest wierném zwierciadłem jego duszy. *Organa są dla duszy, a nie dusza następstwem organów;* jestto rzecz tak prosta, jak to, naprzykład, że tabakiera jest dla nosa, a nie nos dla tabakiery.

Jakkolwiek bądź, mędrcy XVIII wieku myśleli inaczéj. Buffon powiedział, że człowiek dla tego różni się od zwierzęcia, że ma *łydki*! Helwecyusz gdzieindziéj upatrywał źródła wyższości człowieka; powiedział on, że *ręce* stanowią człowieka i pytał, czémby był człowiek, gdyby zamiast rąk, tak zręcznych, dane mu były kopyta końskie? Zapomniał o tém zapewne, że małpa ma nie dwie a cztery ręce i pomimo to ona jest i będzie zawsze tylko małpą i niczém więcéj. Buffon powiedział: »w każdym rodzaju roślin jest zawsze taka, która w połowie tylko należy do tego rodzaju, w drugiéj zaś swojéj połowie rozpoczyna drugi rodzaj. Można to samo powiedziéć o wszystkich zwierzętach, wyjąwszy z pod tego prawa jednego tylko człowieka. Tu właśnie odkrywa się jeden z najpotężniejszych dowodów godności człowieka i nieśmiertelności duszy. Człowiek wspólném ze zwierzętami ma tylko samo znikome ciało; związek więc jego ze zwierzętami jest tylko zewnętrzny. Owoż, zwierzę, które najwięcéj zbliża się do człowieka pod względem organizmu, nie jestto wcale jakie zwierzę najczulsze, najprzemyślniejsze; zwierzę to niejest ani pies, ani bobr, stanowiący jakby odcień jakiś pomiędzy zwierzęciem, a człowiekiem, jest nim małpa, istota złożona tak, jak człowiek, a przecież niezdolna ani budować, ani uprawiać ziemię, ani zgoła pracować; jestto zwierzę z głową prawie ludzką, a przecież pozbawione słowa, chociaż wiele zwierząt mogą wyuczyć się *gadać*. Tenżeto rodzaj małp mógłby zastąpić rodzaj ludzki, podbić sobie inne rodzaje zwierząt i zapanować po nad ziemią? Ten więc wielki łańcuch istot zatrzymuje się na człowieku i tu się całkiem zrywa; on sam tylko jest dziełem doskonałém, *skończoném*. On jeden tylko nie został włączony do planu powszechnego materji, on sam tylko niejest częścią téj wielkiéj materjalnéj całości! Wiąże go do niéj ciało, ale ciało to ma zginąć, jego zaś władze umysłowe, władze jemu samemu tylko dane, władze, dające mu panowanie nad ziemią i nieokreślone prawo nad zwierzętami, nawet takiemi, które są nieskończenie wyższemi od

niego siłą fizyczną, te władze nakoniec niezależne od materji, niemo- gą zniszczyć się w skutek rozwiązania się owego ciała znikomego, które nic niéma z niémi wspólnego. O! zaślepieni bluźniercy, którzy nierumie- nicie się z tego, że przyrównywacie bestje dzikie do człowieka; wy chce- cie widzieć w stworzeniu Bożém jakieś dzieło fantastyczne ślepego trafu, napróżno więc dobroć ojcowska Istoty najwyższéj mnoży w około was cuda, świadczące o Jéj mocy, mądrości, jak równie o nieśmiertelności duszy naszéj! Zamykacie oczy na to światło, rażące wasz wzrok słaby; wolicie raczéj błądzić po manowcach ciemnych i skarżycie się jeszcze na to potém, że takie tylko drogi stoją dla was otworem. Ale zaśle- pienie wasze jest dobrowolne. Skoro zechcecie tylko tego szczérze, ono ustanie; znijdźcie tylko do głębin serca waszego, badajcie je, otwórzcie oczy, popatrzcie w około siebie, zastanówcie się, badajcie przyrodzenie, a wkrótce spadnie z przed oczu waszych ta nieprzeniknioua zasłona, która skrywa przed wami prawdę. Ale dla tego, aby módz podziwiać Twórcę przyrodzenia, o ile tylko dozwala tego słabość umysłu ludzkiego, niedość jest zapewne przypatrywać się samym dziełom jego, poznać ich stosunki, związki i różnice, potrzeba jeszcze zastanowić się nad témi prawami fizycznémi i moralnémi, które rządzą światem. Tu Buffon wy- stępuje jako prawdziwy myśliciel. Ale przykład jego niewiele podzia- łał na wiek jego i na współczesnych mu mędrców, którzy jak tylko mogli poniżali godność człowieka, wpadając przytém w największe nie- dorzeczności. La Mettrie, naprzykład, utrzymywał, (*Consideration sur les êtres org.* T. II), że człowiek był pierwotnie pewną rybą morską, mianowicie rodzajem delfina (*marsonin*); razu jednego delfin ów roz- płatał przypadkiem sobie ogón, ale że niema tego złego, coby na dobre niewyszło, z rozpłatanego ogona zformowały się dwie nogi i, skaleczywszy się tak okropnie, przestał on być rybą, a stał się czło- wiekiem, ojcem czy matką ludzkości, już niewiém tego dobrze. De- maillet potwierdził pochodzenie człowieka od ryby, z tą tylko poprawką, że za ojca rodu ludzkiego brał karpia, a nie morską rybę. Lamarque wyprowadza człowieka od małpy, któréj w skutek kataru mózgu nos się przydłużył: »*d'un singe dont le nes s'allongea par un rhume de cerveau*« (Phil. zoologique. T. II, p. 445). Rzecz szczególna, jak gdyby cała róż- nica pomiędzy małpą a człowiekiem była tylko w jego nosie! Monboddo, autor angielski dzieła »*O początku i postępach mowy*«, wiedział już co

innego; jego zdaniem nie człowiek poszedł od małpy, ale małpa poszła od człowieka; orangutang był, według niego, człowiekiem wyrodzonym, zezwierzęciałym. Do czego służyły, pytam, podobne niedorzeczności? Dla czego człowiek niemógł pochodzić od człowieka, ale koniecznie od zwierzęcia? Szło tu o to głównie, żeby nierozpoczynał on nowego szeregu istot duchem obdarzonych. Czy człowiek poszedł od małpy, czy małpa od człowieka, wychodziło zawsze na jedno, na to, w co bili głównie filozofowie XVIII wieku; o czém Lamettrie napisał osobne dzieło: *Historja naturalna duszy*, w którém dowodził tego, że dusza ludzka jest tylko produktem organizmu. Tegoż samego założenia chciał był dowieść Helvecjusz w dziele: *De l'esprit*, o którém jednakże powiedziano, w swoim czasie, że lepiéjby było daleko nazwać je: *de la sottise*. Poniżywszy godność ducha ludzkiego, zmieniwszy człowieka w zwierzę, najpierwszą było rzeczą dowieść tego założenia, że okrom materji nic niebyło, nic być niemogło; że świat powstał z trafu, że niemasz w układzie świata myśli, *celów rozumnych*, że wreszcie, gdyby były nawet takie cele, to ich niemógł spostrzedz rozum człowieka, znający tylko fakt sam, a nie znający przyczyny jego powstania. Hume w Anglji doszedł do sceptycyzmu, wyszedłszy z sensualizmu, chwytającego zmysłami sam fakt, czyli przypadłość. Otóż, kto wychodzi z saméj przypadłości, niemoże dójść do ujęcia czystéj prawdy, fakt bowiem jest rzeczą względną, a prawda jest konieczną, absolutną. Zmysłowe doświadczenie twierdzi tylko, że coś jest, niemówi jednak tego, że tak być musi. Sensualizm więc u Hume'a stał się tylko subjektywną zabawką myśli, w której należy wyrzec się koniecznie wszelkiéj rzetelności; pozostały mu tylko same pojawy zewnętrzne, same przypadłości i nic więcéj. Hume więc przygotował grunt dla materjalistów takich, jakim był Holbach, autor *Systematu przyrodzenia*. Dawniéj nauka filozofji szukała w przyrodzeniu myśli i celów Stwórcy.

Pomimo takie przeczenia, przecież mądre prawa życia, cele i porządek wieczny, klassyfikacye były widne dla oka każdego nieuprzedzonego człowieka. Były naprzykład rodzaje zwierząt i ich gatunki. Potrzeba było więc dowieść koniecznie tego oto, że nierozwijały one bynajmniéj pewnego, niezmiennego prawa, a że i tu działał tylko i działa dotąd jeszcze sam traf i nic więcéj. Bogactwo, rozmaitość przyrodzenia zadziwiały po wszystkie czasy umysł człowieka. Tyle rozmaitości w naturze

i tyle w niej razem porządku, systematu, tyle myśli rozumniéj! Z przyrodą nieorganiczną łatwiéj dochodzono do końca; *chemizm* działał wszystko i koniec na tém; ale jakże tu począć z przyrodą organiczną, z fizyologiją roślin i zwierząt, z owymi aparatami, z których jedne przeznaczone są wyraźnie na to, aby utrzymać życie w zwierzęciu, inne znowu, aby je odtworzyć, aby odrodzić to życie i przekazać je następnym pokoleniom, pod tąż samą zawsze *stateczną* normą? Diderot rzucił był tę myśl, że najprzód w przyrodzeniu organiczném musiało było być głównie dwa typy: jeden typ rośliny, a drugi typ zwierzęcia; że zwierzokrzewy stanowiły zczasem przejście od pierwszego do drugiego i tak się powoli, przez lat tysiące rozwijało na ziemi państwo roślinne i zwierzęce. Ale jak się to dokonywało? Odpowiedź na to usiłował podać Lamarck, w dziele: *Philosophie zoologique*. Według niego rzecz sama odbywała się bardzo prosto: potrzeba wywoływała pojawienie się stosownych do niéj organów. Ptak, żyjący na ziemi, chciał się żywić w wodzie; potrzeba było mu pływać, rozszerzał palce nóg i zczasem powstały przez te usiłowania płetwy; gęś, wyciągając ustawicznie szyję, szukając głębiéj żeru, dała zczasem początek łabędziowi. Jak to jest jasne i proste! Gdyby człowiek, przed kilką tysiącami lat, wpadł był na genialną myśl machania rękami, przynajmniéj po pół godziny dziennie, to pewno niepotrzebowałby już on dziś ani wagonów, ani balonów, latałby bowiem doskonale, jak ptak, i to tak niezawodnie, jak niezawodnie ptaki ziemne zostały kiedyś ptakami wodnymi, a z gęsi powstały łabędzie. I. Lamarck miał swoich czcicieli, chociaż niesmakowali w jego marzeniach ani Cuvier, ów wielki badacz przyrody, ani Napoleon, ów wielki znawca ludzi. Od wieku XVIII *całém* zadaniem nauki naturalizmu było zadawać fałsz Biblji. Wolter nieprzypuszczał możebności potopu powszechnego; geologja naszego wieku, z Jerzym Cuvierem na czele, dowiodła przecież zczasem, że, na nieszczęście, potop powszechny był na świecie. Za to najnowsza geologja odwołuje, w imieniu geologa Layarda, te dowody Cuviera. Kiedy udowodniono potop, materjaliści wołali, że w przedpotopowych pokładach niemasz szczętu człowieka przedpotopowego. Dziś znowu uczeni znajdują wszędzie kości ludzkie, wraz z kośćmi przedpotopowych zwierząt, skoro Layard raz upewnił ich o tém, że niebyło wcale rewolucyj nagłych na ziemi, a zmiany w jéj powierzchni dokonały się powolnie, przez *sta tysięcy lat*

Fizyologowie utrzymywali znowu, że rodzaj ludzki niemógł pochodzić od jednéj pary ludzi, bo stały temu na przeszkodzie niezmienne typy rass ludzkich; dziś w oczach uczni Darwina podobny zarzut nic wcale nieznaczy, kiedy nic już, zdaje się, niemasz niepodobnego na świecie w oczach dzisiejszych ludzi postępowych. Cóżto jest ów darwinizm? Oto, jest on tylko rozwinięciem owéj myśli Diderota o dwóch typach przyrody organicznéj i pomysłów Lamarcka o powstaniu rodzajów. Darwin jestto Diderot i Lamarck podniesieni już do drugiéj potęgi, pomysły ich zostały przerobione według nowszych pojęć w nauce przyrodzenia, Joufroy Saint Hilaire zastanawiał się nad stopniami bytu, poczynając od gąbki, a kończąc na człowieku. Embryologja, czyli nauka o zarodku ludzkim, wyrzekła, że zarodek ten przechodzi całą drabinę jestestw, cały szereg kształtów, wszystkie stany życia, zanim przyjdzie do kształtu człowieka. I tak, człowiek żyje najprzód życiem niezwonowych, niekręgowych, (invertebrées) i zwonowych zwierząt; jest z kolei zwierzęciem promieniowém (rayonné), zwierzęciem artykulowaném, (articulé) mięczakiem, rybą, płazem, ptakiem, zwierzęciem ssącém, zanim zostaje tém, czém jest. Człowiek w żywocie matki przechodzi te wszystkie stopnie. Odkrycie komórki organicznéj wskazało na pierwotną formę życia. Ztąd łatwo było wpaść na hypotezę, że człowiek powstał na ziemi, przechodząc przez miljony lat tę drabinę życia organicznego, Antropogonja znalazła wreszcie swój punkt wyjścia w *monadzie*, czyli komórce organicznéj. Darwin anglik zajmował się tą monadą. Inny Darwin, może syn poprzedniego, chciał objaśnić możliwość tego processu stopniowego rozwijania się monady, w powstaniu rodzajów. Swoją hypotezę nazwał on systemem *selekcyj*, czyli boju istot o utrzymanie się przy życiu. Natura szła ślepo, po omacku niejako, w wydawaniu na świat form żywotnych; process ten dokonywał się przez miryady wieków; powstawało wiele kształtów potwornych, poronionych; utrzymywały się przy życiu te tylko, które miały w sobie dostateczne warunki do życia. Ztąd doskonalenie się form przez tę *selekcję* czyli *wybór* form doskonalszych. Myśl Darwina niebyła przecież jego myślą. Przed jego dziełem o powstaniu rodzajów Wallace rozwijał już myśl o wyradzaniu się i przeradzaniu gatunków. On też zawyrokował (Antropologica Rewiew 1863), że co się dotycze człowieka, ten, od czasu, jak zaczął się odziewać, robić sobie broń i narzędzia, krzesać sobie ogień, odkąd uczucie społeczne i

uczucie sympatyi weszły do jego serca, odkąd władze umysłu i serca doszły w nim do należytego rozwoju t. j. *odkąd człowiek stał się człowiekiem,* przestał on ulegać w kształcie i budowie swojéj wpływom owéj *naturalnéj selekcyi*; 3000 lat dziejów nie wywarły na rasy ludzkie żadnéj zmiany. Tak mówił Wallace; Darwin ząś w dziele swojém pisał tylko o zwierzętach, nic niewspominając o człowieku. Wyręczyli go w téj mierze jego tłumacze: we Francyi pani Rover, a w Niemczech Rolle. Nareszcie Darwin ogłosił świeżo (1871 r.) swoje własne dzieło w przedmiocie *antropogonji* »*The descent of man*«. W dziele tém, stosując do istoty człowieka owe prawo naturalne walki o exystencję, Darwin uznał to, że człowiek pochodzi od zwierzęcia czworonożnego, kosmatego, z ogonem i uszami kończastémi, które żyło kiedyś, prawdopodobnie na drzewach i zamieszkiwało Afrykę. Według niego małpa nie jest ojcem czy matką człowieka, ale ma się do niego w stosunku brata stryjecznego, bo i małpa pochodzi od tegoż zwierzęcia kosmatego i czworonożnego! Takie jest ostatnie słowo nauki o pochodzeniu człowieka, nauki, którą, bez rumieńca wstydu, podają nam obecnie fałszywi mędrkowie nowego materjalizmu.

Karol Vogt w »*Odczytach o człowieku*« tudzież Heksli brali za materjał do swoich badań szczęty kopalne *człowieka pierwotnego*; krewnili oni istotę naszą z przyrodzeniem małpy, gruntując swoje dowody na anatomji porównawczéj; brali je z kości, z ich odrostków, z budowy czaszki i jéj szwów. Inni uczeni, zajmując się człowiekiem pierwotnym, w pierwszych chwilach pojawienia się jego na ziemi, wskazują nam na jego otoczenie produktami własnego jego przemysłu i kunsztu, które właśnie są najlepszym dowodem jego umysłu i rozsądku i tego głównie, że człowiek był od samego początku człowiekiem, istotą nietylko wyrabiającą sobie narzędzia do zachowania i obrony własnego życia, ale istotą tworzącą przemysł, umiejącą korzystać z darów przyrodzenia, wyrabiającą sobie odzież, umiejącą tkać, rysującą nawet na narzędziach swoich postacie zatraconych już dziś rodzajów zwierząt, jak mastodonta, niedźwiedzia pieczar i olbrzymiego jelenia. Przemysł i sztuka, jakkolwiek te były grube, najlepiéj dowodzą nam téj prawdy, że człowiek był odrazu człowiekiem. Niewiémy jeszcze tego, na jakie nauka natrafiła szczęty, czy są one zabytkiem ludzi cywilizowanych, czy już odpadłych od cywilizacji, któréj kolebką niebyła Europa, ale wschód—

Azja. Najstarożytniejszy okres w archeologji, okres kamienny, czyli pomniki tak zwane *celtyckie*, rozsiane nietylko po wszystkich częściach starożytnego świata, ale też napotykane równie w Ameryce, za punkt wyjścia mają góry Chazyjskie w Himalajach, jak tego dowodzą badania D-ra Hookera i porucznika Youlea; inni badacze znaleźli podobne w średniéj Azji i Syberji (Lannoye-La Syberie) i tą drogą zdążyły one do średniéj i północnéj Europy, wcisnęły się do Czerkassji, gdzie je widział Bell, a Mangles i Irby oglądali takowe w Syryi. Przez ciaśninę Gibraltarską, od Hiszpanji przeszły one do północnéj Afryki, aż do gór Atlasu. Którędy dostały się do Ameryki, niewiadomo; ale punkt ich wyjścia dobrze został oznaczony *na wschodzie*; głównie udowodnioną została tradycja i jedność saméj myśli, jaka w nich legła.

I tak piękną myśl Joufroy-St. Hilaire'a, o życiu, rozwijającém się stopniowo od komórki roślinnéj aż do człowieka, myśl, wykazującą postęp życia organicznego, za wodzą najwyższéj mądrości, poddali fatalnemu działaniu trafu na oślep. Darwin znowu wywołał na pole nauki naszego wieku ową, od Woltera wyśmianą, myśl powstania organów w skutek potrzeby ślepéj a razem koniecznéj; wszyscy powtarzają tu stare brednie filozofów pogańskich. Już Empedokles nauczał tego samego co Darwin, że w okresie zaradzania się życia i powstania kształtów jego, musiało było powstać mnóstwo koślawych i nieforemnych, takich, które *niemogły były ostać się* i tylko po mału, niedostrzeżenie prawie doszły zczasem do formy, zgodnéj z celem własnego zachowania. Oko, o którém powiedział Newton, że jest wyraźnym dowodem mądrości Bożéj, bo ten tylko mógł je utworzyć, kto znał prawa optyki, podług Darwina mogło się było rozwinąć powoli, z prostego nerwu czucia (*nerf sensitif*), przechodząc w tym rozwoju wiele kształtów niedoskonałych, zanim doszło ono do tego stanu, na jakim dziś się znajduje; zczasem organ ten może się więcéj jeszcze udoskonalić....

Przytoczoną wyżéj. myśl o ręce ludzkiéj i kopytach końskich Helwecjusza wyrzucał już Arystoteles, jako niedorzeczność, Anaxagorowi. Materjalizm niemógł uwzględnić ducha, niechciał on pojąć tego, że za pojawieniem się człowieka na ziemi, rozpoczęła się *nowa era* wpośród stworzenia. istot materjalnych. Sami naturaliści cofają się z tego powodu, przed ostatecznymi wywodami radykalnego materjalizmu. Szlejden powiedział, że jakieby niezachodziło powinowactwo pomiędzy człowiekiem,

a zwierzęciem ze strony organizmu, duch przecież i myśl stawią człowieka na inny wcale szczebel. Trudno jest bowiem zgodzić się człowiekowi niezaślepionemu na zdanie Vogta, że myśl jest fosforem, albo z Moleschottem, że jest ona ruchem materji! Huschke, objaśniając bliżéj to ostatnie twierdzenie, powiada, że taki sam jest stosunek pomiędzy myślami i wibracjami elektrycznémi włókien mózgowych, jaki zachodzi między barwą i wibracjami eteru. Vogt tłumaczy to materyalniéj: mówi on, że istnieje taki stosunek pomiędzy mózgiem a myślą, jaki jest, naprzykład, pomiędzy żółcią a wątrobą, pomiędzy nerkami a moczem! Czy można już powiedzieć większą niedorzeczność? I to niby jest nauka, oparta na faktach, brzydząca się przypuszczeniem, hypotezą! Tam materja wydaje materję, tu zaś materja wydaje coś takiego, *czego nikt dotąd niemógł zrozumiéć i niepotrafi nigdy pojąć.* Słusznie Szlejden wyrzekł do materjalistów: nauki materjalne niemają nic do rzeczy filozofji i umysłowości; ich przedmiotem jest sama tylko materja, same ciało, tamte znowu mają za zadanie badanie życia umysłowego, badanie człowieka, jako istoty moralno-umysłowéj.

Najpotężniejsi naturaliści Niemiec i Francyi oburzyli się na podobne aforyzmy współczesnego sobie materjalizmu. Justus Liebig prowadził długą polemikę z Molleszotem, a przeciw Darwinowi i jego hypotezie pisali gruntownie we Francyi Flourens i Quatrefage; pierwszy zapatruje się na rzecz ze stanowiska fizyologji, a drugi historji naturalnej. Materjaliści, chcąc poniżyć człowieka, już w wieku XVIII, jak naprzykład, Holbach, Dupin, de Nemours, a w naszym Ludw. Büchner, przyznali zwierzętom myśl i mowę. Jakkolwiek bądź, stary pewnik »różnimy się od zwierząt rozumem i mową« pozostanie nazawsze dla nas niewzruszoną prawdą. Flourens (*Psychologie comparée* p. 71 *Paris* 1865) powiedział materjalistom, z tego powodu, te pamiętne słowa: »Ta sama potęga, potęga myślenia, która dała człowiekowi ideje, dała mu też dar mowy. Nienależy wcale mieszać tu z sobą mowy materjalnéj, cielesnéj, zwierząt z mową kunsztowną oderwaną człowieka. Sam człowiek tylko posiada mowę oderwaną, bo sam on tylko zdolen jest dokonywać abstrakcji. Zwierzęta mówią, albo raczéj *porozumiewają się z sobą*, krzykiem i piskiem, ruchami wreszcie; w tym sposobie porozumienia się wzajemnego widzimy jasno to oto, że to *ciało przemawia w ten sposób do ciała*, jak się o tém wyraził Buffon. W mowie człowieka dzieje się

weale co innego; tu *duch przemawia do ducha*, wszystko w tém słowie jest dziełem ducha i następstwem jakby pewnéj umowy«. Z powodu początku mowy tak się odezwał kiedyś Wilh. v Humboldt: »Człowiek jest tylko człowiekiem przez swoją mowę; ale, do tego, aby mógł on wynaleźć mowę, musiał on już być człowiekiem«. (Sämtliche Werke III Bel. s. 252).

Zaprzeczając ducha myślącego w człowieku, trudno jest objaśnić sobie powstanie mowy, w warunkach naturalnych. Dawniéj prawiono w téj mierze największe głupstwa. Szkot Monboddo, naprzykład, pisząc dzieło o początku mowy, powiedział, »że dar ten ludzie mieli« od Boga myślicie może? gdzież tam! ktożby tam myślał o Bogu! »od bogów Egiptu, istot wyższych duchem od ludzi. Cywilizacja szła z Egiptu do Judei i Grecyi przez Ozyrysa, boga cywilizatora!« Miało to niby być objaśnieniem trudnéj zagadki powstania mowy! Niech że sobie z tego korzysta, kto może!

Agassiz zaniepokojony dążnością materjalizmu wyrzekł to zdanie, że dopóki nauka nie przekona się dowodnie o tém, że duch i myśl jest ostatecznym wykwitem materji, dopóty przedwczesnémi będą wszelkie zasady ateizmu i zaprzeczenia nieśmiertelności osobowości człowieka.

Ale materjaliści nieusłuchają zapewne tego głosu umiarkowania. Tym opłakanym dążnościom materjalizmu nowoczesnego Niemców przymówił publicznie na kongresie naturalistów w Getyndze Rudolf Wagner, odzywając się w imieniu moralności, którą ona podkopuje tak jawnie. Wyrzekł on wyraźnie, »że dążność ta jest rodzicielką socjalizmu, téj plagi naszego wieku!«

Materjalizm i moralność są to niezgodne, wzajemnie zaprzeczające się wyrazy. Materjalizm pojmuje człowieka jako uorganizowane zwierzę, stworzone do materjalnego tylko, jednodziennego życia; moralność zaś widzi w człowieku istotę wyższą, duchową, powołaną do urzeczywistnienia na ziemi praw ducha i moralności, widząc w życiu doczesném pole zasługi, w sercu popędy do cnoty, a w religji pobudki do niéj i wzory zarazem.

Cele życia człowieka i całéj ludzkości objaśnia nam taka tylko jedna moralność. Materjaliści wyrzekają się tego, aby mogli oni pojąć kiedy owe cele życia i powołania człowieka. Od tegoż przecież zależy

sens życia, sens moralny. Możnaż żyć na świecie, niewiedząc dla czego się żyje? potrzeba na to być zwierzęciem. Kant powiedział, że prawdziwa moralność może się tylko pojąć wtedy, kiedy będzie ona wzięta po za granicami dogmatu; ale temu zdaniu jego zarówno zaprzeczają tak sam rozum, jak i doświadczenie z dziejów czerpane.

Weźmy tylko dla przykładu dwa wieki: przeszły i teraźniejszy. Co tam pisano o moralności za wodzą materyalizmu?

To co w XIX w. u sęsymonistów nazwano *rehabilitacją ciała*, to w wieku zeszłym znaném było pod imieniem *obrony namiętności*. Chrześcjanizm potępił namiętności człowieka, potrzeba więc było koniecznie bronić je; było to już w samym porządku rzeczy. Weźmy dzieło XVIII wieku p. t. *Pensées philosophiques* Diderota; czytamy w niém takie twierdzenie: »Namiętności umiarkowane czynią ludzi zwyczajnymi. Szaleństwem jest chcieć wyniszczyć namiętności«. Helwecyusz w dziele *De l'Esprit* mówi: »Odepchnijmy od siebie wszystkich tych pedantów, tyle rozmiłowanych w fałszywém wyobrażeniu doskonałości. Zaiste nic niemasz bardziéj niebezpiecznego w państwie od tych moralistów, przesądnych, bez rozumu, którzy, zamknąwszy się w ciasnym obrębie myśli, ustawicznie powtarzają nam jedno, jakby za panią matką pacierz, zalecając wciąż umiarkowanie w żądzach, chcąc wyplenić z serc naszych namiętności. Owóż uczucie niejest swobodne; kochamy lub nienawidzimy wcale nie w skutek naszéj woli; *uczucie więc niemoże być występném*«. W książce o obyczajach, (*Les moeurs*) takie ogłasza się zdanie: »Szczęście jest to uczucie przyjemne, rozkoszne, jedném słowem, to wszystko, co schlebia ciału naszemu. Oto prawdziwy sternik, prowadzący do szczęścia nawy naszego życia! Obce temu pojęcia, jak naprzykład, prawda, nauka, cnota są to tylko dobra spekulacyjne, są przyczynami zewnętrznémi i t. d.

Próżnobyśmy odwoływali się w podobnéj Etyce do rozumu, bo odpowiedzą nam na to, że »potrzeba rozumowi dać za przewodnika przyrodzenie ludzkie i niepozbawiać się dobrowolnie tego, co nam sprawia przyjemność (*Discours sur la vie heureuse*). Nic tu wcale nie pomogą odwoływania się do *obowiązku*, *sławy* i t. d. odpowiedzą nam na to: »dbać o chwilę obecną, będącą w naszéj mocy, jest jedyną rzeczą godną mądrego«. (*Ibid.*). Samolubstwo jest najpierwszą podstawą takiego pojęcia rzeczy. J. J. Russo powiedział: »Pracuj nad własném dobrem

z najmniejszą szkodą dobra cudzego« (*Discours sur l'inégalité des hommes*). Wszelka dobrze uorganizowana dusza, poprzestając na tém, czém jest z przyrodzenia, nieusiłując stanąć po za jego granicą, gardzi tém wszystkiém, co jéj dają po za obrębem, który jéj właściwie przynależy i zaspokaja się tylko uczuciem. (*Discours sur la vie heureuse*). Przy takiém pojęciu rzeczy, cnota jest rzeczą konwencyonalną, któréj oblicze czas i okoliczności ustawicznie zmieniają; za podstawę jéj musi służyć interes własny: »Interes jest jedynym sędzią słuszności.... Należy uważać uczynki, jako rzeczy obojętne same w sobie, potrzeba uznać to, że do *potrzeb państwa* należy uznanie tych, które są godne szacunku albo pogardy; do prawodawcy wreszcie, jako człowieka znającego interessa publiczne, należy uznanie i oznaczenie chwili, w któréj pewna czynność przestaje być cnotliwą, a staje się występną« (*De l'Esprit*). Materyalista niewierzy ani w swobodę człowieka, ani w nieśmiertelność duszy, ani w cnotę, wierzy on tylko w jeden dogmat, w to mianowicie, że przyjemność i roskosz są jedyném rzetelném dobrem na ziemi: »Potrzeba iść za skłonnością własnego serca, mówi Helwecyusz, oddając się popędowi swego charakteru, oszczędzamy przez to sobie próżnych usiłowań opierania się temu naturalnemu popędowi... Niemasz takiego człowieka, któryby mógł przynieść na ofiarę interesom ogółu moc swoich namiętności«. Tak uważany człowiek jest niezależnym, jest dla siebie prawem, do którego wolen jest wszystko naginać. Oto są zasady rewolucyi, a kraj, który je sobie wyrobił, niezna odtąd pokoju i doszedł dziś do opłakanego upadku i poniżenia.

Społeczność musiała się była koniecznie poniżyć i osłabić, kiedy najpierwsze prawa i podstawy zostały w niéj zachwiane. Diderot wstyd kobiet uważał za sam *przesąd* tylko albo *obłudę*, a bronił rozwiązłość obyczajów... (!!). Helwecyusz oświadczył nawet, że same tylko kobiéty bez obyczajów czystych mogą być pożytecznémi państwu... (!!). Rozpusta bynajmniéj nie *kasi* chwały, a zepsucie obyczajów w niczém nie jest przeciwném wielkości i szczęśliwości państwa! Najnaturalniejsze nawet uczucia, jakiém, naprzykład, jest miłość dzieci dla rodziców, starano się wyniszczyć w sercu: »Dopóki rodzice potrzebni, dopóty tylko trwać może związek pomiędzy dziećmi a nimi; rodzice, powiada Helwecyusz, niekochają dzieci dorosłych, wówczas bowiem ojciec widzi w nich tylko chciwych spadkobierców swoich; a jeżeli kocha on swoje wnuczęta, to

dla tego właśnie, że widzi w nich wrogów swoich własnych nieprzyjaciół...« *(de l'Esprit)*. Dla zapobieżenia temu, aby uczucia rodzinne nienadwątlały uczuć obywatelskich, Helwecyusz radzi potargać związki krwi, ogłaszając w państwie jeden tylko związek pokrewieństwa cywilnego, to jest taki, że wszyscy obywatele są dziećmi jednego kraju.

Autor *Żywota Turgota* powiedział, że wielkiémi duszami są te tylko, które umieją najlepiéj nienawidzieć. Sami tylko uczciwi ludzie niegodzą się już nigdy, skoro raz tylko z sobą zerwą; niegodziwcy umieją szkodzić, albo mścić się, ale nieumieją oni nienawidzieć! Nienawiść podniesioną więc została do potęgi cnoty!!!

Brissot pisał *teorję* i *apologję* kradzieży!!!

Wszystkie te zgubne doktryny XVIII wieku przeszły do zasad materyalistów XIX-go wieku. Tak te, jak i tamte zarówno przypadły do zasad *kommunizmu*, które znoszą *własność i rodzinę*. Prudhon jest tylko następcą Russa i Brissota. *Interes*, jako podstawa moralna, występuje w teoryi Benthame'a. Sęsymoniści rehabilitując ciało dążyli tylko do urzeczywistnienia marzeń zeszłego wieku. Moleszott dowodzi dziś tak samo, jak dowodzono tego w XVIII wieku, że namiętności są niepohamowane, że występek jest tylko skutkiem charakteru, przeciw któremu nic niepomoże *wola*. *Ateizm* i *fatalizm* wracają napowrót na pole nauki. Emancypacya kobiéty dąży do zerwania związku rodzinnego, niemożna bowiem zawiązać związku pomiędzy dwiema samodzielnémi siłami. Marzą więc dziś o związkach naturalnych, o *wolnéj miłości*, o któréj marzył wiek XVIII, wyrażając to oto zdanie, że *une union fondée sur la tendresse, est une union plus pure, plus sainte, plus éstimable que le mariage*«. Jak gdyby małżeństwo niemogło być takim związkiem! Za wodzą takiego przekonania oszkalowano, obrzydzono we Francyi małżeństwo w romansach Sanda, a osobliwie w dziele Balzaka o *Fizyologji małżeństwa*.

Kiedy więc hasłem i jedynym celem życia u naturalistów jest szczęście samo, to cóż pocznie w nim człowiek taki, któremu życie przestało już się uśmiechać, dla którego ostygł żar namiętności, któremu, wreszcie, smutek i tęsknota wkradły się do serca, a zawody doznane napoiły goryczą to serce? O! krótka jest na to odpowiedź materyalistów, pozostaje mu *umrzeć*, odpowiada na to ich nauka, należy

dobrowolnie przerwać to życie niewdzięczne, niewarte wcale tego, aby niém żyć dłużéj. Samobójstwo jest także cnotą materyalistów, i to poczynając od Stoików starożytnych, mieniących, usty Brutusa, cnotę czczém słowem tylko, aż do mędrców najnowszych czasów. »Każdy nieszczęśliwy może przerwać wątek własnego życia, mówi Monteskie, *(Lettres persannes)*. Ludzie odbierający sobie istnienie z niesmaku, z przesytu życia, zaiste warci są tego, aby uważano ich o tyle za mędrców, o ile uważają się oni za ludzi pełnych odwagi«. *(De l'Esprit)*.

A cóż powiedzieć o tém, naprzykład, że w lekcyach publicznych, w naukach wykładanych młodzieży, i to w lekcyach *filozofji prawa* jeszcze znajdziemy apologię samobójstwa! Mówię tu o dziele Lerminiera. Szoppenhauer, filozof niemiecki, zapatrujący się na materję, jako na absolut, podziwia takoż samobójstwo Stoików rzymskich.

Niemyślmy jednakże, aby samobójstwo było dowodem odwagi; owszem, najczęściéj bywa ono tylko najpierwszym dowodem tchórzowstwa i ostatniéj słabości moralnéj. Rozpacz jestto największe niedołęztwo ducha. Chrześcjanin patrzy spokojnie i odważnie w oczy śmierci, prosi on Boga o śmierć przytomną. Przeciwnie, czytałem w gazetach, że materyaliści w Anglji założyli bractwo pomocy umierającym, a pomoc ta zakłada się na odurzaniu konających narkotykami, aby nieczuli oni tego, że umierają. Mirabeau, przed śmiercią, prosił lekarzy o mocną dozę opium *pour dormir!* Jestto więc takoż tradycya XVIII wieku!

Cóż mamy dodać jeszcze do tego, cośmy napisali? To chyba jedno tylko, że materyaliści, oprócz bractwa pomocy dla umierających, wynaleźli jeszcze pociechę jedną, mającą zaspokoić wrodzoną żądzę człowieka *przeżyć się* po śmierci ciała. Tego wielkiego wynalazku dokonał Edward Lowenthal; polega on na tém, aby, dla pocieszenia rodu ludzkiego po utracie wiary w nieśmiertelność duszy, sporządzić pięknie oprawną książkę ze złoconémi brzegami, dla wpisywania do niéj imion indywiduów zgasłych, *in aeternam rei memoriam,* tudzież ich cnot i występków! *(Die sociale und geistige Reformazion des XIX Jahrhunderts)*.

Leupold, lekarz-teolog z Erlangen, pozytywistom nowoczesnego materyalizmu słuszną dał naukę. »Ci, co za punkt wychodu przyjmują samą tylko materję zamiast Boga, mówi on, powinniby wyrzec się wcale wszelkiego badania uczonego, wszelkiego poszukiwania prawdy,

będąc bowiem, według własnego swego przekonania, drobną tylko cząstką przyrodzenia, jednym tylko atomem materji, niepodobną więc jest dla nich wcale rzeczą pojąć wielką całość natury i materji w ogóle, a tém bardziéj niemogą oni zgłębić wewnętrznych jéj tajemnic. Zmysły wskazują to, czém materja jest względnie do nich, ale czém jest ona sama w sobie, jestto tak niezgłębiona tajemnica, jak i to, czém jest duch!«

»Celui qui n'a jamais douté de l'éxistence de la matière n'a, assurement, jamais eu optimiste aux recherches métaphysiques«. Turgot.

Tym zaś, co chcą dziś uświęcić występek, należy powiedzieć to samo, co wyrzekł był kiedyś Fenélon: »Après tant des siècles de regne effréné du vice, la vertu est nommée encore vertu, et elle ne peut être depossedée de son nom« (Traité de l'exist. de Dieu).

Nauczeni smutném doświadczeniem, jakie nam podaje materjalizm wszystkich czasów, możemy powtórzyć w końcu tego artykułu za D-rem Franz'em, te oto wielkie i pamiętne wyrazy: »że jedynym odtąd symbolem prawdziwéj nauki przyrodzenia powinny być owe proste, a tak serdeczne słowa pacierza: »wierzę w Boga Ojca wszechmogącego, Stworzyciela nieba i ziemi!« (Die Praetensionen der exacten Naturwissenschaft). Bez téj bowiem jedynéj, a tak prostéj, wiary wszystko ginie w chaosie nicości i zepsucia, a nasamprzód ginie ta owa godność człowieka, o któréj tak wiele mówią, a tak mało myślą niestety!

Wracając teraz do założenia, położonego na początku téj rozprawy, możemy powtórzyć z zupełną, bo udowodnioną już licznymi przykłady, słusznością, że prawdziwa nauka jest ta tylko jedynie, która oświecając umysł kształci serce człowieka. Prawdziwe światło musi nietylko *oświecać* ale i *ogrzewać*. To, co świeci zdala, a niegrzeje, jest chyba owém próchném świecącém w ciemności, a zimném tak, jak zimném jest to wszystko, co jest początkiem konania i zgnilizny.

Mowcy duchowni niejednokrotnie, z gorącą wymową serca i myśli, ostrzegali z kazalnicy naród francuzki, aby on niewyziębiał w sobie ducha, duch bowiem jest najpierwszym, owszem, jest jedynym pierwiastkiem życia moralnego. Tak O. Felix mówił im to, że wszelkie, chociażby najświetniejsze nawet materjalne wynalazki, nic nieznaczą, skoro tylko lud utracił raz w sobie wiarę w życie ducha, tudzież wiarę w pobudki moralne własnego powołania swojego; wiarę w Boga, w

nieśmiertelność duszy, w obowiązki święte istoty rozumnéj. »Przy wszystkich wynalazkach wielkich nauki i przemysłu, możecie, mówił on, z wielkiego narodu zostać z czasem w dziejach jakby skarłowaciałymi chińczykami tylko«.

Przed nim inny jeszcze wielki mówca, Lacorder, mówił im to samo; cytując przytém liczne przykłady, zaczerpnięte z dziejów, dowodził im tego, że Chrystus zawsze zapiéra się tego ludu, który się go zaparł, niegodnie w swojém życiu. Kiedy Wolter, mówił on dalej, zacierał z ukontentowania ręce w starości, mówiąc swoim zwolennikom: »we dwadzieścia lat Pan Bóg przegra nareszcie swoją sprawę«, Galilejczyk ciosał wtedy trumnę dla spółeczn. franc.; kiedy później brutalna przemoc żołnierza targnęła się była na głowę kościoła, Galilejczyk ciosał także trumnę: była to trumna z wyspy ś. Heleny«. Przecież dumny ze swojéj wielkości naród niemógł uwierzyć temu, aby mógł on kiedy pogrześć w trumnie upadku obecną wielkość swoją i owe świetne laury swojéj wielkiéj przeszłości.

Jednakże zaledwo upłynęło lat kilkanaście od tych słów proroczych, sam ten naród poczuł już był to w końcu, że siła moralna odstąpiła go, że robak śmierci toczy już powoli wnętrzności jego. Henryk Rochefort wymówił, wreszcie, owe okropne słowo—upadek—*upadek Francuzów!* a dzieło jego: *»Les Français de la decadence«*, we trzy lata niespełna, miało aż sześć wydań w samym kraju! Niepokój wewnętrzny, jakieś przeczucie złowrogie ogarnęło było Francję. I już zaraz nastąpił dla kraju tego ów fatalny dzień, którego słońce miało oświecić stanowczą przegraną Francuzów pod Sedanem, niewolę Napoleona III i jego pysznéj stótysięcznéj armji, a niedługo potém nastąpił haniebny pokój dla kraju, dla kraju tego, którego dzieje przodkowały dotąd dziejom Europy całéj! Francuzi po raz pierwszy poczuli to w czynie, że siła ich opuściła, a na miejsce ich potęgi, weszła w ciało narodu słabość, niedołęztwo i upadek. Zrozumieli oni wreszcie tę prawdę wielką, że potęga materjalna nic nieznaczy przy słabości ducha i serca narodu!

Po odstąpieniu nieprzyjaciela, ręka słaba przed chwilą jeszcze na jego porażenie i odegnanie z własnego kraju, podniosła się już dla bratobójczéj walki. Z ustąpieniem wiary i moralności lud upadł, a Eu-

ropa z przestrachem czeka dziś tego, aby niespełniła się rychło na nim owa przepowiednia sławnego mówcy o Galilejczyku, *cieszącym stale trumnę dla każdego narodu, który obumarł duchem i znikczemniał sercem.* Biada, kiedy poświęcenie i cnota obrońców Francji niezdołały obudzić sobą w ciele narodu całego ducha zgody, pokory, miłości, ducha wiary i nadziei! Rzekłbyś, że od czasu Woltera, zadaniem Francji są same tylko przewroty polityczne. Tak być musi, skoro obyczaje narodu, osobliwie klassy ucywilizowanéj, utracą główną podstawę życia moralnego, wiarę w to, co się niezmienia, bo jest bezwzględne, bo jest Boskie, bo jest wieczne!

Bez serc, bez ducha tu szkieletów ludy.

powiedział poeta o takich strupieszałych społecznościach.

MIŁOSIERDZIE — STRONA CZYNNA POTĘGI MIŁOŚCI.

p. A. Nowosieleckiego

Dziś w ekonomji politycznéj zapewne jedném z najważniejszych zagadnień jest kwestya pauperyzmu; dziś nauka widzi to jasno, że właśnie od załatwienia téj kwestyi zależy cała przyszłość cywilizacyi Europy. Pauperyzm jest zaiste najboleśniejszą raną ludzkości, obejmuje on w sobie to wszystko, co tylko poniża i gubi tak człowieka, jak i ludzkość całą. *Pauperyzm* jest dziś równoznacznym wyrasem z barbarzyństwem. Dawniej cywilizacja obawiała się najścia ciemnych hord Wandalów, Hunnów, albo Mongołów; od tego czasu jednakże, kiedy Europa wzięła górę nad dziczą Azji; kiedy jéj nauka i broń odniosły wreszcie stanowczą przewagę nad dziczą, obawy jéj uspokoiły się w téj mierze, otucha wstąpiła do serca, i Europa była już odtąd pewną tego, że jéj cywilizacja niéma już czego obawiać się w przyszłości, wywiesiła więc ona śmiele swój sztandar, na którym powiewała dumnie dewiza *światła* i stanowczego na przyszłość *postępu*. W ułudnych snach swoich ludzkość marzyła już o raju ziemskim. Jednakże rewolucja francuzka dowiodła jéj tego dotykalnie, że zapasy jéj z barbarzyństwem nieskończyły się jeszcze dla niéj; przekonała się ona o tém, że barbarzyństwa niepotrzeba było szukać dla niéj w stepach Azji, w Wandalach, Hunnach i Mongołach, ale że kryje się ono w niéj saméj, w saméj jéj istocie, w jéj własném sercu i w samym ustroju jéj społeczności. Pokazało się, że barbarzyństwo jestto zepsucie, ciemnota, pauperyzm, nienawiść wreszcie biednego dla bogatego, z któréj wynika wszelkie zło, wszelka niezgoda, wszelki zaród rewolucji, rewolucji! owego strasznego wyrazu, przed którym drzą społeczność i cywilizacja współczesna. Prawda ta została

wypisana krwawémi zgłoskami na karcie dziejów Europy. Z obawą, ze smutkiem, z niepokojem pogląda dziś myśliciel w przyszłość, będąc tego przekonania, że dopóki ubóstwo będzie miało miejsce w społeczności naszéj, dopóty jego świetne nadzieje postępu i cywilizacji niezostaną nigdy urzeczywistnione, a miecz Damoklesa nieprzestanie wisieć nad nami w postaci barbarzyństwa, wyobrażającego się ustawicznie w krwawych, bratobójczych zapasach *rewolucji*.

W XVIII wieku jeszcze racjonaliści poczęli badać tę krwawą ranę pauperyzmu, a to w celu jéj uleczenia. Chrześcjanizm leczył ją dotąd słowem pociech religijnych, poświęceniem się braterskiém apostolstwa, jałmużną wreszcie. Racyonalizm odrzucił ze wzgardą tę indywidualną pomoc braterskiéj miłości, widząc w pauperyzmie chorobę społeczną, szukał więc on dla niéj środka w przerobieniu radykalném saméj społeczności; socjalizm rewolucyjny wreszcie przewrócił społeczność całą do góry nogami, zburzył do szczętu podwaliny same społecznego porządku, a mianowicie, *własność* — dziedzictwo, a wywieszając sztandar równości, braterstwa i swobody, głosił już przed światem zwycięztwo nad tym smokiem starym wszelkiego zła społécznego. Ale walki te oprócz krwi, morderstwa, łez, zbrodni niesłychanych, oprócz większego jeszcze daleko zepsucia, nienawiści ubogich i niższych, dla bogatszych i wyższych, oprócz braku religji w sercu nędzarza, nic a nic nieprzyniosły w rezultacie ostatecznym, okrom chyba nasienia wiecznéj niezgody i wojny. Rewolucja posiała, jak ów Kadmus starożytności, zęby smoka, żeby pożąć z nich bezbożność, a w skutek jéj nędzę, zepsucie i bratobójstwo. Potrzebaż dziwić się temu, kiedy rewolucja socyalna dokonała najstraszniejszéj rewolucji religijnéj i moralnéj!? Wszystko tu wywrócono na opak; idee, niby postępowe, przyszły wreszcie do zaprzeczenia wszystkiego tego, czém tylko żyło dotąd poczciwe serce indywidualnego człowieka, czém żyła, rosła i rozwijała się ludzkość; wszystkiego tego, co stanowiło dotąd jéj godność i wielkość razem. Socjalizm i rewolucja, w osobie Prudona naprzykład, ogłosiły, w wieku naszym, całému światu, że Bóg osobisty jest *złem*, a własność jest *kradzieżą*. Dokonał się tu więc zupełny przewrót wszelkich pojęć ludzkich. Bóg, ów cel miłości całego ludzkiego życia, ów cel wszystkich jego najszczytniejszych, najświętszych dążeń, stał się według téj teorji przedmiotem nienawiści i wzgardy, a rabunkowstwo i złodziejstwo, wraz z wywróceniem pojęcia o własności, zostały

opromienione niejako glorją męczeństwa. Rabusie i złodzieje, według wyobrażeń socjalizmu, zostali świętymi nowego kalendarza rewolucyjnego. Czy słyszeliście kiedy o takiém, niesłychaném jeszcze dotąd w dziejach człowieczeństwa, pohańbieniu, splugawieniu serca ludzkiego, o takiéj obrazie majestatu Bożego, o podobném podniesieniu *zbrodni* i *bluźnierstwa* do godności naukowéj teorji? Czytając takie i tym podobne rzeczy, płakać i rumienić się nam przychodzi nad kolejami spekulacji wieku naszego. Do tego przecież przyprowadziły nas swoboda myślenia i teorja mniemanego postępu.

Pomimowoli więc myśl i serce pytają się z przerażeniem, zkąd mogły były powstać i urość podobne, niesłychane dotąd w dziejach myśli ludzkiéj, absurda? Rumieniec wstydu oblewa twarz myślącego człowieka i, przy podobnych spekulacjach rewolucyjnego pokolenia, mimowoli powtarza się w myśli słowo Hamleta: »*boję się, boję się ja o człowieka!*« i boję się takoż o przyszłość całą ludzkości, dodaje się potém w duszy.

Ludzkość, wściekła i podburzona rewolucjonizmem, leży przed nami w łachmanach krwią i zepsuciem zbluzganych, leży jak nędzarz pijany, wyrzucony z szynkowni, rzucający się w kurczach konwulsji, nieprzytomny i wyrzygający niesłychane bluźnierstwa niebu, ludziom, a razem i światu całemu!

Okropny zaiste obraz, obraz taki, jaki chyba może tylko podać wyobraźni szalona myśl człowieka, trapionego snami gorączki, lub też najostateczniejszéj rozpaczy! Jedno piekło tylko i to w głowie potępieńców, mogłoby było wydać na jawie podobne bluźnierstwa Bogu, cnocie i rozumowi, bluźnierstwa, miotane przeciwko wszystkiemu temu, do czego tylko ludzkie serce pałało dotąd miłością i zarazem uwielbieniem najwyższém. Cywilizacja wieku naszego przytknęła w podobnéj teorji, nie już do barbarzyństwa, ale do stanu dzikości i kannibalizmu. Jeden Kain tylko chyba mógł był wyrzec słowa podobne w obliczu nieba i ludzi.

Niedarmo nastręczyła mi się tu myśl o Kainie. Nie sam przypadek nasunął mi na usta to straszne imie bratobójcy i pierwszego na świecie bluźniercy.

Bóg stworzył ludzi w miłości i społeczności z sobą; byli oni jego

dziećmi i jego poddanymi razem: kochali go oni jak ojca, pana, nauczyciela i prawodawcę. Objawienie Boże uczy nas tego, że pierwsi ludzie niebyli istotami dzikiémi, ale istotami ucywilizowanémi, żyli oni w prawdzie Bożéj i miłości bratniéj; ich umysł i serce były ogniskiém jednoty społeczności ludzkiéj.

Ale zaraz prawie po zawarciu tego związku grzech zerwał tę jedność bratniego serca. Kain (u Celt. Gain, któreto imie tłumaczą to *nieprzyjacielem Boga*, to zamiłowaniem *korzyści*, *chciwości*), zapaliwszy się zawiścią i nienawiścią ku bratu swemu, dokonał zbrodni bratobójstwa. Powstało więc dwie społeczności na świecie: społeczność Kainitów i społeczność Sethytów, dzieci Bożych i dzieci ludzkich, czyli powstały były, społeczność zostająca pod wpływem nauki i miłości Bożéj i społeczność ludzka, która przerodziła się zczasem w społeczność pogańską. Widzimy tu więc dwa wcale odrębne porządki rzeczy: porządek ugruntowany na nauce i miłości Bożéj i porządek ugruntowany na samym tylko interesie ludzkim. Nauka Boża za podstawę społeczności podawała *miłość*, społeczność zaś Kainitów szukała celu życia w samych tylko dążnościach samolubstwa, czyli w *korzyści* materjalnéj.

Toż samo rozpadnięcie się społeczności wywinęło się było także w rodzie ludzkim po potopie. Chamici rozwijali daléj zepsucie Kainitów, społeczność ludzką, w któréj człowiek dla człowieka niebył bratem, ale stał się wrogiem. Pojawiła się na świecie niewola, jako podstawa społeczności ludzkiéj. Nieprzyznawano już pierwotnéj jedności rodzinnéj: wyraz cudzoziemiec, *gość*, oznaczał np. razem u Rzymian *wroga* (hostis). Ludzi zabłąkanych, albo wyrzuconych morzem na ląd, rozbitków, przynoszono na ofiarę krwawemu bóstwu. Odbywano polowania na ludzi. Nemrod był takim myśliwym, jak się tego można domyślać. Ale niedziw, kiedy Arystoteles nawet, ów wielki filozof pogaństwa, dowodził tego w Polityce swojéj, że ludzie jedni rodzą się do swobody, drudzy zaś do niewoli. Sama nawet idea jedności rodu i braterstwa ludzkiego została zatraconą. W Indji kasty wyprowadzano z rozmaitych członków bożych, i tak, kiedy bramini wyszli byli z głowy, kszatryjasy (wojownicy) z piersi, a wajsiasy z rąk Brahmy, to niewolnicy powstali z nóg jego; ztąd więc mogli się oni tarzać dowolnie w prochu i błocie, a to bez żadnego upodlenia ze swojéj strony. Widne

są takoż ślady podobnéj wiary w Grecji. U innych plemion ludzie dzielili się na lud biały, czyli lud swobodny, i na czarny, czyli lud niewolniczy. Mało tego, wszędzie dochowały się były bajki o olbrzymach jednookich, ścigających i pożerających ludzi. Olbrzymi ci wystawiają się jako czarodzieje, genjusze złego: *genius*, *géant*, *gigas*, *ken* chińczyków, *żin* arabów, jestto owe pierwotne przeklęte plemie czarnoksiężników, zaprzedanych złemu duchowi kainitów, a potem chananejczyków. Ich Bóg Moloch, któreto imie oznacza *pana*, żywił się krwią i łzami ludzi, najmilsze dla niego były ofiary z dzieci maluczkich, z pierworodnych, które matki same musiały mu rzucać w rozpaloną ogniem paszczę miedzianego byka. Jeżeli więc takim był bóg, jakiemiż tedy musieli być jego wyznawcy? Uczty konnibalów były kommunją téj krwawéj społeczności; w nich bóg i jego lud wierny nasycali się u ołtarza krwią niewinniątek. I dzisiejsi kannibale wysp oceanu uważają ucztę z krwi i ciała ludzkiego za jednoczenie się z bogiem swoim. Poganizm zawsze i wszędzie był okropną, krwawą religją nieubłaganego boga. Wyrzucanie dzieci na rzeki, na drogi, odnoszenie ich do lasu, było religijnym zwyczajem poganizmu. Znanym on był w Indji, praktykuje się dotąd w Chinach; znali go Persowie, Grecy, Germanie i Słowianie Herkules był w Grecji opiekunem dziatek wyrzuconych. Szczególniéj losowi temu ulegały biedne nowonarodzone dziewczęta.

Możnaż wątpić o tém, że poganizm był jawnie wyznaniem i czcią złego ducha?

W społeczności poganizmu objawiały się stale egoizm, chciwość, chęć podboju dla łupu i zdzierstwa, okrucieństwo wreszcie i lekceważenie człowieka i krwi jego. Wyrazy: *virtus* u Rzymian, *arete* u Greków, oznaczały nie moc serca, moc podbijającą namiętności własne, a tę tylko moc ducha ludzkiego, która gardzi niebezpieczeństwem dla wyniesienia się własnego, lub własnéj korzyści; zaledwo czasami tylko u kilku bohatérów, jak Drakona i Regulusa, wznosiła się ona do pojęcia poświęcenia się dla korzyści i podniesienia własnego kraju. Ta miłość kraju wreszcie była pewną *oderwaną* miłością społeczności, niedającą się wcale zastosować do miłości oddzielnych jéj jednostek. Jeżeli były czasami objawy pięknéj strony ludzkiego serca, to były dlatego, że Bóg nieopuszczał całkiem tych dzieci wyrodnych i wpośród

samego ostatecznego zepsucia i zmateryalizowania były one zawsze tą krwią Adamową, którą opiekowało się Bóztwo, i z któréj miał był kiedyś powstać Zbawiciel świata. Społeczność zawsze była społecznością, a nie massą dziczy zbydlęconéj. *Rozum, serce, mowa*, owe podstawy społeczne, trwały zawsze w duchu ludzkości upadłéj; tkwiły one, jak żar w popiele; dla tego więc możebnémi tu były jeszcze cnoty pewne, możebnémi spekulacje Sokratesa i Platona; możebnémi wreszcie utwory sztuki, jak dzieła Homera, Pindara, Eschyla, Sophokla i Eurypida; wykwitały one tutaj tak, jak widzimy, czasami, wonne kwiecie na zgangrenowaném i nawpółzeschłém już drzewie. Ale było to kwiecie bez mocy żywotnéj, kwiecie niewydające z siebie wielkich czynów moralnych. Starożytność miała wprawdzie wielkich mężów, czytamy żywoty ich w dziele Plutarcha, ale czém, pytam, byli ci mężowie przy mężach chrześcjańskich? Sam Wolter przyznał był nawet, że starożytność zdobyła się była na jednego tylko Epikteta wtedy, kiedy chrześcjanizm wydał z siebie bez liku mężów świętych. Taka sprzeczność pomiędzy filozofją, a religją odcechowała społeczność pogańską osobliwszymi kontrastami. Rzym np. znosił ofiary z ludzi składane Molochowi u chananejczyków, w Sycylji, lub u ludów celtyckich, palone tam na cześć bożka Teutates'a, a do ostatnich czasów państwa rzymskiego jeńcy wojenni w cyrkach rzymskich zabijali się wzajemnie pod imieniem gladjatorów, w obliczu całéj ludności obywateli rzeczypospolitéj, konali w mękach przed oczami kobiet, owych matron poważnych Rzymu, lub też zmuszano ich bić się z dzikiémi zwierzętami i patrzono chciwém okiem serca okrótnego na ostatnie męczarnie tych nieszczęśliwych ofiar przewrotnego losu wojny. Kroniki wspominają o lwie Androklesa, którego serce zmiękczyło się było na widok swego zbawcy; zamiast by miał wytoczyć krew ofiary swojéj, lew położył się przed tym niewolnikiem i lizał mu ręce; żaden jednakże historyk niezapisał nam tego, aby ktokolwiek bądź z widzów zapłakał nad losem nieszczęśliwego, uznawszy w jego rozdzierających duszę jękach głos cierpiącego brata. Owszem, kronikarz jeden zapisał owe sławne słówko pewnéj rzymianki o tém, jakoby niewolnik niebył w jéj oczach człowiekiem!

Zaiste tak było! Niewolnik niebył człowiekiem w oczach pogaizmu; dręczono tych biednych ludzi trzymając w ciasnych lochach, jak bydło; pastwiono się nad ich ciałem, a niezdatnych do pracy, wysłu-

żonych, starych niewolników rzucano w Rzymie do sadzawek na pastwę murenóm. To było w Rzymie; a jakiż był los niewolników gdzieindziéj? O! dość będzie zapewne przypomnieć sobie, w téj mierze, los Ilotów w Sparcie, w owéj Sparcie, któréj obywatele wystawiali się przed światem, jako wzór cnotliwych obywateli! Cóż stało się tedy w owe czasy z sercem człowieka, co je dotknęło było takiego, że ono tak wyschło było, tak *oniemiało* na wszelkie zacne uczucia ludzkości? Ach! przeszło oto przez nie tchnienie materjalizmu religji pogańskiéj: ludzkość znała wówczas tysiące bóstw rozmaitych, ale nieznała ona imienia jednego prawdziwego Boga, Boga-Ojca całego stworzenia, Boga *prawdy, cnoty* i *miłości*, przedewszystkiém téj miłości właśnie, która była początkiem stworzenia wszech światów. Bóg stworzył świat w miłości; miłością wszystko stoi, żyje i postępuje na świecie; brak miłości jest brakiem życia, a razem brakiem uszczęśliwienia i zadowolenia na świecie. Miłość jest jakby światłem dobroczynném, wywołującém życie; brak miłości jestto ów pierwiastek ciemny, zgubny, pierwiastek *śmierci* jednem słowem.

Niedziw więc, że społeczność pogańska była społecznością bez serca, że w jéj łonie wyrodziła się była straszna plaga *proletarjatu*, plaga, któréj imie samo powstało było u Rzymian. Proletarjat pochodzi od wyrazu *proles*, dzieci. Pod imieniem proletarjatu Rzymianie rozumieli tę nieszczęśliwą klassę ludzi żyjących w niewoli, która rozmnażała nędzę, mnożąc sobą *ludność*, wydając na świat *dzieci*.

Tu się też, wpośród zbytków Rzymu, zrodziła była myśl *kommunizmu*; powstała ona była z podstawy wprost przeciwnéj miłości człowieka względem człowieka, powstała ona bowiem z zawiści słabych i uciemiężonych, wpośród owéj tłuszczy właśnie, która, żyjąc z dnia na dzień tylko, widziała w pracy same tylko swoje nieszczęście, a w lenistwie cały raj swój niejako. Tłuszcza Rzymu chciała była z kolei spożywać tylko cudzą pracę tak samo, jak patrycyusze rzymscy, owi łupieżce całego świata, pożerali zdobyte kraje. Żołnierze rzymscy odwoływali się ustawicznie do swego *lex agraria*, prawa podziału krajów zdobytych pomiędzy zwycięzców, a tłuszcza próżniacza wołała wściekle, biegając po ulicach miasta: *chleba* i *zabawy*: panem et circenses!

Katylina zrozumiał już to był dobrze, że chcąc przekształcić, chcąc

zrewolucjonizować społeczność starą Rzymu, znajdzie on do tego gotową dźwignię w zawiści tłuszczy ubogiéj, jaką ta żywiła w sercu swém przeciwko panom świata, przeciwko *możnym*. Salustyusz mówi (In Catilin. CXXXVII), że za wodzą tego Mirabeau czasów rzymskich, powstali byli przeciwko rzeczypospolitéj arystokratycznéj Romy ci wszyscy, którzy niemieli nic do stracenia w rozruchach, a spodziewali się w nich, od razu jednego, wszystko dla siebie pozyskać: nie mając nic sami, powiada, zazdroszczą tym, co mają. Niezapomnijmy o tém, że tak oto przemawiał sam łupieżca, niegdyś prokonsul rzymski, ów zepsuty do gruntu filozof—historyk, mąż bez serca.

Zaiste dziwna to filozofja! Ale taką ona była w rzeczy saméj, do tego bowiem doszła była mądrość owego czasu, że człowiek stwardniał w niéj tak jakby głaz, jakby owa stal miecza rzymskiego, która podbiła była sobą świat cały.

Myślicie może, że przesadzam, że tylko jaki nieszczęśliwy wyjątek biorę za normę całéj cywilizacji rzymskiego świata? Mylicie się. Nawet sama poezja, ów głos wdzięczny czystego zwykle serca, owa pieśń tęsknoty człowieka do wieczności, do najwznioślejszych ideałów, do pozaświata, nawet poezja, mówię, myślała tak samo. Nietylko ów Horacy stary był materjalistą bez wiary, bez uroczego kwiecia duszy ludzkiéj w piersi wyschłéj od przesytu i zepsucia, ale Wirgili nawet, ów epiczny poeta Rzymu, podnoszący do ubóstwienia rzeczpospolitę, opiewający losy Eneasza pobożnego, widzi tylko w mędrcu męża bez serca, widzi w nim człowieka obojętnego na wszystko, tak na złe jak i dobre! Mędrzec, według Wirgila, niepowinien ani litować się nad nędzą, ani zazdrościć bogatemu,

. . . . . . Neque ille
Aut doluit miserans, aut invidit habenti.

Georg. II v. 499.

Powiecie może, że Wirgila i Horacego, przyjaciół Augusta, zepsuł może był sobą przepych dworu cesarskiego; że może było inne jakie serce poety, dla którego łza niedoli, lub jęk nędzy miały czasami tęskne współczucie w głębi ukrytéj duszy. Jakże, powiecie mi, można być poetą bez serca? ten, co kocha piękno, co szuka go w przyrodzie, w człowieku i odtwarza w dziele swojém, jakżeby mąż taki mógł być

niemym na niedolę człowieka? Jakże ta dusza wrażliwa, w której wszystko w głębi znajduje pewne echo tęskne; jakże niemiałaby ona współczucia, litości, a chociażby tylko łzy jednéj dla niedoli człowieka? Poeta, co kocha twory Boże, jakże mógłby być obojętnym dla najpierwszego tworu Bożego, dla człowieka, a nawet dla ludzkości? Czyż ludzie ci niecierpieli sami, czyż nigdy niezaznali oni niedoli, niebolèli, niewyciągali ręki do ludzi, czyż niedoświadczyli nigdy téj czystéj rozkoszy otrzymania pomocy od sobie podobnego?

Posłuchajcie. Plautus sam był nędzarzem; zakosztował on zamłodu gorzkiego chleba niewoli. Aulus-Gelliusz mówi o nim, że był czas, kiedy dla wyżywienia się, ów poeta komiczny, ozdoba Rzymu, musiał był obracać żarna. Smutny i jedyny może szczegół w życiu poety! Ach! przy téj mozolnéj pracy, z każdą kroplą znoju, z każdą krwi kroplą, musiała była, zdaje się koniecznie, powstać w tém sercu jakaś myśl poczciwa dla ulepszenia doli wydziedziczonych współbraci, dla biedaków pozostających na świecie, tak samo jak on, bez zapewnionego sobie kawałka, chociażby nawet suchego, chleba. W takim stanie opuszczenia musiał był on koniecznie pomyśleć o miłości bratniéj, o pomocy, o jałmużnie w imie Boga podanéj nędzarżowi!

Ale wiecież, co on powiedział o jałmużnie? Oto, powiedział on te słowa okrutne, słowa, które zdaje się niemogły były być wymówione nawet wpośród społeczności pogańskiej, nawet społeczności rzymskiéj, tak zepsutéj i bezbożnéj, bo i poganie byli ludźmi, bo i oni mieli serce: jak bowiem można wystawić sobie społeczność całą bez serca? Społeczność, to ojcowie, mężowie, to synowie, córki, bracia, a wszystkie te związki opierają się na sercu, jakże tedy poeta mógł być bez serca?

Mówimy tu nie o społeczności całéj, lecz o klassie oświeconéj, dla któréj oświata fałszywa była zepsuciem, samą tylko trucizną ducha.

Otwoż Plaut tak wyraża się o jałmużnie. Po co, powiada on, dawać jałmużnę nędzarzowi? Jestto tylko tracić grosz marnie, na to jedynie, aby na jakiś czas *przeciągnąć jego nędzne życie!*

Tak powiedział człowiek, któren obracał żarna, nająwszy się do tego piekarzowi, człowiek, którego budził codziennie ów straszny okrzyk niewoli rzymskiéj: *ad molam!* (daléjże do kamienia młyńskiego!).

Po co przedłużać żywot nędzarza? Czy słyszycie to słowo? Pod

témi słowy kryje się straszna myśl, myśl zaradzenia téj klęsce ludzkości śmiercią. Precz ze zgłodniałymi, niech zginą raczéj!

Mowa, słowa, może czcze tylko słowo, może ironja myśli tylko? O, nie czczém to było słowem, niebyło to sobie słówkiem na wiatr tylko rzuconém! Słowo rodzi się z duszy, a w tém źródle żyje obok wola, a z woli wychodzą czyny. Cywilizacja oparta na zepsuciu, na niewierze, jest plagą ludzkości.

To, co u Plauta było ironją może, czczém słówkiem, u Nerona stało się środkiem ekonomicznym; tyran ten odrazu jednego uwolnił Rzym od żebraków, kazawszy ich wszystkich potopić w morzu.

Dziwimy się tyranji cesarzów Rzymskich; dziwimy się temu, że tyrani ci, jak Tyberjusz na wyspie Kaprei, lubili się patrzéć na męczarnie konania; historycy niemogli pojąć téj dziwnéj choroby duszy lubującéj się w konwulsyjnych drganiach niewinnéj ofiary, w jéj jękach rozdzierających duszę, w jéj krwi, któréj napawali się widokiem upajającym. Dziwiono się temu powiadam, a pomimo to tyran świata, ów naród rzymski, zchodził się tłumami patrzéć na śmierć gladjatorów w cyrku. Cyrk, owa świątynia poganizmu, był szkołą wychowawczą rzymskiego ludu, wołającego o chleb i igrzyska. Owe igrzyska były chlebem dla ich duszy, tak jak chleb powszedni był chlebem, żywnością dla ich ciała.

Obok tego ludu rzymskiego, żywiącego duszę krwią i męczarnią, jakże dziwnémi zaiste musiały się były wydawać nauki Tego, który w życiu swojém nieprzełamał nawet trawki ku ziemi nachylonéj, Tego, o którego żywocie całym powiedziano, że przeszedł po ziemi czyniąc dobrze ludziom. *Pertransivit benefaciendo!*

Nauka chrześcijańska opierała społeczność ludzką na społeczności z Bogiem. Bóg był ojcem, a wszyscy ludzie byli sobie bracia. Z téj nauki wypływały takie maxymy, jak: nieczyń tego drugiemu, co tobie niemiło; była to maxyma ujemna; maxyma zaś dodatnia głosi: będziesz miłował pana Boga twego z całéj duszy twojéj, z całego serca twego, a bliźniego twego, jako siebie samego.

W nauce téj wielkości człowieka niemierzono jego męstwem, ogromem podbojów, albo tryumfami wojennymi; w obliczu nieba bowiem, które było celem życia ziemskiego, czemże była, czémże mogła być ziemia? Chrześcijanin mierzył ziemię nie mieczem, a sercem, miłością.

O sercu chrześcjanina można było powiedzieć to, co powiedziano o sercu apostoła narodów: *Cor Pauli—cor mundi!* Wyrzekł to Augustyn święty, że serce ludzkie *na Boga uczynione*. To serce, które miłością swoją mogło ogarnąć Boga—Ojca, jakżeby niemogło było ogarnąć ludzkości całej w jednym uścisku bratnim, owéj ludzkości, dla zbawienia któréj przyszedł na świat Chrystus Pan; za którą wylał On krew swoją na krzyżu? Cały świat stał się dla chrześcjanina ojczyzną, wszyscy ludzie braćią, a dla nawrócenia, dla zbawienia bliźniego, nikt nieżałował nietylko mienia swego, ale krwi swojéj nawet. Apostolstwo i miłosierdzie szły z sobą w parze, jakby dwa wielkie dary: jałmużna nauki i jałmużna serca. Dotąd duma, wyniosłość dzieliły ludzi, u Chrystusa miłość i pokora wiązały z sobą ich, a wszystko wyrażało się w ofierze siebie samego dla bliźniego.

Bez miłości i apostolstwa niemasz wcale na ziemi środka zaradzić ubóstwu i nędzy, które Bóg namaścił dla tego wielkim wysokim charakterem. On sam przyszedł na świat ubogi, sam pożywał chleb jałmużny, sam nauczał, aby na przyszłość w ubogim nędzarzu widziano Jego Samego. Kto podał kubek wody ubogiemu, kto przyjął w dóm swój nędzarza, ten napoił Chrystusa, ten przyjął w gościnę samego Zbawcę swojego.

Przy tak wielkiém znaczeniu ubóstwa, nędza stała się czémeś, mystycznem, świętém, ma się rozumiéć nędza przyjęta z rezygnacją i uczczona miłością bliźniego. Ludzie uganiali się dotąd za wielkościami, tytułami, a Bóg oto podniósł z prochu Łazarza i opromienił go glorją świętości Boskiéj. Przyjdą z koléi potém czasy, kiedy dzieci królewskie zamienią koronę i berło świata na kij i torbę żebraczą braci maluczkich (minorytów). W rzeczy saméj, czyż wyrzec się wielkości ziemskiéj, wzgardzić nią, czyż stać się dobrowolnie ubogim nędzarzem, dla miłości Boga i człowieka, niejestże to prawdziwą wielkością?

Nędza odstręcza od siebie samym swoim widokiem, ale Chrystus przyoblekł ją wielkością.

Błogosławieni ubodzy w duchu, albowiem ich jest królestwo niebieskie. Oto jest najpierwsze błogosławieństwo Chrystusa.

Błogosławieni, którzy płaczą, albowiem oni będą pocieszeni. Oto wielka otucha dla nędzy: łzy nasze i nasze westchnienia są policzone; w naszym smutku niejesteśmy sami; czuwa nad nami *pociecha Boska.*

Błogosławieni miłosierni, albowiem oni miłosierdzia dostąpią. Serce miłosierne miłością swoją wchodzi w pewną jednotę z sercem Bożem.

Pięknie powiedział w téj mierze Augustyn święty: Nic niémasz większego nad duszę miłosierną, chyba sam Pan tylko, który zséła na nas ducha miłosiernego. Zdaniem Bernarda Ś-go, miłosierdzie jest miarą wielkości i doskonałości. Samo poczciwe usposobienie serca już nas podnosi. Grzegorz Ś-ty mówi, że nietylko przynosi nam zasługę to, co robimy, ale to nawet, cobyśmy chcieli uczynić za wodzą téj chęci świętéj. Serce nasze rozpalając się w miłości rozszerza nasze władze duchowe.

Serce nasze jest ogniskiem woli, tu się kryje wszelka moc i wszelkie pobudki działania człowieka. Nauka Boża, działająca skrycie na te ukryte od oka źródło moralności wszelkiéj, musi być koniecznie przez to samo, podstawą świata moralnego, podstawą wszelkiéj nauki o życiu człowieka jako jednostki i ludzi, jako ciała społecznego. Nietylko teologowie sami przyznali to, ale nieraz nawet sam umysł uprzedzony musi to zeznać, skoro się tylko nad tém pilnie zastanowi. Proudhon, naprzykład, zastanawiając się nad życiem społeczném, powiedział: zaiste dziwną jest rzeczą, że w głębi naszéj polityki, musimy zawsze w końcu spotkać się z teologją. Dziwił się temu Proudhon, niepojmując zapewne tego, że serce nasze w Bogu samym karm' swoją znajduje, że sam cel istnienia ludzi i narodów znajduje się nie na ziemi, a *w wieczności*. Istoty nieśmiertelne niemogą dać wyrozumiéc się doczesnością. Kto chce zrozumiéć człowieka, ten musi koniecznie w wieczność sięgnąć. Zaiste jestto wielka prawda, któréj niepojmują dziś racyonaliści i dla tego dla nich najpierwsza nawet karta psychologji, dziejów, ekonomji, saméj filozofji wreszcie, zostaje zakrytą. Renan wyrzeka się nawet téj myśli, aby można było kiedy odkryć cel istnienia człowieka na ziemi; odrzuca to on, jako niepotrzebne a próżne zaciekanie się tylko. Ale kto niezrozumiał téj najpierwszéj zagadki życia, jakże ten pojmie wszelkie inne?

Świat ten stworzony w miłości, miłość więc najwyższa musi być koniecznie ostatecznym celem ludzkości: miłość bowiem jednoczy Stwórcę ze stworzeniem.

V. Cousin, pantheista, w jednéj z ostatnich edycyj dzieła swego: *O prawdzie, pięknie i dobru*, woła: »*Sursum corda!* voila toute la philosophie, celle que nous avons retenu de toutes nos études!« Rzecz dziwna,

że doszedłszy do tego pięknego przekonania, niestał się on z panteisty chrześcijaninem!

W społeczności ludzkiéj bojują z sobą dwie, wręcz przeciwne sobie, namiętności: samolubstwo człowieka, interes własny, z ofiarą dla drugich, z poświęceniem, czyli, jedném słowem, z miłością. Widna tu najwyraźniéj skażona wola człowieka, owa wola, któréj ogniskiem jest serce ludzkie. Główném zadaniem jest tutaj spojenie własnego serca z sercem Bożém, z sercem owego wielkiego miłośnika ludzkości; Syn bowiem Boży tak gorąco ukochał człowieka, że wziął na się winy jego i dla zmazania tych win oddał się dobrowolnie na męczeństwo i poniósł zań śmierć haniebną na krzyżu. Co za piękny, co za wzniosły, co za święty wzór mamy w osobie tego miłego Boga—człowieka! Wzór ten uczy nas przykładem własnym; uczy na wszystkie czasy, jak mamy kochać bliźniego, jak mamy wspólnie nieść krzyż pański na ziemi, jak mamy wspólnie wspierać jeden drugiego i tuląc się po bratersku w jedno grono wielkiéj rodziny na ziemi, jednocząc w jedno zasługi nasze i nasze cierpienia, dążyć wspólnie coraz wyżéj, wspinać się coraz więcéj w górę, aż staniemy wreszcie u progu domu Ojca Przedwiecznego, tak jak ów syn marnotrawny, żałujący za swe winy, a nie tak jak czynił ów drugi syn, który uciekał z domu ojca i oddzielał się samolubnie w sercu ojca od upadłego i upodlonego brata swojego.

Sam Chrystus Pan zapewnił nas o tém, że zawsze będą na ziemi, pomiędzy nami, ubodzy, tak jak zawsze będą pomiędzy nami bracia słabsi duchem i wolą, ludzie ciemni i występni. Przykazał On nam przeto pomagać sobie wzajemnie; pomoc ta zwie się w kościele chrześcijańskim jałmużną *świętą*; w rzeczy samej świętą, gdyż jest ona owocem miłosierdzia, owéj cnoty, woniejącéj niebem, jakby woń nieziemskiego kwiatu, wyrosłego na ofierze, na zaparciu się siebie; a tak pojęta jałmużna jest wielką dźwignią doskonałości, związkiem serc ludzkich; ma ona w sobie siłę mystyczną, którą ją zwyż namaszczono. Jałmużna taka niejest wcale dziełem pychy bogacza, ale owszem dziełem pokory i miłości istoty niedoskonałéj, która ją podnosi, jednocząc serce nasze z Kościołem, ową rodziną szczytną na ziemi i z Ojcem wszelkiego stworzenia, wszelkiéj cnoty, prawdy i doskonałości. Miłosierdzie prawdziwe zarówno błogosławi tak tę rękę, która daje, jak i

tę, która przyjmuje; a jałmużna prawdziwa nierzuca się z pogardą potrzebującemu, ale daje się wprost jakby z jednego do drugiego serca.

Ci, co chcą znieść jałmużnę, są pysznego, ziemskiego ducha. Nieprzeczuwają oni tego, że znosząc ją zerwaliby przez to jeden związek z ludzkością, że pozbawiliby się przez to dobrowolnie wielkiego dobrodziejstwa, mianowicie, łez rozrzewnienia serdecznego nad niedolą braci naszych, tudzież dobrodziejstwa przebywania w jedności z ubóstwem, z owém *męczeństwem mystyczném* ludzkości.

Racyonaliści kochają ludzkość w jéj oderwanéj idei, ale brzydzą się oni nędzarzem samym, owszem, gardzą nim nawet. Przeciwnie chrześcjanin kocha go, bo widzi w nim brata, widzi w nim człowieka niosącego na sobie krzyż cierpienia i odkupienia, widzi w nim Chrystusa samego. Wyraża się tu solidarność ludzkości całéj, solidarność, którą najlepiéj zaprawdę pojął chrześcjanizm, *solidarność rodzinna*. Samą nawet starożytność przeczuwała te prawdy wzniosłe czcząc żebraka, kiedy wystawiała sobie Jowisza chodzącego z Merkurym w postaci nędzarzy od domu do domu i doświadczających cnoty serc ludzkich.

Zdarza się, że i racyonalista daje, czasami, jałmużnę żebrakowi, ale daje ją niechętnie, jakby dawał mu *odczepnego* tylko. Dając mu grosz jałmużny niedaje mu on nigdy jałmużny świętéj, namaszczonéj łzą miłosierdzia chrześcijańskiego; dając mu grosz nieodda mu siebie, a chociażby nawet cząstki tylko własnego serca. Tajemnica zaś miłosierdzia istnego kryje się w oddaniu się, czyli, jak ślicznie wyraża się chrześcijanizm, *w poświęceniu się*. Prawdziwy uczynek miłosierdzia chrześcijańskiego poświęca człowieka. Mielibyśmy dobrowolnie odtrącić od siebie ten balsam jałmużny Bożéj, który nas namaszcza i poświęca? Jałmużna osobiście podana z rąk do rąk, jest *żywą* jałmużną, i dla tego jest ona skuteczną dla duszy. Jestto jakoby wymiana darów, za dar doczesny bowiem przyjmujemy dar wieczny. Ten dar wyraża się w modlitwie nędzarza. On jest nędzny, opuszczony od wszystkich, ale Bóg policza mu wiernie wszystkie jego cierpienia. Modlitwa jego nie jest bez ceny u Stwórcy. Jałmużna dla potrzebującego jest wspaniałą nietylko pod względem materjalnym, ale pod względem moralnym nawet. Pobłogosławiony sercem, pokrzepiony słowem pociechy, namaszczony łzą serdeczną, czuje on w sobie godność człowieka, czuje to, że

niejest sam na świecie, z jedyną towarzyszką nędzą i ze swoim nierozerwanym druhem, kalectwem; widzi on w ludziach braci, a w niebie wygląda Ojca swego. Taka jałmużna żywa podnosi go w miłości; tamta, rzucona ze wzgardą, poniża go w zawiści ku bogaczowi, w nienawiści dla całego świata. Nędzarz kaleka jest żywą nauką dla nas. Ktobyś nie był, nieznasz przecież przyszłości własnéj, nieznasz wyroków Opatrzności. Wielużto z bogaczów skończyło gdzieś pod kościołem; wieleż to piękności, które świat kiedyś podziwiał, usiadło na starość przy rogu ulicy, a przechodzący odwracali oczy, aby uniknąć obrzydliwego widoku, który był skutkiem choroby! Nędza, choroba i niedola nie po lesie a po ludziach chodzą, powiada lud nasz prosty... Jeżeli nie Chrystusa, nie człowieka, uczcijmy więc siebie samych w żebraku, ulitujmy się nad dolą własną, zapłaczmy nad nią, a potém ukorzmy się przed władzą nieszczęścia i choroby, za któremi idą tak często spodlenie, zepsucie i rozpacz sama. Kiedy życie tak poniża i szpeci człowieka, Stwórca jego z saméj brzydoty poniżenia i zepsucia, z tego gnoju nędzy ostatniéj stara się wyprowadzić dla nas niebieskie kwiecie litości, miłosierdzia i cnoty. Pismo święte wystawia nam Łazarza na łonie Abrahamowém, a twardego bogacza w ogniu piekielnym... Ale kiedy na ziemi związek pomiędzy sercem a sercem człowieka tak jest łatwy, na tamtym świecie próżno bogacz ukorzony niedolą szuka drogi do serca Łazarza, próżno prosi go o jedną tylko wody kropelkę: w wieczności wszystko już jest skończoném, pomiędzy niebem a piekłem niemasz już dla człowieka pośrednika. Dopóki więc Łazarz pozostaje na ziemi, może on jeszcze za każdą łzę współczucia z naszéj strony wymodlić dla nas u Boga ową kropelkę chłodną, aby spadła na serce nasze życiem zbolałe; ale jeżeli tylko nieskorzystamy teraz z tego ustawicznego *memento mori*, próżno będziem wzywać potém do siebie Łazarza. Łazarz szpetny, odrażający, zepsuty; pokochajmy go w jego szpetności, przezwyciężmy w sobie odrazę do jego ran brzydkich, do jego zepsucia moralnego; pokochajmy go takim, jak on jest, nędzarzem i z ciała i z duszy, podnieśmy go w jego podwójnéj nędzy jałmużną *chleba* i jałmużną *słowa*, *dobrego przykładu* i *miłości*, a Łazarz ów, jak ów Łazarz, przyjaciel Chrystusa, już zamarły i cuchnący zgnilizną grobu, wstanie przed nami zdrów i oczyszczony, przebudzi się ze śmierci grzechu i zepsucia, pod cudowną mocą słowa *miłości chrześćjańskiéj*. Słowo

Boże, słowo dobréj nowiny, czyli słowo nauki ewangelicznéj dla tychto właśnie dusz trędowatych było szczególniéj przeznaczoném. Kiedy uczniowie Jana posłani byli do Chrystusa zapytać go o to, czy był on Chrystusem, oczekiwanym Messyaszem, czy innego czekać mają? on im odpowiedział: powiedzcie Janowi, coście słyszeli i widzieli: ślepi widzą, chromi chodzą, trędowaci bywają oczyszczeni, głusi słyszą, umarli zmartwychwstają — *ubogim* Ewangelją opowiadają (u Mat. R. XI. 3. 4. 5.).

Nauka ubogich była najpierwszą pomocą, najpierwszém wsparciem, najpierwszą jałmużną w świecie chrześcijańskim. Chrześcijanin niemógł być w żaden sposób barbarzyńcą, znane mu były bowiem najgłębsze prawdy moralne, religijne i społeczne. Chrześcijanin niemógł być istotą nikczemną i godność jego była wielką, każdy bowiem chrześcijanin był przyjęty do synowstwa Bożego; i jak nędznémby niebyło jego życie doczesne, oczekiwała go, po za grobem, przyszłość najświetniejsza, oczekiwąło go królestwo Boże. Przy chrzcie świętym namaszczono go chryzmątem tego uczęstnictwa w królowaniu niebieskiém. Kościół był nauczycielem i stróżem razem godności ludzkiéj.

Dla wsparcia chrześcijanina na ziemi Zbawiciel ustanowił jałmużnę indywidualną: »*quod superest date eleemosynam,*« co przechodzi potrzeby wasze oddajcie to ubogim. Kto traci tę przewyżkę nad potrzeby własne, kto marnuje grosz drogi, ten według słów Augustyna Ś-go traci cudzą własność: »*aliena retinet qui ista retenet*«. Ewangelja naucza tego, aby chrześcijanin odkupywał grzechy swe jałmużną: *eleemosynis peccata tua redime*, a przemawiając do dusz wielkich, do dusz bohatérów chrześcijańskich, którzy potrafią wszystko oddać, co ziemskie, dla posiadania tego, co jest wieczne, Chrystus radzi *sprzedać wszystko i oddać ubogim.*

Taka jałmużna była czynem miłości, miłości braterskiéj; odmawiano sobie i oddawano potrzebującemu. Jako czyn miłości jałmużna jest piękną i świętą.

Dziś, za ostudzeniem wiary, a za nią i miłości, niepojmują już jałmużny prawdziwéj, takto ściśle wiara i miłość Boga łączą się z miłością dla ludzi; im bardziéj zniża się słońce wiary, tém większy mrok zapada na duszę, tém większy chłód przejmuje serca ludzkie.

Dziś każdy grosz ma być nagrodą pracy saméj.

W wieku przemysłu praca jest wszystkiém; celem cywilizacji jest

jak największa produkcja; przed produktem uchyla tylko czoło ekonomja polityczna, szukająca w świecie bogactw i dóbr materjalnych.

Jakażto różnica wielka nastała w celach cywilizacji!

Ewangelja za cel życia naznacza doskonałość moralną: bądźcie doskonałymi, jako Ojciec wasz niebieski doskonałym jest! Starajcie się o królestwo niebieskie!

Przeciwnie cywilizacja przemysłowa utrzymuje co innego wcale: bądźcie bogatymi mówi ona, a codzienne doświadczenie życia dodaje jeszcze: *bieda ubogiemu!*

Miłość dzieliła się, wyzuwała się chętnie z tego, co miała, na korzyść tego, który niemiał; przypisywała wreszcie posiadanie dóbr ziemskich nie sobie, a łasce Bożéj. Hieronim święty mówi: *quando damus non demus quasi de nostro, sed quasi de dono Christi sed quasi fratri.*—»Kiedy dajemy, nie dawajmy jako ze swego, ale jako z darów Chrystusowych, dawajmy jako bratu«. Wskazuje daléj ten ojciec Kościoła, że dając jałmużnę więcéj na tém zyskujemy niż tracimy że dając jałmużnę pełniąc uczynek miłosierdzia, dokonywamy zamiany dóbr materjalnych na moralne, doczesnych na wieczne. *»Nos demus carnalia, ille dat spiritualia; plus dat pauper quam accipit«*. Dziś dar grosza chcemy mieć koniecznie wynagrodzony pracą i potem ubogiego; chrześcijanizm zaś wskazuje nam na zapłatę w niebie. Niewspominam już nic o téj rozkoszy dobrze czynienia, która taką słodką nagrodą jest dla serca czułego.

Są ludzie zwący się pysznie filantropami, t. j. miłośnikami ludzi; otoż ci filantropi brzydzą się Łazarzem, nienawidzą go, żałują mu nawet chleba tego, który on zjada, którego nawet niedali mu wcale sami, i rzucają nań jeszcze błotem, zwąc go zepsutym, pijakiem, próżniakiem i darmozjadem wreszcie. Tacy filantropi zabraniają dawać jałmużnę, mówią oni, że jest ona tylko chlebem podtrzymującym próżniactwo, nasieniem rodzącém żebraków.

Inni, których dusza delikatniejsza daje im poczuć przedziwne skutki miłosierdzia, robią tu wyjątki pewne. Juliusz Michelet, naprzykład, kobietom pozwala dawać jałmużnę: ich tylko serce ma prawo ukochać człowieka w nędzarzu opuszczonym!

Ekonomiści, jak np. John Stuart Mill, niewierzą temu, jakoby ubó-

stwo miało być udziałem ludzi i jednym z pierwiastków organizmu społeczności; niewierzą też oni w to, aby żebracy mogli być na co potrzebni ludziom. *Marząc jedynie* o szczęściu materjalném, podobni ekonomiści niepojmują wysokiéj ekonomji moralnéj; nieprzeczuwają oni tego, że nieszczęście, że łzy i nędza mają takoż swoje wielkie znaczenie w życiu powszedniém.

Są tacy, co płaczą nad losem sierót, a płacząc nad niémi wyrzucają nieraz Bogu nieczułość Jego serca. Czyż mają prawo? Stwórca wie to, co czyni, jednemu Jemu tylko właściwa jest dokonać największego cudu moralnego, to jest, naprawiać złe; więcéj jeszcze, bo w Jego mocy jest wyprowadzić ze zła dobro, jak w Jego jest równie mocy z przegniłego w ziemi ziarna, wyprowadzić na świat piękną, zieloną roślinę, mającą kiedyś w porze swojéj zakwitnąć wonnym kwiatem i wydać plon pożyteczny. Pojmują to sami racyonaliści nawet.

Ślicznie powiedział Juliusz Michelet, mówiąc o nieszczęściu sieroctwa. Jeżeli Bóg, mówi on, dopuścił nieszczęścia tego w społeczności, aby w niéj były sieroty, to zdaje się dopuścił On go naumyślnie dla tego tylko jedynie, aby powstała z nich pociecha wielka dla tych serc niewieścich, żądnych miłości macierzyńskiéj; a niemających na kogoby ją miały przelać, żyjąc samotne na ziemi. Ach tak! Ziarno niedoli wydaje miłosierdzie, poświęcenie się: opuszczeni od wszystkich, kiedy wznoszą z modlitwą oczy swoje ku niebu, niebo zséła dla nich rosę świętą, a z rosy téj rodzą się na ziemi mężowie święci, rodzą się wielkie miłością i poświęceniem niewiasty, owe siostry miłosierdzia *cześć*, *honor* i *sława* ludzka.

Bóg nieopuszcza na ziemi nędzarzy; dla nich kwitnie jedna z cnót teologicznych, mianowicie, kwitnie dla nich *nadzieja*. Cnota ta świętą była zawsze w sercu stroskaném. Na jednym medalu starożytnym, medalu gallickim, czytamy jedno tylko słówko, ale słówko to jest podporą wszelkiéj duszy stroskanéj, a wierzącéj w Boga: słówkiem tém wypisaném na owym medalu jest właśnie *nadzieja!*

Medal ten świadczy o wielkiéj prawdzie przeczuwanéj i objawionéj w dziejach serca ducha ludzkiego!

Kiedy, według nauki mythologji, Pandora wypuściła była z puszki swojéj na ród ludzki wszelkie klęski i wszelką boleść, pozostała prze-

cież na dnie téj puszki jedna cnota, która się w niéj przechowała, a cnotą tą, tą pociechą jedyną naszego serca, jest właśnie *nadzieja*, owa kotwica, czepiająca się ostrym zębem gruntu wszech rzeczy—Boga Samego. Chrześcijanizm, owa skarbnica wielkich, najgłębszych prawd tak moralnych, jak i filozoficznych, prawd Boskich, opartych na saméj istocie rzeczy, na téj właśnie istocie, na któréj spoczywa twórcza i naprawcza, *lecząca* ręka Boża, dodał do nadziei jeszcze dwie inne wielkie cnoty, mianowicie: *wiarę* i *miłość*.

Religja objawiona czuwała nad losami ludzi i nad społecznością, bez niéj ludzkość byłaby zaginęła do szczętu; nawet poganizm żył słowem samém objawienia Bożego. Wskazaliśmy wyżéj na nadzieję, któréj imie wyryto na medalu, jako imie jakiejś bogini pocieszycielki.

Wspomnieliśmy o Pandorze i jéj tajemniczéj puszce, darze Jowisza. Kto była Pandora? Byłato żona Prometeusza. Prometeusz zaś był ojcem człowieka, on bowiem tchnął w pierś zlepka z gliny ogniem niebieskim, z nieba wykradzionym. Jowisz, dla pomszczenia się nad Tytanem zuchwałym, uprosił Wulkana, aby ten utworzył mu żonę; Wulkan, postaciujący sobą naturalne życie wszechstworzenia, ogień życia ziemi, ulepił Pandorę z mułu ziemi. Żona Prometeusza niemiała więc w piersi swojéj ognia niebieskiego. Jowisz na dobitkę, dla dokonania zemsty swojéj, dał jéj ową puszkę mystyczną podczas, kiedy inni bogowie udarowali ją wszelkimi darami, a Prometeusz, ojciec ludzkości, obdarzył ją ogniem niebieskim. Pandora, kobieta z mułu ziemi, uposażyła nieszczęściami wszelkiemi ludzkość, otworzywszy puszkę Jowisza, którą powinna była oddać Prometeuszowi. Prometeusz niechciał odkrywać jéj; żona jego odkryła ją i odtąd klęski rozproszyły się po świecie, a pozostała tylko na dnie puszki sama *nadzieja*. Któż tu niepozna, w tym oto mycie, Adama i Ewy, i grzechu pierworodnego, który wnosząc skażenie do serca ludzkiego napełnił ludzkość wszelką fizyczną i moralną niedolą? A więc: według poganizmu nawet niedola była następstwem grzechu i skażenia serca ludzkiego, czyli była skutkiem upadku.

Widzimy, jak sami poganie nawet pojmowali głęboko dzieje społeczności ludzkiéj; widzieli oni, że niedola ludzkości powstała z grzechu i że Sam Bóg tylko może uleczyć tę chorobę społeczną. Człowiek się

skaził i Bóg tylko jeden mógł go uleczyć. Ztąd poszło, że wtedy, kiedy żydzi oczekiwali Pomazańca Bożego, Messyasza, narody pogańskie marzyły równie o *Soterach*—zbawicielach boskich, boskich lekarzach ludzkości.

Oto jaka była *nadzieja* ludów pogańskich, do któréj powszechnie tęskniono w ciężkie czasy ucisku, nędzy i zepsucia pogańskiego świata: byłato nadzieja i wiara narodów w przyjście Tego, który odkupi, zbawi i uleczy ludzkość! Wierzono w to mocno, że wielki Bohatér narodzi się z Boga i Dziewicy czystéj; Ten miał zetrzéć głowę hydry zła i grzechu. Nadzieja w Tego Zbawcę tak była pilną, tak była pożądaną, że narody wyprzedzały nawet czasy naznaczone od Boga dla spełnienia się jéj na ziemi. Każdy lud, od kończyn Azji aż do wysp Brytanji, daléj jeszcze, bo aż u ludów Ameryki, miał myth jakiś o takim Bohatérze, bojującym ze smokiem i zabijającym go. Dziewica przeczysta i zwycięzca smoka wypisane nawet były od ludów ognistémi zgłoskami na firmamencie niebieskim w imionach konstellacji, jakby dla tego, aby one połyskiwały im w tymczasowéj ciemnocie nadzieją lepszéj kiedyś przyszłości. Kryszna, Budda, Herkules, Dyonizos, albo Bachus, byłyto postacie takich zbawców moralnych ludzkości. Ludy słowiańskie mają takoż swoje podania o bohatérach, którzy zabili źmija grzechu i wprzęgli go w jarzmo do żelaznego pługa.

Ustęp ten o Zbawicielu i nadziei mystycznéj narodów zdawał mi się być koniecznym, tłumaczy on bowiem powszechne przekonanie rodzaju ludzkiego, powszechną wiarę narodów, opartą na obietnicy Bożéj, na objawieniu pierwotném. Platon nawet, ów wielki filozof pogańskich czasów, filozof uczonéj i ukształconéj Grecji, powiedział to w jedném miejscu, że tylko Bóg, zstąpiwszy z niebios, może nas nauczyć wszelkiéj prawdy.

Gdy ludzkość tedy, ujarzmiona od grzechu, od samego przyrodzenia i od ucisku tyranów wreszcie, tęskniła do swobody, Ewangelja święta objawiła im to nakoniec, że sam Duch tylko Boży może uwolnić ludzkość z ciężkich pęt niewoli: »*Spiritus Dei liberabit vos!*«

I tak jest istotnie. Im więcéj massy ludu są religijne, tém większéj ludzkość zażywa wówczas swobody; im więcéj zaś jest w nich niewiary i zepsucia, tém więcéj powstaje w społeczności środków re-

pressyjnych, tém więcéj jest despotyzmu. Jestto już takie prawo ludzkości — *prawo dziejowe*. Tam, gdzie niemasz hamulca religji i moralności, tam, gdzie niemasz hamulca wewnętrznego, tam musi powstać koniecznie hamulec zewnętrzny, materjalny, hamulec despotyzmu. W czasy przedchrześcjańskie byli tylko niewolnicy i tyrani.

Społeczność pierwotnego Kościoła żyła bez rządu prawie, żyła bowiem miłością wzajemną. Pamiętajmy o tém, że rządy despotyczne na zachodzie datują od XVI wieku, od czasu Lutra. Wiek odrodzenia się poganizmu w Europie, wiek odrodzenia się literatury klassycznéj, wydał Machiawela, doradzającego książętom ucisk ludu. Odtąd też nastała stała siła zbrojna w krajach.

Religja czyni duszę ludzką mocną i mężną; dając nam nadzieję wieczną, uzbraja ona duszę naszą w cierpliwość. Największa zasługa chrześcjanizmu, nauki krzyża, jest ta oto, że ona zasiewa w sercu święte nasiona cierpliwości i nadziei. Odejmijcie tylko człowiekowi nadzieję w życie przyszłe, w spokój pozagrobowy, w nagrodę wieczną za cierpienia, będące jego zasługą, a cóż stanie się wtedy z cierpliwością? A czémże będzie człowiek bez cierpliwości? czém będzie lud? Powtarzam tu słowa Bulwera (Zanoni).

Zaprawdę, bez pokory, cierpliwości, wiary, nadziei i miłości okropna jest postać człowieka; odarty ze swoich nadprzyrodzonych ozdób, staje się on zwierzęciem, wilkiem zgłodniałym. Jak tylko opadają wody wiary, opowiadanéj na ziemi od Męża krzyża i boleści, od Ojca pokoju duszy i życia zewnętrznego, wnet słyszymy wycie owéj strasznéj, zgłodniałéj bestji, którą zwiemy socjalizmem i rewolucją.

Jużto przyznał nawet Montesquieu, że religja, że wiara nawet fałszywa przyczynia się potężnie do szczęścia człowieka i do pomyślności ludów, a to dla tego, że rozmnaża ona cnoty w sercu.

Dzieło ewangeliczne zepsuł na ziemi racjonalizm; odrzucił on objawienie, zerwał związek z Bogiem, ubóstwił człowieka i tém poniżył go i przyprowadził do zepsucia, a społeczność samą do upadku. Człowiek jest istotą społeczną, ale najpierwszą społecznością człowieka jest jego społeczność z Bogiem, jako z Ojcem, a z ludźmi, jako braćmi.

Bóg i religja są kluczem społeczności ludzkiéj.

Racjonalizm, fałszując istotę samą rzeczy, porządek Boży, pofał-

szował pojęcia, a to do tego nawet stopnia, że dziś ludzie nierozumieją się wzajemnie. Do prawdy, jakiż to panuje dziś wszędzie zamęt i zamięszanie!

Chrześcjanizm przyniósł na świat wyobrażenia braterstwa, równości, swobody; zaprawdę były to cnoty! Bóg im pobłogosławił i one rosły i wydawały owoce.

Pokora, owa dziewiczość duszy, jak ją przezwał Augustyn ś-ty, mnoży cnoty w sercu; duma robi ludzi samolubami, którzy wszelką moc kochania zlewają na siebie samych tylko.

Pokora ma w sobie siłę expansywną, odśrodkową, rozszerza ona serce, czyni je wielkiém, zwraca je ku Bogu i ludziom.

Duma zna siebie samą tylko; jest ona dla tego samego podstawą grzechu. Szatan kusiciel przemówił do pierwszych rodziców głosem dumy: *Eritis sicut Dii!* będziecie jako Bogowie! Tym właśnie głosem przemówiła do ludzi filozofja XIX wieku. Inaczéj być niemogło; kiedy Bóg został strąconym z nieba, człowiek musiał był zająć koniecznie Jego miejsce.

Społeczność bogów! Dziwna społeczność zaiste. Społeczność ta jest społecznością dumy. Równość bogów! jest równością zawiści: idź precz, niech zajmę sam twoje miejsce, albo jak u nas mówiono: kto się wzniesie po nad korzec, tego strychulcem po głowie. Swoboda bogów! Jestto swoboda bez prawa i granic, swoboda szaleńców, swoboda dumy, która dla dogodzenia sobie, nawet świat cały przewrócić gotowa. Braterstwo bogów— ach! to tę oto chyba braterstwo, wypisane niegdyś po ścianach Paryża: *fraternité au l'amort!* o którem powiedział dowcipnie bardzo Chamfort *c'est la fraternité de Cain!*

W téj społeczności bogów mówiono ustawicznie o *prawach* człowieka, a to dla tego zapewne, jak ktoś powiedział, żeby ludzie zapomnieli przez to o obowiązkach swoich.

Racyonalizm wziął się do urządzenia społeczności bogów; miało to być Eldorado. W społeczności téj niemiało już być nigdy ubogich, wszyscy mieli być zadowoleni, szczęśliwi. Jałmużna stała się niepotrzebną; jałmużna podtrzymywała dotąd same próżniactwo, a społeczność nowa miała być społecznością pracy; zresztą jałmużna poniżała człowieka, poniżała godność jego. Jakże doprawdy? Wszyscy byli sobie równi, i człowiek miałby wyciągać rękę do sobie równego! Byłto

nonsens. W chrześcjanizmie każdy jest równy w Chrystusie, lubo jest nierównym w społecznym bycie. Tu zaś wszyscy są sobie równi po ziemsku; jałmużna więc być niemogła. Tam proszono w Imie Boga, w imie solidarności moralnéj, w imie modlitwy i zastępstwa zasług; tu nic już tego nierozumiano; byli to bowiem sami bogowie. Niespodziewając się nic po za światem, szukano odtąd całego szczęścia na ziemi. Cóż wielkiego zrobiły racyonalizm i źle zrozumiana ekonomja polityczna? na świecie było i będzie zawsze ubóstwo; racyonalizm tymczasem przywrócił czasy pogańskiego proletaryatu—wyrodził się w Europie *pauperyzm*. Pośród największych bogactw stolic Europy wyrodziła się *ludność*,. ulegająca największéj nędzy, tak materyalnéj jak i moralnéj, powstało niesłychane zepsucie materyalne, dzikość sama i to pośród najoświeceńszych państw Europy. Są np. po fabrykach angielskich dzieci, które nierozumieją nawet Imienia Boga, nierozumieją cnoty, obowiązku, nieznają nawet jednego słowa modlitwy i znaku Zbawienia, znaku Krzyża świętego. Jeden z najdzielniejszych ekonomów politycznych Proudhon, najwięcéj czynił zarzutów téj nauce; on obwinił ją o niepłodność i niemoc, on wreszcie cisnął jéj w oczy zarzutem, że była tylko *organizacyą pauperyzmu*.

Dzieje się to w kraju Towarzystw biblijnych, rozpórządzających miljonami.

Nienawiść w téj klassie ku bogaczom jest niesłychana; dajcie jéj jeden dzień tylko swobody, a kraj cały zostanie zniszczony, wszelka cywilizacja zagaśnie. Sprawdziło się to w 1871 roku na zburzonym Paryżu. Pożar Paryża oświecił ponurym blaskiem dążenia kommunizmu.

Wrócilibyśmy nanowo do tego czasu, w którym człowiek człowiekowi był wrogiem, do stauu dzikości.

Poganizm był prawem mocniejszego przeciwko słabemu; prawo kobiety, prawo dziecięcia, prawo niewolnika niebyły w nim zawarowane niczém, a każdy naród podbity orężem mógł był powtórzyć słowa Brennusa: biada zwyciężonym! *vae victis!!*

Kobieta, którą Chrystyanizm uczcił, pobłogosławił i uświęcił w N. Pannie, była w poganizmie niewolnicą. Trudno wystawić sobie, jakiemu barbarzyńskiemu ulegała ona obchodzeniu się tam, gdzie tylko światło objawienia pierwotnego i moralności na niéj opartéj, było zagasło tak

w umyśle, jak i w sercu człowieka! I barbarzyństwo i filozofja fałszywa zarówno gasiły to światło Boże.

U Tatarów np. widziano kobietę przykutą do ogniska domowego, a ta kobieta była matką rodziny, była towarzyszką mężczyzny!

Najsłodszy związek męża z żoną był nieznanym w Rzymie, w czasy największéj cywilizacji Rzymu; było to w skutek najgłębszego skażenia serca. Cycero powiedział: »omnem injuriam diceris, si ingratum hominem diceris«. Najwięcéj zelżysz człowieka, jeżeli nazwiesz go niewdzięcznikiem. Otoż ten sam Cycero odpędził od siebie Terencyę, pełną poświęcenia się małżonkę swą, tę właśnie, która najwięcéj przykładała do tego starania, aby go przywołano z wygnania, a to dla tego, aby się ożenić z inną kobietą bogatą, którą równie potém wypędził, roztrwoniwszy przedtém wniesiony od niéj posag. Kato znowu, ów święty mąż Rzymu, nie tylko że wygnał był z domu żonę, ale, nim dokonał tego, kazał wprzódy niewolnikowi swemu najniegodziwiéj ją znieważyć!

Rzymianie wypędzali żony bez wszelkiéj, w téj mierze, ceremonji; wyzwoleniec przychodził do niéj od męża, mówiąc: idź sobie precz! Publius, za świadectwem Juwenala, wypędzając swoją, kazał był tylko powiedzieć jéj te oto słowa: »Kobieto! zanadto często ucierasz sobie nos, wynoś się więc; postaramy się o nos mniéj wilgotny na twoje miejsce«.

Los dziatek drobnych był opłakanym, zgroza pomyśleć nawet! słabowite i ułomne dzieci wyrzucano jak szczenięta; osobliwie los ten ciężki spotykał małe dziewczęta. W Indyi, w Chinach, w Arabji, w Grecyi, u Rzymian i u Słowian nawet znanym był okrutny zwyczaj ten; w Grecyi Herkules opiekował się wyrzuconémi na drogi dziećmi. W Indyi wyrzucanie niemowląt na rzekę Gangesu było nawet uczynkiem religijnym; bezdzietni ślubowali pierwsze swoje dziecko wyrzucić na święte wody téj rzeki. Poważny filozof Plutarch brał na rozum to barbarzyńskie postępowanie, co się dotycze niemowląt niekształtnych. Powiada, że z tego powodu uczynek ten był rozsądnym, przez to bowiem niszczyła się rzecz niepotrzebna w domu (de Ira). Kwintylian tak odzywa się w téj mierze: zabić człowieka często bywa zbrodnią, jednakże zabić swoje własne dziecko nieraz bywa pięknym uczynkiem!! Tu można

zawołać po łacinie: *o tempora! o mores!* Chrześcjanizm wywarł wielki wpływ na wyobrażenia społeczne. Paweł święty, w listach swoich, nakazał współczesnym sobie widzieć w niewolniku brata swego. Za wodzą takich idei wszelkie wyobrażenia przeobrażały się, nasiona nowe rosły, a wraz z nimi rosła ludzkość w Chrystusie, według obietnicy Chrystusa, téj mianowicie, że kiedy Syn Człowieczy zostanie wywyższony, wówczas wszystko podniesie on do Siebie. Św. Batylda, Królowa Francyi, wiele zdziałała w rzeczy wyswobodzenia z niewoli prostego ludu; dziwne były zaiste dzieje jéj własnego życia, takie, jakie mogły były tylko wyrobić nowe wyobrażenia chrześcjanizmu. Była ona najprzód niewolnicą Arszamboda, 'mera pałacowego; potém, poślubiwszy Clovis'a II, króla Francyi stała się orędowniczką wszystkiego, co tylko było piękne, wzniosłe i szlachetne; po śmierci męża, jako opiekunka małoletniego syna, rządziła ona państwem, któremu rządy jéj przydały były dziwnego blasku. Zawistni jéj rządom, zwłaszcza niechętni reformom jéj panowie, chciwi ucisku ludu, zmusili ją byli wreszcie opuścić wodze rządu. Ulegając z pokorą losowi swemu, udała się ona do opactwa w Chelles, które sama założyła i umarła w 680 r. Papież Mikołaj I, czcząc wielkie cnoty chrześcjańskie, kanonizował tę skromną służebnicę Pańską. Biedna niewolnica, uwieńczona koroną najpiękniejszego kraju za żywota, zmieniała ją, po śmierci, na wieniec nieśmiertelny błogosławionéj Pańskiéj.

Klasztory w średnie wieki szerzyły, w około siebie, dobry byt poddaństwa; w owe czasy dobrowolnie wpisywano się w liczbę poddanych klasztorów, wiedząc, że pod cieniem Krzyża życie upływa błogo, cicho i spokojnie. Papieże starali się o dobro ludu prostego. Sam Wolter nawet przyznał to, ile dobrego zdziałał Alexander III, na usamowolnienie wszystkich klass ludu w Europie. Gdyby nie barbarzyństwo, gdyby nie ustawiczne wojny baronów, gdyby nie reformacya wreszcie, lud podniósłby się wysoko pod względem moralnym, społecznym i politycznym, a to za samą wodzą tchnienia ożywczego nauki chrześcjańskiéj. Jeżeli mówią nam dziś inaczéj, niegodne to wiary; Kościół hamuje zgubne namiętności, ale podnosi wysoko godność człowieka. Cóż więcéj może go podnieść, jak to oto np. miejsce Ewangelji: »Co ci potém, człowiecze, chociażbyś świat cały sobie pozyskał, gdybyś duszę twoją zatracił.« Wysoka ta maxyma jest najgłębszą filozofją życia lu-

Ale sama tylko teorja niewiele jeszcze może zdziałać w życiu. Co mi po najpiękniejszéj teorji, kiedy cierpię, kiedy serce moje pęka w niedoli, kiedy zniskąd niemam ani pociechy, ani nauki, ani zachęty do dobrego? Zapewne, że lud miał Pocieszyciela niebieskiego w Chrystusie, ale kiedy zwątpienie owładnie duszą, kiedy rozpacz zagnieździ się w sercu, kiedy łza ostatnia, zawiśnie wreszcie na spiekłém oku, wtedy człowiek potrzebuje doradzcy, potrzebuje opiekuna widomego, potrzebuje koniecznie przyjaciela takiego, któryby przemówił doń słowem miłości gorącéj, coby go objął, otarł z oka ową spiekłą łzę rozpaczy i nauczył go przykładem własnym cierpieć po chrześcjańsku, znosząc wraz z nim, dobrowolnie, nędzę i niedolę.

Takim właśnie przyjacielem ludu był Franciszek święty z Assyżu, ów bohatér chrześcjańskiéj miłości.

Był on jakoby upojony miłością: jego serce obejmowało całe stworzenie, widząc pod niém myśl ukrytą Stwórcy samego. Niebyło dlań na świecie nic tak drobnego, czegoby on niemiłował. Ptaszęta np. były mu osobliwie milémi dla tego, że wyśpiewywały chwałę Panu nad Pany; lubił baranki dla tego, że widział w nich obraz Baranka bez zmazy, który zgładził na krzyżu grzechy całego świata. Wszystko, jednêm słowem, co tylko Bóg stworzył, ś. Franciszek Seraficki uważał za pokrewną sobie istotę, zwał on twory Boże braciszkami swoimi. Słowik śpiewał z nim chwałę Bogu; konik polny, skromne stworzeńko, odzywał się w trawie — ś. Franciszek i o nim niezapominał: braciszku drobny, mówił mu, śpiewaj, śpiewaj po swojemu chwałę Bożą! Jego współczucie dla przyrodzenia dziwną miało moc. Gdzie stąpił jeno, wszystko cisnęło się do niego; zwierzęta dzikie, nawet zające pierzchliwe, sarny. Mówią, że nieraz potrzeba było odnosić je daleko w pole lub do lasu, żeby się nieuprzykrzały świętemu mężowi. Ptactwo leciało za nim stadami, a on je błogosławił słowem i sercem gorącém. Ptaszyny powietrzne rozumiały głos jego; kiedy Franciszek ś-ty chciał się pomodlić, nieraz rozkazywał jaskółkom, aby umilkły na chwilkę i dały mu podnieść się duchem do Boga—i ptaszyny milkły, by przemówiło serce człowieka

Tento Mąż święty z miłości dla nieszczęśliwych, dla nędzarzy, wyrzekł się spadku, wyrzekł się świata i sam dobrowolnie przy A dział

na się siermięgę i torbę żebraka. Jak Chrystus niemiał on dachu, gdzieby mógł złożyć głowę swoją. Chciał on stać się przyjacielem, powiernikiem, mistrzem i pocieszycielem ludu żyjącego w nędzy, i był nim rzeczywiście, tak jak byli tém wszystkiém wszyscy uczniowie jego, owi zakonnicy reguły ś-go Franciszka Serafickiego—*minoryci*. Uczył on własnym przykładem tego, że ubóstwo i nędza, byle tylko były przyjęte dobrowolnie, że łzy ofiarowane Bogu sercem czystém, są rozkoszą życia ziemskiego. Zaiste przedziwna nauka, woniejąca świętością i niebem!

Takimże bohaterem miłości chrześcijańskiéj był ś Wincenty a Paulo. Zbierał on dzieci opuszczone i fundował domy podrzutków; zakładał szpitale i uposażał je siostrami miłosierdzią; wykupywał wreszcie więzniów z niewoli bisurmańskiéj. Kiedy toczył się w Rzymie processą kanonizacyi tego świętego, examinatorowie żądali cudów. Ktoś powiedział, że Wincenty a Paulo, niemając o czém wykupić z niewoli tureckiéj więźnia, sam oddał się za niego w okowy, a mądry papież, zasiadający jako prezes przy téj sprawie kanonizacji zawołał: o! dość tego, stawiajmyż mu ołtarze!

Czyż czyn podobnego poświęcenia się dla miłości bliźniego nie jest wielkim?

Wszyscy mężowie święci, wszyscy założyciele reguł zakonnych przynieśli wielkie owoce ludzkości. Imiona tych ludzi wielkich wypisały się niezatartémi zgłoskami w dziejach ludzkich. Wymienię tu niektóre tylko zakony. *Benedyktyni* trzebili puszcze, sieli zboże, szczepili płonki owoców dobrych, szczepiąc w sercach zarody oświaty i dobrych obyczajów. Osobliwie wiele im winne są nauki; ichto pracą Europa przechowała dzieła literatury i nauki starożytnéj. Oni zapisali w swoich kronikach powieść czynów wielkich, dzieła wielkie spełnione przez ludzi za łaską i opatrznością Bożą. Uczony, jak Benedyktyn, stało się przysłowiem w Europie. *Minoryci* uczyli przykładem pokory i poddania się wyrokom Bożym. *Bracia zakonu kaznodziejskiego*, czyli dzieci Dominika ś-go, zajmowali się czynnie apostolstwem. Ich biała sukienka świeci nam zdała niewinnością życia i czystością nauki wzniosłéj; wydała ona nam Alberta W., ś. Tomasza z Aquinu, Rogera, Bakona i tylu innych. *Jezuici*, poświęcili się wychowaniu młodzieży. *Trynitarze*, byli jak Chrystus Pan redemptorami. *Lazaryci* oddali się missyom. *Pijarowie* uczyli młodź

chrześcjańską. *Braciszkowie* nauki chrześcjańskiéj, poświęcili się uczeniu i moralizowaniu dzieci ludu w szkołach wiejskich. *Siostry miłosierdzia* poświęciły usługę swoją cierpiącéj i choréj braci, zastępując jéj miejsce serc macierzyńskich. Zakony dowodzą nam uczynkiem samym tego, że człowiek może ukochać człowieka, bliźniego, nie tylko tak jak siebie samego, ale więcéj jeszcze daleko, bo dla téj miłości każden z braci gotów wyrzec się wszelkich pociech życia, najsłodszych związków, wszelkich przyjemności, wszelkiéj osłody, gotów jest nawet opuścić kraj i swoich, aby udać się w strony dzikich barbarzyńskich ludów, aby opowiadać im słowo Boże i naukę miłości, a prawdę téj nauki przypieczętować częstokroć męczeńską krwią własną.

Coż nadało nauce chrześcjańskiéj tę jéj żywotność, tę osobliwą i jéj tylko jednéj właściwą skuteczność? Oto, wyrzeczenie się, zaparcie się siebie samego dla miłości bliźniego; w tém właśnie kryje się cała tajemnica: ten tylko bowiem może przynieśc korzyść ludziom, kto zapomniał wprzód całkiem o sobie samym. Ale żeby dójść do téj przedziwnéj choty zaparcia się samego siebie i ukochania całém sercem bliźniego, potrzeba na to wiary żywéj w Chrystusa i miłości Boga. Bez *wiary, nadziei i miłości* niemasz cudu! Że nauka z pomocą dźwigni Archimedesa i przy punkcie oporu mogłaby ziemię wzruszyć, to tylko teorja; niemasz dźwigni takiéj, ani takiego punktu opory i teorja pozostanie tylko abstrakcją na wieki wieków. Ale jestto rzeczą niezaprzeczoną i dowiedzioną czynami, że wola ludzka, oparta na miłości Bożéj, może znaleźć w sercu swojém taką potężną dźwignię, że pod jéj naporem może się poruszyć cały świat moralny i dziejowy: dowiedli nam tego przykładem swoim mężowie święci.

Ludzkość była szczęśliwą stając się wyższą nad niedolę świata tego, przyjmując dobrowolnie to, co jéj Stwórca przeznaczył i nieprzykładając wielkiéj wagi do tego, co ją może spotkać w tém życiu. Chrześcjanizm przerabiał ludzi w bohatérów, dając im w pewien tajemniczy sposób nadziemskie siły do przenoszenia tak boleści, jak i cieszenia się pomyślnością. I doprawdy, co można zrobić lepszego w tém życiu, gdzie wszystko tak jest niepewném, zmienném, a najsamprzód samo to życie, do którego przykładamy tyle wagi i znaczenia? O! nie jestto wcale rzeczą próżną owe Salomonowe: *vanitas vanitatum*, którego rzetelność stwierdza nam każda chwilka, a do którego dodatkową myślą

służyć może jeszcze owe przedziwne słówko ewangeliczne: »*cóż ci po tém, chociażbyś cały świat pozyskał, a duszę twoją zatracił?*

Chrześcjanizm pojął życie głęboko, wzniośle, uroczo, a przytém pojął je rzetelnie. W nauce téj jest człowiek bohatérem, kolosem; w teorjach racyonalizmu, obok tego wzniosłego wzoru chrześcjańskiego, ludzie, jak w podróżach Guliwera, wydają się jakimiś drobnymi liliputami. I te liliputy chcą jeszcze zniszczyć ów kolos niepożyty wieków, chcą zetrzeć z twarzy ludzkości wypiętnowany na niéj odblask bozkości, usiłują jeszcze sam wzór ów święty Boga - człowieka przyprowadzić do swoich drobnych rozmiarów! Racyonaliści, jak liliputy Guliwera, ukrępowali swoimi sofizmatami, pod piórem jakiego Straussa lub Renan'a, granitowy posąg Chrystusa - ale cóż się stało z liliputami i ich tyle mozolną pracą? Oto, od jednego kichnięcia Guliwera, pękły te więzy pajęcze, a sami go krępujący liliputy odlecieli od niego daleko, za pociskiem Jego tchnienia.

Co za różnica pomiędzy nauką chrześcjańską, a nauką racjonalną, co się dotyczy przyrodzenia ludzkiego! Chrześcjanizm naucza, że przyrodzenie ludzkie jest skażone, słabe, nikczemne; ale z drugiéj strony daje on nam tę niemylną otuchę, że człowiek, za łaską Bożą, może wyrość w olbrzyma, może bowiem odrodzić się w Chrystusie i dobić się synowstwa Bożego w nieśmiertelności wiecznéj.

Pantheizm i racyonalizm robi z człowieka ziemskiego Boga; ale ta bozkość jego nieobjawiła się dotąd światu w czynie odpowiednim jéj godności. Duma nic niepotrafiła wydać wielkiego, oprócz wielkiéj śmieszności chyba. Depcę nogą dumę Platona, mówił razu jednego Dyogenes do tego filozofa. Tak, odrzekł mu na to Piato, ale depczesz ją dumą Dyogenesa.

Zapewne myśl ludzka może wzlecieć daleko, może być wielką, piękną; ale nieidzie nam tu o same myśli piękne, idzie o piękne i wielkie czyny. Zapewne światło umysłu mężów nauki świeci na ziemi dość pięknym blaskiem, ale samo serce tylko ogrzewa ludzkość. Kiedy myśl ludzka wybieży po za światy, serce odwołuje ją na ziemię i przeznacza jéj mniejszy wprawdzie, ale piękniejszy daleko zawód. Owoż, serce piękne jest pokorne, niesięga ono daleko, niemówi ono, jak ów mędrzec: *il mondo e poco*, owszem, w jedném sercu widzi ono nieskoń-

czność. Ta pokora serca chrześcjańskiego jest prawdziwym sprawdzianem jego cnoty. Już to powiedział La Rochefoucauld, że bez pokory zachowujemy wszystkie nasze przywary i tylko przykrywają się one osłoną pychy, która skrywa je przed wzrokiem innych, a czasami, na nieszczęście nasze, przed naszym własnym nawet wzrokiem.

Czasy *chrześcjańskie*, czasy *wiedzy i rozumu!* Są to zapewne dwa różne okresy dziejów. Jakiż jest ich charakter? Ktoby myślał, że czasy racyonalizmu noszą na sobie szczególniejszą jakąś cechę wdzięku i wielkości! Tak przynajmniej wydaje się może racyonalistom? Bynajmniej! Wiemy jak się racyonaliści odzywali o swoim czasie. Oto ich zdanie w téj mierze. Erazm Rotterdamczyk nazwał wiek swój: „*fex temporum!* to jest, nazwał go mętami czasów. Rousseau wiek XVIII, ów wiek myślenia samodzielnego, nazwał: »*cette grande pourriture où nous vivons!*« Zgadza się to zupełnie z tém, co o wieku XVII powiedział Bossiuet: *temps mauvais et petit!*

Tém ostatniém słówkiem wielki mówca ugodził w najgłębszą stronę czasów nowych; razi w nich zawsze bowiem oko osobliwsza jakaś maluczkowatość. Przy wielkich wynalazkach myśli ludzkiéj, jakaż poziomość w czynach! Serce ludzkie wyziębione racjonalizmem utraciło już swoją nadprzyrodzoną glorję świętości. Chrześcjanie dawali człowiekowi za ojca Boga Samego, materjaliści racyonalni małpę Gorilla, silną ale krwawą potworę! Rumieniec wstydu oblewa twarz człowieka na taką kolligację.

Istotnie tak się rzeczy mają. Skoro tylko ludzie zapomną o swojém pochodzeniu i wzniosłym celu życia swojego, skoro tylko wyciągną oni ręce do natury, zwąc ją matką, z drugiéj zaś strony za ojca swego uważając los ślepy; wówczas, mówię, wszystko wzniosłe, piękne i święte, wszystko *Boskie*, jedném słowem, znika na świecie i ludzkość staje się wtedy podobną do plemienia dzikich bestyj. Z jednéj strony rozpusta ostatnia nęci do siebie ludzi, z drugiéj zaś strony odpowiadają jéj w uczynkach nieludzkie i krwawe, *okrutne* obyczaje. Rzecz dziwna, jak zawsze w dziejach zdemoralizowanie i miękkość chodzą w parze ze zbrodnią! czyto będziemy szukać na to dowodów w czasach upadku obyczajów Rzymian, czyli też we Włoszech w wieku odrodzenia, czy za czasów rewolucji Francuzkiéj, w okresie terroryzmu, czy w dziejach

kommuny 1871 r. róże zepsucia ukrywają tu zwykle sztylet, truci lub lont podpalacza!

I rzecz dziwna, w tymto ostatnim okresie właśnie najwięcéj wiono i pisano o *filantropji.* a Robespier miał ustawicznie w us wyrazy: *cnota, braterstwo i miłość ludzkości.*

Racjonalizm, odsuwając na stronę stare podania i nauki, któ żyła dotąd ludzkość, w imieniu rozumu i filantropji owłada świ przyszłym.

Cóż zrobiła, pytam, filantropja? W Anglji zmieniła ona jałmuż podatek i chociaż podatek ten coraz bardziéj wzrasta, nędzarz przecież wiecznie jest głodny. Pochodzi to ztąd zapewne, że tylko miłosierdzie s jest niewyczerpane w swoich czynach i ono jedno tylko może cudownie karmić łaknącego. Nauczył nas tego przykładem sam Zbawiciel, niąc cud rozmnożenia chleba i rybek na puszczy. *Pod wpływem d woli i serca mnoży się pokarm dla żebraka,* a mnoży się tak obfici jeszcze pozostaje, bo owa ukryta tajemnica obfitości polega właśnie gorliwości serca poczciwego.

W Anglji ten, co opłacił podatek ubogich, przechodzi sobie naj kojniéj mimo nędzy, nie poczuwając już się bynajmniéj do żad obowiązku względem nędzarza, bo już spełnił on swoją powinność niemu. Rzecz dziwna! Niezmierne bogactwa nieraz niesłychaną m pobudzają do samobójstwa lordów angielskich, a żebrak kona tuż mich z głodu i nędzy! Zaiste powtarzam, jestto rzecz dziwna! Boga zamiast by miały cieszyć serce anglika, rzucają, jak powiada Pa cień jakiś pomiędzy człowiekiem a słońcem, co chce mu przyśw w życiu. Źródła szczęśliwości wewnętrznéj wyschły nagle w ich serc ach! bo serce nieczułe na cierpienia bliźniego, staje się równie niec na własne swoje szczęście nawet. Jestto jakoby oniemienie ducha. człowiek taki, z duszą odrętwiałą na wszystko, jest właśnie o mędrcem Wirgila, o którym wspomnieliśmy wyżéj:

Neque ille
Aut doluit miserans, aut invidit habenti!

Materjalizm zawsze jest jeden. Człowiek będąc, jak powiada

stał, punktem pomiędzy dwoma światy, niezaspokoi się materją samą; szczęście jego zależy od wyższych pobudek.

»Na téj ziemi ruin, łachmanów, śmiecia i głupstwa, powiedział Jan Paweł Rychter, nic niemasz większego, nic bardziéj niedającego się wyczerpać nad miłość ludzi. Zapewne nauka i talent są czémeś, ale i to, powiedziawszy prawdę, bez miłości przyda się chyba psu na buty«.

Malthus, ekonomik angielski, poglądał z trwogą na rozradzającą się ludzkość; przemyśliwał on nad tém na serjo, jakby można było osuszyć źródła płodności człowieka; radził on środek taki, aby na przyszłość zostało wzbronioném ubogiemu pojmować sobie żonę i cieszyć się widokiem dzieci. Ach! pozazdroszczono nędzarzowi i téj nawet jedynéj pociechy w jego tém życiu nędzném! Powiedziano mu, że niéma on prawa kochać, że niemając nic, niepowinien nawet tęsknić do posiadania serca, na którego współczucie mógłby on liczyć w niedoli smutku i choroby, serca, któreby było dla niego pewną osłodą jego nędzy.

Dobrze odezwał się w téj mierze Lakorder. Racjonaliści powstają na bezżeństwo dobrowolne księży katolickich i mnichów, na życie samotne ludzi, którzy oddali się wyłącznie Bogu samemu tylko i modlitwie; a tymczasem chcą oni zmusić do życia samotnego tych, którzy czują żywo potrzebę słodyczy pociech rodzinnych. Nędzarz widząc się i czując samotnym na całym świecie, bierze na ręce w chwilach ciężkich swojego życia dziecię swoje, tuli je z miłością do piersi zbolałéj, a czując jego serce bijące, lub patrząc na tęskne oko żony, pojmuje to, że ludzkość cała niejest jeszcze głuchą na jego niedolę, że jest jeszcze ktoś taki, co cierpi wraz z nim, co go żałuje i podziela jego boleść. Ach! cierpieć we dwojgu jest także pewnym rodzajem szczęścia na ziemi! Niezazdrośćmy przynajmniéj choć téj oto pociechy biednemu nędzarzowi. Nietylko dla niego samego, ale naszym własnym interesem, interesem społeczności całéj jest to, aby serce klassy ubogiéj umiało kochać, umiało czuć, aby się niepoddawało ono zarazem uczuciom rozpaczy i nienawiści dla ludzi i społeczności. *Rodzina* łączy go i godzi z towarzystwem. Tam, gdzie nędzarz zostaje tylko sam na sam z rozpaczą, tam biada społeczności nieczułéj na jego cierpienia! Wówczas, jak za czasów Attyli, lub Czyngischana, barbarzyństwo zapuka groźnie do jej podwoi, aby zapotrze-

bować od niéj rachunku z szafarstwa dóbr ziemskich; wówczas biada zwłaszcza téj społeczności, która *wyrozumowała* sobie nieludzkość własną! Cywilizacja najbardziéj powinna się strzedz dzikości, zezwierzęcenia, a nic bardziéj niezezwierzęca człowieka, nic go bardziéj niezbliża do stanu dzikości, jak to oto osamotnienie, a wogóle owe samolubstwo, które jest gruntem barbarzyństwa. Cywilizacja żyje głównie rozwojem uczuć szlachetnych serca. Dopóki serce niewyschło, dopóki w niém odzywa się jeszcze głos Stwórcy, dopóty człowiek jest jeszcze człowiekiem. Dla tegoto barbarzyństwo może iść w parze z oświatą, nawet z oświatą wysoko posuniętą. Powiedziałem, że serce jest gruntem życia społecznego, a powiedziałem to dla tego, że jest ono organem łączącym nas z Bogiem, który jest najpierwszą podstawą społeczności. Fenelon powiedział: »każdy z nas dotyka Boga jakby ręką; jest On koło nas i w każdym z nas«, Nietylko prawdę tę czuje sam ów filozof chrześcjański, ale czują ją nawet ludzie, pozostający na najniższym szczeblu oświecenia, znają się na jéj rzetelności; ludy Ameryki mają przypowieść, że »Bóg odwiedza nas bez poprzedniego odgłosu dzwonów«. Jestto to samo zdanie, jakie objawia Pismo święte, kiedy mówi nam, że Bóg przemawia do nas bez dźwięku słowa: »*sine strepitu verborum*«. Serce jest, jak powiedział Augustyn ś-ty, a za nim Skarga, *na Boga uczynione* i dla tego woła na nas Pismo święte: *niewyzięb iajcie w sobie ducha!* Na tém polega cała tajemnica życia społecznego.

Powiedzieliśmy to, że w Anglji zastąpiono jałmużnę indywidualną podatkiem; ale kraj ten widząc, jak taksa pobierana na rzecz ubogich wzrastała coraz więcéj i zczasem mogła była pochłonąć sobą cały dochód obywateli, t. j. że taksa ta nietylko niepotrafi zapobiedz ubóstwu ale w końcu kraj cały może jeszcze zamienić sobą w ziemię nędzarzy, w 1834 r. postanowiono niedawać wcale wsparcia do mieszkań ludziom potrzebującym jałmużny, ale osadzać ich odtąd w domach zarobku — *Workhouses.*

Zwykle zarzucamy żebrakom próżniactwo. Dopóki wyciągano do żebraka rękę z pomocą bratnią, z miłością w sercu, niebaczono na to wcale, że on próżnuje; społeczność zaś podtrzymując niedolę z musu, rzuciła mu jeszcze w oczy zarzutem próżniactwa, przyrównała go do klassy trutniów w ulu pracowitych pszczółek. Każda więc gmina urządziła u siebie dóm pracy dla swoich ubogich członków, któremu-

VIII stracono ich, idąc w téj mierze za świadectwem Harrison'a, 72,000; za królowéj Elżbiety jednego roku nawet nieprzechodziło w kraju bez tego, żeby nieposłano 300 lub 400 z nich na szubienicę«.

Pauperyzm leczono szubienicą i mieczem; używano więc na tę chorobę owego heroicznego lekarstwa Nerona.

Dawniéj mnisi wielkie swoje bogactwa dzielili pomiędzy lud pracowity i nędzny; w ich dobrach, za małą opłatą, rolnicy znajdywali pola do uprawy, a nędzarze i kalecy potrzebną sobie żywność i odzież. To było ze strony ciała; poczciwi mnisi niezapominali téż o duszy i sercu biednéj braci; były przy klasztorach szkółki dla ludu, jak tak również były biblioteki dla uczonych. Anglja była krajem, w którym kwitły nauki. Uniwersytety w Oxfordzie i Kembridżu do dziśdnia jeszcze noszą na sobie starą cechę czasów katolicyzmu.

Powtórzymy więc raz jeszcze to, cośmy powiedzieli wyżéj, że bez miłości i apostolstwa niemasz wcale środka zaradzić należycie ubóstwu i nędzy, osobliwie niema środka zaradzić temu poniżeniu moralnemu człowieka, jakie one pociągają za sobą; największą bowiem zasługą chrześcijaństwa jest nie to tylko jedynie, że żywiło ono nędzarzy, ale to, że umiało ono podnieść nędzę, znoszoną w pokorze serca, do godności cnoty i świętości. Główną dźwignią cnoty jest *pokora*. Zbawiciel, ów najwznioślejszy wzór życia naszego, powiedział uczniom swoim, że nieprzyszedł na świat panować, ale służyć ludziom, wzywając do siebie tych wszystkich, którzy czuli na sobie ciężące im brzemie powszedniego życia, obiecując im ulżyć w ich brzemieniu, jeżeli tylko brzemie to było po nad ich siły. Nadał On szczególniejszą moc religji Swojéj do pokrzepienia serc ludzkich, do męztwa w niedoli, obiecując tym wszystkim, którzy wytrwają na stanowisku swojém, wieniec męczeński, wieniec wiekuistéj chwały.

Nienależy nam łudzić się w téj mierze; tak jak człowiek pozostanie zawsze człowiekiem, tak samo świat ten niestanie się nigdy dla nas rajem, ale będzie on zawsze *padołem płaczu;* a dusza wyższa nieznajdzie nigdy sobie w materyalnych uciechach świata takiego szczęścia, do jakiego ona wzdycha ustawicznie, a jakie chciałaby ona tu, jeszcze sobie pozyskać. Człowiek stworzony jest do innego życia; »*nie jednym chlebem tylko człowiek żyje, ale słowem Bożém*«. Nosząc w sobie cechę nieskończoności człowiek pożąda zawsze, w głębi serca swo-

jego, tego właśnie, czego na tym świecie w żaden sposób osiągnąć niemoże; przychodzi dla każdego czas, w którym dusza nareszcie dojrzewa, czas, w którym człowiek młody staje się *mężem*; w téj porze wszystko ziemskie traci dla nas swój urok; przykrzymy sobie, bo wszystko ziemskie traci dla nas swój urok; przykrzymy sobie, bo wszystko co mamy, co posiadamy, wszystko to nawet, co świat nam dać może, bogactwa, władzę i samą sławę nawet, trzy rzeczy właśnie, za któremi tak namiętnie ugania się człowiek w młodości swojéj, nicością nam się wydaje. Ztąd właśnie pochodzi owa nuda, prowadząca nieraz ludzi do samobójstwa; nastaje nawet ów przesyt, owa próżnia duszy, otwierająca się wewnętrznemu oku człowieka, jakby jaka przepaść czarna. O téjto nudzie ślicznie powiedział mówca wielki Francji (Bossiuet): »*cet inéxorable ennui fait le fond de la vie humaine*«. Takiej nudy nieznają źwierzęta, a nieznają jéj dla téj właśnie przyczyny, że cel ich istnienia tu na ziemi się mieści. Cele zaś człowieka są insze, wyższe daleko; dusza jego tak jest wielka, że wszystko pada w nią, ginie jak kropla w morzu i nic niemoże zapełnić jéj czczości, okrom tylko Boga jednego. Sam chrześcjanizm tylko daje nam należyte tłumaczenie *celu powstania i bytu człowieka i ludzkości na ziemi*. Racyonaliści albo niemogą pojąć tego celu, albo widząc, że w téj mierze jedno tylko objawienie Boże daje nam rzetelną odpowiedź na to ustawicznie dręczące nas sobą pytanie, odsuwają je z niechęcią od siebie, albo wreszcie mówią nam wprost, że człowiek niepowinien się biedzić nad jego rozwiązaniem.

Renan właśnie wvpowiedział otwarcie to ostatnie zdanie: »Le problème de la déstinée humaine est insoluble; que ceux là perissent qui s'y arrètent et c'est une question qu'il faut non pas débattre mais franchir.« *(Livre de Job. Etude preliminaire)*.

Skoro więc najpierwszy wyraz z księgi mądrości jest dla nas niezrozumiałym, bądźmy więc tego pewni, że niezrozumiemy i ostatniego; wszelkie nasze rozumowania pozostaną czczémi tylko marzeniami, a ostatecznym owocem ich pozostanie zawsze sam tylko sceptycyzm, owe Monteniowskie *que sais-je*, które on wypisał był na drzwiach pracowni swojéj.

Jakieżto dla nas szczęście, że my chrześcjanie wiemy o tém, zkądeśmy wyszli i dokąd dążymy? my sami wiemy to, że początkiem stworzenia

była miłość Boża i że dążymy właśnie do téj miłości Bożéj, któr chce nas objąć w wieczności i przytulić do Ojcowskiego serca swojego. To jest właśnie królestwo niebieskie.

Stwórca nas ukochał jako Ojciec najlepszy, chce też abyśmy Go ukochali wzajemnie i abyśmy miłowali jedni drugich, jako dziatki jednego ojca. Mówią, że Jan ś-ty apostoł, stoletnim już będąc starcem, kazał się nosić uczniom swoim do kościoła w Efezie i tam, usiadłszy na katedrze, powtarzał im ustawicznie tę oto naukę: »dziateczki miłujcie jedni drugich, *miłujcie się* wzajemnie.« Takie krótkie, a zawsze jednostajne, kazania biskupa zdziwiły nareszcie jego uczniów; pytali się więc go razu jednego, dla czego im ustawicznie jedno i to samo powtarzał, a on im na to odpowiedział: bo to jest główna; skoro się tylko wzajemnie, pomiędzy sobą, kochać będziecie, to wszystko będzie dobrze«.

Niech więc niezraża nas sobą odstręczająca postać nędzarza, widok jego cielesnych i dusznych ran; owszem, im więcéj on jest zepsuty, tém więcéj zasługuje na litość z naszéj strony. Jeżeli nędzarz jest zepsuty, oddany opilstwu, rozpuście, to dla tego zapewne, że jest on opuszczony moralnie, że cierpi głód, pragnienie, że będąc nagim, bez wszelkiéj nadziei polepszenia swojego losu, niewiedząc gdzie położy jutro głowę, szuka w trunku zapomnienia o swojéj nędzy lub kalectwie; czułość jest dla niego największém nieszczęściem, bo daje ona mu tém dosadniéj jeszcze poczuć swoje opuszczenie i sieroctwo. Nieraz mówią na żebraka, że to jest bydle, a nieraz może ta nieszczęśliwa istota, ten człowiek zazdrości losowi bydlęcia, które przynajmniéj w tém jest od niego szczęśliwszém, że niemyśli o sobie, że nieczuje niedoli własnéj. On chce się zezwierzęcić, chce utopić biedę swoją w trunku, utracić nawet swoją duszę nieśmiertelną, wyrzec się szlachetnego imienia człowieka, a jeszcze nad to droższego imienia chrześcjanina, istoty krwią Zbawcy samego odkupionéj. Im więcéj ten bliźni pokalał się w grzechu, tém więcéj powinniśmy myśleć o nim. Wszakże on należy do społeczności naszéj; pomiędzy nim a nami zachodzi *solidarność* pewna, powinniśmy pomyśleć o losie jego, o jego *poprawie*. Rany duszy jego może leczyć nie tylko kapłan, jako apostoł religji Chrystusowéj i jako spowiednik, ale i każdy z nas.

człowieka, ale nie ostatnim, bo ten najświatlejszy, w duszę wlany, promień nieba świeci w niéj jasno, lecz ująć się w żadne formy ziemskie jak mówiłem, nie zdoła, bo w niebie jego forma! Świat więc najwyższy ducha innéj potrzebuje mowy; tam słowo, tam tony na nic; bo jak oddać słowami, lub tonem, kiedy dusza z duszą się kommunikuje, kiedy serce z sercem pomówić pragnie? Kto z nas niepoczuł braku słów, kiedy swej lubéj miłość swą wyznawał? Dwoje kochanków stoją razem, sami jedni, w milczeniu, godzinę, a słowa do siebie przemówić niemogą, czemuż? bo głos duszy tak silną bierze wówczas przewagę, iż słów niepotrzebują oni, by się porozumiéć; o! wiedzą oni dobrze, co serce sercu w téj chwili uroczéj mówi. Westchnienie pierś rozrywa, ale ta muzyka duszy silniejsza nad wszelki wyraz! Ręka w ręku, oko w oku, rzekłbyś, piorunem rażeni! co ich otacza, niewiedzą, niewidzą, niesłyszą zatopieni w sobie. Świat dla nich cały: *ja* i *ty*. Jaką pieśń wtedy ich dusze wyśpiewały, co oni sobie w tém niemém spotkaniu wypowiedzieli, czyż słowa oddać potrafią, gdzie najwznioślejszych tonów za mało!?

Duchowość ta, jak w zwierciadlanym blasku źródła, w szczycie niebios odbija się. Tam jéj obraz!...

Śpiew

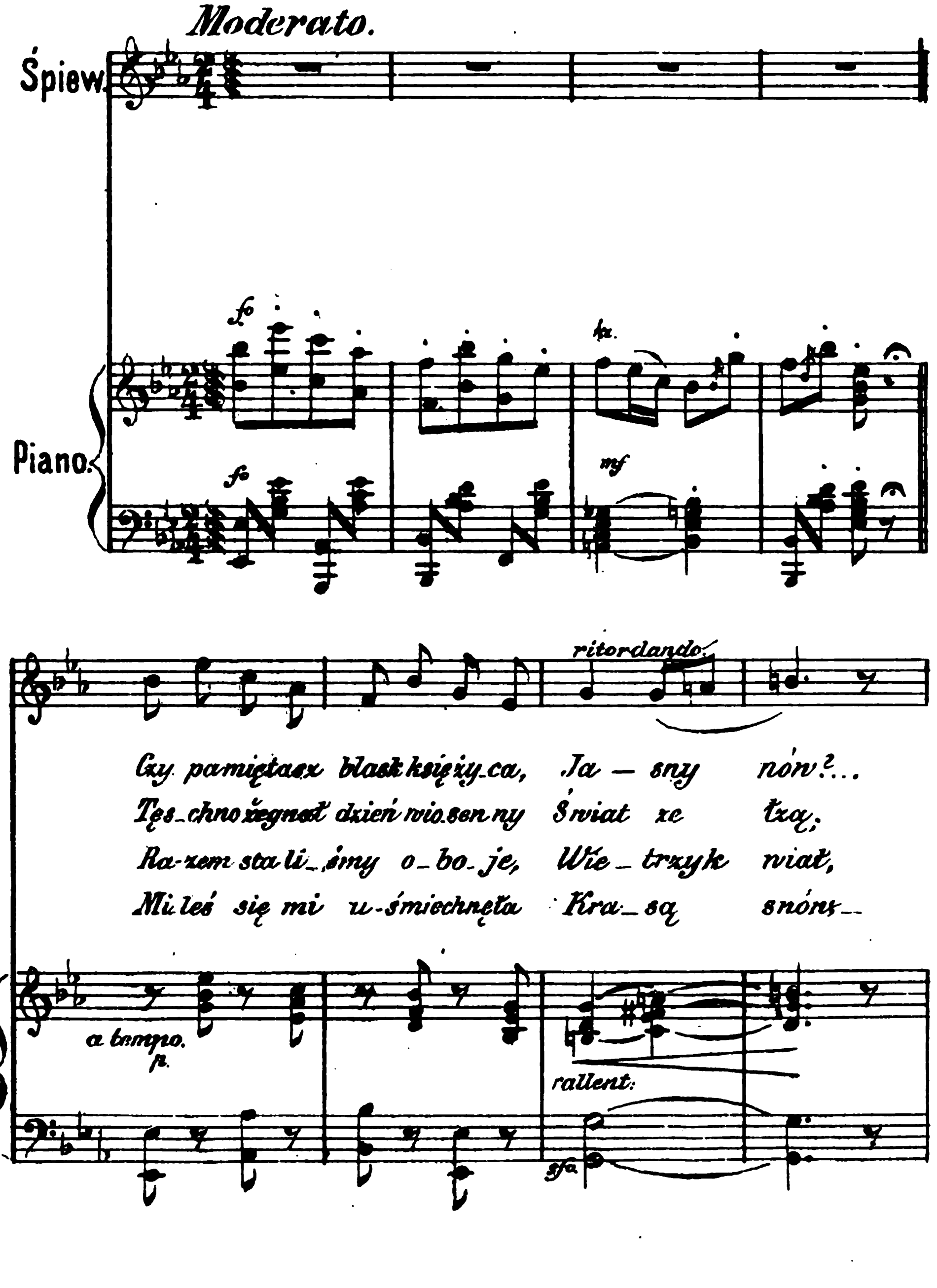
Do słów F. M. Ejsmonta:

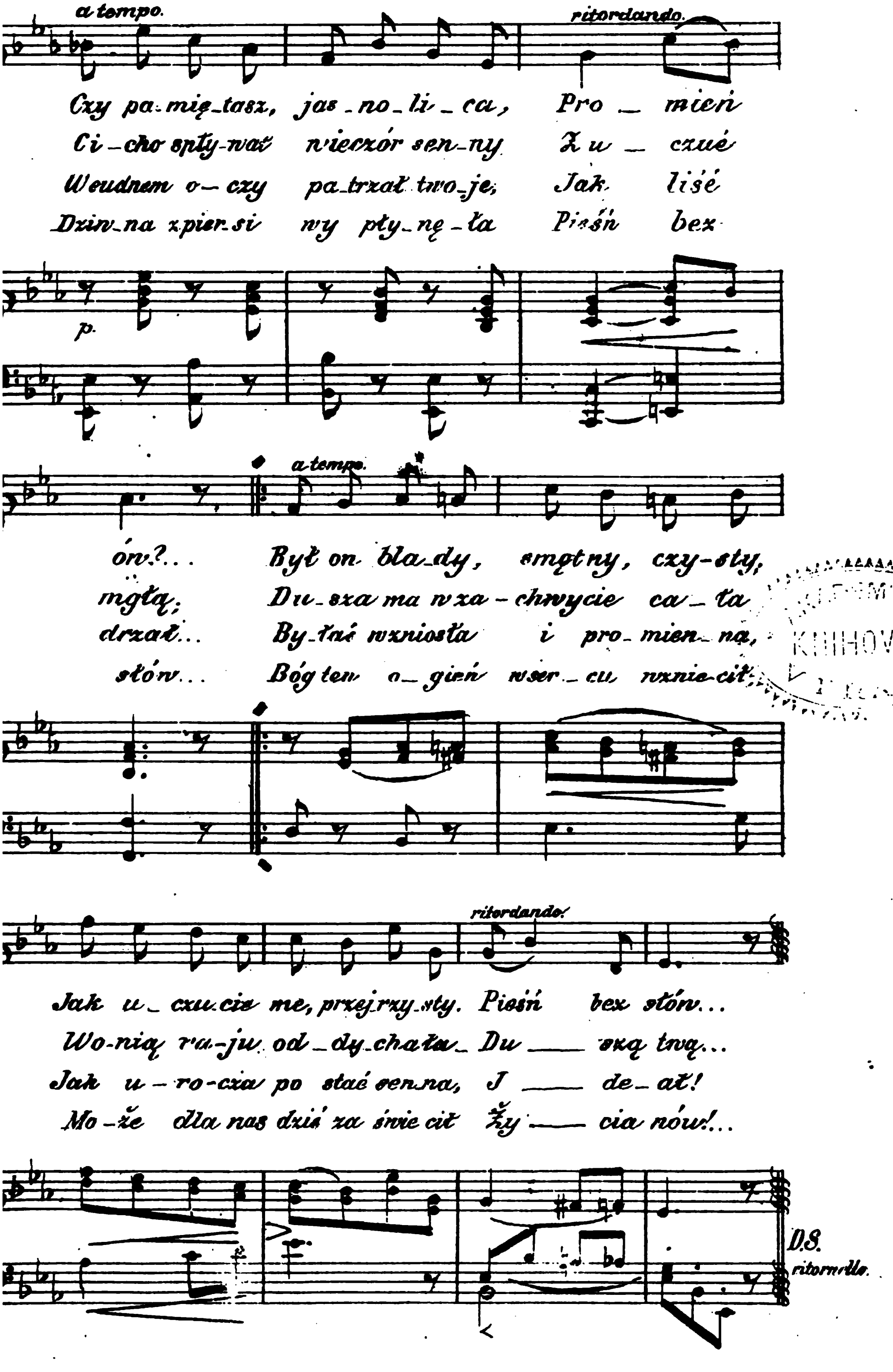
„CZY PAMIĘTASZ?”

MUZYKA NA FORTEPIAN

FRYD. PROCHASKA.


CZY PAMIĘTASZ?


Moderato.
Śpiew
Piano
fp
ritordando
Czy pamiętasz blask księży_ca, Ja – sny nów?...
Tęs_chno żegnał dzień wio_sen_ny Świat ze łzą;
Ra-zem sta_li_śmy o_bo_je, Wie_trzyk wiał,
Mi_łeś się mi u-śmiechnęła Kra_są snów –
a tempo.
p.
rallent.
sfz


a tempo.
ritordando.
Czy pa-mię-tasz, jas-no-li-ca, Pro — mień
Ci-cho spły-nał wieczór sen-ny Z u — czuć
W cudnem o-czy patrzał two-je, Jak liść
Dziw-na z pier-si wy pły-nę-ła Pieśń bez
p.
a tempo.
ów?... Był on bla-dy, smętny, czy-sty,
mgłą; Du-sza ma w za-chwycie ca-ła
drżał... By-łaś wzniosła i pro-mien-na,
słów... Bóg ten o-gień w ser-cu wznie-cił;
ritordando.
Jak u-czu-cie me, przejrzy-sty. Pieśń bez słów...
Wo-nią ra-ju od-dy-chała Du — szą twą...
Jak u-ro-cza po-stać senna, J — de-ał!
Mo-że dla nas dziś za-świe-cił Ży — cia nów!...
D.S.
ritornello.

Дозволено Цензурою, Г. Кіевъ 9 Января 1871 г.

Въ Лит: И. и А. Давиденко ... ьженко и В. Давиденко.

Było ów nigdzie

*

Śpiew.

Gabryeli.

Czy pamiętasz blask księżyca,
Jasny nów?
Czy pamiętasz, jasnolica,
Promień ów?...
Był on blady, smętny, czysty;
Jak uczucie me, przejrzysty.
Pieśń bez słów...

Tęschno żegnał dzień wiosenny
Świat ze łzą;
Cicho spływał wieczór senny
Z uczuć mgłą;
Dusza ma, w zachwycie cała,
Wonią raju oddychała —
Duszą twą...

Razem staliśmy oboje,
Wietrzyk wiał,
W cudnem oczy patrzał twoje,
Jak liść drżał...
Byłaś wzniosła i promienna,
Jak urocza postać senna,
Ideał!

Mileś się mi uśmiechnęła
Krasą snów,—
Dziwna z piersi wypłynęła
Pieśń bez słów...
Bóg ten ogień w sercu wzniecił,
Może dla nas dziś zaświecił
Życia nów!..

F. M. Zygmont

RATBER.

Z „Legendy Wieków“ Wiktora Hugo *)

(Przekład z Francuzkiego).

1. p. A. Pługa.

Izora z Finalu i Fabrycy z Albengi.

Gdzie morze Genueńskie uciera się z lądem,
Na górze, co widziała Franków z Faramondem,
Wnuczę i dziadek zamku Finalskiego wieże
Zamieszkują samotni: straż ich wierna strzeże,
Strzegą mury i fossy głębokie; rok piąty
Ma dziecina, a starzec rok ośmdziesiąty.

Dziecięciem jest Izora, co dziedziczy w spadku
Lenność, której Witykind zakreślił rubieże. —
Ta sierota jedyną ma opiekę w dziadku.
Opuszczenie dziś Final pod swój całun bierze:
Trawa co śród posadzek tu ówdzie przeziera
Przez szpary, głazy w ramy zielone ubiera;
Na drodze zapomnianéj nie zatętnią kroki,
Bo gdy rodziców Boże zabiorą wyroki,
Na życie dziatwy musi upaść mrok tęsknicy.

Dziadek jestto margrabia z Albengi, Fabrycy;
Dobry, drogi rolnikom i miły pasterzom,

*) *Uwaga do Ratbera.* Nieposiadamy erudycji tak głębokiéj, abyśmy mogli czytelników naszych oświecić, kto był mianowicie ten Ratber, król Arlesu (inaczéj Arelatu)), domniemany Cesarz Niemiecki. Uznanie jego przez Papieża Urbana IV-go (według Wiktora Hugo) wskazuje tylko, że panował po roku 1261, a więc w okresie, zwanym w dziejach *beskrólewiem*, z powodu, iż podówczas cesarze, wybierani przez rozmaite, koroną frymarczące, stronnictwa, rzeczywistéj władzy niemieli, gdyż jednych ci, drugich owi za władzców uznawali. Mógł więc taki Ratber wcale nie istnieć, mógł go sobie stworzyć poeta na to tylko, aby tak w nim jak w jego radzcach i całém otoczeniu, oddać charakter téj okropnéj doby dziejowéj, w któréj podobne czyny samowoli, tyraństwa, zdrady, mordów, łupieży i rozpusty, jak tu, których nam próbkę daje w zamku Finalskim, były rzeczą nader powszednią. To, co podajemy w téj książce, jest tylko trzecią częścią poematu, który mamy cały w przekładzie. Dwie pierwsze opuszczamy, jako mniéj poetyczne, a przeznaczone jedynie na to, aby scharakteryzować feudalnych władzców owczesnych, książąt, hrabiów, baronów i biskupów, których licznym orszakiem poeta otoczywszy Ratbera, właściwymi sobie rysy ostrymi szkicuje ich bezecne postacie.

W bojach przeciw Mocarzom, lub przeciw Papieżom,
On komandorem floty, wodzem bywał grodu;
Genua go zrobiła Opatem narodu.
A gdy ręce nikczemne państwo królom zdały,
On walczył. Każdy przy nim wydawał się mały;
Spartańska dusza w licach była mu wyryta,
I prawości urokiem, co za serce chwyta,
Jaśniał ten człek, uparty w dobrém. Że Owna
Był on synem pobocznym, co to nosił miano
Nierodka, bo go z matki konającéj łona,
Na chwilę przed ostatniém jéj tchnieniem, wyrwano,
Oko króli wzgardliwie na niego patrzało;
Fabrycy mścił się, króli przewyższając chwałą.
W dwudziestéj wiośnie młodzian, piękny, jasnowłosy,
Wyglądał jak wojenny jaki trybun Romy.
Jakby na godło matni, stawianéj przez losy,
Którą zwalcza bohatér, rzeźbiarz nieznajomy
Wyrzeźbił mu na tarczy Labirynt złowrogi.
Wielbiły go niewiasty, patrząc nie bez trwogi
Na jego głowę, w karku lwiéj podobną głowie.
Przed jego mieczem, z którym szczęście było w zmowie,
Nieraz nawet, nad wszystkich i dumni i śmiali,
Rekwescens, Robert, Szando, haniebnie pierzchali.
Raz przez niego sam Papież błagać był zmuszony
Genueskie o spieszną ucieczkę durgta.
Byłto wielki *mieczołom*, dzielny *kruszypęta*,
Walczyć, a nadewszystko wyzwalać spragniony.
Przezwały go największym wszystkie Włoskie kraje,
W wieku sławnym, po którym wiek podły nastaje.
Zawsze ilekroć w trąby ponure Bellony
Zadęły usta książęce, kipiał gniewem cały;
I nieraz pochwyciwszy potężny klucz stary
W strasznym zamku Kościoła skręcał go zuchwały.
Wichru i burzy jego szukały sztandary.—
Pod piętą mu nie jeden potwór w zęby zgrzytał.
Tam sam krocząc w ciemnościach, jak groźne widziadło,
Dumny, świecący w mroku ogniem pióropusza,
Mąż, co umysł podniosły i chrobre miał ciało,
Co zawarł w sobie sławę i ojczyznę całą,
Piękna, niezranna, przecież skołatana dusza,
Mściciel praw, zbawca swobód, stróż miast nieznużony,
Wszystkich króli wszystkiemi ciosami rażony,

Przez pół wieku ten żołnierz, dziś z drżącą już głową,
Był dla staréj Italji zbroicą stalową,
I to, z wszelkich promieni odarte stólecie,
Od niego w swéj otchłani brzask jakiś ma przecie.

2.

Wada pancerza.

Dziś on starcem, klasztorem zamek jego stary;
Pada i — pochylony — wzrastającą czuje
Zacną ufność, co wielkie serca znamionuje.
Mąż śmiały, że są tchórze, dać niezdoła wiary;
Bohatérowi wcale nikczemnik nieznany;
Co zwykł motłoch, do czego zdolne są tyrany,
To mu obce, bo obcym on w tym podłym wieku;
Ledwie widzi go, ledwie sam przezeń widziany;
Niezna trwogi, jak niezna zdradnéj przebiegłości,
Nad świętą łatwowierność, niema wad w tym człeku;
Bezpieczniejszy, im większa niebezpieczeństw siła.
Jeśli dał się zwyciężyć, to tylko prawości.
Dziś, jakby na wygnaniu, żyje sam w swéj chwale,
Zapomniany; choć starcom pamięć jego miła.
Młodzież traci go w mroku, i mgły ciemnéj fale
Chłoną gwiazdę, co niegdyś świeciła wspaniale.

W tumanie swym, gdzie blask się zachodu rozstrzela,
Ma on to wielkie morze, to niebo, zkąd płynie
W żałości zdrój tęsknoty, w szczęściu zdrój wesela.

Wszystko odeń uciekło, wszystko za nim minie;
Długi całego wieku cień przed nim się słoni,
On, rzekłbyś, jakiś wielki sen oczyma goni;
Czasem, jakby niewidząc i niesłysząc, chodzi.—
Starzeć się — smutny schyłek! o słońca zachodzie
Całek chmurny; utrudzenie w końcu pracy czuje,
Rzekłbyś, że go chwilami dusza odstępuje,
By w Niebie na odejście spytać pozwolenia.
Niezna on żalu, niezna wyrzutów sumienia,
Z ośmią krzyżyków, w duszy nad śnieg wybielony.
Czasem, gdy się ten żołnierz chce oprzeć strudzony,
Stary mur, sam runący, podporą mu służy.

Poważny, duma..... Wszyscy miłują go, którzy
Są tu z nim; bo miłości tylko święta władza
Życie w takiéj ruinie, w takiéj pustce zradza;
Kształt serca ma liść bluszczu, co w zwaliskach rośnie.

3.

Dziadek.

Ten starzec to dąb, kwiatek wielbiący miłośnie.
Dziś w tém jedném dziecięciu cała mu rodzina.—
Spogląda na nie, marzy i mówi: »dziewczyna!
To i owszem!« bo z matki jest dziadkiem dziecinie.
Życie w zamku tym cicho, uroczyście płynie;
Wracające godziny wiodą zwyczaj stary.

Starzec pełen ufności, bezpieczeństwa, wiary,
Co rana na zakrzepłych biodrach swych przy pasie
Czepia miecz swój, dziś rdzawy, lecz on w swoim czasie
Ważył tyle, co dobro powszechne zaważy.
Kiedy czasem tę świętą relikwją obnaży,
Kiedy z wysiłkiem z pochew wyjmie brzeszczot sławny,
Mniema, że w nim czuć jeszcze wyroczny gwicht dawny.
Każdy człek na tym świecie w ręku swych piastuje
Coś takiego, w czém dobra, zła, skutku przyczyny,
Ludzkości, Boga, piekła pewną wagę czuje:
Sędzia z czołem pochmurném swoje woluminy,
Król złote swoje berło, grabarz rydel trzyma.

Co wieczór starzec dziecie wiedzie do kaplicy;
Dziecie modli się, patrząc cudnemi oczyma,
I wesoło o groby dziadka wypytuje,
A temu skra wilgotna błyska we źrenicy.
Drząca ręka niepewne kroki podtrzymuje;
Idą pod facjaty, pomiędzy kolumny,
Kędy rój serafinów i rycerzy tłumny.—
Każdy posąg, na odgłos poważny ich kroków,
Drzy i, rzekłbyś, pokłonem witają śród mroków
Bohatérowic starca, a serafy dziécie.

Czasami Izoretta, którą wdzięk jéj strzeże,
Samiuteńka się wymknie poigrać o świcie

Gdzieś na starą, co babką jéj się zdaje, wieżę,
I co śród dzikich krzewów mieszka z gruzy swymi
Romańskie opowieści z legendy Saskiémi
Dziecinka, co ród cały dawny w sobie mieści,
Gdy znienacka swą lekką stopką zaszeleści,
Płoszy kozła, co trawę skubie z rozpadliny,
A za nią, patrz, już dziadek w ślad z modlitwą kroczy;
Bo jak tylko świt swoją purpurę roztoczy,
On już trwożny wnet szuka zorzy swéj jedynéj.
Dziécie igra w poskokach, rwie sukienki swoje,
Z grobu na grób motyli ściga barwne roje,
Lub na chropawym złomku zadumana siada;
I dziécie poważnieje, a głaz się odmładza;
Dziécie z ruiną łączy dziwnéj zgody władza,—
Czas w nich całę puściznę po umarłych składa.

4.

Jednemu tylko człowiekowi wiadomo, gdzie skar ukryty.

W wieku, gdy każdy naród władca jakiś gnębi,
Z pomiędzy królów—sępów i książąt—jastrzębi,
Żadenby niepogardził, można ręczyć za to,
Świetnym Finalem, twierdzą margrabstwa bogatą,
Co się z allodji, czynszów, tam rok rocznie skarbi,
Dwadzieścia silnych mułów biesagami garbi.
Wielka baszta tam stoi, pod niebo wzniesioną;
Na cztery strony świata potężna obrona;
Święci Mateusz, Łukasz, Marek, Jan, rzeźbieni
Na czterech Kuszach świecą śród złotych promieni.
Nadto z obu stron górę dwa kasztele chronią.
Kamienne stróże z stalną pod płaszczami bronią.
Skarb, gdy z pod kłódek zwolnią kute skrzyń tych wieka,
Brylantowym snem oczom zdaje się człowieka.—
Skarb ten zamurowany w tajemnéj piwnicy,
A sam Margrabia tylko świadom tajemnicy.
Byłato niegdyś studnia strasznéj samołówki;—
Dzisiaj jeden Fabrycy zna miejsce kryjówki,

Otton, syn Witykinda, wytrwały w bojach,
Kazał wmurować w dolnych zamkowych pokojach
Dwadzieścia skrzyń, warownych żelaznemi sztaby,
Anzelm zaś je napełnił kruzadami, aby
Ród jego miał ich dosyć aż po kres żywota.
Hełm Margrabiów, ukuty ze szczerego złota,
Na przyłbicy, gdzie krata misternie zdziałana
Filgranową robotą, kształtnia okienka,
Nieznanego kunsztmistrza wyrzeźbiła ręka
Dwóch dawnych królów Perskich: Narsesa, Tygrana;
Na ciosanym z jednego onyksu grzebieniu
Ptak Fenix w rubinowym goreje płomieniu,
A jeden brylant z berłem unją zawarły.

5.

K r u k.

Raz o poranku zagrzmiał róg odźwiernéj straży;
To przybył poseł z laufrem, z pisaniem przysłany
Od króla, co jest Rzymskim Mocarzem nazwany.
Ratber pisze, że nim się do Tarentu zbierze
Wprzód odwiedzi Izorę, swą krewną, bo szczerze
Uścisk oddać i zaszczyt sprawić jéj spragniony.
—»Panie! powiada poseł z nizkiemi pokłony,
Król Jegomość odwiedzać zwykł tylko królowe«.

Z rąk najjaśniejszych idąc posłanie takowe
Przynosi jeszcze z sobą dar świetny, wspaniały,
Wóz ogromny, dziecinnych cacek pełen cały.
Izora klaszcze w rączki z okrzykiem radości.

Poseł Jego książęcéj, czy królewskiéj Mości,
Pełnomocnik mocarza największego w świecie,
Wracając, zkąd posłany, kiedy żegna dziecię,
Składa mu, panującym należne, pokłony.

—»O bywajże nam! bywaj! przez mosty! przez brony!«
Woła Margrabia«— w trąby i kotły zagrzmijcie!
I dumny cześcią królewską przez drogie swe dziécię,
Szczere lica rozjaśnił radości promieniem.

Więc gdy raz jeszcze czyta królewskie pisanie,
Ptak w górze przelatując zmroczy je swym cieniem,
A jeden z wiernéj straży —»Kruk! zawoła, Panie!
Gdy Judasz szedł Chrystusa wydać, czarne ptaki
Go wiodły.« Starzec kruka nad szczytem wieżycy
Goniąc okiem,—»ba! rzecze, byłem ledwie taki,
Gdy kruk ten, towarzyszu, który cię zatrwożył,
W najpyszniejszéj tu baszcie z całéj okolicy
Osiadł i gniazdo sobie bezpiecznie założył.
Znam go, krąży bywało, kiedy mrok zapada,
I kracze; wszyscy w trwodze, lecz ja się nie straszę;
Ja, malec, polubiłem to stuletnie ptasze,
Tego gwiazd i piorunów starego sąsiada.«

6.

Ojciec i Matka.

Margrabiowie Finalscy mają swoje groby
W sklepie, gdzie dniem i nocą ciągle światło gorze.
Człek, co lampy dogląda, o zwyczajnéj porze
Zstąpił w ten uroczysty przybytek żałoby.—
Stoczony przez robactwo, tam w śmiertelnym mroku,
Każdy Margrabia przy swéj margrabiny boku
Śpi, niewidząc ni sługi, ni światła, co płonie
Z rąk jego. Tuż pod lampą, u samych podwoi,
Pomnik dwojga ostatnich nieboszczyków stoi.
Aby lampę podniecić i zapalić wonie,
Sługa k'niemu przystąpił.—Na grobowéj płycie,
Jedno obok drugiego, para żałościwa,
Po któréj dziś jedyne pozostało dziécie,
Izora, jego Pani, leży jakby żywa.
W duszącéj, obumarłéj grobów atmosferze;
Ciche posągi w szaty swe pańskie odziane;
Na piersiach, jak w modlitwie, ręce skrzyżowane.
Przy niéj wierny pies, przy nim lew, rycerskie zwierze.
Zajrzał,—nocny kaganek dobrze walczył z mrokiem;
Więc się wpatrzył, schylony, w łzach tonącém okiem,
W tego ojca granitu i matkę ze skały,
I zadrzał, i odskoczył! Zdało się starcowi,
Że czoła, ku mrocznemu zwrócone stropowi,

Nagle im na wezgłowiach białych spochmurniały
Niewieście jeszcze smutniéj, a groźniéj mężowi.

7.

Radość w zamku.

Świetnych, długich a ciężkich sznur wozów wspaniały,
Co poprzedza lub idzie za dworem cesarza,
Oto ciągnie, a gwarne echo między skały
Trąb głosy i wesołe okrzyki powtarza,
Gdy blask włóczni widnokrąg daleko zalewa.

Bije Final we dzwony, bo się dziś radośnie
Wspaniałego Mocarza odwiedzin spodziewa;
Rwą zielsko pasożytne, co na wieżach rośnie;
Cożywo grube mury stroją w wapno białe;
A w dziedzińcu na stołach owoce dojrzałe,
Granaty, co się rodzą w Alpuhary górach,
Wino w beczkach szykują, oliwę w gąsiorach.
Wonném zielem i kwieciem schody potrząśnione;
W kuchni żarzy się cielsko odyńca czerwone,
I dymią krwawe skóry, co ze zwierząt zdarto.
Śmiech wszędy. A pod wielką bramą rozpostarto
Dywan, na którym Blanka z Estu w dawne lata
Wyszyła bohatérów trzech: Amedeusza,
Amadysa, Achylla,—Rodyjski cud świata,
I sławnego pogromcy rydwan Aecjusza;
A w medaljonach, zdobnych we złotą znamiona,
Trzech poetów: Planta, Seewę i Platona.
Dywan ten niegdyś pysznie wielką izbę zdobił;
Mówią starzy, że wództo Sykambrów narodu,
Straszny Witykind sławny, ściany był nim obił,
By łoże dzieci swoich ochronić od chłodu.

8.

Izora u gotowalni.

Gwar, śpiewy, w stare wieże weszło nowe życie,
Przy Izorze służebne kupią się dziewczęta;

By króla Arleskiego przyjąć należycie,
Na dziecinę wdziewają pyszny strój od święta.
Dziadek w krześle wiązowém, wykładaném klonem,
U wezgłowia jéj siedzi z licem zamyśloném,
Zapatrzony, bo piękna, jak te cherubiny,
Malowane na ścianach zamkowéj kaplicy!
Jasne czoło, włós złoty, spójrzenie dzieciny,
Co spoczywa w objęciach u Bogarodzicy;
A w liczku niewinniątka błogi ów, jedyny
Pocałunek, co ustom daje orzeźwienie,
Kiedy we wszelkich innych czuć tylko płomienie.
Siedzi na swém łóżeczku bosa; przez oczęta
Niebieskie jéj duszyczka świeci prosta, święta.
Dziadek śmieje się; wieczór złotą jutrznią płonie. —
A gdy się czasem rąbki koszulki rozgarną,
Widać znamie rózane na dziecięcia łonie,
Dostojnych macierzyńskich piersi święte ziarno.
Ruchy jéj ramion, skrzydeł podobne ruchowi.
Starzec rączki jéj tuli, by ogrzać, w swe dłonie;
A to wszystko, co do niéj, do służebnic mówi,
Bez związku, że zgadywać potrzeba najwięcéj,
Lat sędziwych uroczy ten szczebiot dziecięcy,
Rzekłbyś, że naraz wszystkie głosy w sobie mieści:
Życia, doli, niedoli, radości, boleści,
Nadziei i wspomnienia, wesołe i łzawe;
Tak w starym dębie słychać wszystkich ptaków wrzawę.

»Strój się pięknie! przyjedzie Pan nasz Miłościwy,
To Mocarz, a nie Baron, jak my;—Król prawdziwy;
Dobry, młody; w Arlesie ma państwo dziedziczne.
Patrzże; zgrabny mu pokłon daj na powitanie,
A pamiętaj, mów zawsze: miłościwy panie.
Widzisz, jakie od niego masz podarki śliczne!...
Poczciwi kmiecie przyjdą tu gromadą całą;
Kochają cię; ty rzucać im będziesz cekiny,
Sama, żeby to prosto im w czapki padało«.
I z rąk służebnic biorąc sukienki dzieciny,
Wołał Margrabia:

»Dajcie, niech ją sam ustroję!...
Kiedy matka jéj była dzieweczką tak małą,
A ja z siwą już brodą, to codzień bywało
Szczebiotem swym witała przebudzenie moje.

Nieraz sama mi chciała miecz przypiąć na pasie,
I biedaczka z twardémi mocując się sprzączki,
I ostrymi kolcami raniąc drobne rączki,
Śmiała się.... Głosem trąb mych pysznie w onym czasie
Grzmiała z granic w granice Italska kraina!..
Dziécie moje dziś w grobie, o nas zapomina!
Czemuż dziś mi nie służy? o ciężkie wyroki!
Czemu, kiedy ja czuwam, ona już zasnęła?...
Chwiejne bez matki córki wzrastającéj kroki!...
Smutno!... nie cierpię śmierci!... czemuż ona wzięła
Oblubienicę młodą, nie starego dziada?
Czemu więcéj, niż białym, czarnym włosom rada?!«

I płaczący łakocie podawał dziecięciu.

»Złym trybem idą rzeczy na tym nędznym świecie!
Myli się, kto wybiera; boć właściwiéj przecie
Dziecku w matki, starcowi w mogiły objęciu.
Lecz przystało o matce pamiętać przynajmniej;
Ja tu za nią stać muszę, gdy ona tam za mnie.

Patrz, jakie piękne niebo! jakie kwiatki w łące!
Taki dzień był, gdy Greckie hufce, wracające
Do Smyrny (to największe ich miasto portowe),
Ja i Bajli z Rodosu zbiliśmy na głowę....
Patrzno na te zabawki! cóżto za ślicznota!
Patrz, jaki rajtar! istny to łucznik Attyli,
Tylko że go jedwabiem nie wełną okryli.
Lub u Najświętszéj Panny ta czapeczka złota!
A ten srebrny Jegomość? osoba nie lada!...
Tożto się jutro bawić będziemy oboje!
Gdybyto tak przy mamie! o byłażby rada!..
Póki dzieckiem, człek całe szczęście widzi swoje
W lada cacku, i rad mu przez chwilę bez granic,
W wieczór już je za fraszkę, nazajutrz ma za nic;
A późniéj to go nęcą żołnierze prawdziwe,
Świetne sztandary, trąby wojenne gwarliwe,
Dzielne, rżące u żłobu, ogniste rumaki,
Obozy..... i tak zawsze w żądzach swych jednaki,
Tyle tylko, że wtedy żyją te chymery....
Wszystko próżność próżności!.. jednak żal mi szczery
Tych matek, co tak dziatki rzucają rodzone!«

Gwarzył starzec, na oczach z łez mając zasłonę,
A uśmiech w twarzy; taka to ludzka istota!
Swym aniołem, królową zaprzątniony cały,
Stroił ją drżącą ręką; trudnaż to robota!
Grube palce niezgrabnie staniczek spinały,
Wprawniejsze do wdziewania żelaznéj kolczugi;
A tymczasem przyklękłe przy dziecinie sługi
Obuwały jéj stopki pieszczone, różane,
W wonnéj ambrze z najmniejszych pyłków opłókane.

9.

Radość zewnątrz zamku.

Wieczór. Słońce w płomienną żarownię się kładzie;
I oto brzegiem morza, w niezmiernéj gromadzie,
Dokoła—kanie, sowy, jastrzębie żarłoki,
Olbrzymie morskie orły, których straszne oczy,
W dzień jak krew, ogniem świecą śród nocnéj zamroczy,
Wszystkie ptaki, co pasą się ludzkiémi zwłoki,
Syny tych starych sępów, co je orzeł Romy
Rozpłodził, przez wilczycę do cyrku zwabiony,
Którym dobrze i Marjusz i Sylla znajomy,
Ciągną, jedne od czaszek odrywając szpony,
Drugie o szubienice czyszcząc dzioby krwawe,
Inne znów lazaretów opuszczając mury,
Inne masztów złamanych popękane sznury,
Wszystkie rojem, wesołą w koło szerząc wrzawę,
Zlatują się na cypel Finalu ponury,
Co Alrama syn Otton obwarował sam,
I kraczą jedne drugim: lećmy, lećmy tam!

10.

Ciąg dalszy radości.

Ognie, dzwony, okrzyki, jęki, trąb odgłosy;
Baszty Finalskie płoną, jak olbrzymie stosy;
Tak, by uświęcić dzień ten wiekopomny godnie,
Szczyty ich w pałające przybrano pochodnie,

Stół olbrzymi nakryto pod niebieskim dachem!
To, co widzą tam oczy, myśl przejmuje strachem
I wstrętem: jestto radość zbrodni rozpasana,
Coś niższe od bydlęcia, wyższe od szatana;
To dziedziniec zamkowy, który wyje cały
Orgią, jakiéj oczy ludzkie niewidziały;
To Finał, ale Finał upadły, zhańbiony;
To pieśń, co z dzikim jękiem miesza swoje tony;
Otchłań, gdzie paszcza piekieł swym płomieniem błyska,
Obok wesołéj kuchni cichego ogniska;
Tryumf mroku bezwstydny, gruby, obrzydliwy,
O czartowskiéj wieczerzy jakiś sen straszliwy.

W rogu dziedzińca stoi, jak świadek ponury,
Szkielet wieży, okropne w rozwaliskach mury,
I na szczycie, skąd kruk się zrywa z trwożnym krzykiem,
Wznosi, trzęsąc na wietrze i sypiąc z nich żary,
Gorejącego wiązu wiechę i konary,—
Rzekłbyś, olbrzymi hajduk z ogromnym świecznikiem.

Orzeł królewski, z drzewcem sztandaru dźwignięty,
Szumi w skrzydła, nocnymi powiewy rozdęty.

Cały tu dziwny orszak: niewiasty i księża;
Prałaci pośród książąt, mnichy śród rajtarów;
Pastorały i krzyże, śród zgiełku oręża;
I mitry, jak żelezca największych rozmiarów.
Z mordem mieszają Boga pokuju, miłości.
Rzekłbyś, że odmęt zgrozy, gwałtu i ciemności
Chłonie wszystkie te serca! I jakież tych ludzi
Rozmowy?!.... Patrząc na tych godowników grono
I ludzką widząc postać, mniemasz, że wzrok łudzi.—
Uroczą kibić widząc nad stołem wzniesioną,
Boisz się, czy się pod nim nie potwór rozwala!
Jestto jedna z tych biesiad poczwarnego świata,
Co żyje i panuje od Heljogabala.
Flet lubieżny z dzikiemi cymbały się splata;
Sypią się wyuzdane całunki wzajemne,
I śród zgrai téj darmo człek różnicy szuka—
Co wilk, a co mężczyzna, kobieta, a suka!
A w mroku znać, jak wszystkie tu żądze nikczemne,
Popęd podły, chuć dzika, szał do rozbestwienia,
Płoną w straszliwéj gwieździe każdego spojrzenia!

Czémś dymiącém bruk cały dokoła zalany;
Przecież choć nadto ciepłe te wątpliwe piany,
Dosyć tu dzisiaj pełnych beczek wytoczono,
By za wino poczytać tę strugę czerwoną.—

Czy to gody weselne? czy stypa żałobną?
Patrząc, co masz przed okiem, zgadnąć niepodobna
Ród li to jakiś straszny, nieznany na ziemi?
Jest li on upiorami, czy ludźmi żywemi?
Czy to, co niewyraźnie nad mrok ten wypływa,
Końcem uczty, czy końcem rzezi się nazywa?

Czasem trąb, cyter, kotłów wrzawa tak szalona,
Jak ta, co to we wściekłość wprawiała Nerona.—
Żrą, żłopią, ryczą, pieją, charczą te szkarady,
A w ich tłumie, na tronie, Ratber, wesół, blady.

W pośrodku kwietnych arkad, łupów, pieśni, krzyków,
To w jaskini królewskiéj pałac rozbójników!

Prawie naga, stosami róży otoczona,
Jakby w apoteozie jakaś ubóstwiona,
Dumna, na powitania zaledwie że bacząc,
Białą rączką niekiedy takty lutni znacząc,
Śród gali wdzięcznie mdlejąc, jak w łożu alkowy,
Przy Panu się uśmiecha Mata, potwór płowy,
A król, garnąc się ku niéj w namiętnéj pieszczocie,
Pod stołem stóp jéj szuka nogą we krwi błocie.

Blaski, co z paszcz pochodni wirem iskier mżą się,
Migocą w złotych naczyń stołowych chaosie.—
Nóż, co oto się tępi w zającu, baranie,
Lub bażancię, za chwilę sztyletem się stanie.
Malaspina za królem z twarzą zamyśloną.
Wszystkie usta do pjaństwa rwą się i w niém toną.
Odbijając dna beczek, dobijają człeka;
Śród kości sarn i jagniąt zdaje się zdaleka,
Przy odblasku pochodni, że u psów w paszczęce,
Coś jakby ludzkie nogi skrwawione i ręce.
Greccy piewcy, byzanckim obyczajem, święte
Obrazki z cyny mając na płaszczach przypięte,
Sławią Ratbera, króla, zwycięzcę mocarza,

Boga, a z pod ław jęki konających biegą;
Woń trupów swieżych krwawa jak w rzeźnicy para
Miesza się z lekkim dymem kadzidła drogiego,
Co się wznosi ze srebrnych puszek i koszyków
Rozgrzanych jeszcze mordem zgraja służebników
Panu, któremu dziki zachwyt świeci w czole,
Jak służyła przy rzezi, tak służy przy stole
I podaje mu złote misy ręką krwawą.
Ratber siedzi rozparty z niedbałą postawą
Nad tą ucztą, pod niebem wieczornem pobladłem,
Ze stołów i kredensów z napojem i jadłem,
Z półmisków, gdzie lśnią pyszne pawie tęczopióre,
Z czar, gdzie słodki filtr kipi śród silnych płomieni,
Z puharów, gdzie hypokras i wino się pieni,
Z ust pijaków, kochanków, zewsząd wionie w górę
Mgła jakaś, pałająca weselem, roskoszą,
A w mgle téj dusze zmarłych rojem się unoszą.

11.

Wszyscy nasyceni.

Bo wiedziały, co czynią, czarnych ptaków stada,
Bo dobrze morski orzeł zwietrzył, kędy zdrada,
Bo chytry walecznego zaskoczył zdradziecko,
Bo starca bezbronnego zdeptano i dziecko.
Próżno po za murami walącéj się wieży.
Walczyła najwierniejszych gromadka żołnierzy;
Wszyscy padli, zlewając bruk krwawémi strugi.
Topory, miecze, włócznie, szpady i maczugi
Nieszczędziły żadnego; Prewot Malaspina
Rozkaz króla z Arlésu spełnił, jak maszyna,
Nadto jeszcze na palach i na szubienicy
W wielkiéj bramie konają główni buntownicy,
Jako zwie ich w swym gniewie ten awanturniczy
Król, co, dzięki Rzymowi, mocarzem się liczy.

A gdy dzielni zwycięzcy grzmiącą pieśnią wesołą,
Wobec owych szubienic i palów w około,
Gdzie Malaspina spełnił królewskie wyroki;
Sowy, kruki, jastrzębie i orły żarłoki,
Z gór, jaskiń, lasów, portów, niezliczone stada,

Lot zwijają na trupach, a krwawa biesiada
Ich nietyle, co ludzka tuż obok, ohydna.

Okropnym jest widokiem sęp, drapieżca dziki,
Krwawe łupy szarpiący; boleśne te krzyki,
Co roni u jastrzębia w szponach piegża biedna;
Strasznym krogulec, żrący zgruchotane kości;
Lecz za niemi niezmierna zwierzęctwa ciemności,
Za niemi świadczy prawo głodu niezbadane:...
Niebo, co mu te wielkie enigmata znane,
Noc, pod któréj przyjaźnym, opiekuńczym mrokiem
Sowa, czając się, śledzi łup swój kociém okiem,
I zdradliwe pająki tką swe sieci blade,
Obrus z gwiazd im podściela pod krwawą biesiadę;
Lecz istota rozumna, syn Adama, który
Gdy chce, dobrym być może, praw Bożych świadomy,
Człek, mordujący człeka, i w nocy ponuréj
Widokiem swym przeraża wszechżycia ogromy.

12.

Że Fabrycy jest zdrajcą.

Człek, któremu lancknechtów oddział towarzyszy,
Strojny w kurtkę z popielic w wachlarz wykrojoną,
Dzierżąc w ręku chorągiew ku ziemi schyloną,
Herold, przed wielką bramą, woła wszem, kto słyszy:

»W imie miłościwego, sławnego mocarza,
Bóg go wspieraj! narodzie! wiadomo się czyni
Wszem wobec, że margrabia z Albengi, Fabrycy,
Z buntownymi się grody wiązał w téj krainie
I, zdrajca, przeciw świętéj śmiał walczyć stolicy!
Ztąd Pan nasz miłościwy, Bóg wspieraj mocarza!
Kazawszy mu się stawić przed swym trybunałem
Zawładnął, mu odjętym, Finalskim udziałem«.

I podnosząc chorągiew schyloną, dorzecze:
»Kto śmie przeczyć, niech kat mu wnet głowę odsiecze,
A dobra na królewski skarb niech idą. Rzekłem.«

13.

Milczenie.

Nagle cisza nastała. Jak gdyby to piekło
Pod gwałtownego wichru uderzeniem wściekłem
Znów swą głuchą, grobową postać przyoblekło;
Umilkła; bo w téj chwili na progu ujrzano
Starca, jeńca, sędziego, widmo—antenata.
To Fabrycy,
Wiodą go tu na łaskę pana.
Blade skronie włos biały mu wieńcem oplata;
Ręce mu, jak zbojowi, na plecach związano;
A jak jastrząb goniący swą zdobycz oczyma,
Za jeńcem, niewidziany przez niego, tuż kroczy
Człek, co w górę wzniesiony miecz oburącz trzyma.

Utkwiwszy w nim swe piękne a okrutne oczy,
Marta smieje się, sama niewiedząc dla czego,
To jéj narów, straż zbrojna strzeże Fabrycego.
Król rzecze; »Skarb ukryty w miejscu, dokąd droga
Tobie tylko wiadoma, klnę ci się na Boga,
Gdy ją wskażesz, margrabio, ujdziesz z rąk mych żywo.«

Fabrycy zwolna podniósł głowę swoię siwą
I milczał,
Król więc znowu: »Kamradzie! czyś głuchy?«
Że nie, znak daje przeczącymi ruchy.

»Mówże, Margrabio! krzyknie Ratber drzący cały,
Albo, jakem mocarzem, królem i szlachcicem,
Lwie hardy, wnet mi tutaj szczekniesz nędznym szpicem!
Héj! katy! odpowiadaj! gdzie skarb?«
Starzec biały
Sztywny, zimny w pośrodku włóczni i bardyszy,
Jakby wszedł już w krainę wiekuistéj ciszy.

Król woła: przygotować dyby, kliny, kleszcze!...
Mówże! czy mi odpowiesz? pytam się raz jeszcze!

Starca usta, jak gdyby martwym były głazem;
Patrzy tylko na króla, lecz z takim wyrazem,
Z tak dumnym blaskiem w oku, że Ratber zdumiały,
Miota się pod tym wzrokiem, jakby oszalały,
I krzyczy, włosy z brody rwąc w złości bez miary:
»Ejże! widzę, źle wyjdziesz! wiedzże głupcze stary,
Że dziecinne zabawki to były dla ciebie!
Oddaj tu skarb, rabusiu, owoc twéj łupieży,
I niejątrz mnie, bo wreszcie sarkniesz sam na siebie,
Gdy twą głowę wyprawię, na najwyższéj wieży
Na pal wbitą, u nocy uczyć się milczenia.«

Lecz starzec, jakby z mroku był albo z kamienia,
Że do niego ktoś mówi, rzekłbyś, nawet niewie.

»Sam tu, kacie, z dybami!« krzyknie Ratber w gniewie.

Kat przystąpił, tłum słucha w strachu oniemiały...
Kość chrupnęła, lecz usta głosu niewydały.

Zawsze gotów ciąć jeńca z tyłu niespodzianie,
Oprawca wzrokiem panu daje zapytanie.—
»Czekaj! aż na cię skinę« rzecze król Arleski.

I znów. »Zważaj, tyś rycerz, ale młodszy jeno;
Tyś margrabią, lecz zawsze nieprawém dziecięciem;
Złóż tę garstkę klejnotów w mój skarbiec królewski,
Pokaż mi do swych skarbów drogę, a tą ceną
Nie dość życie okupisz, lecz zrobię cię księciem;
A nadto dziesięć Fezkich galer z mych przystani
Z pięciąset niewolników tobie się dostanie.«

Starzec głuchy i niemy.
»Drwisz ze mnie zuchwalcze!
Czekaj! wnet mi zapłaczesz!«

14.

Ratber oddaje dziécie starcowi.

I oto słychać, rzekłbyś, straszne tchnienie zgrozy,
Drży nawet i w téj tłuszczy, w tym okropnym mroku...

Wniesiono mary; przy nich wleką się powrozy,
A całun je przykrywa; postawiono z boku.
Dwoje nóżek dziecinnych widać z pod całunu...
Starzec, jak dąb potężny pod ciosem piorunu,
Zadrzał; ożył człek z ciała w tym człęku ze skały.

Ratber skinął; oprawce z mar całun zerwały.

To ona! to Izora! widoku straszliwy!...
Bladziuchna! zaduszona! i—och! serce pęka!
Niebożątko!... skurczona rączka jéj maleńka
Patrz! jeszcze łątkę trzyma! trupek żałościwy!...

Starzec mocą olbrzyma drgnął w całéj postaci;
Potężny, z paszczy dybów wyrwał z krwi strumieniem
Nogę, u któréj stopę zgruchotali kaci,
I, związany na ręku, roztrącił ramieniem
Całą tłuszczę szatanów siłą nieprzepartą,
Padł przy marach na klęczki, i z duszą rozdartą
Jęknął na ukochane rzucając się zwłoki:

»Zabili ją! zabili!... a twierdzaż to przecie!
Most zwodzony, i fossa, i żelazna brona,
I w kotłach wrząca smoła i siarka topiona!
Można było opoki rwać własnymi zęby
I bronić się; wyć, walczyć, i chwytać do gęby
Ogień, ołów i oléj kipiący, i śmiało
Plwać im to w twarz przeklętą z skalnémi bryłami!...
A myśmy tu im bramy otworzyli sami!
Zaprosili ich!—życie śmierci się oddało!...
Nie dziwy, rzecz to prosta! nie wiele mitręgi
Walczyć przeciw głupiego starca niedołęgi!
I nietrudno maluczkie zamordować dziécię!...
A jam był tak bezpieczny, bom przez całe życie
Niewidział, by tak dziatwę zabijano biedną!
Jam mówił: chroń ją Boże, zresztą wszystko jedno.
Lecz dziécie! wielkie Nieba! jakto? dziécie moje
Nie żyje?... Ach! a wczora jeszcześmy oboje
Byli tu! W blaskach złotych bujała promienna!
Wciąż igrała ta biedna muszka jednodzienna...
Była mi zabłąkaną swéj matki duszyczką.

Wieczorem mi na piersiach oprze wdzięczne liczko
I zaśnie.... Ha! morderco, zbójniku! zbójniku!»

I zerwał się, aż zgraja zadrżała czartowska!
Takabo lwiato była ta boleść ojcowska,
Żal i zgroza, i w łkaniu tém tak wiele ryku!

» A jam zrana dziś wstążkę wiązał jéj w staniku!
Jam mówił; strój się pięknie! ubierał anioła
Dla upiora!... Ha! śmiéj się ty kobieto z błota!
Ty nędznico! jest czego! rzecz arcy wesoła!...
Śmiejcie się wszyscy! Śmiejcie! bo ja, idiota,
Jam wierzył, że królewskie słowo prawda święta,
I że goście, to przecież nie dzikie zwierzęta!
Przyszli tu: król, rycerze, biskup z pastorałem;
Rzekłem: wejdźcie! i wilków przed sobą ujrzałem!...
Gwoździmiż ostrymi po niéj deptali zaciekli,
Że tak cała zraniona? Boże! czyż ją siekli!?...
Teraz nam dzieci nasze zabijają o to,
By z starym hełmem ukraść stare u nas złoto!...
Radbym, by mi kto zacny objaśnił tę dziwa:
Dla czego ta anielska dziecina nieżywa?
Rzec na to, że to mocarz i jego drużyna,
Ludzie znani: Farnezy, Czybo, Malaspina,
Spinola, takiéj rzeczy mają być sprawcami,
Że się zbierają we sto, w tysiąc, z kobiétami
I księżmi, by zdradziecko porwać jedno dziecie,
I ze dziecie to leży martwe, i że w końcu
To zabawka; to jakby pytać, czy na świecie
Jest Bóg jeszcze? czy jutro po téj strasznéj zbrodni
Ośmieli się ktoś kazać jeszcze wschodzić słońcu?..
Zabić mi tę istotkę drogą! o niegodni!...
O! alež to okropnie!... darmo się człek sili
Pojąć to, że już koniec, że już ją zabili!
Że już martwa!... O! podłe nierządnicy plemie,
Ten Ratbert, jakaż czarna jego ze mną zdrada!
O Boże! jakiż czart go spłodził na tę ziemię?!...
Zaprawdę, więc to nadto, więc już niewypada
Wierzyć, że nikt nie przyjdzie podstępem, zdradziecko
Zamordować sierotę, zdeptać biedne dziecko,
Aniołka, co w niebieskich złotych blaskach pływa!

Tak, bo ona bezwładna, nieczuła, nieżywa!
A mi się to zdawało niemożebnym czynem!
Trzeba na to téj podłéj Agnieszki być synem.
O króle! więc naprawdę złem zrobił w czas ony,
Żem was paść chciał; jam przez to sam zbrodnią się wznosił!
Jam był zbójcą, żem litość nad wami okazał!
Trza mi było was wszystkich starzać swémi stopami!
Bo czyż wolno w najgłębsze przepaście się stoczyć,
I zbrodni najstraszliwszych granicę przekroczyć;
Kraść,—tak, to są kradzieże,—w niezmierne gromady
Zwalić jedne na drugie złości, fałsze, zdrady,
I mordować niewiasty, i mordować dzieci!..
I cóż chcecie, by począć z nędzniki takimi?..
Tknąć tych oczu uroczych palcami czarnymi!
Zniszczyć Boga żywego arcydzieło święte!..
Cóż za łono, w noc, mroki i zgrozę zaklęte,
Wykarmiło swém mlekiem tę dziką bestyję?!
Przy jednym takim człeku to cały wiek zgnije!
Nie ma już zła, ni dobra, ni prawdy, ni prawa!
Chybaż Bogu czasami piorunów nie stawa?
Bo nie pora grom ciśnąć ze mściwéj prawicy,
Aby w proch zetrzeć tego psa, syna wilczycy?
O przeklęty! przeklęty! przeklęty raz trzeci!
Ratber Mocarz, Król, Cezar, oszust i bandyta!
O ty wielki zwycięzco pięcioletnich dzieci!
Przeklęte stóp twych ślady, i dzień co ci świta,
I łajdaczka, co nagą piersią wzrok twój pieści,
I matka twa wszetecznica, i ojciec bez wieści!
O nieba! niechbyż przecie niewinna istota,
Co u okien, drzwi naszych igra i szczebiota,
Co się śmieje i biega tylko pośród kwieci,
I naszym w łzach gasnącym oczom słońcem świeci,
Miała prawo się cieszyć swéj jutrzni urokiem!«

15.

Dwie głowy.

A król Ratber tak wesół, że aż się uśmiécha,
Słucha, jak mu Afranus oznajmuje zcicha:
»Loch ze skarbem odkryty, najjaśniejszy Panie!«

Dziadek płakał.

»Pies nędzny, co pod płotem zdycha,
Szczęsny jeszcze, gdy obok mojéj nędzy stanie!...
No! kradnij! morduj królu!... O moje kochanie!
Przemów do mnie! Wróć mego anioła, mój Boże!
Czyż już ona swych jasnych ocząt nie otworzy?
Czyż niespójrzy na dziadka?!... Niebożątko moje!
Co ranośmy chodzili pomiędzy powoje;
Tyś wołała: patrz! kwiaty! ja: strzeż się! kamyki!
I takem patrzał na nią! myślę, głazby dziki,
Ujrzawszy ją idącą, zadrżał w rozczuleniu...
Ach! i w głazy bezduszne nie brakło mi wiary!...
Oprzyj drogą swą główkę na mojém ramieniu..
Czy się gniewasz? patrz! to ja! to twój dziadek stary!
Mów! czyż wzrok mój spójrzenia twego już niespotka?
Czyż mi głos twój nie zabrzmi?... O wdzięczna szczebiotka!...
Wszystko, wszystko mię rzuca, com ukochał w świecie!
Taką stary zwycięzca dolę dzwigać muszę,
Aby Bóg mi podwakroć rozdarł biedną duszę,
Aby mi z serca wyrwał te najmilsze dziecie,
Wprzód już z piersi wydarłszy jéj matkę... O Boże!
Zacożeś mi odebrał tę istotę drogą?
Czyliżem szemrał kiedy? czyliżem w pokorze
Nie gotów był nic nad nią niemieć i nikogo?...
Martwa! a ja, ja głupi wołam tutaj na nię!...
O gdyby ręce wolne! ach! jeszczeby może
To biedne, zimne ciałko rozgrzać byłbym w stanie!
O jakże ją męczono! sznurami pocięto!
Krew z niéj płynie!...«

Zsiniały, z pięścią zaciśniętą,
Król go widząc na klęczkach nad trupem dziecięcia,
Rzekł: »miecznikul tak właśnie to w sam raz do cięcia«.
A miecznik, zbir nikczemny, spuścił miecz szeroki
I głowa starca spadła na dziecięcia zwłoki.

I oto co w téj chwili tłum zdumiony zoczył:
Łeb Ratbera ohydny na bruk się potoczył,
Jakby jeden cios miecza, straszny, piorunowy,
Ciął podwójnie i strącił obie naraz głowy.

Zgroza była niezmierna! motłoch osłupiały
Spojrzawszy, gdzie się złotem świeci tron wspaniały,

Ujrzał ciało królewskie bez głowy i szyję,
Która z szumem ulewy zdrój czerwony toczy,
We strudze purpurowéj strasznem łkaniem wyje,
I goście, tron, i stoły krwią nieczystą broczy.

Na onczas w tym niezmiernym jasności zamęcie,
Jakim się wielkie cudów zwykły znaczyć drogi,
Z dwóch głów jedną, królewską, niewidome pchnięcie
Potoczyło pod ziemię, w otchłań wiecznéj trwogi,
Gdzie strasznéj Bożéj pomsty iszczą się wyroki;
A drugą orle skrzydła uniosły w obłoki.

16.

Po wymierzeniu sprawiedliwości.

W mroku utonął Ratber, ten tyran zażarty;
Ojcowie nasi (tak to gaśnie ludzkie imie)
Lronili mówić o nim, i z dziejowéj karty
Lata starły to czarne widziadło olbrzymie.

Niewidomym był miecz ów, co mu cios ten zadał;
Zkąd na jego padł głowę, tego nikt niezbadał;
Tylko tego wieczora starzec jeden święty,
Opat Herakljusz, w polu z motyką zajęty,
Widział, oczy podniosłszy w bezdenne łazury,
Jak Archanioł miecz krwawy ocierał o chmury.

DOBRY UCZYNEK

Powieść.

I.

— »Litości! w imię Boga, litości! jałmużny dla mojéj choréj matki,
ıskawi panowie!« wołał żałośnie, wyciągając rękę do przechodzących,
ynędzniały, okryty łachmanami chłopak, drząc od zimna, oparty o mur

kamienicy, przy jednéj z ulic Krakowa; a koło niego przechodzili i mijali obojętnie ludzie, odziani w ciepłe futra, i, zajęci własnymi interesami, nie zwracali uwagi na głos rozpaczliwy żebraka, obyci już niejako z tym rażącym kontrastem miast większych, gdzie, obok przepychu i bogactw jednych, napotyka się największa nędza drugich— nędza, o któréj mieszkańce wiosek pojęcia nawet nie mają! Bo nędza wioski jestto niekiedy ogólna już klęska: nieurodzaju, upadku bydła i t. p. lecz to już wyjątkowe tylko, na wsi bowiem, błogosławiona matka ziemia byle czém pokarmi swe dzieci i zagrzeje, a żebrak, przeszedłszy jedną drugą wioskę, uzbiera tyle chleba od litościwych, chociaż niebogatych mieszkańców, że mu na tydzień starczy pożywienia; ale nędza w mieście, to cała okropność niedoli, a nierzadko występku i zbrodni!... Tam ziemia, pokryta kamiennym brukiem, niedaje ani jednéj roślinki na pożywienie; tam zima o wilgoci i chłodzie, w jakiejś norze suteryn lub poddasza, niezagrzeje biedaka ani jedną wiązką daremnego chrustu lub słomy, bo wszystko kupić potrzeba; tam niema nawet czystego zdrowego powietrza dla oddechu, a przytém zbytek i przepych bogatych razi oczy nędzy i, zakrwawiając serce, pobudza ją do zazdrości, nienawiści, a często i występku! Nędza ogólnie upadla człowieka, czyniąc go niezdolnym do poczucia wyższych myśli i celów, przeistaczając go niejako w zwierzę, pragnące i szukające tylko pożywienia; ale po miastach stokroć w potworniejszéj okazuje się postaci i dla tego może nie obudza tyle litości, że połączona często z próżniactwem, oszustwem, i t. p. Z tychto przyczyn, zapewne niejeden z przechodzących obojętnie mijał biédnego chłopaka, a niektórzy tylko dali mu jałmużnę. Właśnie w téj chwili zatrzymał się przy nim jakiś niemłody, szpakowaty męczczyzna, odziany w ciepłą bękieszę, i dając kilka sztuk z drobnéj monety żebrakowi, mówił mu:

— Jesteście hultaje mój kochany, spuszczacie się na daremszczyznę, na żebraninę, a czasem że złodziejami macie związki. Mógłbyś pracować, chłopcze, jesteś młody i bez żadnego defektu, pracuj, pracuj,— to chléb pewniejszy.

— Kiedy niemam sił do pracy, wielmożny panie, i nic nieumiem; a matka chora, potrzebuje ciągle moich usług.

— Ktoto tam wie z tą chorą matką? Wszyscy wy jedną piosnkę śpiewacie. Pracuj, to będziesz coś umiał, i siły potrzebne się znajdą.

Weź tę jałmużnę i pomódl się za duszę Tekli, kiedy umiesz. To mówiąc odszedł litościwy przechodzień, a żebrak przeliczył otrzymane pieniądze i jakie dotąd uzbierał, szepcząc przytém jakiś pacierz bez związku;—po chwili zawołał żałośnie:

— Tak mało uzbierałem... to prawie nic! A tam tak zimno w naszéj izdebce i głodno! Potrzeba i na opał, i na łyżkę strawy, i na lekarstwo dla biednéj matki, a jam tak mało wyżebrał!.., O ludzie, ludzie!... o bogacze bez litości! czy wy pojmujecie, co to jest głód i chłód w chorobie?!... i zacisnął pięście z rozpaczą, a w zapadłych jego oczach błysnęła iskra groźby i nienawiści. »Pracuj,« mówił mi téh pan litościwy, który mię obdarzył jałmużną... O! jabym mógł pracować, mógłbym służyć ludziom, mam lat 16; ale któż dopilnuje moją biedną chorą matkę, jabym miał chléb i przyodziewek, ale niemógłbym wtedy jéj usługiwać... i ona zostałaby bez kropli wody, bo ktożby jéj podał!... O! zlitujcie się dobrzy ludzie! wołał znowu do przechodzących i łzy mu płynęły po zimnéj wychudłéj twarzy.

W paradnie ubranym pokoju téjże kamienicy, o którą oparty na chwilę chłopak prosił o wspomożenie, siedział przy stoliku młodzieniec tychże lat prawie, co i chłopiec z ulicy, w rannym bogatym negliżu i kończył kawę z przyborem rozmaitych ciastek i łakoci. Zegar kosztowny, stojący na marmorowym kominku, na którym płonął suty ogień, wskazywał 11-tę godzinę. Młodzieniec spójrzał wzrokiem omdlałym na jego indexa, odsunął filiżankę z sewrskiéj porcelany, zadzwonił,—i w téjże chwili wszedł wygalonowany lokaj.

Zabierz to, rzekł pan Mieczysław, wskazując wypitą kawę; potém zapytał: Czy papa u siebie?

— Jaśnie pan w swoim gabinecie, odrzekł lokaj zbierając ze stołu.

— Chciałbym dziś się przejechać trochę, czuję się niezdrów, rzekł po chwili pan Mieczysław, syn bogatego hrabi W.... Jaka pogoda Janie?...

— Zimno i wietrzno, panie hrabio, i śnieg gęsto pruszy.

— Młody hrabia odrzucił bujne pukle swych włosów z czoła, wstał leniwie i podszedł do okna, aby wyjrzeć na ulicę, po któréj śnieg gęsto przelatywał. W téj chwili doleciał do niego żałosny głos chłopaka.

— Jałmużny, panowie, dla mojéj choréj matki! Mieczysław wzdrygnął się na to wołanie o jałmużnę dla matki i, obracając się do Jana,

który był już u progu z tacą w ręku, powiedział:

— Wyjdź na ulicę Janie i zawołaj mi tu tego małego żebraka, który prosi o wsparcie dla swéj matki.

— Wszystko to są bajki, panie hrabio; oni zwykle zmyślają rozmaite historje, byle obudzać litość u poczciwych ludzi i wyłudzać jałmużnę, a to są tylko próżniacy, hultaje, a nierzadko i złodzieje nawet.

— O! ten chłopak niekłamie, rzewne łzy słychać w jego głosie; on ma jeszcze matkę, a moja nieżyje!... i łza błysnęła w pięknych melancholicznych oczach dobrego dziecka. Janie, ja chcę sam osobiście dać jałmużnę za duszę matki! dodał prawie prosząco Mieczysław. Jan się zawahał i rzekł zakłopotany.

— Kiedyżbo pani hrabina nielubi tego żebractwa i gniewa się, gdy ich tu wpuszczają. To mówiąc wyszedł i za chwilę wprowadził do pięknego pokoju nędznego w łachmanach chłopaka. Chłopiec ukłonił się z pokorą, i, drżąc cały od zimna, zbliżył się do płonącego ognia, więcéj instynktem natury wiedziony, niżeli własną wolą.

— Ogrzéj się sobie biedaku! rzekł łagodnie Mieczysław. Zapewne głodnym jesteś? Janie, daj mu te ciastka z koszyka.

Jan niechętnie spełnił rozkaz, mrucząc pod nosem:

— Pan Mieczysław do zbytku jest litościwym, pozwala tu wchodzić różnym włóczęgom, a pani hrabina się gniewa i słusznie, bo jeszcze nam kiedyś złodziejów tu naprowadzą... ale z paniczem trudna rada; jak się uprze, musi na swoim postawić i kwita. Tak mrucząc, wyszedł z pokoju elegancki lokaj, zostawiając pana Miczysłama z żebrakiem, który chciwie zjadł zaraz kilka ciastek, a resztę starannie zachował do torby szepcząc: »to dla matki.«

— Jak się nazywsz i kto jesteś? zapytał łagodnie młody hrabia.

— Pawełek—mnie zowią, łaskawy panie.

— Dla czegoż żebrzesz, kiedy, zdaje się, jesteś zdrów i mógłbyś zapracować na życie?

— Wszyscy mi to mówią, wielmożny paniczu! bo istotnie jestem zdrów przy mojéj nędzy, i nawet starszym nad wiek wyglądam. Biéda rozwija wcześnie ludzi, jak mówi moja matka; ale niemogę opuścić jéj choréj i dla niéj to proszę o jałmużnę.

— Cożto twojéj matce, i czy dawno chora?

— O! już 2 lata, jak niewstaje z pościeli biédna matka! ja ją tak kocham bardzo! bo ona mi tylko jedna pozostała z całéj rodziny. Kiedyś nam było dobrze: ojciec mój był cieślą, zarabiał dosyć na życie, i sprzęt w domu mieliśmy, jak należy; a domek z ogródkiem najmowaliśmy za miastem,—i krowa u nas była... Miałem jeszcze młodszego brata i siostrę, z którymi bawiłem się nieraz w tym ogródku... i jeść mieliśmy dosyć, i przyodziewek, a teraz!... I łzy zabłysły w czarnych oczach chłopaka.

— I cóż teraz? Opowiadaj daléj, Pawełku, swoje dzieje, ja cię chętnie słucham, rzekł Mieczysław, opierając się o poduszkę sofy. Paweł spójrzał zdziwiony na tak bogatego, a przytém dobrego panicza, bo właśnie przed chwilą postrzegł się, iż może zanadto mówił i urwał nagle; lecz ośmielony tą dobrocią, zawołał:

— Piérwszy to raz od czasu naszéj biedy słyszę tak łaskawe słowa do mnie. Niech ci Bóg za to płaci, wielmożny paniczu, że chociaż twój pokój błyszczy od złota, jak w kościele Bożym, a przecież niegardzisz biednym żebrakiem i pozwalasz mu swój żal wynurzyć!... Otoż, jak mówiłem, było nam dobrze i wesoło na świecie:—ja miałem już lat 11, i ojciec przyuczał już mnie do swego rzemiosła, a matka uczyła mnie czytać. O, bo moja matka choć z biednéj, ale dobréj familji szlacheckiéj,—i taka rozumna kobieta! Gdy jednego dnia biedny ojciec spadł z rusztowania i złamał sobie nogę, przynieśli go towarzysze na noszach do domu... Oj, dużo było płaczu w ten dzień okropny w naszéj chacie!... Ojca położyli w łóżku, z którego już niewstał... Chłopiec otarł łzy płynące po twarzy, i daléj mówił: Otoż i pieniądz oszczędzony, i krówka, i sprzęt, i przyodziewek lepszy, poszły pierwiéj na kurację i pogrzeb ojca, a potém na nasze utrzymanie. Matka przytém zarabiała jak mogła, szyjąc; ale tego niewystarczało na przekarmienie; nareszcie gdy dwoje młodszych dzieci umarło z nędzy i choroby, matka do reszty wypłakała oczy, które były nadwerężone ciągłém szyciem, zaczęła niewidzieć i zarabiać już nie mogła. Gospodarz wymówił nam mieszkanie, i my z matką poszliśmy na żebraninę!... a to wszystko we 3 lata po śmierci ojca! Matka, ociemniawszy, chciała mię oddać na naukę do szewca, a sama pomiędzy żebrakami siadać pod kościołem. Gdy jedną razą przemokliśmy bardzo na deszczu jesiennym, wróciwszy

do naszéj izdebki (którą nam za małą opłatę wynajmuje gospodarz na przedmieściu), matka całą noc jęczała leżąc na posłaniu, a ja niewiedziałem, co jéj poradzić? Rano uprosiłem litościwego doktora, który ją odwiedził, powiedział, że to reumatyzm i zapisał lekarstwo, którego niebyło za co kupić!... Odtąd matka ciągle chora; z trudnością czasem się przejdzie, aby ugotować lichą jaką strawę przy mojéj pomocy, i znowu leży—taki ma ból i łamanie w kościach, a przytém coraz mniéj widzi. Ja więc muszę sam żebrać, a co wyżebrzę, z tego żyjemy i dla tego niemogę pójść w służbę, lub do warstatu rzemieślnika: bo któż matce wody poda? kto ogień roznieci i posłuży? O mój mocny Boże! pomyśleć nawet straszno, jakby ona opuszczoną była... Teraz od kilku dni ma się gorzéj, w domu niema kawałka chleba, ani łyżki ciepłéj strawy dla matki, a ja tak mało wyżebrałem dzisiaj!... I nowe łzy popłynęły po twarzy Pawła.

»Mieczysławowi także stały łzy w oczach przy tém opowiadaniu i już miał pójść do swego biórka po jałmużnę, gdy do pokoju weszła młoda jeszcze i przystojna pani, w strojnym negliżu. Rzuciwszy niechętném okiem na zbiedzonego Pawła rzekła do Mieczysława.

— *Bonjour, mon fils!* Tyle razy prosiłam ciebie, abyś poskromił w sobie porywy zbyt łatwowiernego i miękkiego serca, abyś niedawał wstępu piérwszym lepszym włóczęgóm i oszustom z ulicy, którzy zbyt korzystają z twojéj litości.

— To biedny chłopak, sierota, zawołał niechętnie Mieczysław; i cóż będzie z podobnymi biedakami, moja matko, jeżeli my, bogatsi, niepodamy im ręki pomocy?

— Wszystko to bardzo pięknie, mój Miciu, chwalę twoje tkliwe sentymenta, ale drugą razą wysyłaj jałmużnę podobnie *biednym* przez służących, a tu ich nie przywołuj, bo tylko posadzkę brudzą.

W ciągu téj mowy pięknéj pani oczy Pawła dziwnym blaskiem zaświeciły: był tam i żal i jakaś myśl utajona, któréj znaczenia sam jeszcze nierozumiał, nareszcie rzekł nieśmiało z wymuszoną pokorą:

— Niech wielmożna pani będzie spokojną, ja nic tu z moich brudów niezostawię. Wstąpiłem tu tylko, ośmielony wezwaniem dobrego panicza, jego litością nad moją chorą matką... Jam nic niewinien, wielmożna pani! ja tylko biedny żebrak, syn choréj matki, w któréj imieniu ośmielam się prosić jałmużny.

— Bardzo to dobrze mój kochany, weź tę jałmużnę, ale więcéj tu nie wchódź, bo ja tego nielubię. Mówiąc to, dała sztukę monety Pawłowi i wyszła.

Paweł długo trzymał w ręku dany mu pieniądz, jakby on mu ją parzył, potém ciężko westchnął i, chowając go do kieszeni, zapytał pocichu Mieczysława:

— Czy to matka wielmożnego pana?

— Nie, to tylko moja macocha! Ja niemam matki, o, moja matka — to był anioł dobroci dla wszystkich nieszczęśliwych! ale ona już od 4 lat nieżyje!...

I tak, wynurzywszy sobie swoją boleść wzajemnie, ci młodzi ludzie, tak różni stanem i położeniem, uczuli pewną ulgę; bo w wieku pierwszéj młodości serce tak łatwo się wywnętrza! Wówczas jesteśmy jeszcze wierzący we wszystko dobre i piękne, ufność i wiara łatwy mają przystęp do naszéj duszy i nietyle razi nas różnica stanów. Nieraz postrzegamy, jak syn możnego obywatela, w dziecinnnych latach, bawi się poufale z dziećmi swych włościan; aż rodzice lub guwerner zauważą to dopiero i zganią malcowi podobną poufałość, tłumacząc różnicę urodzenia i stanowiska, aby się trzymał w przyzwoitéj dystancji od tego motłochu i tłumią tém niejako dobre popędy niewinnego serca, ucząc uznawać własną godność, godność częstokroć tylko objektywną, pozorną, nie zaś prawdziwą, co z pięknéj duszy wynika. W końcu niewinne dziecko z tém się zrasta z latami, i swoje dobre niegdyś serduszko opasze potrójnym murem: pychy, próżności, egoizmu!...

Mieczysław jeszcze niebył takim: on, wychowaniec tkliwéj i pobożnéj matki, w żywéj zachował pamięci jéj przykłady i nauki i był najmocniéj przekonanym, że każdy jego czyn cnotliwy na ziemi, każda ofiara na rzecz ubóstwa i nędzy ziemskiéj, przyniesie jéj pewną pociechę w niebie; niedawał więc biednym jałmużny z oznaką wzgardy, jak to wielu czyni, lecz zwykle do tego datku, który już sam przez się poniża przyjmującego, dołączał słowa życzliwe, na wzór swéj matki, jakby już zrozumiał swoim jeszcze tak młodym umysłem, że każde wsparcie i dobrodziejstwo stokroć jest milszém nieszczęśliwemu, gdy widzi, że takowe spowodowało szczére, serdeczne współczucie. Dobył więc teraz pieniądze z woreczka i, dając je chłopcu, powiedział:

— Nie smuć się, Pawełku, Bóg dobry pocieszy ciebie: matka wyzdrowieje, ty pójdziesz do jakiego rzemieślnika i może, gdy się kiedy drugi raz zobaczymy, ty już będziesz dostatnim majstrem; przykro mi, że to pewno nieprędko nastąpi, gdyż za dni kilka my ztąd na długo wyjeżdzamy do naszych dóbr na wieś; jednakże przez te dni, jeżeli ci będzie potrzeba na lekarstwo dla matki, to udaj się do mnie, a ja ci nieodmówię. Tymczasem zaś weź to, może ci na jakiś czas starczy, póki Bóg polepszy wasze położenie.

Paweł spójrzał na dane mu pieniądze i zawołał z radością i trwogą: — Ach! pięć dukatów w złocie!! Nie, Panie, nie, mój dobry aniele! ja tego przyjąć niemogę.. Nikt mi jeszcze niedał dukata,, to zawielka jałmużna... i nieuwierzą mi, gdy pójdę chelb kupować, powiedzą, żem ukradł... bo w uczciwość nędzarza ludzie nie wierzą!... dodał z goryczą.. Jam tylko raz w życiu widział dukata, gdy żył mój ojciec... Przyniósł on swój zarobek złotem, które oddał do schowania matce, a od tego czasu... nie, o nie, wielmożny Panie, aniele dobroczynny, ja tego przyjąć niemogę!... a może i macocha panicza gniewać się za to będzie? jabym zaś wolał tydzień drzéć na zimnie o głodzie, niżeli tobie, paniczu, przyczynić jakie zmartwienie... i, mówiąc to, oddawał napowrót hojny datek. Mieczysław uśmiechnął się łagodnie i rzekł po chwili:

— Czyż myślisz, biedaku, że to są dla nas tak wielkie pieniądze? a zresztą, nieobawiaj się przyjąć: to są moje własne, które mi daje ojciec z majątku méj matki. Weź więc, Pawle, a gdyby cię kto zapytał, zkąd masz to złoto? to wymień moje nazwisko N., i powiedz, że je masz odemnie. Dałbym ci inną monetą, ale niemam teraz, prócz złota, posyłać zaś mieniać, może się macocha dowiedzieć i oskarzyć mię przed ojcem; dodał w zamyśleniu sam do siebie. Ach, czemuż niejestem pełnoletnim, bym mógł czynić tyle dobrego ludziom, ile czyniła moja matka!...

Potém znowu nalegał na Pawła, aby przyjął dukaty dla choréj matki. Paweł przekonany już się niewzbraniał wziąść tak hojne wsparcie, rzewne łzy tylko zaświeciły mu w oczach, które wzniósł z wyrazem niewymownéj wdzięczności na młodziutkiego swego dobroczyńcę, a spostrzegłszy jego pełne dobroci spójrzenie, zawołał:

— Bóg w niebie widzi, ile dobrego zrobiłeś, szlachetny Paniczu, biednemu sierocie! odtąd ja, po matce mojéj, ciebie jednego kocham na świecie, twoja twarz piękna i dobra niezatrze się nigdy, o, nigdy w mojéj pamięci! Tyś przemówił łaskawie i życzliwie do biednego żebraka! Ty, panie, dałeś mi możność kupić lepszéj strawy i lekarstw dla choréj matki!...

— Dobrym jesteś synem Pawle, i dla tego polubiłem cię; rzekł wzruszony Mieczysław. — Bądź zdrów, chłopcze, i zawsze bądź poczciwym; chociaż, jak mówią, takowym trudniéj być przy biedzie...

* * *

W jednéj z wązkich ulic Krakowa, na przedmieściu, w staréj i walącéj się kamienicy, w wilgotnéj i ciemnéj izdebce suteryn, bo i jedyne jéj okienko, pozaklejane gdzieniegdzie papierem, wychodzi na brudny, cuchnący dziedzińczyk, otoczony wokolo ścianami drugich starych kamienic, że nawet i słońce niemoże w nie zajrzéć; w téjto lichéj izdebce, albo raczéj norze leży chora wynędzniała, chociaż wprawdzie niestara kobieta, na jeszcze lichszéj nędzniejszéj pościeli, i wodzi błędnym wzrokiem dokoła, tym wzrokiem mętno szklistym, jakim zwykle patrzą dotknięci kataraktą; niekiedy głucho zajęczy od dokuczliwego bolu, chcąc się poprawić na swoiéj pościeli, składającej się ze starego materaca i podartéj kołdry, przez którą przegląda strzępkami brudna wata. Komin dawno wygasł bez ognia, a chłód i przykra woń tęchlizny napełniały izdebkę.

Śnieg przestał padać, i słońce krótkiego dnia zimowego schylało się już do zachodu, wyiskrzając się na mróz; lecz, jak mówię, jego dobroczynne światło niemogło zajrzéć w ten lichy przytułek nędzy i ogrzać, odświeżyć go nieco swoim ciepłym promieniem; dla niewidoméj jednak kobiéty wszystko to jedno; ona, otoczona większą nocą, dawno już niewidzi jasnego nieba i jego cudów! dla niéj całym niebem i szczęściem jest syn jéj jedyny, którego głos umila tę samotnię i ciszę, ale od rana go niesłyszy i wielki niepokój ją dręczy. Modli się więc pocichu, lub głośniéj wymówi:

— Pawle! Pawełku! czyś ty jeszcze niewrócił? ach! cóż tam z tobą, moje biedne dziecko?... tak zimno widać na dworze, bo i tu wielki chłód dojmuje, a on niema w co się odziać ciepło, gdy idzie na tę

nieszczęśliwą żebraninę... O Boże! mój możny Boże! czyż ja się dziewałam tego kiedy?... za cóż nas tak bez litości opuściłeś, odd na pastwę nędzy, kalectwa i nieczułych ludzi?!... I zajęczała boleśn po chwili znowu mówiła słabym głosem: ach! jak mi się chce pic, niewiem czy Paweł wodę postawił?... i macała ręką na stołku przy stojącym; wtém trąciła nieuważnie, garnuszek z wodą tam sto upadł na podłogę i rozbił się w kawałki. Więc i wody już niei zawołała. żałośnie niewidoma, a uśmiech gorzkiéj ironji wykrzywił usta, spalone gorączką czczości. Gdyby choć zasnąć na chwilę, mó znów chora, ale tu tak zimno, że i zasnąć niemożna, i ogartywała jak mogła w swoje łachmany, mrużąc powieki aby się uspokoi chwilę... wtém odgłos kroków zbliżał się wyraźnie; nareszcie drzwi otworzyły, któremi wszedł pocichu Paweł, przystąpił na palcacl łóżka, i z trwogą spójrzał na zamknięte oczy matki; lecz ta posłys szelest, odkryła powieki i zapytała słabym głosem:

— Pawle! czy to ty mój synu? ach! jak ja byłam niespokojną o ci aby ci się co złego nieprzytrafiło!

— Ja, moja matko! szczęśliwy i wesół; bo ci przynoszę dobre jedz i ciepły szlafrok!... posil się tymczasem ot tém, matuniu, nim roz ogień i ugotuję ci ciepłą posilną strawę; będziemy dziś mieli ros mięsa matuniu! a tymczasem jedz te ciastka i swieżą bułeczkę, kt ci przyniósł.

— Pawle! co to znaczy? wytłumacz mi! zawołała z radością, a n trwogą matka, kto ci dał to wszystko, mój synu?... może ty broń Bo i nieśmiała dokończyć.

— O! nielękajsię matuniu! twój syn dotąd uczciwy i pozostanie t na zawsze, jeżeli podobnych ludzi aniołów napotykać będzie!... bo i nieczułośc ludzi rodzi złe myśli, moja matko, a dobroć do c i wdzięczności pobudza!

— Synu, synu! ty nad lata już sądzisz! twój rozum i poznanie wiązały się wcześnie w niedoli. To prawda, że są zli ludzie niek doznałam ja tego, kiedy mi za długi zabierali ostatnią krówkę i s domowy bez litości, w półdarmo! ale niegodzi się złorzeczyć i mści mój synu! Bóg tego niedozwala! I jam narzekała i złorzeczyła ni i cóż, żadnéj ztąd pociechy, tylko niepotrzebnie obarczyłam sumi



„Stój! niezabijaj tego człowieka.“

Ale mówże mi nareszcie, chłopcze, zkąd ty to wszystko masz? zapytywała ciekawie chora, jedząc z rozkoszą ciepłą bułeczkę i ciastka, które dla niéj schował Pawełek. A jam tu i wodę wywróciła bez ciebie, dodała niby z uśmiechem, i niemiałam czém ust odwilżyć.

— Przyniosłem ci, matulu, buteleczkę taniego wina, które pan doktor pić tobie kazał; pamiętałem o wszystkiém. Napij się, mateńko, troszka, to sił nabierzesz, mówił uradowany Paweł, niemogąc z radości wszystkiego na raz opowiedziéć i krzątając się około koszyka, z którego wydobywał różne wiktuały. — A to weź schowaj, matuniu; dodał oddając jéj woreczek z pieniędzmi.

— Jezus, Marja, Józefie święty! zawołała chora, zkąd ty to masz wszystko? mów mi zaraz chłopcze!

— Bóg nam zesłał anioła opatrzności w młodym Hrabi W... módl się za jego pomyślność i zdrowie, moja matko! on mi dał tyle pieniędzy na raz, iż mogłem ci to wszystko kupić, i jeszcze się zostało na dni następne. Teraz potrzeba, abyś przychodziła do sił i zdrowia, mateńko, mam już bowiem i na lekarstwo i na posiłek dla ciebie.

— Boże! błogosław moje dziecko, mego dobrego syna! zawołała chora w uniesieniu miłości i radości, siadając na posłaniu i wznosząc olśnione oczy do góry. Błogosław Panie naszego młodego dobroczyńcę, zsyłając mu szczodrze Boskie swe dary i ochraniając go od wszelkich cierpień i niedoli, i dozwol, aby mój syn, mój Paweł, niezapomniał nigdy téj chwili, która go, przez wzgląd na chorą znękaną matkę jego, do wiecznéj wdzięczności obowiązuje!

Przez chwilę smutna i zimna izdebka ożywiła się blaskiem sutego ognia z komina, na którym kipiał w garnuszku tłusty rosół z mięsa, a Paweł, zaczerwieniony od ognia, szumował go łyżką kosztując co chwila. Matka siedziała na posłaniu, odziana w ciepły, choć tani szlafrok, który nieomieszkał jéj kupić na tandecie Pawełek; weseléj i zdrowiéj wyglądała teraz, i wszystko jakoś milszy przybrało pozór w tym lichym przytułku nędzy, dzięki ludzkości jednego Panicza... O! gdyby w téj chwili wszedł tu młodziutki Mieczysław, jakżeby się ucieszył tym widokiem, i jakąby wysoką nagrodę uczuł za ten czyn dobry w swojéj pięknéj duszy!

II.

Przeszło lat kilka od opowiedzianego wyżéj zdarzenia, i niewiadomo, co się przez ten czas stało z naszymi znajomymi? Hrabia Mieczysław pewno już teraz dorodny mężczyzna; może podobny do wielu innych, których świat zwykle przerabia na swój ład? a żebrak Paweł może jest teraz zamożnym jakim rzemieślnikiem, ktoż to wie?... Kilka lat jest niczém w oceanie czasu, ale te kilka lat przynoszą dla ludzi nieraz wielkie zmiany, a nierzadko w tym krótkim przeciągu walą się i upadają potężne mocarstwa! tak są nietrwałe i kruche rzeczy ziemskie!...

Słońce cudnie oświeca wierzchołki *Tatrów*, których wieczne śniegi bieleją w téj chwili rażącym blaskiem. W powietrzu sucho i parno: rzadkie tylko chmurki czepiają się wierzchołków jodeł i świerków, które uroczym lasem osiadły gór boki i ścielą się u ich podnoża. Góra *Pyszna*, *Łomnica* i inne otrzęsły swe czoła z obłoków i patrzą dumnie na pograniczne Węgry. *Smerczyn Staw* (jezioro) odbija spokojnie błękit nieba, a zielona, świeża dolina *Kościelisko* *) aromatem swych roślin napełnia powietrze. Turyści z przyjemnością nawidzają te miejsca, i w zadumieniu podziwiają wielkość i majestat dzikiéj malowniczéj natury, a chorzy w letnią porę udają się w góry dla oddychania ich powietrzem i picia *Żentycy*, którą pasterze góralscy *Juhasy* umieją przyrządzać z mleka. Właśnie w téj chwili małe grono podróżnych, składające się z pięknego nieco bladego mężczyzny i dwóch innych, widać towarzyszów pierwszego, zwidzali te miejsca Blady mężczyzna powoli postępował wspinając się na wzgórza i podziwiając dzikość i piękność przyrody, gdy nagle głuchy odgłos gromu rozległ się po górach długiém nieprzerwaném echem, wiatr się zerwał i po chwili ciemny obłok, jego skrzydłami pędzony, zakrył wierzchołki gór i widok nieba, a dzika straszna harmonija gromów i burzy zagrała w górach. Mrok pokrył przedmioty, oświecane niekiedy tylko chwilowém mgnieniem błyskawic, które jeszcze więcéj dodawały okropności swém rażącém świa-

*) Dolina w Tatrach nazwana *Kościelisko* z tego powodu, jak podanie głosi, że, za Bolesława Wstydliwego, Górale zadali tu straszną klęskę Tatarom, waląc na nich głazy i drzewa; od mnóstwa więc kości tam poległych nosi dotąd tę nazwę.

tłem, i deszcz potokiem lunął. Podróżni nasi, strwożeni, niemieli gdzie się ukryć, zbyt bowiem daleko odeszli od swych czasowych mieszkań, a burza tak nagle ich zaskoczyła; znaleźli wreszcie schronienie pod urwiskiem skały, oczekując póki burza przeminie. Po długiéj walce żywiołów chmura powoli przechodzić zaczęła, warknąwszy jeszcze niekiedy dalekim gromem. Słońce już zaszło a księżyc, walcząc swém miłém światłem z resztą pozostałych obłoków, wypływał majestatycznie i wznosił się nad gór wierzchołki, gdy podróżni wyszli ze swego schronienia, zmierzając z powrotem i ślizgając się co chwila po wzgórzach i skalistych miejscach, zmoczonych deszczem. Wtém, przy blasku księżyca, spostrzegli kilku ludzi zstępujących z góry, widok zaś tych ludzi wcale ich niecieszył; postacie bowiem nieznajonych były dziko marsowe, twarze ogorzałe, ocienione gęstym zarostem, na głowach kołpaki, z pod których wypływały kędziory włosów, na plecach *guńki*, a za plecami strzelby; okolały ich szerokie rzemienne pasy, za którymi błyszczały topory i noże. Zstępywali szybko z pochyłości skały i otoczyli podróżnych: »Pieniądze lub życie!« zawołał jeden z *opryszków*, przystępując bliżéj do bladego młodego człowieka; drudzy otoczyli jego towarzyszy z témże samém wezwaniem. Młody człowiek cofnął się o kilka kroków, i nadspodzianie śmiało zawołał:

— Koledzy! brońmy się od napadu tych hultai i drogo przedajmy im życie! to mówiąc dobył pistolet; lecz nim zdołał użyć téj broni, dwaj inni rabusie pochwycili go z tyłu za ręce, a trzeci wzniósł topor nad jego głową. Jeden z opryszków niewiele brał udziału w téj sprawie i stał na uboczu, jakby czekał tylko końca dramatu, rękę oparł on na rękojeści topora, którego probował ostrza, a czarne, jak krucze skrzydło, włosy wiły się po jego barkach. Cała ta scena odbyła się szybko i już zbójca miał zadać raz śmiertelny w głowę napadniętego, gdy w téj chwili księżyc jasno wypłynął z za obłoku i oświecił wyraznie piękne blade oblicze nieznajomego. Opryszek stojący opodal drgnął elektrycznie, w jednéj sekundzie skoczył i zatrzymał w powietrzu rękę kolegi z zabójczém żelazem, wołając wzruszonym głosem:

— Stój! niezabijaj tego człowieka, bo drogo mi zapłacisz za jego życie!... pierwiéj dozwolę. abyś ugodził w moją głowę, niż dopuszczę, aby z jego włos jeden ztrącić!

— A to co nowego, na szatana! zawołał zatrzymany zbójca, niedość, że sam boisz się krwi, jak baba, jeszcze i moje ramie krępujesz swoją żelazną ręką! puszczaj mnie, mówię ci! A ten niech że odda dobrowolnie pieniądze, jak oddali jego koledzy, i rusza sobie do licha, jeżeli ci tak bardzo idzie o jego życie. Hej towarzysze, zrewidujmy go!

— Janku, wstrzymaj się! a wy, jeżeli który z was odważy się dotknąć tego podróżnego, ze mną będzie miał do czynienia. Bo ten podróżny, Janku, jest ten sam, o którym ci mówiłem kiedyś, to mój dobroczyńca. O! poznałem go przy blasku miesiąca. Sam Bóg odsłonił mi jego niezatarte w mojéj pamięci rysy! Przy tych słowach pierwszy zbójca opuścił rękę, mówiąc niechętnie.

— Ha! to co innego, niech tak będzie, jak żądasz, kolego. Ale ty panku, oddaj dobrowolnie swoje pieniądze.

Młody turysta i jego towarzysze byli niewymownie zdziwieni i porażeni tém wszystkiém. Blady męzczyzna, który okazał tyle odwagi z początku, teraz uczuł się dziwnie wzruszonym, słysząc rozmowę zbójców i widząc cudowne swoje ocalenie przez jednego z nich. Niemogąc tego wszystkiego pojąć dobył machinalnie swój woreczek z pieniędzmi, oddał go napastnikowi, a sam, krok tylko jeden zrobiwszy nieostrożnie, zachwiał się, na ślizkiéj skale i już padał w przepaść, gdy go podtrzymała ręka tegoż samego obrońcy, do którego zdziwionym głosem zawołał:

— Człowieku! kto jesteś, dla Boga, i dla czego mi ocaliłeś życie?...

— Dobroczyńca zapomniał o mnie i o swoim litościwym czynie, ale ten, kto go otrzymał, zapomnieć niemoże. O, nigdy!... Twój obraz, panie wyrył się na zawsze w mojéj duszy, bo ty, być może, jeden przemówiłeś do mnie, jak człowiek do człowieka i obdarzyłeś hojném wsparciem w ciężkiéj chwili mego życia!... Więc niepoznajesz jeszcze, panie, biednego niegdyś sieroty Pawła? dodał po chwili, widząc, że hrabia Mieczysław (jak łatwo poznać, że to on był) milczał, jakby zbierał myśli i wspomnienia. Nareszcie hrabia zawołał z żalem, usłyszawszy to imie i przypomniawszy przeszłość:

— Pawle! więc to ty jesteś?!... O Boże! jak dziwne są twoje sądy!... Ach, Pawle! czyż ja się spodziewałem po tylu latach obaczyć ciebie w takiém miejscu i w takiém towarzystwie!...

— Paweł pochylił głowę na piersi i twarz rękoma zasłonił. Świad-

koło téj sceny stali zdziwieni w niemém milczeniu, tylko Janek schował starannie wydarte od podróżnych pieniądze.

— Dziwne są drogi, któremi nas Bóg, czy los prowadzi! zawołał wreszcie Paweł, podnosząc głowę i wstrząsając bujnymi swymi włosy, jakby chciał otrząść ciężkie myśli. Jeżelim kiedy przeklinał tę niewidomą rękę, która mnie może wiedzie na dno przepaści, to w téj chwili błogosławię ją; bo ona dała mi możność ocalić twoje życie mój dobry panie!

— I cóż ja tak dalece uczyniłem ci dobrego, człowieku? czyż kilka sztuk złota są tak ważną rzeczą?...

— O! i złoto jest ważne, kiedy nędza i choroba męka! Tyś niedoznał tego panie, więc niewiesz, ile ono ma ceny w ręku nędzarza. Ale nie tyle oceniłem, panie, twoje hojne dary, ile twoje szlachetne serce!... Z twojéjto przyczyny moja biedna matka nieumarła w strasznéj niedoli, a umierając niezłorzeczyła ludziom i Bogu! czy to mało panie?...

— Pawle! ty człowiek wdzięczny, obdarzony szlachetném uczuciem i wyższém nad stan twój pojęciem, zawołał wzruszonym głosem hrabia, i cóż cię wprowadziło na tak błędną drogę życia?

Opryszek znowu pochylił głowę i kilka chwil milczał ponuro, nareszcie rzekł, niby wesoło, nieodpowiadając na zapytanie hrabiego:

— Panie hrabio i wy panowie, może jeszcze niemałą przestrzeń macie do swoich mieszkań, a i droga niepewna, bo potoki po deszczu z gór wezbrały; przyjmijcie więc schronienie i wypoczynek do jutra w skrytni *zbrodniarzy*; nielękajcie się żadnéj zdrady; Bóg i ręka Pawła czuwać będą nad wami... a jutro, zdrowi i cali, wrócicie do siebie.... Tam u nas, przy ognisku, opowiem ci, panie, moje smutne dzieje, jeżeli mnie słuchać zechcesz, jak słuchałeś przed laty łaskawie opowiadanie biednego żebraka z ulicy. Hej koledzy! spodziewam się, że podzielacie mój projekt; dajemy na chwilę przytułek tym panom, za który, zdaje się, już hojnie wam zapłacili... dodał z uśmiechem ironii, gdyż widział, jak Janek chował pieniądze.

— A jak nas potém wydadzą? rzekło kilku.

— Nielękajcie się. Ja głową moją odpowiadam za to i ręczę, że niezechcą nas zdradzić, zawdzięczając naszą gościnność. Zresztą, czyż u nas jedna tylko kryjówka? mamy ich dosyć w tych olbrzymich naszych *pałacach!*... dodał, wodząc wzrokiem dokoła po górach i lasach, nad

któremi księżyc płynął wysoko, przybierając je swém światłem w fantastyczne kształty. Zbójcy zgodzili się wreszcie, gdyż niemogli odmówić Pawłowi, którego żelazne ramie i wyższy umysł widoczną nad nimi miały przewagę. Podróżni zaś, niepewni, naradzali się niewiédząc, co postanowić w tak krytycznéj chwili? Lękali się iść daléj utrudzającą i niepewną drogą, obawiali się nowego napadu nocą jakiéj drugiéj bandy; nocować znowu z rabusiami, także niezbyt bezpiecznie, ale prośby i zapewnienia Pawła przemogły. Zdecydowali się więc przyjąć mniejsze złe (bo już ci rabusie ograbili ich i niemieli nic do wzięcia), niżeli narazić się może na większe. Poszli więc za przewodnictwem Pawła i jego kolegów, wspinając się po urwiskach dość niebezpiecznych dla nienawykłych; rabusie zaś szli śmiało, gdyż im znane były wszystkie drogi, a Paweł podtrzymywał ostrożnie hrabiego i powoli przeprowadzał go i towarzyszy; nareszcie doszli do skały, w któréj wydrążeniu naturalném była tajemnicza grota, oplątana i zasłoniona liśćmi dzikich roślin i bluszczu. Do niéj to opryszki wprowadzili przelęknionych nieco i przemokłych podróżnych.

Paweł dał im zaraz miejsce na posłaniu z suchych liści, przykrywszy je swoją *gunią*, rozniecił na środku groty spory ogień z gałęzi; dobył potém zapasy żywności i flaszkę z gorzałką, chcąc posilić i ogrzać swych niespodziewanych gości, którzy niewzgardzili jedném i drugiém. Opryszki także obsiedli ogień, drudzy się pokładli przy nim, zrzuciwszy wierzchnie odzienie, a ich twarze ogorzałe i dzikie spójrzenia dziwną grupę przedstawiały w około ogniska, które krwawe czerwonym blaskiem oświecało ich rysy. Posilili się i wypili wszyscy z kolei. Powoli gwar szumnéj rozmowy opryszków przycichać zaczął, każdy okrył się swoją *gunią*, wyciągnął się przy ogniu, i za chwilę głośne chrapanie, zgrzytanie zębów, lub urywane bez związku słowa dały poznać, że rabusie już posnęli. Ogień niepodsycany także powoli przygasał i oświecał wnętrze groty niepewném jakiémś, tajemniczém światłem. Towarzysze Mieczysława, poleciwszy się Bogu w opiekę, niemogąc przezwyciężyć potrzeby spoczynku po tylu wzruszeniach, zasypiać zaczęli. Tylko Paweł niespał: usiadł on u nóg posłania hrabiego i czekał, aż mu ten każe opowiadać jego przygody. Hrabia niemniéj pragnął je usłyszeć, rzekł więc po chwili:

— Wynurz nareszcie przedemną swą duszę nieszczęśliwy Pawle! Be

jakkolwiek poszedłeś złą drogą, ja się lituję nad tobą sądząc, że może więcéj jesteś obłąkanym, aniżeli winnym.

— O! dzięki ci panie hrabio za to przekonanie! Ono mi wielką ulgę przynosi i ośmiela do szczérych wyznań. Tak, zgadłeś panie: jam bardzo nieszczęśliwy!... los i ludzie szydzili ze mnie... potrącali na różne drogi, aż zaprowadzili na zgubne bezdroże! O, bo nędza i upodlenie—źli to doradzcy!... I tak, po owym dniu pięknym, kiedy mnie, panie hrabio, ogrzałeś swojém sercem i wsparciem, moja biedna matka żyła jeszcze kilka miesięcy, przy lepszych wygodach, jakie dać jéj mógłem za te pieniądze i nareszcie, pojednana niejako z losem i ludźmi, umarła spokojnie na moim ręku. Paweł zamilkł na chwilę, a jego męzkie ogorzałe oblicze powlekło się smutkiem wspomnienia. Po chwili mówił dalej z westchnieniem: Zostałem więc sam na świecie; zerwało się bowiem i pękło ostatnie ogniwo, co mnie z nim wiązało.... Sam, jak na pustyni, wśród ludnego i bogatego miasta, bez przytułku i pożywienia, bo wszystko, co miałem i wyżebrałem, oddałem na pogrzeb matki, po którym właściciel domu kazał mi się wybierać z téj lichéj nory, radząc poczciwie, abym jął się jakiéj pracy lub służby, gdyż jestem zdrów i młody, a zatém mogę zarabiać na życie, jak i drudzy, rzuciwszy krzywdzącą żebraninę; tém więcéj że już niemam kogo doglądać! Uczułem całą słuszność tych uwag i postanowiłem z nich korzystać; lecz jeszcze niebyłem w siłach i możności pomyśleć coś o sobie; nawet głód i pragnienie niewiele mi dokuczały. Tak byłem ubity moją serdeczną boleścią i stratą, że nieczułem niejako potrzeby troszczyć się, aby posiłkiem jakimkolwiek podtrzymać to nędzne życie; prosiłem właściciela domu o kilka dni przytułku, nim służbę sobie lub zarobek wynajdę. Usłuchał méj prośby i dozwolił jeszcze tydzień przemieszkać w téj izdebce, gdzie skończyła życie moja matka. Złożyłem więc moją skołataną głowę w tym osamotnionym kącie, na tém samém posłaniu, gdzie ona niedawno leżała, i długo długo płakałem!... Niebyło komu zatamować łez moich, ani pocieszać mię w smutku... Nareszcie, jak wszystko ma swój koniec, i ja znużony płakać przestałem, a dla pociechy znalazłem książkę do nabożeństwa mojéj matki, na któréj ona niegdyś się modliła, póki widziała świat Boży, a która mi została jedyną po niéj pamiątką. Ukląkłem więc i modliłem się długo, rzewnie... (O, wtedy jeszcze mogłem i umiałem się modlić!..), dziękując

w myśli matce, że mnie nauczyła czytać; równie jak i potém nieraz zawdzięczałem jéj naukę, gdy w gorzkich chwilach życia znachodziłem ulgę w czytaniu książek, jakie mi przypadkowo pod rękę popadły. Lecz potrzeba już było nareszcie pomyśleć o sobie, aby niebyć próżniakiem niedołęgą i ciężarem światu. Z krewnych nikogo tu niemiałem, aby się oddać pod czyjąś opiekę i nieznałem tych, którzy byli, mieszkali bowiem w odległych stronach, zkąd rodzice moi przybyli tu dla zarobku i gdzie stale mieszkali aż do śmierci. Cóż miałem robić?... Wynędzniały, okryty resztkami odzienia, udałem się do pierwszego po drodze warsztatu stolarza, prosząc, jak o dobrodziejstwo, o pracę za chléb i jaki taki przyodziewek; w zamian za to przynosiłem zdrowe ręce i chęć do pracy. Czeladnicy z warsztatu obrzucili mnie zaraz szyderczém spójrzeniem; majster zaś chwilę pomyślał, potém powiedział:

— Dobrze chłopcze, ja cię przyjmę, pracuj tylko szczérze, to zczasem wyjdziesz na czeladnika, a potém da Bóg na majstra.

— A może to jaki oszust, lub szpieg z bandy złodziejów, proszę Panie Majster, zagadał jeden z czeladników; to jeszcze nam kłopotu i wstydu narobi...

— Słusznie mówisz Kasprze, słuszna uwaga, rzekł namyślając się majster. Opowiedzże nam chłopcze, coś ty za jeden?

— Łzy mi stanęły w oczach na te słowa czeladnika, łzy żalu i obrażonéj uczciwości; nakoniec opowiedziałem majstrowi całą prawdę mego życia, jak niegdyś panu mówiłem. Majster uwierzył, a jego żona, poczciwa kobieta, rozrzewniła się nawet i wzięła mię pod szczególną swoją opiekę i tak zostałem przyjętym, dziękując Bogu, że już niebędę wałęsać się po ulicach, jak pies bez gospodarza i będę miał chléb powszedni. Chociaż z ciężkością na moje, biedą wycieńczone siły i ręce nieprzywykłe do pracy, ale wziąłem się do niéj szczérze. Majster był zemnie kontent, a dobra jego żona zostawiała nieraz dla mnie lepsze kąski jedzenia, mawiając: to dla biednego sieroty; niech się poprawia na zdrowiu i sił potrzebnych nabiera. Wkrótce, gdym zyskał dobrą o sobie opinję majstra, polecił mi on, abym miał oko na czeladników, gdy sam niebył w domu, postrzegał bowiem, iż niezbyt pilnują roboty i często wybiegają do szynkowni, i abym mu o tém donosił. Chociaż z przykrością, ale musiałem był wypełniać wolę majstra i kilka razy

razy powiedziałem mu, że Kasper w jego niebytności często wybiega na wódkę i drugich woła ze sobą; majster zrobił im za to wymówkę, a oni domyślając się zapewne, że to ja obserwuję ich czynności, zrobili na mnie zmowę, aby mi poszkodzić w opinji majstra i jego żony. W skutek téj machinacji zaczęła się popełniać kradzież w domu, ale tak zręcznie, że złapać winnego niemożna było; robili figle w spiżarni pani majstrowéj unosząc kawałki słoniny, masła i t. p., to znowu ginęły pieniądze, które majster zapomniał czasem schować; a gdy się opatrzyli gospodarze i czynili poszukiwania, jeden z czeladników rzucał dwuznaczne słówko, iż mnie mają w podejrzeniu. Z początku niechcieli temu wierzyć uczciwi moi gospodarze, ale powoli to podejrzenie zaczęło na nich wpływać: mieli już mnie na oku. Tymczasem kradzież w domu nieustawała tak, że czeladnicy, niby oburzeni, chcieli dziękować za służbę, jako ludzie uczciwi, dodając w końcu:

— Niech pan majster sam zauważy, że póki nie przyjęliśmy tego, Bóg wié jakiego, włóczęgi, wszystko w domu było cało i spokojnie. To chytry chłopak, widać w dobréj był już szkole oszustów! Jak tak dłużéj potrwa, to trudno tu wybyć uczciwym ludziom, i my się oddalimy do drugiego warstatu...

Majster wziął to żywo do serca, a unikając niezgody z czeladnikami i niechcąc ich tracić, dał mi napomnienie w dotkliwych słowach i kazał swój dóm opuścić. Tłumaczyłem się, jak mogłem, przysięgałem, żem nic niewinien, ale niebyła dana wiara żebrakowi, ulicznemu włóczędze! kazano mi odéjść; majstrowa tylko użaliła się nademną i, ze łzami w oczach, dała mi na drogę bochenek chleba i krajankę séra. Pocałowałem jéj rękę z całą wdzięcznością i opuściłem z żalem to mieszkanie, gdzie na piérwszym kroku méj pracy spotkałem taki boleśny zawód i taką złość ludzką. Teraz znowu ujrzałem się bez przytułku i opieki; tylko zły los szedł krok w krok za mną, prześladując mię wszędzie. Powiedziałem ci, Panie, jedno z moich zdarzeń, jako próbę tego, co mię prawie wszędzie napotykało. Próbowałem pójść w drugie rzemiosło, i tam, w krótkim przeciągu czasu, nawiedzał mię tenże zawód i te same szyderstwa, żem włóczęga, żebrak uliczny i próżniak, chociaż co do tego ostatniego zarzutu może i słuszność mieli, gdyż, wyznam szczérze, zniechęciłem się już do pracy, do któréj nie-

miałem jeszcze czasu ani zachęty przywyknąć; wyraźnie wiodła mię jakaś zła ręka losu! Czas jakiś miałem robotę i przytulisko, potém znowu włóczyłem się bez celu i przytułku po ulicach; dowiadywałem się kilka razy do mieszkania pana Hrabiego, lecz zawsze napróżno. Myślę nieraz, że gdybym był napotkał jakiego litościwego, wyrozumiałego człowieka, możebym i ja został wytrwałym w pracy i w dobrych zamiarach, jakie mną z początku powodowały; ale ten ciągły zawód i brak współczucia do reszty mię zraziły do ludzi i pracy. Umyśliłem nareszcie szukać lżejszego chleba, i postąpiłem w służbę do jednego bogatego pana, któremu, po pewnym czasie, moją wiernością i szczérością potrafiłem się podobać, i zyskałem jego zaufanie. Lubił moje usługi i, ja jeden miałem wolny wstęp do jego gabinetu; lecz nieszczęście mieć chciało, iż w liczbie sług tam będących znajdywał się ten sam Kasper, któren terminował ze mną u stolarza, i za złe prowadzenie się potém wydalonym został. Ten człowiek nienawidził mię bardzo, był to mój wróg, który mi wszędzie gdzie mógł szkodził, i może być przez to niemiałem szczęścia do ludzi. Uśmiechnął się on złowrogo obaczywszy mię w tym nowym obowiązku, a ja mu wzajemnie pokazałem ściśnione pięści, lecz zczasem starałem się zatłumić moją do niego urazę, tém bardziéj, że on z swéj strony zdawał się zapominać o przeszłości i począł mi okazywać niejaką życzliwość, w którą ja chętnie uwierzyłem, niewiedząc, iż on knował tajemnie.... Czas jakiś było spokojnie i dobrze; jam się cieszył mojém nowém położeniem i zaufaniem mego pana. Gdy pewnego dnia zginął kosztowny złoty zegarek z łańcuszkiem z gabinetu, i pan rozgniewany oznajmił mi o tém, rozkazując surowo, abym szkodę odzyskał; porażony byłem tą kradzieżą. Szukałem, badałem, lecz wszystko napróżno; domysł mój padł wreszcie na Kaspra, że to on zapewno wcisnął się pokryjomu do gabinetu i dopuścił się téj kradzieży, ale dowodów na to żadnych niemiałem; a gdy na drugi dzień pan rozgniewany ponowił mi swój rozkaz, oraz i innym lokajom, ci odpowiedzieli śmiało, a między nimi i Kasper, że tylko Paweł ma wolny wstęp do gabinetu, a zatém to jego sprawa.

— Znamy bowiem, co to za ptaszek! kończył Kasper: to włóczęga, niegdyś żebrak uliczny, którego zewsząd za podobne czynności wypędzali.

— Pawle! słyszysz co mówią o tobie? zawołał mój pan; źle robisz chłopcze! niechcę cię wstydzić podając do władzy miejscowéj, bo może

się jeszcze poprawisz. Przykro mi, żeś zawiódł moje zaufanie; przykazuję ci więc, popraw się z téj zgubnéj wady, wróć mi moją szkodę i służ daléj uczciwie, to może z czasem odzyskasz moje zaufanie; w przeciwnym razie, jeżeli nie odszukasz skradzionego zegarka, to ja złodzieja w domu moim miéć nie chcę.

— Czułem, że mi krwią oczy nabiegły z żalu i gniewu, tak byłem porażony, iż słowa wymówić niemogłem na moje usprawiedliwienie. Zacisnąłem pięści, grożąc niémi tajemnie memu prześladowcy, potém zdołałem tylko dwa słowa wymówić: »niejestem winien« i wyszedłem miotany żalem i zemstą. Niechciałem się już nawet tłumaczyć, ani czekać dalszych śledzeń i poszukiwań, któreby zapewne wykryły moją niewinność; byłem jeszcze młodym, bez doświadczenia, i niemiałem dobrego doradcy. W nocy więc, jak prawdziwy winowajca, wyszedłem pokryjómu, opuszczając ten dóm, gdzie ucierpiałem niesłusznie; szedłem bez celu, gdzie mię oczy poniosą. Noc była ciemna, przeszedłem kilka ulic, gdy nagle w zaułku napotkałem dwóch ludzi, idących ostrożnie; strwożyli się i na bok uskoczyli, gdy na nich naszedłem; i jam się strwożył cofając się w stronę: oni to zauważywszy zapytali kto jestem?

— Kto? odrzekłem z goryczą, niewiedząc prawie co mówię, człowiek jestem, albo raczéj zwierze, które niema nory, gdzieby noc przepędzić mogło,—i chciałem iść daléj; lecz oni mię zatrzymali, widać podobała się im moja odpowiedź i jeden z nich powiedział:

— Nie oddalaj się, kolego! my ci damy nocleg i schronienie, z dodatkiem dobréj wieczerzy... znamy my takich *biedaków*... będziesz zuch z czasem!

— Niebyłem zdolny zrozumieć znaczenie tych słów; lecz dałem się powodować bez woli i chęci, bo nic lepszego niemiałem do czynienia. Szliśmy długo po ciemnych i ciasnych zaułkach (widać towarzysze moi zmienili pierwszy swój zamiar z radości, iż dostali nowego kolegę), po drodze wypytywali mię o szczegóły mego życia, których im nie taiłem, nareszcie wprowadzili mię do jakiéjś brudnéj szynkowni, oświeconéj słabém światłem łojówki. Stół był zastawiony grubém jadłem i napojem, a wokoło niego siedzieli pijani, jakiéjś podejrzanéj powierzchowności ludzie, prowadząc hałasliwą rozmowę, przerywaną niekiedy

bójką pięściami i przekleństwem. Dziś mię to nierazi, panie hrabio, nawet lubię czasem tę hałaśliwą wrzawę *dzielnych zuchów!* to bowiem dodaje energji człowiekowi i zagłusza poniekąd ten utajony we wnętrzu głos surowy, który mi pozostał z dziewictwa moich lat młodszych; on mnie dręczy czasem boleśnie, że muszę się uciekać do szatańskich orgij moich towarzyszy, muszę pić i kląć razem z nimi,— to mi ulgę przynosi, zachęca do *bohatérskich* czynów!... Ale naówczas okropnie mię przeraziła ta scena, stanąłem więc w progu, nieśmiejąc kroku postąpić. Moi towarzysze widząc to, pochwycili mię za ręce. posadzili za stołem obok siebie i zawołali głośno: »Héj karczmarzu! dawaj gorzałki, tylko dobréj hultaju! niedolewaj wody, bośmy jeszcze trzéźwi i poznamy się na tych chrzcinach, a przytém zakąskę podaj i butelkę starego miodu; dziś będziemy hulać na cześć naszego nowego kolegi, rozumiesz? Niezwłocznie podano to wszystko. Moi towarzysze wypili do mnie, jam się zpoczątku wzbraniał, lecz pobudzony naleganiem, wypiłem; a oni zawołali wesoło:

— Pij, *zuchu,* pij! *na frasunek dobry trunek!* sam się przekonasz o tém. Bierz z nas przykład: kpimy sobie ze świata i ludzi, a gdy podchmielimy, to nam raźnie i wesoło. Ludzie nas prześladują, i my im, to prawda, wyrządzamy nieraz porządne figle: *wet za wet darmo nic!* no, panie kolego! znowu w ręce twoje, pij i wesel się z nami, kiedy chcesz żyć dobrze i niezależnie od nikogo, niedbając o nic. Wypiłem drugi kufel i rzeczywiście jakoś raźniéj mi się zrobiło,—im więcéj piłem. tém silniéj wrzała we mnie chęć zemsty na Kasprze i innych, podżegana mymi kolegami. Chciałem zaraz zbić Kaspra na *gorzkie jabłko,* i dopierobym się ucieszył,—koledzy obiecali mi swoją w tém pomoc. Śpiewałem i kląłem wraz z nimi, a potém—nic już niepamiętam, bo, odurzony trunkiem, zasnąłem pod stołem, czy pod ławą obok nich. Obudzili mię rano towarzysze, a widząc moje zdziwienie, niejaką odrazę do wczorajszéj zabawy i przykry ból głowy, na który się skarzyłem, radzili *pochmielić się* trochę dla zdrowia, co uczynili sami i ja za ich przykładem. Jeszcze niewiedziałem z kim i gdzie jestem? nareszcie koledzy, popijając i traktując mię, objaśnili powoli o swoim rzemiośle, zachęcając do koleżeństwa i spółki i, rozżarzając swą mową oburzenie w méj duszy na złość i nieczułość ludzi, dmuchali umiejętnie w tę iskrę, która tam już tlała; a dolewając trunkiem, dopięli swego celu. Zaprzy-

siągłem po pijanemu, że będę im bratem i towarzyszem w dobréj i złéj doli, a prosiłem wzajemnie, aby mi dopomogli wybić Kaspra i innych, do których żal miałem, co solennie przyrzekli. Czując się więc sam jeden na świecie, przystałem już chętnie choć do tych *braci ludzi*; lecz kiedy przyszła rozwaga po trzéźwemu, zrozumiałem jasno o co idzie, i na jaką drogę los mię sprowadził!... Żal ścisnął mi serce,... przypomniałem matkę, wspomniałem ciebie panie i twoją dobrą radę, i łzy niemęzkie popłynęły po mojéj twarzy; lecz już było zapóźno, jak sądziłem, bom złożył towarzyszom uroczystą przysięgę, że podzielę ich dolę. I gdzież się wreszcie miałem podzieć? gdzie była ta ręka dobroczynna, którąby mię poprowadziła inaczéj? sam byłem na świecie, z goryczą i zemstą w duszy! To tylko zdołałem wymódz na moich kolegach, że niebędę im towarzyszył na kieszónkowe i uliczne złodziejstwa, ani skradał się w nocy do okien i otwierał zamki wytrychem; taką czynnością gardziłem. Ja chciałem walki otwartéj z równą zaczepną i odporną bronią; chciałem widzieć bez litości cierpienia i błagania ludzi, jak oni nieraz bez litości mijali mię nędznego i błagającego na ulicy, a potém zelżywie wyganiali ze swych domów!... ja chciałem iść w głąb puszczy! Ciasne i duszne było dla mnie miasto, niemiałem tu już nic do roboty. Koledzy zgodzili się na to. Czyhałem tylko jeszcze na Kaspra, na którym pragnąłem powetować wszystko, com ucierpiał z jego przyczyny, i los mi w tém usłużył: przydybałem go bowiem w jednéj szynkowni i z pomocą kolegów zbiłem należycie, co mię wielce zadowoliło. W kilka dni potém, wyszedłszy z miasta, przyłączyliśmy się do bandy *opryszków* w górach. Odtąd prowadzę życie napadów, grabieży i walki! a w chwilach, kiedy smutek jakiś uciska duszę, kiedy mignie mi w pamięci przeszłość z lat moich dziecinnych... ja piję z téj flaszy, zagłuszam ten ból serca i wołam na towarzyszy do nowych napadów!... Właśnie i dziś miałem taką chwilę wspomnień... Burza ryczała gromami po górach, a w duszy mojéj wył głos złowrogi, stokroć straszniejszy od burzy i gromów! Jakiś wyrzut sumienia i żal dziwny ściskał pierś moją. Chciałem odegnać te mary przeszłości, chwyciłem flaszkę i piłem; trunek nie działał; wyszedłem więc na skałę, aby dziką muzyką gromów zagłuszyć tę walkę wewnetrzną!... Stałem długo, nieczując prawie ulewy, ani wichru, który mną szamotał—nareszcie, gdy burza ucichła, ujrzałem wdali trzech podróżnych; zawołałem zaraz towarzyszy, i na-

padliśmy na was... Reszta wiadoma. Widać Bóg, o którym dawno zapomniałem, sam zrządził ten dziwny wypadek, dozwalając mi ocalić życie temu, któremu wiele winienem wdzięczności. Odtąd śmieléj spójrzę w niebo, bo mam choć jeden dobry uczynek, choć jedno jasne wspomnienie z ponurego teraz pasma dni moich, i błogosławić będę tę chwilę do zgonu!...

Paweł przestał mówić, założył ręce na piersi, zwiesił głowę i pogrążył się w ponure dumania. Hrabia Mieczysław, oparty o wezgłowie swego posłania, słuchał tego opowiadania z żalem i smutkiem i pogrążył się także w zadumę; nareszcie rzekł do Pawła.

— Smutne i gorzkie dzieje twego życia, biédny Pawle! los wyraźnie prześladował ciebie, ale widzę, żeś i sam po części temu winien i sam prawie zgotowałeś sobie taką przyszłość. Niemiałeś bowiem hartu i woli ku dobremu, rozpróżnowałeś się za młodu; nużyły cię uczciwa praca i trud konieczny, w którym niemiałeś cierpliwości wytrwać, a każda przeciwność cię zrażała. Przytém zanadto może wymagałeś od ludzi, licząc na twoje sieroctwo i niedolę, że masz pełne prawo wymagać od nich wszystkiego, zapominając o tém, że cała ludzkość powinna stanowić jeden łańcuch wspólny, w którym siebie wspierać powinni, biedniejsi bogatszych pracą i uczciwym zarobkiem, a bogatsi biedniejszych stosowną nagrodą, dając im sposób do wyżywienia się, słowem, jedni drugim być wzajemną pomocą. Ty za mało czułeś się obowiązanym czynić dla ludzkości, zapominając, że jesteś jednym także z jéj ogniw; przytém nieumiałeś przebaczać uraz i krzywdy, jak dobry chrześcijanin, jakie ciebie na drodze pracy napotykały, a przez to traciłeś chęć do niéj i bratnią miłość do ludzi; w zamian takowéj objawiały się zarody zemsty i nienawiści, których wyplenić nie umiałeś, — i to wszystko razem prowadziło cię na złą drogę; resztę zrządził jakiś los fatalny i wypadek. Żal mi cię, biédny Pawle! i szczérze ubolewam nad tobą, gdy z twego dziś szlachetnego czynu i wyznań twoich widzę, że niewygasły jeszcze w twéj duszy zarody cnót i poczciwości, pomimo niecnego rzemiosła, jakie teraz prowadzisz, i towarzystwa, z którém żyjesz. Po chwili zapytał nieśmiało i z widocznym wstrętem: powiedz mnie jeszcze Pawle, mnie, jak człowiekowi, który ciebie żałuje, wiele też popełniłeś zabójstw?...

Paweł drgnął całém ciałém, podniósł czoło i zawołał z mocą:

— Panie hrabio, dobroczyńco mój! klnę ci się na grób i prochy méj matki, któréj pamięć czczę święcie, że nigdy jeszcze ręka moja nie zmazała się krwią ludzką, ani podłą kradzieżą! Zostawiam to moim towarzyszom; sam tylko, obdarzony od natury wielką siłą, przystępuję do walki; kiedy widzę, że nasza ofiara uporczywie się broni, wtedy, uprzedzając nieraz cios zabójczy, jaki mają zadać moi koledzy, walczę z upartym, rozbrajam go, cieszę się chwilę jego błagającym głosem, nareszcie odbieram pieniądze, które rozdzielam zarówno między towarzyszów moich, za co oni mnie lubją i słuchają, gdy im co rozkażę! Ale zabijać?—nie! niemogę, i sumienie moje wolne od tego.

Mieczysław usiadł na posłaniu i uśmiechnął się radośnie, słysząc to zapewnienie Pawła. Cieszył się w duszy szlachetny hrabia, że ten biédny człowiek niejest jeszcze tak dalece zgubionym, jak mniemał; rzekł więc po chwili z namysłem.

— Słuchaj Pawle! nazywasz mię swoim dobroczyńcą, pozwólże mi być nim na prawdę. Wielką pociechę uczyniło mi twoje zeznanie, żeś się jeszcze niedopuścił ostatecznéj zbrodni; ztąd wnoszę, że mógłbyś jeszcze wrócić na dobrę drogę i zostać zczasem uczciwym człowiekiem. Może sam Bóg, kierując niewidomie swe sprawy, zrządził tę chwilę naszego spotkania, aby położyć kres nareszcie twoim cierpieniom, a ztąd i występkom. Ja od kilku miesięcy chory, za radą lekarzy wyjechałem w tę góry dla zwykłéj kuracji. Zrządzeniem niewidoméj woli napotykam ciebie, i w jakiéjże chwili?... ty mi ocalasz życie! a ja czuję w méj duszy, że mogę ci podać rękę ratunku i wybawić z téj zgubnéj toni, wracając cię uczciwéj pracy, która jedna cię może naprowadzić na dobrą drogę, z któréj zeszedłeś. Głos twoiéj matki z grobu woła oto do ciebie: porzuć to błędne życie, pełne występku i zgubnéj przyszłości! nielękaj się uczciwéj pracy, która aż nadto wystarczy na twoje potrzeby. Ja w moich dobrach mam ogromne lasy, dam ci więc miejsce leśniczego tak zgodne z twojem teraźniejszém życiem, póki się znowu obędziesz z ludźmi jak z braćmi; przytém nikt cię tam niezna, odemnie będziesz miał wszystko, a ja, jak sądzę, będę miał za to w tobie wiernego sługę i przyjaciela. Paweł stanął i słuchał ze zdziwieniem i niejaką radością słów hrabiego, nareszcie wyrzekł jakby sam do siebie:

— Jakto?... ja mogę być jeszcze uczciwym człowiekiem?., ja mogę

zarabiać kawałek chleba bez trwogi i wyrzutów sumienia?... O Boże, Boże! czyto matka moja uprosiła ciebie o to tam w niebie?.. ale nie... nie... to być niemoże!... jam już wykreślony z liczby uczciwych ludzi, na mnie leży przeklęstwo nędzy i spodlenia — ja opryszek! ja rabuś!.. O! nie, nie... niełudź mię tym obrazem, puszczaj mię, panie, ja pójdę pić, bo tu bardzo boli!... i cisnął rękę do piersi.

— Nie, niepójdziesz, Pawle, i pić przestaniesz! zawołał z mocą hrabia. Daj mi na to swe słowo i zapewnienie, że wszystko, co zechcę, uczynisz. Ja ci ufam, biédny człowieku, i pewien prawie jestem, że niezawiedziesz mego zaufania. Twój czyn dzisiejszy, twoja wdzięczność za małe dobrodziejstwo z méj strony i twoje zeznanie przemawiają za tobą. Przypomnij przytém nauki twojéj matki i te modły, które odmawiałeś w dzieciństwie, odródź się na nowo w duchu i powstań z upadku, biédny Pawle! Niech i ja zanotuję sobie w pamięci ten dzień piękny, w którym wydźwignę człowieka ze zgubnéj toni. Pawle! uciekaj od swych niecnych towarzyszy, którzy już może są bez poprawy! Ja ci ułatwię środek dostania się do mego majątku i dopomogę ci wrócić na drogę pracy i cnoty!

Paweł chwiał się jak pijany ze wzruszenia, ściskał konwulsyjnie głowę obiema rękoma, jakby chciał zebrać myśli, potém dziki jakiś głos wydobył się z jego piersi, niby jęk płaczu, niby śmiech serdeczny i, wymawiając słowa bez związku, rzucił się na posłanie, objął nogi Mieczysława, do gorących swych ust je przyciskał, a strumienie łez dawno nieznanych płynęły po jego twarzy.

Już brzask ranny różował niebo na wschodzie, gdy hrabia, po bezsennéj i pełnéj dziwnych wzruszeń nocy, obudził swych towarzyszy i, korzystając z twardego snu *opryszków*, których obudzenia wcale niepragnął, opuścił z nimi tajemną grotę, udając się do swych mieszkań, w czém im dopomógł Paweł, wyprowadzając na pewną i niebłędną drogę. Przy rozstaniu ściskał kolana hrabiego, a ten żegnając go życzliwie dodał półgłosem. »Pamiętaj!«

III.

Wiatr lekko szumi konarami odwiecznych sosen i dębów ciemnego, uroczo-posępnego boru, gdzie-niegdzie przejrzy przez jego rzadsze gałęzie lazur nieba, lub biały obłoczek, co płynie zwolna, jakby unosił się do Boga, z jakąś cichą modlitwą, pochwyconą z ziemi; tam znowu przedarł się przez gęstwinę promień słońca i rzuca złote światło na szmaragdowe liście wonnéj lipy, okrytéj właśnie kwieciem puszysto-białawém, na bujne paprocie i dzikie kwiaty, rosnące u stóp tych olbrzymów leśnych, i jasnémi smugami światła ściele się na tym świeżym zielonym kobiercu; to znowu błyśnie tysiącem iskier na powierzchni jasnego czystego strumienia, który cicho sobie płynie po żółtym piasku, wśród gęstwiny olch i brzóz powiewnych, ubarwiony na brzegach kwieciem turkusowych *niezabudek* i szafirowych *dzwónkow*, a wyżéj, na wzgórku, rumienią się *poziómki*, jak koralki, wśród zielonych liści. Cicho i lubo tutaj; a wokoło tchnie miły chłód lasu, napełniony balsamicznym aromatem drzew i roślin; cicho i spokojnie w tém ustroniu; tylko czasem dzika sarna wybiegnie z gęstwiny, poruszywszy lekkiémi swémi stopy suche gałązki, obejrzy się z ostrożnością dokoła, chwilę popatrzy, posłucha i stanie przy źródle, by pić jego kryształową wodę i przyjrzéć się do swéj pełnéj wdzięków urody; lub zając, wystraszony tym szmerem, wybieży z pod łomu, postrzyże niespokojnie *słuchami*, stanie na tylne łapki, popatrzy z trwogą i poskoczy daléj w lekkich susach; czasem bocian zaklekoce, przylatując na swoje gniazdo tam na suchym dębie, lub duży kruk czarny uderzy ciężkiémi skrzydłami siadając na gałęzi, i znowu cicho... tylko zwinne wiewiórki przeskakują lekko z drzewa na drzewo. Tam w głębi puszczy ściele się równa, gładka, jak aksamit, zielona łąka; na niéj kilka lip sędziwych, dębów rozłożystych i dzikie grusze, a pod niemi bieleje nowa porządna *chata* z małém zabudowaniem gospodarskiém. W obszernym wyrębie za *chatą* ogród warzywny, częstokołem obwarowany, a za ogrodem znowu łąka, na któréj pasą się cztéry piękne krowy i para koni roboczych, łąkę zaś okala cienista *dąbrowa*. Na dziedzińcu, koło chaty, leży duże kudłate psisko, niekiedy pokręci głową, potrzepie uszami, lub niespokojnie zamruczy, klasnąwszy zębami, oganiając się tym sposobem od much

uprzykrzonych, które mu przeszkadzają w miłym spoczynku na barłogu ze słomy. Opodal biegają skrzętne kury, mając na czele pysznego koguta, który wygrzebał w téj chwili ziarnko na śmiecisku i wesołém *kukuriku* zwołuje swe towarzyszki, otoczone sporą gromadką kurcząt. Z chaty ulatuje gęsty dym z komina, świadczący, że się tam przygotawia jadło, bo i zapach tłustéj wieprzowiny rozchodzi się niekiedy w powietrzu i dolatuje powonienia drzemiącego *Rozboja;* ten radośnie zamacha ogonem, lecz za chwilę znowu mruży oczy, pomiarkowawszy widać, że to nie dla niego uczta. Od chaty wije się niepewna leśna drożyna po korzeniach i moczarach w głąb' puszczy, a po téj drożynie idzie w téj chwili jakiś męczyzna w krótkiém ubraniu, w kapeluszu słomianym na głowie, z fuzją za plecami i kijem w ręku; idzie powoli, oglądając się niekiedy wokoło, jakby kogoś wypatrywał na drodze, nareszcie zbliżył się do chaty i drzwi uchylił.

— Dobrydzień Katarzyno! zawołał wchodząc do kobiéty młodéj i hożéj, krzątającéj się koło pieca, jeszcześmy się dziś niewidzieli, wyszedłem bowiem bardzo rano do lasu i niechciałem cię budzić, abyś mi dała śniadanie, bo niespałaś, niebogo, prawie noc całą koło kapryśnego naszego malca, żal mi więc było budzić ciebie, gdyś zasnęła nadedniem.

— Wszak i ty widać niespałeś, Pawle, kiedy słyszałeś płacz dziecka?

— Ja spałem dobrze, chwilami budził mię tylko twój śpiew przy kolebce i kwilenie malca.

— Poczciwy ty, mój Pawle! zawsze mię żałujesz budzić i często głodny wychodzisz; siądź więc za stołem i posil się trochę. To mówiąc, nalała w miskę tłustego mleka, do którego wrzuciła świeżego séra, i postawiła na stole przykrytym białym obrusem, dodawszy sporą krajankę chleba. Paweł (nasz znajomy) zdjął tymczasem fuzję i torbę myśliwską, które postawił w kącie, umieściwszy nad niemi swój kapelusz na kołku, wbitym w ścianę, oddał żonie świeżo zabitego zająca, potém się przeżegnał pobożnie przed obrazem Boga-rodzicy, wiszącym w uprzywilejowanym kącie chaty i usiadł zajadać te skromne, lecz zdrowe potrawy. Posiliwszy się do syta, wstał z zastołu i wyjrzał przez okno na drogę, mówiąc do żony:

Coś niewidać jeszcze naszego pana, a obiecał mi wczoraj przybyć dziś do naszéj chaty na śniadanie.

— Poczciwe Panisko! zawołała Katarzyna, niech go Bóg i święci Pańscy błogosławią, że niegardzi strzechą i ubogą strawą biednych ludzi, których osypał swymi darami!

— O, tak moja kobiéto! Bogu i jemu winniśmy wszystko, co mamy. Ja opuszczony i.... tu niedokończył, tylko westchnął ciężko—i ty, biedna sieroto, którą dobry los sprowadził na moją drogę. Pan hrabia nas połączył, dawszy mi wprzódy tę chatę i cały zasób, a przytém uczciwą pracę. On mój dobroczyńca, mój anioł opiekuńczy, zesłany mi od Boga, a ja, ja tylko wierny jego sługa do śmierci!... Ale powiedzno mi, kobiéto, rzekł po chwili, co ty tam przyrządziła na śniadanie dla pana?

— O, nietroszcz się o to, już ja sama pomyślałam, jak wystąpić. I, ująwszy się jedną ręką pod bok, drugą wyliczała potrawy: upiekłam, mój kochany, parę tłustych kurczaków, nadziawszy ich siekaną pietruszką i koprem z jajami i masłem, jak się godzi; usmażyłam smaczny *grzybek* z jaj, przytém sałata do kurcząt, świeża śmietana i sér wyborny, a na zakąskę podam jeszcze śliczne poziómki. Może źle? dodała wesoło.

— Dobrze, niéma co mówić. Ale coś długo niewidać pana, dodał niespokojnie Paweł, lękam się, aby mu się co nieprzytrafiło w lesie, gdyż sam zwykle lubi się powozić swoim ulubionym *gniadoszem*, lub wierzchem na koniu odbywa przejazdki. Przyrządźno tu wszystko, jak należy, moja miła gosposiu, a ja wyjdę na jego spotkanie. To mówiąc, włożył kapelusz, zarzucił fuzję przez ramie i wyszedł na drogę, prowadzącą do lasu.

Katarzyna nakryła stół świéżym obrusem, na którym położyła pulchny chleb gruby, pisane miski i talerze, sama się ogarnęła w lepszą odzienie i czekała niecierpliwie przybycia tak ważnego gościa, poglądając co chwila w okno; nareszcie nieprędko pokazali się na drodze oczekiwani. Hrabia szedł piechotą, a Paweł prowadził konia za uzdę, za którym ciągnął się wyraźnie uszkodzony mały wózek na resorach, jakim pan hrabia lubił zwykle objeżdżać swe łany i lasy. Za chwilę weszli do *chaty*, na progu któréj hrabia pozdrowił gospodynię tém miłém chrześcjańskiém powitaniem, którém się pozdrawiali nasi dziadowie: »niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!« i Bóg w ślad sypał im niegdyś swe dary. Dziś wiek *postępu* i *oświaty!* wstydzą się więc ludzie

oddawać jawnie cześć Bogu, i chwalić głośno Jego święte Imie,—i Bóg odwraca nieraz swe oblicze od niewdzięcznych dzieci; tak i przysłowie mówi: *jak Jacek do Boga, tak Bóg do Jacka.*

Katarzyna odrzekła wesoło: »na wieki wieków, amen,« ściskając kolana pańskie i podbiegła do pieca, aby prędzéj się popisać swoim talentem kucharskim, ale wtém spójrzała na Pawła, który, zaprowadziwszy konia do stajenki i podrzuciwszy mu trawy, sam wszedł do izby.

— Pawle! coto za krew u ciebie na skroni? zapytała strwożona.

— To nic, zadrasnąłem się o gałąź trochę;—i otarł skroń rękawem.

— To nic, nic, mój dobry Pawle, zawołał hrabia, tylko żeś ty ochronił mię od wypadku złamania karku, lub nogi. Widzę, poczciwcze, że los wyraźnie mi zesłał ciebie, abyś czuwał nademną; tyle już dałeś dowodów swego poświęcenia z narażeniem nieraz siebie samego!

— O, mało jeszcze uczyniłem, panie hrabio, i całe moje choćby najdłuższe życie niestarczy mi na wywdzięczenie się za twoje dobrodziejstwa! Tyś mi więcéj uczynił, panie, bo z hultaja i złoczyńcy zrobiłeś uczciwego człowieka; ty, panie, dałeś mi uczciwą pracę i kawałek chleba, który spokojnie pożywam w tym ziemskim raju, jakowym tylko dobrym ludziom cieszyć się wolno; i ja, niegdyś odrzutek społeczeństwa, cieszę się tém wszystkiém, błogosławiąc twoje imie!

— Jestto dla mnie równą pociechą, dobry Pawle! Ale powiedzno mi, może doprawdy uszkodziłeś sobie, wstrzymując w pędzie to niegodziwe bydlę, które, jak szalone, niosło mię po korzeniach i krzakach? No, niespodziewałem się nigdy takich dzikich skoków i głupiego przestrachu od tego dotąd tak spokojnego konia.

— Wilk go przestraszył, panie hrabio, i dziwić się nienależy, iż biédne konisko rozum straciło. To szczęście, żem wyszedł, jakimś niespokojem miotany, na spotkanie pana, i przybyłem właśnie w chwilę krytyczną, kiedy pękł resor i koń unosił.

— I byłbym wypadł i rozbił sobie głowę o leżący tam kamień, gdybyś ty z dziwną odwagą i poświęceniem niewstrzymał w pędzie rozhukanego konia,—a za to rozbiłeś skroń sobie!

— Nic to, to tylko lekkie draśnięcie o gałąź i bolu nawet niewiele czuję. Niech pan się nietroszczy o to. No, Katarzyno, zawołał wesoło, krzątaj się żywo, pora już ugościć naszego pana, który niegardzi usiąść za stołem swego wiernego sługi; może po tym chwilowym przestrachu i apetyt się znajdzie.

Jakby na sprawdzenie tych słów pan hrabia smaczno zajadał wyborne kórczęta i t. d., aż Katarzyna cieszyła się skrycie. Paweł zaś opowiadał tymczasem, jakie pan będzie miał obfite polowanie, bo mnóstwo wytropił zwierza w lesie.

— Hrabia często lubił zaglądać w ciche ustronie swego Pawła i jego żony, by posilić się niekiedy ich prostém zdrowém jadłém, które czasem przenosił nad wytworną swoją kuchnię; lubił szum lasów i cichą ustroń swego leśniczego, w któréj oddychał nieraz po szumnych zabawach i ucztach w swoim pałacu; w takich zaś zdarzeniach, gdzie potrzebną była szczéra posługa i poświęcenie, liczył z pewnością na Pawła i nigdy się niezawiódł, mając go zawsze gotowym na wszelkie rozkazy. Bywały często chwile, że hrabia błogosławił ten dzień, który go zbliżył z tym człowiekiem i cieszył się ze swego dobrego uczynku.

W jednéj z pięknych wsi Galicji, w majątku hrabiego, żyją jeszcze dzieci Pawła, otoczone już swoją dziatwą, mieszkając na gruncie darowanym na dziedzictwo przez hrabiego W.... ich ojcu za wierne usługi. Służą oni wiernie dzieciom dobroczyńcy, jak ojciec służył hrabiemu, błogosławiąc pamięć obydwóch.

DUMKA.

Szumią drzewa, szumią liścia,
Chmury mroczą niebios czoło;
Dusza czeka szczęścia przyjścia,
Chociaż głucho, ciemno w koło.

Wkrótce deszcze z chmur tych luną,
Ptaszki zmilkną po dąbrowach,
Wiatr kwiat zmiecie, dęby runą,
Zwierz się skryje po parowach.

Lecz gdy słońce znowu wróci,—
Znow natura się zaśmieje,
Znowu słowik pieśń zanuci,
Znowu kwiatek woń rozleje.

Moja wiosna smutno płynie,
Moje niebo wciąż łzy leje;
Westchnę czasem przy dziewczynie,
Albo z druhem się rozśmieję.

Próżno chciałbym ja wylewać
W marnych słowach tęschne żale:
Gdzież współczucia się spodziewać,—
Chyba echa w dzikiéj skale?

Jesień z drzew tych liścia zwieje,
Wiatr po błoniu je rozniesie;
Zginą lube me nadzieje,
Tak jak wszystko ginie w świecie.

Szumią liścia, szumią drzewa,
Straszno, głucho naokoło;—
Dusza czegoś się spodziewa,
Lecz wiatr szumi, ciemno w koło...

J. N. W.

DO MŁODEGO POETY.

Śmiało młodzieńcze! wśród życia zawodu
Leć, gdzie cię gwiazda genijuszu woła!
Niepatrz na świat ten ironji dokoła,
Leć zrywać kwiaty do cudów ogrodu!

Na ziemi ciebie rzadko kto zrozumié,
A jeszcze rzadziéj twoje pojmą pienia;
Śmiechem szyderstwa odpłacą cierpienia,
Ducha wieszczego lód w piersi przytłumi...

Na ziemi zawiść zawrzy w sercach ludzi,
Gdy w tobie ujrzą boskich natchnień dziécie...
Gdy listki sławy rozkwitnie twe życie,
Nienawiść czarna dusze ich obudzi...

Lecz twoja gwiazda, złością nieskalana,
Siejąc blask światła i prawdy w przestrzeni,
Nad tłum się wzniesie, w promienną zamieni,—
I ci, co klęli, padną na kolana!...

Józefa P.

NĘDZNICY WIKTORA HUGO.

Przesadne może zbrodnie i cnoty
Dał Wiktor Hugo w utworze swym,
Choć trudno wierzyć w bajeczne zwroty,
Zawsze świat uzna genijusz w nim.

Na co wysilać zdolności mierne,
By tkać osnowę baśni i dum?
Zbierzmy pamięcią przykłady wierne,
Stanie przed nami nędzników tłum..

Mógł Val Jean, kradnąc chleb u piekarza
Dla głodnych sierot, ofiarą paść,—
Ilużto możnym ludziom się zdarza
I chleb sierocy i pieniądz kraść?...

Młody kajdaniarz, wśród złych gromady
Że tchnie zepsuciem, cóż to za dziw?
Czyliż występków jawne przykłady
Mogą mieć dobry na młodzież wpływ?!

Zbiegły galernik schronienia niema,
Czuje znużenie, nędzę i głód,
Gdzie u zapartych drzwi się zatrzyma,
Wszędzie strwożony ucieka lud.

Jeden się znalazł biskup cnotliwy,
Co go tak przyjął, jak gościa w dóm,
Karmił, pocieszył, bliźni prawdziwy
I dał bieg wolny grzesznika łzóm.

. . . .

Nędzników wielu i nędzy wiele!
Niech żacnym ludziom zagrozi głód,
To świat potępi, a przyjaciele
Z dziwną pogardą okażą chłód!...

Wdzięczność zachował Val Jean w pamięci
I uczuł w sercu nadziei zdrój;
Lecz drogich sreber pokusa nęci,
Wewnętrzna walka toczy w nim bój...

Nakoniec zgubny nałóg zwycięża,
Kradzież spełniona i znika zbieg;
Lecz wnet, ujęty siłą oręża,
Galernik ujrzał przepaści brzeg.

Przed dobroczyńcą stawią go straże;
Nieszczęsny spotkał litości wzrok.
Choć sprawiedliwość potępić każe,
Lecz w miłosierdziu do cnoty krok.

— »Tyś nabył u mnie srebra godziwie,
»To własność twoja, przemawia doń:
»Sprzedaj je, prowadź handel uczciwie!«
I biskup ścisnął złoczyńcy dłoń...

Straż ustąpiła. Zdumiony zbrodzień
Przełamał w sobie występku szał,
I, coraz lepszym stając się codzień,
Wzorem cnotliwych ludzi się stał!...

——— O. Jeveiseo R.

SZCZYPTA KADZIDŁA

Omarowi.

Omar, na księdze wsparty Proroka,
Alexandryjską widząc książnicę,
Spytał: »Czy wieża owa wysoka
Służyć ma ludziom tu za bożnicę«?

Na to mu odparł grek, co z chciwości
U nóg pohańca pełzał schylony: . . .

»Nie, — to ksiąg zbiory, owoc mądrości,
Z winnicy wieków przeszłych złożony!«

»Księgi mądrości? kłamstwo haniebne!
Jeśli w nich stoi, co piszą święte
Księgi Koranu; to niepotrzebne!
Jeśli im przeczą, to są przeklęte!«

I w świętym gniewie krzyknął na sługi,
By gmach spalono—i w górę z dołu
Wnet go objęły płomienia smugi,
I zamieniły w kurhan popiołu.

Cześć ci, Omarze!

J. Przecinowski.

POŻEGNANIE.

Odpłynąwszy od rodziny,
Na pokładziem smutny stał,
A Dniepr, ojciec Ukrainy,
Płynąc stare dumy piał.

Śpiewaj Dnieprze! smutek koi
Srebrnéj fali twojéj szum,
I lżéj duszy, gdy się wpoi
W dziwne tony twoich dum...

Czasem bujną falą brzęczy,
Lejąc z piersi smutnéj ton;
To zawyje, to zajęczy,
Bo swych braci wspomniał zgon.

A więc daléj Dnieprze siry,
Pogrobowe pieśni roń;
Bo mogiły już pokryły
Twych mołojców dzielną dłoń.

Dnie ich sławy uleciały,
Po nich w bolu tęsknisz ty;
Tak przebrzmiały i skonały
Mego szczęścia jasne dni!...

L. Newliński.

BĄDŹ WOLA TWOJA!

Gdy ci się chmury po nad głową zbiorą
Żal serce ściśnie i łza w oku stanie,
Uklęknij, módl się i wołaj z pokorą:
Niechaj Twa święta będzie wola, Panie!

Gdy przyjdzie kielich spełnić utrapienia,
A ci zapłakać nawet niepozwolą,
Łzy połykając i tłumiąc westchnienia,
Patrz, jak się Chrystus zgadza z Ojca wolą!

Gdy ci powiędną wszystkie życia kwiaty,
Gdy całą w grobie zagrzebiesz nadzieję,
Wznieś duszę w niebo z płaczem drogiéj straty,
I mów: niechaj się wola Twoja dzieje!

A gdy już znikąd niebędzie pociechy,
Gdy w ciągłych walkach i sił ci niestanie;
Proś, by twe krzyże Bóg przyjął za grzechy,
I mów: niechaj się wola Twoja stanie!

Umieszcz. przez omyłkę ... odwołanie w Przegl. [illegible]

NIERZĄD I PRACA.

STUDJUM LITERACKIE. z życia.

przez

F. H. Zysymonta.

— „*Hai tu spasimato? — No. — Questa sonata non è per te*“.

— „*Czy cierpiałeś? — Nie. — Ta sonata nie dla ciebie*“.

Matko moja! Ojcze mój! *Pierwszy* kłos, który dojrzał z ziarn zasianych w mojém sercu dobrą ręką waszą, przyjmcie, jako dowód wysokiéj i serdecznéj wdzięczności

waszego syna

autora.

NIERZĄD I PRACA.

Studjum literackie.

I.

»Ciżba, wojsko spore;
Zkąd zacząć? z pośród tłumu na hazard wybiorę«.

I. Krasicki.

Imć pan Marek Łyczko, herbu Nałęcz, był synem zamożnych rodziców, którzy często powtarzali, iż pochodzą z łona uczciwéj, dawnéj polskiéj szlachty. Gaduta, stary jak świat, pan Czasowicz przebąkiwał coś o tém, jakoby protoplasta p. Marka miał być niegdyś mieszczaninem krakowskim, który, dorobiwszy się uczciwie znacznego majątku przez *nieszlachetny handel*, przeniósł się na Ukrainę i tu, za pomocą swych czerwonych złotówek, uszlachetnił się, nabył rozległe włości i stale zamieszkał; zaś na przycinki zazdrośników, czynione mu co do pochodzenia jego fortuny, zwykł był odpowiadać: »Pić, bić, nic nierobić i tracić dar Boży, to nie grzech; a dorabiać się go w pocie czoła, własną pracą to grzech, hultaje!...« Być może to wszystko prawda, być może bajka, niewiem; ale podkomorstwo Łyczkowie zadawali wierutny fałsz tym słowom twierdząc, iż ów protoplasta nie mieszczaninem krakowskim, lecz był w liczbie posłów do kołodzieja Piasta przez naród wysłanych, późniéj zaś został rycerzem i poufnym przybliżonym do osoby Piastowego syna, księcia Ziemowita, który za bohatérskie jego nad wrogami zwycięztwo i na znak swéj szczególnéj dlań przyjaźni, udarował go szlachectwem i nazwiskiem Łyczko od łyka, z którego się zwykle plętą łapcie—*postoły*; tych zaś ostatnich, jak wiadomo, używał Piast chłopek, zanim się stał książęciem. Jakkolwiek bądź, dość że

przodkowie Łyczków byli sobie poczciwe ludziska, żyli po prostu, niemieli żadnych pretensji do *wyższego tonu*, w pocie czoła, pracą i zdrowym rozumem coraz więcéj powiększali swoją fortunę; a tak im Pan Bóg szczęścił, iż terazniejsi Łyczkowie słynęli już za bogatą, dość bogatą szlachtę, gdyż posiadali w swym kluczu jedno z pięknych ukraińskich miasteczek z kilkunastą przylegającémi doń wioskami. Mieli oni jedynaka syna, wymienionego już przez nas, Marka, którego matka zanadto pieściła, a ojciec, człowiek staréj daty, zanadto strofował. Owe zaś strofowania ojcowskie odbywały się pierwiéj za rozmaite figle malca, potém za czułe umizgi do panien respektowych wyrostka, a zwykle po staropolsku, na kobiercu, przy szybkim locie boćkowskiego monitora.

Marek wyrósł, był chłop jak dąb, gdy go odwieziono do szkół. Uwolniwszy się z trzeciéj klassy wrócił on do rodzinnéj zagrody i niby pomagał ojcu w gospodarce, a w rzeczy saméj hultaił, nic nierobił. Byłto młody człowiek bez żadnych zasad, bez pewnego ustalonego charakteru, lubił próżniactwo i zabawy; a w tém wszystkiém szczególnie mu pomagała pobłażająca i do zbytku zaślepiona w nim matka. Niegodzi się tu nam także zamilczéć o wielce sympatycznéj żyłce pana Marka do płci pięknéj; a że był on synem dość bogatych rodziców, wcale przystojnym, posiadał nieźle francuzki język i znał zasady salonowéj etykiety, wszędzie więc przyjmowano go chętnie; i niejedna piękna ukrainka zatrzymywała na nim długie melancholijne, lecące z pod gęstych rzęsów spójrzenie swych błękitnych, czarnych, piwnych, ba nawet szarych, burych, lub zielonkawych oczów.

Dóm państwa Łyczków był szlacheckim, coraz się więcéj zbliżającym do arystokratycznego w znaczeniu, w jakiém ten ostatni wyraz zwykle się teraz u nas pojmuje....

Piękna panna Blandyna była córką jedynaczką prawdziwie czystéj arystokratycznéj, gdyż bardzo dawnéj i wielce zasłużonéj krajowi, polskiéj rodziny hrabiów Pufowskich, pochodzącéj krew z krwi i kość z kości od Horacjusza Koklesa, który tak mężnie sam jeden się bijąc z całém ogromném wojskiem Porseny, obronił most od przejścia i Rzym od grabieży tego dzikiego łupieżcy... Liczyła ona przytém w liczbie swych prapradziadków jenerała, hetmana, dwóch senatorów i aż trzech hrabiów, a to nie żarty! — Trzeba było podtrzymać na swych barkach

tak ogromny ciężar splendoru znakomitości, tak wysokie urodzenie próżniactwem i wystawném, *koniecznie* nad miarę funduszu, życiem. Ztąd więc od rzymskiego Horacjusza wzięła swój początek znana genealogja polskich *utracjuszów*, a w skutek tego, rzecz naturalna, nastąpiło kompletne zniszczenie fortuny, dla podtrzymania któréj, rodzice Blandyny uradzili między sobą wydać swą jedynaczkę za p. Marka, któremu o mitrę hrabiowską możnaby się było wystarać przez stosunki, protekcje u Wiedeńskiego dworu i pieniądze. Zaś wierzący w przesądy stary hrabia Pufowski pierwszy nów księżyca starał się zawsze ujrzeć z prawéj strony i zwykle pozdrawiał go wierszami:

»Witam ciebie księżycu,
Niebieski królewicu!
Ja cię—w chwale, w korunie;
Ty mnie—w szczęściu, w fortunie«.

Tak więc, jak powiedzieliśmy, piękna panna Blandyna była w pełném znaczeniu tego słowa, arystokratką. Uwielbiała ona i podzielała wszystkie zasady téj kasty ba nawet genealogiczną tablicę z chronologją czasu urodzin, zawartych małżeństw i śmierci wszystkich swych przodków umiała na pamięć, a herbarz Paprockiego, jak motylek zlatywał wciąż na jéj usteczka.... Mówiła najczęściéj po francuzku, lub włosku, język polski kaleczyła okropnie, nazywając go nieokrzesanym językiem barbarzyńskich Sarmatów, czy Scytów; zresztą w gruncie była to sobie dziewczyna może nawet dobrego serca, w którém, wbrew hrabiowskim przesądom, zagościło dla przystojnego Marka uczucie. Charakter jéj nadto odznaczał się swą męzkością i chęcią panowania. Musimy tu jeszcze dodać w rodzaju pochwały dla bohatérki naszéj powieści, iż gdy, w daleko już późniejszym od obecnie opisywanego czasie, znajomość i używanie języka polskiego weszły niejako w modę u *beau monde*, wystudjowała go ona wcale nieźle i odtąd najczęściéj go używała, przeplatając niekiedy francuzczyzną.

Marek, poznawszy tę dla siebie skłonność serca pięknéj Blandyny, zakochał się w niéj *natychmiast*, w dowód czego na jednym wieczorze tańczył li tylko z nią, z bogdanką, jak nazywał, swojego serca; zaś podczas posuwisto-skocznego mazura, modnego wówczas anglezа i wi-

chrzystego walca, nagadał jéj tysiące najwyszukańszych w świecie komplementów i grzeczności. Od owego to pamiętnego wieczoru wizyty Marka u hrabiostwa Pufowskich stawały się coraz częstszémi, a wzajemna miłość téj młodéj pary szła olbrzymiemi kroki, gdy podkomorzy jeszcze kilka wiosek dokupił.

Matka Marka, podkomorzyna Łyczko, kobieta dosyć rozsądna i przenikliwa, lecz mająca pewną słabość dla swego jedynaka, zachwycała się jego powodzeniem w ubieganiu się o rękę hrabianki znakomitego rodu. Ojciec zaś był wcale przeciwnego zdania. Wiedział on o dobrze nadszarpanéj fortunie hrabiów Pufowskich, a dla swego syna życzył znaleźć taką dozgonną przyjaciółkę, któraby przynajmniéj we dwójnasób powiększyła jego obszerne włości. Lecz, niestety, myśl o odkrywającéj się prześwietnéj kolligacji z domem prawdziwie jaśnie wielmożnych, bo mającym aż dziewięć kropek w koronie, zaczęła coraz więcéj męczyć głowę i przyjemnie łechtać umysł starego Łyczka, aż nareszcie wydała otwartą wojnę jego osobistemu zdaniu, co do fortuny przyszłéj połowicy jego syna. A gdy tu jeszcze powiémy, że pani podkomorzyna niezaniedbała przedstawić owę świetną kolligację w sympatycznych kolorach punktualnie trzy razy na dobę: rano przy kawie, w południe przy obiedzie, wieczorem przy podwieczorku lub kolacji, nikogo więc to nie zadziwi, że stary podkomorzy, pomówiwszy przedtém mniéj więcéj otwarcie z rodzicami Blandyny, pewnego razu przywołał do siebie syna i wyrzekł doń, z ojcowską powagą i surowością na twarzy, te pamiętne decydujące może o przyszłym jego losie, słowa:

— »Jedź mi, waćpaństwo, młokosie, jutro do jaśnie wielmożnych i wielce nam miłych państwa Pufowskich, hrabiów na Zamczysku, i submitując pod ich stopy z wysokim respektem twe czułe sentymenta i serdeczne affekta dla imć panny hrabianki Blandynki, proś, błaźnie wyrostku, z estymą należną i skromnością, o jéj rękę, rozumiesz. Jeśliby zaś waść mnie, waćpaństwo, ośmielił się przywieźć harbuza nalawszy wprzód brzuch swój szarą polewką, to słyszysz, waćpaństwo. Zamienię waści kobierzec ślubny na ten, co w alkierzyku... a twoję, jak tam Blondynkę, czy Blandynkę (to mi imię, panna, gdyby włosy, się wabi!) na boćkowski kańczuk, co wisi tamże na ćwieku!... Teraz ruszaj sobie.«

Nazajutrz wieczorem Marek wrócił z oświadczyn i długo, wbrew

przyjętemu zwyczajowi nawet, bo aż za północ, ciągnęły się wesołe narady rodziny Łyczków, w innėm zaś miejscu Pufowskich.

Koniec końców, w półroku potém cała okolica mówiła tylko o wystawném weselu szlachcica z hrabianką; zaś stary podkomorzy na ostatniéj genealogicznéj gałązce swego rodowodu, przy imieniu ostatniego potomka Marka, dopisał: »Małżonka imć panna Blandynka z domu jaśnie wielmożnych hrabiów (dużémi literami) Pufowskich. Działo się dnia 25 października, 1842 roku, na ś-ych Kryspa i Kryspina męczenników.«

II.

»I polują, jak po borze,
I tłuką zboże, nie-zboże.«

S. Goszczyński.

»W wieku pary i telegrafów, mówi Zacharjasiewicz, żyjemy prędko. Kilkonastoletni młodzieniec ma już doświadczenie starego; w zaraniu młodości swojéj sprawił się już z najpiękniejszémi uczuciami serca i duszy i poczytuje to nawet sobie za zasługę, że publicznie może mówić o nich z sarkazmem i drwinami. Miłość piękna, czysta, wzniosła, uleciała w krainę snów lub złudzeń optycznych; jéj miejsce zajęły cyfry polityczno-ekonomiczne. A wobec tych cyfer zniknęły obowiązki, które dawniéj miłość za sobą pociągała, a natomiast usadowił się z pełnymi, rumianymi policzkami tak zwany: *interes*.«

»Zapał nasz i święty ogień, mówi on w innėm miejscu, który Bóg wlewa w serca nasze, ma wyższe, szlachetne przeznaczenie. Marnotrawić ten zapał i ogień jest ciężkim, ciężkim grzechem, a spalić go w świątyni pogańskiéj jest samobójstwem.... W ręku Boga jest gazometr naszego żywota, on liczy na cyferblacie, ile ognia nam użyczył i zażąda rachunku, cośmy z tym ogniem zrobili«.

Zwróćmyż się i spójrzmy, jak użyły tego świętego ognia, o którym mówi poeta, osoby, któreśmy wprowadzili, lub mamy zamiar wprowadzić na widok publiczny w naszéj powieści.

Lecz pierwiéj wypada nam powiedzieć słów kilka o tém, co za-

stajemy po dwudziestu pięciu latach od czasu owego sławnego w całéj okolicy z swéj świetności wesela, w wiosce Zatarcie, gdzie żyli dawniéj rodzice jednego z bohatérów naszéj powieści, a mianowicie, rodzice Marka Łyczko.

Nasamprzód zamiast starego modrzewiowego dworku, w którym mieszkał podkomorzy, przedstawia się oczóm ciekawego widza ogromny pałac w stylu gotycko-włosko-bizantyjsko-nijakim wzniesiony, a okrążony dokoła wysoką murowaną ścianą i dość głęboką fosą; stare wrota ustąpiły swe miejsce dwóm niby wieżyco-strzelnicom, między którémi umieszczono nowe, wyrobione ażurowo w najdziwaczniejsze arabeski. Wysypana żółtym piaskiem droga prowadzi naokoło pysznego angielskiego klombu przed wysmukłe kolumny paradnego pałacowego ganku. Zaś za pałacem ciągnie się pyszny, obszerny ogród, pełen najrozmaitszych klombów, gazonów, gaików, ciemnych szpalerów, rozkosznych altanek, przeróżnych dzikich drzew, dróg, dróżynek i mostków. Pośrodku, otoczona dokoła statuami i ławkami do siedzenia, tryska zwierciadlanym blaskiem sadzawka. Pałac ten, równie jak i wszystko doń przylegające, odznacza się wprawdzie przepychem i bogactwem, ale razem budzi pewną odrazę swoim trywialnym smakiem. Wnętrze jego przedstawia tenże obraz: bogate obicia, rozkoszne firanki, tureckie dywany, drogie meble, niezłe malowidła, mnóstwo salonowych cacek, albumów, waz pełnych kwiatów; wszędzie przepych, złoto, bronzy, marmury, lecz wszędzie również brak czegoś, brak tego, co estetycznie zdobi, upiększa, a nieudolne naśladowanie i przesadę oko badacza dostrzega niemal na każdym kroku.

W znajomych już nam osobach zastajemy także wielkie, lecz zwykłe na świecie zmiany: jedne z nich żyją, inne wymarły, dawne postarzały, przybyły nowe. Stary podkomorzy zmarł przed kilku laty. Tracił on zdrowie w odpowiednim do tracenia majątku przez syna jego żonę stosunku, a sprzedaż przez tych ostatnich, w celu pokrycia wydatków na wyrobienie Markowi Łyczko hrabiowskiego tytułu, naraz dwóch pięknych wiosek, stała się dlań powodem apopleksyjnego attaku. Podkomorzyna przeszła na tamten świat z bolu po stracie męża. Rodzice Blandyny, hrabiostwo Pufowscy, już także nieżyją. Zmarli oni nietak bardzo dawno; szczęśliwi, iż chociaż z pomocą bogactw szlachcica Łyczka

spełnili swe powołanie na ziemi, podtrzymali na swych barkach ciężar znakomitości przodków: jenerała, hetmana, dwóch senatorów i aż trzech hrabiów, wystawném i szumném życiem, bo o wstępowaniu w ślady tych zacnych może przodków tu niebyło mowy.

W chwili, gdy przystępujemy do opowiadania ostatnich wypadków z życia téj rodziny, wejdźmy do pałacowéj jadalni, a zastaniemy towarzystwo, zebrane tam u wielkiego krągłego stołu, przy wieczornéj herbacie. Pachnące bukiety z świeżych oranżeryjnych i ogrodowych kwiatów miłą woń dokoła sieją, a srebrne ażurowéj roboty koszyki, napełnione ciastami i talerzyki z sewrskiej porcelany z wędliną i sérami przyjemnie apetyt smakoszów łechcą. Herbatę z srebrnych wyzłacanych imbryków rozlewa cudnéj piękności jasnowłose dziewcze: jestto ośmnastoletnia córka państwa Markowstwa Łyczków, panna Matylda. Spójrzcie na nią: uśmiech zalotny co chwila przelatuje na pięknéj o mistrzowsko-wykończonych drobnych rysach twarzyczce, przez co karminowe usteczka nie jednokrotnie ukazują dwa rzędy drobniutkich perłowych ząbków, a duże niebieskie oczy posyłają melancholijne spójrzenia siedzącemu obok młodzieńcowi, lat dwudziestu kilku, dosyć przystojnemu, z pełnym ognia i życia wzrokiem, z czarnémi jak heban wąsikami. Jestto sąsiad hrabiostwa Łyczków, mieszkający o mil pięć od nich na Polesiu, w dobrze zagospodarowanéj i pięknéj wiosce, którą wraz z kilkodziesięcią tysiącami w banku odziedziczył wkrótce po ukończeniu uniwersytetu. Rodzice mu odumarli, a strata ich była dlań tak wielką, iż teraz często on w ponurym bolu ulega ciężkiéj zadumie, tęsknocie. Światły i rozwinięty umysłowie, uczuciowy ten młody człowiek przed kilku miesiącami poznał w towarzystwie dziewicę, którą często widywał w *zachwycającéj pozie* modlącą się w kościele. Dziewicą tą była Matylda. Przedstawiony rodzicom jéj, wkrótce wprowadzonym został w dóm hrabiostwa przez blizkiego swego sąsiada i przyjaciela, Wilibarda Hulskiego. A cudna Matylda, usiadłszy wówczas do fortepianu i zwracając cudny wzrok swój na młodzieńca, jeszcze cudniejszym zaśpiewała głosem:

»Tutte le feste al tempio mentre proga Iddio
Bello e fatale un giovane offriasi al guardo mio«...*)

*) »Co święta w kościele, gdy się modliłam, ładny i niebezpieczny młodzieniec stawał przed mémi oczami.

Śpiew był tęskny, do serca przemawiający. Wieczór—szary, czarowny. Minuta—pełna słodyczy, zaprawionéj jadem. Zbigniew Młodziecki, upojony niewysłowionym urokiem, z całym szałem młodego wieku oddał się nowemu uczuciu miłości dla dziewicy. Matylda stała się dlań jego śnionym długo ideałem. Hrabiostwo, jak się zdawało, chętnie przyjmowali tę miłość Zbigniewa dla ich córki, a Matylda zwykle w obejściu się zpyszna dumna, zwykle przymrużająca *à hon ton* oczy, patrzała na Zbigniewa czystym błękitem; zaś duma jéj i próżność w zalotność i powab dlań się zmieniały, uśmiech rozkoszy nadawały licu.

Obok młodzieńca zajmował miejsce młody Apolonjusz Łyczko, przyszła nadzieja starych Łyczków; chluba matki. Z własnych przekonań—materyalista, niepojmując nawet dobrze znaczenia samego wyrazu polityko-ekonomista, moda kazała, więc ateista. Sądzi o swéj doskonałości wysoko, zamiłowany w sobie. Był blady, *interesujący*, swawola i zuchowstwo igrały na jego trochę zwiędłéj twarzy.

Resztę towarzystwa składali: prowincjialny facecyonista, powiatowy erudyt, tuzinkowy poeta, prawnik z professji, poczciwa do gruntu dusza ze zdrowym rozsądkiem i pewną dozą dziwactwa, podeszły w wieku Wilibard Hulski, Herbu Korab', właściciel niewielkiéj wioski, graniczącéj z posiadłościami Młodzickiego, dawny znajomy i przyjaciel jego rodziców i rodziców hrabi Marka; nareszcie sami gospodarze, t. j.: Marek Łyczko, ale już nie ten żywy, jak dawniéj, byłto Marek siedzący pod pantoflem Blandyny, Marek nie szlachcic, lecz hrabia, Marek nie młodzik, zawracający pannom głowy, lecz siwoszpakowaty człowieczyna. Zato tłusta Blandyna, wybielona i wyróżowana, wyprostowaua i wystrojona, trzymała się jeszcze dość dobrze: była przystojna, wyniosła, dumna, w obejściu się etykietalnie grzeczna, lub z góry patrząca; a takie nad biednym, zahukanym przez nią, bez charakteru Markiem odniosła zwycięztwo, że, co ona mówiła, on powtarzał, co kazała, czynił, chociażby to miało być wbrew jego osobistemu przekonaniu, którego, zresztą być może, wcale niemiał.

— Tak, tak, mości dobrodzieju, ciągnął daléj Marek zaczętą niedawno rozmowę o wychowaniu, tak, tak, kochany Wilibardzie, powiadam ci, że te wszystkie miejskie nauczyciele myślą tylko o pieniądzach, a nie

o nauce. Tak mówi i żona moja. Zaznałem ja ich dobrze, mości dobrodzieju, zaznałem, gdy mnie ojciec nieboszczyk odwiózł był do szkół. Wyobraź sobie, niebyło dnia, w którymby mi niedali poczuć nauczycielskiéj operacji.

— Che, che, che! rozśmiał się Wilibard, to mi były czasy, że choć bolało wtedy, a teraz jeszcze słodko wspomnieć! Bywało, mospanie, księża professorowie, a byłem w szkołach ojców Bazyljanów notabene, otoż szanowne patry bywało, gdy wsypią.... a po pietnaście razy na dzień tak mię grzali, że i boćkowska ś. p. ojca dobrodzieja dyscyplina nietak doskurzyła, jak owa kasza bazyljańska! Ale to wszystko dobre, mospanie, jak Matkę Najświętszą kocham, dobre dla młodzieży, bo i krwi, mospanie, cyrkulację nadaje i ciało mityguje, a więc rozumu napędza i ducha wznosi.

— O, widzisz duszko Wilibardzie, jużto i żona moja i ja tak mówimy, że to do niczego, mości dobrodzieju, nie doprowadzi. Któż, jak mówi moja żona, z kochających rodziców odda swe dziecko na katowanie i znęcanie się? Nie ten duch, nie te czasy, mości dobrodzieju, mówi moja żona!

— At prawisz hrabio: »rózga napędza rozumu do głowy,« mospanie mówili nasi ojcowie. Ot, naprzykład, ze mną zdarzenie. Ciotka, a trza ci wiedzieć, notabene, że będąc żakiem kwaterowałem, mospanie, u ciotki mojéj ś. p. Hermenegildy Birbiełło. Owoż ś. p. ciotka moja dała mi raz w niedzielę po nabożeństwie kluski z sérem w jakiémś makutrzysku. Zajadam, mospanie, aż zą uszami... tu się zaciął, a panie ironicznie się uśmiéchnęły, — nu, zajadam z apetytem, ciągnął daléj poprawiwszy się, bo djable jeść mi się chciało. Wtém wchodzi ksiądz gramatyk, któren bywał u mojéj ś. p. ciotki, Hermenegildy Birbiełło, zrywam się, mospanie, na równe nogi, a on do mnie basem: »Makutrę klusek zżarł, a grammatyki ani du-du!« A niepojmowałem, mospanie, w rzeczy saméj, téj grammatyki. Biorę tedy książkę do ręki, repetuję, klepię... Aż na drugi dzień wyzywa mnie ksiądz gramatyk na środek, przed katederkę. Wychodzę. «A co to jest imie przymiotne?« zaryczał basem. »Imie przymiotne, odpowiadam, jest to... imie przymiotne...« i milczę. »Ot truteń, makutrę klusek zżarł, a gramatyki ani du-du! A ty ośle ucho, łbie barani! Dajcież-no jemu,

niech kluski kaszą zakąsił« Dali. »A teraz, szyszko borowa, przyjdziesz-no do mnie po obiedzie, to wety tobie sprawię!« Oj i wetów najadłem się z za szafki, że aż w oczach pociemniało, lecz odtąd gramatyka, mospanie, sama lazła do mozgowni; a chociem od żaków przezwisko *makutry* dostał, ale racya fizyka i bazyljańska kasza! Źle, źle robią, że teraz malców niekropią, bo urwisy z nich wyjdą wierutne! Ale do kroćset, hrabio, cóż myślisz z synem swoim robić? Wszak marszałkować już teraz, mospanie, niemoże.... rad zaś moich nie słuchaliście...

— Et, widzisz Wilibardzie, ja zawsze z żoną byłem przeciwny onemu biciu mojego syna w szkołach; otoż dlategośmy nigdzie nieoddawali Apolcia, sądząc, iż nauka przy guwernerach, jak mówiła moja żona, pod naszém baczném okiem, jest lepszą, i rzeczywiście, mości dobrodzieju, jak sam wiész, trzymaliśmy francuzkę, włoszkę i pana Krzyczałkiewicza, a chłopiec posiada teraz dobrze francuzki i włoski języki, gra na fortepianie, zna *expedite* historyczne wypadki na pamięć, stołeczne miasta, czegoż mu więcéj jeszcze potrzeba mości dobrodzieju? W salonach się zań niezażenujemy. Zresztą w tych szkołach, jak twierdzi moja żona, sama niemoralność może go tylko spotkać w towarzystwie bez klassyfikacji; uczyć także nieumieją. Jakieś trojkąty, kwadraty, koła, jemu to na co, mości dobrodzieju? cóż to, jak mówi moja żona, syn nasz ziemię będzie mierzył? Głupcy, na osłów tylko ludzi przerabiać zdolni!...

— Che, che, che! rozśmiał się znowu Hulski, to i mnie chyba z tobą szanowny hrabio, przerobili na te długouche zwierzęta, mospanie?

— Ale bo to, mości dobrodzieju, widzisz... tłumaczył się zafrasowany hrabia.

— No no, niegniewaj się, mospanie, przekonam się zresztą, może nieprawdęm powiedział, —i przeciągnął rękę do ucha hrabiego.

Hrabia zerwał się, wybuchnął gniewem:

— Dureń, szlachetka!...

— Aleś siarniczek z ciebie, mospanie! no, no, zawołał niezadowolony Wilibard.

— Vous êtes impertinent, mon cher; monsieur Houlsky n'est qu'un hôte ici, zauważyła hrabina ze zjadliwym uśmiechem.

— Ce n'est rien, ce n'est rien, ma chère. Il est mon ami, il ne se fachera pas contre moi... odparł, mieszając się, Marek.

— Ale o cóż to Panom poszło? zapytała ciekawie Matylda, zajęta rozmową ze Zbigniewem. Papa, qu'est ce que vous avez contre monsieur l'ami de notre maison?

Blandyna znacząco spójrzała na męża, a ten natychmiast podał rękę Hulskiemu i przeprosił go za wyrzeczone w uniesieniu się wyrazy.

— Niegniewaj się, mości dobrodzieju, wszak jesteś moim przyjacielem... Ale bo to widzisz... tego... jak człowiek wspomni tylko sobie szkoły, to aż krew zakipi w żyłach; tak mi są one pamiętne, tak się dały we znaki...

Uścisnęli się.

O, mądrzem zrobił, dodał po chwili hrabia, dobrzem zrobił, posłuchawszy żony, żem Apolcia do szkół nieoddał!

— Jakto? więc pan zupełnie nigdzie niebyłeś w szkołach? zapytał zdumiony Zbigniew, przerywając sobie mile prowadzoną z Matyldą rozmowę.

Trochę zaczerwieniony Apolonjusz — Nie, odparł z pewną dumą. Ale kształcąc się sam i czytając bardzo wiele dzieł, jak Volter'a, Didrò, Bouckl'a, Kant'a, Vogt'a, Lyell'a, Darwin'a, Hegel'a, Pisarewa i wielu innych, dodał z marsem i miną mędrca, jestem postępowym na tyle, że nieustąpię wielom ze znajomych mi studentów miasta N., gdzie wszakże byłem na pensyi.

— Chociaż posiadasz wiele wiadomości, nienależy samemu siebie chwalić, Apolciu, trzeba być skromnym, przerwała czule hrabina.

— Jażto i ja i moja żona, mości dobrodzieju, zawsześmy byli temu przeciwni, by Apolcia oddać do gimnazyum, bo to wtedy jeszcze bili. Przytém, jak mówi moja żona, zpospolitowanie się w towarzystwie, złożonem z rozmaitych kast i ludzi.

— Ach, panie Młodziecki, przerwała znów sentymentalnie hrabina, ileżto nieprzyjemności miałam z tego powodu, żem zastosować się chciała do zdania szlachty, do ducha czasu. C'est degoutant, c'est affreux! Wyobraź pan sobie, w przeszłym roku umyśliliśmy oddać Apolcia na pensyą.

— Tak, tak, umyśliliśmy z moją umiejącą myśléć żoną oddać Apolcia na pensyą, przerwie patetycznie czuły małżonek Blandyny.

— Vous êtes impoli, mon cher, zauważyła hrabina. — Wiadomo jak Apolcio *jest dobrze, bardzo dobrze*, jak jest rozwinięty, zdo wiele znajomości posiada. Szesnaście lat, które miał wówczas...

— O, mylisz się, duszko, nie szesn..

— Ne m'empechez pas, mon cher, je vous en prie! — Ognisty w Blandyny potwierdził prośbę tak stanowczo, że Marek zamilkł od

Zbigniew drgnął nieznacznie, a hrabina daléj ciągnie swe

— Otoż, imaginez-vous, monsieur Młodzietzky, egzaminują Apol powiadają, że on zaledwie do pierwszéj klassy wstąpić może! imag vous, do pierwszéj klassy! On, co posiada francuzki i włoski język nawet historję, geografję i arytmetykę może nawet lepiéj od o mędrców... Mówię tedy, że syn mój myśli się odrazu przygotawia uniwersytetu i sądzę, że rok czasu będzie dlań na to dostatecz Imaginez-vous, monsieur Młodzietzky, chciwość tych panów... M że najmniéj trzy lata czasu potrzeba, i to, jeśli Apolcio zechc szczerze zająć nauką... Cela s'entend de soi mêmê: ci panowie przez trzy lata brać po 2000 rubli, niż przez rok, vous compre Ale zdecydowałam się, byle tylko Apolcio ukończył uniwersytet. Z wiłam go u pana S. Teraz właśnie, na początku maja, mąż mój je by zabrać Apolcia na wakację, a pan S., powodowany chciw oświadczył, że wątpi, by Apolcio przez trzy lata mógł wstąpić do wersytetu. Pan S. śmie jeszcze obwiniać nas, żeśmy niby późno p śleli o edukacji syna i oczernia Apolcia w zupełném nieinteresow się nauką, że panny mu więcéj goszczą w głowie, jak książka, ż gle rozjeżdża tylko z wizytami... a coż w tém złego on znalazł? cieśmy nie dorobkowicze, nie jakaś zagonowa szlachta, nie mieszcz stosunki wyższe obowiązkiem jest naszym podtrzymywać. Je reg de n'être pas parti moi-même.. Apolcio zaś zapomniał grać na f pianie i znajduje trudność w rozmowie po włosku; a że w tém niewinnym, składa bardzo słuszne powody: kazano mu się zajm jakiemiś algebrami, geometryami, imaginez-vous, monsieur Młodzi imaginez vous!

— Przepraszam hrabinę, odezwie się jakoś niezadowolony témi s Zbigniew, że się ośmielę przytoczyć tu moje zdanie. Dla mężczyzn chowanie publiczne jest rzeczą nader ważną, nieodmiennie potrzeb

konieczną. Samo życie pierwiéj dziecka, późniéj młodzieńca w gronie rówienniczéj młodzieży rozwija umysł, przygotowuje przyszłego obywatela kraju, a ciągłe stosunki z kolegami, ztarcia się z rozmaitymi ich charaktery, owe przyjaźnie, kłótnie i zawody są szkołą i niejako drogoskazem dla przyszłego społeczeńskiego jego życia, w którem się już potrzebuje pewnego doświadczenia; to zaś ostatnie li w życiu publicznėm dziecka, w wychowaniu go w gronie rówienników, gruntowny swój wziąść może początek. Nawet dla kobiety, pani hrabino, któréj przeznaczenie, od saméj matki—natury zakreślone, zupełnie jest różném od przeznaczenia mężczyzny, wyższe ukształcenie umysłowe jest rzeczą niezbędną.

— Coż pan nazywasz ową różnością? spytała hrabina. Chciałabym wiedzićć zdanie pana, bośmy, jak uważam, zaczepili dosyć interesowną, żywo bieżącą kwestję...

— Chętnie w tém wytłumaczę się hrabinie, odparł Zbigniew.

— A więc wstępujemy na tor emancypacji kobiet. Słucham pana.

— Męczyzna i kobieta, te dwie rodzaju ludzkiego połowy, są dwoma przeciwległymi biegunami, z których południowy północnym, równie jak północny południowym nigdy się stać niemoże. Powołanie każdego człowieka co do ziemskiego życia jedno: kraj rodzinny i życie publiczne, strzecha ojczysta i życie prywatne, domowe. Wszystkiemu razem podołać rzecz niemożebna. Męczyzna więc mocniejszy, wytrwalszy, wziął na swe barki obszerne rozległe pierwsze: świat cały—to zakres jego działalności; kobieta, istota słabsza, organizmu wątlejszego, przejęła się nieustępującém w wielkości pierwszemu, a budującém jego podstawę, skromniejszém drugiém: zakres jéj—rodzina. Zwykle męczyzna, zajęty sprawami życia publicznego i prywatnego, znajdować chce osłodę w chwilach domowego wypoczynku przy rodzinném ognisku, a urządzenie właśnie tego ostatniego należy do kobiety. Powołanie jéj jest świętém. Zacna matka wychowuje dzieci swe na przyszłych działaczów, poczciwych synów kraju i członków ludzkiego społeczeństwa; onato w nich zakłada pierwsze fundamenta wiary, nadziei, miłości. Ojcu brak na to czasu. »*Heureuse votre mère!*« powiedziano wielkiemu poecie. Króciéj mówiąc: powołanie kobiéty—świat wewnętrzny, domowy; męczyzny—zewnętrzny, dbający o dobrobyt wewnętrznego. Jedno i drugie jest za-

równo świętém, ważném A jeśli każda ze stron szczytnie je wypełnia, to mężczyzna jest puklerzem i podporą kobiety, a kobieta kwiatem i ozdobą mężczyzny...

— Jakżeto zestarzałe wyobrażenia pan pielęgnujesz! przerwała hrabina.

— Przepraszam, jeszcze nie skończyłem, odpowie Zbigniew. Takowe właśnie maksymy chował świat cywilizowany aż do czasu promiennego blasku nowéj idei, idei, tak zwanéj, emancypacji kobiet. Idea ta, na czole któréj świeci wolność, według mojego pojmowania rzeczy, niepowinna mieć wcale zamiaru obalenia tych starych świętych zasad, celem jéj ma być wyzwolenie kobiety z pod przemocy despotycznéj mężczyzny, wskazanie jéj własnego *ja*, a przez to podniesienie o wiele jéj społecznego znaczenia. Równość kobiety z mężczyzną jest rzeczą dawno w teorji przyznaną; emancypacja, niedotykając się rujnująco jéj przez samego Stwórcę wyznaczonego na ziemi powołania, chce czcze dotąd słowo w czyn przemienić, teorję zastosować do praktyki. Onato mówi kobiecie: Oświecaj swój umysł, kształć się, a wewnętrzny twój rozwój nieustąpi w niczém przed rozwojem mężczyzny, lecz niezapominaj swych obowiązków. I rzeczywiście, czyż przez to nieodnosimy duchowéj korzyści? Duch kobiety równy, a w połączeniu z sercem wyższy od ducha mężczyzny. Światła kobiéta, mając od przyrody więcéj rozwiniętą stronę sercową, wlać może więcéj w świat zmaterjalizowany i egoistyczny miłości. Wieleżto zacnych poetek, autorek i uczonych kobiet mamy teraz u siebie?! Hołd i cześć im za to! Daléj, taż sama emancypacja otwierając drogę światła kobiecie, mówi jeszcze: Byłaś, pomimo głoszonéj równości, istotą upośledzoną, cały zakres twych młodocianych marzeń ograniczał się li myślą »*wyjść za mąż*«... Dla czegoż? Bo gdy się jedyne to marzenie nieurzeczywistniało, ty, jeśli niemasz majątku, ginęłaś, świat się przed tobą zamykał, a dla nędznego kawałka chleba jeszcze nędzniejszą stawałaś się wyrobnicą... Stronnicze pojęcie, że tylko oddychać powinnaś prywatném, domowém życiem, było tego przyczyną. Ja, *rozszerzając* granice twego dotychczasowego w społeczeństwie znaczenia, otwiéram ci wrota, przez które przejść możesz za pomocą li umysłowego rozwoju. Za niémi się ujrzysz, jako jednostka równa pomiędzy równémi. Każdy urząd krajowy, wszystkie czynniki społeczne stają się dla ciebie dostępnymi i, prowadząc do wyższych

celów, dając przytém szlachetny, sprawiedliwie wynagradzający trud, własny środek utrzymania się, oswobodzają cię od wszelkiéj dawnéj zależności i od konieczności stawać się ową upośledzoną wyrobnicą; wracają ci własną wolę. Tu dopiero stajesz się niepodległą. Nieniszczę mémi słowy twych dotychczasowych obowiązków, przeciwnie, powtarzam, *że one są dla cię przedewszystkiém*, gdyż Stwórca ci je sam wyznaczył, lecz rozszerzyć zakres świętości twojego powołania—moja idea. Przykład: Mąż, co przez swą pracę utrzymywał całą rodzinę, umiera, zostawiając wdowę i dzieci sieroty bez sposobu do życia. Rozpacz ssie serce nieszczęsnéj matki. Ja spieszę do niéj z pociechą; ja ją prowadzę przez owe zamknięte wprzód wrota, daję jéj urząd, pracę, środki do utrzymania saméj siebie i swych dzieci siérot...

— A kiedy mamuncia, mospanie, cały dzień telegrafuje, lub w kancelarji szrajbuje, to dziatłachy hajda! koty drą z sobą i dom do góry nogami wywracają... Notabene, matka ich niéma czasu wychować, więc łotry i urwisy z nich wyjdą wierutne, mospanie!.. zauważył sobie pod nosem Hulski wzruszając ramionami.

— Tak, wszystko to dobrze, jak wety po obiedzie, przerwie znów hrabina, ale sam obiad, jak uważam, pan usuwasz, t. j. zanadto ograniczasz działalność emancypacji, wyznaczając różne obowiązki mężczyznie i kobiecie, trzymając się zestarzałéj litery... Ja tę rzecz pojmuję inaczéj. Niéma tam żadnéj wytkniętéj drogi ani dla mężczyzny, ani dla kobiety, co może i powinien mężczyzna, to może i powinna kobieta. Ona równie, jak on, może być samowładczynią, panią! Zdanie to w całości podzielam...

— O, temu bez kwestji wierzę, mospanie, mruknął zcicha Hulski, choćby na koń i na wojnę w spodnicy!

— Niewłaściwe, przepraszam mocno, że się tak wyrażę, ma hrabina pojęcie o emancypacji, odparł z wybitném niezadowolnieniem na twarzy Zbigniew. Wolność wolnością, prawo prawém. Gdyby kobieta zechciała wejść w prawa mężczyzny, naówczasby się odegrała w całéj swéj naturalności »*Sprawa w Osieku*« poczciwego Fredra: *Gwałtu co się dzieje!* Świat służyłby, za teatralną scenę, a ludzie byliby aktorami.

— Zwykłam postępować według mojego zdania o emancypacji kobiet.. a przecież »*Sprawy w Osieku*« pan w moim domu niewidzisz... zauważyła z przekąsem hrabina.

— At, mościa hrabino dobrodziéjko, przerwie Hulski kiwając głową, kto to wié, kto to wié, mospanie, co widzimy, a co jeszcze zobaczyć możemy?... Dziwię się tylko tobie, kochany mój Zbiniu, że się tak wyrażasz, bo ta, mospanie, emancypacja, jak kocham Matkę Najświętszą Ostrobramską, już mi, mospanie, całkiem głowę przeklektała: gdzie, u djaska, nie powrócisz—emancypacja, do kogo nie przemów—emancypacja, a niech ją jasny piorun trzaśnie!.. Raz naprzykład, mospanie, w czasie kontraktów, idę przez główną ulicę miasta i spotykam, co za djabeł, ni to baba, ni to dandys, lew miejski; włosy podstrzyżone, jak grzywa u mego wierzchowca, papiéros w zębach, ruchy męzkie, rubaszne, a na karku wisi, notabene, spodnica... Kto to taki? Emancypantka, powiadają mi... Wtém, jak opętane, lecą na koniach, śród całego roju młodzieży, trzy baby! zdziwiony, kto to taki? pytam. — Emancypantki... W cukierniach zastaję po kilka naraz takich emancypantek, zajadających, pijących, rozprawiających głośno, śmiejących się na całe gardło, niezachowujących wcale prawideł przyzwoitości w gronie mężczyzn, którymi były otoczone... Zachodzę, mospanie, do biblioteki, do magazynu,—wychodzą do mnie jéj moście z podczubionymi, obciętymi, lub rozczochranymi, jak istne koczkodany, włosami, z cygarem w ręku koniecznie, a drwiącą miną na twarzy, wyszczérzają mospanie zęby, zawiązują rozmowę... Ehe! kobieta u nich niema żadnych już świętych obowiązków, bo nic świętego, ani nawet Boga, niéma na świecie; równą jest ona mężczyznie, i, jak ten, może się prowadzić, jak się jéj podoba. *Horrendum*, mospanie, *finis mundi*, herezje, powiadam państwu! Kto to taki? pytam kolegi. Emancypantki, nihilistki... odpowié. A niechże was djabeł porwie, moje panie! Do kroćset sta tysięcy taka emancypacja!...

— A więc źle panu powiedziano, zauważył Zbigniew, nie emancypantki to, lecz kobiety, które mając pociąg do złego, emancypację—wolność przekręcili, wyszykanowali przez niewłaściwe jéj pojęcie; dla rozpusty bowiem, zepsucia, uciekając się pod płaszczyk emancypacji, krzyczą: »Wszystko teraz wolno kobiecie .. niéma złego!«... a czyż znajdziesz pan choć jeden zakon boży, lub ludzki, dozwalający złe czynności?... Matka Grakchów, Weturja i Wolumnja—matrony rzymskie, Jadwiga i Chrzanowska—matrony polskie: oto wygórowane ideały czystéj emancypacji!...

Czy mię pan teraz pojmujesz?... Jakiegoż pani jesteś zdania o tém wszystkiém? dodał ciszéj, zwracając się szybko i niespokojnie do Matyldy.

— Zachwycona jestem słuchając pana, odrzekła półgłosem, topiąc cudny blask błękitu swych oczu w promieniejącém szczęściem licu Zbigniewa. Spójrzeniu jéj, pełnemu miłości, odpowiedziało podobnież ogniste młodzieńca i oba zlały się w jedno długie, czarowne, niepojęte pasmo duchowéj rozkoszy... Chwila milczenia, szału, uroku.

— Zagadaliśmy się, a o herbacie ani myślimy, przerwie hrabina: Matilde, versez du thé pour messieurs...

Spełniając rozkaz matki Matylda była zachwycająco – zalotną: to słodkiém, lub uszczypliwém słówkiem, to sympatyczno-miłym uśmiechem, lub niby zagniewaném spójrzeniem swych wielkich niebieskich oczu oplątywała w dziwną siatkę serce Zbigniewa. I słodko i dziwno przyjemnie było mu w téj chwili cudów...

Reszta towarzystwa zajęta była rozmową o rzeczach obojętnych, błahych, która wnet przyjęła charakter humorystyczny, gdy stary Wilibard zaczął sypać tysiące zaległych w jego głowie facecji, anekdot i dawnych wydarzeń. Śmiano się też wyśmienicie, bo i sama fizys niziego a barczystego sześćdziesięcioletniego polonusa czyniła o sto procentów śmieszniejszémi jego pradziadowskich sięgające czasów opowieści i ruchy. Lecz gdy, jak to zwykle bywa, przedmiot ogólnéj rozmowy został znowu zmienionym i z rzeczy błahych gdy się wywiązały dysputy poważne, tyczące się nowych idei i poglądów ostatnich myślicieli, Wilibard, że był obskurantem zupełnym w staropolskich swych przekonaniach, będąc przytém w dobrym humorze, nie szczędził języka i na razie improwizowanémi własnémi już anekdoty, rzucał szpilki hrabinie i Apolonjuszowi, najzaciętszym zwolennikom wszystkiego nowego, bez względu na dobre, lub złe jego zasady.

— Ekonomja polityczna i materyalizm, mówił Apolonjusz z pewną przesadą, nachwytawszy się od młodzieży w N. powierzchownych wiadomości, to są bardzo praktyczne, bardzo dobre nauki. Fakt—uczą o zbieraniu pieniędzy. Cóż lepszego nad *święte kwantum*?

— Comment trouvez-vous, monsieur Hulsky, to zdanie mego syna? zapytała się ironicznie hrabina.

— Cóż, mościa hrabino dobrodziejko! Rzecz arcynaturalna, odparł zagabnięty. Wieniec poetów nawet nie wykrzyknął: rublu, czczy dymie! bo było by to wielką, mospanie, nieprawdą. Rubel podtrzymuje nasze życie, ale (bo cóż bez ale?) nie my żyjemy dla rubla...

— Górą, górą ekonomiści! Facecję tę zanotuję sobie! zawołał Apolonjusz.

— By później podać ją za własną, mospanie... dobrze. No, to powiemże ci jeszcze, młody hrabio, jedną nader ważną rzecz. Oto, w starym testamencie znajdujemy gdzie nieco figury, mospanie, o złocie... Tak naprzykład: Gdy żydzi na puszczy tańczyli naokoło *złotego cielca*, klapiąc mospanie, patynkami, wypinając kolana, cmokając i bijąc w dłonie, stary siwobrody Mojżesz niósł z góry Synaj tablicę *X-ciu przykazań Boskich*, a ujrzawszy owego złotego cielca, bardzo się rozzłościł, rzucił tablicę i przykazania się rozbiły. Ma to mospanie oznaczać: ludzkość zawsze przed złotym cielcem tańczyć będzie i wszystkie przykazania Boże o niego rozbijać się będą... Cóż, nieprawda?

— A to *z wiesem, tonko* i *wysoko* pan *tyfnął!* zawołał Apolonjusz.

— Fi, Apolciu, jakichś dzikich używasz wyrazów, zauważyła hrabina. Tak się pięknie wykształciłeś w N., że w salonie nawet przyzwoicie znaleść się niemożesz!

— Bo też to N., mospanie, jest stolicą owego nowego języka i jego twórców. A każdy szuka towarzystwa odpowiedniego sobie, zauważył z przekąsem Hulski. Ot, gdybyście mnie państwo zechcieli posłuchać, opowiedziałbym wam gdzie nieco o zamieszkujących N. ludziach, którym i XX-ty wiek, mospanie, jeszcze zajrzy w oczy. Bo to się tam z powodu interesów kilka miesięcy przeżyło. Dla ciekawości więc, lub, jak powiadają rossyanie: »отъ нечего дѣлать«, z nimi się zbliżyło i na rozmaite, mospanie, rzeczy napatrzyło; to się i wie wiele...

— Prosimy, prosimy pana! zawołano dokoła.

Wilibard zaczął.

Lecz zanim tu umieścimy jego opowieść, musimy jeszcze zrobić małą wzmiankę, iż w czasie ogólnej poprzedniej rozmowy, Zbigniew wiódł podobną z Matyldą, tylko zupełnie odmienny od Apolonjuszow-

skiego miał pogląd na materjalizm i ekonomję polityczną. Przedmiot ten był mu dobrze znajomy Wystawiał więc przed ubóstwianą dziewicą jego dobre i złe strony, prawdziwe i fałszywe lub stronne pojęcie jego przez rozmaite jednostki ogółu, a Matylda, zda się, była zachwyconą témi dowodzeniami młodego człowieka, wzrokiem mówiła, że wierzy ukochanemu, że podziela jego szlachetne przekonania.

W czasie następnego opowiadania Wilibarda, Zbigniew mieszał się niekiedy do rozmowy, stając w obronie obwinianych przez starego gadułę, ale Hulski, wypowiedziawszy mu *zdanie* podobne temu, *jakie umieszczamy na końcu naszéj powieści*, ciągnął bez przerwy swoje:

— Ponieważ tego chcecie, moi państwo, mówił, mam zamiar przedstawić wam pewną panoramę, składającą się z bardzo wesołych obrazków młodzieńczego życia w N. Z tego zaś, co w niéj ujrzycie, pozwalam wam wysnuć sobie mospanie, jakąś znów część całości przyszłych lat i pokoleń...

Tło wszystkich obrazków mojéj panoramy jedne. Przedstawia ono bowiem jeden wielki, jak przestwór światów, cel, święty jak duchy nieba, w łonie swém liczący pracowników miljony; jestto zebranie się wielu dla trudu, dla nauki, by przez nią, mospanie, korzyść przynieść i stać się chlubą imienia narodu, do którego należą.

Odkrywam szkiełko. Ukazuję pierwszy obrazek, patrzcie: jak miło, jak wesoło tam! Zajdź mospanie o jakiéj zechcesz porze i do jakiego chcesz otwartego dla hulanek publicznych domu, a wszędzie znajdziesz pełno młodych pracowników nauki, zuchów naszych, w hotelach, cukierniach, gasthausach, przy kartach, biljardzie, grających, pijących, hulaczych, wykrzykujących heretycznie! Nikczemne w cnocie osoby zasługują, według ich przekonań, na cześć i szacunek!... u nich bywają, z niémi toczą ożywione dysputy o progressie, materjalizmie, równości... gotowi są nawet całować brudną rękę podobnéj damy, ściskając się z nią serdecznie, po przyjacielsku... (Dziwna rzecz, mospanie, jak im nie wstyd, jak oni nieczują wyrzutów sumienia, podając późniéj tęż samą dłoń, splamioną cynicznym uściskiem brudu i duchowéj nędzy, wonnemu kwiatkowi, czystéj jak anioł, niewinnéj dzieweczce!... dotrącając się pokalanémi hańbą usty do ręki swéj matki!)... U siebie zaś w domu biją się, piją, grają i szachrują—oto życie, rozkosz, szał! Jeśliż się im dobrze

mospanie, przypatrzył, poznasz piérwszą część jakiego XX-go po narodzeniu Chrystusa Pana wieku... Do téj zacnéj części, u któréj *chot' bidá—to hoc!* należy, mospanie, *major pars* potomków pradziadów bohatérów, sławnych swoimi czyny, ojców zacnych lub gastronomów, sybarytow, utracjuszów, jedném słowem, nicponiów; są sami hańbę nam przynoszący nicponie i, zło zrodziwszy, w większéj swéj części nicponiami zginą... Gdy nadchodzi maj, lub sierpień, *niektórzy* z nich jednak zamykają się, mospanie, w klatce pełnéj niechlujstwa i brudu, bo ile kto miał, wszystko strwonił na rozkoszne hulanki, ba nawet mospanie, i surdut i sprzęt dziadowski poszły na zastaw. Tam paniez, skryty od świata i grona wierzycieli, przez kilka tygodni klepie matematykę, prawo, medycynę, poczém, przecierpiawszy tak okropne życia chwile, tém z większym entuzjazmem rzuca się w dawniejszą, cuchnącą miłą wonią rozpusty, twań i błoto....

Drugą część owego XX-go w. mają składać ludzie innego rodzaju. Spójrzcie, proszę, na ten nowy obrazek: ile tam znajdziecie wysokiego poświęcenia się dla siebie, miłości dla ja, wiary w złoto, nadziei na cudzą kieszeń. To są zacni egoiści. Pracują oni zawzięcie, chwalebnie, ale li nad tém, co chléb i pieniądz w przyszłości dać im tylko powinno, li dla tego, nic nadto, *nec plus ultra!* Takich znaczna jest większość.

Oto trzeci odkrywam przed wami obraz: każda z tych figur, mospanie, które tam postrzegacie, z marsem na czole, ze wzrokiem często z podełba, a nosem w górę, z włosami uciętymi przy saméj skórze, lub długimi rozpuszczonymi *à la diable m'emporte,* często z brodami, jako znakiem powagi, z miną pompatyczną, napuszoną, jest myślicielem, mędrcem, działaczem, uczonym, jest ekonomistą głębokim, materjalistą zacnym, ateistą duchowym, pozytywistą nawet etc. etc. Jeden z nich nauczył się kilkudziesięciu tytułów książek i nazwisk ich autorów, liznął, gdzie mógł, po trosze, mospanie, powierzchownych wiadomości i jest już w swém przekonaniu człowiekiem znamienitym, doskonałym. Rozprawia głośno o wielkich postępach oświaty, rękami macha, że aż straszno, a co chwila zdania swe potwierdza zacytowaniem, mospanie jakiegoś dzieła, autora. Bieda tylko, że często gęsto z prawdą się rozmija, że czasami wychodzi z tego, okropnie, humorystyczny dla znającego się na rzeczach, nonsens, absurd, mospanie... Inny znów, rodem arystokrata niby, udaje demokratę... Sześćdziesiąt razy

na godzinę, mospanie, wyraz równość u niego na ustach gości, zaś w gronie kolegów stara się on tymczasem o wywyższenie siebie nad innych, pewien autorytet, tytuł choćby przez żart, dla zabawy, i rzeczywiście takowe otrzymuje, a znakomite niemieckie: kupię mu wieś i zrobię go marszałkiem...« da się tu z pewnością zastosować... W przyszłości wytnie tan panek, mospanie, w kark pierwszemu lepszemu z biednéj szlachty (coż mówić o chłopie?), któryby się ośmielił tylko przypomnieć mu przez *ty* owe przeszłe *quasi* braterstwo, lub nosem tak przed nim zakręci, że aż czchnąć będzie musiał trzy razy raz po raz!... Tu młodzienie — cpoeta wiersze dziesiątkuje, setkuje i wylicza, wiele ich na godzinę wykuć może... Dość często i myśl piękna z pod jego pióra wyleci, bo chłopiec ma wcale niczego zdolności, mospanie, ale cóż, gdy czyny bywają w drapieżnéj z ową myślą sprzeczce, a postępki dowodzą, że sam twórca często-gęsto niewierzy w swe wyśnione i głoszone ludziom ideały?... Po co np. krzycząc na salony, na panów, samemu z świszczącą pustką w kieszeni, grać rolę pierwszego arystokraty? Po co narzekać na złość ludzką, mospanie, na brak przyjaźni, gdy, dla pewnych widoków, sam dzisiaj może *klęcząc zaprzysiądz* na prochy osób najdroższych, na wszystkie świętości komu-kolwiek swą *przyjaźń*, a jutro... jutro gotów złamać przysięgę, gotów stać się nieprzyjacielem swego dawnego przyjaciela, który mu zaufał, który raz powzięte dlań uczucie przyjaźni może dotychczas chowa w swém sercu?... Tam znajdziesz nareszcie najwyższe idee przy najniższych czynach; ale to nic, mospanie, nic nieznaczy. Ci ludzie, po większéj części ateiści i materjaliści, sądząc o sobie bardzo wysoko, gotowi poświęcić wszystko i wszystkich, ba, nawet honor swój, dla własnéj egotyczności, gotowi zgubić, strącić w przepaść współbrata, rzucając nań bezczelnie przed światem brud i błoto z nikczemnym krzykiem na ustach i w sercu: »niech ginie, niech ginie!...« z zawiści, dla własnego egoizmu... Widywałem mospanie na swoje własne oczy podobne przykłady, a jeśli mi państwo niewierzycie, to dla dowodu będę je mógł opowiedzieć wam kiedyś obszerniéj... Dzięki Najwyższemu, że téj szarańczy wszakże niewiele spostrzegacie na mym obrazku! a poeci, chociaż przez brak czułego opiekuńczego nad nimi oka i popadają się w tę zgraję, wyjść z niéj jednak, posłuszni wyższym uczuciom, z pewnością mogą. O, gdybyście, mospanie, widzieli, jak śmieszni są ci mędrcy, gdy spotkawszy się gdziekolwiek np.

w salonowém towarzystwie, wiodą z sobą spór, dysputę! Czy uwierzycie? Oto zamiast tego, by roztrząsać rzeczy poważne, godne rozmowy, całe godziny kłócić się będą z sobą o jakąś nikczemną bagatelę i jeszcze jéj wątku niedójdą, i jeszcze zdania fundamentalnie ugruntowanego o méj dać nie są w stanie, najczęściéj zas bywa ono fałszywe, nieprawe. Debata za debatami, a w rezultacie, mospanie, figa!...

Od pierwszych trzech grupp, jako to, mospanie: hulaków, egoistów i wielkich mężów, a wszystko *ludzi ciała*, należy wam odróżnić czwartą, *ludzi ducha*, która i stanowi ten oto czwarty obrazek méj ponoramy. Wydziela się ona od nich, jak jasny promień księżyca, odbity w czerni, od nawisłych wierzb i krzaków, wód, gdy czystém swém bladém światłem oświeca czarne murty, kąpiąc w nich swe długie rozwiane warkocze, by nadać blask ciemności. Garstka tylko tych promieni, lecz sympatyczną swą jasność sieją one dokoła. To są prawdziwi ludzie pracy, nauki, wiary, cnoty i serca; u nich *ja* dla świata żyć i światu korzyść przynosić powinno, a nie świat dla *ja;* lecz niestety, między nich wplątał się jeden, drugi człowiek—dwóznacznik, hypokryta! Cóż robić, mospanie, cóż robić?!

Wreszcie na piątym postrzegacie ludzi ni to ni owo, i do stroju i do łoju, jak to powiadają mospanie, ni złych, ni dobrych. Wszystko z nich da się jeszcze ulepić, wyrobić. Takich jest wiele—i za to dzięki Bogu!

Wierzcie mi państwo, iż wszystko, com wam okazał w méj panoramce, jest z natury zdjętą fotografiją. Nie z książek się poznaje ludzi, lecz z obcowania, ze starcia się z nimi. Ja patrzałem na nich długo, a wiecie, że mam dar spostrzegawczy...

Dla tych, których widzieliście na pierwszych trzech obrazkach, pieniądz jest bożyszczem. Dali mu oni, mospanie, nazwisko *kwantum*, a przydomek *święte*, gdyż go kanonizowali uroczyście w swych duszach. Większość z nich z pełną czcią wymawia: *święte kwantum*; ale, mospanie, że głównym ich celem każde piękno i wszystkie świętości popychać w cuchnące smrodem bagnisko, więc i *święte kwantum* u wielu, a szczególnie z pierwszego obrazka, podobnemuż ulega losowi.

Niektórzy także, z przedstawionych wam, są przytém ludźmi nadzwyczajnie przywiązanymi do tego, co nosi nazwę: *krajowe*, *swoje*. Jeśli

chcecie państwo mieć np. choć maleńkie pojęcie o ich pracy nad językiem ojców, tą arką naszą, przytoczę tu wám mospanie, niektóre nowe wyrazy, zachowane w méj pamięci.

Najmędrsza bujna wyobraźnia, mospanie, głęboka, jak dno oceanu, myśl, zamiast by się trudnić nad matematyką, filologją, etc., mospanie, wynalazła wyraz *tyfać* i tém, niezaprzeczenie, ogromną nam korzyść przyniosła. Zwracając się bowiem w owe odległe czasy tworzenia się mowy przy pierwiastkowym zawiązku społeczeństw ludzkich, wyraz ten nietylko może zamienić sobą wszystkie języka naszego, ale i wcielone weń z innych języków słowa. Niema on *pierwiastku*, niema *źródłosłowu*, nie jest więc *pochodnim*, a *pierwotnym*, sam się stworzył: śmiało on może służyć dowodem materjalistóm o tworzeniu się wszystkiego przez materję, samo przez się... A to już niemała, mospanie, bo podwójna zasługa!... Wiele jest podobnych wyrazów! *) Więc tak: *tyfać*, znaczy chodzić, siedzieć, pić, jeść i t. d. „Jak cudne odcienia téj zpyszna brzmiącéj mowy, rozkosz, mospanie! Taki naprzykład spisałem naprędce monolog jednego młodego człowieka. Dobył z bocznéj kieszonki ćwiartkę papiéru i zaczął czytać:

»Ja z wiesem, tonko i wysoko dzisiaj kuł i w rydło szlachcica palnął, to fakt. Ale że teper nimam ani jednego ka (rubel), ani ko (kopiéjka), to także fakt! Wydobywam więc tonkie pyśmo do starego (ojca) i truję go, żeb mnie wyświecił toliko świętego kwantum, za które postawię sobie wysoki frak, wydobędę tonkiego tiutiuntiunu, zbuduję papirosa i tyfię z wiesem obedat' z antykołepnych (znamienitych potraw) błud do gasthauzu, a na wieczor, choćby nawet była matel, tyfię byłet za toliko rubléj i tyfię frako i w kubie (w cylindrze) do fieatieru, a tam otniud już łazać sto lat na galirkę, pod sam patałok, żeb wrzaskiem nizki naród pugać (straszyć); skandały wysokie wykidać, a z tonczajszym wiesem wchodzę na kresło. Potym tyfię ze szlachtą na fatierę (kwaterę), wydobywam miljon ka, stawiam wysokiego pywa i

---

*) Jak uważasz, miły czytelniku, możeby *słownik nowy* wydać? A nuż przez lat kilka, zakłopotany, będziesz rozmawiał w ważnym interesie z młodym adwokatem i nie zrozumiesz go?.. Pamiątaj, że czém skorupka za młodu nasiękła, tém najczęściéj w starości cuchnie...

kujemy w obczeskie (w towarzystwie). Otoż połza będzie z świętego (tu schyla z uszanowaniem głowę) kwantum! Prawda, że tuz (zuch) jestem wysoki?! Fakt! odpowiedziano *).

— Niekończ, niekończ, mości dobrodzieju, bo pęknę ze śmiechu, krzyczał, trzymając się obiema rękami za boki, stary hrabia. A toż galamancja, makaronizm! Cha, cha, cha, oj, umrę, umrę!

— Otóżto, mospanie, czém się ci ludzie trudnią, do jak wysokiego stopnia szarlatańśtwa mogą dójść młokosów głowy! Wszak to świętokradztwo, profanacja świątyni, mospanie!

Towarzystwo śmiało się wyśmienicie.

— Et bien, monsienr Houlsky, a pan powstawałeś na mnie, że nieoddaję tam mojego Apolcia!, zauważyła Blandyna.

— A mościa hrabino dobrodziéjko, wszak widziała hrabina i czwarty obrazek w méj panoramie, a i piąty nawet. Wszak i nasz Zbigniew skończył tam nauki. Pewna część tylko, mospanie, jest tam nicpońiów, zaś hultajów znajdzie się niewięcéj nad kilku, lub kilkunastu; a któż zaprzeczy, że niejeden z nich może się jeszcze utemperować, poprawić? może stać się porządnym, jak przystoi, człowiekiem? Wszakże mospanie, często, bardzo często zdarzają się podobne przykłady. Zresztą, wszystko zależy, moja hrabino. od pierwiastkowego w domu wychowania, od źródła jego: od matki, od *rodziny*. Tu się wyrabia grunt charakteru dziecka!.. Umiéj od najmłodszych lat poprowadzić dobrze swe dziécie, umiéj wpoić mu wiarę i cnoty prawe, umiéj wyrobić w niém gust do piękna i do odpowiedniego swemu wykrstałceniu towarzystwa rówienników, a niepójdzie złą drogą młodzieniec, mospanie!...

Herbata się skończyła. Towarzystwo przeszło do salonu. Tu Matylda usiądła do fortepianu i po szumném preludjum melodyjnie wypłynęła z pod jéj paluszków tęskna nóta z »Halki«: »Gdyby rannem słónkiem«, która wnet się zmieniła na Ofenbachowską arję z »Pięknéj Heleny:« »W lasku idą trzy boginie,« a ta ostatnia ustąpiła swe miejsce śpiewowi Menelausa: »Jam jest małżonek Heleny«

Zbigniew zatopiwszy bystre promienie swych oczu w alabastrowym

*) Oryginalne.

profilu oblicza Matyldy, ze zdziwieniem słuchał tych nadnaturalnych passażów, téj dziwnéj amalgamy tonów, wreszcie przemówił drżąco:

— O, wróć się lepiéj pani znów do tęsknéj »Halki.«

— Jam zawsze wesoła, odpowie śmiejąc się Matylda, lecz jeśli pan tak *gwałtownie* pragnie poetyczny duch swój tęskną napawać nótą, więc *mu zagram i zaśpiewam...* dodała z przyciskiem i jakiémś febrycznêm drzeniem w głosie.

Palce jéj chyżo przeleciały po klawjaturze i—po chwili—salo nsię napełnił smętnymi tony śpiewu, w których się zarysowała cała boleść życia bez nadziei, bez słodyczy po utraconéj miłości; była to pieśń małorusska: »*Wijut' witry, wijut' bujny.*« Zbigniew stał zachwycony. Lecz zaledwie parę strof téj prostéj piosnki przebrzmiało w powietrzu, gdy hrabina przerwała.

— Matilde! vous ne faites toujours que des sottises... Chantez quelque chose de mieux. Nous savons de si belles chansons de Beranger, par exemple:

»Enfants, c'est moi qui suis Lisette.«

Matylda niechętnie wykonała rozkaz matki. Ale zostawmy młodych na stronie, niech tam sobie miłośnie gruchają, jak gołąbki, a sami zwróćmy się do reszty towarzystwa. Właśnie hrabina, półleżąc na pokrytéj popielatą jedwabną materją bogato rzezbionéj kanapie, wykłada kapitalny swój projekt co do przyszłości swego jedynaka. Z niéj się dowiadujemy że ma on wkrótce wyjechać do Symferopola, raz dla poprawienia zdrowia w krymskich górach, dokąd będzie mógł częste odbywać ztamtąd wycieczki; drugą zaś daleko ważniejszą przyczyną tego wyjazdu—urzędowe miejsce, które tam otrzyma przez pewną protekcję, i na którém z pewnością się dosłuży pierwszéj, lub drugiéj rangi, tak nieodbicie potrzebnéj nawet teraz każdemu obywatelowi...

— Moja żona ma zupełną słuszność, mości dobrodzieju, potwierdzał niemal za każdym słowem czuły małżonek.

— Ha, cóż robić, pani hrabino, zadecydował Hulski, jeśli już, mospanie Apolcio, t j: pan Apolonjusz, niéma zamiaru kończyć nauk, to rzeczywiście, daj go katu, a innéj niepozostało rady.

— *Chère Mutterchen* kiedyż nastąpi wreszcie ten wyjazd, którym

już przeszło tydzień łudzicie mnie tylko? zapytał rozparty w fotelu, z cygarem w ustach, z przymrużonémi oczyma jedynak.

— Wkrótce. To rzecz konieczna. Ja podumam, dodała sentymentalnie, na górach Czatyrdahu, tam gdzie wieszcz błagał cudne muzy o natchnienie, i zostawiwszy ciebie w Symferopolu, wrócę do siebie. Właśnie j'ai reçu une lettre de m-r L., który mię zapewnia, że miejsce, plus que sûr, otrzymasz.

— Jakem tuz, j'en suis content liebe Mutterchen! odparł jedynak, zaciągając się i puszczając w oczy matce gęste kłęby wonnego dymu.

— Ah, mon cher fils! skąd te grube maniery u ciebie, tę dzikie wysłowienia się? Tyle razy ganiłam ci już owe jakieś *tuzowstwo*, które i pan Hulski wyśmiewał w swém opowiadaniu! co to ma oznaczać, powiedz mi! Regarder-le, monsieur Houlsky, oto są skutki miejskiego wychowania. C'est affreux, je vous dis!

— Jak co do czego przystaje, mościa hrabino, odparł zagadnięty. Gdybyście mię byli słuchali, lepiéjbyście wyszli, mospanie!

Blandyna wzruszyła ramionami.

— Tak, tak, popraw się Apolonjuszu, moja żona, a matka twoja dobrze tobie radzi, zauważył ojciec z patetyczną powagą.

— Aj, papa, nudzicie mię! Tuz—to dzielny szlachcic! Bić, pić, hulać, mieć kwantum—to raj, tońszy nad ten, co w teatrze:

»Въ законъ, въ законъ себѣ онъ поставилъ
Всю жизнь свою пировать и пить!

zawyrokował Apolonjusz i, nadając swym ruchom jakąś hulaszczą rubaszność, wstał i wyszedł z salonu nócąc:

»Trum, tum; trum-tyd-rum-tum,
Trum-tyd-rum-tum,—
Я царь, нѣть я мужъ у царицы,
Мужъ у царицы!«...

— Co, albom nie tuz? wykrzyknął wreszcie, wyprostowując się przed lustrem w swoim pokoju. Tonki i wysoki tuz! dokończył i rzucił się na łóżko w zapale uniesienia się nad swą powierzchownością i zuchowstwem.

— Brave garçon! zauważyła z czułością i niejaką macierzyńską dumą hrabina, przeprowadzając błędnym wzrokiem wychodzącego jedynaka.

Lubię, gdy młodzieniec jest wolny, swobodny, a nawet gdy jest coś nakształt »Le garçon sans souci«. Paul de Kok'a... Apolcio—istny Paryżanin! Żałuję, żem go niewychowała w Paryżu....

Wilibard kiwał głową... szeptał pod nosem. — Głupia mowa jak *groch o ścianę*, mospanie!...

Hrabina niesłyszała tych słów, dawała bowiem w téj chwili mężowi jakieś umówione znaki, które dostrzegłszy:

— Kochany Wilibardzie, odezwał się zakłopotany Marek, mam ci kilka słów do powiedzenia, *czy możesz mi służyć* do mojego gabinetu?...

— A dla czegożby nie?—Masz interes, więc chodźmy, mospanie!.

Po wyjściu hrabiego z Hulskim, Blandyna, postarawszy się wprzód wydalić z salonu pod jakimś pretextem córkę swą, zostaje sama ze Zbigniewem, zawiązuje z nim rozmowę i zręcznie ją zwraca na temat swojego wyjazdu do Krymu. Wyjazd ten jest tém konieczniejszy, mówi ona, że doktorowie zalecili go choréj na piersi Matyldzie.

— Et, imaginez-vos, monsieur Młodzietzky, kontynuwała daléj sentymentalnie, biédna Matyldzia, któréj wątłe i słabe siły nieodmiennie wymagają téj podróży i ogromnych na kuracyę wydatków, bo może się przyjdzie i do wód Karlsbadzkich wyjechać, zmuszoną będzie pozostać w domu, a przez to zaniechać starania o wątłém swém zdrowiu.

— Czy wolno mi wiedzieć powody?—zapytał nieśmiało Zbigniew.

W odpowiedzi Blandyna przedstawiła mu ogrom rozchodów na rozmaite naglące interesowe i gospodarcze wydatki, które na tyle wyczerpały gotówkę, iż postanowiwszy nie zaczepiać posagowéj summy Matyldy, dla braku pieniędzy zmuszonę będą pozostać na wsi, przez co zdrowie ukochanéj córki niezawodnie wiele ucierpiéć może. Co się zaś tycze pożyczki, więc chociaż w jesieni spodziewa się ogromnych z swych majątków dochodów, jednak niechce w teraźniejszym czasie związywać się z żydami, u których zresztą i tak już ma niewielkie dłużki, a szlachta obywatelstwo zupełnie gołe....

Przyjemnym skutkiem téj rozmowy nastąpiła dla hrabiny pożyczka dziesięciu tysięcy rubli od Młodzickiego, który sam zaproponował ją grzecznie na czas nieograniczony. Rozczulona tym postępkiem hrabina stokrotne dzięki składała młodemu człowiekowi, a on, z wyrazem jakiéjś uśmié-

chającéj się na licu nadziei, podaną sobie rękę serdecznie ucałował. Wkrótce wrócili inni do salonu. Rozmowa ogólna niekleiła się, gdyż każda z osób była żajęta jakąś wewnętrzną myślą, każdéj ciężyło coś na sercu.

Zbigniew usiadł do fortepjanu a wygrawszy z czuciem drugą Rapsodję Węgierską« Liszta i cudną »warjację z Gwiazdki« Lenocha (Kosowskiego), pięknym męzkim głosem zaśpiewał to dawne:

»Z krainy sławnéj przez Maurów pogromy.«

poczém, rozmarzony, wstał i spójrzał wymownie w oczy siedzącéj opodal pod gęstymi sploty powoju Matyldy, a gdy wzamian otrzymał cud rozkoszy—uśmiech, gwiazda nadziei błysła na jego czole, zbliżył się do niéj, ujął jéj białą delikatną rączkę w swe dłonie i—reszta wieczoru była dlań ziemskim rajem... Czy hrabianka byłaby szczęśliwą, powierzając swą przyszłość w ręce Zbigniewa, gdy bliżéj go poznamy, łatwa będzie odpowiedź.

Po kolacji pożegnawszy towarzystwo, Hulski i Młodziecki udali się do wyznaczonego im pokoju w lewém pałacowém skrzydle.

Zbigniew z całym młodzieńczym poetycznym szałem kochał Matyldę. Noc, którą bezsennie po raz trzeci spędzał w domię rodziców kochanki, była dlań pełną jakiejś dziwnéj trwogi, nieopisanego uroku. I dla czegożby on niemógł mieć nadziei, uplecionéj z złocistych tkanek bujnéj wyobraźni? Był młodym, ukształconym, z duszą wzniosłą, w któréj świeciła idea piękna i błogiéj rzeczywistości. Wszystko przemawiało za nim, oprócz chyba równości majątków, braku tytułu... Ale czyż ta mała na pozór materjalna różnica może mu stanąć na przeszkodzie w teraźniejszym czasie oświaty, czasie nowego zapatrywania się na człowieka, nowych poglądów? Wszakże powinna wierzyć hrabina, emancypantka, że szczęście prawdziwe nie uzasadowia się głównie na czczym tytule, na nędzném złocie, bogactwie; a więc łatwo może przewidzieć ona, iż, powierzając mu los swéj córki, uczyni ją prawdziwie szczęśliwą... Takie myśli dyktowało młodemu zapaleńcowi jego niedoświadczenie, niepraktyczna znajomość świata i ludzi... Tu przypomniał sobie pewnego barona, który bywał dość często u hrabiostwa;—groźny mars zbliżył mu brwi, usta konwulsyjnie mu się zacięły. Dumał. Przypominał postępowanie z mniemanym swym rywalem hrabiny i Matyldy,

poczém z pogardą myśl czarną odrzucił i długo, długo niespokojnymi kroki chodził wzdłuż po obszernéj komnacie pałacu, a echo tych kroków rozlegało się ponuro dokoła. Duma za dumą płynęły w młodocianéj głowie, a drżący nerwowie owal pięknéj, pogodnéj twarzy wyrażał naprzemian to trwogę i rezygnację, to nadzieję i szczęście. Hulski, oparłszy się łokciem o stół i głowę podtrzymując rękoma, siedział niemniéj zamyślony i tylko niekiedy spogląda zukosa z ojcowskiém przywiązaniem na młodego szaleńca.

Zbigniew w pełnych uczucia wyrazach rysuje przed nim swą miłość. Wysłuchuje go spokojnie stary Wilibard i woła:

— Tak, tak, mospanie: godzieneś szczęścia i będziesz szczęśliwy! Ale... ale... tu zamilkł.

O téjże saméj godzinie w obitym błękitnym adamaszkiem i wysłanym drogiemi kobiercami z bogata-pysznie przystrojonym buduarze hrabiay szanowne małżeństwo Łyczków następującą prowadzi rozmowę;

— Jakżeś się mi sprawił, pyta się wpółleżąca na kozetce Blandyna.

— Jak najkorzystniéj, jak najkorzystniéj, moja kochana żono! Wygraliśmy na czasie... odpowiada stojący Marek.

— Cóż więc, gadaj!

— Oto, gdybyśmy się o tydzień, broń Boże, mości dobrodzieju, spóźnili, byłoby już po wszystkiém, po wszystkiém, moja piękna żono!...

— Wiesz przecie, że nielubię żadnych zagadek; nudzisz mnie. Mów krótko, a węzłowato: masz pieniądze?

— Poczciwy Hulski winien Abramkowi ośm tysięcy rubli, moja cudna żono, termin wypłaty nastąpi przez rok dopiéro, a on już przygotował był, moja ty najśliczniejsza żono, mości dobrodzieju, te pieniądze, by uniknąć przykrych interesów z żydem...

— Nieznośny jesteś gaduła, krzyknęła Blandyna; złościsz mię nareszcie! Ja ciebie pytam się jasno: masz pieniądze?!

— Mam, mam, mam, mam! wołał coraz głośniéj i prędzéj Marek, nie irytuj się, nie irytuj moja ty czarodziéjko, aniele mój, mam, mam pieniądze! Na mądrze obmyślane usilne me prośby i zaklęcia na tylo-

letnią przyjaźń naszą, pożycza on mi... pożycza... te... ośm tysięcy rubli, wierz mi, ośm tylko... z warunkiem, abym przez rok koniecznie mu zwrócił tę summę i zapłacił w tym tygodniu roczny od niéj piętnasty procent Abramkowi, który zarazże sobie i odliczył, niebianko moja!

— Jakto? za co roczny procent Abramkowi, za co? zerwała się z kozetki.

— Taki warunek postawił, moja najdroższa, taki warunek...

— I ty, głupcze, zgodziłeś się?

— A cóż robić miałem?

— Impoli! do niczego, mówię, zawsze do niczego! Qu'as tu fait? Czyż niewiesz, capie, jak nam gwałtownie teraz potrzeba pieniędzy?! Myślisz jeszcze jakieś tam procenta płacić? Niegodziwy ojcze swoich dzieci, czyż niemógłeś pójść do swéj mozgowni po rozum, a lepiéj wydać temu sknerze, lichwiarzowi, temu przyjacielowi twemu, co jak żyd zdziera procenta, rewers na dziewięć zamiast ośmiu, byle bez procentów, tysięcy? Do niczego, wiecznie do niczego! Boże, co ja będę robiła z tym głupim osłem, cielęciem, baranem, capem moim mężem! Ah, sacré nom de Dieu! Patrz, patrz, bydle, patrz kłapouchy, ja biorę od Młodzieckiego dziesięć tysięcy bez procentów, bez niczego! Słyszysz?!

— Dziesięć tysięcy! a-ja-ja-ja-ja-ja-ja-jaj! O mojaż ty rozumna żono! Dziesięć tysięcy, powiédzcie państwo! Duszko, niegniewaj się, mości dobrodzieju... Masz już ośmnaście tysięcy! słyszysz aniołku, ośmnaście tysięcy! Będzie może z ciebie, najdroższa moja? zapytał nieśmiało z dość głupowatą miną Marek

— Cóż to, żałujesz mi?! krzyknęła Blandyna. Czyż ja dla tego wyszłam za mąż za jakiegoś szlachetkę, za jakieś Łyczko i zrobiłam cię hrabią, żebyś mi skąpił? Ja, hrabianka Pufowska! Czytaj Paprockiego, niegodziwcze, to taka wdzięczność? Słyszysz, słyszysz ty dorobkowiczu? Trzydzieści tysięcy muszę miéć koniecznie i to zaraz! Słyszysz, mężu kochany, drogi, luby, tu okryła Marka czułémi pieszczoty,—trzydzieści tysięcy koniecznie! Od tych pieniędzy zawisła cała przyszłość Matyldki i nasza. A później w złocie kąpać się będziemy... Pomyśl tylko: podróż za granicę, do Krymu, wyprawa, jeden, drugi bal... trzeba się wykazać w pełném świetle... Czyś zapomniał o baronie Alfonsie?.. Zresztą ja tak chcę, ja tak każę i tak być musi... bo... bo ci te resztki włosów powyrywam, bo ci oczy wydłubię!... dodała w złości...

— Ach, ten niemiec fon... fon Spitz! To gratka, moja piękna żono, gruba gratka... Żydzi niechcą kredytować duszko, ale wszystko, zystko będziesz miała! Tu, korzystając z pozwolenia swéj groźnéj, iskawionéj bogini, objął ją czule i z namiętnością do serca przyił...

— Pamiętaj, pogroziła mu palcem...

Na drugi dzień rano, pożegnawszy po synowsku prawie rodzinę hraw, Zbigniew z ciężkiém westchnieniem opuścił Zatarcia, a w parę dni tém przez zaufanego swego arendarza Moszka, z powodu że sam był horował, przysłał hrabinie przyobiecane pieniądze i odebrał rewers nie. Hulski wyjechał był także razem ze Zbigniewem. Był to człok uczciwy, prawy, dowierzający; oprócz dawnéj, o czém wspomiśmy już, przyjaźni dla rodziców hrabiego, podkomorstwa Łyczków, kie stosunki z tak arystokratycznym, chociaż może i nie *de pur sang* nem, pochlebiały mu...

Zdarzyło się właśnie, iż wkrótce po opowiedzianych przez nas padkach, zawitał był nadspodzianie do hrabiego Marka, także wielki yjaciel jego ojca, kapitan Jan Misławski, dawny żołnierz, (gdyż skay za polityczne przestępstwo, przeszło kilkanaście lat bił się na ukazie z górnémi plemiony), a teraźniejszy właściciel połowy niekiéj wioski Hołubki na Polesiu i niemłodéj już żony. Po bardzo zejmych powitaniach ze strony hrabiego i zimno-grzecznych ukłoh hrabiny, nasz wojak odrazu wyłożył powody, które go w tak dalie zawiodły strony.

— Po wojskowemu—widzisz—po żołniersku, mój kochany, miły rciu! bo to, nie gniewajże się, że ciebie tak nazywam—widzisz, głbym być prawie twoim *bat'kiem*, a z nieboszczykiem starym to brat z bratem, a ryba z wodą—widzisz—byli. Otoż krótko, a łkowato, jakbym kulę ci w łeb wpakował, powiém, po co ja wziął, tu jechał. Naradziwszy się—widzisz—z moją żónką Anusią, my postanili u ciebie, jako u syna—widzisz—mego przyjaciela, świeć duszy jego ie! ulokować niewielki, uciułany siako-tako kapitalik—widzisz—na esiąty procent, gdy możesz. Zgódź się, kochanie, nie odmawiaj, miły rciu! Niewiele tam téj nędzoty jest—widzisz—sześć tysięcy wszyego, ale to nasz i mojego syna. A dzielny, jak Boga kocham, malec!

siedem lat—widzisz—a na koniu siedzi, jak przykuty, bestja! Otożto nasz cały majątek ja przywiózł do ciebie, przyjm!

Czytelnik zapewnè się dorozumiéwa, co potém musiało nastąpić. Dekorację zmieniono natychmiast. Kapitan Misławski znalazł się jakby w najbliższym rodzinnym, a prawdziwie przyjacielskim dla siebie domie. Poczciwe jego serce radowało się z tego tak dalece, iż gdy Marek, przy zawarciu umowy, zaczął utyskiwać na trudne czasy, dał mu w nos szczutka, za co tenże niemało się obraził, ale zmilczał i z wyznaczonych dziesięciu jeszcze dwa procenta odtrącił.

Do summy zapotrzebowanéj przez hrabinę brakowało jeszcze sześciu tysięcy, lecz i te się wkrótce znalazły. Zawołano trzech bogatszych officjalistów i, dawszy im naprzód do poznania, iż w razie odmowy utracą swe miejsca, pożyczono, a raczéj zagrabiono, a zresztą nie na małe procenta (hrabina zamyślała wszystkie procenta nawet potrójnie płacić, ale na Józefata dolinie) ich kapitaliki, a gdy co się zowie bogaty pan rządca jeneralny, któremu także zaproponowano pożyczkę niedostających cztérech tysięcy (hrabina była co do grosza akuratną), bez wszelkiéj ceremonji odmówił.. znalazły się one wkrótce u biedniejszéj szlachty i nierozsądnych żydów, gdyż, ma się rozumieć, pożyczano je na wielkie, bardzo wielkie procenta...

Na początku czerwca projekta hrabiny cokolwiek się zmieniły: wyprawiwszy wprzód do Symferopola Apolonjusza z mężem, sama na parę miesięcy wyjechała z córką za granicę dla ukompletkowania gotowéj już częścią jéj wyprawy, która swym przypychem powinna była zaćmić wyprawy wszystkich arystokratek z sąsiedztwa. Hrabia Marek tymczasem, po powrocie z Krymu, gdzie rzeczywiście syn jego otrzymał urzędową posadę, ile mógł korzystał z niebytności swéj żony. Wymyślał według własnego gustu najwyszukańsze potrawy, gastronomował, pędził życie, jak istny sybaryta, a w tém szczególnie mu pomagali niektórzy z współobywateli i część wiejskiéj młodzieży—lwów. W dość więc liczném i przyjemném towarzystwie, nasz hrabia Marek wyjadał śpiżarnię, wypijał winiarnię i co dnia prawie wypróżniał coraz więcéj swe eleganckie mahoniowe biórko z niewielkich zapasów znajdującego się w niém grosiwa przez grę w preferansa, sztosa, bezika, djabełka i pałki. Chociaż parę razy zdarzyło się mu już i drogi fant na kartę postawić, pomimo

to jednak hrabia Marek odżył, wypełniał, wyprzystojniał. W powiecie zaś wieść, jak błyskawica, przeleciała, że hrabia Marek, który od lat blizko trzech prawie zupełnie się ustatkował, teraz znów, hulać poczyna.

W birbanckiéj grupie zwyczajnych gości hrabiego odznaczał się szczególnie jeden, o którym wypada nam powiedzieć słów kilka. Był nim czterdziesto kilko letni, ubrany zawsze według najświeższéj mody, z grubo-litémi złotémi dewizkami przy zégarku, z takąż pieczątką, szpilką i sygnetem, z ogromnymi, stojącymi śnieżystéj białości kołnierzykami, z *pince-nez* na oku, wymuskany, wyfiksaturowany, zawsze prosto, jak szpilka, się trzymający, w towarzystwie kobiet słodko aż do znudzenia wymuszono-grzeczny, nadmiarę nadskakujący, z długim wyciągniętym nakształt dziobu na cztery cale nosem, z mrugającém często lewém okiem, z cienką na końcu, jak nitka, czarną pomalowaną bródką i z takiémiż spiczastymi wąsikami, jednèm słowem, był to stary młodzik-elegant-lew, jak się sam zatytułował w tych stronach, baron Alfons von Schpitz.

Przeszłość jego nam niewiadoma. Staramy się obecnie odkryć ciemną, pokrywającą ją zasłonę i gdy się to nam uda, nieomieszkamy z naszémi o nim wiadomościami pośpieszyć do szanownych czytelników i miłych czytelniczek. Teraz zaś powiémy przynajmniéj to, co wiemy, Baron Alfons zjawił się w téj okolicy na trzy miesiące przed wyjazdem hrabiny za granicę, a zkąd? niewiadomo. Zamieszkał on w tutejszém powiatowém mieście, na zapytania zaś natrętów odpowiadał zwykle, iż sprowadziły go z Pruss w te strony rozmaite pieniężne z russkimi polakami interesa. Żył wystawnie z magnacka-pysznie, co wszystko potwierdzało szeroko kursującą o nim pogłoskę, jakoby był jednym z niepoślednich niemieckich magnatów.. Wkrótce, urządziwszy z pańskim komfortem swe pomieszkanie, gdy zewsząd się doń cisnęło nasze obywatelstwo, w celu zabrania tak świetnych z baronem stosunków, zrobił on niby od niechcenia kilka *pierwszych* znajomości i, niby w rodzaju łaski i z konieczności, oddał kilka wizyt *pierwszym domom w powiecie*; zaś między innémi najpierwiéj był u hrabiostwa Łyczków, gdzie nadskakiwał Matyldzie; a podczas bytności jego w tym domie po raz drugi i trzeci, jawnie było po nim widać, że albo w istocie szalenie się zako-

chał w hrabiance, lub tak zgrabnie i umiejętnie gra komedją miłości...

Po dwóch miesiącach jednak dumny i pyszny baron trochę się upopularyzował, tak dalece nawet, iż z naszą bracią szlachtą zasiadał niekiedy do gier azardowych, ba i u siebie wydał był dwa kartowe wieczory dla uprzywilejowanych ze *śmietanki salonowéj* członków. Rzecz zaś arcy naturalna: baron na gruby kusz tylko grywał, co szlachcie było wcale do smaku, gdyż wykazywało prawdziwe *bon ton*, jednogłośnie więc mu przyznano *wyższe salonowe maniery*, a te ostatnie szczególnie w nim zauważono wtedy, gdy niby z niechęcią i z jakiémś chłodném lekceważeniem zgartywał do eleganckiego *porte-monnaie* za grube może dla szlachty, ale, zapewne, nie dla niego wygrane w karty pieniądze. Liczono sobie za *punkt honoru* siedzieć przy zielonym stoliku w towarzystwie barona Alfonsa, gdyż nie dla wszystkich i nie zawsze ten dowód swego spopularyzowania się wyświadczał baron, a więc i obywatelstwo nasze znało się dlań na zasadach grzeczności: niejeden się wpierw zapożyczył, zastawił, lecz za to po ukończeniu gry z jaśnie baronem całkowicie przegraną mu summę na stół wyświecił. — Rozmaite rzeczy głoszono o bogactwach fon-Schpitz'a. Utwierdzano nawet jako rzecz pewną, że posiada kopalnie złota w Kalifornji, srebra w Mexyku i bryllantów w Brazylji, a taka pogłoska najpierwéj była wyszła z ust pewnego uczonego powiatowego geografa. Wszędzie przytém mówiono: »Baron Alfons fon Schpitz jest *bardzo, bardzo dobrze!*«...

Tym więc sposobem niedawno przybyły baron miał już pomiędzy swoimi nowoznajomymi wielu tak zwanych w świecie przyjaciół. I z jednym tylko, z jednym szczególnie nie sympatyzował on, a tym ostatnim był Zbigniew Młodziecki. Poznali się oni z sobą na tańcującym z powodu imienin wieczorze u byłego powiatowego marszałka pana W. Baron grał wówczas w karty, Zbigniew w wolne od tańca minuty czasami bywał widzem téj gry. Zaś w końcu wieczoru rozmawiali z sobą i wtedy to właśnie Zbigniew jak najniepochlebniejsze wyrobił w sobie przekonanie o baronie, uzasadnione w późniejszym czasie środkiem bliższych badań nad czynnościami i postępkami tak uniwersalnie wychwalanego barona. Wprawdzie baron Alfons nie wiele dbał o Zbigniewa, który w karty nigdy niegrywał i liczył siebie kroplą arysto-

kratycznéj śmietanki niechciał; ale gdy ten ostatni wraz z Hulskim czynnie zaczął rozsiewać w powiecie swoją o baronie opinię, baron dbały o przyszłe szczytne rozwinięcie się publicznéj o sobie opinji, znienawidził Hulskiego, ale stokroć więcéj znienawidził Zbigniewa za podkopywanie jéj fundamentów i odtąd, będąc z nim na słowach nader grzecznym i rażąco—uprzejmym, w duchu został pierwszym jego wrogiem, czyhającym tylko na zgniecenie tego nędznego robaka, który śmiał mu stanąć zawadą na drodze jego barońskiéj spekulacji i zamiarów... Nieprzyjazne te uczucia zmieniły się wkrótce w wewnętrzną nienawiść, gdy jeden w drugim poznał rywala do ręki pięknéj hrabianki Matyldy. Młodzież, znajdująca się pod wpływem Zbigniewa, starannie także unikała barona.

Ow tedy pan baron wodził teraz, jak się mówi, rej u hrabiego, zaufaniem i przyjaźnią którego zawładnął zupełnie. Grywał on tu wprawdzie nie często lecz w przeciągu pobytu hrabiny za granicą, ogromne summy wpłynęły już nie do elęganckiéj *porte-monnaie*'tki, lecz do wszystkich, a miał ich wiele, kieszeni, z nich zaś do hebanowego biórka barona.

Tak więc gdy hrabina za granicą trwoniła na zbytki pożyczone pieniądze, szanowny jéj małżonek nieskąpił sobie wcale przyjemności w domu i żył, co się zowie; gdyż jak to mówią: »używaj świata, póki służą lata i—pieniądze!... »A coż będzié potém? E, pal go sześć... Kogo Pan Bóg stworzył, to go nieumorzył— i prawda, jak się to później da widzieć...

III.

»Garnę myśli – uczuć skarby;
Z nowych dolin, z nowych kwiatów
Do obrazu zbieram farby.«
B. Załeski.

»Ja powiem Bogu, czemu byłam smutną
Bo ludziom mówić niewolno!«
G. Zmiechowska.

Szumią puszcze, szumią puszcze czarne, szumią poleskie puszcze. Stoją one nieruchome, pogrążone w ciężkiéj zadumie o tém, co przez

tyle wieków widziały, pełne majestatycznéj lat przeżytych powagi, nie harde i nie pyszne z tego, że życiem swém li korzyść przynosiły światu, że spełniały święcie swe od Jehowy przeznaczenie, napawając duchowym pokarmem poetę, udzielając cielesnego prozaikowi chleba. Szumią puszcze, szumią puszcze czarne, a szum ich—to ciągły szept, to niezrozumiała dla innych śmiertelników rozmowa... I starzy ludzie gawędzić lubią, ale jakaż między nimi, a wiekuistémi drzewami puszcz zachodzi różnica! Czyż starzec—człowiek, przygnębiony ciężarem zaledwie kiku dziesiątków lat, zdziecinniały na umyśle, taka czuć, jak ów starzec—bór, przeżywszy całe pokolenia innych jestestw, na tysiące lat swoje życie liczący, umié? Spójrzcie nań tylko, jaka w nim ciągła nieustanna gra uczuć, gra duchowego życia! Pieszcząc w sobie nadzieję, z wiosną on się okrywa zieloną sukienką, a tak mu w niéj do twarzy, tak ponętny, tak uroczy on wtedy! Niebo burzliwe—on ryczy, jęczy, wyje; niebo pogodne—on cichy, spokojny, rozkoszny. Zbliżający się chłód jesieni w serce mu smutek wlewa, wewnętrzna tęsknota nim szamocze; on duma, ponuro zrzuca piękne wiosenne szaty, i lecą z dziwnym szmerem dokoła niego zwiędłe, zżółkłe listki—emblema cichego bolu. Lecz oto sroga przyroda, odarłszy go iz zewnętrznego piękna, znęca się nad nim; soków pożywczych mu odmawia;—chłód jéj serce boru sciska; on torturo mężnie przenosi, w cierpieniu zamiéra, a, zeznając swe niewinne męczeństwo,—śnieżny, biały przywdziewa na się całun, i wielki on wtedy, i majestatyczny!... Łzy szczęścia, rosa, niegdyś go odświeżające, teraz skrzepłe od zimna, jak srebrne gwiazdki, kąpiąc się w bladych promieniach słońca, zawisły w miljonie bryzgów na zamarłych jego powiekach. Sznmią puszcze, szumią puszcze czarne, szumią poleskie puszcze! Wejdźmy do nich w czasie skłaniającym się ku końcowi lata, a jakąż zastaniemy tam na każdym niemal kroku rozmaitość! Wdali, śród lasu oczeretu, rzeka wązkiém korytem się wije na zielonym kobiercu zkoszonéj łąki, strojnéj w powab' uroczy, gdzieniegdzie gęstymi zarosłéj krzakami. Nad łąką zgruppowane o popielatych pniach olchy i potępione osiki z fibrycznie drgającymi, jakby od żalu listkami. Daléj drzewa dziwnie się mieszają. Widzisz saladyn, malachit i szmaragd: o długich splotach rozwianych warkoczy koloru nadziei, cała w bieli, wysmukła, płacząca dziewica—brzoza skłania swe czoło na pierś rycerza z duszą, jak stal twardą—dębu, a wyniosła z piasczystego wzgórza sosna z zawiścią się

przypatruje téj parze kochanków, bo i jéj sercu, więcéj już północnym dyszącemu chłodem, nie obce jednak miłości uczucie, lecz—egoistka, szpilki tylko zamiast cichego szeptu kochanki siać może; u dołu leszczyna śpiéra się z czeremchą, a koralowa jarzębina z rosnącą opodal na łogu smutną kaliną w krasie rywalizuje, bo też buk i klon, dzielni chłopcy, co chwila zaglądają im w oczy.

— Tu piasek, tam błota i czarnoleśne bagniska, gdzieniegdzie pyszniąca się dojrzałém zbożem złocista polana, lub zieleniejąca, okryta na nizinie białém kwieciem łąka. Wdali las rzednieje, gęsto sterczą pnie z drzew przez nielitościwą siekierę ogołocone, walają się tam i ówdzie zcięte królestwa roślinnego trupy, zeschłe lub zwiędłe ciał ich cząstki—gałęzie, a za niémi znowu mur—las, i las, i las gęsty, poplątany, nieprzebyty, zda się, jak wieczność, bez konca! Ziemia tu okryta trawami i ziołami w najrozmaitszych gatunkach: te leczą, inne jad w sobie kryją, tamte w aromacie lekkim się w powietrzu ulatniają eterém. Piękne barwą, proste wdziękiem, skromne, więc tém powabniejsze leśne kwiaty i hoże jagody, miejscami szczodrze tu rozsiane z dziewiczą skromnością, z poza zielonych listków ukazują swe miłe twarzyczki, a odludek grzyb, najczęściéj zdala od towarzyszy, stroni, kryje się pod pnie i krzaki od grabieżnéj człowieka dłoni.

Upał, gorąco—i w borze cisza zupełna, a taka cisza, z jaką chyba w okolicy przez czarodzieja zaklętéj, albo gdzieś w zagrobowym świecie spotkać się można... Powoli słońce coraz się niżéj po firmamencie stacza, i wieczór, odziany w mglistą powłokę, na ziemię spływa. Świegotanie, wieczorna modlitwa ptasząt, z brzęczeniem milijardów owadów i muszek, formuje téj uroczystéj chwili muzykę. Z rozkoszą oddychasz powietrzem, przesiąkłém wonią, milszą od wszystkich aromatów Wschodu. Lecz oto zachodzące słońce rzuca już ostatnią garść promieni na drzew wierzchołki. Promienie się rozpływają, rozpryskują, przełamują się między tysiącem gałązek i listków, i w coraz to większéj, osłaniającéj las mgle wieczoru, w tajemnym cieniu wierzchołków drzemiącéj sennie puszczy, ujrzysz fantastyczne promienne motyle. Zachód się w purpury i w najjaskrawsze złociste farby przystraja, ostatnia walka gry światła z mrokiem wieczoru powoli ustaje. Wieczor zapada. Szarzeje. Zciemnia się zupełnie. Noc wkrótce nad leśną przestrzenią roztoczy swe czarne

skrzydła. Dzienne ptactwo spieszy na spoczynek, żmija się skręca w kłębek pod drzewem, zwierzę niespokojnie łąkę przebiega, w gęstwinę spieszy. W ruczaju, zawalonym tam i ówdzie spróchniałemi drzewy, skrzeczy wesołych żabek dwa chóry; derkacz i puhacz ze środka puszczy wydają głosy trwogi; skryte w gęstéj trawie owady senną dokończają rozmowę; daleki głos trąbki myśliwca i wesołe »hop! hop!« lub przeciągłe »ho-o-o!« odbijają się tysiącznéin echem. A wszystko to się zlewa w harmonijną symfonję w nieprzeniknionéj wzrokiem ciemności odwiecznéj puszczy, przy tajemniczych z czarnych drzew formujących się olbrzymich postaciach, fantastycznych ruinach, murach, zamkach i tym podobnych kształtach widziadeł illuzji...

Patrzysz i stajesz zdumiony. Gwiazdy tu z błękitu niebios upadły, migocą i odbijają się cudnie w kroplach srebrzystéj rosy, zawisłych na czarnych listków obsłonkach! Zbliżasz się, by podjąć gwiazdeczkę z ziemi—poznajesz świętojańskiego robaczka...

I straszno—przyjemnie, i dziwno i trwożno tobie samemu noc spędzać w dzikiéj poleskiéj puszczy, chciałbyś ujść ztąd czémprędzéj, ale urok jéj, dziwny urok nieziemską jakąś siłą, szepcząc: »zostań tu,« przykuwa ciebie do jednego miejsca, i wabi i ciągnie ku sobie... Któż z ziomków naszych, wpatrujących się sercem w oblicze natury, nie zachwycał się naszémi puszczami, lasami? W nich Jan dla swéj Urszulki składał bezśmiertne treny, w nich dumał i wieszczém uplastycznił je piórem Adam, o krasie ich pieśń z serca Pol zanócił, pieśń, co daleko rozniosła się po świecie.

»Widok ogromnéj, cały nieboskłon obejmującéj puszczy, widok Polesia, mówi Turgeniew *) przypomina widok morza. Pierwobytna, niczém nienaruszona siła rozściela się szeroko, wszechwładnie przed oczyma widza. Z wnętrza wiekowych lasów, z nieśmiertelnego łona wód podejmuje się jeden i tenże głos: »Co mi do ciebie,« mówi natura człowiekowi, »ja panuję, a ty staraj się sobie sam, byś nie umarł.«

Któż zapomni o ulubionym, tak niegodziwie przez spekulanta niemca zprofanowanym dębie Torquata Tassa, lub o wieszczéj w Czarnolesiu lipie?

---

*) »Поѣздка въ Полѣсье« 1857. стр. 437.

We wszystkich już małych okienkach porządnych chatek, leżącéj pod lasem wioski, zabłysły światełka, co prawdziwie malowniczy przedstawia widok, gdy i czarna wstęga lasu i błękitna, usiana migocącemi gwiazdki, zasłona nieba i te ogniki z całą, leżącą na niewielkiém wzgórzu, wioską, razem się odbiły w ciemnych tajemniczych nurtach płynącéj w dolinie wężykowatém korytem rzeki.—Widać lubiąca piękne przyroda musiała tu użyć całéj swéj bujnéj wyobraźni dla utworzenia tego fantastycznego przy szatach nocy obrazu!

Z pomiędzy rozrzuconych tam i ówdzie w poetycznym nieładzie, jak to tylko jeszcze w naszych słowiańskich wioskach bywa, wieśniaczych chatek, z pysznа, jak miejski na prowincji panicz, chełpił się przed wschodzącym pyzatym księżycem swym pąsowym dachem niewielki, w szwajcarskim zbudowany guście, prześliczny, jak cacko, domek, należący do ziemskiego obywatela téj wioski Odnówki, znajomego już nam, Zbigniewa Młodzieckiego.

Młodziecki nabywszy w księgarni spory zapas najnowszych dzieł o gospodarce i o gospodarczym przemyśle *), po ukończeniu uniwersytetu, oddał się z całém upodobaniem nowemu prawie dla siebie zawodowi, gospodarce wiejskiéj, według nowéj metody i ulepszeń,

---

*) Pozwolę tu sobie przytoczyć, dla korzyści czytelnika-wieśniaka, niektóre, zwracające na się uwagę, w tym przedmiocie dzieła: »Nauka rozumowonéj praktyki gospodarskiéj,« Otto i Simons. »Rolnik Polski,« Gawarecki. »Сельское хозяйство,« Скворцовъ. »Сельское хозяйство,« Папетъ. »Ogrodnictwo,« Czempiński. »Leśnictwo,« Połujański. »Hodowla zwierząt domowych,« Haller. »Скотоводство,« Бажановъ. »Weterynarja« (z atlasem), Kurowski. »Pszczolnictwo,« (nader ważna, korzystna, a niestety, mało u nas rozpowszechniona gałąź gospodarki wiejskiéj), Ramoszyński (otrzymał on za to dzieło złoty medal). »Pszczolarz polski,« Zniamirowski. Очеркъ естественной исторіи пчелы и краткое наставленіе въ пчеловодству, съ 70 рисунками.« О. Науменко. (Prof. Uniw. Kijow.). »Budownictwo,« Zabierzowski. »Nauka prawdziwa o płodozmianie czyli wielopolowém gospodarstwie, J. Łyskowski. »Włościanin Polski—dla użytku mniejszych gospodarstw.« Z. Gawarecki. Nareszcie zwracam uwagę czytelnika wieśniaka na piękne i korzystne nasze tygodniowe, ozdobne rycinami pismo, redagujące się przez pana Adama Mieczyńskiego: »Gazeta rolnicza.« Cena jego kwartałowa w królestwie i cesarstwie: Rs. 1. k. 50. (Złp. 10) Adres redakcji »Gazety Rolniczéj:« w Warszawie, przy rogu ulicy Leszno i Solnéj. № 715.

z powodu których nieraz mu się zdarzało zawzięty spór wieść ze starym, dawnym rządzcą téj wioski, Jacentym. Odnowił on domek, ulepszył stadniny bydła i koni, urządził ogromną pasiekę, sprowadził potrzebne maszyny, zajął się lasem, rolą i przemysłem, a że pracy nie żałował, szczęściło mu się tak, iż, nie zaczepiając wcale złożonego w banku kapitału, pospłacał w przeciągu pięciu lat swéj gospodarki wszystkie niewielkie długi, jakie ciężyły na Odnówce i takim sposobem oczyścił mająteczek swój zupełnie.

Zbigniew Młodziecki liczy teraz dwódziestą ósmą wiosnę. Trochę romantyk, trochę poeta. Doznał był on niemało bolu po stracie ukochanych rodziców, niemało przykrości, zawodów i rozczarowania w dawném koleżeńskiém życiu, przez co czysta wiara jego w świat i ludzi była zachwianą, a wspomnienie przeżytych przykrości oddziaływało nań ogromnie. Krył miłość wielką w sercu dla wszystkiego, co człowiek miłować powinien; miłość ta, nienasycona rzeczywistością, wywoływała w nim często wewnętrzne burzę, a wówczas pragnął, szukał samotności, tęskniéj oddawał się zadumie. Twarz ma bladą, okraszoną zlekka młodzieńczym rumieńcem, ozdobną pięknym czarnym wąsem i dziwnie połyskującémi oczyma. Mówi zawsze cicho, głos ma przyjemny, pociągający. W dziewiętnastym roku życia wstąpił do uniwersytetu i odtąd życie jego stało się li poświęceniem dla mocno w nim ugruntowanego zdania: »idea prawa nie słowem, lecz czynem dowodzić się powinnna.«

Niewejdziemy doń rano, tak około godziny szóstéj, bobyśmy przeszkodzili jego pracy: właśnie o téj porze zajętym on jest nauką czytania, którą wykłada trzem malcom, zastępującym u niego miejsce lokai: na stoliku leży tam klucz nauk, elementarz, obok pięknéj z tablicą i rysunkami książeczki dla dzieci Zdanowicza i Historji w 24 obrazkach. Niewejdziemy doń również w ciągu dnia, musielibyśmy go oderwać od gospodarki, którą się niemniéj szczérze, jak z owymi malcami zajmuje. Nawet wieczorem nie często ośmielimy się wejść doń, gdyż zwykle o téj porze pracuje w swym gabiniecie myślą i duchem: czyta, pisze, lub chodzi dumający po pokoju; to zaś ostatnie szczególnie miewa miejsce o szaréj godzinie: gryziony on znać wówczas bywa jakąś potajemną myślą, wewnętrzną dumą, która go piecze, pali, która mu

niedaje spokoju. Czasami bywa on dziwny: utkwiwszy połyskujący wzrok swój w jakiś punkt, przedmiot, stoi nieruchomy, ponury, lub świetlany całe kwadranse. Oczy jego wtedy pałają płomieniem ognia, lub błyszczą martwą powłoką lodu, a ocknąwszy się raptownie, trze ręką swe czoło i czémprędzéj nerwowo chwyta jakąś książkę, jakoweś zajęcie, albo rzuca się do fortepjanu, coraz mocniéj, coraz silniéj uderza w klawisze jedynego powiernika, a dzika warjacja wewnętrznéj burzy, rwąca się z pod palców słabnie, wątleje i w tęskną zmienia się melodję. Wtedy krople łez można dostrzedz na jego bladéj, ale już pogodnéj twarzy, cichy smutek w ciężkim oddechu. Snać wiele czuje i myśli ten człowiek. Snać cierpienia swe przed Stwórcą on zwierza tylko.

Wieczór sobotni, niedziela i święto są dla Zbigniewa chwilami wypoczynku, rozrywki. Wtedy najwięcéj wzajem się odwiedza z sąsiady, jeździ na mszę do znajdującego się o mil trzy, po drodze wiodącéj do Zatarcia, w powiatowém mieście kościołka i — wprawdzie nie często, używa niewinnych przy kieliszku wina hulanek, w kole coraz się więcéj garnącéj pod wpływ jego wiejskiéj młodzieży, lub towarzyskich zabaw i tańców na jakim domowym wieczorku, imieninach. (Rzecz dziwna, że na balach officjalnych z pańską wystawą nikt go, pomimo zaprosin, niewidział...) A bywa on wtedy prawdziwie wesoły, śmiejący się, szalejący nawet może więcéj nad innych. Szał porywa go w swe ramiona i rzuca w wir uciech, które on pije bez przesytu, łakomie, prędko. Baczny psycholog spostrzegłby w nim wtedy jakąś nawet dziką nienaturalność, odgadłby, iż człowiek ten szuka w téj chwili zapomnienia innéj ułudy, chce umorzyć, jak to mówią, robaka...

Mamy dziś piątek, pomimo to jednak wejść do Zbigniewa możemy. Słońce, jak już mówiliśmy, zaszło i chociaż ciemność wieczoru skrywa przed naszém okiem wiele rzeczy godnych uwagi, ale wschodzący czerwono-pyzaty księżyc udzieli nam cokolwiek światła, przy którém jasno rozpoznamy, iż ów daszek, tak chełpliwie swą barwą miłości patrzący na nadęty miesiąc, należy do pięknego w guście szwajcarskim domku, wyglądającego z poza omglonych nocną szatą czarno-zielonych drzew kwiatowo-fruktowego ogrodu i brzęczącéj mirijadem pszczółek pięknéj pasieki. Z głębi ogrodu od płynącéj tam rzeki dolatuje nas szum niewielkiéj naturalnéj kaskady i cichy szmer wody, przeciekającéj

się pomiędzy tysiącem stawiących jéj opór kamieni, jak szczytna idea przez góry przeszkód, tamujących drogę jéj rozwoju. Wodny ten gwar, zmieszany z głuchym łoskotem koła opodal stojącego młyna, z oddalonem szczekaniem psów i głosem nocnych ptaków, stanowi ten hałas, te urocze chwile wiejskiego wieczoru, w które całémi godzinami lubi się wsłuchiwać niekiedy zadumany Zbigniew. Daléj nad rzeką spostrzegamy łazienki, a na prawém uboczu otaczającego dworek dziedzińca widzimy pochylony od nawału przeżytych lat, mchem porosły, stary gołębnik, patryarchę, pamiętającego jeszcze dziadowskie czasy, gdyż własną ręką dziada Zbigniewa wystawiony, obok młodego i pełnego sił swego następcy, pielęgnującego w sobie całe setki łagodnych i zupełnie oswojonych, gruchających ptasząt miłości. Na prawo, jak wiedźma, kopci się w dymie litewska wędlarnia. Dziedziniec ocieniają dokoła wysokie topole, świerki i jawory, w końcu zaś jego dają się spostrzedz rozmaitego użytku gospodarskie budynki. Po za ogrodzeniem ze sztachet, na suchém, świecącém kilku suchemi gałęźmi drzewie, skrzętny bocian gniazdo sobie zbudował. Stoi on teraz na niém, jakby na straży, i tylko od czasu do czasu wyraża hasło czujności swéj klakaniem rozgłośném, że aż echo odpowiada mu z szumiącego lasu. Przyjemnie spójrzéć na to ustronie i czytać ze wszystkiego, co się przedstawia oku: tu mieszka pobożność, zamożność, uczynność, gościnność, dostatek i statek, uczciwość i praca, przy zamiłowaniu duchówém estetycznego piękna.

Niemniéj też przyjemnie nam będzie żwidzieć wnętrze tego malowniczego domku i na każdym kroku spotkać w nim smak połączony z prostotą i wyższym gustem, a w pracowni Zbigniewa zastać szafkę napełnioną słowiańskiémi, polskiémi i zagranicznémi dziełami, kilka wysokiego pędzla malowideł, niewielki wprawdzie archeologiczny zbiorek, dobry krajowy fortepjan; zaś na gustownie urządzoném kawalerskiém biórku ujrzeć ściśle prowadzony inwentarz gospodarski tuż obok »Gazety Rolniczéj« i tygodniowe czasopisma przy dziełach Lewestama, Letowa, Wojcickiego, Libelta, Koronowicza i innych, nad któremi znać w rozmaitéj wszechstronnéj, a do jednego punktu ściągającéj się materji, pracuje skromny mieszkaniec Odnówki, gdyż gruby seksteru, leżący także na owém biórku, zapisany był cały rozmaitymi z nich wyjątkami. Właśnie teraz leżą otworzone dwie księgi: »Nestor« Kotkowskiego i

»Lud Ukraiński« Nowosielskiego. Pod weneckiém oknem, otoczony gęstym szpalerem zieloności okrytych kwieciem i formujących pewien rodzaj altanki z wazonów, stoi marmurowy stolik, na którym w pięknie oprawnym albumie znaleźć można najwięcéj wzniosłe i szczytne, ręką matki Zbigniewa, a także jego samego, przepisane wyjątki z poezji ducha Mickiewicza, Ujejskiego, Krasińskiego, Słowackiego, Zaleskiego, Pola, Grozy i wielu innych; w drugim zaś wyjątki z pieśni wieszczów ludów Słowiańskich: tu zakres daleko szerszy, tu zebrano, co było najwznioślejszego, od Uralu za Karpaty, od Bałtyku do Euxynu, po za Odrę, po za Dunaj!...

Wszedłszy do tego ustronia pracy, zastajemy tam znajomego nam Wilibarda Hulskiego, który prowadzi dość ożywioną rozmowę z młodym właścicielem Odnówki. Właśnie boleść i zdziwienie, malujące się na licu ostatniego, wywołują z głębi jego piersi wykrzyknik:

— Czy to być może?!

— A tak, mospanie, powtarzam szczérą prawdę.

— Ale jakże hrabina przy takich okolicznościach mogła wyjechać za granicę?

— Sto djabłów wié tę babę, mospanie, co ona sobie myśli, pokręciła się, jak za dobrych czasów... Gdybym, notabene, był wiedział, że to nie do Krymu, że nas oszukiwano, jak kocham Matkę Najświętszą, ani złamanego szelągabym niedał szelmie! Oplątał huncwot, i gotów mnie zgubić, mospanie, na starość, bo to ani kopiéjki za duszą!...

— Jakto? Cóż jeszcze nowego?...

— A takto, takto, mospanie, jak acan widzisz: okpił, oszukał i— basta. Płakała ta stara bestya przedemną« »daj, beczy, pożycz, na rany Boskie cię zaklinam, pożycz przynajmniéj te, co masz, trzynaście tysięcy, oddam, jak mi Bóg miły, oddam najdaléj przez rok, bo zbankrutuję: dokładu trzeba na gospodarkę, trzeba syna wyprawić, córkę kurować«, i t. d. i t. d., jak zaczął mnie smalić *koszałki-opałki*, mospanie, otumanił, zadurzył. Ha, myślę sobie, co robić? — Chrystus Pan nakazuje w niedoli pomagać bliźniemu, a onże taki mój przyjaciel! — Niema co, oddaję mu ostatnie trzynaście tysięcy, które przygotowałem był dla wypłaty przez rok dopiéro temu rudemu szachrajowi Abram-

com mu winien, wymówiwszy tylko sobie roczny z téj kwoty dla ..nka procent. Wydając tedy, mospanie, to choć łyse, a chytre cielę ..wers, prosi, bym niemówił o pożyczce nikomu, żonie zaś jego, żebym oświadczył, iż tylko ośm pożyczyłem mu tysięcy. Zgoda, myślę sobie, zgoda, mospanie, mądry szlachcic, znaczy, nie w ciemię bita bestyja, nabrał rozumu, niechce, żeby baba pieniądze traciła... Aż tu, panie mój, dowiaduję się... Ehe! za moje krwawą pracą uzbierane grosiwo jaśnie żoneczka, zamiast w Krymie się leczyć, po zagranicach się włóczy, *koki-fioki*, mospanie, córuni sprawia, a szanowny mężulko w karteczki je baronkowi przegrywa!..

— Okropność!

— Co to, mospanie, okropność, to kradzież śród białego dnia, to rozbój na gładkiéj drodze, to podłość, nikczemność mospanie! Zgubili mnie z kretesem, z kretesem zgubili! Wczoraj właśnie stary mój Jankiel opowiedział mi pod sekretem wszystko. Myślałem, że zełba mojego krew pryśnie!....

— Więc długów massa?

— Co to massa, mospanie, massa... pięć, dziesięć mass, pięćdziesiąt, sto razy więcéj, jak wart sam majątek! Po uszy i—basta! Tylkoż milcz, mospanie, bo dałem słowo memu Jankielowi, że oprócz mnie i ciebie nikt niebędzie o tém wiedział. Kredytorowie zgodzili się czekać spokojnie trzy miesiące, łudzą ich jakowąś nadzieją, poczém, jeśli mospanie niebędą zaspokojeni, sami mają roztrąbić wszędzie o długach i podadzą do licytacji wszystko, wszystko! Pal ich sto tysięcy rogatych djabłów, warci szachraje!!..

— Ależ, zmiłuj się pan, potrzeba ratować, ja mam w banku...

— Ratować? A to za jaką pamięć? Niech on nas, szelma, ratuje! Ratuj tych lepiéj, co z torbami przez niego, mospanie, pójdą. Twój kapitał—to kropla w morzu dla tego smoka—téj poczwary. Niech Mefistofelesa Lucyperus ratuje, a nie ja!

— Sprzedadzą ziemię, wszystko! Ratować! Sam obowiązek to nakazuje. Ratować, rozumiesz? O, Matyldo, Matyldo!...

— Widzę, widzę, mospanie, twoją Matyldę... Obejdzie się cygańskie wesele bez marcypanów... Baron ich wyratuje.

— Co?! Kłamstwo!... Ona mnie kocha!...

— A ja ci mówię, mospanie, że to wierutny fałsz...

— Niewierzę! Kłamstwo!... Ona będzie moją!

— Banaluki, brednie! Fe, wstydź się, mospanie... Teraz przekonałem się, że ja byłem stary osioł, a ty—młode ciele... To, w co, mospanie, wierzyliśmy—wszystko fałsz, obłuda, hipokryzija, mospanie!... Zresztą ona ciebie niegodna! Chcesz się zgubić, jak ów Łyczko, szanowny jéj papa, a to łepiéj się powieś!... Niewierzysz? Wszak pewno, mospanie, nie dla ciebie ta wściekła podróż za granicę opętanéj!...

— Ależ... Matyldzia cierpi piersiową chorobę... Wyjechały do wód Karlsbadzkich...

— Bajki, bajki i bajki! Przekonasz się, mospanie, że stary twój przyjaciel niekłamie. Wszak i ja, ile mi sił starczyło, popierałem twe zamiary... A! ten bekas, czapla, ta *ciconia magnonosa*, ten zdechły pies!... poczekaj, psia krew, *scupisz* dobrze!... Jemu się chce karbowanych... dulencja, bratku, figa z makiem, mospanie,—i w humorze najzłośliwszym, pan Wilibard zanócił staropolską piosneczkę:

»Obżenił się baroncio z piękną hrabianeczką,
I wziął w posagu: trzy beczki sieczki,
Trzy beczki sieczki, trzy poduszeczki.

— Siłą ją chcą wydać chyba, zaręczam, że siłą! Nieszczęsna! Ja go wyzwę! Wyzwę truciciela, karciarza, co gubi szlachtę i młodź naszą. Wyzwę, zabiję!...

— A ty barani łbie, uszy ośle, mospanie! zawołał Wilibard, kiwając głową. Cóż ci to jeszcze do głowy przyjdzie! »Wyzwę« słyszycie—jeszcze czego brakowało? a jagnie, jagnie małomózgie! Lubię, kiedy młody chłopiec i do wypitki i do wybitki pierwszy, ale nie ty, nie za nią, nie z nim, nie teraz. Rozumiesz? Głupstwo! pluń waszmość im w oczy lepiéj i odwróć się od téj, mospanie, zarazy, cholery, dżumy, oczyma i plecyma!

— Panie! mów, jak się podoba, ale nieobrażaj ich, jéj przynajmniéj, bo, bo, bo...

— Bo co? rozśmiał się głośno Wilibard, mnie może chcesz zabić? Nu, to szczęść ci Boże!...

— Panie, proszę pana, jak przyjaciela zacnego mojego ojca, błagam pana, jéj imię dla mnie święte... ona niewinna!

— No, dobrze, dobrze, niech tak będzie. Lubię, że honor cudzy szanujesz. Ale pamiętaj, mospanie, przekonasz się wkrótce, a wtedy będziemy wrzeszczéć obadwa... Czegoż zieleniejesz, bledniesz? Zbiniu, Zbiniu, co tobie?...

Zbigniew nie zawsze umiał panować nad sobą, cechą to jest w ogóle charakteru ludzi, mających stronę uczuciową rozwiniętą więcéj nad zdrowy rozsądek, zerwał się z krzesła, z całém natężeniem muskułów ścisnął swe czoło obiema rękami i szybkimi kroki zaczął się przechadzać wzdłuż pokoju. Rysy bladéj jego twarzy febrycznie drzały, blask oka raził. Hulski zatopił weń wzrok badawczy, patrzał długo, wreszcie szepnął:

— Biedny chłopiec! i daléj mówił półgłosem do siebie: A szkoda, mospanie, bo poczciwy z duszą i kośćmi... Ej, ty stara makutro, mozgownico zapleśniała, na coś mu to powiedziała? godnaś za to orderu oślego ucha! Trzeba było, imć panie Wilibardzie, trzeba było, odpowiedział sam sobie, naśladując cieniutki niewinny głosik; tak, mospanie, zgoda, trzebaż było ostrzedz: Ach, ty jarmułko zatłuszczona, pomyjnico brudna, pantoflu bez podeszwy, toż przygotować ci jego wprzód było do tego ciosu.. Kiedyż się wreszcie rozumu nauczysz? —Nigdy, jmć panie Wilibardzie, nigdy!—Ach ty wereszczako skisła, głupia, głupia, patrz, jakiegoś nawarzyła bigosu ze swego sosu, toż chłopiec zwarjować może, jak kocham Matkę Najświętszą!—Zbigniewie, Zbiniu, Zbinieczku!...

W téj chwili drzwi się otworzyły i wszedł Odnowicki arendarz, Moszko. Ubrany był czysto, porządnie; długa szpakowata broda dodawała mu pewną dozę powagi, a rysy twarzy miał przyjemne, szlachetne, z izraelska—sympatyczne, pomimo odbijającéj się na nich właściwéj narodowi temu przebiegłości. Zwrócił się on z nizkim ukłonem:

— Dobry wieczor panu Zbigniewowi i panu Hulskiemu—wymówił przesadną trochę w brzmieniu polszczyzną. Co to pan Zbigniew tak smutno się patrzi, jakby mówił: »Moszko kiep, że przyszedł nie w porę?...

Głos ten oprzytomnił Zbigniewa, bystro spójrzał i, ścisnąwszy się za rękę ze swym arendarzem, zapytał nagle:

— Coż sprowadza dziś pana Mojżesza w nasze progi?

— A zaraz, co sprowadza? jakby żyd bez interesu przyjść nigdy nie mógł. Ale na teraz pan Zbigniew ma słuszność. Przyszedłem w interesie.

— W jakimże to? zapytał, dając znaki, Hulski.

— At, zwyczajnie, może bagatele, może i niebagatele, odpowiedział zagadnięty. Ot ja przywiózłem świeżego mięsa, cukru, świéc, tytoniu i siarników z miasta mojemu panu. Wszak wiadomo...

— A, prawda, byłeś w mieście... Cóż tam słychać?...

— Nowina chodzi wielka... Gadają różnie...

— O czém gadają? jaka nowina? zapytał nagle Zbigniew, przeszywając wzrokiem nowoprzybyłego.

— Najpiérwéj, odpowiada pompatycznie arendarz, odsuwając trochę krzesło od ściany, najpiérwéj niech Moszko będzie łaskaw usiądzie,—tu usiadł i pogładził brodę, – a teraz może Moszko wypali? Dobył blaszane pudełko z tytuniem, na którém wśród namalowanych jaskrawemi farby rozmaitych fruktów i liści, świecił nadpis: »*Bonbons. Au jus des fruits. C. Landrin*,« i zaczął skręcać papiérosa. Zbigniew podał mu gotowego:

— Zawstydzasz mię, rzekł, jestem tak nieuważny, roztargniony. Niechże pan Mojżesz będzie łaskaw palić mój tytuń.

— Nu, niech będzie *po pańskiemu*. Nigdy nie odmawiam. Jak dają— to bierzę. Przykazanie pewnego rabina bardzo, bardzo mądrzego, mówi: Pierwsze: Jak nie będziesz brał. Drugie: To nie będziesz miał. Trzecie: I nie będziesz miał. Czwarte: Jak nie będziesz brał, i t. d.

— To piękne przykazanie, cha, cha, cha, mospanie! rozśmiał się Wilibard. I ty tak, Moszku, postępujesz?

— A jak postępuję, to co? Chyba Moszko nie żyd? odrzekł, uśmiechając się. No, no, zna pan Zbigniew pana Mojżesza, to i pan Wilibard zna. Spokojni oni o jego sumienność i rzetelność.

— To prawda, prawda, przerwie Zbigniew, wiem, żeś zacny i poczciwy człowiek. Ale mówże, nareszcie, jaka nowina? o czém gadają? dodał niespokojnie.

— Et, co tam ważnego! Ja w Zatarciu byłem... nic, zupełnie nic... Ja już mówiłem, że przywiózłem mięsa, tytoniu, cukru, świéc i siarników i oddałem panu Jacentemu.

— Byłeś w Zatarciu?! Zmiłuj się, mów, co tam?...

— Nu, slichać, at zwyczajnie, wszistkie żidzi krzice, że pan chce się żenić z jaśnie hrabianką... Ja nie wierzył, ja się dziwował, nu... jak to można? a fajn interes: z taką panną... mój panicz?... Późniéj wszystko opowiem...

— Ale mów, mów teraz! Co tam?

— At, co tam mówić, co tam ma enteresować pana Zbigniewa, jak Moszko powié, że jaśnie hrabina pozawczoraj z jaśnie hrabianką z zagranicy wróciła?

— Wróciła?!

— Moszko nigdy niekłamie. A tyle rzeczów nawiezła, tyle... mówią, że i suknie białe i jakieś welony...

— Co? co mówisz?! wykrzyknął blednący Zbigniew.

— At, nic, co to ma enteresować... wzruszył ramionami. Moszko niema czasu. Moszko przyszedł prosić, żeb pan Zbigniew, co to nauczył mego Icka czytać, był łaskaw pożyczyć jemu książkie. Icko te już skończył i sam już uczy czytać Siorkę.

Na twarzy Hulskiego przebiegł wyraz zadowolenia.

— Ach, dziesięć książek dam, daruję... Bardzo dobrze robi Icko, bardzo, bardzo pięknie postępuje Siorka... Ale mów... niemęcz mnie... ty musisz wiedzieć wszystko...

— A-jaj! Co to ma obchodzić pana Zbigniewa, że w Zatarciu cały wczorajszy dzień jaśnie baron fon Schpitz (wymówił z przyciskiem), bawił u jaśnie hrabiów?...

Przy tych wyrazach Młodziecki, blednąc, pochylił się na poręcz fotelu. Arendarz zamilkł raptownie i, patrząc ze współczuciem na młodego właściciela Odnówki, dodał po chwili:

— Nu, niech Moszko powié sobie, że jest głupi, na co to tak razem było mówić?... Panie Zbigniewie, zaręczam słowem, że niéma tam nic pewnego między niemi. Niech pan będzie zdrów i spokojny, ja...

— Słuchaj! mów wszystko! dziko zawołał Zbigniew, chwytając za piersi nieco przelęknionego żyda. Mów! musisz!

— Ach, jaki pan niedelękatny ze swym starozakonnym przyjacielem, wycedził przez zęby arendarz, starając się wydobyć z rąk Młodzieckiego.

— Mów, słyszysz, bo cię zaduszę! jeszcze dzikéj zawył Zbigniew, lecz w téjże chwili anioł śmiertelnego smutku powiał swémi pióry na lica jego, ręka bezwładnie opadła, zachwiał się i upadł bez zmysłów na fotel, szepcąc cicho:

— Przepraszam cię, mój wierny przyjacielu.. Oh, Matyldo, Matyldo!...

— Wody, wody! wrzasnął na całe gardło Hulski.

— Cicho! wyszeptał żyd i schwycił go za rękę.

Przeszło kwadrans trwało zupełne milczenie i tylko taktyczne cykanie zegarowego wahadła naruszało grobową ciszę, która zaległa pokój.

— Cicho! powtórzył żyd, ja jego wiém...

Zbigniew, jak martwy, wpółleżał z oczyma szklistémi, był blady śmiertelnie i tylko wolne, urywane wznoszenie się i opadanie jego piersi świadczyły o istności w nim życia. Hulski i Moszko patrzyli nań trwożnie. Wreszcie pierwszy, nielubiący długo milczeć, przerwał tę niemą scenę.

— Ach my stare capy, kopyta muchy nie warci! Przypatrz się, szanowny izraelito, cośmy tu narobili, mospanie!?

— Nic, nic, cicho... ja już jego wiém... odpowiedział zagadnięty, wpatrując się badawczo w alabastrową twarz i szlachetne rysy młodzieńca. Poczém przystąpił do omdlałego, a zapuszczając przenikliwy wzrok swój w jego błyszczące oczy i silnie przycisnąwszy swą ręką jego ramie, cicho, prawie szeptem wymówił:

— Panie Zbigniewie, panie Zbigniewie! a fe, wstydź się pan! Gdzież słowo pańskie?... Ma-tyl-da...

Jakby elektryczną trącony iskrą, Zbigniew zwrócił bystro swe spójrzenie na żyda, który w téj chwili stał już spokojny, łagodnie uśmiechnięty i tylko przenikliwie, bez przerwy w oczy jego patrzał... Pod wpływem tego wzroku Zbigniew, jakby ze snu zbudzony, wstał raptownie, spójrzał nieprzytomnie dokoła i, wypuszczając ciężkie z swéj piersi westchnienie wyszeptał z niejakim fałszywym wstydem.

— Uniosłem się... nic... przeszło... a tyle razy dawał sobie słowo... sercu rozkazywać niemogę.. trudno go wziąść pod cyrkiel... Zawiele wzruszeń... nic... przeszło... Przepraszam was, przyjaciele moi... Ale

zapanuję nad sobą, powinienem być panem siebie!... Godna, niegodna, będę wiedział; postąpię, jak mi nakazuje cześć moja... Wszak pozostała jeszcze inna, druga półowa szczęścia mego w poświęceniu się wyższym celom, powołaniu memu. Ona wielka, jak milijony, święta! Dzięki wam, drodzy moi... Ja zdrów... nieszydźcie, nieszydźcie ze mnie!!...

— Niech pan z godzinę przynajmniéj nieodchodzi od niego, szeptał tymczasem arendarz do Wilibarda Niech pan opowiada jemu różnych historje dla rozerwania, późniéj zostawi samego. Ja już jego wiém... Ja niemogę tu zostać: ja chorę żonę zostawiłem. Jutro rano ja przyjdzie. Opowiémy wszystko...

— Jużem mu powiedział, mospanie.

— To tém lepiéj. Raz się skończyło. Nu, a teraz, dodał głośno, niech Moszko powie: dobranoc.

— Idź, idź, poczciwcze! zostawcie mnie samego, wyszeptał łagodnie Zbigniew.

— Zaręczam słowem, dodał, zbliżając się do drzwi arendarz, że pan Zbigniew nie mniéj wie od nas...

— Ach, wszystko mi już teraz jedno! Zostawcie mnie...

— Che, che, che! A ty tu żydzie? Dałeś mi, panie, tego - tam - tego, mięso i inne sprawunki, mówiąc, że wracasz do choréj, panie, żony. A cóż ty tu robisz, u diaska, żydzie?! nagle zawołał wchodzący Jacenty, który skończył już był swe gospodarskie zajęcia.

— Nu, co waści do tego? Nie do waści przyszedłem, panie polaku! odciął Moszko z przekąsem, a powiedziawszy raz jeszcze »dobranoc,« ścisnął się za rękę z pozostającymi i wyszedł.

— Sprytne żydzisko, panie, jak Boga kocham, sprytne! zawołał Jacenty.

— Tylem ci już razy ganił owe niedelikatne, rubaszne postępowanie z kmiećmi i żydami, rzekł spokojnie, oprzytomniony zupełnie powyższą sceną, Zbigniew. Ceń każdą narodowość, każdego człowieka, jeśli on tylko przez wewnętrzne cnoty zasługuje na to.

— E, pal ich, panie, sześć! Wszyscy oni, tego-tam-tego, huncwoty, panie, jak Boga kocham, chamy, pudle! Co żyd—to szachraj, co chłop—to leń, panie. Drzéć żyda, bić chłopa, a samemu hopa, hopa! to najlepiéj. Warci kanalje!

— Raz na zawsze, przerwie mówiącemu Zbigniew, proszę cię Jacenty, niepowtarzać mi podobnie głupich bzdurstw.

— A choćbyś mu dmuchnął w łeb z moździerza, to starego, mospanie, wróbla nieprzerobisz, zauważył, śmiejąc się, Hulski.

— Czém się skorupka za młodu napiła... rozumiém; lecz przynajmniéj powstrzymuj język, boś poczciwy człowiek, ale...

— Ale głupi, panie, tego - tam - tego, gaduła, impertynent dla śmiecia...

— Ej, Jacenty, to śmiecie, jak nazywasz, jest narodem, rozumiesz?

— Che, che, che, lepiéj tego - tam - tego, panie, lepiéj z biesem, jak z żydem, albo z processem. Ale tego - tam - tego, niech pan wytłumaczy dla czego tak zawsze obstaje za chłopstwem i żydowstwem?

— Chłopi, mój kochany, to żelazne społeczeństwa nogi, to jednolitość nasza, to naród, z którego my szlachta pochodzimy, a więc równi nam, młodsi bracia nasi, którzy swą ciężką pracą podtrzymują i karmią kraj cały. Z żydami zaś, od czasów polskiego króla Kazimierza wielkiego, który im, ugniecionym, wypędzonym zewsząd, przytułku niemającym, wieszanym, mordowanym, otworzył drzwi swojéj chaty i serca, drzwi Polski, do kraju ich przyjął i przywileje nadał, takeśmy się zwykli, iż uważamy ich, jako przyjaciół, którzy, najskrytsze tajniki życia naszego w przeciągu wielu wieków znając, nieraz dawali nam dowody swéj dla nas przyjaźni i wdzięczności za chléb, sól i przytułek, cośmy im dali. Prawda, naród ten zepsuty, ciemny, chociaż i nie bez wielu wyjątków, zdradza niekiedy nasze zaufanie, ale światłu należy oświecać ciemności, prawość powinna nieprawość wykorzeniać. Niech każdy z nas światłych postawi sobie za warunek życia jednego, dwóch przynajmniéj z niższéj wieśniaczéj klassy nauczyć czytać, ukształcić, oświecić: ta mała praca nie poniży go, lecz wywyższy, a wieleby na tém kraj, gdzie są milijony takich światłych, zyskał! Pomyśl tylko. Pracować więc, pracować powinniśmy. Nie słowo, ale czyn jest godnym powołania człowieka! Rozumiesz?

— Wszystko to święta prawda, ale my już... et, panie, tego-tam-tego, odrzekł Jacenty, patrząc bezmyślnie na dziwnie połyskujące oczy i świecące ogniem natchnienia rysy Zbigniewa. Jak Boga mego kocham,

ja tego, nie głupi. Pal ich sześć! Przeżyło się to, panie, widziało wiele rzeczy, ale tych, panie, waszych, tego - tam - tego, nie apprenduję ceregielów. Takim zdechnę, jakim żyję. Choć przerobiłeś mnie już, panie, wiele, tego - tam - tego, przez lat pięć, bo kocham szczerém sercem ciebie, panie Zbigniewie. Czuję i ja już, że trzeba, tego - tam-tego, panie, delikacić się z Hawryłem i Srulem; to tak się chyba, panie, z przyzwyczajenia, tego-tam-tego. słówko wymknie. Zresztą wy, panie młodzi, żyjcie, a nam, do stu katów, starym, tego-tam-tego, dalipan już trudno, tam do kaduka!

Lecz Zbigniew, pogrążony w jakąś ciężką zadumę, niesłyszał tych ostatnich bzdurstw swego starego ekonoma. Hulski więc i Jacenty, jak mogli, starali się go rozerwać, na facecjach zaś im obydwóm wcale niezbywało: sypały się one, jak z worka. Wkrótce dwa pokojowe kozaczki podali kolację. Zbigniew nic niejadł, za to gość jego i ekonom zajadali i zapijali z apetytem sprawę. Około jedynastéj udano się na spoczynek. Zbigniew sam pozostał w swoim pokoju.

Ciężko mu było, ciężko bardzo na sercu. Wewnętrzna walka uczuć miłości i obowiązku, obrażonéj osobistéj ambicji, bolu i zawodu rysowała się na jego bladéj twarzy. Usta drzały, serce biło się gwałtownie. Była to straszna burza, po któréj następowała zwykle dziwna jakaś cisza w jego piersi. Widać oczekiwał on téj chwili, by dozwolić zdrowemu rozsądkowi wziąść przewagę nad uczuciem, uniesieniem się i realnie obmyśléć drogę, którą sobie wybrać powinien; środki, jakimi mu działać wypada. Myślał długo, chciał myśl każdą rozebrać matematycznie, anatomizować, lecz zaczepiwszy słabą strunę serca, znów się dawał pochwycić wichrom szalonéj, wewnętrznéj burzy, i znów się uspokajał... namyślał... Tak prawie przeszła noc cała. Ranek świtać już zaczynał, gdy zesłabły, skołatany wewnętrznie, przytłoczony bolem upadł w ubraniu na łóżko i ciężki, niespokojny, pełen okropnych wizji sen zakrył jego powieki.

Słońce, nieposłuszne nauce Kopernika, już dawno zaczęło swą podróż nad naszém półkolem, jasne promienie jego ciekawie, jak modrooka ukrainka, zaglądały w pociągaiące ku sobie lica Zbigniewa, a on spał jeszcze, spał głęboko. Ocknął się wreszcie, z posłania się zerwał i, ogromnie zdziwiony, iż słońce go uprzedziło, zaczął zbierać

w pamięci doznane wczoraj wrażenia, które się dziwnie mieszały z tajemnymi snami... Był blady, głowa go silnie bolała. Otworzył okno. Świeże ranne powietrze orzeźwiło nieco przygnębiony umysł. Ukląkł. Modlił się długo, gorąco. Weszli Hulski i Moszko. Ostatni przywitawszy się rzekł:

— Pan Zbigniew, jak się jego arendarzowi zdaje, jest zupełnie zdrów, tylko trochę osłabiony. Nieprawdaż?

Młodziecki przywitał ich uprzejmie, serdecznie. Był panujący nad sobą, zimny nawet. O wczorajszém nic niewspominano. Wkrótce Hulski wyjechał, a Moszko wyszedł pomagać chłopcu do przygotowania herbaty, i gdy ten nastawiał samowar, Moszko, już w roli lokaja, mył szklanki i miseczki...

Cały dzień spłynął przy gospodarczych zajęciach i przygotawianiu się do zażynek, czyli do urządzenia na dworze zabawy dla wieśniaków z powodu skończonego żniwa.

Po zachodzie słońca zeszła się do dworu złożona z wieśniaków i wieśniaczek gromada po wypłatę za trud ich uczciwy w ciągu tygodnia na roli właściciela Odnówki. Do obszernego pokoju, noszącego imie kancelaryi, wszedł wójt, czterdziestoletni Wasyl, a za nim dwóch innych starych gospodarzy. Po zwyczajném »Sława Bohu« i »Na wiki«, Zbigniew uścisnął się z każdym z nich za rękę, poczém wskazał krzesła, na których usiedli starce i zwrócił się z zapytaniem do wójta:

— Czuję się trochę niezdrów; niemógłem więc być wszędzie i mieć na wszystko gospodarcze oko. Wieluż, Wasylu, było robotników i wiele dożęto żyta i pszenicy?

— Nyczoho, sława Bohu, wse dobre. U nas ne tak, jak u druhich. Dożały siohodni wse. Sorok i try kopy i trydciat' szyśt' snopiw żyta i dwadciat kip i piat' snopiw pszenyci.—Koli ja powiedział uczoraj, żeb pan nasz chciał wże prędko skończyć żnywo i zrobić, znaczysia, zażynki, to wszistka hromada, jak odyn, krykneła: »Chodim zawtra do mołodoho pana na tołoku, bo'j jomu wart, jej bohu, wart!« Dzisiejszy robotniki płaty nie woźmo, prosze pana, dożali oni ze wszystkim i oś, zaraz ciła hromada siudy werne z wiankom, prosze pana.

— Diakuju i tobi Wasylu, diakuju i ludiam.

— Bo se baczyte, panyczu, odezwie się stary Danyło, i tatko wasz matka wasza i wy dobryje, toj narod dobryj. Ja iszcze dziada półi wnyka pamiętam: dobryj, welmi dobryj buw pan, tylko. że serdytyj jak wart, toj wybije, a koli zły, to se zaraz buwało krzyczy: »ł twoja mama, synku, źle robisz, wodku pijesz, psiawiaro!..«

A Iwan przerwie, kiwając głową:—Komużto komú, jak nie m wspomynaty dziadka! Héj, héj! — Toż try lata pod Napołynom pros żyw ja z starym panom, i w Nemeczczyni buły, i w Moskowszczy chodzili razom, oś łedwi ocaleli. Bo to człowiek nie ten chrancuz, sia mrozu boisia, jak domowyka, co za piecem siedzi... Hej, hej!...

— Et, co bo ty gadasz, zawołał Danyło, ja z panom półkownik już lepiéj żył, kozakom buw, a tylki i tego, co jak pojedziemo buw do jaśnie Marszałka w lis, abo do Sędzioho w puszczu, a zjado sia t panowe, to dwie niedziele polowanie, że aż strach! szo dzików nab sia soteń dwi i łosiów i miedźwiedziów naberemo z soteń dziesięć, wiłków, kóz i zajców, to i nie pytaj! Dobryj buw pan!

Daniło i Iwan byli to dwaj najstarsi we wsi gospodarze, krzepcy dnak i zdrowi. Przychodzili oni niekiedy do Zbigniawa na gawędę i kąskę, a ten ostatni lubił słuchać ich opowiadań o dziadowskich ca sach i rozmaitych ówczesnych wypadkach. Wzbogacali oni swémi ro maitéj treści opowieściami z przeszłych czasów jego badawczy umy Sam nawet przechodząc często przez wieś dla odwidzenia niektóry uprzywilejowanych lepszych gospodarzy, ich niemijał. Podczas zaś kich wycieczek, które miewały miejsce zwykle pod wieczór, w po spacerowéj, sadzano go wszędzie na pierwszém miejscu za stołem, p obrazami, czyli na *pokutiu*, gdzie niegdyś umieszczaném bywało sł wiańskie domowe bożyszcze tegoż imienia, i traktowano go, czém ch bogata, w szczególności zaś świeżym plastrowym miodem, który n więcéj lubił. Nieraz się zdarzało, iż przechodzącego przez wieś młode Zbigniewa okrążało naraz kilku gospodarzy i gosposź, a wszyscy t serdecznie zapraszali »zrobyty im. cześt'« t. j. odwidzieć ich chat iż prawdziwie, widno w tém było to szczére przywiązanie, jakie umi on sobie zasłużyć u ludu, czém się niekażdy u nas pochwalić mo a zaiste, jeden to jest z najwięcéj mających znaczenia godnych, piękny owoców filantropji.

Właśnie i teraz zabierało się na długą między Daniłem i Iwanem gawędę, ale Wójt, z powodu następujących wkrótce zażynek, przerwał im i przystąpił wraz z Jacentym do obrachunku z robotnikami.

Otworzyły się drzwi i do téj przestronnéj komnaty weszli wieśniacy i wieśniaczki, oddając nizkim ukłonem i słowy cześć Bogu i gospodarzowi. Zbigniew, jak zwykle, zawiązał z niektórymi z nich rozmowę, dawał rady, przestrogi, oświecał umysł, biedniejszym obiecywał pomoc, co zawsze wiernie dotrzymywał, trzem wydał pieniężną dla kupna wołów zapomogę, ci zaś zobowiązali się częścią oddać, częścią ją odrobić. Niejeden się go radził, niejeden wzywał jego pomocy, zastępstwa w rozmaitych sprawach przed włością, lub mirowym, niejednego również zfukał za lenistwo, opieszałość, pijaństwo, a wówczas stary Daniło zwykł był dodawać:

— A i stary didycz, pan półkownik, szoto miał zwezdu lehju od Napołyna, wse kazaw: »Łysa twoja mama, synku, źle robisz, wódku pijesz!« a ty sioho nesłuchajesz psiawiro!

Gdy się tak rozrywał w swym smutku Zbigniew, stary Jacenty tymczasem, burcząc, gdérając, a niekiedy i łając nawet za małą więź snopów, za niedbałość niby o pańskie, co było wierutnym fałszem, zajmował się z Wójtem obliczaniém robotników. Wywoływano każdego z kolei i po wypłacie należności, dawano mu kieliszek krzepiącego po trudach trunku i zakąskę.

Jedném słowem, w całéj téj scenie dawały się widzieć te zażyłe, poufałe może nawet, lecz uczciwe stosunki, jakie, niestety, tak rzadko dają się spostrzegać między zwichniętą w pojęciach rozumną głową, a pracowitym, lecz ciemnym tułubem naszego społeczeństwa, w którém się jednak zawiera serce.. Tu pan i kmiecie widzieli się zupełnie sobie równymi, byli oni jedno, a całą między nimi różnicę stanowił stopień oświaty, umysłowego rozwoju, materjalna strona bogactwa. Kmieć widział w panu nie swego ciemiężyciela, lecz obrońcę, opiekuńczego anioła stróża, żelazną głowę; pan widział w kmieciu *istotę podobną sobie*, istotę, na czole któréj wyryto: ciężki trud, szlachetna praca, istotę, nareszcie, mogącą się stać żelaznémi społeczeństwa nogami, jeśli umysł swój rozwinie, serce ukształci, wiele nieznanych mu dotąd pozna w świecie rzeczy. Kształcić więc ten narod, zbawiennie wpływać nań, było

cząstką powołania Zbigniewa. Pracował on właśnie tezaz na téj drodze u siebie, korzystając z każdéj nadarzającéj się sposobności; pracował w pocie czoła może, ale ta wewnętrzna przyjemność, jakiéj doznawał, widząc pierwsze plony zasianego przez się w ich sercach ziarna, już mu podwójną była za poniesione trudy nagrodą.

Zaiste, jak jest wielkiém powołanie właściciela kawałka ziemi, zaludnionego pracowitym, skłonnym w gruncie do dobrego, lecz ciemnym, w części zepsutym od wiekowego ucisku ludem! Rozwijać go, zapoznawać z zasadami światła i prawdy jego mózg zapleśniały od wiekownéj stagnacji, zyskać sobie jego zaufanie, a z tym najmocniejszym orężem prowadzić go po drodze piękna, prawdy, nauki, po drodze wiary, nadziei, miłości,—oto praca, godna człowieka z wyższém pojęciem, cicha, skromna, ale wielka, ważna! to posłannictwo naszych ziemskich obywateli! to praca ducha. Pełniący ją,—to nowy władzca zamczyska, o którém mówi poeta, to nie krzycząca, lecz pracująca mrówka, polip koralowy, to wcielona idea prawdziwego czynu. Wielki i szczytny ukaz Monarszy 19-go lutego, 1861 roku, ukaz oswobodzenia włościan, niech oświeci myśl naszą, niech będzie drogoskazem dalszych na téj świetnéj drodze postępów, w których my powinniśmy przyjąć czynny udział, pozyskać zasługę.

Rachunki z robotnikami zostały wkrótce skończone. Ściemniło się. Szary mrok zapadł. Złocisto-amarantowy i srebrno-saladynowy, połyskujący światłem brylantów, zachód okrył się w popielatą togę do snu. Przez nią widać pierwsze jaskrawe spodnich szat przyćmione togą kolory. Na Odnowieckim dworze rozległa się wesoła pieśń żniwarzy. Wyniesiono stoły. Zastawiono je jadłem. Wytoczono baryło wódki. Zagrała muzyka. Dźwięk skrzypców i cymbałów w powietrzu się rozlega. Piękna wiejska dziewoja w towarzystwie dwóch gospodarzy składa u nóg Zbigniewa wieniec, uplecіony ze złotego zboża, niebieskich bławatków, i wstążek, w które były przystrojone jéj *ruse kosy* na zgrabnéj główce. Wieniec zawieszono przed obrazem Najświętszéj Panienki w kapliczce Zbigniewa. Dziewoja odebrawszy ładny podarunek idzie w pierwszéj parze ze Zbigniewem do tańca. Piękna to była para. Pierwszy taniec skończony. Zbigniew ustępuje swe miejsce wiejskiéj młodzieży. Kilkanaście par, z dorodnych chłopców i dziewcząt złożonych, do osta-

taiego osłabienia wycinają kozaka, tropaka, w prysiudy i inne narodowe tańce. Wesołość się wzmaga. Gwar wzrasta. Starzy i młodzi jedzą, piją, gwarzą, tańczą, śpiewają. Pijani zaczynają się przymawiać, kłócić. Wójt i Jacenty ich godzą. Hulanka trwa trzy przeszło godziny. Nareszcie wszyscy szczérze dziękują swojemu panu i rozchodzą się po chatach z piosenką na ustach. Jacenty udaje się także na spoczynek.

Zbigniew wyszedł na ganek dla użycia świéżego powietrza. Dreszcz przejmował jego ciało, ogień czoło i jagody młodzieńcze rozpalał. Czuł się źle. Noc była cudna. Po niedawnym gwarze i zgiełku uroczysta cisza panowała w naturze. Wietrzyk ani jednym nie zaszeleścił listkiem. Las jednak ponuro gwarzył. Na zachodzie dawała się spostrzedz czarna plamka, w kształcie obłoku. Kilka chwil, zatopiwszy oczy w błękitném przestworzu niebios, przysłuchywał się się młody szaleniec oddalonemu szmerowi kaskady, wreszcie, jakby się ocknął z ciężkiego snu, szybkim krokiem podążył do swego gabinetu, oświetlonego bladym kosym promieniem księżyca, który odbijał złocisto-świetlane na podłodze okna. Tu długo przechadzał się wzdłuż pokoju. Duma goniła dumę na jego smętném czole. Myśli chyżo leciały: jedne gorzkie, zaprawne piołunem, tamują mu oddech, czarę jadu do wypicia podają duszy, lub, nakształt uraganu, porywającego w swe dziko rozhukane objęcia ciche i spokojnie przed tém płynące bujne fale nieskończonego lustra oceanu, szarpią go, męczą i w wir strasznéj wtrącają katuszy; inne promienne, w rzewno-przyjemnych, powiewnych woalach wspomnień chwil szczęścia, ozdobnych rozsianémi na nich szmaragdowémi iskierki przeszłéj nadziei, jak wzlatujące po nad srebrzyste od blasku gwiazd fale jeziora, ulotne Świtezianki i wodne poleskie Rusałki zbłąkanego strzelca — wabią, rozkoszą się śmieją... »I smutno, i tęskno i niema czyjéj uścisnąć dłoni w burzliwą duchową chwilę,« jak mówi rossyjski poeta *). Któż zdmuchnie mu z czoła pyłki zjadliwe, kto myśl jego osłodzi? Sam, sam zupełnie śród wielkiego przestworu świata, śród milijonów ludzi!

»I ciche, smutne płynęły godziny.«

Grzmot raptowny głucho - przeciągle rozległ się w powietrzu, a wężykowata platynowa błyskawica, podnosząc w oka mgnieniu piekieł

*) Lermontow: »Герой нашего времени.«

zasłonę, elektrycznym blaskiem oświeciła pokój. Na dworze zaryczał silny wicher, szamoce on drzew wierzchołkami, jak upior, kołata w okiennice, jak widmo, wyje. W szczelinach komina zawiszczało nagle. Wisk ten przenikliwy, okropny jęk czysca. Zbigniew zadrzał, ogarnęła go trwoga, przeżegnał się. Okrążony był ciemnością dokoła. Czarne chmury okryły horyzont. Burza wzmaga się, jęczy, ryczy. Słychać łomot gałęzi w lesie, krzyk przerażonego ptactwa. Wtém nowa błyskawica od wschodu do zachodu niebo rozdziera, a silny, jakby stu harmat wystrzał, grzmot, od którego tafle szyby zadźwięczały w oknach, ocuca go z letargowego oniemienia.

— Ach, cóż się to ze mną dzieje?! zawołał on, gwałtownie chwytając się za głowę. Burza—to ja... Krwiożercze larwy, hydry, hijeny przeklęte!... O. źle kochać, a kochać wiele na ziemi! Wszystko, com ukochał, jadem serce napełnia. Straszno mi!... Przeszedł się smutnie wzdłuż pokoju. I ona mnie nie kocha... nie kocha!... powtórzył rozpaczliwie. Była zimną przy pożegnaniu, tak, przypominam sobie... Ow uścisk— Boże—chłód lodu z pod bieguna niemoże być zimniejszym!!... Matyldo! niedobra Matyldo!... Ach, nacożem cię poznał? na cożeś w mém łonie roznieciła żar zabójczy? Czuję, że ta miłość szalona tyranizuje mię, zadaje gwałt memu powołaniu, złamać mię usiłuje... Ja występuję do walki, a jestem z sił wyzuty, chcę zwycięzcą zostać, a krępujących mię więzów skruszyć niemogę. I stoję oto podobny do fircyka, co w azardownéj grze stracił całe swoje mienie... Tak, zwyciężyć, lub zginąć! zawołał, powstając nagle, a błyskawica w téj chwili okryła dziwnym blaskiem twarz, z któréj świeciły ból, męztwo i energija. Zwyciężyć! powtórzył. Pojadę, przekonam się... Jeśli prawda... *Adieu, mon amour*... Wszak miłość to tylko osłoda, rozkosz doczesnego życia, a cel jego inny, cel wielki, jak ogrom uczucia, zawartego w méj piersi... Żyję nie dla siebie: życie więc me, jak cudzą własność, cenić jest moim obowiązkiem! A ja ją tak ukochałem, tak kocham!

Bujne łzy, spływając po bladéj twarzy, ulgę przyniosły sercu.

Dziwna, dziwna ta marząca, tęczowa, pełna nadziei i wiary, a często w tych skarbach duszy zawodzona młodość! Święte uczucia i niczém nieograniczona miłość—to jéj symbol, jéj sztandar, powiewający godłem poświęcenia bez granic, jéj skarb najcenniejszy, niestety, tak często łamany na drodze życia, pełnéj goryczy, zdrad, zawodów, na tym

padole płaczu, jak mówi poeta! O, bo też młodość taka nie każdemu w duszę jest wlaną, a ludzie dla niéj—to ohydna hijena. wysysająca krew bytu z cnót anielskich, to smok poczwarny, pożerający je, to nizko pełzająca żmija podstępna, która swém żądłem truciznę w wielki duch jéj wlewa. Dziwna, niepojęta ta promienna wiosna ziemskiego życia! Jedne obrazy jéj pełne uroku, piękna, zachwytu, inne namiętności, burz i walk śmiertelnych, od których może cały los przyszły, przyszły rozwój charakteru osobistéj jaźni zawisły. Śmiało, nieustraszenie pnie się ona, pełna otuchy, na wysoką górę, gdzie dzikie wąwozy, czarne przepaści, cierniе krwawiące na każdym niemal spotyka kroku. i—albo pod nawałem tych nieprzewidzianych trudności i przykrości drogi, jeśli małosilnego ducha, ślizga się i spada w przepaść zguby i zbrodni, gdzie nikczemnie ginie; lub się ztacza na dół, by tam, na wzór milijonów człowieczych mrówek egoistek i polnych koników, czołgać się w prozaizmie życia, w epikureizmie ciała, w materjalizmie widoków; lub, jeśli ducha, uświęconego wyższą siłą, w nieustannéj więc walce i bolu, dosięga góry szczytu, i tam, chociaż może złamana w swych zasobach, lecz mocna duchowną swą potęgą, z wyżyny patrzy na różne drogi tych czołgających się u podnoża góry płazów—ludzi, wybiera i drogę świętéj wskazuje prawdy. Gorzka dlań była nauka niesprawiedliwego świata, płacąc atoli za kamień chlebem, daje mu ona w zamian do wypicia napój, niekiedy przykry nawet, ale we wszelkich chorobach moralnych skutecznie działający. Szczęśliwy, kto cierpienie mężnie przeniósł, w boju wytrwał, zwyciężył, na drodze życia nieupadł, wyższéj idei celu doszedł!

Takicto były dwie ostatnie noce w dotychczasowém życiu bohatéra naszéj powieści.

IV.

»Niegardź przodków podaniem, owszem za ich torem
Zbogacaj dostrzeżenia nowych przestróg zbiorem.«

»Oto jest chwila pracy—niech ją rolnik chwyta.«
K. Koźmian.

— No, więc jakże? gadaj.

— Powiedziałem, moja kochana żono, żeby poczekali, że przez dwa

miesiące, mości dobrodzieju, oddamy i długi, i procenta, i procenta (procentów nawet, jeśli tego zechcą.

— O baronie niewspominałeś?

— Ale jakże, cudna ty moja żono, niewspomnieć, kiedy się sami d pytywali, czy to prawda, mości dobrodzieju? Onito właśnie li na t *mariage* liczą i dla tego będą zupełnie, Blandziu moja, milczéć, l baron niedowiedział się o długach i niezerwał...

— C'est bien, c'est parfaitement bien! Kontenta jestem z cieb Przy tych słowach twarz Marka rozpłomieniła się nieopisaną r dością.

— Wieleż wizyt było? zapytała po chwili Blandyna.

— Cały dzień łazili, aniele mój, najpiękniejsza, najsłodsza z ż wszystkich pod słońcem, żono moja, mości dobrodzieju! A ja żałował żeś ty, czarodziejko moja, wyjechała, że niebyło cię w domu, pa que, chociaż niejestem głupi, ale vous savez mieux que moi, j im było zaradzić. Bo czyż jest na świecie istota rozumniejsza n ciebie?!...

— Tak, rozumiem, łaziły te natręty, jak zwierzątka, których mi zakazaném jest przez zakon Mojżesza i alkoran Mahometa.

— Ot to, to, to, właśnie, jak raz, potwierdził domyślny małżon jak świnię, mości dobrodzieju, jak świnie!

— Ktoż był?

— A djabeł ich przeliczy! Abramek huncwot—to raz, Srul Lejzo wicz szachraj—to dwa, ten *łajdak* Moszko Odnowiecki—to trzy, Jan szubienik—to cztéry, Mateusz Sadyba kutwa—to pięć, Łukasz Po czalski lichwiarz—to sześć, Krzycki Garłacz, żeby mu język spu hultaj—to sześć, nie, to już siedem będzie, Biedniewska, jędza przekl co mi głowę przeklektała—to ośm. Poczekaj, ktoż więcéj?—aha:] dzicka wdowa przyjeżdżała tu prostym wozem z trojgiem dziec obdarte to szmatłajstwo krzyczało, że zaledwie inni dłużnicy uspol ją mogli nadzieją na worek barona, to już będzie, zdaje się ośm, poczekaj. Pożyczalski, Krzycki, Biedniewska, Nędzicka, to już zna się dziewięć. Potém Zagrabowicz, młody frant, którego byłem opiekur przyjeżdzał tu dla zakończenia polubownie processu; przystaje on połowę owéj stu tysięcy napaści, naciągniętéj na mnie za opiel

to dziesięć. Aha, szlachcic Janko Berestynka, ów skąpiec, pan Obdarowicz, pan Ciągalski, i dwóch kacapów Chwerechwentij i Charałampij—to pięć, pięć a dziesięć, to już piętnaście. A djabeł ich zresztą wszystkich zliczy, moja miła żono, mości dobrodzieju. Jeden po drugim, jeden po drugim łazili, aż się wszyscy razem, nieoceniona moja, rozumiesz, wszyscy razem zebrali... Widać, że się łajdaki wprzód umówili... Myślałem, że głowę stracę! Wprost Sodoma i Gomora, mówię tobie!

— Cha, cha, cha, cha, cha! rozśmiała się serdecznie hrabina. A to miałeś kompletną przyjemność! No, i dwa miesiące spokojnie czekać będą?

— Najspokojniéj.

— C'est bien, c'est parfaitement bien. Jaśnie pan baron powinien znaczy do dwóch miesięcy ożenić się, aha! W tém moja rzecz. C'est moi, qui doit faire cela. A późniéj... późniéj niech sobie sprzedadzą wszystko; djabli bierz i kredytorów i długi i majątki, jesli inaczéj zaradzić temu nie będzie można!...

— A tak, tak, djabli ich bierz, mości dobrodzieju!

— Wyjedziemy wszyscy do Niemiec, do baroń　stwa fon Schpitz!...

— A tak, tak, wyjedziemy do barońskiego von Schpitz, mości dobrodzieju! powtórzyło żyjące echo Blandyny.

— A propos, czy zrobiłeś rachunek długów, które kazałam ci spisać?

— O co to, to jest, ma belle, mon excelente femme!

— Wieleż wszystkiego?

— Z niepłaconymi procentami i procentami od procentów, długiem bankowym i kaziennymi wszystkiego, aniołku mój, mości dobrodzieju, jest 656,742 r. 73³/₄ k. Widzisz, duszko, ja tam tych owych kopiéjkowych i ułamkowych wyliczeń nieumiém, to poczciwy plenipotent Chapalski w czasie twéj niebytności wyliczył mi...

— Qu'est ce que vous dites? 656,000 rubli! Sacré nom de Dieu! To okropność! Wieleż majątek nasz oceniony?

— Chapalski mówił, że według teraźniejszéj, mości dobrodzieju, ceny wart on 200—250 tysięcy rubli.

— Jakto 200,000 rubli, co ty pleciesz? W głowie ci się przewróciło. Cenność jego sięgała przecie więcéj milijona!

— Ależ i wszyscy, moja ubóstwiona żono, i Chapalski mówi, że cena majątków obecnie we trójnasób spadła.

— Głupiś, zawołała Blandyna ze złością, głupiś z swoim Chapalskim razem! To być niemoże! Zresztą i na to poradzimy.. Hm... Niektóre rewersa można będzie obwołać fałszywymi... wszcząć processa.. innym dać po złotemu od rubla.. powinni się zgodzić...

— Jużto i ja tak mówię, ale Chapalski...

— Milcz, głupcze bezmózgi, milcz! Zawsześ do niczego..

— Dalibóg, ja nic... ty masz najzupełniejszą rację, odparł najpotulniejszy z Marków.

Gdy taka czuła rozmowa miała miejsce między szanowną parą małżonków, a było to, dodamy, w chwili poetycznéj, o szarym mroku, na dziedzińcu zabębniły bałagulskie dzwóneczki i pod ganek zajechała szlachecka bryczka, ciągniona dzielną czwórką siwoszów, z których żaden nieprychnął wesoło, z czego siedzący w niéj Hulski zauważył, iż z przybycia jego gospodarze niebardzo będą kontenci...

— Qui est-ce qui est venu? zapytała Blandyna i żywo z ciekawością podbiegła do okna. Ah, ce vieux simple! dodała z niechęcią. Może także po dłużek raczył przybyć, więc go napędź, bo to nieuczciwie... przecie na rok pożyczył...

Wszedł Hulski. Po zimném z obu strón przywitaniu się i krótkiéj niewiążącéj się, przymusowéj rozmowie o *zdrowiu* i *pogodzie*, bez wszelkich ogródek, w dobitnych słowach opowiedział on hrabiostwu, iż wié całą krytyczność obecnego ich położenia, i że właśnie przyjechał do nich w celu udzielenia im rad zbawiennych, jedynych, jakie przy podobnym składzie interesów przyjąć należy. Zdziwienie i przestrach opanowały szanowne małżeństwo. Najpierwéj ofuknęło się ono, późniéj zaprzeczało, ale gdy Hulski przedstawił fakta swéj wiadomości, zamilkło i czekało, pełne trwogi, do czego zmierza ta przedmowa starego szlachcica. Hulski ciągnął daléj:

— Otoż, umówić się, mospanie, z wierzycielami wam wypada, wypuścić im w dzierżawę wszystkie wasze majątki na lat jakich dziesięć, piętnaście, co najmniéj, dla ubicia i długów i procentów, mospanie. W przeciągu tego czasu, notabene, wierzyciele z dochodów mają wy-

płacać bankowy i kazienny dług. A sami powinniście się ograniczyć jedną jaką wioską, excypowaną sobie. Wierzyciele wymówili się właśnie, iż gotowi byliby z chęcią przystać na podobną propozycję; wam zaś ona zapewnia całość i oczyszczenie majątku, mospanie.

— Ależ panie, wycedziła kwaśno hrabina, pan zapominasz do jakiegośmy przywykli życia... ograniczyć się dochodami jednéj wioszczyny? to nędzota!... Sacré nom de Dieu!

— A, mościa hrabino, nietylko Sacré nom de Dieu, zawołał Hulski w złości, ale sacré nom de nom, de nom de diable et de l'emportage et de celui qui dit et qui pense et qui fait quelque chose de mauvais!! mospanie, ot co!...

— Mości Hulski, pan się zapominasz... To rzecz niepodobna!

— A, to jak się podoba! Jedyne to jest remedium, mościa hrabino dobrodziéjko, jedyne remedium, mospanie, które, jak Matkę Najświętszą kocham, i uczciwością swą do was przemawia, gdyż niepuścicie z torbami tych wielu nieszczęśliwych biédaków, co w wasze ręce w dobréj wierze złożyli swe pieniądze, i majątek niepójdzie w cudze ręce, lecz zostanie przy was i czysty przejdzie w ręce waszego potomstwa, zapewni byt waszego syna, któremu, chowając na panka, niedaliście nauki. Zaś gdy córka wasza wyjdzie zamąż, zięć dopomagać wam będzie. Ot, naprzykład mospanie, Młodziecki, czegoż żądać lepszego? Chłopiec przystojny, nie utracjusz, niebiedny przytém i niegłupi, a ma poczciwe i zacne serce, mospanie, i kocha waszą Matyldę, a nie jéj posag, którego niema, szalenie. Wydawszy więc za niego, będziecie nawet mogli mieszkać przy nim, będziecie zupełnie spokojni o szczęście dziecka waszego, mospanie.

Hrabiemu pomysł ten przypadł do smaku. znać to było po jego głupio-zadowolonéj minie, chciał już był coś mówić i usta otworzył, ale, ujrzawszy zwrócony na się groźny wzrok żony, zamilkł, wydając tylko jakieś *quasi* baranie: e-e-e-e-e!

Propozycja Hulskiego została bez odpowiedzi Rozmowa ciągnęła się jeszcze czas jakiś zimna, wymuszona. Matylda, wymawiając się lekkim bolem głowy wcale niewychodziła, nawet na herbatę. Nareszcie zmęczeni i niezadowoleni—udali się na spoczynek.

Hulski, chodząc po obszernéj komnacie w lewém pałacowém

skrzydle, tam, gdzie niegdyś Zbigniew oddawał się pełnym rozkoszy marzeniom, i pykając ulubioną w samotności fajeczkę, rozmyślał półgłośno:

— Mospanie, fe, mospanie nie tak idzie, nie tak się klei... mospanie, osioł jesteś, jak uważam -- i kwita... kompletneś, mospanie, do niczego —i basta... Nic ci się nieudaje, boś stołowe nogi... A prawda?—Prawda, odpowiedział sam sobie, zmieniając głos na cienki. — Ach, baryłoż ty puste, beczko zakapuszczona, czopie od dziegciu!... Nu, nu, ha,.. a wiesz co? hm... możeś i niewinien... hm... Tak, niewinien, niewinien, bo cóż zrobisz z baronem lub z hrabiną?... Temu panku mówiłem pod sekretem, że Matylda niema nic, że goła, mospanie, jak święty turecki, że ujemny tylko, a nie dodatni można tam mieć posag... Niewierzył, dąsał się, sapał... Mówiłem, mospanie, że na niego liczą, bo za długi cała majętność hrabiostwa może pójść z licytacij, a on wykrzyknął w złości: »To i cóż stąt? Ja się pętę szenić i pes posag, ja mam pokactwa, mój flasny, fielki pokactwa, jak Krezus!« Ach, Schpicu ty, bestjo stara! Biedny Zbigniew zwarjować może, jak kocham Najświętszą Panienkę Częstochowską, może, dalibóg, może!... Chciałem pomódz, jak mi Bóg miły, chciałem, ale cóż poradzisz z niemcem i z babą, mospanie? Gdzie djabeł niemoże, tam babę poszle, niedaremne przysłowie!—Ale poczekajcie, psiawiary, czubki wymuskane, mordy filigranowe, nosy zadarte, mospanie! Poczekajcie, wygracie z sobą, jak Zabłocki na mydle... A, wy kapszuki nadęte, kociuby Lucyperowe, kwacze zasmolone, i ja wam niedaruję, o niedaruję swojego, jakem szlachcic, mospanie, z dziada i pradziada, po mieczu i po kądzieli mospanie! A wara! a zasie! Ho, ho, napadł frant na franta i wyciął mu kuranta! Wal, krop, mospanie!... tu schwycił leżący na biórku kawałek papiéru, chwilę pomyślał i zaczął pisać...

— To kuta bestja! mówiła w tymże czasie hrabina do potulnego Marka, je vous assure... Pożyczył kilka tysięcy, więc namawia, by mógł sam panować w naszym majątku.. Ten profan gotów wszystko opowiedziéć baronowi.,. O, ja nieszczęśliwa, oh, je suis malheureuse, i załamała ręce z rozpaczą. Albo, dodała po chwili, proponować mi podobne *mésalliance!—fi donc!* co za śmiałość! brutal, szlachetka!

— Tak, tak, moja ty nieporównanéj piękności żono! potwierdzał,

kiwając głową, Marek. Ach nieirytuj się duszko krzyknął na końcu, rzucając się z namiętnością objąć oddającą się rozpaczy żonę...

Po nabożeństwie w niedzielę, hrabiostwo zaprosiło kilka przyjacielskich osób z powiatu do siebie, na objad. Trzy karety i dwa eleganckie kocze toczyły się szybko po pylnéj drodze z miasteczka do Zatarcia. W jednym z koczów, odznaczających się przesadą w złoceniach i wielkimi herbami, których tam tylko, gdzie rzeczą niepodobną było je umieścić, niebyło, buchał wonnym dymem hawańskiego cygara *bajaderos*, rozwalony *à la nouvelle mode*, baron Alfons von Schpitz. W jednéj zaś z karet. odznaczającéj się świeżością i ostatnią modą, gdyż ze wszystkich w całéj gubernji swych rodaczek, ona to ostatnia przed kilku dniami przyjechała z Wiednia dla zamieszkania w osobliwszych tutejszych okolicach, które dochod swój, polskie grosiwo, pompatycznie wlewają w ręce niemca—karetnika, siedziało hrabiów czułe małżeństwo i panna Matylda. Hrabina czytała głośno list od dziecka swego, od Apolonjusza, odebrany z poczty, a serce macierzyńskie nieraz zadrgało z radości na wysoki dowcip jego *epistolarnéj elokwencji*. List ów był treści następującéj:

»Jaśni Oswicona Matko Moja I Hrabino!

Chère Mutterchen vi ze Ja o tsymał wysoko tonki miesce. Bo ten prezes. o kturm ja już psał kuren muvil że, kturego jakmu po dobasie Do kturego Zechce pod wyschy mjcica Mnie po lubił. boyemu Ja swisnoł wnos zc Pan cało genbo, a un vi że Ja na leżę do Beau monde i Mam une bonne pronontiation française i Jestem wsalon ach Barzo dobre.—Ja tanszyl unie Go z Wiesem fraco wkubie, kry tzal na fago i schyku na puścil ażpod nos wsyskim profanom, Bo tusame allobrogi z k turmi 3 słuw po muwic trud no, Nitz ni viedzo salon owy maniery. Dum JWPrzsea ty lko Ma une bonne pronontiation française j etykietę i jes Barzo oschwicony jaknatu tej se pays!!! by Wam wienc i na nowe tonki visites tzento Prezes bgaty. il est très riche et sa fille m-elle Hlikerya Pachomievna est très aimable...... Comprenez-vous, chère Mutterchen?—Ja prose mo iei JOHrabiny żeb pschysłać Mni swiemtego kvantym ze 300 ka koniэnie bo Ja po tschebui Badzo a kied yb nie pryslala Mutterchen Ja pozytze u P. mojrzesa. Bo Ja jtó znalaz zciduw, Ja tzalui zWysokjm Schucukim Racki Matki i Jas nie Wjl-

možno Go Oca marka J. Oswicon Go Hrabiotwa na Zatarciu i rydło Siotry matildy

i zostai i z nawyschym sacnkim i tcio Dla wsytk Jch. iako
i syn i sługa Hrabia Apolonius.

— Kochane dziecko, cher fils, wymówiła hrabina skończywszy czytanie.

— Tak, tak, kochane dziecko, źle tylko, że wziąwszy sześćset rubli przez trzy miesiące znów prosi o trzysta i nowym długiem grozi, mości dobrodzieju, zawyrokował hrabia.

— Ale dajże mu pokój, przecież musi się przetrzéć w świecie

— Ma tylko brzydką polską wymowę, okropnie się tłómaczy, to jest *mauvais genre. Beau monde* potrzebuje znajomości wykwintnéj i tego języka, zauważyła hrabianka.

— Dotąd wszystkoście uczyli po francuzku dla wprawy, będzie jeszcze dość czasu dla nauczenia się polskiego języka, odparła hrabina.

I cisza zaległa wnętrze powozu.

O kilka werstw za pociągiem karet i koczów przyjemnie turkotała zgrabna, jak piękne cacko, nejtyczanka, zaprzężona dzielną czwórką dobranych karych muców, a w niéj siedział smutny Zbigniew Młodziecki, który, wprawdzie niezaproszony, pośpieszał jednak do Zatarcia. Nejtyczankę napędzała znajoma już nam bryczka o czwórce siwoszów z bałabonami. Obie się zrównały, i Hulski serdecznie uścisnął Zbigniewa, siadł z nim razem, śmieszył go, był w bardzo wesołym, różowym, jak nazywają, humorze.

— Czy przypominasz sobie pani, szepnął, w kilka godzin późniéj, młody Zbigniew, skłaniając się do uszka Matyldy, siedzącéj na uboczu od wesołego towarzystwa, czy przypominasz ów zachwycający śpiew:

»Tutte le feste al tempio mentre proga Iddio
Bello e fatale un giovane offriasi al guardo mio!

— Ah!... odpowiedziała, blednąc, jestto wyjątek z opery Rigoletto von Verdi...

— I nic nad to?....

— Cóż jeszcze więcéj?... zapytała z pewném drżeniem w głosie.

— Pani się pytasz?.., Czyliż ci ta strofa nie przedstawia w pamięci inną, inną chwilę?... Wówczas, jak i dzisiaj, widziałem cię, pani.. Było to także po powrocie z kościoła... i słónko tak samo świeciło... Ach! to była wiosna, dziwna, rozkoszna wiosna! a dziś, słyszysz, wiatr chłodnéj powiewa jesieni...

— Zkąd te wyrazy?.. Co panu? Twe oczy błyszczą, jak w maligniei?

— Matyldo! szeptał uniesiony Zbigniew, Matyldo, zaklinam cię, błagam, powiedz, czy to prawda, co słyszałem?... Ty mię rozumiesz, jedyna moja!... O, zaprzecz, zaprzecz, niech usłyszę od ciebie wyrazy: to fałsz, to nikczemna potwarz!... Matyldo! cudny śpiew ten niech znów się ulotni niebiańskim eterem z twych łabędzich piersi, z twych ust różanych, niech zadrzy w powietrzu melodyjnymi tony, niech promienna zlewa blask nań miłość,—a, upojony rozkoszą, zapomnę wszyskie cierpienia!...

— Nigdy, nigdy! zawołała gorączkowo prawie Matylta, i, podniosłszy się szybko z krzesła, dodała cichym, ledwie słyszanym głosem: Zbigniewie, luby mój, między nami wszystko powinno być dzisiaj skończonem... Posłuszeństwo woli rodziców i, o którym wiesz, materyalizm interessów nakazują... Prawda, jestem zbyt otwartą.. Żegnam cię nazawsze... nazawsze... nie... wszak będziemy się mogli widywać z sobą..... mój drogi... dodała prędko i, ściskając silnie jego rękę, zakryła twarz batystową chusteczką i prędkim krokiem postąpiła ku drzwiom.

Zbigniew stał, jak piorunem rażony. »Wszystko skończono«, »nazawsze«, »widywać« tysiącznem się echem odbiło w jego sercu, mózg mu świdrowało. Niewidział on nawet przenikliwie groźnego, zwróconego na się, wzroku hrabiny, która w téjże chwili dała ręką znak baronowi. Von Schpitz zabiega drogę Matyldzie, chwyta jéj rękę i z pełną światowości galanteryą, poprawiając szkiełko na oku, przemawia czule:

— Tokąt tak śpieszi mili hrapianka?

Twarz Matyldy przybrała natychmiast pełen powabu wyraz, ścisnęła ona zlekka wydelikaconą rękę barona i rzekła uprzejmie:

— Coż to barona obchodzi?

— Mnie zafszie opchodzi lieconca ptasziek taki, jak slicz'ny hrapianka Matilde! Sluszie pani!—dodał z kurtuazyą i, prowadząc pełną wzajé-

mnych komplementów i wyszukanych frazesów rozmowę, dobrana ta para wyszła do drugiego salonu.

Zbigniew natychmiast chciał był wyjechać, ale niewidzialna jakaś siła zatrzymywała go w tym domu, przykuwała do miejsc tych. On się przekonał, że Matylda, podzielając rzeczywiście w części jego miłość, dozwoliła, zgodnie z odebraném wychowaniem, by rachunki materyalne, cieleśne, brudne górę w jéj zwichniętym charakterze wzięły i przez to poniżyły ją, okryły warstwą błota jéj dotąd niepokalanéj w jego oczach czystości duszę. Siedział on nieruchomy w kącie salonu, nie uważając ni na pocieszające słowa, ni na łajania Hulskiego, w czasie, gdy wesoła hrabina przed innémi gośćmi, paniami i panami, pokazywała jedne za drugimi zrobione za granicą sprawunki; każda rzecz z nich była pyszna, bogata, a głównie — droga. Dokoła wychwalano axamity, materye, muśliny, batysty, weby, koronki; podziwiano cudny wyrób kolji, broszek naszyjników, bransoletek, kolczyków, pierścionków i rozmaitych innych biżuteryi; wynoszono pod niebiosa świeżo sprowadzonego z Paryża kuchmistrza, który w obiedzie dzisiejszym, zmiatanym przy dźwiękach grającéj na estradzie muzyki, wykazał całą sztukę gastronomicznego rzemiosła francuzów; chodzono nawet opatrywać ową wyżéj wzmiankowaną przez nas cudną karetę i angielskie szory, a obecny tu, były powiatowy marszałek, pan W. co chwila wykrzykiwał:

— Pyszne sardele! Wyśmienite strasburskie pasztety! Ale że też to i o pasztety z Amiens postarała się nasza dobra hrabina—to osobliwość, to rzadkość!

Towarzystwo wreszcie głośno zadecydowało, że wyprawa dla Matyldy wytworna; z cicha zaś szeptało, szydziło, a na twarzach pań widocznie się rysowała zazdrość... Po skończeniu tak ważnego zajęcia przepatrywano humorystyczne, pełne karrykatur dzienniki zagraniczne, pisma francuzkie i niemieckie, albumy, napełnione widokami z rozmaitych okolic; hrabina zaś bawiła xiężnę *** opowiadaniem historji odbytéj podróży.

Po chwili weszła do salonu Matylda, a za nią baron Alfons. Rozmowa się toczy o tém i owém. Hulski przysuwa swe krzesło i przyjmuje w niéj czynny udział, ożywia i uwesela całe towarzystwo Pani Marszałkowa, z którą właśnie zamienił był przy rozpatrywaniu paryz-

ı illustracji słów kilka o literaturze bieżącéj, daje mu grzecznie zaanie, czy nienapisał czego ostatnimi czasy, a odebrawszy potwierjącą odpowiedź, grzeczna Marszałkowa prosi o przeczytanie, a za całe towarzystwo podobnąż prośbę powtarza, nalęga. Poczciwy nasz nkowy poeta, Wilibard, odmówić pięknym paniom niemoże, niby z chęcią dobywa z bocznéj kieszónki szpargał i powtórzywszy z parę y: — Dawniéj się to już pisało, mospanie, dawniéj... Łysa moja głowa dzi państwa,... utrze nos czerwoną kraciastą chustką, głośno odchrząe i zaczyna wyraźne i dobitne czytanie swego utworu, gestykulując jak najkomiczniejszy sposób wibrującą każdym muskułem twarzą i hami rąk niżéj przytoczoną tu scenę:

CÓŻ POTÉM?

Scena dramatyczna z terazniejszego świata.

Osoby:
- *Alfred von Gapski*, baron lat do 60-ciu, trochę głuchy.
- *Klara*, córka niebogatych rodziców, lat 17-tu.

Rzecz dzieje się w skromnym bawialnym pokoiku, w domie rodziców ry.

Baron.

Słuchaj dziewczyno, kocham cię szalenie,
Dam ci me imie, dam ci moje mienie,
Daję ci wszystko, co tu mam na świecie:
Zgódź się nareszcie, bądźże moją przecie!
Wszak Janek młody, niewierz mu, szalona!

Klara.

Tyś baran stary, głowa rozmarzona!

Baron.

Tylko nie *baran*, *baronem* się zowię,
Baron von Gapski. Klarcia mi odpowie,
Jeśli przekręca *szlacheckie nazwanie*...

Klara.

Ach, idźże sobie łysy, nudny panie!

Baron.

Grubiaństwo Klaro! Wcale nieprzystoi
Grubiaństwo młodéj pięknéj dziewoi...
A ja cię kocham, mój złoty aniele! (*kaszle*).

Klara.

Niech stary kaszla, to się rozweselę. (*śmieje się*).

Baron.

To tak, nie stary... lecz się zakrztusiłem.
To tak... lecz co też przed chwilą mówiłem?
(*do siebie*)
Śmieje się proszę! (*głośno*) Ależ pomyśl przecie:
Mieszkasz w salonach, a jeździsz w karecie,
Służba w liberji na twoje rozkazy,
Herby w pałacu błyszczą miljon razy...

Klara.

Piękna kareta? (*do siebie*) Świetną daje dolę!
(*głośno*):
Pałac czy wielki? (*do siebie*) Lecz ja Janka wolę!...

Baron.

Co mówisz Klarciu? coś nie dosłyszałem

Klara.

Pięknyż masz pałac? (*do siebie*) Ja kocham z zapałem...

Baron.

Pyszny aniołku! A co mam brylantów,
Kolji, pierścionków, złota, drogich fantów.
No, pomyśl tylko: będziesz dumną panią!

Klara (*do siebie*).

Lecz jakże wielką zapłatę dać za nią!...

Baron.

Co mówisz Klarciu? (*do siebie*) Aha! jéj myśl nowa:
»Klara von Gapska, piękna baronowa«...
(*głośno kaszlając*)
Ze mną w przepychu, a z Jankiem twym w biedzie...

Klara.

Tak.. Za granicę baronie Alfredzie
Pojedziesz?

Baron (*uprzejmie*).

Czemuż? natychmiast i z tobą!
Wdziejesz atłasy, (piękną garderobą
Szczyci się Paryż). Wezwę guwernantkę
I po francuzku mą żonę—kochankę

Uczyć rozkażę (*kaszla*). Bo też żona owa:
Klara von Gapska, dumna baronowa!... (*uśmiecha się*).
Klarciu, więc jakże? świetną widzisz dolę?

Klara.

Paryż... kareta... Co tam! Janka wolę.

Baron.

Śmieszna dziewczyno! sądzisz nierozumnie.
Spójrz, jaki przepych, jaka rozkosz u mnie!
Słuchaj Klaruniu: *baron*, to mi *szlachta*,
Nie jakiś Janek Płachcki, niby *płachta*, —
Jakiś tam kubrak z jakiegoś Krakowa...

Klara.

Zamilcz pan! słyszysz? o nim ani słowa!

Baron.

Będziesz von Gapska Klara, *baronowa*,
Hucznie brzmi imię! Prawda, co niemoże?

Klara.

Tak... baronowa!... Dobry, dobry Boże,
Rzucić pięknego. jak Janek, kochanka?
O nie baronie, *może*.. wolę Janka (*zamyśla się*).

(**Baron** *do siebie*).

Dobrze, że starym teraz nienazywa,
Tam duma łechce... miłość się odzywa...
(*głośno*):
Prześliczna Klaro, nieźle ciebie cenię
Przyjmiesz me imie, tytuł, całe mienie,
W pałacu będą wielkie damy gościć;
Wasze zaś panny piekielnie *zazdrościć*
Będą *twéj sławy*, zabaw i rozrywek!
Cóż ci da Janek z tych nudnych przegrywek
Na jakiéjś dudce, czy jakimś tam flecie?

Klara.

Ach! co tu począć?... co począć na świecie?
Gdy będą u mnie wielkie damy gościć,
Powiedz mi, prawda że będą zazdrościć?...

Baron.

Pękną z zazdrości twoje rówienniczki,
Gdy ujrzą mitrę barońswa dziedziczki!

Klara.

Ach, co tu robić?

Baron.

Hę? odprawić Janka (*kaszla*).

Klara.

Jakto? wdzięcznego mojego kochanka?

Baron.

Nie nudźże, proszę o dwa słowa tylko:
Tak lub *nie*, wyrzecz!!

Klara.

Choćbyś jedną chwilką
Darzył, baronie, to ja się namyślę...

Baron.

Ani pół nawet. Powiedz strikte, ściśle:
Tak lub *nie*. Klaro, mów ostatnie słowo;
Jeśli *nie*... mówże przyszłą baronowo...
(ukazuje przez okno karetę).

Klara.

O dobry Boże!

Baron.

Co, coś powiedziała?

Klara.

Nic, to tak... głośnom o losie myślała.

Baron.

Hę? Co takiego? No, odprawisz Jana?

Klara.

Tak... nie... powróżę..
(*Zamruża oczy, wróży palcami w powietrzu po chwili*):
Ach żal mi kurhana,
Gdzieśmy siadali i cudnie marzyli...
On mi grał tęskno... (*zamyśla się*)

Baron.

Ani jednéj chwili
Nieczekam dłużéj. Odpowiedź gotowa?

Klara.

Zaraz baronie.

Baron.

Więcéj ani słowa!

Tak, czy nie?

Klara.

Zaraz (*myśli*)

Baron

Hę? (*kaszle*).

Klara.

Zaraz. (*do siebie*) Czasami

Janek przyjedzie tajemnie.. lasami...
Będziem gwarzyli... Baronową będę...
Bogactwa... zazdrość... (*uśmiecha się*).

Baron.

Do powozu wsiędę!

Klara.

Zaraz... (*do siebie*) Więc Janek przyjeżdża tajemnie...

Baron.

Klarciu, odpowiedź!.. (*wpatrując się przenikliwie w Klarę, do siebie*): A! więc dudka ze mnie
Chcesz zrobić?!... Nic to, gdy się ożenimy,
To pana Jana z główy wypłoszymy!...
(*pokazuje na stronie pięść i mówi głośno*):
Jakże?

Klara.

Ach zaraz! (*do siebie*) Zagadka nie łada.
Co mi w téj chwili uczynić wypada?...
Baron... i Janek... Co wybrać w téj biedzie?!

Baron.

Tak, czy nie?—Adieu!

Klara.

Jam twoja, Alfredzie!!

(Rzucają się w objęcia i —wyobraźcie sobie, mospanie,— stary, głuchy baron całuje młodą, piękną Klarę)...

Skończywszy czytanie, z rozczerwienioną od wewnętrznegc zadowolenia z siebie twarzą, Wilibard wstaje, kłania się uprzejmie li— gościom i, wymawiając się gosodarskiémi zajęciami, zaledwie na znak pożegnania z pogardą kiwa głową hrabiostwu, żegna towarzystwo, siada na przygotowane widać umyślnie przedtém siwosze, które w dzielnym kłusie i w brzęku bałobonów unoszą go coraz daléj od Zatarciowskiego pałacu.

Wrażenie, jakie zostawił po sobie, było nie do opisania: hrabina w ciągu czytania owéj dramatycznéj sceny, zaledwie powstrzymując wybuchy gniewu i złości, mściła się na batystowéj, oszytéj drogiémi koronkami, chusteczce, którą porwała w kawałki; Matylda, czując się blizką prawdziwego zemdlenia, a nie arystokratycznych spazmów, wyszła z salonu pod pretekstem bolu głowy; oczy bezradnego Zbigniewa, wlepione w twarz Hulskiego, połyskiwały blaskiem brylantów,—barona zaś lewe oko konwulsyjnie drgało, a oba patrzały dziką ironiją, zimnym sarkazmem, bezczelném szyderstwem, mówiły one: »wszystko mi jedno, niedbam o was, wiém co robię i dopnę swego!«... Księżna * * *, marszałkostwo W. i inni goście zdziwieni i wewnętrznie kontenci z czytającéj się i odegrywanéj w téj-że saméj chwili tragi-komedji, znacząco spoglądali to na siebie, to na gospodarzy i zaledwie powstrzymywali homeryczny śmiech, rwący się z ich piersi przy téj wcale nie hallucynacji... Jeden tylko hrabia Marek słuchał z baranią miną Hulskiego, i powtarzając co chwila: »uważaj-no moja duszko, moja ty najpoetyczniejsza żono, jakto on, mości dobrodzieju, te rymy umié składać!« śmiał się dobrodusznie.. Kto wié, możeby niebył tak wesół, gdyby choć raz był spójrzał w oczy téj najpoetyczniejszéj swéj żony...

Po wyjściu Hulskiego, Zbigniew, dla pewnego zamaskowania się, zabawił jeszcze z pół godziny, poczém wstał i, przeszedłszy się parę razy po salonie, grzecznym, lecz zimnym ukłonem pożegnał towarzystwo i spokojnym, mocnym jakimś, rezygnacyjnym krokiem wydalił się z salonu. To była ostatnia jego bytność w Zatarciu.

Inni, znajdując się, jak to powiadają, nie w swoim sosie, wkrótce także opuścili salon hrabiostwa, pożegnawszy się wprzód z niémi bardzo, bardzo, a nawet nadto serdecznie. Baron Alfons pozostał.

Niechcąc was nudzić, łaskawi czytelnicy i miłe czytelniczki, opiem naciągnięto—napuszonych, a kwaśno—nudnych miłośnych frazesów arona, tém bardziéj, że one były wymawiane w obcym nam języku, łodam tu tylko do wiadomości publicznéj, że tegoż wieczora baron Alons von Schpitz w najsentymentalniejszéj klęczącéj pozie oświadczył się rękę hrabianki Matyldy i za jednogłośną zgodą rodziców i panny takową otrzymał... Widać myśl, wyrażona przed tak liczném zebraniem w scenie: »Cóż potém?« przystała do nich, jak do... wolę nie skończyć... Zanadto wysoko ceniono tu materyalizm i sybarytyzm; za wiele był tu rozwinięty egoizm ciała, by serce i cześć—strony ducha—mogły zwrócić na siebie ich uwagę...

Po przyrzeczeniu, twarze szanownego małżeństwa połyskiwały radością; Matylda zaś chwilami bladła, a zwracając niepostrzeżenie wzrok swój w stronę, gdzie przed kilką godzinami siedział niepocieszony Zbigniew, ciche ulotniała westchnienie, lecz natychmiast się poprawiała, zwracała się do barona z jakiémś słówkiem, z przelotnym uśmiechem na plastycznie wyciętych usteczkach... Co do barona Alfonsa—ten był, zda się, wesoły, jak nigdy, lewe tylko oko jego zanadto mrugało i drgało elektrycznie, gdy mówił, iż wiadomą mu jest przykra majątkowa pozycja hrabiostwa i że nietylko ożeni się z Matyldą, nie potrzebując wcale żadnego posagu, ale nadto sam ma zamiar dopomódz własną kieszenią do oczyszczenia z długów Zatarciowskiego hrabstwa, lub sprzedania go i wywiezienia wszystkich Łyczków w swe niemieckie barońinstwo... Szanowne małżeństwo i jego młoda latorośl tak były rozczulone témi słowy barona, iż hrabina przyłożyła chusteczkę do pełnych łez oczu, hrabia wycałował serdecznie oba policzki przyszłego zięcia, hrabianka darzyła go—cud rozkoszy—uśmiechem.

W parę tygodni po opowiedzianych wypadkach odbyły się huczne zaręczyny barona z hrabianką. Mówiono, że szlachta tameczna wlała w siebie przeszło dwadzieścia tuzinów butelek, chociaż, jak zwykle na zaręczyny, było tylko zaproszone nieliczne kółko krewnych i bardzo blizkich przyjaciół.

Odtąd w sercach dłużników nastąpiła epoka spokoju, osiadł duch nadziei i, jak się im zdawało, stale tam zamieszkał, gdy się dowiedzieli o wyrzeczonych przy oświadczeniu się słowach barona co do posagu

przyszłéj swéj żony i interesów jéj rodziców. Tak dalece nawet ufali wszyscy w szczęśliwą gwiazdę Łyczków, iż jeden z powiatowych mędrców zamyślał już o wsławieniu swego imienia, przez wznowienie nauki astrologji... a przebiegłéj hrabinie udało się znowu zaciągnąć piętnastotysięczną pożyczkę na 40% u trzech afferystów i na 25% u dwóch łatwowiernych, zaskarbionych nadskakującém przyjęciem ich przez jaśnie oświeconą hrabinę szlachciców. Pożyczka zaś ta była zaciągnięta, oprócz ciągłéj chętki, że nawet nazwę, manji hrabiny do czynienia takowych, jeszcze z następującéj przyczyny.

Cały następny dzień, po zaręczynach, baron Alfons bawił w Zatarciu. Umawiano się o czas ślubu. Hrabina wymyślając rozmaite powody, a wiadomo nam, dla czego?—naznaczała go przez miesiąc, baron się niezgadzał, potrzebując, co najmniéj, pięciomiesięcznego terminu; na zapytanie zaś hrabiny, coby go do tak długiéj skłaniało przewłoki, odpowiedział, że dla uregulowania swych majątkowych interesów, równie, jak i dla wzięcia potrzebnych do wyekwipowania się przed ślubem pieniędzy, potrzebuje na czas jakiś wyjechać za granicę, do Pruss, do swych majątków, którymi, w czasie jego nieobecności, rządzi staruszka matka przy pomocy officjalistów, rządcy i plenipotenta. Myśl ta strwożyła niežartem hrabinę: »Matka, pomyślała ona sobie, może mu zabronić wejść w związki małżeńskie nawet z hrabianką, któréj rodzice w posagu dają cały regestr długów i dłużków... Zresztą, któż zaręczy za stałość uczuć barona... A jakiż koniec wtedy?«... Odmawianie jednak od tego zamiaru na nic się nieprzydało. Baron był upartym, ale po długich certacjach, wymówił się on jakoś niechcący, w rodzaju przypuszczenia, iż niespodziewając się nigdy tak prędkiego nastąpienia tego związku stracił odebrane niedawno z zagranicy pieniądze i wcale się doń nieprzygotował tak, jak wypada na człowieka, posiadającego przeszło dwa milijony fortuny; lecz że sam pragnie jak najprędzéj przybliżyć ową pożądaną dlań minutę szczęścia, więc gotówby był przyjąć propozycję hrabiny, gdyby do dziesięciu, które mu pozostały tysięcy, mógł jeszcze dostać przynajmniéj drugie tyle. Lecz jest to rzecz niemożebna, ponieważ on, baron, od kiedy żyje, niema w charakterze swym zwyczaju zaciągać u kogokolwiek długów... Projekt więc wyjazdu za granicę odmienionym być niemoże. A nawet, gdyby teraz, poświęcając wyższéj miłości swą akuratną niemiecką stałość w postanowieniu i odważył się

pożyczyć u kogokolwiek pożądaną summę, mógłby przez to samo podkopać swój autorytet, wiarę w prawdziwość swych bogactw. i takim sposobem narazić dóm przyszłego swego teścia na tysiączne ze strony kredytorów nieprzyjemności.

Usłyszawszy to hrabina wstała z kanapy i, zbliżywszy się do barona, rzekła:

— Panie Alfonsie, złapałam cię za słówko i teraz pan go, jak przystoi na człowieka honoru, spodziewam się, nie złamiesz. Oto przez tydzień będziesz miał, panie Alfonsie, owe, stanowiące, całą tamę do prędkiego uszczęśliwienia was, dziesięć tysięcy. Dam je panu. No, czy teraz zgoda?

Baron Alfons okropnie mrugając swém lewem okiem, zdawał się być bardzo zdziwionym, zmięszanym i ucieszonym zarazem. Czule wycałował on pulchne, białe rączki hrabiny i, niechcąc cofać wypowiedzianego słowa, przystał na wszystko. Zaś wyjazd za granicę odłożono na poślubie. Młodym w tej podróży miała towarzyszyć sama hrabina.

Tymczasem wieść o mającém nastąpić w tak blizkim czasie włączeniu bogatego magnata do rodziny Łyczków lotem strzały przeleciała całą okolicę. Ów mędrzec prowentowy porobił już pierwsze kroki do udowodnienia prawości doktryn nauki astrologji. Kredytorowie nadzieję swą zapieczętowali wiarą, przeszli w epokę pewnika i oczekiwali na prędkie odebranie pożyczonych dawno i niedawno pieniędzy, które niejednego z nich miały podźwignąć z ostatecznych: nędzy, ubóstwa, upadku i zguby. Officjaliści zaś zarządzający wioskami Łyczków, do uszów których pogłoska o zagrażaniu hrabiemu przez kredytorów licytacją, od podsłuchujących ową scenę sług, już była doszła i przeraziła okropnie, wystawiając całą bezradność przyszłego ich, a przynajmniéj większéj z nich części, położenia, officjaliści ci, mówię, niemniéj się ucieszyli tą drugą szczęśliwą wieścią. Sojusz ten małżeński zapewniał im przyszły spokojny kawałek chleba i ciepłą siedzibę, a te dwie koniecznie dane dla podtrzymania życia tak trudno pozyskać w teraźniejszości! Jak więc pierwéj, przewidując biedę i nieszczęścia, dla wspólnéj narady z bratem, tak teraz dla wspólnego pocieszenia się dobrą nowiną, odwiedzali siebie wzajemnie w swobodne od pracy chwile; z tą tylko różnicą,

iż gdy pierwéj w pocie czoła zapracowany pieniądz dusili i chowali na czarny dzień, teraz ów pieniądz potrzebnym się okazał dla podzielenia swéj radości z butelką i przy szklance. Ztąd więc wywiązało się kilka wieczorynek, zabaw, na które prawie każdy z nich najnieroządniéj wysypał niemałą część uciułanego i zamkniętego przedtém na trzy zamki grosza.

Ale cóż się, pytasz mię, miła czytelniczko, ze Zbigniewem stało? — Potém, — o tém. Teraz zaś mogę ci tylko powiedzieć pod sekretem, że jeśli zechcesz z wrodzonéj ci dobroci serca odwidzieć chorego duchowo Zbigniewa, niezastaniesz go już więcéj w tym gorączkowym, nienormalnym, entuzyastycznym, nawet stanie, w jakim widziałaś go po odebraniu pierwszych przerażających o ideale — dziewicy wieści. Zawiedziony w wybujałych wzniosłego serca marzeniach, a zawiedziony fatalnie, przybity, przygnębiony nadmiarem cierpienia, rozczarowany w wierze nizkim upadkiem ducha téj, którą umiłował, zamiast wyzwać przeciwnika i rywala swego, jak groził był w czasie uniesienia się i zapału zemsty, na pojedynek, przeniósł on cios mu zadany z rezygnacyą i męztwem, godnym charakteru młodego człowieka. Dla czegoż niepostąpił z baronem, jak był zamyślał? — bo pogardził tą, która była uplastycznionym jego ideałem, pogardził, gdyż znalazł w niéj nizki, haniebny upadek kobiecego serca!... On sam, niemogąc zatrzéć w sobie raz rozwiniętéj w powabne, pełne kielichy kwiatu piękna, miłości dla niéj, kochając ją mo że nawet przy doznanych przeciwnościach goręcej, jak przedtem, on sam, mówię, nieprzyjąłby jéj teraz do siebie, a gdyby przyszła, odtrąciłby ją od siebie, wypchnąłby ją ze swego domu, bo, kochając, pogardzał, bo, kochając, był zdania: »ta nizka kobieta *bez serca* świętą podstawą rodziny być niemoże!... szczęścia w dóm niewniesie!... — Ale zwichnięty w wierze, złamany bolem i cierpieniem, zniszczony utratą jednéj połowy wyśnionego szczęścia, dotknięty zarazą w jedném z wysokich serca uczuć, nieżył on teraz, lecz wegetował, nie człowiekiem, lecz na pozór bezmyślnym był tylko automatem. Zwyczajne zajęcia z malcami zarzucone, rozmowy z kmieciami przerwane, praca nad rolą zdana zupełnie na ręce Jacentego, niekiedy tylko kartka z książki była przerzucona; głuchy, milczący, wydawał się widmem, upiorem żyjącym. To też wszyscy żałowali go ogromnie; pokójowe kozaczki płakali, wieśniacy codziennie przychodzili dopytywać się o zdrowie młodego pana.

Mieszko wraz z poczciwym Hulskim, który, zdawszy całą gospodarkę na ręce żony, sam niewyjeżdżał prawie z Odnówki, nieodstępnymi byli jego gośćmi, przyjaciółmi, czuwającymi nad nim niemal z macierzyńską pieczołowitością. Wielu z sąsiedztwa przyjeżdżało go odwidzać, lecz nieprzyjmował nikogo, z nikim niechciał się widzieć. Ach, bo też człowiek pełen uczucia niełatwo przenieść zdoła zadaną duchowi ranę, nie odrazu nad bolem zapanować potrafi. Piękną i w jesieni była Odnówka, lecz smutek, gorycz i cierpienie zamieszkały w niéj. Taki melancholijny stan Zbigniewa trwał przeszło dwa tygodnie od czasu ostatniéj jego w Zatarciu bytności, poczém zaczął on powolnie przychodzić do siebie, odzyskiwać dawne siły. Po miesiącu widzimy go już *zdrówym*, tylko nie uśmiechającym się, zamkniętym w sobie, na pozór zimnym. Powierzył on teraz swe Odnowieckie gniazdo opiece Hulskiego, prosząc, by niezmieniał w niczém jego taktyki co do gospodarki i postępowania z włościanami, by kształcił daléj trzech jego chłopaków i niewydalał Jacentego, a syna jego by oddał do szkół i utrzymywał go w nich z dochodów Odnówki. Poczém, pożegnawszy się z smutnymi włościanami, nic nikomu niemówiąc, pewnego dnia, jakoś wkrótce przed następującym ślubem barona, wyjechał potajemnie z Hulskim, a dokąd?—niewiadomo. Ostatnie, wymówione w Odnówce słowa jego były: Imienia jéj i nic z téj ciemnéj przyszłości nigdy mi niewspominać. Żyć dla siebie—to gnić. Moje życie powinno być odtąd nieprzerwanym ciągiem trudów i poświęcenia się dla dobra ogółu. Żadna siła nie jest w stanie złamać duch mój. On panem ciała!

— Pozwólże i mnie, mospanie, rzekł wzruszony do głębi Wilibard, podzielać z tobą trudy, przykrości i pociechy twego życia, mój zacny chłopcze!

Sąsiedzi żałowali serdecznie straty dla swych okolic tak wzorowego pod wszelkim względem obywatela. Część okolicznéj młodzieży wykazała w swojém postępowaniu, że się przejęła całkiem pięknémi jego zasadami.

Po wręczeniu baronowi von Schpitz przez hrabinę Łyczko, bez wszelkich naturalnie rewersów. wyżéj wymienionéj pieniężnéj kwoty,

przygotowania do świętnego weselnego balu w całym jego na stopę arystokratyczną rozkładzie szły szybko. Krawcy, szewcy, praczki, szwaczki, myśliwi, ogrodnicy,—wszyscy w Zatarciowskim pałacu zwijali się od rana do wieczora, od wieczora do późnéj nocy. Sama zaś pani z potrzebną do tego pomocą usługi zajęła się odnowieniem i pysznêm przystrojeniem salonów. Praca wrzała dokoła, robota kipiała, a pomyślne we wszystkiém rezultaty rosły, jak na drożdżach. Baron jednak, wymawiając się swym, jak nazywał: »*fyekfipofaniem się do nofy szycie,*« nieczęstym bywał w Zatarciu gościem, a wówczas po wyschłéj i wymuskanéj twarzy jego, przelatywała jakaś złośliwość, lewa powieka konwulsyjnie drgała. I, rzeczywiście, czynnie także był on zajęty jakiemiś przygotowaniami: odprawił wszystkie sługi, pozostawiając tylko sobie wiernego lokaja niemca, z którym przyjechał w te strony, posprzedawał żydom wiele z swych ruchomości, meble i inne rzeczy, mówiąc, że wypisał z zagranicy nowe, modne, nikogo u siebie nieprzyjmował, ale za to nieodmawiał się nigdy od zaprosin na wszelkie polowania przy zielonym stoliku w sąsiedztwie i polował też wyśmienicie, garnąc z zimną krwią zamiast zwierzyny pieniądze z chudych sakiewiek braci—szlachty do swéj pulchnéj sakiewki Stał się on przytém daleko dostępniejszym dla wszystkich. A szlachta powtarzała: baron Alfons już się upopularyzował, zaaklimatyzował, dzięki związkom, w jakie ma wejść w tutejszych stronach. Co za miły, skończony człowiek!«

Długo oczekiwany dzień ślubu nareszcie nadszedł. Na trzy dni przed nim kuchmistrz paryzki z trzema innymi kucharzami i z sześciu kuchcikami zaczął już swą pracę nad tém, co ma wypełniać żołądki przyszłych biesiadników. Bal ogłoszono tygodniowy. Od samego rana ruch nadzwyczajny panuje w pałacu i w przylegających doń budynkach. Już mnóstwo z dalszych strón gości snuje się po pałacowych salonach, między innymi hrabia Apolonjusz także przybył na wesele siostry. Od samego rana dwaj dorodni dworscy kozacy, mając powierzony sobie przez hrabinę ten obowiązek, sieką nahajami bez miłosierdzia i odpędzają, bez przytrzymywania się prawideł grzeczności, licznie cisnących się pod szpary parkanu i wrota wiejskich dzieci i nie dzieci, dziewcząt i chłopców,—*chamów*, którzy, wleczeni ciekawością, jak muchy do zaprawionéj słodyczą trucizny, cisną się pod uderzenia i razy niemiłosiernego kozackiego bata...

Zbliża się wieczór, smutny, romantyczny jesienny wieczór. Przeszło pięćdziesiąt karet, koczów i wykwintnych faetonów napełnia obszerny dziedziniec. Liczne tłumy gości spacerują po rzęsisto w różnokolorowe lampy, w formie słońc, księżyców, gwiazd i kwiatów, uilluminowanym ogrodzie, w którym sprowadzony z gubernjalnego miasta pyrotechnik przygotawia mające wszystkich zadziwić sztuczne ognie, rakiety, gierlandy cyfry, sodomskie deszcze, młynki djabelskie. błyskawice, wulkany etc, etc. Wszędzie zgiełk, ruch, wrzawa nie do opisania. Bogato i pysznie przystrojone, nasiękłe aromatem najsławniejszych parfumerów, pełne gości salony świécą się blaskiem mnóstwa lamp, rewerberów i żyrandoli. Umieszczona na estradzie muzyka co chwila oczekuje hasła do posuwistego poloneza. Hrabina, cała w brylantach, amatystach, szafirach, opalach, szmargdach, topazach i w złocie, otoczona najdostojniejszémi paniami, rozmawia z przybyłym księdzem—plebanem. Hrabia Marek, śród tłumnie go okrążającego koła współobywateli i magnatów, szykuje. Panny się wdzięczą, młodź im nadskakuje. Matki zazdroszczą i cieszą się naprzemian. A wszyscy, wszyscy czekają z niecierpliwością przybycia pana młodego, ślubu i rozpoczęcia świetnego balu. Baron niezjawia się... Niecierpliwość wzrasta. Hrabina się niepokoi. Matylda w illuzjowanym, eterycznym, brabanckiego wyrobu ślubnym welonie, w zielonym wieńcu na głowie, w długiéj, powiewnéj, przezroczystéj cienkości, śnieżnéj sukni, o alabastrowéj białości licu, przed dwiema godzinami wesoła, śmiejąca się, teraz blada, milcząca, zostaje w swoim pokoju, co chwila wygląda w okno... i... ach! jakiś wewnętrzny niepokój, jakiś żal szepczą jéj słowo zgryzoty. Otaczające ją drużki śmieją się, szczebiocą. Baron niezjawia się. Niecierpliwość i niepokój wzrastają, coraz bardziéj. Szepty, domysły. Goniec, wysłany przez hrabinę, pędzi, jak myśliwy za zającem, dzielny koń jego wyciągnął się, jak struna Upływa godzina jedna, druga, trzecia okropnego oczekiwania. Goniec wraca z fatalną wieścią.

— Jaśnie wielmożnego barona Alfonsa von Schpitz—niema. Wyjechał przed wieczorem, dokąd?—niewiadomo. Mówią jednak, że na wogzal kolei żelaznéj...

Słowa te raziły gromem, piorunem. Hrabina zemdlała. Panna młoda bez czucia padła na ziemię. Genjalny, rozumny i odważny Apolonjusz rozkazał natychmiast posiodłać konie, by puścić się w pogoń:

za zbiegiem. Marek stracił głowę. Posłano po doktorów. Nadworny—niemógł dać rady. A przyjaciele, goście?—Ironja, szyderstwo i jakieś złośliwe zadowolenie świeciły z oczów niemal każdego, gdy usta wykrzykiwały groźby, sypały przekleństwa na oszusta—niemca.

A gdy wszystko wypili,

Do domu pojechali.

by jak najdaléj rozsławić sławę sławnego wypadku, niemyśląc wcale o oszczędzeniu sławy hrabiostwa Łyczków i córki ich Matyldy. Niemam tu wcale zamiaru opisywać, co mówiono, jak krzyczano w całéj okolicy, sądząc, że każdemu z czytelników nietrudno to wszystko odgadnąć, bo czyż się znajdzie pod słońcem choć jedna istota, którąby, czy to sprawiedliwie, czy niesprawiedliwie, niedotknęły złośliwe ludzkie języki?...

Następstwa owego fatalnego wypadku także niemniéj są łatwe do odgadnienia. Opowiem je w kilku słowach; dołączając bowiem niniejsze moje studjum do tego, *co Bóg mi dla podzielenia się z wami dał*, dla braku miejsca, gawędzić z wami obszerniéj, mili czytelnicy, nie mogę.

Na drugi i trzeci dzień Blandyna i Matylda leżały chore w łóżku. Mówiąc nawiasem, pierwsza cierpiała tylko modne spazmy. Apolonjusz wyjechał do Symferopola. Biedny Marek jak w piekle zwijał się, mając do czynienia z opadającymi go ze wszech stron rozmaitych płci, wieku, stanów i narodowości kredytorami, pomiędzy którymi wszakże znacznie przeważała szlachta. Przy odegrywaniu się téj okropnéj komedji z naszego życia, nie obeszło się bez krzyków, lamentów, szczególnie indywidwów rodzaju żeńskiego, bez szczodrze sypanych słów obelżywych, któremi go biczował nie jeden zrujnowany szlachcic, wreszcie bez tych gwałtownych wybuchów złości, które od rozjuszonéj żydowskiéj hołoty mocno uczuwać się dawały biednemu Markowi na twarzy i w całym jego korpusie... Nie grzeszący tuzinkową mądrością hrabia Marek teraz zupełnie zgłupiał. Patrząc baranim wzrokiem, zatykał uszy i krzyczał wielkim głosem:

— Ja nic niewiem!... Dajcie mnie święty pokój!... To moja żona!... Z nią mówcie!... Idźcie do djabła, mości dobrodzieju!... Bierzcie, zabierajcie, grabcie wszystko! Niech was wszyscy djabli wezmą, biesy!...

Widok ten tragicznością swoją serce rozdzierający powiększył się stokroć, gdy kilka rodzin oficjalistów z całą okropnością położenia

napiętnowaną na spracowanych wybladłych ich twarzach, przyłączywszy się do gwałtującéj, wołającéj o pomstę gruppy nieszczęsnych wierzycieli, błagało z rozpaczą w głosie o zwrót zagrabionych przez hrabinę na podróż za granicę pieniędzy, o wypłatę zaległych oddawna pensji, by za grosz ten kupić kawałek chleba, przytulisko czasowe wynaleźć mogli.

Lecz i tu oszołomiony Marek, zatykając uszy, krzyczał:

— Ja nic niewiem!... To moja żona!.. Zostawcie mnie raz wreszcie!... Idźcie do djabła!... Róbcie sobie, co chcecie!... Ja nic niewiem!...

Istne piekło dało się widzieć w Zatarciu, bo też może i potępieńcy mięli w nim swoje siedlisko!... Po burzy, wreszcie nastąpiła cisza, a hrabina natychmiast wyzdrowiała... Matylda także miała się daleko lepiéj. Niemyśl bowiem, czytelniku, by te *słabych nerwów* kobiety ucierpiały bardzo—wcale nie. Miały one zanadto mało rozwinięte *nerwy sercowe*.... By uczuć całą głąb' przepaści i nizkiego upadku—potrzebnym jest duch w piersi... Lecz mocny duch w otchłań hańby nikczemnie potrącić się nieda, nie upadnie, będzie walczył i—zwycięży. O duchowym upadku hrabina niemyślała, zajęta była ciałem. Niewidząc żadnych środków ratunku, zamierzała ona już nie ocalenie wiosek, składających Zatarciowske hrabstwo, ale wydobycie zeń wszystkiego, co się da tylko wydobyć.

Odtąd przez drugie dni kilka pyszny pałac Zatarciowskiego hrabstwa przemienił się na dom handlowy: kilkunastu żydów, a nawet panków, zwijało się tu, zakupowując za bezcen zboże, którego, wprawdzie, było już niewiele, oborę, konie, powozy, rozmaite meble, sprzęty i t. d., jedném słowem, niemal cały ruchomy majątek. Sprzedano nawet wiele z bławatnych towarów i z biżuteryi świeżo przywiezionych z za granicy. Rozochociła się była nawet hrabina do podobnego handlu tak dalece, iż przemyśliwała już o sprzedaży pałacu i wiele się uda wiosek z wolnéj ręki *w szachrajkowego*, t. j. pomówiwszy sekretnie »*tête à tête*«, »*en deux*«, jak się wyrażała, z nabywcą, sprzedać tanio, a z wziętych pieniędzy wykazać w tranzakcyi daleko mniejszą ich ilość; rzecz naturalna, oneby poszły na korzyść kredytorów... Ale; na nieszczęście, zaprędko wyznaczoną została od rządu administracja i nałożono sekwestr na wszystko, co pozostało od konwulsyjnego wyniszczenia... Hrab-

stwo Zatarciowskie zostało podane do publicznéj sprzedaży za długi. Udało się jednak hrabinie zebrać około dwudziestu tysięcy rubli. Przyjaźni temu domowi ludzie kompetentni radzili jéj, zrzuciwszy pychę z serca, wziąść za te pieniądze w dzierżawę wioskę jaką, zająć się pracą, poprzestać na mierności, ale groch o ścianę, trudno było ludziom, przyzwyczajonym li do lenistwa, próżniactwa i przyjemności, pojąć istne przeznaczenie człowieka—pracę. Hrabina liczyła nawet niejako za obrazę dla siebie podobne rady... Zabrawszy więc wszystko, co się tylko dało zachwycić z Zatarcia, wyjechała ona wraz z mężem i córką na mieszkanie do gubernjalnego miasta N., gdzie znów dawne muchy wróciły do jéj nosa.. W N., mając projekt niby utrzymywać się z procentów swojego kapitału, ulokowała go w banku, wynajęła pyszne pomieszkanie, umeblowała je częścią zachwyconémi z Zatarcia sofami, fotelami, konsolami, otworzyła salony, wydała wieczory. Młodź miejska tłumnie się ciśnie. Matylda produkuje się w sztuce kokieterji, i—pour passer le temps—zajmuje się efemerydalnémi miłostkami.. Tańce, zabawy, romanse, teatra, spacery, że aż przyjemnie, że aż wesoło, o, weseléj, jak w cichéj, nudnéj wiosce!... Zaś hrabia Marek dobrodusznie i z przechwałkami opowiada teraz przed znajomymi i chełpi się, jakto jego pięknéj i mądréj żonie *kapitalnie* się udało pookpiwać kredytorów, na odłużonym po uszy majątku zaciągnąć nowe długi, i nareszcie, przed wystawieniem na licytację, porządny jeszcze pieniądz wydobyć z tego pożaru!

— Wystawże sobie mości dobrodzieju, teraz każdy z tych szelmów wierzycieli więcéj nad dwadzieścia groszy za rubla nie *zcupi*... Otóż się udało mojéj żonie! cha, cha, cha!

Zdarzały się jednak i tu nieprzyjemności, a to z powodu nie rzadkich odwidzin kilku z dawnych wierzycieli, którzy, jak o jałmużnę prosili o jakikolwiek grosz z pożyczonych pieniędzy dla kupienia kawałka chleba żonie i dzieciom... Ma się rozumiéć, iż takich natrętów, gburów z niższego stanu lokai w liberji bez ceremonji wytrącali za drzwi, z wyższego zaś albo nieprzyjmowano wcale, lub zimno traktowano, ubolewając na niedostatek grosza, złe czasy, jak to zwykle bywa.

Podobny udział spotkał był także i owego, jeśli sobie łaskawy czytelnik przypomina, kapitana Misławskiego, który z wiarą w dawniejszą

z podkomorzym Łyczkiem przyjaźń. dobrodusznie oddał mu w depozyt kilkotysięczny swój kapitalik.

— Widzisz, mówi on ja. przegrał proces, trzy tysiące rubli. Muszę widzisz zapłacić. Ot ja wziął, taj przyszedł do ciebie. Jak Boga mego kocham, Marciu, musisz mnie je dać z tych, co ja tobie, jak ojcowi, powierzył, sześciu tysięcy; bo jak nie zapłacę — widzisz — na św. Marcin, sprzedadzą mi huncwoty wioszczynę Hołubkę

Marek się wykręcał, ale sam niemogąc nic zaradzić przeciw natarczywości kapitana, zwalił cały kłopot na żonę, a ta *sprawiedliwie*, oburzona czynem starego żołnierza, nazwała go w oczy nizkim, czci niegodnym człowiekiem, który, widząc *opłakaną* sytuację swego przyjaciela, ośmiela się w teraźniejszych czasach »wydzierać z gardła ostatni grosz, za jakieś tam *stare długi*.« Na zakończenie zaś swego heroicznego monologu, oświadcza, iż więcéj nad kilkaset rubli, potrzebnych im do przeżycia, niemają, że należność swą może on odebrać po sprzedaży dóbr Zatarciowskiego klucza i że wreszcie, jeśli ma honor znać generałowę Z., może się więc udać także do niéj na wieczorną herbatę, gdyż właśnie ona, hrabina, wraz z mężem i z córką tam pośpiesza... Cóż miał robić stary żołnierz? Zmiął w kułak czapkę, spójrzał pełnym pogardy wzrokiem na chętnie przyjmowanych w towarzystwach i wysoko tam uważanych ludzi, plunął na posadzkę i bez pożegnania wyszedł. Taki był impertynent, prostak!

Inna jeszcze nieprzyjemność była takiego rodzaju. W parę miesięcy po przybyciu do N., odebrała hrabina list z Symferopola od Apolonjusza, który donosił, iż widząc się zupełnie zrujnowanym, postanowił *dobrze* się ożenić, a że prezes dotąd trwa w obłędzie, licząc go za ogromnie bogatego człowieka, umiał więc młody hrabia skorzystać ze sprzyjających mu okoliczności, oświadczył się o rękę jego córki, panny Hlikerji Pachomiewny Rublenkowéj, otrzymał przyzwolenie i przeszło już dni dziesięć z połową od czasu, jak został małżonkiem tłustéj blondynki, panem dwupiętrowéj kamienicy i trzydziestu tysięcy gotówki.

Hrabina, hrabianka, a więc i hrabia niemało się zgryźli tą wiadomością: pierwsza wcale nie o takim roiła dla swego jedynaka związku, na myśl jéj przychodziły pierwszorzędne gwiazdy kraju, księżniczki nawet; druga stosując się do mody, a nie z zasad, oburzyła się nie

żartem na ten związek, zapatrując się nań z innéj strony; krzyczała więc na brata ogromnie; trzeci—dla tego, że rozpaczała pierwsza. Za ogólną tedy naradą, pod prezydencją hrabiny, napisano do Apolonjusza list, pełen wymówek, z rozkazem, by *natychmiast* z swą żoną podał się do rozwodu, na który odebrano dość zimną, impertynencką odpowiedź. Oto właśnie wyjątki z niéj: »na *couucie schtrwonili myj* majątek?« »Dla sebia teraz 'Tzłovik *u* dla Piniendzy *zymь* powi nin, *все* glupstro,« »ty matka wina wschyk jemu,« i t. d.

Mówią, że, po przeczytaniu podobnych frazesów, hrabina dostała spazmów.

Zima. Białym śniegu całunem ziemia przykryta. Mrozy tamują oddech w piersi. Wichry, zawieje, śnieżyce. Karnawał. Bale za balami wydają niegdyś obywatele ziemscy, mieszkający teraz w mieście N. Ostatnie wydobywa szlachcic na to, *żeby się pokazać*, znać zapomniał o *czarnéj godzinie*. Hulaj, hulaj! na ustach każdego... Pewien tylko jakiś oryginał, zdaje się kupiec Ł. z miasta Ż., gdy mu żona dokuczała, by wydał bal także za przykładem innych, kazał jéj wyliczyć, ile tąkowy będzie kosztował; a gdy to uczyniła, odliczył niemałą pieniężną summę i rozdzielił ją pomiędzy prawdziwie biednych.

— To głupiec! zawołała hrabina Łyczko, przecież i ekonomija polityczna dawać jałmużnę biednym zakazuje. Niech pracują! Cha, cha, cha, i poczyniła potrzebne rozporządzenia do trzeciego w swym domu świetnego balu.

Południe. Zamieć okropna. Mróz ścina powieki. Sala w rządzie gubernjalnym napełniona ludem. Tłum się powiększa, ściska. Odbywają się w téj chwili targi z licytacji majątków wystawionych w tym dniu na sprzedaż, w liczbie sięgającéj do sta obywatelskich posiadłości: wsi, futorów, miasteczek i całych kluczów. Słychać głośne spory targujących, ustępne, przekupstwo, chabary; nizki materjalizm spotykasz tu na każdym kroku. Zebranie odznacza się pstrokacizną klass, zasług, narodowości,—radości, smutku, śmiechu, płaczu, podłości, niewinności, egoizmu... Ciche szepty... i głośne krzyki... Zgjełk, mieszanina, wrzawa. W tym *zbiorze rozmaitości* spostrzegamy znajomą nam twarz Hulskiego.

Przyjechał on właśnie dzisiaj do miasta N. z pewnym kapitałem w celu ofiarowania pożyczki biédniejszym i niewinniejszym, by oni zaspokajając swych wierzycieli, a przez to ratując rodzinną rolę i strzechę, nie upadli w roztwierającą się przed niémi, gotową ich pochłonąć przepaść nędzy i jéj następstw. Miał on przytém jeszcze inny oddzielny kapitalik, przeznaczony dla wsparcia tych, co już wpadli w tę przepaść. Zbigniew to wziął z banku część swoich pieniędzy i taki im udział przeznaczył. Czyn korzystniejszy od pustych słów. Czyn ów był wywołany z wnętrza jasnéj jego duszy. Być może w porównaniu z ginącą massą był lichą na pozór kropelką, lecz kropla po kropli granit przemywa; gdybyż się więcéj znalazło podobnych kropel! Wszak wielu mamy bogaczów, a kto żądny kawałka chleba, ten się nasyci i kropelką dobroczynności.. Źródło zaś jéj było wielkie, obszerne, jak ocean, miłość dla ludzi, z niego wytrysnął przezroczysty zdrój idei, która uświęcona czynem, napój podała pragnącym. Duch był gruntem źródła. Co Bóg dał, czém chata bogata, wszystko, wszystko niósł on i kładł na ołtarzu poświęcenia się dla dobra współbrata—człowieka. Myślący czytelniku! odpowiedź mi: jeśli wiele na gruncie ducha źródeł podobnych wytryśnie, jakim będzie świat wówczas?

Czwarty byłto już dzień targów, Hulski więc spóźnił się cokolwiek ze swym przyjazdem do N.

— 48,300! wołał jakiś gruby jegomość ocierając pot z czoła.

— 48,300! kto da więcéj? powtórzył za nim urzędnik, zawiadujący sprzedażą.

— 48,325! krzyknęła jakaś niepoczesna figura w wytartym surducie.

— Chcecie ustępnego? szepnęła cichutko inna figura z rudemi bakami.

— Wiele? zapytała niepoczesna figura.

— Tysiąc, odpowiedziała figura z rudémi bakami

— To mało.. dwa.

— Dobrze. Chodźmy. i obadwa się oddalili, przepychając się przez tłum.

— 48,325! kto da więcéj? powtarzał tymczasem urzędnik.

— 48,500! odezwał się znów pompatycznym basem gruby jegomość.

— 48,500! kto da więcéj?

Ochotników na teraz więcéj się nieznalazło.

— 48,500 raz, 48,500 dwa, 48,500 trzy! Za panem się zostaje, rzekł urzędnik, zwracając się do grubego jegomości.

— Jak się nazywa wieś, którą pan nabyłeś? spytał się powodowany ciekawością Hulski.

— A wam co do tego? Jeszcze by też! Każdemu spokanemu i w poprzek leżącemu będę mówił, com kupił! krzyknął rubasznie i niegrzecznie gruby jegomość. A wy zkąd?

— Z...skiego powiatu, odparł uśmiechając się i boleśnie kiwając głową Wilibard.

— A, przyjemnie mi poznajomić się z wami! Toż ja tam kupił. Zatarcie grafa Łyczka. Znacie?

Hulski zbladł.

— O, znam dobrze, odparł, jeden pałac tam kosztował 50,000, a ziemia dwa razy tyle warta..

Gruby jegomość zatarł z zadowolenia ręce

Daléj słyszał Hulski wyraźnie wymawiane przez urzędnika nazwiska innych wiosek hrabiego Łyczka, które, jedna po drugiéj, przechodziły w rozmaite ręce. Po sprzedaniu ich: —

— Wieś Hołubka, ogłosił urzędnik, obywatela Jana Misławskiego sprzedaje się za dług byłemu Marszałkowi Jar. w ilości 3,000 rubli. Oceniona...

— Kassuję targ ten! dał się raptownie słyszeć głos z tłumu i blady, jak ściana, Hulski, przeciskając się konwulsyjnie przez innych, przystąpił do stołu. Obecni ze zdziwieniem spójrzeli na niego.

— Ja, mospanie, szlachcic Wilibard Hulski, w imieniu obywatela ...skiego powiatu, Zbigniewa Młodzieckiego, zakładam za p. kapitana Misławskiego 3,000 rubli srebrem w rodzaju pożyczki temuż. Proszę zapisać. Tu wymienioną summę wyliczył na stół.

Targ na Hołubkę zerwano.

Takimże sposobem Wilibard wyratował jeszcze dwóch innych nieszczęśliwych, których okoliczności sprzedaży majątków były mu już wiadome. Dwóch z nich było mu zupełnie nieznajomych. A sprzedawało się wiele. Tak naprzykład: trzy wioski trzech obywateli, którzy pieniężne swe fundusze złożyli w *pewne ręce* magnata Łyczka, a nie-

odbierając w przeciągu lat kilku ani kapitałów, ani procentów, po reformach 1861-go r. i lat następnych zmuszeni byli sami obciążyć swe wioszczyny prywatnymi lub kaziennymi długami, za które to właśnie je sprzedawano. Inna znów wioska pana C. podpadła temuż losowi z powodu wygrania przez pewnego bogacza processu, treść którego zawierała się w tém, iż *jakoby* prapraprababka niejakiego p. R. od którego p. C. nabył tę wioskę, winną została prapradziadkowi tego bogacza kilka tysięcy złp., które w przeciągu lat tylu-to, a tylu wzrosły w kilkonasto-tysięczny rublowy dług... Inna sprzedawała się za rewers który wydał przyjaciel przyjacielowi, przegrawszy mu w karty znaczną pieniężną summę.. Inne znów wioski leciały z licytacji za życie nad sferę i nad stan swych właścicieli, za ich opieszałość, wstręt do pracy, epikureizm. sybarytyzm, karty, wojaże za granicę, sobkostwo, kłótnię, processa, źle pojęty nowy system postępowéj gospodarki, azardowne spekulacje, brak przemysłu, nieprzygotowanie się do reform, a więc ciężar przeniesienia ich, i t. d., że niepodobna przypomnieć sobie wszystkich powodów, które, jak zjadliwa szarancza, teraz, niestety, coraz się więcéj rozmnażają u nas. Snać opamiętanie się jeszcze nie zawitało do ludzkich głów, chociaż, jeśli kiedy, to dzisiaj pora, zdaje się, ku temu. Niema jednak prawidła bez wyjątku, a pod tym względem pewna liczba zacnych wyjątków, dodamy z chlubą, coraz się u nas powiększa. Cześć i dzięki im za to!

Po zakryciu targów, Hulski, postarawszy się wprzódy dostać kilka potrzebnych mu adresów, pośpieszył najpierwéj do Misławskiego, a zastając w jego rodzinie okropny obraz rozpaczy i wyrzekania, zjawia się przed nią, jak jasnopióry anioł-pocieszyciel... Radość i szczęście zaświtały w małym pokoiku... Tegoż dnia był jeszcze u kilku innych rodzin, a wszędzie mu przewodniczyło świątłe oblicze wysłańca niebios, do którego w téj chwili stawał się podobnym...

Gdy zaś osypywano go błogosławieństwy i wdzięcznością, wówczas posuwisty mars ścinał mu brwi, falował czoło i wywoływał niechętne z ust jego wyrazy:

— Za cóż to, mospanie, za co!? Spełniam tylko *przykazanie Chrystusa*, włożony na każdego z nas przez Stwórcę obowiązek... Dziwna rzecz! W tym zmateryalizowanym świecie, jeśli kto kolwiek postępuje zgodnie z przeznaczeniem człowieka, już go wychwalają, pod niebiosa wynoszą,

a większość, gotowa raczéj dziesięciu zgubić, niż jednego ratować, w błoto go depcze z zazdrości, z nienawiści... A za cóżto, mospanie, gdy każdemu z nas jednakowo jest dana wolna wola?.. gdy spełnianie powołania człowieka nie jest utopiją?...

Jako epizod, pozwólcie mi, mili czytelnicy, opowiedzieć wam jeszcze pewne zdarzenie, które, chociaż niema z zewnętrznéj strony związku z mą powieścią, jednak jest w jakiejś wewnętrznéj z nią łączności.—W tymże samym czasie, gdy Wilibard, ile mógł, niósł wszędzie słowa pociechy i czyny pomocy, a hrabina Łyczko wydawała bale, i w témże samem mieście, (było zaś tam wówczas liczne zebranie szlachty z rozmaitych okolic), pewien *pater familias*, bliski krewniak nawet sławnego Ukraińskiego wieszcza, człowiek zacny i uczciwy, znalazł się był w nader przykrych interesach, a wybawczą, na którejby mógł wypłynąć łodzią, było dlań kilkaset nędznych rubli. Biedny ten człowiek miał bardzo wielu blizkich krewnych, ludzi zamożnych bogatych. Rzucał się on przedtém we wszystkie strony, pracował, jak wół, lecz gdy zawistny los nie okazał mu się wcale przyjaznym, chwytając się więc ostatecznego środka, postanowił, może i z niemałą goryczą w sercu, udać się do tych członków swej rodziny, w celu zaniesienia do nich prośby o pomoc, o ratunek!—Cóż na to powiecie, kiedy w zebraném po' większej części bogatém familijném gronie, wykazawszy naprzód godny opłakania byt swej najbliższéj rodziny, żony i dzieci, i wyłuszczywszy przytém sprawiedliwe, skłaniające go do tego kroku powody, udał się do nich z tą prośbą, wszyscy narzekali na brak pieniędzy, na nieurodzaj, złe czasy i t. d., wszyscy udzielali mu rad, pocieszali, z pomocą zaś nikt nie pośpieszył, a jeden, nawet blizki krewniaczek, zauważył, iż wszystko to dlań jedno: nie dzisiaj, to jutro zginąć musi, gdy go ten cios znowu spotka, niech więc ginie, niech ginie odrazu... Znalazł się tam jednak pewien, prawie mu nieznajomy szlachcic, zwany powszechnie skąpcem za to, że nie tracił na fjakrów, a chodził zwykle piechotą, że unikał gier azardowych i do cukierni niezaglądał, ów to wyszydzany skąpiec wstał, a zfukawszy wszystkich, niemając przy sobie pieniędzy, zaciągnął pożyczkę na swe dobra i ginącemu podał łódź zbawienną! Ci zaś, co się tak uskarżali na niedostatek i czasy, nie łódkę, lecz okręciki potrafili poprzegrywać później przy stosie i djabełku w hotelach, w klubie i we wszystkich publicznych zebraniach w czasie karnawału w mieście N.—"

EPILOG.

»Znałeś dawniej Wojciecha?«

I. Krasicki.

Trzy lata zaledwie upłynęło od czasu opowiedzianych przez nas padków, a jakże wielkie zmiany zastajemy w miejscowościach i bach, któreśmy w ciągu tej powieści poznali! Hrabstwo Zatarciowskie padło się na kilka części; władają niémi teraz ludzie innych zwyjów i obyczajów od hrabiostwa Łyczków. Sami hrabiostwo nie szkają już w N., gdyż, strwoniwszy w niém pozostałe z macką fortuny resztki, zmuszeni byli wyjechać na Kaukaz, gdzie nic nie iéjący i do niczego niezdolny hrabia, przez stosunki otrzymał nieurzędowe miejsce.

Jeszcze bawiąc w N., starała się hrabina znowu wciągnąć w swój n Młodzickiego, w celu wydania za niego Matyldy. I tak naprzy-d, gdy z powodu pewnych interesów młody ten człowiek zmuszonym zabawić w N. dni kilka, dowiedziawszy się o tém hrabina wysłała i list, zapraszający na herbatę, przyczém kika razy głośno powtórzyła ajowi w liberyi:

– A lećże ventre à terre, żeby p. Młodzickiego koniecznie zastać, é ventre à terre!

– Tak, tak, leć na jednéj nodze, mości dobrodzieju, dodał natychmiast ały małżonek, nogi za pas, na plecy, rozumiesz, na jednéj nodze!

Lokaj nie poleciał, lecz pobiegł *na dwóch nogach*, zastał, list wręł, ale Młodzickiego nieujrzeli oni w swym domu.

W tymże celu starała się niemniéj hrabina zawerbować do siebie lskiego, wiedziała bowiem o blizkich jego przyjaznych ze Zbigniewem sunkach; ale gdy te i rozmaite inne zabiegi jéj się nieudały, dała za granę. Szukanie męża dla Matyldy pomiędzy młodzieżą w N. także na niczém skończyło...

Słyszeliśmy, iż niedawno hrabianka stanęła wreszcie na ślubnym biercu. Towarzyszem jéj życia, (niewiadomo tylko, czy jedynym?), został jakiś podejrzanéj konduity niemłody już oficer Hulakow. Hrabina paczała, dostała spazmów, hrabia, przyciśnięty jej pantofelkiem, zba-

raniał do reszty, ale cóż było robić, gdy się córka wykradła i potajemnie z Hulakowym ślub wzięła? — Srożono się, gniewano, lecz wreszcie musiało nastąpić przebaczenie. Hulakow zamieszkał razem z Łyczkami. Mówią źli ludzie, że czasami miewają tam miejsca maleńkie wojny domowe, że Mars tam ogromnie się sroży, gdy Bachus zaśmieje...

Co się tycze Apolonjusza, ten przeżył piekielną w doczesnéj swéj wędrówce katastrofę, jakiéj uledz nieżyczę wam nigdy młodzi szukacze posągów; miała zaś ona miéjsce wtedy, gdy jego teść prezes dowiedział się o zrujnowaniu i sprzedaży całéj fortuny hrabiów Łyczków... Któż niedoświadczył w swém życiu cierniów i kolców?... Lecz za to późniéj po nadspodziewanéj śmierci zgryzionego prezesa Rublenkowa, zagarnąwszy połowę sukcessyi w swe ręce, (druga połowa dostała się dwóm siostrom jego żony), Apolonjusz zahulał na dobre. Słyszeliśmy, iż tłusta jego żona blondynka zmizerniała teraz nie do poznania. Skóra i kości. On zaś, poczciwy tatko dwóch synków, wbrew zasadom ekonomicznym, których był stronnikiem, pośpieszył jak najprędzéj podzielić się z ludzkością jedną połową posagu swéj żony, Hlikierii Pachomiewny... i jest świetna nadzieja, że ten człowiek, oddawszy wkrótce tymże trybem i drugą, *będzie świstał w pusty orzech*... Co późniéj nastąpi, niepowiem ci, łaskawy czytelniku, gdyż, jak przed każdym śmiertelnikiem, przyszłość i przedemną zakryta, ale za to postarałem się dowiedzieć gdzie-nie-co o Zbigniewie i, jako grzeczny młody autor, zaspokajam pierwéj ciekawość, żałujących może tego indywiduum, młodych czytelniczek, wiadomością, że on się jeszcze dotąd nieożenił i jest kawalerem, jak się zdaje, nie do wzięcia... Ale może się jeszcze uda któréj z was, piękne a zacne dziewice, zbałamucić tego szaleńca.

Teraz śpieszę opowiedzieć, dokąd-to wyjechał był wówczas Zbigniew wraz z Wilibardem z Odnówki. Owoż wyjechali oni w głębokie Polesie, w bagniska i błota, a tam przypadek chciał, by w jednéj z poleskich karczemek, w czasie popasu, nasz bohatér zabrał znajomość z niejakim panem Rochem.

Pan Roch miał wioskę, żonę i pięcioro dzieci, lubił polować na zwierzynę, ryby, grzyby, pędził smołę, dziegieć, szpiginar, robił klepki, wanczosy, bale, był zawołany poleszuk — gospodarz i do tego miał krocie z sąsiadami processów, oraz szlachecką żyłkę do nich. Processa

pana Rocha zgubiły. Pan Roch lazł w długi, jak w twań poleską. Ot et panu Rochowi, i żonie jego, i pięciorgu dzieciom jego, i staréj matce jego, miano pokazać, jak Łyczkowi, drzwi z własnego domu jego. Takie były pana Rocha okoliczności, gdy poznał w karczemce i zaprosił do siebie na obiad pana Zbigniewa. Temu ostatniemu podobało się bardzo leśne zacisze p. Rocha, a gdy się w czasie obiadu dowiedział od otwartego, a szczérego szlachcica o owych domowych kłopotach, rozpatrzył zaraz po obiedzie, wraz z zawołanym prawnikiem Hulskim, wszystkie jego processowe *dzieła*, umówił się o cenę, wziął wioszczynę p. Rocha w possesję na lat cztéry i formalną od niego plenipotencję, nieposzlakowanego w prawości ekonoma p. Rocha zostawił przy sobie, a jego samego i żonę jego, z pięciorgiem dzieci jego i matkę jego wyprawił na mieszkanie do zamożnych rodziców jego żony.

W obecnym czasie kilku malców z wioski pana Rocha umieją czytać i pisać, kmiecie i okoliczne sąsiedztwo ogromnie lubią Zbigniewa, a sama wioska, dzięki staraniom tego już w lecie życia człowieka i starego Hulskiego, jest od wszelkich długów i processów swobodną. Raz wdzięczny i wesoły pan Roch nadmieniał naszemu bohatérowi, że gotów byłby z wdzięczności zaślubić mu swą dorodną starszą córkę Barbarę, ale ujrzawszy nagłą bladość i ból, wywołujące smutny uśmiech goryczy na licu dziwnego swego wybawcy, przykąsił język i poprzestał na szczérym uścisku szlachetnéj jego dłoni... Okoliczność ta jednakże wywołała przykre następstwa, o których późniéj powiémy. Przez rok Zbigniew ma wrócić na czas do swéj Odnówki, gdzie gospodarują teraz Hulski i Jacenty, a potém znowu pośpieszy z pomocą do jakiego ginącego współbrata.

W Hołubce, tak jak i w kilku innych wioskach inne rodziny, zanosi codziennie modły swe do Boga za swych dobroczyńców rodzinę Misławskich; zaś stary kapitan, który starszego swego syna oddał do szkół, a także, jak i inni, spłacił już Zbigniewowi część pożyczonych u niego bez wszelkich procentów pieniędzy, gospodaruje teraz z ochotą, sam spełnił jeden piękny czyn na wzór czynów Zbigniewa i codziennie prawie powtarza żonie:

— Widzisz duszko, ja tobie mówił — widzisz — że są jeszcze dobrzy na Bożym świecie ludziska i że czuwa jeszcze nad nami — widzisz — oko Opatrzności świętéj!

Niedawno dowiedzieliśmy się, że baron Alfons fon Schpitz był nikim innym, jak tylko graczem i oszustem *in summo gradu*. Co się zaś tycze samago tytułu *barona*, takowego nieposiadał i samowolnie go sobie przywłaszczyć raczył. Majątków żadnych w Prussach nie miał, lecz za to dwa razy miał honor odwidzieć berlińską *kozę* i wysiadywać w niéj długie za kradzież i oszustwo *bosyny*. Ciemna niewiadomość pokrywa marszrut jego życia od czasu owéj pamiętnéj ucieczki. Zapewne gdzieś dalej pędzi swój szachrajski żywot, lub w turmie siedzi, jeżeli jeszcze niewzniósł się na najwyższy szczebel swojéj zasługi — na szubienicę!

Po sprzedaży dóbr Zatarciowskich i po odtrąceniu ciężących na nich długów kaziennych i bankowych, kredytorom Łyczka po dwadzieścia groszy od rubla zaledwie się dostało i to nie wszystkim. Wielu więc z nich, jak i z byłych jego officjalistów, najsmutniejszy spotkał los. Wiadomo już nam, iż wślad za sprzedażą Zatarciowskiego hrabstwa, nastąpiła sprzedaż kilku wiosek i futorów wierzycieli hrabiego, drobnéj obywatelskiéj szlachty, która, z powodu niemożebności odebrania od pana Marka pożyczonych mu pieniędzy, zmuszoną była po reformach w kraju sama wleźć w długi. A i ta sprzedaż, w swoją kolej, wywołała podobneż, jak i sprzedaż Zatarciowskiego hrabstwa, skutki, tylko na małą skalę. Wiadomo nam także o wsparciu udzieloném niektórym z biedniejszych przez Młodzieckiego i Hulskiego. Lecz Młodziecki i Hulski niemieli środków sami ratować wszystkich. Wielu więc z tych kredytorów, officjalistów i obywateli zmuszeni byli opuścić miejsca rodzinne i dla wynalezienia sobie środków do podtrzymania życia, wraz z żonami i z dziećmi, wynosić się w rozmaite dalekie strony, jak to uczynił już był sam hrabia. Niektórzy dla tegoż kawałka chleba rozstać się byli zmuszeni z dziedzicznémi swémi zasadami i prawą myślą dawną, a nie jeden przyprowadzony do ostateczności wolał przełożyć obowiązek furmana, żona zaś jego — pokojówki lub klucznicy, nad inne, połączone z czynieniem gwałtu duchowéj stronie człowieka, środki zarobkowania dla ciała.

* * *

Wiatr jesienny dziko jęczał na dworze, zawodził rozpaczy pieśń; okiennice szarpane przezeń skrzypiały trwożno. Gęsty, drobny jak mak,

a kolący jak szpilki, zimny deszcz, przeplatany płachtami mokrego śniegu, smutno uderzał w tafle okien porządnego szlacheckiego dworku. Noc ciemna, choć oko wykól. W obszernéj komnacie, przy czarno dymiącéj się na kominie i co chwila buchającéj czerwonym płomieniem dębowéj kłodzie, siedziało dwóch przyjaciół: jeden stary, siwy, ale krzepki z odbitém na pooranéj zmarszczkami twarzy piętnem dobroci i zdrowym rozsądkiem, drugi w sile wieku z marsem na wyniosłém czole, oznaczającym głębokość myśli, chyżość polotu, z łzawém okiem, mówiącém o wewnętrznem cierpieniu... Byli to Wilibard i Zbigniew.

Zatopiwszy wzrok swój w ognisko, a słuch w dziwnie-ponurą pieśń wyjącego wiatru, gwarzyli z sobą.

— Cierpiéć —to nasze powołanie, ciągłe zawody—to nasze życie, mówił pierwszy, to życie ludzi, świątynią których —uczucie, ludzi, żyjących dla ludzi...

— O, gdybyś się wewnętrzył w to serce moje, zawołał drugi, gdybyś ujrzał, zgruntował tę otchłań miłości, głębszą nad polot myśli, którą w sobie noszę, miłości wielkiéj, świętéj, niepokalanéj dla wszystkiego, co Stwórca mój nakazał mi miłować, miłości, która przed dniem urodzenia już była wlaną w me serce, wówczas tylko byłbyś w stanie pojąć cierpienie nieustanne, ogrom bolu, napełniającego to serce. Miłość i ból—to ja, praca—to osłoda mego jestestwa. Doświadczam pewnéj rozkoszy, gdy się biorę do pracy na korzyść tych, których miłuję—ludzi. O, jam wszystko, wszystko poświęcił dla nich: siebie, przyszłość moją! Wszystko gotowem przenieść, wycierpiéć dla nich; ale, Wilibardzie, to ostatnie doświadczenie, ta ostatnia próba dolała jadu do czary boleści... Zanadto żywe rany, żebym mógł o nich zapomniéć!... Niewdzięczność dotąd niebrudziła nigdy méj czystéj sukni, dziś, połączona z niepojętą dla mnie zawiścią i nienawiścią dawnych przyjaciół, niemogąc pchnąć mię w błoto, niecnie brudem mię swoim przed światem okryła... To boli, boli Wilibardzie!...

— Tak, rozumiém, mospanie! Bogactwo skarbów ducha, z którego wyradza się poświęcenie bez granic, zawsze cierpienie posiadaczowi swemu przynosi,—to prawda. Ale jeśli posiadacz ów ma siłę, mospanie, umié przez moc charakteru władać sobą i rozkazywać sobie, wówczas jest panem siebie i wszystko mężnie przenieść, mospanie, potrafi.

Rozumiesz? a to ostatnie przy każdéj świętéj sprawie, *sine qua non* idei człowieka poświęcenia się, jest konieczném. Źli ludzie, niekontenci, iż się im niepowiodło zawładnąć odłużonym, mospanie, po uszy majątkiem p. Rocha, winą czego ty byłeś, skorzystali z jego niezadowolenia, gdyś delikatnie odmówił propozycji żenienia się, mospanie, z panną Barbarą, jego córką, i, mszcząc się na tobie za poniesiony zawód w swych materjalnych wyliczeniach, wmówili mu, żeś hultaj i *aferzysta*. Pan Roch uwierzył baśniom i razem z owymi złymi ludźmi krzyczy, a świat, mospanie, lubjący brudy i szkalowanie opinji bliźniego, rzucił na cię błotem i *paszkwilem*... Oto historja, która ci siadła kością w gardle... Słuchaj uważnie, Zbigniewie: gdy przez kilka miesięcy ujrzy ten świat, jak odłużony po uszy majątek wracasz czystym w ręce właściciela, ujrzy więc twą prawość, twe poświęcenie się, przekona się, że umiesz podołać dobrowolnie włożonemu na się obowiązkowi. Wówczas powinien on, mospanie, wrócić ci w swych oczach prawość twoją i niepokalaność spełnionego przez cię dzieła, równie też, jak i słusznie, według zasługi, ukarać twych oszczerców i szalbierzy.

— Precz, precz z karą! zawołał Zbigniew, przezemnie nikt cierpiéć niepowinien!

— Mylisz się. Błędna ta myśl wbrew się sprzeciwia wcieleniu twéj idei, mospanie. Gdzie niema słusznéj nagrody i kary, tam niemasz *dobrze zbudowanego społeczeństwa*.

— Więc w swéj dobroduszności, Wilibardzie, sądzisz, że takowe koniecznie będą następstwa zakończenia mego z tą wioską interesu? O, jakże się niemniéj grubo mylisz! dodał z gorzkim uśmiechem Zbigniew.

— Bardzo być może, mospanie, bardzo to być może. A więc w takim razie, poradzę ci panie poeto, jeśliby tylko pierwsze me przypuszczenie niemiało miejsca, t. j. jeśliby cię nieoczyszczono z tego błota, którém teraz obryzgano, opisać *faktycznie, na pewnych danych*, wszystkie twoje przejścia z wziętą w possessję wioską, podjęte w szlachetnéj myśli i celu, oraz działalność twoich oskarżycieli... Opis ten ogłosić światu, mospanie, za pomocą, naprzykład, druku...

— Za pomocą druku?!..

— Poczekaj, poczekaj gorączka! nie śpiesz się: *primo*, tak ci nakazuje cześć twoja, którą, jako skarb najdroższy, uważać i cenić powinieneś..

— Tak... cześć... Nie, cześć mą kładę na ołtarzu ofiary, a tego nie dopuszczę się kroku! Oni ucierpią... Ilość wrogów wzrośnie...

— Nie mówię, żebyś koniecznie tak postąpił, mospanie, ale przy pewnych tylko warunkach i okolicznościach jestto rzeczą konieczną; bo, powtarzam ci, *gdzie niema słusznéj nagrody i kary, tam niemasz dobrze zbudowanego społeczeństwa mospanie. Qui vult nucleum frangat nucem,* mówi starożytny filozof; idea więc ci twoja wówczas nakaże postąpić według méj rady, mój poeto, — a to jest ważne *secundo*.

— Piołun i bobownik dadzą mi do wypicia, jeśli uczynię coś podobnego. Patrz, Wilibardzie, to serce tak młode, a tak zbolałe... litości, litości nad niém!...

— Jesteś, mospanie, poetą, człowiekiem przez Boga natchnionym. Wieszczy dar swój poświęcasz swéj wzniosłéj idei — miłości, która, jak Znicz święty, lub wieczne u Indyan ognisko, gore w twém sercu, — wiem to, mospanie. Jak każdy człowiek uczuciowy, podobny tobie, wiele cierpiéć musisz od chłodu, egoizmu i niewdzięczności świata, — i to wiem. Ale pamiętaj Zbigniewie, że, przystępując do świętego dzieła, wdziać ci na się potrzeba żelazną zbroję — i tylko zapłakać czasem możesz, jak Jeremijasz nad zwaliskami Jerozolimy!

Zbigniew milczał zasępiony, w oku mu łza błyszczała nakształt perły. Wilibard wziął ze stolika bruljon zapisany rozmaitymi wypisy z myśli krajowych wieszczów.

— Słuchaj, oto są słowa poety, któreś wypisał, a których walor czuć przecie powinieneś.

»Ci ludzie tak obojętni są na swoją literaturę, która jedynym jest oddechem — narodu. W tych ludziach, którzy dziś uprawiają literaturę, jest więcéj poświęcenia się i bohatérstwa, niżeli w dawnych rycerzach. Jestto zakon dobrowolnego ubóstwa, a tyle zaparcia się, tyle poświęcenia się jest w tych ludziach, że żadne ciosy nie odwrócą ich od obranego raz zawodu!«

»U nas pisarz czy poeta,« tu na drugiéj karcie u ciebie stoi napisano, mospanie, »niemoże, ani powinien oceniać się na równi z Dumasem, Scribem, Lamartinem, ani nawet Bajronem! Nasi prawi pisarze noszą na czole wieniec nie laurowy, a przynajmniéj każdy z nich idzie po drodze i prowadzi nas do celu, którego szukamy przeczuciem. Nasz

jeniusz—poeta zawsze wpośród nas stąwać będzie z nauką Skargi i t d. *) Pojmujesz?

Blada twarz Zbigniewa była natchniona, oświecona czerwonym płomieniem ogniska, drzała febrycznie. Wilibard ciągnął daléj.

— »Brzydki to ptak, powiadają ludzie, co swoje gniazdo czerni.« A ja ci mówię: czernić gniazdo rodzinne jest grzechem, ale wykazywać braciom ich winy i błędy—nietylko jest czynem cnotliwym, ale nawet obowiązkiem prawego człowieka. *Nośce te ipsum*, powiada wyrocznia Delficka. Człowiek, jak i całe społeczeństwo, wtedy tylko przy własném staraniu doskonalić się jest w stanie, gdy zgruntuje głąb swéj duszy, serca i rozumu, gdy pozna samego siebie. Nie maskować więc siebie, lecz otwartym przed sobą być należy. Chociaż prawda, mospanie, w oczy kole, ale otwartość rozumna wiele nam wrodzonych wad wykryje. Wiedząc o braku w nas pewnych cnót, jesteśmy w stanie je nabyć; wiedząc zaś o istności wad, niedostatków, przy silnéj woli zniszczyć je w sobie możemy. *Lepiéj, mospanie, być widzącym, jak ślepym, a co gorsza, zaślepionym.* Wystawienie win jednostek, błędów wlekących za sobą tysiące nieszczęść, prywaty, zamiast wspólnego interesu, wystawienie, powiadam, tego wszystkiego publicznie przed oczy ogółu—jednych do oczyszczenia się z brudu, drugich do baczności mospanie przed grożącém niebezpieczeństwem skłonić może. To, co w téj chwili powiedziałem, me zdanie skłania się do twéj idei dobrze zbudowanego społeczeństwa, zaś być przez *wszystko możebne* korzystnym temu społeczeństwu, nieoglądając się na osobiste, egotyczne *ja*, —to powinien być cel twój. Pomyślże nad tém wszystkiém, Zbigniewie, czyż nie tak?

Wzruszony do głębi Zbigniew zamiast odpowiedzi uścisnął rękę starego przyjaciela. Uścisk ten mówił, że mu wierzy. Nastąpiła chwila milczenia.

Niebo cokolwiek się wypogodziło i z poza rozrzedzonych chmur ukazał się przyćmiony księżyc. Wiatr wył gwałtownie. Dębowa kłoda na kominie buchnęła wesołym płomieniem i jasno oświeciła komnatę.

Wilibard znowu wziął bruljon do ręki i pod wyżéj przytoczonymi tu wyjątkami skreślił następujący wiersz:

---

*) Tadeusz Padalica: »Listy z podróży.« Wilno 1859.

»Ten tylko szczęście ocenia,
Kto wprzód opłakiwał zguby,
Kto długie znosił cierpienia,
Ten znajdzie przecież cel luby.«

(Metastazy w dr. *Regulus*).

— Oby te słowa, dodał, były proroctwem dla ciebie, mój młodzieńcze! Niech również cię uszczęśliwi ten istny anioł—dziewica, którąś niedawno w okolicach Odnówki poznał, mospanie.

— Cicho! wyszeptał Zbigniew i palec do ust przyłożył...

Uścisk powtórny splótł ręce obu.

Dorywcze moje studjum, z życia i z prawdziwych wydarzeń wysnute, na tém się teraz kończy.

Wielka—Czernihówka.
1871 roku.

NIE BUDŹCIE MNIE.

Śpiew.

Gabryeli.

Nie budźcie mnie!—to sen, to czar widzenie,
Ta chwila—[illegible], mój skarb nad życia dnie.
Tęczowy blask jéj tchnień—to gwiazd promienie!
Nie budźcie mnie, nie budźcie mnie!

Nie budźcie mnie: ja wiem, że tylko marzę....
Ach, w życiu tém, jak motyl, szczęście mknie....
Czy znacie cud?—Ja proszę, ja wam każę:
Nie budźcie mnie, nie budźcie mnie!

Nie budźcie mnie!—Jak słodko trwać w uśpieniu....
O, cicho... blask!—niebianka... jakże śnię!—
Ja widzę ją z za mgły mych śnień, w półcieniu...
Nie budźcie mnie, nie budźcie mnie!

Nie budźcie mnie! urocza, cudna ona
Na jasném tle jutrzenki, w wieszczym śnie!
Jéj uśmiech maj, a postać jéj natchniona...
Nie budźcie mnie, nie budźcie mnie!

Nie budźcie mnie w roskoszy dziwną chwilę,
Bo prześniłbym w niéj życia mego dnie!
Jam tyle cierpiał już, o! tyle, tyle...
Nie budźcie mnie, nie budźcie mnie!...

F. H. Zygmunt.



„Nie budźcie mnie!“

ŚPIEW
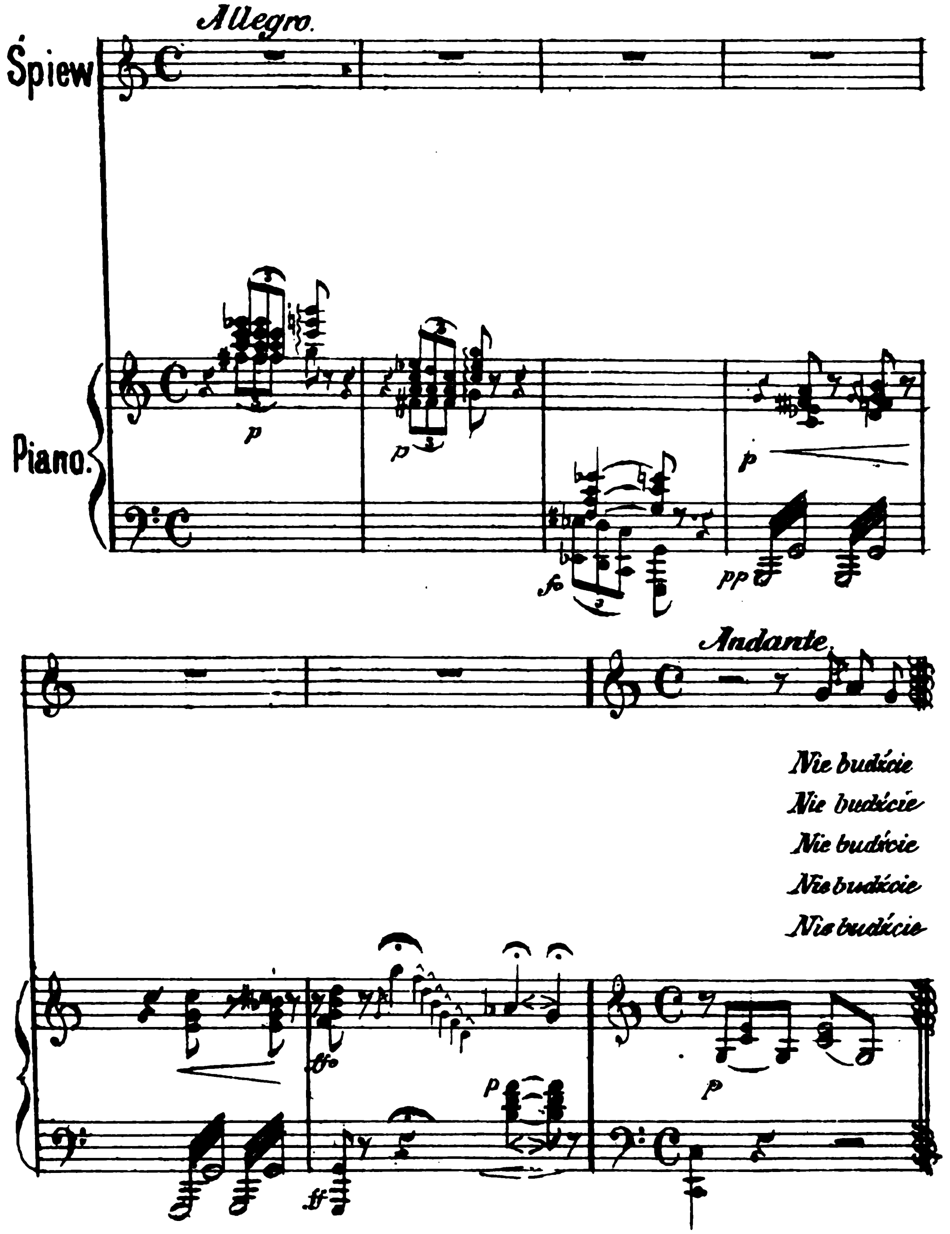
Do słów F. M. Ejsmonta:
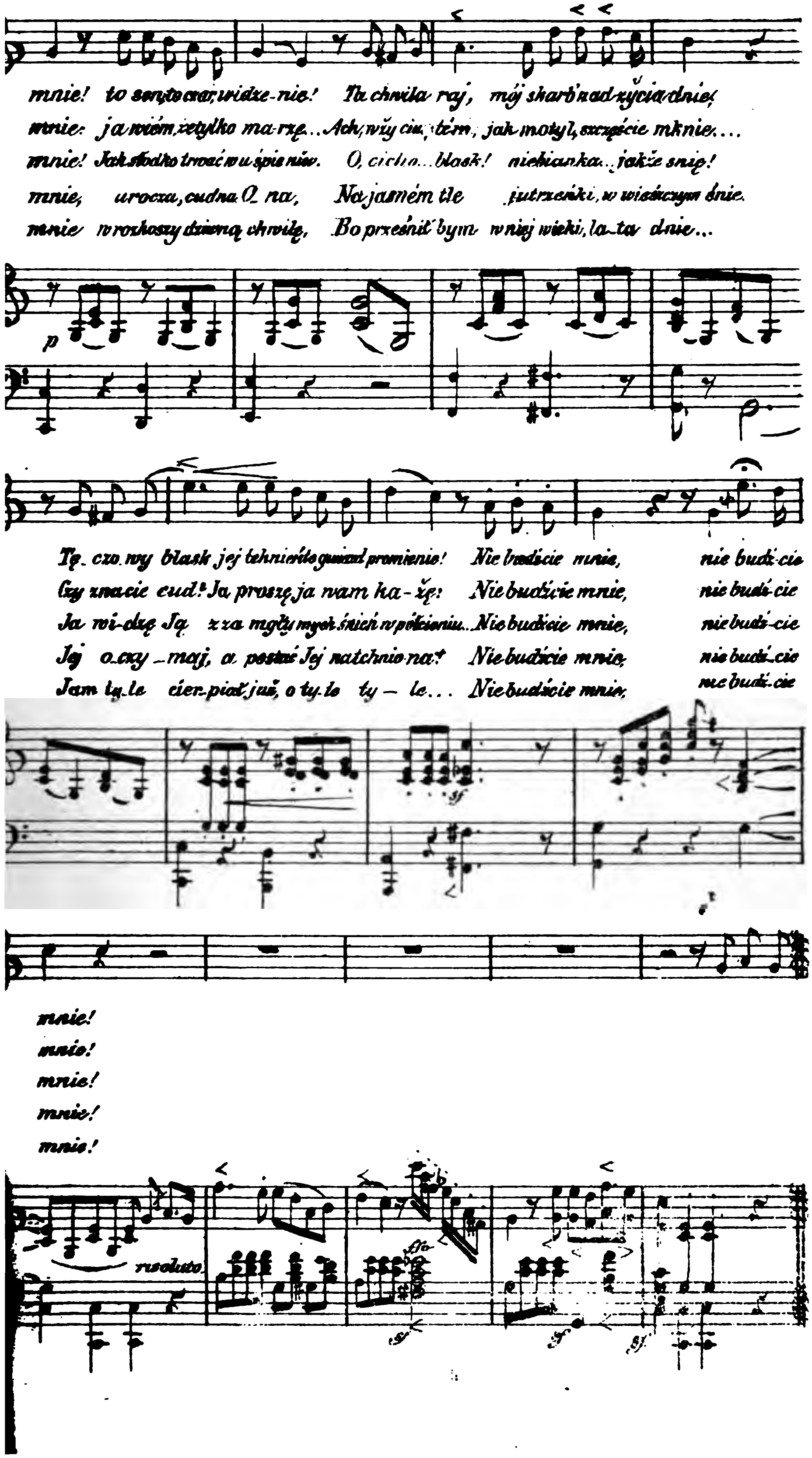
„NIE BUDZCIE MNIE”

MUZYKA NA FORTEPIAN

FRYD. PROCHASKI.

NIE BUDŹCIE MNIE!




mnie! to sen, to czar, widze-nie! Ta chwila raj, mój skarb nad życia dnie,
mnie: ja wiem, że tylko ma-rzę... Ach, wży ciu, tém, jak motyl, szczęście mknie...
mnie! Jak słodko trwać w uśpie niu. O, cicho... blask! niebianka... jakże snię!
mnie, urocza, cudna O- na, Na jasném tle jutrzenki, w wieńczym dnie.
mnie w rozkoszy dziwną chwilę, Bo prześnił bym w niej wieki, la-ta dnie...
Tę- czo-wy blask jej tchnie tło gwiazd promienie! Nie budźcie mnie, nie budź-cie
Czy znacie cud? Ja proszę, ja wam ka- żę: Nie budźcie mnie, nie budź-cie
Ja wi-dzę Ją z za mgły mych śnień w półcieniu... Nie budźcie mnie, nie budź-cie
Jej o-czy - maj, a postać Jej natchnio-na! Nie budźcie mnie, nie budź-cie
Jam ty-le cier-piał już, o ty-le ty - le... Nie budźcie mnie, nie budź-cie
mnie!
mnie!
mnie!
mnie!
mnie!
p
sf
risoluto

Дозволено Цензурою, г. Кіевъ 1872 года, 9 Января.

Лит. И и А. Давиденко аренд. С. Кульженко и В. Давиденко

TO BYŁO NIEDAWNO.

(r. 1870—71).

Ofiarow. P. Ludwice Charskiej.

I znowu Rok minął. Był straszny, krwiożerczy,
Tysiące wdów sierot, zostawił,
Tysiącom nóż w piersi zatopił morderczy;
I hańbą i zbrodnią się wsławił.

A ludzi żegnaiąc, tłumaczył się *skromnie*
Z tych nieszczęść, klęsk, mordów zadanych:
»Jam leciał z ideą... Pomnijcie wy o mnie,
O prawdach przezemnie wam danych:

»Jam dowiódł wam w czynie, że wasze maksymy
O cnocie, równości, oświacie,
To lotne, to wątłe, to takie czcze dymy,
Jak dymy, co z pożóg mych znacie!...

»Jam dowiódł wam, ludzie, że światło prawdziwe,
Jak niebo, jest od was daleko:
To światło głosicie... a czyny fałszywe,
Nędznicy, do piekieł was wloką!

»Wy całą potęgę rozumu wielkiego,
Źli w sercu, w zło bliźnim zwracacie...
O nędzni chrześcjanie!—Wszak widno dziś z tego,
Że prawd wy Chrystusa nieznacie!

»Czyż stare swe waśnie wy mądrzy, rozumni,
Swém słowem pogodzić umiecie?...
A gdzież więc ten rozum, z któregoście dumni,
A gdziez on? wy, płazy powiedźcie!...

»Wy równi?!—Podobni w krwiożerczej naturze
Tym nędznym, co żyją w dzikości!...
Im wyżey lecicie w *oświaty* swej chmurze,
Tém więcej grząźniecie—w *podłości*!...

»Jam poznał tę podłość i chytrość zarazem,
Z tych czynów przeklętych na świecie,
Co zamiast, by powstać i zniszczyć je razem,
Wy »*faktem spełnionym*« zowiecie.

»I u was tak ciemno, jak w lochach podziemnych,
Gdzie byli męczeni jenjusze...
Dla hańby, dla sromu, w morderstwach nikczemnych
Brat bratu wyrywa dziś duszę...

»Ja wami pogardzam! Wstręt patrzéć na zbrodnie!
Oddalam się od was na wieki!
Wy szydźcie i z wiary i z uczuć: to *modnie*,
Wam szatan nie skąpi opieki!«

Tu zaśmiał się starzec okropnie, straszliwie,
I skrzydła rozpuścił swe w złości;
On dąsał się, burczał i klął przeraźliwie,
I w przestrzeń uleciał przeszłości...

Wtém z poza obłoków, światłością olśniony,
Uśmiechnął się smutnie młodzieniec:
Twarz jego—to boleść, krwią cały zbroczony...
Na głowie zielony miał wieniec...

Z rąk spuszczon aniołów, on kroki cichemi
Postąpił... Wnet ludzie dokoła
Ściskają się, biegną w ślad za nim po ziemi,
A każdy z téj tłuszczy tak woła:

»Co niesiesz *mi*, pytam, wszak nasza tyś głowa,
Wszak rządzić nam będziesz z niebiosy!«
I krzyk się powiększa, mieszają się słowa,
I słyszéć się dają tam głosy:

— Daj *wojsko* waleczne, a w sławę się wzbiję,
Łzy z krwią ja przemieszam, na Boga!..
— Daj jenjusz mi, błagam, niech nowe odkryję
Narzędzia zniszczenia na wroga!..

— Ty zaklnij mię w *chytrość*, bym świat ja oszukał,
Bym w przepaść potrącił królestwa!..
— Dopomóż mi *w zdradzie*, a znajdę, com szukał:
Wszak wielki cel mego jestestwa!..

— A mnie daj miljony miljonów pieniędzy:
W fabryki się w banki odzieję!
Niech sobie tysiące wyginą dziś z nędzy,
Ja z świata całego się śmieję!...

Wtém naraz wybladłych: — Daj chleba, daj chleba!
Krzyk groźny boleścią przejmuje...
— Daj chleba, wołają, o, chleba nam trzeba,
Bo głód nas wyniszczy, wytruje!...

Lub w mękach piekielnych, ranami okryty,
Na polu gdzie, *z światła—ruina*...
W agonji tam żołnierz, strzałami przeszyty,
Śmierć wzywa, rodzinę wspomina...

Lecz stokroć straszniejsze tam słychać wołania;
— O, ludzie, bez serca, bez cnoty!...
To matek nieszczęsnych okropne błagania:
— Opieki! me dzieci—sieroty!..

I rzadko modlitwa gdzieś wznosi się cicha
W cześć wiary, nadziei, miłości...
I rzadko modlitwą pierś czyja oddycha
O dobro dla *całéj ludzkości*...

Młodzieniec wciąż słuchał tych głosów wołania,—
Gniew pierwej okrasił mu lica...
Lecz później, gdy pojął ostatnie błagania,
Litości łzą błysła źrzenica...

I duma za dumą zaświeci na czole
Na którém ma wieniec zielony;
To uśmiech nań spływa, to smutek i bole...
Wtém krwawe roztoczy opony,

I z pod nich swe skrzydła śnieżyste ukaże.
I rękę wyciągnie do ludzi,
A patrząc łagodnie w ich dusze i twarze,
Swém słowem *ideę* w nich budzi:

»Ja światło i prawdę wam niosę, zwiastuję,
Jam światła wysłaniec w ciemności...
Ja przyszłość narodów téj ziemi gotuję,
Jam promyk dni wielkich przyszłości...

ŚPIEW
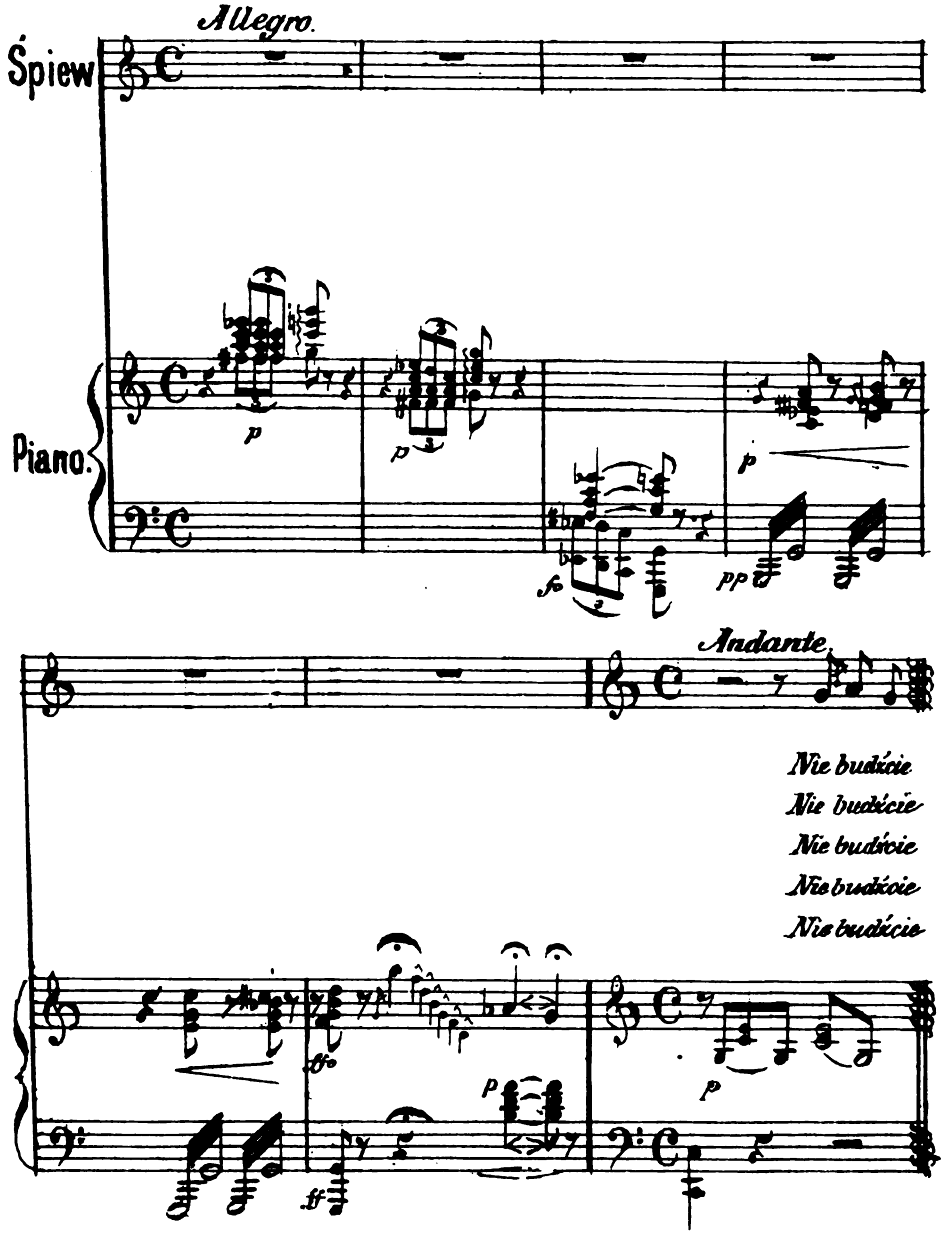
Do słów F. M. Ejsmonta:

„NIE BUDZCIE MNIE"

MUZYKA NA FORTEPIAN

FRYD. PROCHASKA.

NIE BUDŹCIE MNIE!



Więc śród żałośnych płaczów i jęczenia
Kobiet, śród rżenia koni, mieczów szczęku
Każdy, na piersiach kładąc znak Zbawienia,
Wskakuje na koń—i wodza dogonił.
On jeden ni się przeżegnał, ni skłonił
Czoła przed dachem rodzinnego domu,
Który czy ujrzy?—czyż wiadomo komu?...
Orsza wciąż milczy. Chmurne swe oblicze,
Zsępione dumą, ku drodze on zwrócił...
Na czole srogie znać było gorycze
I myśl, że chętnie żywot by już skrócił,
I razem walkę: bo widocznem było,
Że serce ducha twardego zwalczyło...
I nagle—okiem zaognionem rzucił
Pierwéj na Niebo, potem na dóm stary,
Niegdyś tak miły i drógi dla duszy,
Dziś, niby tknięty palcem Bożéj kary,
Tak chyżo w smutną ruinę się kruszy,
Tak tchną pustkowiem poczerniałe mury,
Gdzie tylko wściekłe mieszkają zawieje,
Gdzie wicher gwiżdże jakiś śpiew ponury,
Jęczy i płacze, to niby się śmieje...
A drzwi, co ledwie u odźwierków wiszą
Widać słuchają owych dzikich pieśni:
Bo pod ich szturmem ciągle się kołyszą,
Piskliwym głosem jęcząc, niby we śnie...

Niepróżno wojną straszył Lach i Litwa:
Była straszliwa i zażarta bitwa...
I, zostawiwszy krwawe ślady swoje,
Na inne pola przeniosły się boje...

. . . .

Na placu walki, śród rzuconéj broni,
Pośród ciał martwych ludzi i koni,
Jeździec powolnym postępuje krokiem...
Widocznie czegoś szuka tu ten człowiek:
Bo to się schyla, to głowę podnosi,
Na obie strony rzuca bystrém okiem,
Stanie i rękę przykłada do powiek,
Wdal się wpatruje, na siodle się wznosi...

Kto jest ten jeździec?.. Bo niejest Litwinem,
Ani Polakiem, ani Moskwy synem:
Choć bowiem polskie przywdział na się szaty,
Ozdobne złotem i lśniące od srebra,
I chociaż polski ma pałasz bogaty,
Co, dzwoniąc, bije o rumaka żebra,
Lecz śniadość tego pochmurnego lica,
Te ciemne włosy nad czołem szerokiém,
Te oczy w których rzekłbyś błyskawica
Walczy z ponurym ciemnéj nocy mrokiem,
Wszystko to mówi, że go niewydała
Kraina nasza, chmurna ziemia chłodu:
Tak w nim wyraźnie się odpiętnowała
Natura inna, krew gorąca Wschodu...

Niebył on młody, niebył też i stary...
Lecz ktoby spójrzał uważnie na rysy,
Tego człowieka, dójrzałby w nich czary
Owéj piękności, dla której opisy
Wszystkie są niczém; bo ona jest żywą,
Bo na njéj smutek cechę swoją tkliwą
Na wieki wyrył głoski ognistemi:
Bo dwie potęgi dobrego i złego,
Wszystko, co mieści dusza, ziemi głodna,
Dopokąd ciałem przykuta do ziemi,
W niéj, jak w krysztale, przegląda aż do dna..
A potém, patrząc na człowieka tego,
Pewnoby wyrzekł z współczucia westchnieniem:
»Ten człowiek stary nie laty—cierpieniem!«..

Pośród doliny jest kurhan wysoki,
Na szczycie jego dąb stuletni stoi...
On go olbrzymią stopą swoją gniecie,
A nad nim dumnie rozpostarł szeroki
Namiot konarów, które cienie swoje
Daleko ścielą po dolinie w lecie,..
Lecz teraz na nich zieleń się nieśmieje—
I dąb, jak widmo, śród śniegów czernieje,
Z chrzęstem wstrząsając gałęźmi nagiémi...

Tu najzaciętsza walka się odbyła
I tu najwięcéj ofiar zostawiła:
Bo oto leżą na skrwawionéj ziemi

Stosy ciał ludzkich strasznych, posieczonych,
I głów odciętych, i rąk krwią zbroczonych!..
I w wielu miejscach strugi krwi zapiekłej
Śnieg przetopiły, do ziemi dociekły...
I kora dębu na szczycie kurhana
Była wokoło mieczami zrąbana:
A i tam—ślady krwi widoczne były—
Rzekłbyś, że rany drzewa nią broczyły...
Samotny jezdziec jeszcze niezaniechał
Swych poszukiwań: bo oto przyjechał
Do stóp kurhanu... Wnet, jakby coś zoczył,
Prędko zsiadł z konia i na kurhan skoczył...
Stanął, uważnie obejrzał się wkoło...
Coś przypominał, bo ręką tarł czoło..
Nareszcie mówi: »Niema wątpliwości:
»Toż samo miejsce—poznaję to drzewo—
»Tu on być musi, czy martwy, czy żywy...
»Tum widział starca, jak pełen wściekłości,
»O ten pień gruby plecami oparty,
»Rąbał swym mieczem na prawo i lewo
»I waleczności dokazywał dziwy:
»Sam jeden napad odpierał zażarty!..
»O, jeśli poległ, to zaprawdę drogo
»Sprzedana jego głowa osiwiała!..
»Kiedy potyczka najzaciętsza trwała,
»Jam spotrzegł, jak nań nacierano srogo,
»Jak jego ręka, mieczem uzbrojona,
»Trzykroć się wzniosła i trzykroć opadła...
»A każdym razem, kiedym ją spostrzegał,
»Zdrój krwi obfity po tej ręce zbiegał...
»Lecz już raz czwarty niewzniosła się ona:
»Zachwiał się bowiem—i twarz jego zbladła...
»Ale koło mnie bój wszczął się goręcej
»I odtąd starca niewidziałem więcej..
»Lecz ujść ztąd niemógł, bo był trupem prawie«...

Wtém jezdziec słyszy jakiś jęk stłumiony.
Słucha: z którejby pochodził on strony?
Zrozumiał, patrzy w tę stronę ciekawie:
To on!.. to Orszal«..
Okrwawiona głowa
Z wysiłkiem wielkim podniosła się z ziemi.

Spójrzał oczami prawie już zgasłemi —
I słabym głosem te wymówił słowa:

Orsza. O, tyś mię poznał!.. I jam poznał ciebie!..
Ani czas, ani narodu obcego
Strój, nieodmieni wzroku złowieszczego...,
Ni żadna nowa bruzda na twém czole
Cechy dawniejszéj na niém niezagrzebie,
Cechy występku, zbrodni!..
.. Tyś mą dolę
Zatruł goryczą, z spokojnego biegu
Tyś moje życie nad przepaście strącił,
Tyś dni mych resztki zgryzotą zamącił: —
Dziwnoż, żem tutaj, na mogiły brzegu
Jam ciebie poznał?.. Ty jesteś Arseni!..
Poznaję dobrze ten twój uśmiech blady,
Gdzie węże syczą i straszliwe gady!..
Poznaję dobrze głosu tego brzmienie,
Choć go pokrywasz obcéj mowy dźwięki:
On dla mnie zawsze przykrzejszy nad męki!..
Twoje zamiary wszystkie ja rozumiem;
Po co tu jesteś? nawet zgadnąć umiem...
Ale napróżno! nieodwrócę wzroku,
Niewydam jęku: bo ty, zdrajco! Lachu!
Smutek, żal chciałbyś wyczytać w mym wzroku;
Chciałbyś z méj piersi usłyszeć jęk strachu
Przed blizką śmiercią i przed tobą może?!..
Wiedz-że i patrzaj, że ja się nietrwożę
Śmierci, że życia mego nieżałuję!..
Lecz żal mi tego, to mi męką truje
Krótkie te chwile, które jeszcze żyję,
Że wkrótce śmierci godzina wybije,
A ja się zemścić nad tobą niemogę!
Niemam sił ująć tego oto miecza,
Widząc twe lice nienawistne, wrogie!..
Że, choć niedarmo oddałem me życie--
Bo oto jeszcze krew po rękach ciecze,
Krew wrogów, którą toczyłem obficie,
Brocząc swe ręce od ramion do pięści,
Że w krwi téj, mówię, niema ani części,
Ni jednéj kropli krwi zdradzieckiéj twojéj!..

Arseni Starcze! Zapomniéj już o tém, co było!..

Niech twe pragnienie zemsty się ukoi:
Bo patrz na pierś mą: ran i blizn tu niéma,
Lecz gdybyś spójrzał twéj duszy oczyma
W téj piersi wnętrza, ile się tam wpiło
Zjadliwych wężów okropnéj tęsknoty,
Krwawych upiorów żalu i zgryzoty,
O, gdybyś spojrzał w tę pierś moją biedną,
Byłbyś w twéj zemście już uspokojony,
Bo sambyś przyznał, że jesteś pomszczony!..
Jak? i przez kogo.?.—to ci prawie jedno,
Dość, że pomszczony okrutnie i srodze!..

Lepiéj mi powiedz, błagam ciebie o to,
Gdzie twoją córkę mógłbym dziś odszukać?..
Kędy jest ona? Niech ją wyswobodzę!...
Wróg kraju może ohydną pieszczotą
Tego Anioła jasnego obrukać...
A ja przysiągłem obaczyć ją jeszcze!
Mówże, gdzie ona? zanim śmierci dreszcze
Skują ci usta i zakryją oczy!«..

Orsza. Prędzéj, o prędzéj pędź, co koń wyskoczy,
Do mego domu: tam ja córkę moją
Samąm zostawił... Ona cię tam czeka...
Ni w noc, ni we dnie niesypia, niejada:
Ciągłe tęsknoty, biedną, niepokoją,
I ciągle płacze i ciągle narzeka,
Że nieprzybywasz!.. Jakże będzie rada,
Gdy cię obaczy, gdy ciebie uściska!
Spiesz się więc do niéj!.. Już śmierć moja blizka...
Teraz już—dla was straszny ojciec stary
Chyba jak widmo, jak grobowe mary!....

Starzec widocznie chciał mówić coś jeszcze—
Niemógł: w tej chwili śmierci straszne dreszcze
Zdrętwiły język, zawarły mu usta...
Chciał jeszcze potém jakiś znak dać ręką,
Ręka, skurczona konwulsyjną męką,
Nieusłuchała... Wreszcie zbladł jak chusta...
Czoło zmroczyły czarne śmierci cienie...
Zimna martwota lica mu owiała,
Zaszkliła oczy... Jeszcze raz się rzucił—
Twarzą już trupią ku ziemi się zwrócił...

Jeszcze chrapanie... jeszcze wyciągnienie..
I duch—na wieki uleciał już z ciała!..
Po krótkiéj chwili zbliżył się Arseni—
Rozwarł mu ręce skrzepłe i skostniałe
I podjął z ziemi martwą głowę jego:
Rozwarte oczy, pozbawione rdzeni
Życia i światła, były szkliste, białe...
Ale z nich jeszcze dwie wielkie łzy biegą,
Czyste i lśniące jak dwa dyamenty:
One jedynie świadczą, że przed chwilą
Dusza ta wrzała namiętności tylą
Wielkich, głębokich, jak morza odmęty!..
Bo ta twarz martwa była już spokojną...
Nawet piękności tym rodzajem strojną,
Co choć niedyszy uczucia żywością,
Jest przecież piękna swą tajemniczością
Nieodgadnioną, niby grobów cienia,
Wielką, niezmierną,—jak morze cierpienia!..

Długo Arseni stał nad starca ciałem...
Gniotły mu duszę wspomnienia i żale:
On mu przebaczył wszystko sercem całem,
Choć przebaczenia nieotrzymał wcale!..

Potém powoli on mu pierś obnażył
I serca jego dotknąć się odważył:
Pierś okrywały i blizny i rany:
Jedne się bruzdy głębokiémi ryły,
Drugie—krwią świeżą jeszcze czerwieniły.
A serce starca, chociaż ciało skrzepło,
Wydało jeszcze ruch słaby, urwany,
I jeszcze—lekkie czuć w niém było ciepło...

Snać w owém sercu gorącém, burzliwém,
Daleko późniéj zgasły namiętności,
Niż zgasło życie na licu sędziwém,
Niż wzrokiem—śmierci zawładły ciemności!..

Już dzień zimowy miał się ku końcowi,
Kiedy Arseni rumaka dosiadał...
I wnet ostrogą tak silny raz zadał

Niespodziewanie biednemu koniowi,
Że wierne zwierzę z bolu aż zadrzało...
Lecz, zrozumiawszy pana swego wolę,
Zaczęło nieść go skoki szalonymi,
I w jednéj chwili—już bojowe pole
Było daleko, daleko za nimi...

Arseni pędził biegiem oszalałym:
Mijał on łąki równe i obszerne,
Które okrywał jak całunem białym
Śnieg, rozwinąwszy płachty swe niezmierne,
Jak zajrzy oko—od końca do końca...
Niekiedy igra z tą białą przestrzenią
Promień ukośny wieczornego słońca,—
A śnieżne iskry i lśknią się i mienią
Miljonem blasków i barw miljonem...

Ale Arseni nieuważa wcale,
Co go otacza, bo pędząc wciąż daléj,
Na widnokręgu zoczył oddalonym
Ledwo widoczne ciemnosine pasy:
To dobrze znane naddnieprowe lasy...
A już za nimi droga niedaleka
Do tego domu, gdzie go miła czeka,
Gdzie może za nim oczy wypłakała!..
Więc serce bije, więc głowa mu pała...
I znowu pędzi, niby wicher pędzi,
Konia nieszczędzi i siebie nieszczędzi!...

Otoż i lasu znajomego cienie:
Cichość tam głucha i senne milczenie...
Tylko czasami, śród zupełnéj ciszy,
Kiedy zbliżony bieg konia usłyszy
Kruk, zwiastun śmierci, to ciężkiémi skrzydły
Z drzewa na drzewo przeleci... a potem
O suchą gałęź z złowrogim łoskotem
Oczyszcza dziób swój krwiożerczy, obrzydły...
Tylko czasami słychać gdzieś, daleko,
Przeciągłe, przykre głodnych wilków wycia:
To—na plac boju, ze swego ukrycia,
Zwietrzywszy ucztę, stada ich się wleką...
Sosny i brzozy, nad drogą stojące,

Białym, przezroczym, jak puchy łabędzie
Okryte były szronem; a zaś wszędzie
Nieprzeliczone tych puchów tysiące,
Jak srebrnym pyłem wnet osypywały
Jezdca i konia, gdy ich głowy w pędzie
Zwieszoną nizko gałąź zaczepiały...

Ale Arseni nieuważa wcale
Co go otacza, bo pędzi wciąż daléj,
W głębokiéj, tęsknéj pogrążon zadumie...
A rumak dobrze chęć jego rozumie,
Bo dotąd w chyżym nieustaje biegu,
Choć już zmęczony, choć zapada często
Po wyżéj kolan w wielkie zaspy śniegu,
Choć pierś, jak komin, bucha parą gęstą,
Choć krwią i pianą okryte ma boki,
On pędzi ciągle szalonymi skoki!...
Alećż już blizko... Oto dóm ponury,
Oto brzeg Dniepru urwisty i stromy...
A tam powabnie wyjrzały z za góry
Wieśniacze chaty, obejścia i domy...
Tulą się one w przyjaznéj gromadce,
Jak brat przy bracie, tak chatka przy chatce:
Tylko dóm pański tak samotnie stoi,
W tak dumném, martwém, posępném milczeniu,
Że niby braci téj wzdraga się, boi,
Niby nią gardzi w swém odosobnieniu...

Wjeżdża Arseni przez otwarte wrota
W dziedziniec dworu: wszędy cichość głucha,
Pustka—i taka posępna martwota,
Jak gdyby straszna zaraza morowa
Przeszła tamtędy... Próżno woła, słucha,
Echo powtarza jego własne słowa—
I znowu cicho... Młodzian z konia zsiada
I bieży pieszo do ganku... Gromada
Wieśniaczéj dziatwy, co dóm opuszczony
Za plac igraszek snać sobie obrała,
Nagle na ganku mu się ukazała...
Ale ujrzawszy ten wzrok rozogniony,
Ten ubiór obcy, bladość tego czoła,—
Z krzykiem przestrachu pierzcha i ucieka...

Jeszcze przez chwilę słychać gwar zdaleka,—
I znowu cisza zaległa dokoła...

Wchodzi do domu, i dóm jak zaklęty,
Noc ciemna w izbach, okiennice zwarte,
Ściany z swych ozdób dawniejszych odarte,
Podłogi skrzypią z rozgłośnym hałasem
Brzęczą na półkach potłuczone sprzęty...
Wilgotno, zimno, i straszno i ciemno...
A wszędy słychać woń jakąś podziemną,
Straszną woń grobów!... Słońce tylko czasem
Do izby zajrzy przez wązką szczelinę,
Rzuci na ścianę słabym blasku pasem,
Który oświeci pył i pajęczynę—
I znów opuszcza te kąty ponure...

Pośpiesznie mija pokoje Arseni,
Dąży ku wschodóm, wiodącym na górę;
On je przebywa na oślep, wśród cieni...
On już nie idzie, lecz bieży, lecz leci...
Jest już na piętrze... Wtém blask mu zaświeci—
Zbliża się—widzi: to okno otwarte,
Okno od Dniepru... a otwarte ono
Snać już oddawna, bo niezamieciono
Nawianéj przezeń śniegu warstwy grubéj...

Dawne wspomnienia, przez czas niezatarte,
Powstały żywo w pamięci młodziana:
W tém oknie często ona go czekała!...
A oto—drzwi jéj, w których ukochana
Nieraz go cichym całunkiem witała!...

»O, prędzéj, do niéj!...
Lecz drzwi te zamknięte,
I niby dawno już ręką nietknięte,
Bo, jak krwią, zamek grubą rdzą okryty!...
Zadrżał Arseni... I wnet nóż, dobyty
Z pochew, zakłada w zamek zardzewiały;
Zamek się złamał—drzwi otworem stały...
I oto—wchodzi on stopą ostrożną,
Z duszą, strasznemi przeczuciami trwożną,

Do znanéj dobrze, téj samej komnaty,
Gdzie tyle szczęścia doznawał przed laty!

I drzącą rękę przed siebie wyciąga...
I tęsknym wzrokiem szuka jéj wéjrzenia...
I usta szepcą powitania słowa...
Echo mu tylko odgłosem urąga—
Żadnego głosu, szmeru, poruszenia...
Cichość w komnacie okropna, grobowa!...

Jednakże pościel na łożu pomięta,
Jak gdyby jeszcze dziś była dotknięta
Cudném jéj ciałem... jakby przed godziną,
Przed małą chwilą ona tutaj była,
Na téj poduszce główkę swą złożyła,
I w śnie dziewiczym o kochanku śniła,
Marząc, że wkrótce dnie rozłąki miną...

Arseni bliżej przystąpił... Lecz—Boże!...
Cożby to było?.. To dziewicze łoże
Okryte pyłów grubemi warstwami!
Zaś, po nad łóżkiem, między osłonami,
Snują się gęste pajęczyny sieci!..

W téj chwili mroczną komnatę oświeci
Zachodzącego słońca blask złocisty—
I padł on—na ów kobierzec wzorzysty,
Co leży u stóp łoża dziewiczego...
Arseni oczy mimowolnie zwrócił
Ku owéj stronie...
Wtém nagle się rzucił...
Wydał krzyk straszny przerażenia, trwogi...
I twarz odsłonił... i na bok odskoczył,
Jak gdyby żmiję straszliwą on zoczył,
Która mu nagle podpełzła pod nogi!...

Boże!... O jakże byłby on szczęśliwy,
Gdyby w téj chwili anioł śmierci blady
Zjawił się przy nim chyżéj, niż blask żywy
Gromu,—i wlał mu w pierś śmiertelne jady!..

Bo oto przy nim na kobiercu leży
Gromada nagich, pobielałych kości...

I trupia głowa straszliwéj białości
Zęby ku niemu niby śmiechem szczerzy,
I nań spoziera dziurawémi oczy!...
Resztki tak pięknych niegdyś jéj warkoczy,
Ozdoby ramion cudnych, marmurowych,
Dzisiaj do kości gdzieniegdzie przylipły
W kosmach bezbarwnych, jak proch ziemi, płowych...
A tam, w téj piersi, kędy serce biło
Tylą miłości, tylą życia tliło,
Dziś—czarna jama, a w jéj głębi skrzepłéj
Szpetne robaki, mieszkańcy mogiły,
Obrzydłe gniazdo swoje założyły!...

»Więc oto wszystko, co ja ukochałem—
»Straszliwy skielet bez ducha i tchnienia!!...
»Więc cudne usta, które całowałem,
»Te oczy. w których, pełen zachwycenia,
»Jam czytał wyraz głębokiéj miłości,
»To serce, które dla mnie szczęściem biło,—
»Wszystko to, wszystko śmierć, pełna srogości,
»Zmieniła w prochy!... I nie pod mogiłą,
»Lecz tu, w téj izbie, gdzie przez krótkie chwile
»Jam doznał szczęścia i upojeń tyle!!!...

»Dusza jéj piękna, dziewicza i czysta
»Wzlata już dawno tam, gdzie Wiekuista
»Mądrość mieszkanie takim duszom daje!..

»Gdzież ślad krótkiego bytu jéj na świecie?...
»On—tu, w méj piersi!... On zgryzotą gniecie
»Serce i w duszy méj wyrzutem wstaje!...

»Ona zginęła w swéj młodości kwiecie,
»Zginęła w strasznych męczarniach, w rozpaczy!..
»A jak? i kiedy? - Bóg to wiedzieć raczy.
»I wiedział jeszcze ten ojciec okrutny,
»Który zarówno stoi już przed Bogiem,
»A który dziecka własnego był wrogiem,
»Bo o tém świadczy—ten straszny i smutny
»Skielet, mogiły nawet pozbawiony,
»Przezemnie tylko łzą żalu uczczony!...

»Jam zbrodzień, bom ja zgonu jéj przyczyną!..
»Lecz—zaliż kara da się zrównać z winą?
»Niejestże ona wymierzoną srodze,
»Jeśli, jak na tym, tak na świecie innym,
»My się niezejdziem już na swojéj drodze?
»Jeżeli w pierwszéj rozstania godzinie
»Myśmy na całą wieczność się rozstali,
»I cała wieczność w tém rozstaniu spłynie?!
»Jestżem tak bardzo, tak niezmiernie winnym?...

»Cóż pozostało mi teraz?... Iść daléj!...
»Dokąd?—to jedno ta, czy owa strona...
»Tu są jéj prochy,—ale już nie ona!
»Toż ja sam jeden, z czarnym smutkiem w duszy,
»Bez żadnych życzeń, bez żadnego celu,
»Dziś stąd na zawsze, na wieki odchodzę!...
»Aż kiedyś nędzne to życie się skruszy
»Po latach wielu, albo i niewielu,
»I wiatr zawieje ślady na méj drodze!«

OBRAZEK

Jenjalnego Officjalisty.

p. B. Dołęga (I. rou. Świt

W galerji prowincjonalnych typów poczetne miejsce zajmować powinien znany mi oddawna p. Pius, herbu Doliwa, Chrząkalski, pospolicie mianowany *Kauzyperda*. Ma on w towarzystwie swojém pewną powagę, ma stałych swoich admiratorów i jest nieomylnym superarbitrem w każdym, szczególniéj gardła i brzucha tyczącym się, kompromisie. Już to jedno, że umie zaimponować wykwintną frazeologją i gestykulacją, wyróżnia go z tłumu i stawi na piedestale parafijalnéj znakomitości; zresztą czytelnik sam z niniejszego szkicu zauważy, czém się odznacza indywidualność p Piusa i jakie jego prawa do typowéj expozycji.

I.

Skutkiem zapewne wrodzonéj inklinacji do tego liberalizmu, z którego filar mądrości starożytnéj, błogiéj pamięci Epikur wysnuł sympatyczną swą doktrynę, pan Pius zbyt wcześnie, bo jeszcze wtenczas, kiedy pod dyrekcją p. Kwinty, organisty Makarowskiego, odbywał w jego szkółce elementarne studija, dał się poznać ze swoich przymiotów towarzyskich. Skrupulatnie rzeczy biorąc możnaby nawet sięgnąć wyżéj jeszcze, będąc bowiem pięcioletnim pędrakiem miał już szczególne upodobanie w pielęgnowaniu słabszych od siebie istot. W stajence, w obórce, w chléwku, w kurniku, w strażniczéj budce, ba nawet w chacie w różnych kątach na dole i pod strychem zwyczajnie czy to latem, czy zimą znajdowało się coś, co właściwym sobie wokałem przemawiało do serc litościwych; otoż mały Chrząkalski, w braku zapewne innych żywiołów dla swojéj do towarzyskich słodyczy lgnącéj natury, punktualnie każdego dnia odwidzał tę mizerję, aby ją zasilać okruchami ze swoich śniadań, obiadów i wieczerzy, a zasilając nieszczędził jéj najczulszych pieszczot, jakie tylko zewnętrzną, zmysłową swą potęgą, to jest, miłośném rąk i ust dotykaniem, oraz dyalektem najstaranniéj do jéj przeróżnéj lingwistyki zastosowanym okazywać zdołał. Naturalnie, że tak traktowane cielęta, prosięta, szczenięta, kocięta, kurczęta, gęsięta i t. d. rosły jak na drożdżach, a rosnąc poufaliły się coraz bardziéj że swoim orędownikiem, poufaliły tak dalece, że częstokroć, kiedy w porze długich dni letnich po obiedzie udawał się na spoczynek do stodoły, cała ta gromada domowych czworonogów i ziarnodziobów lokowała się tuż około niego. Podobnąż assystencję miewał on i w zwykłych swoich po podwórzu przechadzkach. Był więc czas, że takie towarzystwo sprawiało mu jedyne i najmilsze zadowolenie, czas, w którym jaźń jego niezaznała żadnéj do innych rozkoszy pobudki, czas błogiéj, czysto zmysłowéj egzystencji; ale że człowiek, chcąc niechcąc, z wiekiem kształcić się musi, że sposób jego zapatrywania się na różne przedmioty zależy od mnóstwa postulatów, znanych pod ogólną nazwą cywilizacji, że wreszcie maxyma zawarta w przysłowiu: »Kto z kim przestaje, sam takim się staje« ma swój powszechnie uzasadniony walor, wypadło zatém, że p. Pius wyniesioną z owéj doby wiosennego swego życia towarzyską sympatję zwrócić musiał, i zwrócił do szlachetniejszych indywiduów. Już będąc

o kilka lat starszym, jako celujący dyscypuł p. Kwinty, wyrażał on niejednokrotnie i dosyć ostro nieukontentowanie swoje, kiedy np., który ze spacerujących po podwórzu kiernozów potrącił go familiarnie ryjakiem, kiedy znowu zastał na swojéj pościeli zabłoconego kundysa, albo znalazł w swojéj czapce, czy w słomianym kapeluszu niosącą się kurę. Prawdę mówiąc, uraza ta była tylko udaną, powierzchowną, jakby dla oka ludzkiego, bo prywatnie, na osobności, po dawnemu nieskąpił on bynajmniéj karesów tym swoim faworytom. Bądź co bądź wszakże wiek i okoliczności są taką absolutną potęgą, że człowiek musi się wstydzić jakby największego grzechu, dzieciństwa swego. Nadeszła wreszcie pora, że p. Chrząkalski doczekawszy się bujnéj zarośli pod nosem uznał reformę w swoich obyczajach za rzecz niezbędną i począł serjo myśleć nad zerwaniem ściślejszych stosunków z nadworną menażerją. Była to dla niego arcy ważna, iście Hamletowska kwestija, to też nieboraczysko nie jedną walkę z sobą stoczył, nim ją ostatecznie tak oto rozstrzygnął.

»Istotnie (argumentował on, siedząc przed lusterkiem i dwoma palcami zwilżonymi śliną wertykalnie do góry podnosząc ogónki swoich wąsów:) istotnie dla tego bestjalstwa niewarto szafować *szlachecką sentencją*; przecież prosta *filantropija* dyktuje, że *dywidendy*, z wyroków Boskich jedynie na szynki, kiełbasy, kotlety i pieczyste przeznaczone niepowinny obudzać w sercu człowieka żadnéj *transpiracji*, żadnéj, co się zowie! i na tym fundamencie odsunąwszy na stronę dziecinną *solidarność*, wyrzec się należy wszelkiéj z tą chlewną mizerją *komplanacji*. Człowiekowi w moim wieku, mającemu do załatwienia okazalsze *kategorje*, wcale nieprzystoi taka gminna *fermentacja*. Alboż niemam przed oczyma godnych największéj *subordynacji egzemplarzy?* Ani pan Cesław, ani pan Antoni, chociaż odemnie młodsi, niezajmują się wcale bydlęcym *socjalizmem*. A jaka w każdym ich kroku wykwintna *kondygnacja!* jaka w postawie, wzroku i we wszystkich ruchach *statystyka!* aż miło spójrzeć na tę prawdziwie *klassyczną improwizację!* Cały sekret w tém, że wspaniała ich *kultura* brzydzi się wszelką cuchnącą gnojem *pedanterją*, i tak być powinno.«

Po tym monologu, jakby sprawdzając samym czynem powziętą determinację, w duchu tego apostolskiego textu: *Quando factus sum vir*

evacuavi quae erant parvuli,« wstał poważnie z miejsca p. Pius, rzucił naokoło siebie groźnym wzrokiem i wziąwszy stojącą u progu grubą dębową laskę, grzmotnął nią z całéj siły o podłogę. W skutek tego alarmu co tylko było w chałupie żywotnego, kury, psy, koty, gołębie, króliki, wszystko to przez otwarte drzwi i okna precz furknęło i znikło.

II.

Chociaż w dzieciństwie jeszcze śmiercią rodziców swoich osierocony, niemiał atoli p. Pius najmniejszego do żalu i utrapienia powodu, był bowiem pieszczochem i najmilszą zabawką dwóch swoich ciotek, które mu z całego rodzeństwa pozostały i które, pod względem kształtu, koloru i woni wszystkich swych posiadłości dziewiczych, tudzież co do wybujałéj tuszy, heroiczno-sentymentalnéj fizyonomji i nawet ilości brodawek na twarzy zupełnie do siebie podobne, tém się tylko różniły, że gdy u starszéj ciotki Gertrudy było na prawéj stronie nosa dwie brodawki, młodsza Brygida miała tyleż brodawek na nosie z lewéj strony. Obie one po czwartym już krzyżyku w panieńskiéj będąc sytuacji, bardzo a bardzo pragnęły nadmiar zawartego w łonie swojém ciepła zużytkować na uszczęśliwienie kogo-kolwiek z śmiertelników; otoż kiedy Piusek w siódmym roku swego życia dostał się do téj, obfitującéj w najpłodniejsze elementa kurateli, tak mu było dobrze, tak ciepło wśród najsurowszéj zimy, tak miło, słodko i roskosznie w każdéj porze roku, że gdyby który z uczonych, zajmujących się kollekcją *synonymów*, spędził był choć kilka chwil na oglądaniu powszedniéj karjery małego Chrząkalskiego, pewnoby miejsce jego egzystencji *Nowosiółki* i *raj ziemski* wciągnął do swego słownika, jako współbliźnie, identyczne termina. I nieomylił by się w tém nawet na grubość włosa, mając przed sobą takie oto goluteńkie fakta. Obydwie ciotki chcąc posiadać chłopczynę całkowicie, bez podziału, ubiegają się, jak o najdroższy klejnot, o jego lada grymasik lubieżny; oczy ich, ręce, nogi i usta bez ustanku od rana do wieczora, do téj wyłącznie emulacji posługują. Dzisiaj oto panna Gertruda wycałowawszy w łóżku swego pieszczocha rozbiera go, kąpie i swoim fartuszkiem wyciera, a tak wyświeżonego panna Brygida czesze, ubiera i swoją podwiązką przepasuje; daléj, trzymając się ściśle prawideł toaletowéj estetyki, panna Gertruda po-

miódą jaźminową własnéj swojéj fabryki głowę mu szmelcuje, a panna Brygida imitacją kolońskiéj wody, także domowéj kompozycji, koszulkę jego i kurteczkę naokolusieńko spryskuje; następnie obie ciotki tymże porządkiem, po kolei, biorą go na swoje kolana i pieszcząc się karmić zaczynają, karmić samémi łakociami, jakie tylko dowcipem najbieglejszéj w kulinarnym kunszcie mistrzyni z ciasta, rozmaitego mięsiwa, słoniny masła, séra, śmietany i wszelkiéj potażerji sporządzone być mogą. To samo rozumie się, tylko *vice versa*, powtórzy się jutro, i tak codziennie. Notabene, ostatnie to na kolanach swoich ciotek poranne, jak potém znowu południowe i wieczorne, posiedzenie dziarski Piusek zwyczajnie zaczyna i kończy wychyleniem lampeczki tęgiego elixyru, jako najskuteczniejszéj od robaków, zgagi i wszelkiéj digestji prezerwatywy. Zaiste, kto na gruncie spulchnionym takiémi wygódkami rósł do lat osiemnastu, o tym z pewną rachubą na wszelkie sukcessa w dalszém życiu powiedzieć można, że się *urodził pod szczęśliwą gwiazdą*. Jestto właśnie opinija, którą o swoim najukochańszym synowcu stworzyły i upowszechniły w okolicy nad-irpieńskiéj obdarzone talentem Sybilli obie panny Chrząkalskie. Mógłby on, zaufany w tę swoją opiekuńczą gwiazdę, tak samo, jak jeden z synów Wiktora Emmanuela, dzisiejszy król hiszpański, śmiało narażać się na największe niebezpieczeństwa; z niezachwianą wiarą, że ta gwiazda potrafi go od wszelkich napaści barbarzyńskich obronić, w strefach podbiegunowych ogrzać, a pod ekwatorem ochłodzić, mógłby przedsiębrać wyprawy Franklinów, Liwingstonów, kusić się nawet o sławę nowego Kolumba; mógłby sławę Nadard'a i wszystkich aeronautów zniweczyć, Blondena i wszystkich linoskoków na żebraków wykierować, Kreutzberga i wszystkich pogromców drapieżnego zwierza zawstydzić; mógłby..... ale cóż, kiedy heroizmowi jego, o którym zresztą nikt wątpić niepowinien, wszechwładne *Fatum*, na instancję zapewne pieczołowitych jego piastunek, tak szczupłe pole wydzieliło, że na niém chyba tylko z maczugą torreadora mógł imponować zuchwale beczącéj i wierzgającéj trzódzie? Oczywiście, że tak fatalnie skrępowanemu jenjuszowi trudno poprzestać na tém, co mogłoby uszczęśliwić każdą jednostkę pospolitą. Dorodny, barczysty, pyskaty, z tubalnym swym organem, jakby na uniwersalną wystawę wypielęgnowany, miałżeby taki, choćby tylko pod względem materjalnéj swéj prepotencji, excepcyonalny Holofernes kontentować się pochlebstwami otaczających go mirmidonów?

Rzecz prosta, że te same pochlebstwa, te całusy, karesy i wszystkie manifestacje serdecznéj czułości były tylko błahym, nieudolnym reflexem wszechstronnéj jego dystynkcji. Tego dlań było za mało, to mu niewystarczało, czuł w około siebie coś, co go nudziło, dręczyło, chodził więc z kąta w kąt ponury, jak gąska kilkodniową słotą zbiedzona, chodził zamaszyście, medytował głęboko i chrząkał coraz mocniéj w tym swoim ciasnym obrębie, byłby już może stracił całkiem wiarę w błogie orędownictwo swojéj gwiazdy, ale oto raptem drzwi z trzaskiem się otwierają i perspektywa p. Piusa cudownym zajaśniała blaskiem! Było to poselstwo od dziedzica Nowosiółek JWP. Antoniego Jaxy z własnoręcznym jego listem, listem prześlicznie napisanym w celu zniewolenia pana Chrząkalskiego do zajęcia wakującéj w Nowosiółkowskiéj ekonomji funkcji pisarskiéj. Radośny *terror*, jakim przejęty został p. Pius po przeczytaniu tego listu, niezwłocznie dał się uczuć samemu p. Jaxie, nietylko bowiem do ucałowania rąk i stóp jego pokilkakroć ze łzami przystępował, ale jeszcze z głębokości swego jenjuszu taką go uczęstował perifrazą, jakiéj pewno świat i korona polska nigdy niesłyszały. List ten przechowuje on do dziśdnia, jako dokument największéj wagi i zawsze, chociaż go oddawna umie na pamieć, zawsze, ilekroć wypadnie opowiadać komu dzieje swojéj przeszłości, dobywa go z blaszanego futerału i czyta z najsłodszém rozrzewnieniem.

III.

Zostawszy tedy officjalistą w majątku tak światłego obywatela, jak p. Jaxa, mógł już p. Chrząkalski spozierać basem na takich pedagogów, jak p. Kwinta, mógł jawną okazywać wzgardę spotykanym na swojéj drodze rogatym i nierogatym empirystom, przy naturalném wreszcie zalotnictwie tych massywnéj konstrukcji zapaskowych i spodniczkowych subjektów, w które obfitowało territorium p. Jaxy, mógł także postponować lubieżne igraszki, pieszczoty i wszelkie na opiekuńczém łonie ciotek swoich doznawane słodycze; słowem, jenjusz jego rozsiedlił się w sferze takiego dostatku idealnych i realnych roskoszy, że pozostawało tylko jakiś tryb racjonalny wytknąć, aby używaniem tych roskoszy nieobrazić Pana Boga i zjednać sobie pomiędzy okoliczną szlachtą serdecznych przyjaciół. Obaczmyż teraz, jak tego trudu dokonał swoim

jenjuszem p. Chrząkalski i na jakim fundamencie utrwalił ôn swój autorytet towarzyski po czteroletniém sprawowaniu pod stérem p. Jaxy funkcji pisarskiéj.

Utrzymuje on, że upić się dobrym trunkiem kiedy niekiedy, choćby i kilka razy na tydzień, nietylko niejest rzeczą naganną, podłą, ale owszem, że każde nadużycie czarki, jako dobrowolne zadosyćuczynienie uprzejmości wspaniałomyślnego gospodarza, jako ofiara z serca ujętego, najpotężniejszą, bo ewangeliczną żądzą okazania miłości bliźniego, powinno się uważać za czyn arcy chwalebny, za cnotę prawdziwie katolicką, staropolską. Zdaniem jego człowiek pryncypalnie grzeszy skąpstwem, które mu się najboleśniéj uczuwać daje, kiedy zasiadłszy w porze śniadania albo obiadu u stołu, niewidzi na nim symetrycznie ugruppowanych karafek z tym kordyałem, który się zaprawia anyżem, kminem i piołunem. Nietylko sympatji, ale i tego uczucia, jakie się rodzić zwykło przy zetknięciu się z żywym obrazem moralnéj wyższości, uczucia pomiędzy obojętnością a pogardą środkującego, niepotrafi w nim obudzić ten, kto zwykł pożywać swe śniadania i obiady bez pomocy trunków, u kogo np. piwo i wino występują na stole tylko, jako potrawa w porze zimowéj, a gorzałka i arak służą tylko w paroxyzmach febry, lub innéj fizycznéj niemocy, jako lekarskie środki. Wzgardliwie on patrzy i omija zdala każdego, o którym wie, że rano i wieczorem kontentuje się czystą albo zabielaną herbatką, że przy obiedzie, nawet po zrazach i huzarskiéj pieczeni, zaspokaja swe pragnienie świeżą kryniczną wodą, że wreszcie, jak tu np. w Kijowie, w czasie przechadzki po Kreszczatyku najobojętniéj zawsze spirytualne zakłady Tolla omija. Najgorsze ma wyobrażenie o gospodarstwie szlachcica, który w domu swoim niema należycie urządzonego bufetu, to jest, obszernéj szafy dębowéj, mieszczącéj w sobie na wszystkich policach, mianowicie, na dolnych w baryłkach, puzdrach i gęsiorach, a na górnych w różnego kształtu i objętości flaszkach, butelkach i karafkach artystycznie rozgatunkowaną i sumiennie, po konessorsku, według przepisów długoletnią praktyką upoważnionych, rozmaitémi z korzeni, ziół i minerałów ingredyencjami zaprawioną okowitę. O takim, co, przy zasobach wyżéj wytkniętych, żyje sam uczciwie i sakramentalnie dopełnia praw gościnności, zwykle odzywa się z entuzjazmem. Oto jest najdokładniéjsza próbka jego retoryki.

»To mi to, mój dobrodzieju, prawdziwy, starego *symptomatu* gospodarz!

Wszystko u niego, na *tym fundamencie*, nietylko wzrok i słuch *alteruje*, ale i węch wprawia w *dystrakcję*. W interesie, czy bez żadnego interesu, tak sobie, z pobudek zwyczajnéj sąsiedzkiéj *konspiracji*, łyknąwszy zwłaszcza u siebie nieco *dla argumentu*, wejdź tylko mój dobrodzieju do jego chaty, to tak i otoczy ciebie zaraz jakaś cudna *delegacja;* zaraz poczujesz w sobie, w całéj swojéj *obstrukcji* szatańską ochotę do wiwatowéj *propagandy*. A czegożto tu, mój dobrodzieju, nieznajdziesz dla uszczęśliwienia swojéj subtelnéj *korporacji?* Tu się prezentują we wszystkich kolorach *Iridyona* najprzedniejsze *elewatywy*. Sprobujesz białéj —wyśmienita! łykniesz zielonéj—jeszcze lepsza! daléj kolejką idąc od kanarkowéj, aż do granatowéj, rozrzewniasz się coraz bardziéj, jak gdybyś się dobrał do samego centrum boskiéj *Olympiady!* Czujesz w swém sercu jakąś roskoszną *temperaturę*, jakieś nagabanie do *manipulacji*, nagabanie tak forsowne, że niemożesz się wstrzymać od serdecznéj *dyalektyki;* zdaje się mój dobrodzieju, że sam Bachus pogrążył ciebie w swoim czarodziejskim *spirytualizmie*, więc upojony *fundamentalnie*, puszczasz się *horyzontalnie* z wyciągniętémi do góry rękami i chwytając jednego po drugim koleżkę oblewasz ich łzami najczulszéj *demonstracji*. Bo też tak poważny, godny największego *splendoru*, *kosmopolita* dnia jednego spędzić niemoże bez *koleżeństwa;* w tak porządnym domu wszystko odbywa się z doskonałą *konsekwencją*; każda *kategorja* ma swoje, swoje osobne *kadencje*; słuchaj tylko, jak to i owo coraz odmiennym odzywa się *akcentem:* puk puk, dzeń, dzeń, cmok, cmok, eha cha cha! a daléj znowu tup tup, hop hop, bum bum, tra ra ra! i tak rośnie nasza *junakierja* aż szyby w oknach *derkoczą!* To mi to, co się zowie, po bratersku, bez żadnéj, co się zowie, *pedanterji*." A jak się zaczyna, mój dobrodzieju, tak i kończy tym pięknym, *platonicznym* chórem *inwencji* zacnego mego kolegi pana Wierzgalskiego:

Pełne kielichy i szklanki,
To nasze lubcie bogdanki,
Nasze Kostusie, Benisie.
Gaudeamus! Kochajmy się!

Uchodzi on w oczach swoich kolegów za człowieka niepospolitego rozumu, celującego szczególniéj w każdéj potocznéj rozmowie taką nomenklaturą, jaka przejawiać się zwykła tylko w utworach znakomitych

literatów. Ten i ów powiedział mu nieraz, że słuchać p. Piusa, rozprawiającego o czémkolwiek, jest to samo prawie, co czytać książkę w oficynie Glücksberga drukowaną, w któréj każda jota na swojém miejscu i ani jednéj kropki niebrakuje. Nieuważa on tego bynajmniéj za pochlebstwo, owszem każdą pochwałę, każdy komplement przyjmuje zwykle jako dank sobie należny.

Zkąd nabrał on tych niepospolitych, uczonym tylko ludziom dostępnych wyrazów i frazesów, którymi zwykł suto przyozdabiać każdą swą gawędę, to stało się nierozstrzygnioną zagadką dla jego kolegów, bo żaden z nich niewidział nigdy w jego ręku jakiejkolwiek książki albo gazety, wyjąwszy jeden tylko kalendarz Berdyczowski, który był dla niego we wszystkich kwestyach żywotnych nieomylną wyrocznią i nieodzownym do wszelkich korzystnych planów indexem. I zaiste każdemu, kto niebył wtajemniczony w rozliczne obowiązki p. Piusa, nastręczało się niełatwe do rozwiązania pytanie: jaką też drogą i pod czyjém przewodnictwem ten niepoczesny w prowincyonalnej hierarchji *subalternus*, błahej funkcyi ekonomicznéj piastun, *vulgo* pisarz prowentowy mógł przyjść do takiéj w retorycznéj sztuce doskonałości? Ten i ów z jego kolegów, po długiém zastanowieniu się nad tém, konkludował zwyczajnie przytykając głośno palcami: »Jenjalna bestya, co się zowie! właśnie jakby się do kaznodziejki urodził!« Tymczasem dla nas, cośmy zostawali w dość bliskiéj, bezpośredniéj styczności z p. Jaxą, pryncypałem p. Piusa, nic niebyło extraordynaryjnego w tym jego produkcie wytwornej elokwencyi.

Kto przypomni sobie ten błyskotny period naszego piśmiennictwa, kiedy ono pod magicznym stérem *Microsa* i jego Tygodnika tak szparko się krzewiło i wzrastało, kiedyto Kraszewski, niby uprzywilejowany assauła gromadzki, każdodziennie, nim jeszcze się słońce ukazało, piórem swojém jak harapem machał na wszystkie strony, napędzając robotników do uprawy zachwaszczonego cudzoziemszczyzną gruntu krajowéj literatury, kto mówię przypomni to sobie, cofnąwszy się myślą o lat *plus minus* trzydzieści, ten niebędzie potrzebował objaśnienia, czém był naówczas pan Jaxa (Albert Gryf) i jakie na swojéj grzędzie, obok autora *Chowanny*, Padalicy, Dawida, Pługa i Zofji z Brzozówki, *vis-à-vis* Glaubicza, Kostrowca, Bejły, Tarszy, Bomby i t. d. podejmował

truda? Nienależąc do liczby tych ochotników, coto intellektualne swe frukta, choćby i kiślice, taksować zwykli jak ananasy, wziął się on do uwydatnienia swojéj idei szczérze, prawdziwie po amatorsku. i pod wpływem zdobytych przez najgłębszych myślicieli aksiomatów, ba nawet hypotez, ćwiartki papieru jedną po drugiéj zapełniał wciąż rozprawami *de omnibus rebus*, a szczególniéj o tém, że dla podniesienia u nas oświaty trzeba koniecznie wyjść z tego ciasnego cyrku, w którym ongi pan Salezy z towarzystwem przyjaciół nauk odbywał swe tańce literackie i że prawdziwy taniec polski, taniec taki, jakim go natchniony artysta Jankiel przedstawił młodéj generacji na swoich cymbałach, wskazuje coraz nową drogę do choreograficznego progressu, do zdobycia wyższego we względzie estetycznym stanowiska; pisał wiele, a pisał z wielkim pośpiechem, niegładko, koszlawo, często gęsto szinkowo, z abbrewiacjami, bo trapionemu żądzą przysłużenia się ludzkości w jakiejbądź ważnéj kwestji żywotnéj, pilno, bardzo pilno było wypowiedzieć swoje, rozumie się, gruntowniejsze od scholastycznego, *videtur mihi*; bo w stanie gorączkowego współzawodnictwa argumentacje jedna za drugą powstawały w głowie tak, że zawsze coś wyprzedzało to, co jeszcze w słowa ujęte niebyło; naturalnie więc będąc zmuszonym w swojém pisaniu miotać się *à la Liszt* chromatyczną, to jest, chromą, kulawą galopadą, potrzebował czyjéjś pomocy do zredagowania swoich manuskryptów *pro publico bono*, Wtedyto właśnie zwrócił on uwagę na ekonomiczne fascykuły wykwintnie zapisane ręką pana Piusa. Trzeba wiedzieć, że p. Pius, nim jeszcze objął z łaski p. Jaxy funkcję pisarską, niemało czasu poświęcał na ćwiczenie się w pisaniu według wzoru kaligraficznego, który ciotka Gertruda nabyła dla niego w prezencie za złotówkę na jednym z jarmarków Berdyczowskich. Były w téj kaligrafji rozmaite charaktery, arabeski i wykrętasy, on je wszystkie najskrupulatniéj starał się naśladować przenosząc naprzód na cienki papier za pomocą ołówka, a potém ja zlekka piórem obwodząc. Przesiadywał nad tém codziennie z największém upodobaniem i jakże się cieszył, gdy mu kto, choćby żartobliwie, powiedział, że jego kopija zakasowała nawet oryginał. To go bardziéj jeszcze do egzercycji zachęcało. Ten wiersz naprzykład:

Najświętsza Panno formuj moią rękę,
Abym mógł opisać Syna Twego mękę.

różnéj miary głoskami, począwszy od sążnistych, jakie widzimy na szyldach różnych afferystów, aż do najdrobniejszych, jakiemi się zdobi odwrotna strona kursujących u nas assygnat, powtarzał nieustannie jakby zaleconą sobie przez samego autora kaligrafji modlitwę; niebyło też kąta i kącika w jego mieszkaniu, gdziebyś niezralazł choć małego świstka tym wierszem zapisanego. Czy pomyślał on kiedy serjo o spełnieniu obietnicy danéj Najświętszéj Pannie, żadnéj wiadomości o tém niemamy, alo to pewna, że rękę swoją *uformował* i w kunszcie pisarskim takiéj dobił się perfekcji, że go nawet aż z Chwastowa ksiądz Proboszcz raczył zawezwać dla spisania na *de mundo* metrycznych ksiąg swojéj parafji. O tém, że w miejscu swego pobytu, we wsi Nowosiółkach, tudzież w Mostyszczach, w Buzowéj, w Jasnohorodce i w całéj nad-Irpieńskiéj okolicy miał on wziętość u czynszowéj szlachty i officjalistów, posiadających wyrostków płci obojéj, rozwodzić się niemamy potrzeby. Poezje *Zwierzchowskiego* dostarczały mu niewyczerpanego wątku do salutacji, któremi kolejno, według kalendarza, miejscowych i okolicznych solennizantów *utriusque sexus* obdarzał; niebyło też w okolicy żadnéj ekonomowéj, któraby niemiała ręką jego spisanych jakichś *sekretów*, mianowicie, co do pieczenia bab wielkanocnych, urządzenia półgąsków i szynek, kwaszenia ogórków, marynowania rydzów, smażenia konfitur, dystyllowania ratafji i t. d.; a co do panien, ile ich było kąpiących się latem w Irpieniu z obydwóch jego brzegów, każda z nich prawie śpiewała rozmaite polskie i ruskie piosneczki z seksternika sporządzonego ręką p. Piusa, do czego on, *per excellentiam*, dla ozdobienia nadgłówków różnymi arabeskami, inkaustu własnéj kompozycji z krokosu i lubryki używał. A więc p. Pius, jako pisarz prowentowy, był dla p. Jaxy tém, czegoby mu słusznie mógł pozazdrościć i skarb samego p. Branickiego.

Właśnie w téj porze, kiedy kwestje w periodycznéj naszéj literaturze mnożyły się jak chrząszcze na wiosnę, kiedy krytycyzm dwojaki w formie analizy i syntezy żądłem swém wszystkiego dotykać począł, kiedy dla upolowania pewnego absolutu w estetyce i w filozofji, za inicyatywą *Tygodnika Petersburskiego*, najuprzejmiéj otwierały swe karty: *Athenaeum*, *Rocznik Literacki*, *Rusałka*, *Rubon*, *Niezabudka* i *Gwiazda*, w téj porze, mówię, taki kaligraficzny talent najpożądańszą był zdobyczą dla literata pragnącego całą potęgą swojéj intelligencji przyłożyć

się do dobra ogółu. Nieomieszkał też p. Jaxa skorzystać z tego odkrycia, bo natychmiast wezwawszy do siebie p. Piusa, po krótkiéj a nader pochlebnéj apostrofie, zwróconéj naturalnie do jego przez Najświętszą Pannę *uformowanéj* ręki, usadowił go w swoim gabinecie w wygodnym fotelu przy stole napełnionym rozmaitéj treści bruljonami i odtąd on codziennie prawie, jako kollabolator uczonego swego pryncypała, pracował pod jego bokiem od godziny ósméj zrana do drugiéj po południu, a czasem, osobliwie w porze zimowéj i wieczorami przy świécy, formując z owych bruljonów najokazalsze zeszyty. Od tego więc czasu z pewnością datować można tendencję p. Piusa do wytworniejszego wysłowienia swoich myśli i sentymentów, mimowolnie bowiem musiały mu się wrazić w pamięć te, obce zupełnie pospolitéj mowie, termina i gallicyzmy, które się powtarzały dość często w kopjowanych przezeń artykułach. Nierzadko też p. Jaxa miewał u siebie w gościnie kogoś ze swoich uniwersytetskich kolegów, z którymi oczywiście dyskutował, nie o wychowaniu gęsi albo nierogacizny, ale o tém, co znamionowało wyższe ukształcenie umysłowe, dyskutował, jak naówczas wypadało, o mistycyzmie, panteizmie, spirytualizmie, także o *Myślini*, *Demonomanji*, *Cybernetyce;* niezaniedbywano też w téj poufnéj gawędce literackiéj szczegółowego rozbioru takich utworów, jak *Anafielas* Kraszewskiego, *Mieszaniny obyczajowe* Bejły, *Pamiętniki rozumowane* Microsa, *Bigos hultajski* Szczeniowskiego, *Frenofagiusz i Frenolesty* nieboszczyka Pantofla; a to wszystko bardziéj jeszcze drażniło pana Piusa, wzbudzając w nim najżywszą chętkę zastosowania do swego diapazonu tych dziwnie brzmiących tonacij, które tak napastliwie z przyległéj komnaty słuch jego uderzały. Chodziło mu rozumie się o zdobycie tylko jak największego zapasu téj uczonéj terminologji, bo już tu niemógł w naśladownictwie swojém użyć téj metody, którą się kierował formując swoją rekę według wzoru kaligraficznego. To, co stanowiło racjonalną i loiczną całość słyszanych przezeń dyskursów literackich, treść ich, duch, istota, niedawały się, jak owe misterne wykrętasy, przenieść na cieniutki papiér, poprzestał więc na tém, że złożył sobie spory zeszyt i w nim gorliwie spisywał wszystkie te obce jego partykularnéj mowie wokabuły i sentencje, uczył się ich potém pilnie na pamięć i bredząc niémi nietylko na jawie, ale i we śnie, począł pomału czerpać z tego ładunku, nasamprzód w rozmowie przy kabale z panną Gęsiorowską, od lat 30-tu

na dworze Nowosiółkowskim obowiązek klucznicy sprawującą, a następnie z każdym prawie dworskim officjalistą, osobliwie zaś z panem Wierzgalskim, koniuszym, który, jako autor kilku poetycznych madrygałów, bóstwu swojego serca pannie Benignie poświęconych, odznaczał się także w konwersacji pewną elegancją. Otoż źródło, z którego początek swój bierze retoryczna sława p. Piusa i admiracja przyszłych jego kolegów—czarkofilów, mówię przyszłych, bo w czasie, kiedy te scientyficzne kompilacje odbywały się w pracowni p. Jaxy i kiedy pan Pius niemiał więcéj jak 25 lat, talent jego bibologiczny zostawał jeszcze, rzec można, w pieluchach, rozwinął się on dopiero, a rozwinął w całéj okazałości, po czteroletnim kursie téj mistrzowskiéj propedeutyki, mianowicie wtenczas, kiedy z pisarza na ekonoma awansował, i wtedy to właśnie dostał mu się pronomen *Kauzyperda*. A z jakiego powodu? to także dla lepszego uwydatnienia fizyonomji pana Chrząkalskiego wyszczególnić należy.

IV.

W jednéj dość ważnéj, bo o awulsa kilkadziesiąt morgów najlepszéj gleby obejmujące, przez p. Jaxę wytoczonéj sprawie zapadł był wbrew najsłuszniejszéj, bo na autentycznych dowodach opartéj, rekwizycji dekret w izbie cywilnéj Kijowskiéj, odmawiający powodowi zadosyć uczynienia. Wypadało naturalnie dla obalenia tego dekretu, udać się drogą apellacji do wyższej władzy sądowéj. Właśnie zawarowany prawem do takiéj kontynuacji termin już był na schyłku; przez pozostałe jeszcze dwa tylko dni ów fatalny dekret, niebędąc obżałowanym ze strony powodowéj, mógł uzyskać obowiązujący i niczém niezachwiany walor; a tu i katar i *Ventura* i fluxya i artykuł Kostrowca o *Scholastyce* i dreszcz febryczny i *Aforyzmy o małżeństwie* Trentowskiego i ból głowy spowodowany ślęczeniem nad *Sanskrytem* i natłok aż z kilku razem poczt odebranych różnych pism literackich, wymagających recenzji, słowem, wszystko się hurmem zwaliło na p Jaxę, że niemógł sam żadną miarą udać się do Kijowa dla podania przygotowanéj prośby appellacyjnéj. Tonący, jak powiadają, brzytwy się chwyta, a zagrożony złowrogim wypadkiem biernéj swéj pozycji, mógłże p. Jaxa nieoprzéć się najbezpieczniéj na ramieniu człowieka, którego dzielnéj pomocy w literackim

swym zawodzie tylokrotnie już doświadczył? Jak tylko w tym swoim kłopocie zwrócił się myślą do p. Piusa, natychmiast wezwał go do siebie i, dawszy mu należytą instrukcję przy wręczeniu prośby apellacyjnéj i plenipotencji do jéj podania, najsolenniéj polecił, aby *ex nunc*, nietracąc ani chwilki czasu, zaprzągł do szarabana najbystrzejszych biegunów i ruszył, a ruszył, *notabene najprostszą drogą*, do Kijowa. Polecenie było dość jasne, dokładne. Przyjmując papiery z rąk swego pryncypała mocném chrząknieniem dał poznać p. Pius, że to polecenie zrozumiał i, począwszy od *szarabana* do *notabene* literalnie zastosować się do niego wespół z Gaudentym niezaniedba. Tak się to mówi, że prosta droga najlepsza, bo najrychléj do celu prowadzi, ale jakże to czasem żałować musimy, że się z téj drogi niezboczyło! Tutaj właśnie najprostsza do Kijowa droga szła przez Jasnohorodkę, wieś bardzo porządną, a szczególniéj słynącą w całej okolicy z ulokowanéj w samym jéj środku okazałéj struktury i w najprzedniejsze trunki hojnie zaopatrzonéj traktyerni. Pomyślcie tylko sobie, znużonemu kilkogodzinną jazdą, czy można, czy podobna było ominąć tak ponętny, tuż przy drodze sączący się Letejski zdrój poczciwego Srula? Wprawdzie, wyjeżdżając jeszcze z domu, postanowił był p. Pius opierać się mężnie wszelkiéj pokusie, i teraz nawet, kiedy już wzrok jego na magnetycznym froncie izraelskiéj gospody spoczywał, passował się czas jakiś z żądzą orzeźwienia swojéj *korporacji* różnogatunkowym nektarem; ale stanowcza uwaga woźnicy Gaudentego, żarliwego także estymatora Bachusa, że potrzeba dać wytchnąć zmęczonym koniom i podkarmić ich do dalszéj drogi; ta uwaga zniweczyła całkiem anti—Srulowskie postanowienie p. Piusa. Niby więc z musu, niechętnie ulegając fatalnéj potrzebie wytchnienia zaaprobował cichym chrząknieniem roztropność Gaudentego, a skoro się wychylił z szarabana, wnet powitanym został tubalną salutacją przez ordynaryjnych gości Srula, a swoich serdecznych socjuszów: Bryndzę, Portkiewicza, Dyngusa i Łykalskiego, którzy go, nawykłego już do takiego hołdownictwa epikuréjskiéj trzódy, tryumfalnie zaraz na rękach swoich wnieśli do gospody. Mówcież teraz, że Heglowska, albo i samego p. Jaxy logika niebłądzi, zalecając dążenie do celu prostą, najprostszą drogą. Ot gdzie się oparł na téj drodze prowizoryjny kurjer autora *Ludu ukraińskiego!* Tutaj razem wszystkie pięć zmysłów p. Piusa *ex abrupto* czarodziejsko opętane zostały potęgą, począwszy od atmosfery, przesiękłéj najwy-

bredniejszą wonią trunkowych i kulinarnych exhalacji; aż do harmonji, jaka się składała z szumu, stuku, brzęku, dźwięku, gwaru, śmiechu i wybuchów serdeczności ucztującéj kompanji, wszystko, na co jeno spójrzał, do czego się dotknął, czego skosztował, wzbudzało w nim uczucie jakiejś anielskiej, boskiéj roskoszy, wszystko zewnętrznie i wewnętrznie istotę jego łechtało, radowało, uszczęśliwiało; niedziw przeto, że nietylko o pilnym interesie swego pryncypała, ale i o Bożym świecie całkiem zapomniał. Że to było w porze letniéj, jakoś około święta Porcyunkuli i każdy ze wspomnionych artystów butelkowych prezentował się w stroju, przypominającym błogie czasy ojca Abrahama, więc p. Pius niesprzeciwiał się bynajmniéj ani Bryndzy, ani Portkiewiczowi, ani Dyngusowi, gdy jeden ściągał z niego czamarę, drugi odpinał halsztuk i popręgi, trzeci zdéjmował buty; a co do Łykalskiego, który go usadowił przy dębowym formy owalnéj stole, zastawionym różnego kształtu i koloru butelkami, oraz półmiskami z bigosem, wereszczakiem, szynką, chrzanem, kwaszonymi ogórkami i rozmaitą, naszpikowaną czosnkiem i sadłem amunicją, a usadowiwszy solennie do uczty inwitował wychyleniem sporéj czarki zaprawionego anyżem kordyału, tego, jako najdzielniejszego doktryny epikurejskiéj promotora, porwawszy oburącz za głowę, po kilkakroć w oba policzki *amoroso* ucałował. Po takiéj introdukcji, sprawujący zwykle w podobném towarzystwie urząd prezesa, p. Pius, zbliżywszy do ust podaną mu przez Łykalskiego czarę anyżówki, dał hasło do rozpoczęcia biesiady. Tym razem osobliwie dowiódł on, jak znakomicie uwydatnić się może jenjusz człowieka, znajdując się we właściwym sobie elemencie, zadziwiał bowiem i w zachwycenie wprawiał swoich współbiesiadników, nietylko werwą retoryczną, ale i artystowską jowialnością. Perorował przepysznie, jak z drukowanéj książki, przemawiał w imie *konfidencji* do wszystkiego, co było na stole i pod stołem, unosił się nad lubieżnością pani Srulowéj i jéj niemniéj *popularnych* córek, śpiewał *faworytalne* swoje ruskie i polskie piosneczki; śpiewał: *Chciało się Zosi jagódek, Онъ меня разлюбилъ, Oj, gwałt serce boli, I szumyt' i hude, Oj, łycho ne Fedora, I spłu i dywlusia* i wiele innych. A kiedy, przy wieczornym zwłaszcza ponczu, puścił się w taniec czyto z Dyngusem, czy z Portkiewiczem, to wytwarzał takie cudackie krotofile tupaniem, klaskaniem, beczeniem, świstaniem, trąbieniem i t. d. że stojący u napółotwartych drzwi różnego wyznania płci i wieku spekta-

ɔrowie literalnie dusili się od konwulsyjnego śmiechu. (Notabene: ɔdznaczał się on w improwizacjach tego rodzaju szczególniéj wtenczas, iedy tańczył kaczuczę swojéj kompozycji, żydowskiego obertąsa i ukraiską kociurbychę). I to trwało przez całe trzy dni w kompletnéj separacji duchowéj z przeszłością, w bezwzględném odstrychnieniu się od wiata duszą i ciałem, w tym demonicznym szale, co z kuglarskim prytem każdą nawet świętość w śmieszną karykaturę przeistoczyć może; ż czwartego dnia dopiero, kiedy zasilony już jako tako ranną przeąską, zjawił się Gaudenty z raportem, że konie u pustego żłobu zgrzyają zębami, bo zabrakło całkiem owsa i siana, począł p. Prezes Jasnoorodzkiéj biesiady odzyskiwać straconą pamięć. Niemógł on wprawdzie ɔjąć odrazu, o jakich koniach mówi Gaudenty, poco one tutaj i zkąd a jego troska o pustym żłobie i zgrzytających zębach; ale gdy ten mu ıadmienił coś o zanadto długim u Srula popásie i o pilnéj, bardzo ɔilnéj expedycji do Kijowa, potarł kilkakroć czoło swoje, poskrobał ię obiema rękami w głowę i, uczepiwszy się wzrokiem do sufitu, poɾoli, powoli przypominał sobie to i owo, aż wreszcie stanęła mu w ɔamięci w żywiusieńkiéj panoramie cała jego karjera Nowosiółkowska, ı znią razem ta fatalna dependencja, co mu przeszkadza, gdzie i jakby ıę chciało, w mistrzowskiéj występować dystynkcji. Nie bez trwogi ɔrzeto, wdziawszy na nogi patynki żydowskie i i okrywszy swe barki laną mu z garderoby Srulowéj do użytku, zamiast chałata, jakąś lekką alopką, wybiegł dziarsko do zajazdu, gdzie go desperackiém swém żeniem powitały wygłodzone konie i gdzie ujrzawszy swój szaraban, ı w nim w łubianéj kopercie, jak w trumnie, spoczywającą apellacyjną ɔrośbę, mógł się przekonać fundamentalnie, że istotnie zadługo u Srula ɔopasał. Kiepska awantura! szelmostwo na świecie! niezłapiesz tego dziıiaj, co jeszcze wczoraj uciekło, kiepskò, co się zowie! niema już po :o jechać do Kijowa!—tak, oparłszy się na szarabanie rozumował pan Pius z goryczą. Po chwili wszakże, dla zmodyfikowania ciężkiéj swéj winy, rachując jeszcze na pewne kancelaryjne zabiegi około suscepty, wziął się z Gaudentym energicznie do swego ekwipażu i przez pół godziny, głuchy na wszystkie butelkowe manifestacje kochanych swoich koleżków, zamiast pożegnania, odesławszy ich razem ze Srulem do miliona krocset djabłów, wyjechał.

V.

W parę godzin już był w Kijowie. Urząd sekretarza w sądzie głównym cywilnym sprawował natenczas szerokiéj sławy jurysta pan Baltazar Czarnozębski, człowiek wytrawnego smaku i słodkiego zawsze humoru, lubiący przy lada okazji pocieszać swoich biuralitów manierą Bakowskiego dowcipu. A że postawa, jaką przybrał delegowany pana Jaxy, podając mu lękliwie, chyłkiem, niby sekretnie prośbę apellacyjną, miała w sobie coś tragicznie śmiesznego, więc po chwilce użytéj na spenetrowanie téj prośby oddając ją na powrót do rąk p. Piusa uczęstował go taką poetyczną rezolucją.

Maleparta, nic niewarta,
Jak po obiedzie musztarda!
Niech wie o tém pan dobrodziéj.
Użyć ją tylko się godzi,
Papier delikatny cienki,
Zamiast rańtucha, sukienki
Do podróżnych alimentów,
To jest, do tych dokumentów,
Co się kopcą, pieką, smażą,
I w sklepach na funty ważą.
Do buljonu, makaronu,
Do słoniny, do wędliny,
Do kapłona, salcesona,
Do kawioru, śledzi, séra,
Et coetera et coetera
Zda się też waści na złoto,
Pro usu externo noto.

Niespodziewając się bynajmniéj usłyszeć coś podobnego w miejscu poświęconém jedynie prozaicznym dysputom, nasz feldjeger Nowosiółkowski, zdetonowany do *non plus ultra* taką wytworną *poezją* i towarzyszącym jéj jeneralnym śmiechem biurowéj czeladzi, zapomniał języka w gębie i niewiedział nawet, co robić z tą prośbą, którą trzymał w ręku; aż po długiéj dopiero pauzie zmiarkowawszy, że i jemu przecie coś powiedzieć wypada i że na to jest dany jenjusz człowiekowi, aby

go bronił od szyderstwa, kiedy już cisza nastąpiła, zwrócił się do p. sekretarza z następną również poetyczną deklaracją.

Wszystkie te *elementa*, przyznam się otwarcie,
Chętniebym dzisiaj oddał szczurom na pożarcie.
Nie do jadła temu wcale,
Kto ma w sercu *gorzkie żale*,
Gorzkie, jak piołun, powiadam
I do nóg pańskich upadam.

To rzekłszy złożył prośbę, schował ją do kieszeni i, jak Napoleon po klęsce pod Waterlo, ciskając na około wzrokiem pełnym wzgardy i nienawiści, spiesznie opuścił forum nieużytecznéj Temidy.

Tymczasem Gaudenty, który niezaniedbał uprowidować się na drogę okruchami Jasnohorodzkiéj biesiady, odgrzewał i konsumował wydobyty z jaszczyka, a suto kiełbasami i słoniną przyprawiony bigos, skrapiając go w ściśle wyrachowanych interwallach sporą dozą szpagatówki, która się przy nim, na prawicy, w dużéj czworograniéj flaszy znajdowała. Ujrzał on przez okno wracającego z jurysdykcji p. Piusa i z posępnéj jego miny, ze spuszczonych w dół oczu i rąk bezwładnych domyślił się, że go tam z kwitkiem odprawiono; nalawszy więc do czarki ulubionego swego kordyału i ustroiwszy swą fizys w heroiczną powagę przemówił do niego, skoro próg przestąpił, przemówił, jak Demostenes do Filipa Macedońskiego, tonem perswazyi, że niema tego złego, coby na dobre niewyszło, że utrapienie i zgryzota nieprzystoją takiemu, jak p. Pius jenjuszowi, że mimo najlepszych intencji człowieka, zawsze nim rządziły i rządzić będą okoliczności, że porządek wszechświata niezmieni się przez to bynajmniéj, że apellacja naszego pana bez skutku pozostała, że *dominium* JWP. Jaxy zbyt jest rozległe, aby jakieś tam *avulsa* znacznie je uszczerbić mogły, słowem, takimi argumentami perorę swoją naładował, tak dosadnie tonem i gestykulacją nicość wszelkich trosk ziemskich przedstawił, że z serca p. Piusa, jakby rażone ognistymi pociskami, precz gdzieś pierzchnęły *gorzkie żale*, a natomiast powstała w niém rezygnacja, niszcząca z kretesem anormalne jego do *jadła* zobojętnienie. Z uczuciem więc najżywszéj sympatji wychylił podaną mu przez Gaudentego czarkę, mocném chrząknieniem i familjarném uderzeniem po ramieniu pochwalił jego roztropność i zrzuciwszy

z siebie, razem z gniotącą jego ciało elegancką, w Berdyczowie sprawioną, węgierką, duchową mortyfikację wziął się energicznie do bigosu, który snadź mu niepospolicie smakował, bo aczkolwiek co do ilości swojéj mógł być dostateczną porcją dla kilku dzisiejszych Rejów, rychło przy pomocy szpagatówki całkowicie przez niego zniweczonym został. Bigos jak wiadomo wzbudza silne pragnienie, wypadało więc ugasić je jakąś mixturką, pod bokiem właśnie u Finkego było do skosztowania to i owo *remedium*. Próba ta z pewnym taktem, po amatorsku odbywana zajęła niemało czasu, słońce już od godziny przeszło ziemski horyzont opuściło, kiedy p. Pius ostatniémi kroplami z ostatniéj butelki exorcyzmował affektacje tłustego bigosu. Otóż dzięki interwencji roztropnego swego Automedona miał on wyborny nocleg w Kijowie, wyrzucił z głowy i z serca wszelką troskę o mamonę, poszedł za popędem swego jenjuszu i spał wyśmienicie; spałby może całą dobę, gdyby go nieobudził o godzinie dziewiątéj Gaudenty z doniesieniem, że już konie zaprzężone i pora wracać do Nowosiółek.

Przykro jakoś i z widocznym wstrętem przyjął p. Pius to doniesienie, głos nawet Gaudentego, ten głos, który wczora jeszcze tak melodyjnie słuch jego głaskał, dzisiaj mu się wydał nieznośnie drapieżnym, jakby najzłośliwiéj z samych dissonansów złożonym. Chrząknął i teraz dosyć mocno, ale już inaczéj; tém chrząknieniem, które gastryczną szarzą odbiło się o przeciwległą ścianę, dał wyraźnie poznać, że Gaudenty niezawsze odpowiada swemu powołaniu, że roztropność jego w nader szczupłych zawiera się granicach, że wreszcie właściwa plebejuszowskiéj naturze ignorancja przebija się mniéj więcéj w każdym jego postępku. Wynurzał tę swoją animadwersję podparłszy obiema rękami głowę, w któréj uczuwał mocno dolegającą brzemienność, jakby przed wydaniem na świat wcielonego owocu swego jenjuszu; spoglądał na stojącego przed nim woźnicę zukosa, prawie z pogardą; drwił nawet z niego, robiąc mu zaprawne żółcią przymówki, że gdyby nie hładka Jawdocha i hładsza jeszcze Tytiana, pewnoby się tak do Nowosiółek niespieszył. Cożkolwiek bądź naleganie tego woźnicy tak było uzasadnione, że niemógł mu zbyt długo opierać się p. Pius; w końcu nawet przyznał mu słuszność, że dłuższe zwlekanie odjazdu może jeszcze bardziéj pogorszyć sytuacyę sługi, który do szkody pańskiéj zrządzonéj *okolicznościami*, dodaje rozmyślnie expensa na osobiste jakieś swoje interesa. Orze-

źwiwszy się więc zewnętrznie i wewnętrznie, to jest, wylawszy na głowę cały dzban zimnéj wody i skropiwszy wznowione w sercu gorzkie żale kilkakrotnym haustem piołunkówki, wsiadł z apellacyjną prośbą do szarabana i nieoglądając się czmychnął z Kijowa.

Smutnyżto, bardzo smutny był powrót p. Piusa do Nowosiółek! Nie z większą zapewne boleścią austryacki Fabius z pod Sadowéj do Wiednia, ani też Garibaldi z pod Aspromontu do swojéj wracał Kaprery. Nic go w drodze niezajmowało, nasuwał w ciąż kaszkiet na oczy, chrząkał i pluł na wszystkie strony, niemogąc odegnać trapiącéj go myśli o tém, co go spotkać miało w domu przy zdaniu sprawy ze swego poselstwa. Zdarzało mu się nieraz widziéć groźne oblicze p. Jaxy, osobliwie wtenczas, kiedy który z uczonych jego kolegów ośmielił się targnąć na autorytet takich myślicieli, jak Hegel, Rosenkranz, Szeling, Trentowski, Sue, Blanc, George Sand, albo przemówić słówko w obronie jezuitów; ze strachu, jaki obudzał wtedy samém zmarszczeniem brwi i błyskawicą swych oczu, mrówie człowieka nawskróś przejmowało. Wyobrażał więc sobie, że go czeka najokropniejszy traktament, gdy się ukaże przed pryncypałem swoim ze zwróconą apellacyjną prośbą i, pokorniutki, skruszony, jak delinkwent przed ogłoszeniem fatalnego wyroku, gotował się odmawiając zcicha: *Pod Twoją obronę*,—gotował uroczyście do przyjęcia zasłużonéj kary.

VI.

Ktośby pomyślał, że p. Jaxa, który tyle okazał troskliwości w ważnéj dla niego sprawie, aby niestracić służącego mu do apellacji prawnego terminu, niczém więcéj niezaprzątał swojéj głowy, prócz skutku expedycji, z którą wyprawił do Kijowa swego officyalistę i że powrotu jego niecierpliwie oczekiwał; a on tymczasem, po wyjściu 2-go № *Gwiazdy*, odbierając zewsząd ustne i piśmienne dowody najżywszego ku swemu autorstwu współczucia, oddał się cały pracy literackiéj; miał przed sobą otwarte *Chowanne*, *Myśliwi*, oraz *Tygodnik Petersburski* z artykułami Kostrowca, Microsa i Grabowskiego, zaglądał chciwie tam i ówdzie, szperał, notował, a notując to się uśmiechał, to w czoło skrobał, to jakiemiś monosyllabami groźnie burczał, następnie krytyczne swoje poglądy na całych arkuszach spisywał i ani wspomniał o tém, co

tak okrutnie dzisiaj p. Piusa trapiło. Szło mu wszystko gładko i sporo, jak po relsowéj drodze, wszystko się do niego wdzięczyło, uśmiechało; literaci, poeci, nawet żona nieboszczyka Chirurga filozofji, w listach pełnych braterskiéj sympatji, winszowali mu świetnego debiutu w literackiéj oppozycji, a redaktorowie z róznych strón, nadsyłając mu najświeższe kwiaty piśmiennictwa wyprzedzali się w chęci uzyskania dla siebie jego autorskiéj benewolencji; był więc oczywiście w najlepszym humorze. Otoż kiedy nieboraczysko Pius, istny wizerunek penitenta, pochylony ku ziemi, ze skrzyżowanémi na piersiach rękami stanął przed nim i rzewnym głosem zdał sprawę z niefortunnego swego poselstwa, które wynikło jakoby z komplikacyi rozmaitych w drodze najfatalniejszych akcydensów i kiedy w końcu, ocierając rękawem podróżnego swego spencera zmoczone łzami lica i wąsy, wyjąknął *tremolando*, że te łzy z gorżkiego żalu po tak nieszczęśliwéj *wegetacji*, która go pozbawić może nazawsze *hypotezy* pańskiéj, stały się teraz jedynym jego *materjalizmem*; to p. Jaxa, jak gdyby mu wpadł w ręce fakt najtroskliwiéj poszukiwany, bo właśnie krytycyzm jego był nastrojony w téj chwili do wykazania pewnéj wartości każdéj ujemnéj strony, przyklasnął mu z nieudaną szczerością, podszedł nawet ku niemu i, uderzając go łaskawie po ramieniu, przemówił wesoło témi słowy:

»Za to, żeś się tak gracko spisał p. Chrząkalski, mianuję cię nadwornym moim *kauzyperdą*«. Urząd Kauzyperdy jest synonymem urzędu Adwokata, z taką tylko różnicą, jaka zachodzi między plusem i minusem. Minusy są potrzebne, jak zera w barometrze, jak mrozy w zimie, potrzebne nie tylko w naturze, w sztukach, ale i we wszelkich sprawach ludzkich, bez nich świat niemógłby egzystować, użyteczność ich niezaprzeczona. Gdyby ojcowie nasi, zamiast uganiać się za słynącymi z jurystowskiéj praktyki adwokatami, trzymali na dworach swoich takich, jak wacpan, Kauzyperdów, niemielibyśmy w spadku po nich tych processów, które tylko czas i intraty nasze pożerają; niebyłoby pobudek do pieniactwa i zwad z sąsiadami, a wyzwolona z pod ciężaru uprawnionych zabiegów, chytrości i kłamstwa inteligencja nasza łacniéj rozwinęłaby swoją działalność na téj drodze, która prowadzi do Boga, do poznania Jego wszechmocy w skarbach jenjuszu i wieszczéj inspiracji. Ludzie myślący, ludzie oddani z powołania pracy umysłowéj, ci zwłaszcza, co przy pewnym dostatku materjalnym, chcą i mogą być nie-

zależnymi, powinniby przecie zrozumiéć, że bez Kauzyperdy obejść się dzisiaj niemożna, że bez niego wszelki postęp w filozofji, wszelka dążność ku owéj zaleconéj przez Chrystusa doskonałości, czczém tylko i jałowém pozostanie słowem.—Wypogodź więc czoło swoje i bądź dobréj myśli p. Chrząkalski, ja nietylko akceptuję całkiem rezultat twojéj Kijowskéj wycieczki. ale owszem wdzięczny ci jestem za te *fiasco*, jak gdybyś mi najkorzystniejszą przysługę wyrządził. Takiego właśnie potrzeba mi było pomocnika. Łebski z ciebie, co się nazywa, łebski kauzyperda! A nim się zdarzy nowa okazja do praktycznego użycia téj twojéj perdykalnéj biegłości, tymczasem daję ci oto na parę dni okupację literacką«. I to mówiąc, wręczył mu do przepisywania przygotowane do 3-go № *Gwiazdy* artykuły o *Empiryzmie i Jezuitach*.

Uszczęśliwiony taką łaskawością swego pryncypała p. Pius pokilkakroć serdecznie ucałował jego ręce i kolana, oświadczył przytém najuniżeniéj, że wszelkie interesa pańskie załatwiać będzie z tą samą *gimnastyką*, jaka dotychczas sercem i wyobraźnią jego *moderowała*, i z dobrą miną, chrząkając głośno, jak zwyczajnie po załatwieniu ważnego interesu, wyszedł do swojéj officyny.

VII.

Spotkanie się i wejście w ścisłe przymierze dwóch różnéj natury jenjuszów jeżeli kiedy, to w wieku dzisiejszym, pełnym monstrualności obyczajowych, nikogo zadziwić nie może. Widzimy tutaj, że najmniéj do siebie niepodobni p. Jaxa i p. Chrząkalski kojarzą się z sobą, a kojarzą w celu podniesienia i upopularyzowania własnéj swojéj socjalnéj idei. *Apologja wszystkich minusów i gimnastyczny moderunek* są to wymioty jenjalne równéj prawie potęgi, bo gdy *Ap logja* przebojem kroczy przez barrykady Tygodnikowe do świątyni Minerwy, to *Moderunek* z równąż nieustraszonością. przez ciernie i wądoły jurystowskie dąży do świątyni Bachusa. I działania tych jenjuszów tak niezmiernie sprzeczne w swoich zasadach, bo oczywiście, co np. kontentuje Srula, to Microsowi i komp. podobać się niemoże i na odwrót, działania te wydają podobniusieńkie, jednakiéj słodyczy owoce, kompletne w swojém kółku, w swojém towarzystwie zmysłowe i umysłowe zadowolenie. Ale poco ten intruz metaforyczny w naszém typowém malowidle. Wróćmy

się do p. Piusa, który oto temperując pióro do traktatu o *Empiryzmie*, flegmatycznie rozważa błogie skutki *gimnastycznego* swego *modcrunku*.

Niespodziewał się on bynajmniéj odebrać pochwały za to, że powrócił z Kijowa z sekretarską figą, niemógł też przypuścić do głowy, aby nowa installacya jego na urząd Kyuzyperdy w czémkolwiek godności jego ubliżała, a tymczasem po jego odejściu p. Jaxa usłyszał mocne chichotanie w przyległéj komnacie, od któréj drzwi przez korytarz do kuchni prowadziły. Była tam kupka dworskiéj czeladzi, był fagas pokojowy, wielki świszczypałka Pawełek, także nielada figielmajster kuchcik Omelko, był parobek stajenny Tymko, była kucharka Motra i kilka dziewcząt z garderoby staréj Pani. Obiło się o ich uszy nowe przezwisko p. Piusa, które wydało się im tak pocieszném, że krztusili się od śmiechu trzymając się za boki i powtarzając je na różne tony. Wypadało poskromić ten za daleko już posunięty szał komiczny, jakoż p. Jaxa przybrawszy groźną postawę miał już *furioso* przemówić do téj hałastry, ale zaledwie drzwi otworzył, wszystko precz gdzieś pierzchnęło, nie zostawiając po sobie żadnego śladu. I wkrótce, pomimo danego Pawełkowi i takiemuż kuchennemu hultajowi Omelce surowéj admonicji, rozniosło się to przezwisko po całéj wsi tak, że niebyło jednéj chaty w Nowosiółkach, gdzieby odtąd nazywano Ekonoma inaczéj, jak *kauzyperda*. Odtąd skoro tylko który z wieśniaków usłyszał chrząkanie p. Piusa, kiedy on z rana wychodził albo wyjeżdżał do robotników, zaraz odzywał się z przekąsem: »*O wże wydno nasz Kosoperda choroszeńko pośnidaw*«, a wiejskie szubrawstwo, drobna bosonoga dziatwa wrzaskliwie go spotykała, przyśpiewując do swoich pląsów: »*pelda, pelda, kozapelda*«. Poniekąd przyczyniał się do takiego przedrzeźniania i sam p. Jaxa, bo nieraz potrzebując kaligraficznéj usługi p. Piusa, dobry swój humor objawiał któremukolwiek ze swoich służących słowami: »pójdźno dowiedz się, czy jest w domu Kauzyperda?«.

Wszystkie ta sarkazmy i drwinki pokątne niemogły bynajmniéj dotykać człowieka, który jenjuszem swoim tak dalece górował nad nieokrzesanym motłochem. Zbyt długo p. Pius, patrząc przez szpary na te jowialne demonstracje głupiéj gawiedzi, nieprzywiązywał do nich innego znaczenia nad to, że prostacze natury poświadczają w ten sposób błogie owoce jego jenjalnéj administracji. Perswadował sobie, że człowieczeństwo w swojéj chłopskiéj sytuacji zawsze jest skłonne do by-

dlęcych wybryków, kiedy się dobrze naje i napije. Czasem nawet po śniadaniu, zwłaszcza skropioném dostatnią porcją Srulowskiego alkoholu, zniżał się i sam do poziomu téj czerni Nowosiółkowskiéj, wtórując jéj hałaśliwym pląsom pełnym serdeczności śmiechem. Ale kiedy nareszcie dano mu wyraźnie poznać, że wszystkie te dworskie i wiejskie błażeństwa ściągają się wprost do jego osoby, że sąto obelżywe, jadem szatańskiéj furfanterji zaprawne kpiny z niego samego, odtąd, jak go Kauzyperdą przezwano, powodowany przeto właściwą swojéj godności ambicją, postanowił zgnieść, zdeptać i całkiem unicestwić tę gminną głupotę, a to nie ekonomskim monitorem, ale potęgą swego jenjuszu. Zdarzyło się właśnie, że szczycący się szczególnym jego faworem, jako kwintessencja sprytu Nowosiółkowskiéj gromady, gumienny Tychon Krupa zagabnął go nieśmiało w ten sposób: »Skażyte meni, pane, za szczo ce was tak pohano prozwały?« —więc chrząknąwszy całym akordem swego barytonu i, ująwszy się w boki obiema rękami, odpowiedział mu arcy-poważnie. »Ni, ja łuczsze tobi skażu, czoho ty takij dureń. Kołyb ty jazykom swoim łyznuw łatyni choć stylki, skilki medu w spasywku i kołyb ty znaw, szczo w Rymśkim carstwi wsiakoho uczonoho Wyzuwitu zowut' Kawzyperdoju, tob ty neskazaw, szczo ce słowo pohane. Chtoż mene tak prozwaw, jak ne pan? a win dobre znaje, szczo ja umiju do ładu pohoworyty ne z odnym Makariwśkim Proboszczom; myni i z takimy tuzamy, jak Prałaty, ta Jepiskopy, ta Henerały rozhoworyt'sia bajduże, newełyka sztuka! Tilky durni śmijut'sia z toho, czoho ne tiamlat'. Ot szczo!

VIII.

Jakie wrażenie sprawiła ta jenjalna reakcja i jaki wpływ wywarła światłem swojém na gminną głupotę, łatwo to każdy odgadnąć może. Ja oto dzisiaj w samotnéj mojéj ustroni, utonąwszy całą myślą w reminiscencji kreślonéj przeszłości, widzę przed sobą żywy obraz tych miejsc, gdzie ongi tak znakomicie figurował p. Chrząkalski. Widzę jak na dłoni tę zgarbioną nieco i mchem pokrytą od starości officynę z dębową w ganku ławeczką, na któréj on zwykle po trudach dziennych przesiadując odbywał narady gospodarskie z wiejską starszyzną, pod przewodnictwem gumiennego Krupy zostającą, a w dnie świąteczne

się gdzieś i nieznanéj bajki wzdycha, jak Petrarka do Laury; z myślą o pomnożeniu bajecznych swych skarbów rozpoczyna on i kończy dzień każdy; w bajkach widzi on najdoskonalsze dla autorstwa materyały, gromadzi też bajki zewsząd jak najstaranniéj; bierze je ze wszystkich części świata, bierze od aryjczyków, turanów, indyan, etyopów, celtów, gallów, maurów, scytów, finnów, gotów i t. d. Ile tylko od stworzenia świata było i jest na kuli ziemskiéj oddzielnych plemion, każde z nich odznacza się w jego kollekcji swojémi bajkami. Każde znamie wewnętrznego zadowolenia, każdy szczéry, serdeczny uśmiech na jego twarzy jest najpewniejszą wskazówką, że zdobył nową jakąś bajkę. Jak jubiler upaja wzrok swój kształtem, barwą i połyskiem drogocennych klejnotów, tak on roskoszuje zmysłowie gruppując i do oddzielnych ksiąg wpisując uzbierane przez siebie bajki. W bajkach znajduje on to, czego w żadném z filozoficznych dzieł znaleźć niemożna. Z bajek, jak z kokonów jedwabnika, wysnuwa on nietylko fizyczne, ale i moralne piękno. W formie i treści najprostszéj gminnéj bajki widzi on antitezę szkolarskiéj rutyny, odblask wieszczéj intuicji, ożywczy promień twórczego ducha. Bajki urzekają go nietylko cudownością, ale i prostotą swoją. Do bajecznych potworów uśmiecha się on, jak się uśmiechają dzisiaj do pięknéj Heleny Offenbacha. W bajce wszystko dla niego dobre, piękne i smaczne. Skutkiem téj bajkomanji same nawet fakta spełniające się w oczach jego przyjmuje on za bajki. Ktoby mu niemówił o wielkich, olbrzymich dziełach współczesnych jenjuszów, uważa wszystko za bajkę. Wielkie czyny Lessepsów, wielkie szaleństwa Roszforów, wielkie dobrodziejstwa Pibodych, wielkie zbrodnie Tropmanów, to produkcye bajeczne, bajki! bajki!! bajki!!! Nieomylę się zapewne gdy powiém, że i ten Obrazek, skoro wpadnie w jego ręce, poczyta on także za bajkę, ba nawet na zasadzie wyłącznego swego poglądu rozporządzi się kauzyperdą, jak mythem przedpotopowym, dając mu miejsce na niebieskim zodyaku obok Glaubicza, Gryfa, Bejły i tym podobnych potworów. W dzisiejszym chaosie racjonalnym, kiedy najważniejsze interesa ludzkości są w ręku takich, jak Napoleon i jego ministrowie, kauzyperdów, ktożby mu takiéj manji niepozazdrościł? chyba jeden tylko Padalica, który już dzisiaj i własną swoją egzystencję w bajkę przeistoczył.

(Pisano w Kijowie w czasie świąt Bożego narodzenia 1870 r.).

PRZYGODA KSIĘDZA KWESTARZA.

Obrazek z dawniejszych czasów.

yk i hałas w całym dworze.
eszczęście jakie spadło?
m humorze, w rannéj porze,
głowie komu jadło.
rozpaczy po komnatach
jakby opętany,
ıbraka, w rannych szatach
any, rozczochrany!
ę złości, łaje, fuka;
rzędzi, ręce łamie,
zerzuca, czegoś szuka,
na cała łzami;
, krzyczą dzieci—żaki;
s dworski rozpędzony,
wicher pędził jaki,
w owe lata strony.
nie spójrzysz—nieporządek,
ıć nawet nie ma komu,
ı pełen każdy kątek.
tartas w całym domu,
on był w djabléj mocy!—
ıowstała owa sprzeczka?
przeklętej mocy
zginęła szkatułeczka...
tuła Jegomości
cale też niczego:
w sobie wiele gości
wonego i z białego:
ówki malownicze
iące w niéj liczono,
: były tajemnicze
ısarskiéj mgły zasłoną.

z biesem trudna rada.
zechce się zabawić:

Właśnie chętka go napada,
Jakby święty pokój zdławić.
Więc poradził komuś cicho,
I dopomógł w téj kradzieży:
Ot i swary, ot i licho—
Do szlachcica biéda bieży.
A on, hultaj, wciąż się śmieje,
I raduje, i żartuje,
I przed kolegami dzieje
Swego figla produkuje...

Całe dwa dni piekło w dworze,
Wrzawa, hałas i szukanie;
Lecz nic to już niepomoże;
Miłościwy mości panie!
Żyd arendarz trząsł się, wrzeszczał,
Gdyś ty kijem go okładał,
Jednak nic ci niewywrzeszczał,
Jednak nic ci niewygadał;
Ksiądz w kaplicy mszę odprawił;
Woźny ruszył z objawieniem;
Kozak Iwan konia zbawił
Lecąc pędem z poleceniem,
By wynalazł ślad złodziei;
Fedko sobie nogę złamał,
Gdy w głęboki dół, z kolei,
Przez chrust z koniem się załamał
Wślad za Hryćkiem. Przeklinali
Tam oboje *wilcze doły*,
I płakali, i stękali,
Aż musiałeś posłać woły.—
Wszak dwunastka tak latała,
Powróciła jednak z niczém;
I nic kieszeń nie *wskurała*;
Chociażeś okładał biczem

I służące jéjmościny,
Myśląc, że to tam się skradło,
I kozaków, i dziewczyny,—
Co przepadło, to przepadło!

Tydzień mija mej powieści,
A o stracie ani wieści.
Cała pono okolica
O szkatule wié szlachcica;
Lecz nikt prawdy niepowiedział,
Bo nikt o niéj nic niewiedział,

* *
*

Słońce zaszło, zmrok już pada,
Szary wieczór się przybliża,
Z paszy pędzą liczne stada,
Zboże wiozą do śpichlérza,
Skrzypi *żuraw* nad krynicą
Śpiewy ptasząt już ustały,
Rżą koniki, krówki ryczą,
W stawie żabki *zakumkały*,
Bekas ciszę żniów przerywa,
Słychać w wiosce psów szczekanie,
Wdali piosnka się odzywa,
To wracają z pól ziemianie:
I kosarze i żniwiarki
Idą z kós i sierpów brzękiem,
Słychać *pod-po-łom* przepiórki—
Cudny wieczór z wiejskim wdziękiem!
Lecz we dworze niezważają
Na czarowne te obrazy:
Tam się modlą, kłócą, łają,
Djabłu lecą z ust wyrazy..

Wtém przez wrota wciąż otwarte.
Z których młodość coraz znika,
O dębowe słupy wsparte,
Staroświecka wjeżdża bryka.

Para koni starych wiezie
Wóz krakowski ku gospodzie,
Na nim stary kwestarz jedzie,
I woźnica stary wprzodzie.
Za nim drugi, a tam daléj
Bieży, becząc, owiec stado,
Przed niém stary baran wali,
Jako pan nad pstrą gromadą;
Więc gospodarz zasmucony
Prędzéj spieszy na spotkanie.
»A!—Niech będzie pochwalony,
Rzecze Kwestarz, Chrystus, Panie!«
Ten »na wieki« mu odpowie.
— Proszęż, proszę tu Kwestarza!
Jakże się ma wasze zdrowie?
Cóż w me progi was nadarza?
»Handel, handel, Muszumdzieju,
Ja barany wciąż kupuję,
Podkomorzy Dobrodzieju;
Jak niedają, to rabuję!..«
— Wejdźcież, księże, w moją chatę.
Bóg was w samą porę przyniósł:
Och, poniosłem wielką stratę,
Ktoś szkatułę złota wyniósł!
»Aaa! Jegomość Muszumdzieju,
To nielada wielka strata!
Lecz, *domine* Dobrodzieju,
Znajdziesz jeszcze mi dukata...
Deus bonus za intencyę,
Wróci szkodę w szczęściu, zdrowiu,
Talar będzie, *missa* będzie!—
I tu weszli do pokoju,
I w ramie się całowali;
Zaś tymczasem do drugiego
Podwieczorek już podali.

Więc gospodarz gościa swego
I z estymą i z szacunkiem
Poprowadził do jadalni,
Poczęstował zdrowym trunkiem,
Wyszli inni wnet z sypialni:
Szczérze księdza powitała
Jegomości połowica,
Dziatwa, potém dwornia cała.

h wędlinką się zachwyca
wala jéj zalety:
sztor takiéj nie ma, rzecze,
rzucając na kobiety. .
bynajmniéj ja nie przeczę.
lomu gospodyni,
dzie miał daremnie,
nie ma, któż go wini?;:
vędlinkę przyjm odemnie!

ki składa Kwestarz szczéry,
:ko widzi bez nagany,
łziwia znowu séry.
Pan domu zadumany:
ęże mój Macieju, rzecze,
rym jesteś dziś humorze;
e smutek srogi siecze...
zkatuła! o, mój Boże!
teńka złota była!
j bogactwo całe moje! —
ona się wróciła,
imy za jéj zdrowie!
ksiądz Maciéj mu odpowie;
Jegomość Muszumdzieju!
ęcinę klasztorowi,
morzy Dobrodzieju,
wać najprzód trzeba,
ech tak będzie, Ojcze drogi,
katułę wrócą Nieba,
dwiedzisz nasze progi,
tobie część dziesiątą
złotówek w wór wpakuję.—
gdy sam ją, znajdiesz—piątą;
możesz, dusza czuje:
, księże, wy uczeni,
dzie? i jak? i co?- wiecie;
oga uświęceni
prosić łask możecie..,
m na sług podejrzenie.
ecte, bene, Muszumdzieju.
nę z chęcią twe zlecenie,
omine Dobrodzieju!

Dasz oddzielną mi komnatę...
Deus bonus dopomoże:
Już mam projekt, znajdę stratę..
Fiat voluntas tua, Boże!

I to mówiąc, z całéj siły
Silną pięścią w stół uderza,
Aż talérze podskoczyły.
Potém myśl nosowi zwierza:
Więc dobywszy tabakiery,
W takt palcami w nią uderzył
Jakich może razy cztéry.
Do tabaki wreszcie zmierzył
I podaje. Podkomorzy
Bierze szczyptę, w nos wpakował,
Czchnął dwa razy, jakby ożył, —
Mnich wygranę prorokował.

Podwieczorek już skończony,
Do ogrodu więc wychodzą;
Tam, na ławce, z jednéj strony
Siadłszy, cném się winkiem chłodzą
Podkomorzy i gość jego,
Gwarzą sobie, rozprawiają,
Ten coś swego, a ten swego,
Wciąż tabaczkę zażywają.
Czasem tylko Podkomorzy
Zcicha westchnie: »Ot i praca! —
Widać taki palec Boży«...
Lecz ksiądz Kwestarz humor wraca.
I tak długo rozmawiali
Przy poczciwém, starém winku:
Wtém wieczerzę już podali;
Potém, marsz do odpoczynku! —

* * *

Jak rzeczono, tak zrobiono:
Ksiądz oddzielny pokój bierze,
I modlitwą, antyfoną
Kończy głośne swe pacierze.
Zaś tymczasem w całym dworze

Pędem strzały wieść się niesie.
Że mnich mówił, że on może,
Że wynajdzie wilka w lesie,
Że złodzieja ślad wyszuka,
Że ukarze zbrodnię wielką...
O, bo Kwestarz mądra sztuka;
Ma od Boga pomoc wszelką!
Dworscy z sobą się sprzeczają:
Jedni mówią: »ksiądz wykryje;«
Drudzy zcicha się szeptają,
Że ponieważ tak pies wyje,
Więc nieszczęście jakieś będzie:
Zły kredensarz w nic nie wierzył;
Lecz ciekawość widna wszędzie,
A koniuszy kroki mierzył..
Młoda panna respektowa,
Mizdrząc oczka, mówi czule:
—»Pan koniuszy, jakby sowa! -
Niech nie wierzy, mnich żartuje!«
Lecz Koniuszy z Kredensarzem
Mówią:—Wie mnich, jak, co wszędzie!
Kozak wzrosły, zwan Figlarzem,
Krzyczy głośno: *coś to będzie*?!
Trzej zaś z cicha szepczą: *zdrada*!...
I wychodzą pokryjomu.
Długo w stajni trwa narada,
Co mowili— niewiadomo.

Wreszcie Figlarz, kozak śmiały,
Rzecze do nich:—»Swacie, bracie!
Kury pierwszy raz już piały,
Kwestarz myśli już o stracie.
Pójdę ujrzę, co on robi
W swym pokoju tajemniczym?
Pewno dzielnie chrapie sobie
I nie myśli *nic o niczém!*«

Pomysł dobry. Kozak bieży,
Zbliża się, wyciąga szyję,
Patrzy, oczom swym nie wierzy:
Z okien mnicha światło bije,
Cztery świéce w tym pokoju
Świecą z cztérech końców stoła,
Księga leży, w dziwnym stroju
Mnich ją czyta, kréśli koła;
Nagle groźną rękę wznosi,
Cały straszny i ponury:
—»Ot i *jeden* jest już!« głosi
I wskazuje okno z góry...

Kozak, jakby oparzony,
Dał od okna w tył dwa susy,
Przestraszony, przerażony,
Leci, niby zając kusy,
»Ach, bodajeście zginęli,
I ja także razem z wami...
O gdybyśmy to wiedzieli!
Czy mnich z Bogiem, czy z djabłami?..
— Cóż takiego? cóż takiego?
Co tam, co? Koniuszy pytał,
- »Ba i bardzo niedobrego,
Mnich już w książce mnie wyczytał..
Teraz na was kolej będzie:
W wielkiéj biblji wszystko czyta,
Księga ta wie, jak, co wszędzie...
Nas powieszą, ot i kwita!—
— Przewróciło ci się w głowie,
Tam, do djabła, czarna duszal
Zły Kredensarz mu odpowie
I sam tęgim kłusem rusza.

Prędkim krokiem ziemię mierzy,
Zbliża się, wyciąga szyję,
Patrzy, oczom swym niewierzy;
Z okien mnicha światło bije,
Cztery świéce w tym pokoju
Świecą z cztérech końców stoła,
Księga leży, w dziwnym stroju
Mnich ją czyta, kréśli koła;
Nagle groźną rękę wznosi,
Cały straszny i ponury.
—»Ot i *drugi* jest już!« głosi
I wskazuje okno z góry...



„Ot, i jedeṇ jest już!“ głosi
I wskazuje okno z góry.“

Kredensarz zadrżał cały
ł słowa zakonnika,
ajeżon, sam spotniały,
a okna prędzéj znika,
czenia ledwie dysze
ajni jak czart wpada:
łzę dobrze, dobrze słyszę,
kt z biesem mnich układa!
Koniuszy mu odpowie;
ialuki, mości panie,
miesza się wam w głowie,
capy! takie zdanie
tchórze, mam ja teraz:
ie się oszukali
wało przecie nieraz...
w stronę! Wju-ha, daléj!
miewam waszą trwogę!
Michasiu, źle Figlarzu!
łma zając przebiegł drogę,
kóbie Kredensarzu!

oniuszy prędko bieży,
się, wyciąga szyję,
oczom swym niewierzy:
mnicha światło bije,
świéce w tym pokoju
z cztérech końców stoła,
leży, w dziwnym stroju
ją czyta, kréśli koła;
groźną rękę wznosi,
traszny i ponury:
i *trzeci* jest już!« głosi
zuje okno z góry...

wystąpił Koniuszemu,
jemu, mgło, gorąco,
trzykroć po djablemu,
ny jakby wrzącą
z kotła, w tył odskoczy,
, pędzi, myśli, staje,
świecą mu się oczy,
do stajni, wszystkich łaje,

Miota groźby i przeklina:
—»Pal was djabli wszystkich razem!
Podmówili... Zła godzina...
To nie ujdzie teraz płazem!...

Zaś tymczasem Kwestarz stary
Śmieje się, jak tylko może:
Żart się udał z źródła wiary,
A więc *gloria tibi*, Boże,
Żeś dopomógł téj inwencji...
Lecz się snują senne mary,
Myśl się plącze, w głowie męci,
I tak zasnął Kwestarz stary...

* * *

Ranek świtać już zaczyna,
Wschód purpurem czerwienieje,
Śpiéwa piosnki swe ptaszyna,
Pomrok nocy znika, dnieje;
Z poza mgły się wznosi słonko,
Słychać głośne gwary ludzi;
Otworzyło się okienko:
Stary Kwestarz się obudzi;
Poi się powietrzem świeżém,
Wodą zimną się oblewa,
Czyści habit lśniący pierzem
I tę z serca piosnkę śpiewa:

»Kiedy ranne wstają zorze,
»Tobie ziemia, Tobie morze,
»Tobie śpiewa żywioł wszelki,
»Bądź...«

lecz jakiś hałas wielki
Niedozwolił skończyć pieśni:
Wtém Koniuszy z Kredensarzem
Do pokoju płacząc weszli,
Potém kozak, zwan Figlarzem.
Księdzu do nóg się rzucili,
Całą prawdę wiernie głoszą,
Jak szkatułę pochwycili
I o przebaczenie proszą;

Mówią oni, gdzie schowali,—
Całą prawdę wiernie głoszą,
Że ją w stajni zakopali,
I o przebaczenie proszą;
Obiecują nadal szczerze
I pokutę, i poprawę,
I modlitwę, w dobréj wierze,
Że poprawią swoją sławę.
Mnich tu dotknął grzechu skutku,
Więc się wszyscy rozpłakali,
Przebaczenia w ciężkim smutku,
I o sekret wciąż błagali.
Mnich szkatułę przynieść kazał,—
Ta zjawiła się w minutę;
Potém modły, post nakazał,
Skruchę, spowiedź i pokutę,
Na zadatek więc poprawy,
Każdy wziąwszy trzy dukaty
Na intencję dobréj sprawy,
Wrzucił w księdza trzos pękaty.
Chórem Bogu dokończali
Pieśń zaczętą, głosząc wiarę,
W końcu mnicha pożegnali
I sumienia czarną marę...

—»Ot znalazła się już strata,
Stary Kwestarz tryumfował;
Wtém »Zawitaj Pani Świata!«
Podkomorzy zawtórował.
Spieszy tedy Kwestarz stary,
By *godzinki* mieć śpiewane,
Znalezione dać talary,
Potém piwko wypić grzane.

W całym domu wrzawa wzrasta,
Krzątają się, ze snu wstają.
—»A, dzień dobry—ot i basta!
Jak się interesa mają?
Témi słowy Podkomorzy
Wita Księdza, gdy uczcili
Porankowéj jasność Zorzy,
I modlitwy ukończyli.
—Tak, *Domine* Dobrodzieju,
Deus bonus wrócił straty;
Mój Jegomość Mossumdzieju,
Twe talary i dukaty
Mam u siebie. Znalezioną
Twą szkatułę wrócę tobie,
Lecz występek pod zasłoną
Tajemnicy chowam w sobie.

Podkomorzy ucieszony
Woła żonę, dzieci ściska;
Kwestarz sceną rozczulony
Tylko z oczu łzy wyciska,
Podkomorzy ucieszony
Daje Księdzu z tych część piątą;
Kwestarz sceną rozczulony
Bierze tylko część dziesiątą.

Krzyk i hałas w całym dworze:
Wielkie szczęście dzisiaj spadło;
W tym humorze, w rannéj porze,
Ani w głowie komu jadło!
Pan z radości po komnatach
Biega, jakby opętany,
Bez kontusza, w rannych szatach,
Nieubrany, rozczochrany!

Jeszcze dwa dni Kwestarz bawił,
Aż wyjechał dnia trzeciego;
Jadąc, domek błogosławił
I barana wziął tłustego.

Drugi tydzień méj powieści,
Wszędzie krążą dziwne wieści;
I już cała okolica
O szkatule wié szlachcica.
Nikt zaś prawdy niepowiedział,
Bo nikt o niéj nic niewiedział.
A koniuszy z kredensarzem
I ów kozak, zwan Figlarzem,
Dotrzymali obietnicy,—
Mnich niewykrył tajemnicy.

Pisano w 1869 r.

MYSZA WIEŻA.

MISTERYUM

z Dziejowych Podań.

p. Al. Groza.

OSOBY.

Popiel,—Król.
Gierda,—jego żona.
Stasska,—Siostra Popiela.
Fryc,—Powiernik Gierdy.
Gilion,—Rycerz normandzki.
Rycerze Normandzcy.
Rożyca,—służebna Gierdy.
Mikuła,—*Grzelo*,—Strzelce.
Kapłan,—Nii.
Grzmilas,—Zbójca.
Dwaj Ewangeliści,
Piast,—Kołodziéj.
Ziemomysł,—syn Piasta.
Hala,—córka Piasta.
Rzepicha,—żona Piasta.
Tłum ludu.

ZA PRZEDMOWĘ.

Pomiędzy papierami oddawna zmarłego mego krewnego ..... niegdyś ucznia szkoły Winnickiej, utrzymywanéj przez WW. OO. XX. Jezuitów, znalazłem spory sposzyt z takim nadpisem »Post fata s. p. Augusta III-go w r. 1764, w dzień święta Trzech Króli, zebrała się gromadnie szlachta Województwa Bracławskiego do miasta Winnicy dla sądów Kapturowych i dla uprzednich porozumień się względem wyboru Króla.

Po solennem nabożeństwie X. Rektor WW. OO. Jezuitów zaprosił co znaczniejszych personatów do siebie na śniadanie, i wśród innych rozmów rzecz wytoczyła się o tém, co u wszystkich było na myśli i sercu, t. j. kogoby wybrać na Króla; Piast u wielu był na języku, ale i za synem zgasłego Króla nie jeden się głos odezwał. Otwartszy od innych, a niepospolitéj elokwencyi JP. Miecznik Chołoniewski, zwracając się do X. Rektora, rzekł: »Gdybyć to Wielebni Ojcowie z ambony do braci szlachty przemówili i zachęcili, by dawszy pokój tym *szołdrom*, pamiętali na kość z kości i na krew z krwi naszéj, niezawodniebyśmy

unanimiter Piasta wybrali« Na to X. Rektor: »Ambona nie dla celów politycznych, zachęcać J. Panów Braci do jedności i zgody naszym jest obowiązkiem, ale doradzać lub upominać, wybierzcie tego a nie tego, bo ten taki a ten owaki, *wara!* a nuż utrzyma się kandydat przez nas odradzany, wtedy niespysznabyśmy się mieli. Jest w naszém zgromadzeniu młody professor, Poeta i Historyk, ten, oddawszy się rozczytywaniu Kronik, wiele rzeczy ciekawych wyrozumiał, odkrył i spisał, i te w kształcie misterjów ku nauce i zabawie naszéj młodzi szkolnéj, a nawet nas samych były w naszém teatrum przedstawiane. Otoż i teraz przez cały mięsopust dobrańsza młodzież te mysterya odegrywać będzie, najuprzejmiéj WWaszmoś. Dobro: upraszamy, abyście swą frekwencyą nasze teatrum zaszczycić raczyli, a może też i dla nich tu znajdzie się coś pożytecznego zobaczyć i usłyszéć« Miałem zachowanie u X. Professora Poetyki, ten mi pozwalał z niektórych misteryów robić excerpta a niektóre całkiem sobie przepisać. »Jak się ów poeta nazywał dopytać się niemógłem, bo już to OO. Jezuici lubili tajemnice i umieli sekret zachować. Mówiono, że był nim albo X. Minasowicz albo X. Nagurczewski albo Naruszewicz. Kto by niebył autorem wyznać muszę, że obudziły interes niepowszedni, a może nawet coś przyczyniły się do obioru Piasta.

Zacząłem te misterya odczytywać, późniéj przyszła chętka one drukiem ogłosić, zdało się koniecznèm to i owo sprostować, dopełnić, bo tego wymagał rozwój badań i pojęć dziejowych. W swojej pierwotnéj nieszykowności mają wyjść teraz na świat w liczbie trzech, a mianowicie, 1. Wanda, 2. Mysza Wieża, 3. Mieczysław. Jeśli zasłużą na uwagę i dobre przyjęcie, to i dalsze serie wychodzić będą.

ZMIANA PIERWSZA.

Stas̀zka.

(*Okolica węgórzysta, nad Gopłem, las w około, nad przepaścistym brzegiem stoi dziewczyna i śpiewa*). —

Skacze sobie kuliczek,
Z kamyczka na kamyczek;
Och biada mi, biada!

Woda pluszcze w kamyczek,
Spiéwa sobie kuliczek,
Och biada mi, biada!

Nie braciszek z kamyczka,
Ani z fali siostrzyczka,
Och biada mi, biada!
Ani biją, ni łają,
I płakać pozwalają,
Och biada mi, biada!

Ach gdzie ty mój tatulu?
Gdzie ty moja matulu?
Och biada mi, biada!
Nacoście mnie zrodzili,
Złym na wolę rzucili,
Och biada mi, biada!

Lepiéj było, młynowy
Kamień wiązać do głowy,
Och biada mi, biada!
Niż oddać złym na wolę,
Na płacz i na niedolę,
Och biada mi, biada!

(*Myśliwi wychodzą z lasu i zatrzymują się pod górą*)

trzelec. Już od pewnego czasu tę dziewczynę
Widzę, jak ona po nad urwiskami,
Błądzi po ścieżkach zaledwie dostępnych
Dla dzikiéj kozy; nieraz przewieszona
Zda się że w przepaść poleci, tymczasem,
Jak ta rybitwa, na białych swych skrzydłach
Wisi i krzyki rozwodzi płaczliwe.—

Strzelec. Biedna sierota! ot na co dziś przyszło
Królewskie dziecię! a wszak to Popiela
Rodzona siostra; rozum w niéj zabili,
A teraz biédna błąka się po świecie,
I śmieszy dzieci i łzami napełnia
Oczy u starców....

szy Co? to ona, Staszka?
Owa kochana, pieszczona dziecina,

Któréj bywało, powracając z łowów
Przynoszę kwiatki, ptaszki i orzechy;
Raz jéj przyniosłem dwie młode wiewiórki,
Jakaż to radość!..... Ależ ona zleci
Z tego wiszaru.... Panienko!... Panienko!...
Proszę tu do nas, to ja stary Grzelo,
Co to wam kiedyś wiewiórki przynosił!

Staszka (*zbliża się*).
Kto to mnie woła?

1-y Strzelec.
To ja, stary Grzelo....

Staszka.
Grzelo poczciwy!
(*Zbiega na dół*).
Możecie przynieśli
Wiewiórkę dla mnie... Daremnie mój Grzelu!
Niemam gdzie chować ptaszków i wiewiórek,
Bo nie mam kąta gdzie przychylić głowy:
Powiedźcie proszę, moi dobrzy ludzie,
Dlaczego teraz tak ciasno na świecie?
I niebo nigdzie, a nigdzie nie węższe,
I ziemi nigdzie cząstka nie odpadła;
A tu tak ciasno, że jak ten klin klina,
Tak człowiek człeka wyciska z rodziny,—
Z domu, a nawet z ziemi......

2-gi Strzelec.
Was Księżniczko
Nikt pono z domu ojca nie wyciskał;
Królowa Pani wielce frasobliwa,
Żeś się puściła na taką tułaczkę;
Porozsyłała sługi w różne strony,
By was odszukać.—Ja choć nie posłany,
Z tego, com słyszał, zapewnić was mogę,
Że was czekają z wielkiém upragnieniem.

Staszka.
Widujesz często Królowę?

2-gi Strzelec.
Widuję.—

Staszka.
I z nią rozmawiasz?

1-y Strzelec.
I czasem rozmawiam.

ka. Królowa pani w swojéj przezorności,
Aby szkodliwe myszy nie popsuły
Jéj złotolitych kabatów, rozstawia
Wszędzie arszennik: a ja, jak to wiecie,
Zepsute dziecko, dotknę się wszystkiego,
Wszystko poruszę, mogłabym grudeczkę
Zjeść arszenniku, Królowaby miała
Na miejscu myszy bratówkę otrutą;
Ileżby smutku i płaczu tam było.....
Jestem ciekawą... a przy tém plotkarka;
Z okiem i uchem zawsze pode drzwiami;
Jestem niewdzięczną, złą i nieposłuszną.
Król lubi łowy i puhar nad miarę,
Królowa musi sama rządzić państwem;
Rządy jéj mądre, a ja się poczuwam,
Że w mojéj złości mógłabym coś sarknąć,
Z czémś się odezwać, i zatruć Królowéj
Pokój i szczęście; a więc się wskazałam
Na to wygnanie, na tę dobrowolną
Karę i jestem dziś sobie kuliczkiem.

(*Śpiewając oddala się*)
Skaczę sobie kuliczek,
Z kamyczka na kamyczek,
Och biada mi, biada!...

(*Nadciąga orszak myśliwych, Popiel na przedzie*).

l. Co tam stoicie rozdziawiwszy gęby,
Czy nieszła tędy sarna?

Strzelec. Sarna nieszła,
Ale siostrzyczka Króla Jegomości
Pobiegła, ledwie jest za tym pagórkiem.

l. (*bieży wołając:*)
Staszko! Staszko!—

ka. (*wychodząc z za pagórka*).
A to ty Braciszku?
Głos twój poznałam, czego chcesz odemnie?

l. Wróć Staszko do nas, mnie bardzo żal ciebie. —

Staszka. Naprzód, jeżeli chcesz co mówić do mnie,
Stój tu na miejscu i ludzi swych oddal,
Aby niemogli na twoje skinienie
Rzucić się na mnie: wiedz, że o krok za mną
Przepaść straszliwa, a w niéj głębie Gopła,
Ty lubisz zdradę, a może w téj chwili
Polujesz na mnie!

Popiel. O, przysięgam tobie,
Że nawet na myśl zdrada mi nieprzyszła.

Staszka. Ale w twéj Gierdy myślach tylko zdrada,
To lepiéj Bracie, że z chłodu i głodu
Umrę tu sobie, niżbym stać się miała
Przyczyną zbrodni, potém Bogów kary.
Co to się dzieje z tobą, o mój bracie,
Gdzie się podziała twa męzka odwaga,
Twój rozum zdrowy?—Wróżono o Tobie,
Że ty Popielów filarem zostaniesz,
A tyś utonął w pijaństwie, rozpuście!
Czém się zaczyna, i na czém się kończy,
Każdy z dni twoich?... hulanki i łowy,
Łowy, hulanki!... I toż życie Króla,
Ojca narodu, sędziego spraw ludu?
Z początku naród zbiegał się do ciebie
Po sąd i radę..... a teraz do Króla
Lub jego trzeba ciągnąć powrozami.
Dwór twój, to jakaś zgraja cudzoziemców,
Banda opryszków zajadłych a sprawnych;
Czego nie było dotąd, nikt w swym domu
Niepewny życia.... co noc jakieś gwałty,
A Król na skargi milczy: a Królowa
Nielubi, aby kto przy niéj zapłakał—
Płaksiwych karze ogniem i żelazem.
Bądź mężem bracie! bo tak zginiesz marnie,
Jak giną myszy z tego arszenniku,
Którym twa Gierda tak częstować lubi.
Zwołaj swych stryjów i złóż z nimi radę,
A Gierdę zaraz wyrzuć za granicę
Z jéj całym dworem; a teraz braciszku
Przestań być Chwostkiem, zacznij być Popielem,
Głową i rodu i swojego państwa.—

el. Zkąd ci siostrzyczko ta mądrość i śmiałość?

zka. Rosa przemyła oczy moje, a wiatr
Rozwiał tumany, co mój rozum ćmiły!
Na górach czyste powietrze, a oko
Widzi daleko i jasno: tu nigdzie
Fałszu, podłości: tutaj jest tém każdy
Czém być powinien i czém będzie wiecznie.
Muszka ma parę skrzydeł, weź jéj
Jedno, a umrze, trzeciego nie dodasz.
Koniczek polny wyśpiewuje w lecie,
A w zimie drzemie pod bryłką kamienia.
Bierzesz co ręka obejmie, jész tyle
Ile się zmieści, a chciał byś używać
Jeden wszystkiego, za wszystkich; zabijasz,
Grabisz współbraci, by tylko dogodzić
Swym żądzom, którym niedogodzisz nigdy
I w niczém......

l. Jak ty Stasiu mądrze mówisz!
Niechże przycisnę Cię do mego serca.

zka. O nie! uściski twoje wiarołomne,
Arszenik żony i od ciebie czuję:
Jeśli chcesz, przychodź do mnie wieczorami,
A mogę z tobą pomówić, a nawet
Dać jakąś radę.—A teraz ot we mnie
Niepokój ptasi: piórka już szeleszczą,
Na mojém czołku wysterka mi dziobek,
Nóżeczki moje, dwie pałeczki z chrustu!

(*odbiega śpiewając*):
Skacze sobie kuliczek,
Z kamyczka na kamyczek—i t. d.

ZMIANA DRUGA.

(*Zamek Kruszwicki na Gople, sala duża sklepiona*).

Gierda i Fryc.

a. A więc mój Frycu skończyliśmy dzieło,
Wznieśliśmy wieżę warowną naprzeciw

Myszom (*śmieje się*), jakiegoś głupiego wieszczbiarza.
Proroctwo nową potęgę nam dało:
Zamkniemy tutaj Popiela, by świata
Więcéj nie ujrzał, a w jego imieniu,
Będziemy nasze przedłużali rządy.
Tu z Normanami będzie nam bezpiecznie
Prowadzić zmowy.—Tu się pozbędziemy
Tych łbów zadartych, co to się mieszają
Do rządów naszych.—Tu wzrośnie potęga
Przyszłego państwa Popielów; nie wiele
Czasu, a głupie to bydło słowiańskie
Wprzężem do pługa na wieczną oraczkę.
Ty tylko miły, bądź mi dobréj myśli,
Kochaj mię, służ mi, aż ze mną zostaniesz
Królem i panem wszechwładnym.—

(*Słychać krzyk, Popiel wpada, Fryc się usuwa*).

Popiel. Już Gierdo
Nie zniosę tego... nie dość, że mnie sama
Chwostkiem przezywasz, ale i ta twoja
Rożyca Chwostkiem przezywa; chciałem jéj
Skarcić zuchwałość pocałunkiem w usta,
A ona w pysk mnie....

(*Gierda klaszcze w dłonie.*)
(*Wchodzi służący*).

Gierda. Przywieść Różycę.—

(*Do Popiela.*)
Ujrzysz jak przykładną
Karę odbierze.—

Popiel. I cóż jéj uczynisz?

Gierda. Wypalę oczy.

Popiel. Szkoda, takie piękne—
Nie pal jéj oczu, każ tylko niech będzie
Więcéj posłuszną.

Gierda. (*z szyderstwem*)
Więcéj ci posłuszną?

(*Sługa wprowadza Różycę*)

I ty szkaradna śmiałaś podnieść rękę
Na swego Króla!

Za cóż mnie zbezcześcił!

Król cię zbezcześcił! ot jaka mi czesna!!
Miałaś mieć oczy wypalone, ale
Król ci przebacza; a więc dla pamięci
Ten znak ci daję:

(*Porywa z komina rozpalone żelazo i dotyka niém ramienia Różycy*).

Bogowie! ratunku!

Milcz mi gadzino! bo zaraz ci każę
Uciąć języka—a tymczasem abyś
Nie krzyczała, niech ci wpakują knebel
Do gęby.—Precz mi z nią!

(*Różycę odprowadzają*).

Jaka ty Gierdo
Straszna! oczy twe świecą jak sztylety,
Twarż twoja blada, jak u trupa; usta
Twe drgają, jakby je kto szarpał; włosy,
Jak szczeć zjeżone.—

(*Śmiejąc się*).

Śliczny wizerunek!....
A teraz prawda, że znów sobą jestem?
Czyż mam być gliną miękką, jak ty zawsze?
Gniewasz się nie w czas, śmiejesz się nie w porę;
Mówisz od razu, co mówić nie trzeba;
Wdajesz się bądź z kim; o, gdybym niewzięła
Władzy w mę ręce, piękne byłyb rządy....

Wiesz, przed godziną mówiłem ze [illegible],
Ścigając sarnę, wbiegłem na urwiste
Wybrzeża Gopła, stojąc nad przepaścią
Mówiła ze mną.—

Gierda. (*Przybliżywszy się i głaszcząc Popiela pod brodę*)

Cóż Chwostku mówiła?
Powiedz mi szczérze, a dam ci antałek
Starego miodku, a może i wina,
Jeszcze coś więcéj....—

Popiel. No, cóżby takiego?

Gierda. A jak Bogusię dam na twe skinienia?
A jak Różycę dziś ujrzysz u siebie?

Popiel. Różycę?

Gierda. Tak jest, dziś ujrzysz Różycę.

Popiel. Ty wszystko Gierdo i umiesz i możesz!
Różyca piękna... lecz stokroć wolałbym,
Abyś ty Gierdo była przy mym boku;
Dobrze wiesz, że ja za tobą szaleję,
Ja piję z żalu, z tęsknoty za tobą;
I lecę w knieję, aby się rozerwać
Z smutku i nudy.

Gierda. Jam chora mój Chwostku,
A ci się zdaje, że ciebie niekocham:
Dla swego szczęścia masz wszystkie roskosze,
I gdy ty hulasz po całych dniach, nocach,
Jam w pracy ciężkiéj.—

Popiel. A ty z Normanami,
Z Niemcami swymi, czyż się nie zabawiasz?
Czego ty ciągle zamykasz się z Frycem?

Gierda. Ach! człecze, człecze! także ty znasz Gierdę?
Tak ty ją cenisz? Że ja się zamykam,
To twoja wina: bo ja się obawiam
Twojego szału.... O! gdybyś zrozumiał
Moje papiery, które ten Fryc pisze,
Tobyś inaczéj umiał go ocenić,
Anibyś pytał, poco się zamykam.
Cesarzów krewna ja panować lubię,
Jak ty roskoszy, tak ja pragnę chwały,
Potęgi, rządów..... No, powiedz mój Chwostku,

Co ci mówiła Staszka?

Popiel. Nic! Niepowiem.

Gierda. (*Głaszcząc go*).
Poczekaj trochę.... ja będę dla ciebie
Znów taką samą, jaką ongi byłam.

Popiel. (*Wziąwszy rękę Gierdy*).
Kiedy to będzie.....

Gierda. Będzie... powiedz Chwostku,
Co ci mówiła?

Popiel. Mówiła mi Staszka,
Że powinienem wezwać panów Stryjów,
Wypędzić ciebie, bo z ciebie dla kraju
Wszystkie nieszczęścia.... że ty arszenikiem
Nie tylko myszom, aleś i mnie straszna.

Gierda. Więc to mówiła?... ot patrzaj kuliczek,
Jak kruk zakrakał; lecz na swoję głowę!—
Trzeba ją było do zamku sprowadzić.

Popiel. Iść sama niechce, a wziąść jéj nie mógłem,
Bo nad przepaścią stojąc, pogroziła,
Że za najmniejszém zbliżeniem się ku niéj,
W przepaść się rzuci.

Gierda. Czy ją kto odwiedza?

Popiel. Nie wiém, zastałem przy niéj strzelców starych
Grzela z Mikułą.

Gierda A widzisz mój Chwostku!
Mówiłam tobie, że to nic dobrego,
Że ją potrzeba gdzieś zamknąć na wieży,
Że jéj źle z oczu patrzy—A ty swoje:
»Że to sierota, że na twéj opiece;«
Dałam jéj wolę.... a dziś ta sierota,
Chce naprzód żonę odpędzić od męża,
A potém, pana Brata w turmę, a sama
Na tron,—dobrawszy sobie na wspólnika

Którego z synów tych obrzydłych stryjów:
Ja ciebie kocham.....

Popiel. (*Do nóg padając*).

O Gierdo najdroższa!
Kochaj mnie tylko, a zrobię dla ciebie
Co każesz, co ty zamyślisz! oddalę
Wszystkie kobiéty, porzucę me pijaństwo,
U twego progu będę jak pies wierny.

Gierda. Zabaw się jeszcze, jak umiesz po swemu:
Ja cię ostrzegę, kiedy już masz zacząć
Swoją poprawę.—Wiele mam zajęcia,.....
Odejdź.—

(*Całuje w czoło Popiela*).

(*On odchodzi*).

Gierda. Ha odszedł... długoż.... długoż jeszcze muszę
Tak przed nim giąć się,... Idzie ku końcowi
Moja robota... Aleź na mych rękach
Co krwi, a jeszcze co krwi i łez będzie!....
Lecz za to dla mych następców zostawię
Jakie szerokie, jak spokojne państwo!
Jam piérwsza z piérwszych—kobiéta, a przeszłam
Tylu, co sobie nastrzępiwszy czuba,
Dzwoniąc w ostrogi—zwą się rycerzami.

(*Woła*.)

Różyca!

(*Różyca wchodzi śmiejąc się*).

Czy cię opiekłam?

Różyca. Nie, tylko
W kabacie rękaw się spalił.

Gierda. Dam nowy
Stokroć piękniéjszy... powiedz, co tam było?

Różyca. Czepiał się do mnie—to w gębęm mu dała.

Gierda. Na przeprosiny, dziś pójdziesz do niego.

Różyca. Królowo!... Pani!...

Gierda. Tego mi potrzeba,
Rób co ci każę.... a będziesz księżniczką.

(*Różyca odchodzi*).

Gierda (*Woła*). Fryc!

(*Fryc wchodzi*).

Gierda. Czy słyszałeś mą z Chwostkiem rozmowę?
Widzisz ta Staszka, coś ją zawsze bronił,
Warjatka, lepiéj, jaśniéj może widzi
Niźli my sami, chce zbuntować Chwostka,
Stryjów zawezwać; ale nie doczeka
Być na tych godach.... Niechaj do postrzyżyn
Będzie gotowo.... Jak wjadą Normani,
Daj mi znać zaraz. Niechaj się tu stawią
Dwaj moi strzelcy, Grzelo i Mikuła.

(*Fryc odchodzi*).

Gierda. (*Sama*). To ludzie prości, szczerzy, strzelcy celni:
Obchodziłam się z nimi zawsze dobrze,
Bom była pewną, że mi się przydadzą;
Za nadto głupi, by należeć mogli
Do jakichś spisków: a jednakże trzeba
Być z nimi bacznie:

(*Wchodzi Grzelo i Mikuła*).

Gierda. Powiedźcie mi szczérze,
Czy pobieracie swą roczną zapłatę?
Czy zawsze macie odzież przyzwoitą?

Grzelo. Jasna królowo! za Waszą Miłością
Zawsze to wszystko wiernie odbieramy.

Mikuła. Za stare służby... stare kości nasze
Mają z Miłości Waszéj, co potrzeba.

Gierda. Lubię was za to, że nie próżnujecie,
Że pilnujecie, aby nie zabrakło
Do mego stołu słomki i bekasa.

Grzelo. Znajdzie się nieraz dzik i łosie chrapy.

Mikuła. Znajdą się nieraz i niedźwiedzie łapy.

Gierda. Zdaje się mamy jesień wyśmienitą.
Chodzicie co dzień w pole?

Grzelo. Ot i dzisiaj
Byliśmy w kniei.

Gierda. W któréj stronie?

Mikuła. Obłożyliśmy Gopło.

Gierda. Cóż daremnie?

Grzelo. Prawie tak jakby nie było źwierzyny:
Aleśmy Staszkę księżniczkę spotkali.

Gierda. Gdzie?

Grzelo. Tam, na brzegu urwistym jeziora,
Jakoś nadbiegła.

Gierda. I cóż wam mówiła?

Mikuła. Za przeproszeniem, ot widno nieboga,
Że pomieszana, to prawi trzy po trzy.

Gierda. Cóż prawi ona?

Grzelo. Oto, Wasza Miłość
Stawisz arszenik od myszów, co psują
Wam złotolite żupany, kabaty:
Ona z łakomstwa mogłaby grudeczkę
Zjeść arszeniku, i otruć się na żal
Miłości Waszéj; mówiła że lubi
Przykładać ucho ku drzwiom, także plotki
Rozsiewać: że jest niewdzięczną...

Mikuła. Nieboga
Nie wié co plecie, prosiliśmy aby
Szła już do zamku, ale czemuś niechce.

Królowa. Gdybyście poszli i ją sprowadzili,
Dałabym za to sowitą nagrodę.

lo. Gdy król jegomość, nie mógł ją uprosić,
To jakże ona prośb naszych usłucha?

owa. To ją przywiedźcie po woli, niewoli.

la. Ona jak sarna po urwiskach skacze,
I niepozwala zbliżyć się do siebie,
A gdyby wreszcie zbliżyć się udało,
Jabym niepodniósł ręki na dziecinę,
Tak miłą sercu starych naszych królów,
Jabym śmiał wlec ją!

la. A ty dobry Grzela!
To i ty wolisz, aby Staszka z głodu
I chłodu gdzieś tam ginęła na skale,
Jak ją w tym zamku widzieć wśród dostatków?
Moi poczciwcy uważcie, że ona
Ma pomieszane zmysły, że w szaleństwie
Może się Bóg wié czego niedopuścić:
Gdybyż to była zwyczajna warjatka,
Niktby nie zważał na nią, ale ona
Mówi niekiedy do rzeczy: mogłaby
Naród podburzyć i stać się przyczyną
Strasznych zamieszek, nawet krwi rozlewu.
Otoż ją trzeba sprowadzić do zamku,
Czy chce czy niechce, żywą czy nie żywą.
Słuchajcie... macie pełny worek złota,
Umiecie celnie puszczać wasze strzały,
Niech się wam zdaje, że to był kuliczek,
Słomka, albo też coś tam podobnego.
A jak się ona wiesza nad przepaścią,
W przepaści zginie bez śladu; porwie ją
Gopło w swe fale, lub rozniosą orły
I sępy; a tak i ona zakończy
Tułaczkę, i my wolni pozostaniem
Od tych kłopotów. Weźcież sobie złoto.

lo. Królowo pani! strzelałem wiek cały
Ptastwo i źwierzę, ale na człowieka
Rąk niepodniosłem, i już niepodniosę,
Choćby mi skarby oddawano świata.

Mikuła. Smierć już przed nami; na taki uczynek
Trzeba młodego, coto ma przed sobą
I życia wiele, i rozum ladaco!

Gierda. Poczciwi ludzie, doświadczyć was chciałam,
Czy też w istocie jesteście takimi,
Za jakich dotąd wszyscy was trzymali;
Chcę wam powierzyć straż mojego skarbu;
Czas, by spoczęły wasze stare nogi.
Teraz spełnijcie po kufelku miodu
Za moje zdrowie; w latach wam rowieśny
Zagra po żyłach, serce rozweseli.

(*Nalewa jeden kufelek Grzelowi, drugi Mikule*).

Gierda. Cóż, dobry?

Grzele. Dobry, bo pono wytrawny.
Niechaj bogowie i szczęściem i zdrowiem
Odpłacą stokroć wam królowo pani!

Mikuła. Niechaj bogowie dadzą wam wiek długi,
I wszelką z wnuków, prawnuków pociechę.

Grzele. Głowa się kręci, ogień we wnętrznościach.

Mikuła. Biadaż mi! czuję, że wypiłem jady.

Gierda. Ha podłe draby! niechcieliście służyć
Na moje prośby, to idźcie gryźć ziemię!

Grzele. Przeklęta wiedźmo! ziemia twoich kości
Nieprzyjmie, zginiesz, jak jeszczę nikt w świecie
Nie zginął.

(*Pada i umiera*).

Mikuła. Suko czarna! oto za dzień,
Godzinę... sama wściekniesz się ze złości,
Z bolu,—och! piekło na ciebie, na ród twój,...

(*Pada i umiera*)

(*Gierda klaszcze w dłonie, słudzy wchodzą*).

Gierda. Wywlec tych zdrajców i rzucić to ścierwo
Psóm na pożarcie—słyszycie!?

zy. Słyszymy!

(*Wynoszą strzelców*).

el. (*Wchodzi, i wpatrując się w Gierdę mówi*):
Jaka ty Gierdo i śliczna i straszna!
Kiedy łagodnie na mnie spójrzeć raczysz,
Tém swojém czarném, powłoczystém okiem,
To tak mi lekko, tak na sercu błogo,
Że najszczęśliwszym czuję się być z ludzi;
Lecz gdy brwi zmarszczysz, a czoło nachmurzysz,
A z oczu twoich strzeli błyskawica,
Jak łysk od ostrza miecza, o! to wtedy
Przestrach ogarnia, i drżę jak ten listek.

da. (*Z uśmiechem*).
A jednak kochasz?

iel. Kocham, jak nikt w świecie
Niekochał więcéj i kochać niemoże.

da. I cóżeś dla mnie zrobił z téj miłości?

iel. Czyż mało tego, żem oddał ci państwo,
A z niém i siebie na twoje rozkazy?

da. (*Kiwając głową*).
Zrzuciłeś ciężar, boś nieczuł się zdolnym
Ponieść go daléj. Gdybym niepodjęła,
Toby go podjął któryś z wojewodów,
A może nawet który ze sług twoich.
Że nosisz głowę na karku, że jeszcze
Królem cię zowią, toś winien twéj Gierdzie!
Ona zabiega twoich stryjów dumie;
Sprawuje dom twój; rząd państwa prowadzi;
Ona ma karne wojsko na skinienie,
I umie w każdy wcisnąć się zakątek,
Przeniknąć wszystko, a nawet dogodzić
Wszystkim dziwacznym twoim urojeniom;
Od kogoż wzniosła ten zamek obronny?
Od najstraszniejszych twoich nieprzyjaciół—
Od myszy......

(*Śmieje się*).

Popiel. Smiéj się, i ja też tak samo
Możebym śmiał się Gierdo na twém miejscu.
Ale mysz dla mnie i jéj ostre piski,
Stokroć straszniejsze od gromów piorunu
I od oblicza złego boga Niji.
Wśród gromów będę stać z otwartą głową,
W płomienne lica Niji patrzéć będę
Bez trwogi: ale pisk myszy mnię wprawia
W bezwładność.

Gierda. Teraz niebójże się! niebój!
Mury i woda myszy niedopuszczą;
Ale swych stryjów bój się; oni zmowy
Robią i naród na ciebie buntują.
Dobrze, że umiém pomyśleć za ciebie;
I z jednéj strony wezwałam Saksonów,
Z drugiéj Normanów, i będziemy mieli
Roty orężne, a zdrajcy przed nami
Czołem uderzą. Chcesz, bym cię kochała,
Bym była twoją Gierdą, to przestań być
Chwostkiem, ale mi stań się jako Nija,
Strasznym i groźnym, a nawet przed Niją
Przysiąż, że spełnisz wszystkie me żądania.

Popiel. Przysięgnę. Nie tak posłuszną źrzenica
Skinieniom myśli twojéj, jak posłusznym
Będę na twoje rozkazy, na twoje
Skinienia, tylko chciéj kochać mnie Gierdo!

Gierda. (*Całuje go w czoło*).
Mój miły! Wkrótce zobaczysz, co z ciebie
Uczynię, jak cię wyniosę. Ale! ale!
Dwaj twoi strzelcy, Grzelo i Mikuła,
Byli na czele spisku: więc kazałam
Wymieść to śmiecie!

Popiel. Dobrze.

Gierda. Struć kazałam...
Ciężki mam kłopot z twą siostrzyczką Staszką.

Popiel. Ah!

a. Wszak radziła, abyś mnie wypędził
I wezwał stryjów. Wierz mi mój kochanku,
Straszny ten Chochlik! Czy ty wiesz, że Nija
Był przypowiedział: »Kto weźmie Kulika,
Weźmie Popielów państwo.« Nie napróżno
Twoja się Staszka kulikiem przezwała.

l. Przytnę ja skrzydeł temu Kulikowi,
Ja go oskubię.

la. O! nim się ty zbierzesz,
Ja ją z tych urwisk dostanę żywą lub—
Nieżywą. — Zgoda?

el. Zgoda! zgoda!!

la. Ty może sobie dzisiaj podochocisz,
Masz miodek, winko i grzeczną Różycę;
Idź, baw się sobie; jeśli dziś przybędą
Goście Normani, to my i bez ciebie
Zrobim Leszkowi postrzyżyny... No! idź!
Pohulaj sobie, bo potém już wara.

(Całując Gierdę odchodzi Popiel, z ociąganiem się)

da. (*Woła*). Héj Grzmilas!

(Wchodzi człowiek strasznéj postaci).

Mówią, że ty strzelasz celnie?

milas. Strzelam, lecz z pałką raźniéj mojéj ręce.

da. A kiedy trzeba strzału?

milas. To jaskółkę
Znajdę w obłoku.

da. A gołębia?

milas. Także.

da. A kanię, orła?

Grzmilas. Byleby strzał doniósł.

Gierda. A gdyby człowiek, stał sobie na skale?

Grzmilas. Niech tylko głowę moją zabezpieczą
I dadzą worek nie próżny; ze skały
Zsadzę dorazu i tego człowieka.

Gierda. Masz worek pełny, a z nim zapewnienie
Że ci niespadnie i jeden włos z głowy.
Masz dwie zatrute strzały, idź nad Gopło,
Tam na wyżynach odszukasz dziewczynę,
Co się po skałach, jak ta koza wiesza;
Nędzne stworzenie, wcale niepotrzebne
Już na tym świecie, a nawet ma siebie
Nie za człowieka, ale za kulika,
Otoż mi tego uprzątnij kulika,
A znów dostaniesz taki worek złota.

(*Grzmilas odchodzi*).

Gierda. (*Klaszcze*)
Fryc! Fryc!

Fryc. (*Wchodząc*).
Aleś krzyknęła, gorzéj niż na zbója!

Gierda. Przepraszam ciebie mój miły, jak będziesz
Królem, tak samo i na mnie zawołasz,—
A ja nie każę na siebie dwa razy
Wołać, odrazu będę u nóg twoich.

Fryc. Więc u nóg twoich i mnie być potrzeba?

Gierda. Nie! nie! być tobie zawsze przy mym boku.

Fryc. (*Na stronie*).
Przy boku żmii.

Gierda. Cóż słychać mój Frycu?

Fryc. Właśnie przybyli Normandcy książęta,
I chcą obecni być przy postrzyżynach,
Biskup Mersburgski przysłał swoich posłów.

la. A więc wybornie idą nasze sprawy.
Mieć będziem koniec prędki i pomyślny,
A nawet prędszy, jak się spodziewałam.

(*Wchodzi sługa*).

Od Mersburgskiego Biskupa wysłani
Ewangeliści, u progu czekają *).

la. Niech wejdą.

(*Wchodzą dwaj młodzieńce, a złożywszy niski pokłon królowéj, oddają jéj o, zawinione w jedwabną chustę, i oddawszy pismo stoją z założonémi rę-i. Gierda rozrywa pieczęcie i chciwie pismo czyta, jéj twarz blednieje, usta ją, ręce drżą, rzuca pismo na ziemię i woła*).

A cóż to biskup, drwinki sobie stroi?
I gdy mi przyrzekł dwa tysiące knechtów
Konnych i zbrojnych hartownym żelazem,
On was przysyła, was, liche młokosy!
I mówi, że mi za wojsko staniecie;
Że mój lud właśnie nie korda i włóczni,
Lecz potrzebuje was, puszczyki z lasu!
A precz mi za próg! héj, wyszczuć ich psami!!
Kijmi wypędzić!

n z młodzieńców.

Okropna kobieto!!!
Co ty zamyślasz? obacz się, czém jesteś?
Każesz szczuć psami i kijmi wypędzać?
Na znak, że nie tak, jak chcesz, wszystko możesz,
Niemą i martwą stać będziesz dopóty,
Aż wyjdziem z zamku, wolni i bezpieczni.

(*Młodzieńcy wychodzą*).

(*Gierda stoi zmartwiała, z otwartémi ustami, podniesioną ręką*).

. (*Sam z sobą*).
Na co ja patrzę? czego jestem świadkiem?...
To nie kobieta, lecz szatan wcielony.

---

*) Ewangelistami nazywano pierwszych opowiadaczy nauki Chrystusa.

Ona mnie kocha... i ponętą trumny
Ciągnie do zbrodni, jako ta gadzina
Swym wzrokiem ciągnie ptaszka do paszczęki.
Ona mnie kocha... bom dla niéj potrzebny,
Jako robotnik w piśmiennem rzemiośle;
Jako uczony; i młody i kształtny.
Ale być może młodszy i piękniejszy,
Uczeńszy:—i mnie dziś, jutro, za nogi
Psóm na pożarcie wywleką do rowu:
Jak tam stanęło, tak stoi to wid'mo...
Białe a straszne! czy to już martwica?

(*Zbliża się i zlekka dotyka ręki Gierdy; ona jakby zbudzona*).

Ach!.. jak mi zimno... zimno! gdzież są oni?
Co się to stało?.. wiedź mnie do sypialni...

Fryc. Ale cóż będzie z obrzędem postrzyżyn?

Gierda. Ja będę zdrową, prosić... prosić... gości.

ZMIANA TRZECIA.

Piast.

(*Świetlica obszerna, wybielona, naokoło ławy dębowe, stół pod ścianą naprzeciw drzwi, nakryty białém płótnem, na stole chléb, miód w misach, i dzbany, podłoga uścielona ajerem. Kilkunastu poważnych gospodarzy siedzą na ławach*).

Czternaście lat się z dniem dzisiejszym kończy,
Gdyście sąsiedzi w téj saméj świetlicy
Byli tak samo, jak dzisiaj, zebrani
Na postrzyżyny mego Ziemomysła.
Teraz ten pieczuch Dobromir nie daje
Ni mnie, ni matce pokoju, modląc nas,
Byśmy i jemu kosę już przycięli,
I przerobili dziwczynę na chłopca.

Dobromir. Na chłopca, potém na rycerza, co to
Szabelką tnie i konikiem toczy.

n z gospodarzy.

Kiedyś ty, synku, chłopem, to niemożesz
Nosić szabelki, ty pójdziesz do pługa.

omir. A jak tatunio zechce, a jak będę
Posłusznym, dobrym, to mi da szabelkę
Jasną, konika wronego i zbroję...

l gospodarz. Luba dziecina, ona jeszcze niewié,
W jakich my kleszczach, że z nas porobiono
Rataje, chłopy.

omir. A prawda tatuniu,
Że wy rycerza ze mnie zrobić chcecie?
Wy wiele, wiele rycerzy zrobicie...
Ja będę z nimi na przedzie, i ruszym
Na wielką wojnę i będziemy Niemców
Wyganiać z kraju.

(*Wybiega*).

(*Gospodarze się skupiają, jeden z nich mówi:*)

Słuchajcie!... W ustach dziecinnych czasami
Więcéj mądrości, niżli w łyséj głowie.

z gospodarzy.

Póty w narodzie niebędzie porządku,
Póki choć jeden Popiel pozostanie.
Kraj na dwadzieścia cząstek rozerwali
A ten z Niemkinią swoją i z Niemcami
Goduje, a tu pożary, grabieże!

ty. Gdzie to się podział stary ład, dostatek,
Gdzie pieśni, coto od świtu do mroku
Brzmiały po polach, po gajach, po domach?

ny. Ucichły, bo dziś ludziom nie do pieśni...

Niechby zaśpiewał kto, to w téjże chwili
I powróz z kółkiem spadłby mu na szyję.

wszy. A czy to było słyszaném przed laty,
By polowano na ludzi, a teraz

Polują jacyś złodzieje, co kradną
Ludzi i ciągną gdzieś ich na wyprzedaż—
Za morze.

Trzeci. Już to stało się przemysłem.

Piąty. Porwą ci brata, siostrę, nieraz żonę
Od dzieci; jeśli masz pieniądze,, możesz
Wykupić, ale jeśli niemasz, pójdą
Na kraj świata, a zkąd ich kości i kruk
Już nie przyniesie.

Siódmy. Mnożą się te zbrodnie,
Kiedy król milczy.

Kilku razem. Za jegoto wiedzą
Te straszne gwałty. On okupy bierze,
Albo przedaje co najurodziwszych
Zamorskim kupcom...

Dziesiąty. Ona się tylko nim chytrze zasłania;
Ona ogromne bogactwa gromadzi,
I cóś strasznego zamyśla; co nocy
Gdzieś pożar, rozbój, i co najmożniejsi,
Co najzacniejsi giną nagłą śmiercią
Z nieznanéj ręki. A ona to zwraca
Na woiewodów, na stryjów Popiela;
Ich kłóci z sobą.

Piast. My się nie kłócimy,
I niebędziemy kłócić się. Nieszczęście
Jakoś na nasze progi nie przéchodzi;
Więc poki jeszcze pora i swoboda,
Tego dziś szpaczka postrzyżmy. Ot czekam
Na Ziemowita mojego; za Gopło
Posłałem chłopca po naszego dziadka,
Aby mi chłopię to pobłogosławił.

(*Spoziera w okno*).

Kogożto wiodą Bogowie? jakowiś
Ludzie nieznani, a psy się tak łaszą
Tak się witają z nimi.

(*Wchodzą dwaj młodzieńcy mówiąc*):

Pokój temu
Domowi.

n z przybyłych.

Dobrzy ludzie, my jesteśmy
Posłańce z bardzo dalekiéj krainy,
Przyszliśmy niosąc pokój waszym królom,
Ale królowa lżąc brzydkiémi słowy,
Kazała z zamku wypędzić i wyszczuć;
Rączcie pozwolić nam kąta, gdziebyśmy
I sakwy złożyć i wypocząć mogli.

l.

Niechajże dóm mój będzie waszym domem!
Na co stać naszéj chudobie, to wszystko
Podzielcie z nami; znajdziem kąt spokojny,
W nim zabawicie póki wasza łaska:...
Pozwólcie z siebie zdjąć wasze tłumoki,
Niech moje córki nogi wam obmyją,
Posiłek proszę bierzcie z tego stołu.

(*Piast sadowi podróżnych na ławie, rozbiera ich: dwie córki przynoszą ynie z wodą, zdejmują z nich obuwie, i obmywając nogi ocierają białymi ıikami:*)

n z podróżnych.

Za cześć i miłość niech Bóg wam zapłaci
Czcią i miłością, jak kraj wszystkich braci.

l.

A dom, słomianą dotąd strzechą kryty,
Kruszwickich zamków niech przerośnie szczyty.

szy.

Niech z pokolenia idzie w pokolenia,
Z czcią twoich synów cześć twego imienia.

.

A córki wdzięczne wstydem i miłością,
Każdy dom, w który wejdą zaproszone,
Niechaj ożywią swoich cnót świętością.

szy.

A z stołu twego okruchy rzucone
Rość będą w chleby, i z jednego kęsa
Na setne sztuki rozmnożą się mięsa.

Oba razem. I naród cały, siedząc za twym stołem,
Wznosząc na rękach uderzy ci czołem.

Piast. Dzięki wam, dzięki! za wasze życzenia,
My niesięgamy w myślach tak wysoko,
Nam dosyć na tém, czém dzisiaj jesteśmy.

Obaj podróżni. Pokorni będą podwyższeni, pyszni
Zniżeni będą do ziemi; u Boga
Niepodobnego nic niéma.

(*Drzwi się otwierają, wchodzi Ziemomysł z Sędziwojem, którzy niosą omarłą Staszkę i na ławie składają*).

Rzepicha. (*Wchodząc*).
Bogowie!
Komuż ten śliczny kwiateczek mógłby w czém
Zawinić? i miałże bezbożnik sumienie,
Podnieść na niego rękę... Ach! wytryska
Z piersi strumyczek czerwony! ratujcież
Proszę, ratujcież!...

Piast. To rana od strzały,
A strzały niéma?

Ziemomysł. Jest, własnie ją trzymam.

Piast (*Wpatrując się w strzałę*).
To strzała zatruta; coprędzéj potrzeba
Wyssać krew z rany.

Ziemomysł. Jam ją wydostał
Z Gopła, ja wyssę.

Hala. (*Starsza córka Piasta*),
To ci nieprzystoi
Bracie, ja wyssę. Ojcze! wszakżeć dobrze
Mówię?

Piast. O dobrze! ty ranę wysysaj.

(*Hala wysysa krew z rany*).

(*Staszka otwiera powieki*).

Staszka. (*Nieprzytomnie, podnosząc głowę*).

Gdzie jestem?... zkądże?... ktoś ze skały
Zdmuchnął mnie w przepaść i w przepaść leciałam,
Niemając skrzydeł... choć jestem kulikiem;
A wszystko z łaski Gierdy... zkąd krew?... pewnie
Tak dziki jastrząb szponem mnie zaranił...
Biada sierocie w złych domu!!

Jeden z podróżnych. (*wskazując ręką w górę:*)

Tam Ojciec
Ma drzwi otwarte dla płaczących sierot.

Drugi. Wlewa pociechę w serca utrapione.

Pierwszy. Latorośl słaba w bujne wzrośnie drzewo.

Drugi. I ubierze się, na podziw dla świata,
W cudne owoce.

Staszka. (*Wpatrując się*).

Co za wdzięczna mowa!...
Goście nie z naszéj ziemi, z lic waszych
Bijące światło rozjaśnia mi oczy,
Spokoi serce... ach błogo mi, Boże!

(*Schyla głowę i usypia*).

(*Dwaj podróżni wzniósłszy ręce do góry, modlą się pocichu; żegnają krzyżem Staszkę, i jeden z nich mówi*):

To Staszka, siostra Popiela waszego,
Sierota, była Gierdzie na zawadzie;
Chciała ją zgładzić trucizną, lecz ona
Uszła jéj z oczu, chroniąc się w tych górach.
I tu ją znalazł nasłany zabójca,
I przeszył piersi jéj strzałą zatrutą.
Tyś uratował ją dobry młodzianie!
Tyś ocaliła ją dobra dziewico!...
O Piaście! ciągle rośnie nad twym domem
Łaska Niebieska; za życie poczciwe,
Za cnoty, które w twym domu wzrastają,
Czeka się wieniec tu i w przyszłém życiu.
To Ziemomyśle małżonka dla ciebie,

Jéj syn oświeci światłem Boskiéj wiary,
Cały ten naród Polski. Amen! Amen!

(*Znikają podróżni.*)

(*Stoją w zadumaniu wszyscy obecni. Kortyna zapada.*).

ZMIANA CZWARTA.

Postrzyżyny.

(*Sala rycerska, a w niéj zebrani Normanowie: wchodzi Gierda ze swoim synem Leszkiem.*)

(*Gierda, obwiódłszy okiem dokoła:*).

Miło mi witać was mężni rycerze,
I tak zebranych, że do tego grona,
Ani się jeden niewcisnął tuziemiec.
Stary rodowy związek, co połączał
Tutejszych władców z dzielnymi Normany,
Już się nadwątlił i przerywał prawie
Przez czas, miejscowe wpływy i niedbalstwo
Samych że władców;—jam go odnowiła,
A nawet powiem więcéj, żem na dobie
Całkiem to państwo w Normandzkie przetworzyć.
Ród mego męża liczny, a nikczemny,
Rozdarł je sobie na dwadzieścia części,
A przy mym mężu ledwie pozostała.
Cząstka przewagi.—Mój mąż, wyznać muszę,
Przerósł ich wszystkich w swojéj nikczemności;
Lecz w moje ręce wzięłam wodze rządu,
I dziś tu wszystko idzie po méj woli.
Naprzód Rycerze dopełńmy postrzyżyn,
Potém o sprawach państwa pomówimy.—

(*Zwracając się do Rycerza Gielona*)

Do was Gielonie, jako najpiérwszego
Wiekiem i sławą, rodem i zasługą,
Zwracam się: racznie do tego chłopięcia.

Przemówić, jako najstarsi z Rycerzy;
Niechby urosłszy i w lata i w siły,
Wspominał wasze nauki i został
Takim rycerzem, jakim wy jesteście.
Oto nożyce, pod któremi padną
Te złote pukle, aby się na skroniach
Silniéj trzymały i hełm i korona.

lelon. (*Powstawszy, po chwilowym namyśle mówi:*).
Biedny ty synu, gdy za życia ojca
Sierotą jesteś; kiedy do rycerstwa
Nie on, a matka ciebie przyprowadza....
Kiedy nożyce, nie ojca dłoń dzielna,
Ale matczyna podaje! O biedny!
Biedny! bo jeśli cię kiedyś zapyta
Który z rycerzy, byś mu opowiedział
Czyny swojego ojca, cóż opowiesz??
Otoż pamiętaj, bądź mężem i z ducha,
I z ręki, by ci niekazano kądziel
Prząść gdzieś za piecem. Niechaj twoja żona
W kuchni panuje, a ty z rycerzami
Sam po rycersku rozprawiaj i działaj.
Niech naród w tobie uczci Ojca, Pana,
By kiedyś śpiewak, głosząc twoje dzieje,
Rzekł: » byłto dzielny mąż sercem i głową,
Fartuch niewieści nic przed nim nieznaczył;
Niewinność, prawda, miały w nim obrońcę«......
Ucinam piękne twe pukle, jak godło,
Że już zerwałeś ze wszelką miękkością,
I że zacząłeś od dziś rość na męża.

(*Odcina pukle i oddaje matce*).

Schowaj je matko sobie na pamiątkę,
Że miałaś dziecię--syna.

lierda. (*Przerywając.*) Odejdź synu!
Kieliohem zaczną bawić się Rycerze,
Tyś jeszcze nadto młody do kielicha.

lielon. Jeszcze mu miałem o czémeś powiedzieć

lierda. Aż nadto było już téj gadaniny.....

Gielon. Wcale nie nadto; czasy się zmieniły,
Już nie jesteśmy, czém byliśmy wprzódy,
Rozbojnikami na morzach i lądach.
Zmienił się stary obyczaj, i dzisiaj
Już być niechcemy mieczem w dłoni kata
I za grosz służyć gwałtom i rozbojom.
Kto dziś do wypraw wojennych nas wzywa,
Ten musi jasno myśl swą wypowiedzieć,
A w niéj godziwe pokazać zamiary.
Otoż Królowo, jasno nam wypowiedz,
Poco nas wzywasz?

Gierda. Rozumiem powinność
Rycerza, walczyć mężnie, a kto jego
Ramie dla siebie bierze, odpowiada
Za cel i skutki.—Ja was przyzywałam
Dla moich celów; za wasz trud zapłacę
Lub moim groszem, lub udziałem ziemi,
Jaką zdobędziem na przeciwnéj stronie.

Gielon, A któż tą stroną?

Gierda. Któż?.... Stryjowie męża.
Owi nędznicy, co śmią mojéj władzy
Urągać; co swe niezgody i mordy
Szerzą po kraju; z którymibym chciała
Koniec uczynić.

Gielon. Cóżto nam mówicie?
Oni posłuszni dla was, aż do zbytku;
Dzielą się z wami swym ostatnim groszem,
Synów oddali wam na zakładniki
I czegoż więcéj?

Gierda. Jak widzę, wy lepiéj
Me sprawy wiecie, niżeli ja sama!
Możeście nawet już z nimi związani,
Jakąś tajemną umową i zmową.
A może nawet w was mam już przed sobą
Zawziętych wrogów?

Gielon. Już lat siedemdziesiąt
Jestem rycerzem, z tą szablą przy boku.
Mogła ma szabla zawieść moją rękę,

A ręka szablę, lecz jeszcze i razu
Słowa me prawdy, ust mych nie zawiodły.
Jak myślę mówię, a jak mówię robię.
Nie Stryjów waszych, lecz jestem obrońcą
Prawdy, słuszności.—To wyście nie syci
Władzy i państwa; to was piecze w oczy,
Że ktoś wam równy prawami być może,
Kiedy wy sobie i swemu synowi
Tron gotujecie, że na nim zasiądzie
Ktoś od szarego końca.—Jako najstarszy
Wiekiem, i pewne mający zasługi
W rycerskiém kole, a nawet i świecie,
Królowa Gierdo! ja was upominam
Po raz ostatni, zmieńcie swoje rządy,
Przestańcie waszych zdrad, pożog i mordów,
Bo już nad wami wisi sąd i kara.

da. I ktożto sądzić i karać mnie będzie?
Wprzód ja ukarzę twój język, o głupi
Starcze, co sobie zanadto pozwala!

on. Ludzie, co słońce obrawszy za godło,
Chcą być jak słońce czyści i promienni.
Starsi Normandów Książęta narodu,
Przysięgli ścigać miecza, ognia karą
Wszelaką zbrodnię w Normandzkiém plemieniu,
By północ, którą biały śnieg okrywa,
Była tak czystą, jako te jéj śniegi;
By zagnieżdżone zbrodnie wśród Rycerstwa,
Rycerskim cnotom ustąpiły miejsca.
A więc Królowo! od Normandzkich Książąt
Do was, co ród swój z Normandów wiedziecie,
Przybyłem z strasznym nakazem, abyście
Zmienili rządy, zbrodni zaprzestali!

(...rda uderza nogą o ziemię,—zapada się podłoga, a z nią walą się w podziemie Rycerze.)

da. Mieli w połapkę wpaść Stryjowie męża,
Normandzi wpadli... trochę dziwna zmiana.

(Klaszcze w dłonie.)
(Wbiega dwóch zbójców).

Lećcie mi na dół.... i głowy Normanów
Tłuczcie na miazgi.....

(*Ci znikają.*)

(*Gierda przechadza się, słychać jęki zpodziemia.*)

Gierda. (*Woła.*) Ratunku! ratunku!

(*Zbiega się różna służba.*)

Co za nieszczęście!... jakaś straszna zdrada!
Tylko opieka Bogów nas ocalić
Mogła.—Ratujcie najzacniejszych naszych
Przyjaciół, może który jeszcze żyje?
Gielon! szanowny Gielon!!

(*Słychać jęki.*)

Czy słyszycie?
Ratunku! tam, ach, tam jęczą, ratunku!

(*Zapada Kortyna.*)

ZMIANA PIĄTA.

Bożyszcze Niji.

(*Duża ciemna izba sklepiona. Gierda siedzi w zamyśleniu, przed nią olbrzymiéj postaci, w czarném odzieniu, kapłan Niji*).

Gierda. Złoto i srebro niosę na ofiarę
Twoiemu Niji, najdroższe kadzidła
Rzucam przed nim na ogień, i kolana
Moje uginam; ale i z mych modłów,
I moich ofiar, i z pokory mojéj
Niemam korzyści. Coś się łamią
Moje zamiary; pomysł na dojrzeniu
W nic się rozwiewa. Pytam raz ostatni,
Będzie co z tego?

Kapłan. Będzie nie zadługo...
Oczy się Niji iskrzą tak, jak nigdy

Iskrzeć niezwykły; a więc Bóg rad bardzo
I z ofiarnika i z ofiar. Niebawem
Wielkie się dziwy spełnią. Twe zamiary
Uwieńczy skutek; ród Popielów zginie
Do szczętu; tylko o was jednych będzie
Świat wiedział, mówił.

la. Przed swym czarnym bogiem
Zapalaj ognie. Niechaj postać jego
Straszną i groźną będzie!

(*Kapłan odchodzi*).

'da sama). Siebie zwodzę,
A i mnie zwodzą, i do celu mego
Idę po prostéj, lecz okropnéj drodze...
Czegoż okropnéj?... oni poginęli
Dniem, rokiem pierwiéj, jak poginąć mieli;
Dzień, rok, lat dziesięć... to jedna minuta!...
I cóż stracili?... niepokój, boleści,
Zawody ciągłe;—może to pokuta
Dla nich w téj śmierci tak nagłéj się mieści...

(*Z uśmiechem*).

Szczęśliwi!... widać dla nich naznaczone
Niebo... ja ziemską dostawszy koronę,
Muszę ją zdobić, rozszerzać, pomnażać,
I niebo sobie tu—na ziemi stwarzać.
Tamto nie dla mnie... Byłam chrześcjanką,
Wszak mi kazano kryć me chrześjaństwo..
Skryłam je, może zanadto głeboko...
Nadto przezornie...

(*Wchodzą zbójcy*).

Cóż tam moje szczury?
Ciasno wam bardzo było pod podłogą?

ı ze zbirów.

O ciasno! gdyby, jak ten Gielon stary,
Był jeszcze taki drugi olbrzym mocny,
Wszystkieby na się obalone belki

Strzęśli jak słomę i razem wyrnęli
Jako ten biegły nurek z pod topieli.
Aby się stary Gielon niemocował,
Strzaskałem goleń i zaraz szwankował,
Przysiadł, a na nim siadły belki, tramy,
Jęknął i ucichł, i zda się statecznie
Będzie już siedział, będzie milczał wiecznie.

Gierda. (*Dając worek złota*).
Macie na piwo, lecz ręce obmyjcie;
Nieprzyzwoicie z takiémi rękami
Stać przed królową...

(*Odchodzą*).

(*Strzelec wchodzi*).

Witaj mój Łuczniku!
Coż twój kuliczek?

Strzelec. Z piersią przestrzeloną,
Upadł w głębiny Gopła i tam ryby
Nad nim się modlą, białe wronki płaczą.
Niemogąc stanąć obok, wystrzeliłem
Przez parów; strzał był i silny i wprawny;
Ptaszek się zwinął i swą główką na dół
Poleciał w Gopło, które rozigrane
Zaraz go setną przerzuciło falą.

Gierda. Może nieprawdę mówisz, więc mi przysiąż
Zaraz przed strasznym Niją, potém będziesz
Chodzić do koła nad brzegiem jeziora,
I patrzeć pilnie, jak ta wydra w wodę,
Aż mi dostawisz Staszkę, tu przyniesiesz,
Abyśmy nad nią tryznę odprawili.

(*Podnosi się zasłona i pokazuje się czarny posąg Niji z błyszczącémi ocz. Ogień wybucha*).

Gierda. (*Do strzelca*).
Mów: »Nijo! boże i straszny i mściwy,
Co piekła ognie masz we swych wnętrznościach,

»Co piekła jady masz we swoim wzroku,
»Co piekła zemstę masz we swojem sercu,
»Zrzuć na mnie swoje bole, jady, ognie.
»Niechaj me oczy od płaczu wycieką,
»Niechaj me ciało będzie jedną raną,
»Niechaj me kości, na przetak stoczone,
»Same się łamią od swego ciężaru—
»Jeśli ja w mowie, lub myśli mam zdradę!«

(*Strzelec odchodzi*).

(*Gierda trzy razy klaszcze w dłonie, Popiel wchodzi*).

Słuchaj i patrzaj na strasznego Niję!
Czy widzisz, jak on swe oczy przewraca,
Jak się lubuje w swym ogniu straszliwym?

(*Płomień siny wybucha na około posągu*).

Ty drżysz, a jednak bóg kary i zemsty
Tak się raduje, i gotów w téj chwili
Wszelakie swoje łaski na nas zlewać.
Cóżbyto było z tobą, gdybyś boga
Oblicze ujrzał we srogim rozgniewie?
Twojeby oczy wysechły ze strachu,
Serceby pękło, jak struna pod korbą;
A jednak taka straszliwa potęga
Słucha méj woli.

(*Posąg schyla głowę,—ogień wybucha*).

Gierda. Więc moich rozkazów
Słuchaj i spełniaj.

Popiel. Będę słuchać, spełniać.

Gierda. Dla nas, dla syna naszego nie trzeba
Tych twoich stryjów, z ich całém plemieniem;
Więc muszą wszyscy ustąpić nam z placu.
Posłałam po nich, aby się zebrali,
Donosząc, żeś ty śmiertelną chorobą
Złożon, co chwila już już dogorywasz;
Że pragniesz wszystkich ostatni raz widzieć,

I ich pożegnać: że skonać niemożesz
Póty, aż wszystkiéj nie ujrzysz rodziny,
I nie przeprosisz. Z drogi powrócili
Moi posłańce. Cała ta hałastra
Zaraz się zbierze. Ty idź i zaczynaj
Swoje konanie na rozkoszném łożu;
Ja kosy moje rozpuszczę i zacznę
Moje lamenta. Pamiętaj mój miły!
Że to ostatnia igraszka, że po niéj
Już będziesz panem od morza do morza,
Że wszystko głowę przed tobą pochyli,
Że wszelkie mienie wszystkich twych poddanych,
Że wszystkie dzieci wszystkich twych poddanych
Twoją własnością; i że krew w ich żyłach
Dla ciebie płynie, dla szczęścia twojego,
Dla twéj rozkoszy. A więc mężu miły!
Przysiąż, że będziesz méj woli posłusznym..

Popiel. Przysięgam! Przysięgam! Przysięgam!!

ZMIANA SZÓSTA.

Popiel i Zdrada.

(Duża wspaniała komnata królowéj Gierdy. Ta chodzi i ręce zaciera,—przy niéj Fryc).

Gierda. A co? już wszyscy zebrani?

Fryc. Tak, wszyscy.

Gierda. Wszyscy, z mamkami, z niańkami?... trza było
Regestr z uwagą przeczytać, przepatrzeć,
Czy też są wszyscy? bo ten nasz król Popiel
Nie może skonać (*smieje się*) bez wszystkich, a wszystkich.
A oni tacy na jego męczarnie
Litośni.. Głupcy! już w swych mozgownicach
Kują opiekę dla mnie i dla syna;
A mienie króla dzieląc w swojéj myśli,
Bawią się mile, jak owe psy gończe

Zającem, co go przez sen gonią. Czas już
Skończyć igraszkę... Wprowadź mi ich tutaj.

(...yc otwiera drzwi, — wchodzi dwódziestu stryjów *Popiela, z żonami i dziećmi).*

...da. Witajcież drodzy stryjowie, stryjenki!
I wy, o mili bracia i siostrzyczki!
I wy, o śliczne, nierozkwitłe pączki,
Bratanki nasze!!.. o! jakżebym rada
Razem was wszystkich do mojego serca
Przycisnąć mocno i oblać was łzami
Wdzięcznéj radości i miłości mojéj!
Coto za cudny widok! pokolenie
Całe, jak ten dąb rozrosły w konary;...
Błogosławieństwo bogów jak tu widne!!
Jakie szlachetne, jak piękne postacie!
Błękitno-okie! białe! złoto-włose!
Jakato w waszych obliczach powaga,
Stryjowje moi i stryjenki moje!
O róże mleczne! o siostrzyczki moje!
Lilije białe! jakżeście wyrosły,
Tak lekkie, wiotkie!... i gdzieście nabrały
Tych ogniów w oczy!... A wam braciszkowie,
Nie miejsce w naszych zapadłych zaściankach,
Lecz na turniejach, na cesarskim dworze;
Tam wasze męzkie, wyniosłe postacie,
Wasze królewskie oblicza i czoła,
Mogłyby siebie godne znaleźć miejsce,
Laurowe wieńce, pochwały śpiewaków,
Serca królewien, a może i trony;
A wyż kwiateczki, jabłuszka czerwone,
Pyzate buzie, z dołkami w jagódkach,
Jakiż wasz miły uśmiech i wejrzenie!

(Obchodzi w około, ściska i całuje).

Czemuż nieznałam was pierwiéj...: ileżby
Cierpień i nieszczęść ujęliśmy sobie!...
Mówiono, że mnie mój mąż całkowicie

Oddał się, że mnie słucha i za radą
Moją we wszystkiém idzie... Ja tak samo
Myślałam sobie; ale serce ludzkie
Przepaść tajemnic. Któż się mógł spodziewać,
Że był mężowi mojemu ktoś milszy
Nademnie, który co chciał to z nim robił?
Tym ulubieńcem był Normanda Gielon!
Lecz śmierć Gelona dopiero odkryła
Ten ich serdeczny, ale dla nas zgubny
Związek... Normanda, chcąc zawłądnąć naszém
Państwem, rozbijał po drogach i rzekach,
Chwytał lud, aby w zamorską niewolę
Go wyprzedawać: a brzemie téj winy
Tak umiał zwracać, że na mnie spadało.
Ja grosz publiczny szanując, skąpiłam
Dla siebie, aby na kraju potrzeby
Zawsze wystarczał; on chcąc mego męża
Mieć po swéj woli, dawał mu pieniądze
Na wszelkie zbytki, na wspólną rozpustę.
Jakże mi smutno, że muszę przed wami
Wyjawiać wszystko, co powinnam była
Pokrywać wieczném milczeniem!—Już Gielon
Myślał, że jego życiu końca nie ma.
Lecz o jak dziwne, straszne sądy Bogów!
Śmierć go mijała na lądzie, na morzach,
W wojnach morderczych, a wzięła go sobie
W domie bezpiecznym. Warto byście poszli
Obejrzeć kłody dębowe, co pękły
Pod samym zbrodni ciężarem... Gielona!
Śmierć przeraziła tak mojego męża,
Że zapadł w słabość okropną śmiertelną
I ani skonać, ani żyć nie może.
Wieszczbiarze głoszą, że póty nieskona,
Póki całego rodu niezobaczy,
I nie przebłaga tak za jego własne,
Jak i za innych winy. I ja sama
Całując ręce wasze i ścieląc się
Pod stopy wasze, błagam was, przebaczcie!
I jemu i mnie.... przebaczcie! przebaczcie!

Wszyscy. Przebaczamy! przebaczamy!

...arszy z Wojewodów.

Czujemy wielkość waszego nieszczęścia
I bolejemy jak najbliżsi krewni....
Co było przeszło, i niech w niepamięci
Wiecznéj zaginie. Zabrał Gielon z sobą
Nasze cierpienia, łzy, to niechże dzisiaj
Zakwitnie u nas i miłość i zgoda.—
Pragniemy zdrowia dla naszego Króla,
Pragniemy szczęścia dla naszego Kraju!...
Bogom stokrotne złożymy ofiary,
Aby Król wrócił do zdrowia, a w śród nas
Szczęście rozkwitło, i abyśmy znowu
Radość dzielili na Kruszwickim dworze,
Jak to bywało tu za ojców naszych,
Za dziadów naszych!

...scy wołają. Dajcie to Bogowie!
Dajcie to Bogowie!

(Podnosi się zasłona. Na wspaniałém łożu leży król Popiel, blady, z ręką ...zgniętą, na karmazynowéj poduszce.— Wchodzą Stryjowie z żonami i dziećmi —Całują rękę królewską, i stają w około łoża).

...a. Jak chciałeś Królu! masz oto przy sobie
Kochanych Stryjów z żonami i dziećmi,
I przebaczają Tobie wszystkie twoje winy,
I modlą bogów o życie dla ciebie!

...l. Zdrowie i życie nie dla mnie! stężały
Już moje nogi i ręce i oczy:
Ledwie troszeczkę życia jeszcze czuję
W sercu i w ustach, pewnie na to tylko,
Bym czuł, że jestem trupem, i niemógł nim—
Zostać; więc proszę was, puśćcież mnie z tego
Świata, przebaczcie wszelkie moje winy!

...scy. Przebaczamy! Przebaczamy! Przebaczamy!

...l. Dzięki wam, dzięki!—a więc niechaj zgody
Puhary krążą z miodem po praszczurach;
A na znak szczéréj jedności, miłości,
Niech każdy szczérze do ust je wychyli.

Gierda. (*Puhary nalewa i każdemu po kolei do ust podaje, mówiąc:*)

A pijcie proszę, a szczérze, jak chcecie,
Aby król powstał zdrowy i szczęśliwy.

(*Wypijają*).

Jeden z stryjów. Zdrada! truciznę piliśmy!... giniemy!...
Gierdo! Popielu! przekleństwo na was
Wieczne!... wieczne!... wieczne!....

(*Jeden przy drugim upadają w okrąg łoża*).

Gierda. (*stojąc na podniesieniu liczy trupy i klaszcząc w dłonie mówi:*)

Precz z nimi w Gopło! kamienie do głowy!
Niech idą na dno i siedzą z rakami (*z uśmiechem*)
Będziem dopiero tuczne raki mieli!

(*Popiel wyskakuje z łoża*).

Gierda. Witaj mi Królu!!

Popiel. To tyś Królem Gierdo!!

ZMIANA SIÓDMA.

Kara.

(*Wybrzeża Gopła,—widna wieża zamkowa,—lud tłumnie zebrany rozmawia.*)

Jeden z ludu. Po mieście głoszą, że rozbił się statek
I utonęli wszyscy Popielowie....

Drugi. Oprócz najgorszych.

Trzeci. Ciszéj! podsłuchują.

Czwarty. Niech podsłuchują: alboż to nieprawda,
Że sami struwszy Stryjów potopili?
A teraz głoszą, że statek się rozbił.

Piąty. Dziś chcą te trupy na brzeg powyciągać,
Sprawić im pogrzeb.—

Szósty. Bo Królowéj Pani
Niemiło, że to szarych trupów stado,
Codzień pod zamek podpływa, i co już
Niewyrabiali, aby je wyłowić,
A one zawsze, nie ujęte niczém,
Lub na dno idą, lub się rozsypują
Precz po jeziorze. Teraz czarownika
Jakiegoś mają, co będzie zaklinać
I wywoływać trupy na wybrzeże,
A tu ich pięknie na stosie spalimy:—
Nibyto pogrzeb czci, a wrzeczy saméj,
Aby Królewstwu leźć przestali w oczy.

Siódmy. To dziw nad dziwy! ja byłem na łodzi
Blizko topielców... i małom nie skonał...
Wystawcie sobie osiemdziesiąt trupów
Splątanych z sobą, jak ajeru ziele!
Po przedzie stary z osiwiałą brodą,
Podniosłszy głowę i rękę do góry,
Zdaje się wołać o pomstę do nieba;
A wszyscy za nim, to głowy podnoszą,
To ręce; lica ich zczerniałe, widać,
Że jad je spalił; na ciele śniedź siwa,
Jaka na chlebie zapleśniałym bywa.—
Gdy płyną, ryba przed nimi ucieka,
Ptastwo precz leci.... Niech się tylko ruszą,
To woda z głębin dna wszystka się wznosi,
Toczy bałwany, jak wieże; gdy stoją,
Jezioro stoi, jakby szyba lodu.—

Wbiegają pachołkowie królewscy i pół-głosem pomiędzy ludem mówią: »ot Król z Królową! krzyczcie, niech żyją!).

(Wchodzi Gierda, za nią Król gdzieniegdzie lud się odzywa.)
Niech żyją! niech żyją! niech żyją!

(Pachołkowie Królewscy zgięci, szturchając lud krzyczą.)
Niech żyją! niech żyją!

Gierda. Dzięki wam dobry narodzie! jeżeli
Kiedy miłe nam były te wołania
Wasze, to dzisiaj. Och! bo dziś jesteśmy
Smutniejśi, niżli bywaliśmy kiedy!....

Trzebaż nieszczęścia, by cały ród Króla
Płynął na jednym statku i aby ten
Zatonął tutaj w bezpiecznej przystani,
Pod wieżą naszą, cośmy zbudowali
Jako strażnicę od rozbić! Trzebaż nam
Te święte zwłoki wydostać, by dłużéj
Nie były wiatrów i fali igryszkiem;
Sprawić im pogrzeb uczciwy; niech wonny
Płomień ze stosu cedrowego strzeli
Pod niebo.—

(*Zwracając się do stojącego Kapłana Niji mówi dalej.*)

Czarny Kapłanie strasznego
Niji! zawczwij, niechaj w imie Bogów,
Te ciała zdążą ku temu brzegowi!

Kapłan Niji woła.
Ziemio do ziemi! córko do swéj matki
Przybywaj! w mokrym żywiole nie tobie
Miejsce!... zaklinam po trzykroć, przybywaj
Na twardą ziemię!... niech ogień czerwonym
Obwieje ciebie płaszczem i poniesie
Ku gwiazdom. Jeśli was złe duchy wody
Ciągną ku głębi, a więc wam wyrzucam
Siedem kłów wilczych, siedem szponów rysich,
Siedem toporów—wyrąbcie się nimi!
Wydrzyjcie od nich i przypłyńcie ku nam!
Wzywam was hukiem gromu, który budzi
Z snu zimowego ziemię, hukiem wiatru,
Który na Gople łamie lód zimowy.
Zbudźcie się! ruszcie! i przypłyńcie ku nam!...

(*Zaczyna burzyć się jezioro; trupy podpływają ku brzegowi, w kierunku wieży.*)

Głos z ludu. Patrzcie no patrzcie, jako ten spław cały
Ciągnie ku wieży, a siwy naprzedzie!

Popiel do Gierdy. Umieram z strachu, wytrwać tu nie mogę,
Skryję się w zamku.

Gierda. Idź! ale powoli,
Bo tłum ten z ciebie naśmiewać się będzie,
A ja tu śmiało będę stać do końca.

(*Popiel odchodzi.*)

ić wrzask od strony jeziora; jeden z ludu przybiega i mówi do Królowéj

O Miłościwa Pani! odwróć swoje
Oczy! oddal się!

Dla czegoż mam się ztąd
Oddalać?

z przerażeniem.

Fala wynosi na brzegi
Nie trupy, ale tylko kształty trupów;
Jakiś mech siwy, a we którym siedzą
Jak te w ropusze ropuszki, w pająku
Pajączki, tak tam krocie kroci myszy....

Jakby z gorączki prawisz jakieś bajki.
Pójdę, i sama zbliska się przypatrzę.

dzi Gierda Lud coraz się rozbiega i skupia w największym niepokoju; razem podnosi się krzyk straszliwy; niektórzy biegąc wołają:)

Co za okropność!—o dziwy! o dziwy!

z ludu. I cóżeś widział?

Widziałem.... widziałem
Trupy rozrosłe w krocie, w milijony.
Myszy, we chmurę myszy! patrzcie, patrzcie,
Królowa bieży do zamku, a za nią
Ta chmura pędzi, tłoczy się do zamku!

(*Widok wieży nad Gopłem.*)

da. Czy to mech obrósł tę wieżę?... obsiadły ją
Tak myszy, pnąc się na gzemsy. na okna;
Na kominy... ach! patrzcie! patrzajcie!
Któżto się czepia po kratach tych okien,
I wstrząsa niémi i gryzie je wściekle?....

ziecka z zakraty.

Puszczaj mnie matko, niech w górę wylazę!....
Na coś kazała kuć tak gęste kraty?!

Zasłoń mnie!... niechaj myszy gryzą ciebie!....
Jam nic niewinien. Zasłońże mnie matko!!

Gierda. Ja cię zasłaniam, ale moje ciało
Już pogryzione. Och, biada nam!. biada!

Leszek. Czemu, ty matko, bronić mnie już niechcesz?...
Przekleństwo tobie! och biada mi! biada!

Popiel. Czemu się Gierdo nieśmiejesz z tych myszy?...
Czemu nie wzywasz Niji, by nas bronił?!!!
Kłaniał się tobie, niechże się pokłoni
Myszom, by z ciała nas nierozbierali!!
Przekleństwo tobie! przekleństwo! przekleństwo! ...

Starzec z Ludu. Patrzajcie!... oto rozpięto na kratach
Trzy kościotrupy, jak trzy nietoperze...
Prędko ich z ciała obrał tłum żarłoczny.
Niebo tak jasne, a grom!—to grom Bogów,
Co karze zbrodnie!

(*Uderza grom w wieżę i ją rozwala.*)

Starzec z Ludu. Wieża runęła!
Jedyny pomnik nieczystych rąk dzieła,
Runął jak oni! W bogactwie i pysze
W Lechii pierwsi, Popiele wielmożni;
W czoraj tak jeszcze świetni, wszystkim groźni
A dziś—nicestwo i igrzysko mysze!

ZMIANA ÓSMA.

Obiór Piasta.

(*Na polu lud tłumnie zebrany*)

Jeden z ludu. Straszne się dziwy spełniły! okropna
Zbrodnia okropną karę otrzymala!

Drugi. Trzebaż, by myszy, gdzieś z całego świata
Tu się zebrały na to, by skosztować

Mięsa Popielów! czy było w nich tyle
Jadu, że się nim potruły do szczętu?...
Czy grom je wybił?

Trzeci. Prawda, jakby wymiótł.
Całe mrówisko, jak w ziemię zapadło!

Czwarty. A jednak po niém zostanie pamiątka.
Strasznego głodu.

Piąty. O! mów, nie po myszach
A razem z niémi. Cóż one zniszczyły?
Cóż więcéj zjadły, krom jednych Popielów?...
Posuchy zjadły nasze urodzaje!

Szósty. Kawałka chleba! nigdzie ani dostać
I gdyby jeden Piast nas nie ratował,
Nie uradziwszy nic, odeszlibyśmy.

Siódmy. Patrzajcie, oto znów kosze roznoszą,
Z chlebem i mięsem.

Ósmy. I każdy z nich bierze,
A zawsze pełne.

Dziewiąty. Snać święte to kosze
Co chlebem darzą...

Dziesiąty. I święty ten człowiek
Co te ma kosze.

Wielu razem. Na co nam te rady?
Szukamy króla, a ot wśród nas człowiek
Brat nasz, a który i Bogóm jest miły
I ludziom miły. On brat nasz po sercu,
Po mowie; on krew z krwi naszéj, on z kości
Kość nasza. On i biedował tu z nami,
On nas dziś żywi.

Wszyscy. Piast! Piast naszym królem,
Idźmy do niego; on królem! on królem!

(*Dóm Piastu.—Lud go otacza i woła*).

Piast naszym królem!... chcemy królem Piasta.

Piast. (*Wystraszony wychodzi*).

Co znaczą bracia te wasze wołania?
Radźcie rozumnie i wybierzcie sobie
Króla, któryby już położył koniec
Tylu nieszczęściom.

Lud. Ty bądź naszym królem!
Ciebie wzywamy!... prosimy!... ty musisz
Być naszym królem!...

Piast. Co wam tak zaślepia
Oczy i głowy?... proste ręce moje
Nic nieumieją, oprócz kołodziejki.
Żartów nieróbcie ze starca, a który
Kocha kraj, płacze nad jego niedolą.

(*Lud woła*).

Piast naszym królem! Piast! Piast naszym królem!

Piast. Jest w moim domu gałązka ze szczepu,
Zgasłéj rodziny królewskiéj. Bogowie
Ją ocalili, ją więc wybierajcie.
Dobra i mądra, będziemy w niéj mieli
Drugą Wandę.

Wszyscy. Piast naszym królem! a swojego syna
Niechaj ożeni z sierotą.

Wszyscy. Zgoda! Zgoda! Zgoda.
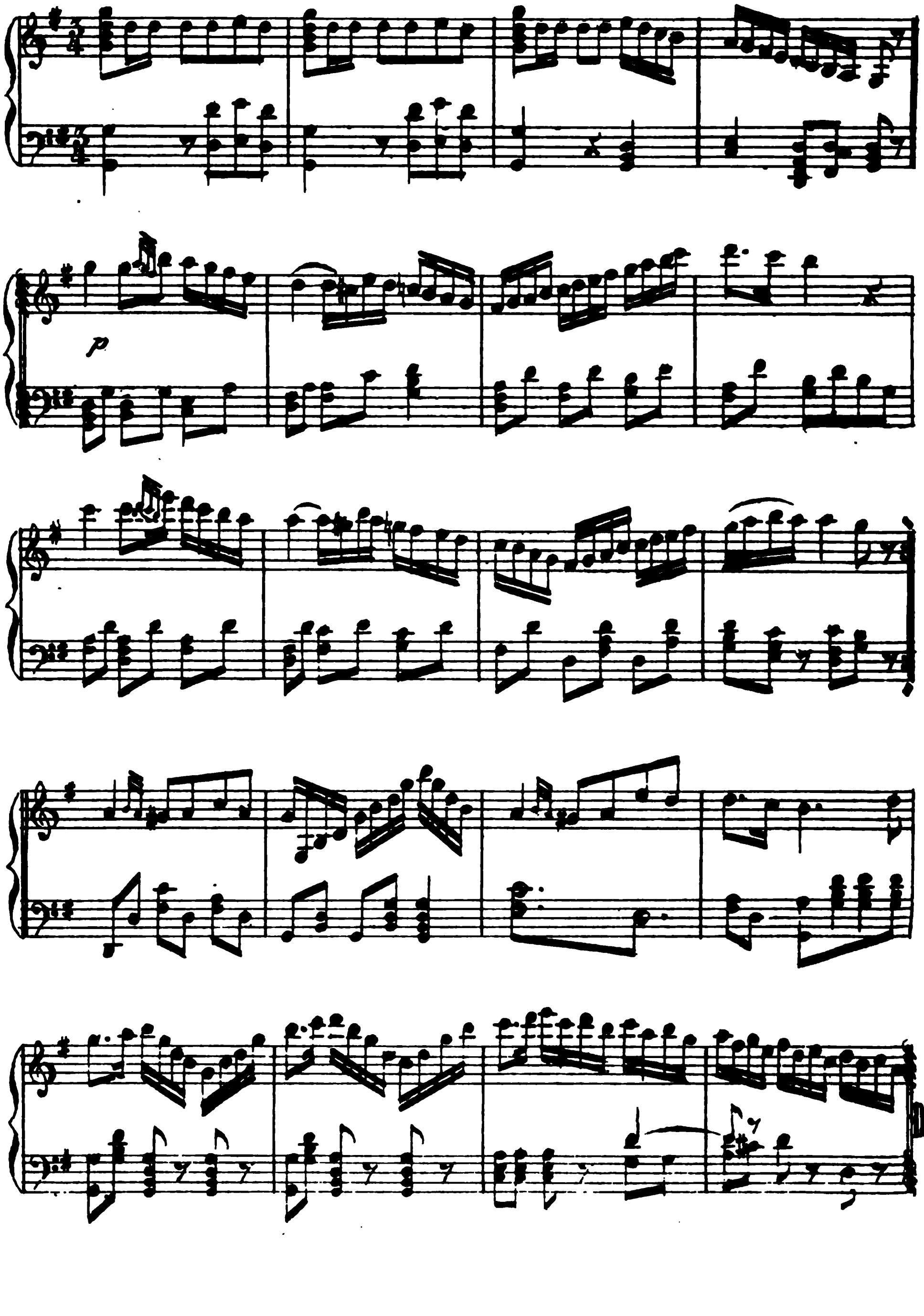
Polonez Literacki
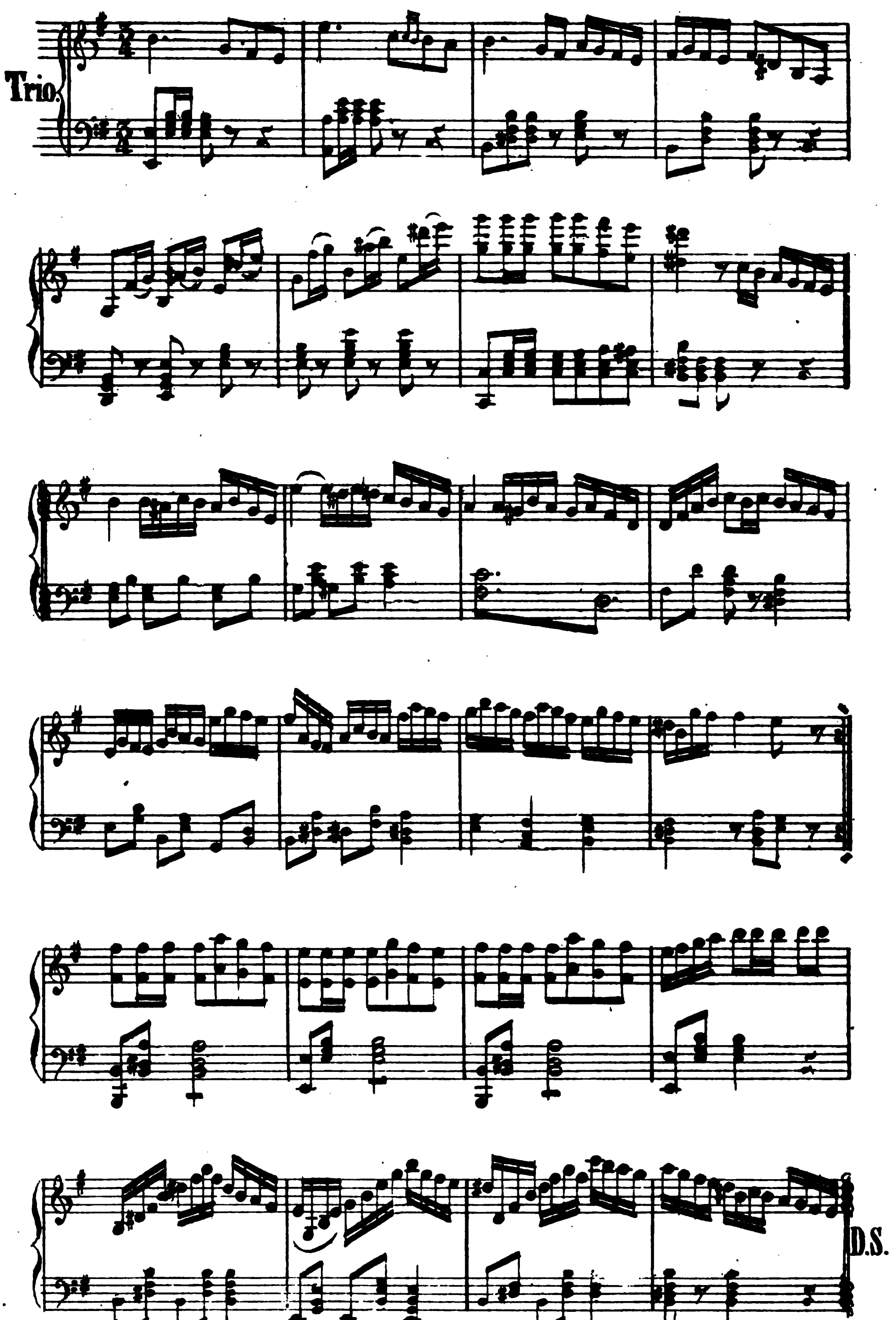
P. Franciszkowi Ejsmontowi

gorliwemu na naszej niwie literackiéj
[z]bieraczowi darów Bożych
w dowód bratniego współczucia
ofiaruję d. 1. Września 1871 r.

[B]enedykt Dołęga.

POLONEZ LITERACKI.




Trio.
D.S.

Дозволено Цензурою, Г. Кіевъ 9 Января 1871 г.

Въ Лит. И. и А. Давиденко, аренд: С. Кульженко и Б. Давиденко.

ZAKOŃCZENIE.

W imionniku F. M. E.

Teraz, gdy twe życie rozwija się jak kwiat, listek po listku, strzeż się, bo południe blisko, a południe słońcem pali....

Młodzieniec wybiegł z dziecinnego wieku, stanął u progu życia, spójrzał w świat: to gmach rozkoszy! Ach, jakże pięknie! a ludzie, to — przyjaciele! — Nieufaj zbyt, postępuj z rozwagą po dalszéj twéj drodze, radzą praktycy. Z rozwagą? a na co? Wszędzie wesoło, dobrze; przyjaciele, koledzy ze mną! — Zakrywa oczy, leci na oślep.

— Wstrzymaj się, młodzieńcze! okiem sokolim przejrzyj przyjaciół... Oni zakryli sobą przepaść, jaka ci grozi, a gdy się zbliżysz, ustąpią, śmiechem szyderczym płacąc za twą wiarę... wówczas zapóźno będzie cofnąć się... Niewierzy, leci, i ot już ślizga się po nad tą przepaścią. Gdzie wy przyjaciele!? Niema: — Ha! więc przeskoczę, a nie wpadnę; dobędę ostatnich sił!... Młode siły wytrzymały, ale znikła młodzieńcza wesołość, grymas usiadł na czole; uczuł, że w życiu mniej kwiatów, więcéj cierni... *Przyjaciele* wołają zdziwieni: — Co? ominął, przeskoczył?!... Jakąż drogą pójdzie? — Nie troszczcie się o niego!... Za kwiatkiem on już niepogoni, prędzej wybierze *twardy granit*, jak *trzęsawiska kwieciste*: prędzej uwierze w przyjaźń w poważném słowie starca zawartą, jak w uścisk kolegi fałszywy!...

Franciszka Chr...

SPIS RZECZY.

LISTA PRENUMERATORÓW.

Aratowska Nadzieja . . . . egz. 1

Bajkowski Aleksander na Ukrain. . 1
Bajkowski Gerard 1
Bajkowska Julja w Fusience p. Owruc. 1
Bajkowska Pelagja w pow. Włodzim. 6
Balewicz Marja 1
Baraniecki Mieczysław w Jarmoliń. na Podolu 7
Baranowski Feliks Ob. ziem. p. Owruc. 1
Baranowska Prezesowa w Żytom. . 1
Bauermann Estera 2
Bazylska Rozalja w Krymie . . . 1
Bądarzewska Ewelina 1
Bądarzewski Kalikst. 1
Bądarzewski Teodozy w Śwityńcach p. Berdycz. 1
Bejzym Józef Marszałek p. Zasławs. 3
Berezowski Bolesław. 3
Berezowska Marja 1
Berger Stanisław. 1
Bibl. Uniw. Kijow 1
Bielakowska Helena. 1
Bielecka Klementyna 1
Bielecka Teofila 1
Bielewiczowa Ewelina 1
Bieliński Antoni 1
Biskupski Władysław 1
Bniński Roman Hrabia 12
Bogucki Jan . . . . . . egz. . 2
Bolesławski w Ochrymowéj . . . 1
Borysow Wsewołod Jarosławowicz w gub. Moskiew 1
Bratkowski Jan w Zawalijkach . . 4
Brodowski Mikołaj Major wójsk ross. 1
Bronikowski Bolesław 1
Ks. Brydyski Bartłomiej Przeor Karm. 1
Brzozowski Stanisław w Watyńcach p. Włodź. 1
Bujalski Stanisław 1
Burzyński Bolesław z rodziną . . 5
Bylczyński Jan w Kijowie. . . . 1
Bylczyński Juljan Major wojsk ross. 10
Byrkowska Kazimiéra w Zwiahlu . 1
Byrkowski Witalis 1

Ceryna Wiktor w Kijowie. 1
Chajęcki Alfred w Kijowie . . . 1
Chamiec Ksawery. 1
Ch.... Antoś 1
Charska Ludwika 8
Chojnacki Jan w p. Nowgr.—Woł. 1
Chomenko Klementyna w Star. Konst. 1
Chomętowski Jan. 3
Chwalibóg Szczęsny z Krzyszkowiec. 1
Chwalibóg Szczęsny 1
Czarnecki Franciszek 1

Czarnowski Józef w Komarówce. . 2
Czechowski Adam w Kijowie. . . 1
Czerniachowska Józefa w pow. Owruc. 1
Czerniewicz Marja 1
Czerniewski Przemysław w Syber. . 1
Czerwiński Zygmunt w Kuźmińczyku na Podol. 1
Czosnowski Karol w Potuturowie p. Krzem. 1
Czosnowski Tadeusz z Honorówki . 3

Dobraczyński Józef 1
Dobrowolski Jan. 1
Dołęga Benedykt (Jurkiewicz Jakób) w Kijowie 40
Domaradzki Adam 1
Domaradzki Hieronim 1
Dorożyński Stanisław. 1
Draczewski Zygmunt z Dąbrówki . 1
Drohomirecki w Żytom. 1
Dubowiecki Adolf b. Sędzia p. Owruc. 1
Dubowiecki Władysław w Kościuszkach 1
Duchnowski Piotr. 1
Dybczyński Polidor 1
Dybowski Stud. Un. Kijow. . . . 6
Dynowski Henryk w Warszawie. . 1
Dzierżanowski Ludwik 1
Dzierżanowski Teofil. 1

Ejnerling Witold na Litwie g Grodz. 1
Ejsmont Antoni August 10
Ejsmont z Terleckich Emilja w Wiel. Czernihówce. 3
Ejsmont Szymon 15
Ejsmont Wacio 1

Falecka Stanisława w Żytom. . . 1
Fichtenholtz Ernestyna. 1
Frenert w Hajsynie. 1

Gajkowski Hilary 1
Galimski Michał Mag. utr. juris. . 1
Galli Edward w Żytomierzu . . . 1
Giżycka Józefa Marszałkowa. . . 2
Gludowicz Edward w Płoskurowie . 1
Głębocki Juljan w p. Kowels. . . 1
Gniewkowska Karolina w osad. Dubowce, gub. Saratow. . . . 1
Godzięba Józef w Żytom. . . . 2
Goldlust Ignacy, Nacz dom. hand. w Wołczz. 1
Gołębiowski Klemens 1
Grodecka Kassylda w p. Owruc. . 1
Groza Aleksander 20
Grudziński Faustyn 1
Gruja Stanisław w Gabrielówce na Wołyniu 1
Gruszecki Antoni 1
Grzybowska Zofja z Dołżka. . . 1

Hartman Gustaw w Teofilpolu. . . 1
Herszber Mojżesz 1
Hołownia Jan w Kijowie 1
H.-L. Aleksander Konstantynowicz w Futorze g. Połtaws. 1
Hurkowski Zygmunt w Kijowie . . 2

Ignatyew Konstanty N. w Semenówce 1
Ilnicki Dawid 1
Iwaszkiewicz Emilja 1

Jakubowska Jadwiga 1
Jakubowska Marja 1
Jakubowski Wiktor 1
Janieta Cezaryna w Żytomierzu. . 1
Janiszewski Leon w Watyńcach p. Włodź. 1
Jankowski 1
Jankowski Teofil 1
Janowski Hippolit 1
Januszkiewicz Walery 1

Jaroszewski Anastazy w Płoskurowie . 1
Jaroszewski Faustyn. 1
Jaroszewski Romuald 1
Jaroszyński Witold w. Żytom. . . 1
Jarzębowski z Ochrymowéj . . . 1
Jasiewiczowa Konstancja w Krymie. 1
Jełowicki Feliks w Rożniatówce. . 1
Jełowicka z Nartowych Zofja. . . 1
Jełowska Julja. 1
Jurow Aleksander Michałowicz w Skwirze 1

Kaczyński Erazm w Połonném . . 1
Kaleńska Julja w Żytom 1
Kaleńska Ludwika w p. Owruck. . 1
Kamieński Juljusz w Olejnikach . . 2
Kamiński 1
Ks. Kamieński Adrjan 1
Kaniewska Paulina w Majkowie p. Ostrogs 1
Kawecki Stanisław Pedagog w Kijowie. 1
Karesz Anna 1
Ks. Karesz Jan 2
Karnicka Henryka Hrabina . . . 1
Karnicki Wienczysław Hrabia . . 1
Karski Erazm. 1
Karwowski Stud. Un. Św. Włodz. . 2
Kasperski Felicjan 1
Kaszewski Kazimierz w Warszawie. 1
Kaszperowski Hügen. 1
Kazimirska Konstancja Marszałkowa p Berdyczowskiego 10
Kazimirski Zbigniew. 1
Klepadło Franciszek. 1
Klukowski Jordan 1
Ks. Kłopotowski Michał 1
Knoll Jan w Żytomierzu 1
Knothé Ewelin 1
Knothé Józefina 1
Koch w Żytomierzu 1
Konopacka Klotylda w Piwcach. . 1
Konrad Adolf. 1
Koraszewicz Cyprjan. 1
Korewicki Antoni w Wańkowcach . 2
Kormanowicz 1
Korybutt Albina 1
Kosecki Stanisław w Korytnéj p. Jarmol. 1
Kosielski Karol na Podolu. . . . 1
Kostyrski Władysław 1
Kotkowski Juljan 5. Prof szk. gł. 10
Kowalski Albin Stud. Un Kijows. 1
Kownacki Ludwik 1
Kozakowski Kasper 5
Kozakowki Wincenty 1
Kozieradzki Adam 1
Kozłowska Konstancja w Rostowie nad Donem 10
Kozłowski Ludwik w Popudni p. m. Humań. 2
Kozłowski Napoleon. 1
Kraczkiewicz Felicja. 1
Krajski Adolf Art. Muz. w Żytom. 1
Krasicki Herman 1
Krasicki Jan 1
Krasowski Prot. Ob. Ziem. na Ukr. 1
Krasuski. 1
Kraszewska z Nartowych Emilja. . 1
Kraszewski Józef Ignacy w Dreznie 1
Krzyżanowska Marja. 1
Krzyżanowski Wiktor 1
Kulczykowska Marja w Politankach p. Dżuryn. 1
Kundzicz Kalasanty 1

Leduchowski Władysław na Wołyniu 1
Lewandowski Leopold w Kijowie . 1
Lewicka Kamilla w Żytom. . . . 1
Lewicki Stanisław 1
Libert Leonilda w m. Poryckú p. Włodź. 1
Lińkiewiczowa Cypryanna 1
Lipiński Dyonizy 1

Lipkowski Seweryn w ks. Poznań. 1
Lisowski Aleksander Stud. Un Kijow. 1
Lisowski Bolesław. 1
Lityńska Leokadja. 1
Lubecki Grzegorz w Warszawie. . 1

Łochowski Tytus. 1
Łukaszewicz Kajetan. 1

Machan Gracjan Aptek. w Zwiahlu. 1
Machcewicz Ewelina w Kijowie . . 1
Machcińska Franciszka w Nowg.-Woł. 1
Makowiecki Ludwik z Karcmązowa . 1
Makowiecki Narcyz w Michałówce g. Pod. 1
Marcinkowski Antoni w Kijowie. . 10
Martynowski Brunon w Skobełce . 1
Maszkowski w Kijowie 1
Matczyński Wacław. 1
Matuszewicz Anastazja 1
Matuszewicz Justyna w Fuśni p. Owruc. 1
Mauerman Hersz w pow. Kaniow. 1
Mazaraki August w Rybczyńcach na Podol. 5
Mazaraki Tadeusz z Hołubowki na Ukr. 2
Medecka Ewarysta w Owruczu . . 1
Mężyński Rudolf 1
Mianowski 1
Michalik Wilhelm w Galicji (Austr). 7
Michniewicz Filip. 2
Mieczyński Adam Red. »Gaz. Rol.« w Warsz. 1
Mileniewski w Żytom. 1
Milowicz Aleksander St. Un. Kijows. 1
Mischke Gustaw St. Un. Kijows. . 1
Mittejs Zofja. 1
Moczutkowski Józef w Kijowie . . 1
Mokrowicki Bolesław St. Un. Św. Włodz. 1
Monasterski. 1
Morgulec Helena 1
Morgulec Wiktor. 1
Moszkowski Józef w Uściługu p. Włodz. 1
Mostowski Adolf Hrabia w Mytniku na Pod. 5
Moszyński Edward 1
Moszyński Stefan. 1
Moszyński Teodozy Hrabia w Niemir. 2
Mutti Ferdynand. 1
Mysłowska Anna w Daszkowcach . 1
Mysłowski Michał w Michałkowcach. 1
N... 4

Naumow Antonina. 1
Nazarkiewicz Antoni. 1
Nejman Ignacy Stud. Un. Św. Włodz. 1
Netyksa Adolf. 1
Newlińska Helena. 1
Newliński Karol 1
Newlińska Karolina 1
Newliński Kazio 1
Newliński Wincenty Stud. Un. Kijows. 1
Newliński Zygmunt 1
Niedzielski Adam w Żytomierzu. . 1
Niemierzycka Stanisława w Kołkach. 1
Niewiarowski Lucjan. 1
Nikorowicz Wiktor 3
Niwiński Hippolit. 1
Niżycki Józef Sekr. Senat. Kaw. Ord. Ś. St. w Petersb. 1
Nosalski Celestyn w Bereziancc . . 1

Obidziński Daniel w Pagórce na Pod. 5
Odyniec Antoni—Edward. w Warszawie 1
Obremska Marja 1
Opęchowski Wacław w Zaleszanach p. Radomyśl 1
Oppermann Konstancja. 1
Oppermann Marja. 1
Oppermann Wilhelmina. 1

Osiecki 1
Oskierko Piotr w Litwie 1
Ks. Osmolski Stanisław Pr. w Monasterzyskach 1
Ostrowski Franciszek z Kisiela . . 10
Ostrowska Helena w Kijowie. . . 1
Ostrzykowska Marja z Milatyna. . 1
Owsiana Tekla na Polesiu. . . . 1

Panińska Cecylja Hrabina. . . . 1
Parnikiel Jadwiga. 1
Pawłowski Karol. 1
Peretjatkiewicz Karol w Równem . 1
Peretiatkiewicz Zenon 1
Perszyński Kornel 1
Pęska Helena w Krymie 1
Phaffins Helena. 1
Pietkiewicz Antoni 3
Piątkowska Felicja 1
Piotrowska z Nartowych Eliza . . 1
Piotrowska Marja. 1
Plateer Sylwester 1
Płonowska Idalja. 1
Płońska Bronisława. 1
Płońska Stanisława 1
Pług Adam. 10
Podbereski Andrzéj w Krymie . . 1
Podbereski Kazimierz w Krymie. . 1
Podhajecki Aleksander Teodozowicz g. Połtaws. 1
Podhorski Aleksander Obyw. na Ukr. 1
Podhorski Bolesław 3
Podhorska Seweryna 1
Podoski Józef w Popudni 1
Popławski Aleksander 1
Prochaska Fryderyk Art. Muz. . . 1
Przeor Kl. Paul. w Czenstochowie . 1
Przezdziecki Tytus na Podolu . . 1
Prusinowski Jan w Żytomierzu . 1
Przesłański Stefan Obyw. p. Owruc. 1
Ptaszkowska Seweryna. 1

Ranwid Konstanty 1
Rawa Dominik 1
Rawa Marjan. 1
Red. »Przegl. Katol.«. 1
Remer Amelja. 1
Roguski Hamilkar 1
Ks. Roguski Zenon Zak. Kapucyn. . 2
Rohoziński Rafał w Popowcach na Wołyniu. 1
Rokicki Augustyn 1
Romaszyński Wilhelm Dok. Med. . 1
Rościszewski Rudolf w Cybulowie . 1
Rozenfeld Joanna. 1
Rubinsztejn Leon. 1
Rucker Edmund Prezes w Symferopolu. 1
Rudnicka Czesława 1
Rudnicka Ewelina 1
Rudnicka Marja 1
Rudnicka Żaneta. 1
Rudziński Władysław w Warszawie. 1
Rulikowski Edmund 1
Rygielski Cyprjan na Polesiu . . 1

S**. Jan Onufrjewicz w Besarabji . 1
Sakucki Gener.-Maj. wójsk. ross. . 1
Sawicki Stanisław Stud. Un. Ś. Wł. 1
Skibniewski Henryk w Porzeczu. . 1
Skibniewski Wiktor w Hołozubińcah. 1
Skirmunt w gub. Wileńs. 1
Skopowski Paweł. 1
Skorupski 1
Skrzyński 1
Sliwińska Karolina w Żytom. . . 1
Sokołowski Henryk 1
Sosnicka Kamilla w Kijowie . . . 1
Sosnowska Joanna w Milatynie g. Woł. 1
Sosnowski Jan w Kijowie. . . . 1
Starańczak Ludwik w Kijowie . . 1
Starców Grzegorz Eufimięwicz w Symferopolu 1

Ks. Stawiński Antoni 1
Stecki Edmund Marszałek. . . . 3
Stecki Władysław 1
Stietko Aleksander 1
Straszyńska z Hujskich Honorata Sędzina 2
Strudecki Dyonizy 1
Strzałkowski. 1
Strzembosz Jan w Żytom.. . . . 1
Suchocka Jadwiga 1
Suska Aspazja 1
Suszko Stanisław 1
Syroczyński Tadeusz 1
Syrowiecki Wacław 1
Szantyr Antoni Nadw. Sowiet. . . 1
Szmigielska Ewelina 1
Szymańska Antonina 1
Szyszkowska Felicja w Trybuchu na Pod. 4

Tarnawski Bazyli Iwanowicz . . . 1
Tarnowski Hippolit w Taszliku . . 1
Teleżyński Ignacy 1
Tegelmann Icko 1
Teressa z mał. Kaleniec 1
Trentowska Cezaryna w Berdycz. . 1
Tryczel Wiktor w Kijowie . . . 3
Trzcińska Tekla 1
Turcewicz Bonawentura 1
Turzański Ignacy Sekr. Mir. Zj. w Bessarabji 1
Tyczyna Antoni 1
Tyczynowa Józefa 1
Tyrawski Bronisław. 1
Tyski Hippolit Obyw. w Bessarabji. 1

Uchacewicz. 1
Ujejski w gub. Chersoń. 1
Uszczapowski Leon Dok. Med w St. Knost. 1

Waryński Hilary Obyw. Ziems. . . 2
Waryński Seweryn 1
Werlicki Wacław w Warszawie . . 1
Ks. Widmont Kar.-Fortunat Kapuc. Kl. w Brusiłowie 1
Wielohorski Adryan w Carówce p. Berd. 1
Wielohorski Aleksander 1
Wielohorska Bronisława 10
Ks. Więckowski Tomasz Pr. w Wołoczyskach. 1
Wilbiszewski 1
Wilga Władysław 1
Wilińska Antonina 1
Wiślicki Adam. Red. »Przegl. Tyg.« w Warsz. 1
Wiszniowski Seweryn 2
Wiszniowski Senio Ucz. Gymn. . . 1
Wojcicki Władysław Red. »Kłosów« w Warszawie 1
Wojna Frumencyusz 1
Wróblewski Walerjan (Koronowicz). 1
Wrzeszcz Feliks 1
Wyhowski Jarosław Obyw. p. Owruc. 1
Wyhowska Konstancja 1

Zacharjaszewicz Jan we Lwowie. . 1
Zalewska Ksawera w Sandrakach na Podol. 4
Zalewska Marja 1
Zalewski Tadeusz 2
Zalewski Wilhelm 1
Zankiewicz Aleksander w Kijowie . 1
Ks. Zarembiński Feliks Wikar. w Owruczu 1
Zarudnicka Faustyna 1
Zawadyńska Marja 1
Zawadyński Tomasz we wsi Rewusze g. Kijows. 5
Zawistowski Artur w Kijowie. . . 1
Zieliński Juljan 1
Zieliński Wincenty w Żytom. . . . 1

Wszystkich egz. odbito 1000, z których po cen. premum. (1 r. s.) rozprzedano egz. 488, a rozdano *gratis* (honorar. literack.) 158.

Zastrzeżenie: Ponieważ kilku z moich Kolektorów nie zdało mi do oznaczonego czasu, a nawet i dotąd, rachunku z łaskawie wziętych przez się do rozdawnictwa prenum. bil., więc pp. Prenumeratorowie Pisma »Co Bóg dał«, których *nieznajome mi* z tego powodu *imiona nie są umieszczone w téj liście prenumer.*, po odebranie Pisma raczą się zgłaszać li tylko do swoich kollektorów; ci zaś ostatni *prawo na nabycie tego Pisma po cen. prenum.* samo przez się *tracą*, otrzymując wszakże ustępstwo $33^1/_3$% od ceny stałéj (czyli 75 k. na egz.) do 1-go Lipca, r. b. Szczegółowe sprawozdanie we właściwym sobie czasie będzie ogłoszone w gazetach.

F. M. G.

Дозволено цензурою. Г. Кіевъ 18 Мая 1872 г. Въ Университетской Типографіи.

ŻNACZNIEJSZE USTERKI DRUKARSKIE DO SPROSTOWANI

				Wydrukowano:	Czytaj:
W śpiewie 1-m:				Zalewskiego	Zaleskiego
str.	9	wiersz 20	z góry:	falaustery	falanstery
—	36	— 7	—	pylitycznych	politycznych
—	54	— 7	—	Rover	Royer
—	58	— 19	—	nieśmiertelność	nieśmiertelnéj
—	63	— 8	—	optimiste	aptitude
—	70	— 12	—	konnibalów	kannibalów
—	87	— 23	—	au l' amortl	ou la mort!
—	95	— 15	—	mouvais	mauvais
—	135	— 15	—	przychodząch.	przychodzących
—	142	— 30	—	rozwiązały się	rozwinęły się
—	161	— 25	—	pisane	*pisane*
—	170	— 5	—	syna autora	syna. Autor.
—	171	— 3	—	Gaduta	Gaduła
—	181	— 18	—	Didro	Diderot
—	196	— 13	—	Regarder-le	Regardez-le
—	197	— 2	—	Kok'a	Kock'a
—	199	— 6	—	łokciem	łokciami
—	—	— 7	—	spogląda.	spoglądał
—	—	— 15	—	hrabiay	hrabiny
—	203	— 11	z dołu:	polakami	i polakami
—	206	— 9	—	taka	tak
—	—	— 20	—	torturo	torturę
—	212	— 6	—	Lewastama	Lewestama
—	223	— 6	—	zażynki	dożynki
—	225	— 2	—	zażynek	dożynek
—	228	— 9	—	tafle szyby.	szyby
—	239	— 2	—	pięknej	i pięknéj
—	249	— 21	z góry:	przyszłości	przeszłości
—	251	— 1	—	Przeszłe	Przeszło
—	253	— 5	—	gzosz	grosz
—	254	— 5	z dołu:	lokai	lokaje
—	267	— 6	—	zawodu!«.	zawodu!« *) J. Z
—	270	— 4	z góry:	to czar	to czar,
—	275	— 5	—	niewolnika	jeńca, rodem z Li
—	368	S. R. 6	—	kasmopolita	kosmopolita
—	—	— 25	—	casów.	czasów

Drobniejsze, jak np. *Wilibard* zamiast *Wilibald*, *sią* zamiast *się*, *mie* za *mię*, *wyrasem* zamiast *wyrazem* i t. d. Czytelnik sam sprostować raczy.

Korrektor J. Jarkiewi